

Michael Cunningham

Z CIAŁA I Z DUSZY

*Książkę dedykuję
Donnie Lee i Cristinie Thorson*

Podziękowania

Osoby, którym chciałbym złożyć podziękowania, to: Joel Conarroe, Ken Corbett, Stacey D'Erasmus, Stephen Kory Friedman, Jonathan Galassi, Gail Hochman i Annę Rumsey. Wszyscy oni czytali tę książkę na różnych etapach jej powstawania. Ogromną pomoc okazali również: Evelyn Burkhalter, Marcelle Clements, Dorian Corey, Anne D'Adesky, Paul Elie, Nick Flynn, William Forlenza, Dennis Geiger, Nick Humy, Adam Moss, Angie Xtravaganza oraz członkowie House of Xtravaganza, zwłaszcza Danny i Hector. John Simon Guggenheim Memorial Foundation udzieliła mi finansowego wsparcia, za które jestem niezmiernie wdzięczny. Chcę również podziękować Larry'emu Kramerowi, który w pewien wyjątkowo zimny dzień jak na tamtą porę roku w parku na Washington Square wspomniał mi tytuł tej książki.

Pewnego dnia wzburzony mężczyzna ciągnął ojca po ziemi w jego sadzie.

– Już przestań! – krzyknął wreszcie starzec chrapliwym głosem. – Ja swojego ojca dociągnąłem tylko do tego drzewa.

Gertruda Stein, *The Making of America*

Część 1

JAZDA SAMOCHODOWA Z FIGURAMI

Constantine, ośmioletni chłopiec, pracował w ogrodzie ojca i rozmyślał o własnym poletku z wytyczonymi redlinami – pokrytym pyłem niewielkim kawałku granitowej skały – które znajdowało się w najwyższej położonej części rodzinnego gospodarstwa. Najpierw wrywał chwasty na polu fasoli należącym do ojca, potem, poruszając się na czworakach między ostrymi, zdrewniałymi łodygami winorośli w winnicy, także będącej własnością ojca, kolejny raz szorstkim szarobeżowym sznurkiem przywiązywał niesforne pędy do palików. Kolor i szorstkość sznurka kojarzyły mu się ze znojem, na który człowiek jest sprawiedliwie skazany. Ilekroć ojciec mówił o „zapracowaniu się na śmierć, żeby utrzymać się przy życiu”, Constantine miał przed oczami ten sznurek – ostry, mocny, szarobury, najeżony włóknami, oplatający kulę ziemską jak paczkę. Ale ziemia się nie podda, nie podporządkuje się, tak zresztą jak pędy winorośli, które wymykają się z więzów i wzbijają ku niebu pod najróżniejszymi kątami. Kształtowanie winorośli należało do obowiązków Constantine’a; czuł do nich nienawiść, a zarazem respekt za ten ich niepokonany upór. Pędy miały swoją skrętnie skrywaną tajemnicę, poplątane życie, tłącą się wolę. Ale to on, Constantine, odcierpi, jeśli one nie będą przywiązane do tyczek jak należy. Ojciec bezlitosnymi oczami potrafił wysledzić jedną niesforną gałązkę wśród dziesięciu dorodnych, posłusznych łodyg.

Podczas pracy chłopiec myślał o swoim poletku o powierzchni zaledwie jednego metra kwadratowego, ukrytym w oddali na szczycie wzgórza rozświetlonego promieniami słońca, skrawku ziemi tak nic nie znaczącym dla skrupulatnie zaplanowanej przyszłości ojca, że został przekazany do zabawy Constantine’owi, najmłodszemu z rodzeństwa. Była to właściwie warstwa pyłu o grubości niewiele ponad trzy centymetry, zatrzymanego w zagłębieniu między skałami, ale on dzięki wyteżonej pracy, dzięki sile woli zdoła zebrać z niej plon. Pełen entuzjazmu uzbierał w kuchni kilkanaście nasion, nikomu niepotrzebnych, które przyłgnęły do noża albo spadły na podłogę, mimo że matka starała się ustrzec grzechu marnotrawstwa. Jego poletko znajdowało się wysoko między wypalonymi słońcem skałami, gdzie nikt nawet nie próbował dotrzeć. Jeżeli mu się powiedzie, będzie mógł doglądać swoich upraw, nikomu o nich nie mówiąc. Będzie mógł zaczekać, aż nadejdzie czas zbioru, a wtedy zejdzie ze wzgórza, niosąc z dumą bakłażana albo paprykę, a być może nawet pomidora. Wyłoni się z jesiennego półmroku, wejdzie do domu, gdzie matka będzie właśnie przygotowywała kolację dla ojca i braci. Wniesie ze sobą światło, przyłgnięte do pleców, złociste. To światło przeniknie do kuchni przez drzwi, które on, wchodząc, otworzy. Matka, ojciec i bracia zwrócą wzrok na niego, najmłodszego w rodzinie, od którego tak niewiele można oczekiwać. Gdy z wysokości winnicy spoglądał w dół na okolicę: ruiny farmy Papandreusa, gaje oliwne należące do spółki Kalamata, połyskujące światła odległego miasteczka, rozmyślał o tym, jak pewnego dnia wejdzie na skały i znajdzie wśród nich zielone pędy przebijające się przez warstwę pyłu. Ksiądz pouczał, że cuda zdarzają się dzięki pracowitości i zrządzeniom losu. Constantine był wierzący.

Był także pracowity. Każdego dnia brał swoją rację wody, połowę wypijał, a resztą zraszał nasiona. Ten zabieg wykonywał z łatwością, ale była mu jeszcze potrzebna lepsza ziemia. Spodnie, które uszyła mu matka, nie miały kieszeni, a kradzież dwóch garści ziemi z ogrodu ojca i wędrowka z nią obok zagrody dla kóz i dalej, w górę po skalnym zboczach, tak by nikt tego nie zauważył, były nie do pomyślenia. Przenosił więc ziemię w jedyny możliwy sposób: każdego wieczoru, gdy zbliżał się koniec pracy, pochylał się, jak gdyby chciał podwiązać najniżej rosnące pędy winorośli, i nabierał ziemi w usta. Miała intensywny, uderzający do głowy zapach. Ciemne grudki pozostawiały na języku wstrętny smak fekaliów, który, choć trudno to zrozumieć, wydawał mu się dziwnie, niebezpiecznie doskonały. Z pełnymi ustami wędrował w górę, w kierunku skał. Niewiele ryzykował, nawet mijając ojca czy jednego z

braci. Od dawna przyzwyczaili się, że prawie się nie odzywa. Uważali, że milczy, ponieważ ma nieskomplikowane myśli. A on nic nie mówił z obawy przed popełnieniem błędu. Świat składał się z ciernistej płataniny błędów i żaden sznurek, bez względu na to jak mocno zawiązany, nie mógł utrzymać ich wszystkich w ryzach. Kara czała się wszędzie. Rozsądniej było nic nie mówić. Każdego wieczoru, jak zawsze w milczeniu, przechodził obok braci, którzy zazwyczaj jeszcze krzatali się przy kozach. Układał policzki w taki sposób, by nikt się nie domyślił, że ma pełne usta. Gdy przeszedł przez podwórko, wspinał się na skały, ze wszystkich sił starając się nie połknąć ziemi, ale było to nieuniknione i zawsze trochę przedostawało się do przełyku, a wtedy jej ostry smak przeciskał się w głąb przewodu pokarmowego. Ziemia była zmieszana z kozimi odchodami. Czuł, jak do oczu napływają mu łzy. Za każdym razem zdołał jednak donieść sporą grudkę, którą wypluwał na otwartą dłoń. Pośpiesznie, obawiając się, że któryś z braci poszedł za nim i będzie miał powód do drwin, umieszczał ziemię w swoim miniaturowym ogródku. Była przesiąknięta śliną. Rozkładał ją równo i myślał o matce, która zapomniała na niego popatrzeć, ponieważ jej własne życie składało się z nazbyt wielu problemów, by mogła im wszystkim poświęcić uwagę. Myślał o niej, jak podaje posiłki jego wciąż nienasyconym, rozhukanym braciom. Próbował wyobrazić sobie wyraz jej twarzy, gdy on wieczorem, w dniu zbiorów przekroczy próg domu. Stanie w załamującej się, przyprószonej kurzem smudze światła na wprost całej swojej zdumionej rodziny. Potem zbliży się do stołu i położy na nim to, co przyniósł: strąk papryki, bakłażana, pomidora.

Co za wieczór, prawda? – powiedziała Mary.

Constantine nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Jej śmiałość i uroda, sama obecność, sprawiały, że słowa więzły mu w gardle. Siedział na skrzypiącej huśtawce i bezradnie obserwował, jak Mary przechyla się przez balustradę werandy swego rodzinnego domu. Spódnica ocierała jej się o nogi. Wiatr znad New Jersey igrał w jej włosach.

– Takie wieczory naprawdę robią na mnie wrażenie – ciągnęła. – Spójrz tylko na te gwiazdy. Tak bardzo chciałabym zgarnąć je w dłonie i rozsypać nad twoją głową.

– Mm – mruknął. Miał nadzieję, że ten stłumiony odgłos najlepiej oddaje przyjemność, jaką odczuwał. Minęło już prawie sześć miesięcy, a on wciąż nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Zupełnie nie docierało do jego świadomości, że spotyka się z tą nadzwyczajną amerykańską dziewczyną. Od niedawna toczy się jego drugie życie, w jej głowie. Niemal w każdej chwili obawiał się, że ona odkryje swoją pomyłkę.

– Z tymi gwiazdami na włosach wyglądałbyś cudownie – powiedziała, a on z brzmienia jej głosu wyczytał, że myśl o tym przestała ją już zajmować.

Gdy zniżała głos i dłońmi mimowolnie dotykała włosów, wiedział, że Mary traci zainteresowanie tym, co mówi, chociaż potrafiła opowiadać, zupełnie nie zwracając uwagi na własne słowa. Dotychczas nie spotkał osoby, która byłaby tak twarda i nieugięta, a jednocześnie z taką łatwością popadała w znudzenie.

Wstał i podszedł do niej, chcąc sprowadzić ją z obłoków na ziemię. Patrzył wraz z nią na niewielkie podwórko rozciągające się za domem jej rodziców, szopę z narzędziami jej ojca, feerię gwiazd nad jej i swoją głową.

– To ty wyglądasz wspaniale – wyszeptał.

– Och, oczywiście, że nie jest ze mną najgorzej – powiedziała, nie odwracając się w jego stronę. Jej głos wciąż był stłumiony jak głos lunatyka. – Ale to ty jesteś naprawdę piękny i dobrze o tym wiesz. Kilka dni temu koleżanka w szkole zapytała mnie, czy nie czuję się nieswojo, spotykając się z takim przystojniakiem jak ty. Zupełnie jakbym ujmowała się za wszystkimi mało atrakcyjnymi facetami.

– Ależ ja wcale nie jestem atrakcyjny.

Teraz zwróciła twarz w jego stronę. Był zdumiony na widok grymasu gniewu ściągającego jej policzki.

– Przestań się tak krygować – oburzyła się – to nie przystoi mężczyźnie.

Znowu powiedział coś niewłaściwego. Zdawało mu się, że zależy jej na tym, by okazał skromność. Zawsze starał się zachowywać tak, żeby się jej przypodobać.

– Ja nie... – próbował się usprawiedliwiać. – Chodziło mi tylko o to...

Skinęła głową i przesunęła palcem po jego koszuli.

– Nie przejmuj się mną – powiedziała. – Mam powody, żeby czuć się trochę podenerwowana. Przez te gwiazdy mąci mi się w głowie.

– Tak – przyznał. – Są rzeczywiście fantastyczne.

Cofnęła dłoń. Odwróciła się twarzą w stronę podwórka i zaczęła owijać kosmyk włosów wokół palca. Constantine obserwował ją z rozczulającym pragnieniem, które jak kamień uwięzło mu w gardle.

– Ale one gubią się tam, nad Newark – powiedziała. – Spójrz tylko, świecą, a potem nagle znikają i cały ich urok przepada. To smutne, nie uważasz?

Constantine był zakochany w Newark. Uwielbiał dumnie górujące nad nim kominy fabryczne, zwykły, domowy spokój kanciastych budynków z cegły. Wiedział jednak, że

Mary oczekuje, by czuł niechęć do tego zwyczajnego piękna, które nauczył się kochać dzięki jej obecności.

– Tak, to prawda – przyznał – bardzo smutne.

– Och, Con, mam dość. Sama już nie wiem czego. Mam dość wszystkiego.

– Masz dość wszystkiego? – zdziwił się.

Roześmiała się, a w jej śmiechu zabrzmiała nuta ironii. Czasem powiedział coś, co jej wydawało się zabawne w sposób, który dla niego był nieczytelny. W jego stwierdzeniach czy pytaniach często dostrzegała gorzki żart, który tylko dla niej był zrozumiały.

– No wiesz, mam już dość szkoły. Nie widzę sensu uczenia się historii albo geometrii. Chcę mieć pracę jak ty.

– Chciałabyś pracować w brygadzie budowlanej? – zapytał.

– Ależ nie, głuptasie. Mogłabym pracować w biurze. Albo w sklepie z odzieżą.

– Powinnaś skończyć szkołę.

– Nie wiem tylko po co. Nauka nie idzie mi najlepiej.

– Ależ bardzo dobrze sobie radzisz – zapewnił ją. – Do czegokolwiek się weźmiesz, idzie ci doskonale.

Mocno zacisnęła kosmyk wokół palca. Znów była rozgniewana. Skąd mógł wiedzieć? Pochlebstwo jest przecież czasem mile widziane. Zdarza się, że odrzucone, powraca, jak gdyby ktoś cisnął w oczy garść żwiru.

– Wiem, że uważasz mnie za chodzący ideał, ale mnie daleko do doskonałości. Ty i mój ojciec musicie wreszcie sobie to uświadomić.

– Dobrze wiem, że nie jesteś ideałem – odpowiedział, ale jego słowa zabrzmiały fałszywie. Wypowiedział je niepewnie, z nieśmiałością młokosa, z wyraźną, zgrzytliwą nutą skruchy. – Jesteś dziewczyną, którą kocham – dodał po chwili już nieco odważniej. Czy ta deklaracja mogła być częścią wielkiego, trudnego do pojęcia żartu?

Nie roześmiała się.

– Oboje to powtarzamy – zauważyła, nie przestając patrzeć przed siebie, w głąb podwórza. – Miłość, miłość, miłość. Con, skąd wiesz, że mnie kochasz?

– Wiem. Myślę o tobie. Wszystko, co robię, robię dla ciebie.

– Jak byś się poczuł, gdybym ci powiedziała, że czasem zapominam o tobie na wiele godzin?

Milczał. Nieduże stworzenie, kot, a może opos, cicho poruszało się między puszkami na śmieci.

– Nie chodzi o to, że mi na tobie nie zależy – dodała. – Zależy, i to bardzo. Może jestem zbyt powierzchowna. Ciągłe się zastanawiam, czy miłość nie powinna wszystkiego zmienić. To znaczy... Nadal jestem sobą. Jak dawniej, budzę się każdego ranka i, no wiesz, jestem taka sama jak dotąd i mam przed sobą kolejny dzień.

Constantine słyszał w uszach szum wzburzonych fal oceanu. Czy właśnie nadeszła ta chwila? Czy miała zamiar oznajmić mu, że lepiej będzie, jeśli przez jakiś czas nie będą się widywać? By zatrzymać czas, powstrzymać ruch powietrza, powiedział:

– Mogę cię zabrać, dokądkolwiek zechcesz. Jestem pomocnikiem majstra. Już wkrótce będę umiał wystarczająco dużo, by postarać się o inną pracę.

Spojrzała na niego. Miała zupełnie obojętny wyraz twarzy.

– Chcę lepszego życia – oznajmiła. – Nie jestem przesadnie zachłanna, naprawdę nie, chcę tylko...

Przeniosła wzrok z jego twarzy na werandę, na której stali. Constantine zobaczył ją taką, jaką widziała ją Mary: zardzewiała huśtawka, karton pełen butelek na mleko, wąż geranium w niewielkiej ceramicznej doniczce. Uświadomił sobie, że jej rodzice i bracia żyją w tym domu, każde pielęgnując w sobie własne pretensje i żale. Ojciec Mary był zatruty fabrycznym pyłem. Matkę trapiły myśli o przekwitłej urodzie, która – taką zapewne miała kiedyś nadzieję

– wprowadzi ją w inne życie. Joey, leniwy brat Mary, pogrążył się w upadku, sięgając na oślep dna jak sum, który wiedziony instynktem chce jak najszybciej znaleźć się w ciemnym mule rzeki.

Constantine ujął drobną dłoń Mary i zamknął w swojej.

– Będziesz je miała – zapewnił ją. – Tak. Może się spełnić każde twoje pragnienie.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. Wiem, że tak.

Zamknęła oczy. Byli bezpieczni, nie wisało nad nimi widmo żartu, a on zrozumiał, że nadszedł właściwy moment, by ją pocałować.

Mary przygotowywała na Wielkanoc świąteczne ciasto w kształcie zająca według przepisu z gazety. Wycinała uszy i ogon z żółtego biszkoptu, przypominającego okrągłe i łagodne oblicze księżycy z bajek dla dzieci. Ta czynność pochłaniała ją bez reszty. Jej ciemne oczy wpatrywały się w jeden punkt, między lekko rozchylonymi wargami ukazał się koniuszek języka. Wykroiła już precyzyjnie jedno ucho i właśnie zabierała się do drugiego, gdy Zoe, jej młodsza córka, potrąciła ją w nogę na wysokości kostki. Mary westchnęła głęboko i przecięła nożem drugie ucho zająca na szerokość męskiego kciuka.

– Cholera – mruknęła pod nosem. Zanim Zoe ją popchnęła, Mary myślała tylko o tym, by wykroić idealnie symetryczne ucho ze świeżo upieczonego biszkoptu. Była nieobecna duchem, świat wokół niej nie istniał.

Spojrzała na Zoe, która przykucnęła przy jej stopach, zanosząc się płaczem i uderzając otwartymi dłońmi w linoleum w cętki. Mary wiedziała, na co się zanosi. Za chwilę Zoe wpadnie w skrajną rozpacz i nic nie będzie w stanie jej pocieszyć. Zoe była najdziwniejszym dzieckiem z całej trójki – zamknięta w sobie i nieprzystępna. Mary nie potrafiła do niej dotrzeć ani dobrym słowem, ani cierpliwością, ani nawet obłaskawić smakołykami. Susan i Billy’ego o wiele łatwiej było zrozumieć; płakali, gdy byli głodni albo zmęczeni. Patrzyli błagalnie na Mary, nawet w napadach złości, jak gdyby chcieli powiedzieć: Daj nam cokolwiek, każda choćby najmniejsza pociecha poprawi nam nastrój. Wystarczyła zabawka albo ciastko. Z Zoe rzecz miała się zupełnie inaczej, u niej nieszczęście zawsze było mile widziane. Potrafiła marudzić bez wyraźnego powodu przez okrągłą godzinę, a nawet dłużej, a teraz właśnie robiła do tego wstęp. Mary przeczuwała nadciągającą rozpacz małej, zupełnie jak jej własna matka, której instynkt pozwalał przewidzieć deszcz w pogodny dzień. Czuła go w kościach. Na blacie przed sobą miała rozłożone biszkoptowe placki, lukier o smaku kokosowym, wielobarwne żelki i pianki. Przenosiła wzrok z ciasta na rozgniewane dziecko, które już tylko chwila dzieliła od krańcowej rozpacz, sprawiającej małej niemal zmysłową i bezgraniczną przyjemność, jaką odczuwa dorosła kobieta, gdy po kolejnym przygnębiającym dniu wreszcie może położyć się do łóżka.

– Con! – zawołała Mary.

– Tak? – odpowiedział z ogródka.

– Con, mała jest tutaj, wszędzie jej tu pełno. Mógłbyś ją wziąć, do czasu aż skończę?

Zapadła cisza na kilka długich minut, w czasie których on zaczerpnął głęboko tchu i rozważał możliwość odmowy. Czekala, aż w końcu usłyszała:

– Oczywiście, już idę.

Odłożyła nóż na deskę.

– Już dobrze, kochanie – zwróciła się do Zoe. – Tatuś weźmie cię na dwór, pobawisz się z Susan i Billym. O wiele za długo siedziałaś zamknięta w tych czterech ścianach, prawda, skarbie?

Constantine wszedł, trzaskając siatkowymi drzwiami.

– Naprawdę aż tak ci dokucza?

Mary westchnęła i odwróciła się do niego.

– O, jesteś już – powiedziała, nadając swemu głosowi śpiewny ton. – Pracuję nad dziełem swego życia i potrzebuję choć odrobinę spokoju, żeby je dokończyć. Zrozum, proszę, i bądź aniołem.

Dotknęła swoich włosów i uśmiechnęła się do niego ciepło, z lekkim zakłopotaniem. Potrafiła z takim samym zaangażowaniem demonstrować swoje przymioty, jak zając się, tak jak jeszcze przed chwilą, krojeniem ciasta.

Constantine położył dłoń na jej ramieniu i pocałował w policzek.

– Chcesz zrobić coś naprawdę trudnego, hm? – zapytał.

– Bardzo trudnego – podchwyciła z ożywieniem.

Zoe uderzała o podłogę otwartymi dłońmi.

– Może pobawiłabyś się trochę z bratem i siostrą? – Constantine zwrócił się do niej. – Co ty na to? No chodź, zaprowadzisz swoje rządy na podwórku, a mama będzie miała chwilę spokoju.

Pochylił się, by wziąć małą z podłogi. Gdy się podnosił, trzymając dziecko w ramionach, Mary poczuła jego zapach: wilgotną woń morskiej wody zmieszanej z zapachem dezodorantu i nowej wody kolońskiej, której od niedawna używał.

– Jesteś aniołem – odetchnęła z ulgą.

Constantine kołysał Zoe na rękach.

– A jak się zapowiada to twoje dzieło? – zapytał.

– Dobrze – odpowiedziała Mary. – Całkiem nieźle. – Pochyliła się nad ciastem, zasłaniając je sobą. Była zaskoczona swoją reakcją, tym, że nie chciała, by zobaczył nieudane ucho zająca, chociaż wiedziała, że i tak niczego by nie zauważył, a jeśli nawet, nie przywiązywałby do tego wagi.

– To ma być niespodzianka?

– Właśnie. Moi drodzy, idźcie teraz na zewnątrz i tam się pobawcie.

– Dobrze. Chodźmy, Zoe. Zobaczmy, co tam słychać u twojej siostry i brata. Zrobimy z nimi porządek.

Wyszedł, niosąc na rękach małą, której potężny wybuch gniewu został przynajmniej na chwilę opanowany dzięki temu, że znalazła się w ruchu. Mary odczekała, aż ze skrzypieniem zamkną się za nimi drzwi moskitiery. Potem, z wyraźną, niemal fizycznie wyczuwalną ulgą, jak gdyby w jej klatce piersiowej i brzuchu otworzyły się miniaturowe zaworki, powróciła do ciasta. Chociaż sama siebie nie uważała za prawdziwą artystkę, była pewna, że rozumie naturę artysty. Wiedziała, czym jest zaangażowanie i twórczy niepokój, niemal fizycznie odczuwalny głód czasu, niczym nie zmąconych chwil poświęconych pracy. Zdarzało się, że minęła już północ, a ona jeszcze nie spała, szyła i piekła, wycinała dynie, gałązki sosny splatała w wieńce. Wciąż brakowało czasu i nigdy nie było dość pieniędzy. Niemal każdego dnia, gdy dzieci płakały, szarpały się ze sobą albo przytulały do niej, wydawało się jej, że traci oddech, jak gdyby wraz z gwałtownym przemijaniem czasu uchodziło z niej powietrze. Czowała zawroty głowy i nawet nie próbowała opanować ziewania, zatrzymując powietrze w płucach, gdy zawiązywała sznurowadła albo kolejny raz czytała ulubioną powieść. Teraz, kiedy Constantine był na podwórzu i miał pod swoją opieką całą trójkę ich dzieci, oddychała równomiernie i spokojnie kończyła wycinanie drugiego ucha. Oba umieściła pod różnymi kątami na czubku okrągłej głowy zająca. Ciasto będzie wyglądało tak samo jak na zdjęciu w gazecie. Wycięcia napełni się lukrem.

Zapadał zmierzch. Na tylnych ścianach stojących rzędem domów układało się światło o intensywnych barwach, tak spokojne i majestatyczne, że nawet tę skromną uliczkę w Elizabeth wypełnił podniosły nastrój wyludnionego świętego miasta umarłych. Słońce z ukosa rozświetlało uporządkowane podwórka wokół domów, wydobywając wydłużone cienie z huśtawek i metalowych krzeseł ogrodowych. Ktoś włączył na werandzie lampę, która rozbliła bladożółtym światłem na tle topniejącego błękitu nieba. Trzy domy dalej ktoś inny uruchomił na trawniku zraszacz, z którego szerokim łukiem w schładzającym się powietrzu posypały się perełki wody.

Constantine tyle zdołał dotychczas osiągnąć. Od pewnego czasu pracował w innej brygadzie, co tydzień przynosił więcej pieniędzy i nawet dziwnym trafem wystarczało im na to, by mieszkać w tym domu z trzema sypialniami na piętrze i niewielkim ogrodem. Sąsiedztwo było raczej nędzne, w przeważającej większości kolorowi i Hiszpanie, ale w

chwilach takich jak ta marne sąsiedztwo mogło stanowić nieodłączną część planu zakrojonego na większą skalę, bardziej obiecującej przyszłości.

Ostatnie srebrzyste promienie słońca skryły się za budynkami papierni, lecz tylko Constantine podziwiał ten widok. Starsze rodzeństwo siedziało na ziemi, zajęte niezwykle skomplikowaną grą, którą wymyśliła Susan. Do gry potrzebna była kostka, kilka wypchanych zwierzaków i plastikowe miniaturowe hotele z gry Monopol. Billy raz po raz odrywał się od zabawy, a ona przywoływała go do porządku, energicznie okazując dezaprobatę, jak pielęgniarka. Constantine wiedział, że jeszcze chwila, a Susan, mając uzasadnione powody do zniecierpliwienia, uderzy brata, który był dzieckiem rozkojarzonym, nie potrafił dłużej się skoncentrować na żadnej czynności. Chłopiec czasem tracił poczucie rzeczywistości i z bezmyślną fascynacją obserwował owada, spadający listek albo pustą przestrzeń przed sobą. Constantine spacerował z Zoe na rękę i opowiadał jej bezsensowne historyjki. Był to jedyny znany mu sposób, by ją uspokoić, powstrzymać narastający w niej gniew. W przypiływie tęsknoty nalegał, żeby dać jej imię po jego babce. Teraz tego żałował. Mary wołała imiona typowo amerykańskie, jak Joan czy Patricia. Z czasem, gdy z wolna okazywało się, że Zoe ma mroczną duszę, którą nawiedzają nieodgadnione napady złego humoru, zastanawiał się, czy to nie on, za sprawą tak błahą jak imię, przyczynił się do tego, że jej życie będzie toczyło się torem życia wyobcowanej cudzoziemki.

Gdy słońce skryło się za horyzontem, zabrał dzieci do domu, zanim niezgoda między nimi przekształciłaby się w prawdziwą awanturę. Zoe była ciągle rozdrażniona, ale jeszcze nie zatraciła się w skrajnej rozpacz. Gdyby udało mu się zapanować nad dziećmi w domu, znów znalazłby się w zasięgu wpływów Mary, jej bardziej kojących pocieszeń i silniejszej kontroli.

– Chodźcie już, robi się ciemno – powiedział do Susan i Billy’ego.

Nie uległ ich prośbom o pięć minut zwłoki. Pomógł im pozbierać miniaturowe hotele, przystając na to, by dokończyli grę w pokoju gościnnym. Gdy dzieci wbiegły tylnymi drzwiami do kuchni, Mary podniosła wzrok znad blatu, zdumiona i zirytowana. Była w trakcie lukrowania ciasta.

– Już jesteście z powrotem? – zapytała.

– Słońce zaszło – odpowiedział. – Robi się dla nich za zimno.

Skinęła głową, ziewnęła i powróciła do przerwanej czynności. Constantine poszedł do pokoju gościnnego za Susan i Billym, posadził Zoe na podłodze, a ona niemal w tej samej chwili zaczęła płakać. Pomógł starszym dzieciom ustawić hotele na właściwych miejscach na zielonym puszystym dywanie, gdzie znowu zaczęli swoje przepychanki.

– Nie możemy tutaj grać – protestowała Susan.

– Mnie się ta gra wcale nie podoba – oznajmił Billy.

– Proszę się bawić i koniec – nakazał Constantine. – Bez żadnych awantur. Kolacja będzie za kilka minut.

Znów wziął Zoe na rękę. Przekonywał ją, że wszystko jest w najlepszym porządku, mówił, że jest małą dziewczynką, aniołkiem zesłanym z nieba, ale ona nie przestawała płakać. Poszedł więc z nią do kuchni.

– Daleko do kolacji? – zapytał

– Do kolacji? – zdziwiła się Mary. – Prawda, jest już po szóstej!

– Za piętnaście siódma. Dzieci zaczynają marudzić.

Znowu ziewnęła, wspierając się na kuchennym blacie, jak gdyby linoleum usuwało się jej spod nóg. Przed nią stało ciasto w kształcie zająca, pokryte białym lukrem imitującym futerko.

– Ładne – pochwalił, kołyszając w ramionach zapłakaną córeczkę. – Spójrz, Zoe, zobacz, skarbie, zajączek.

Mary wygładziła lukier łopatką i spojrzała chłodno na Constantine'a. Znowu popełnił jakiś trudny do sprecyzowania błąd.

– Dzieci są głodne.

– W zamrażalniku mamy paluszki rybne i frytki – powiedziała. – Może byś mi trochę pomógł. Wyjmij je, proszę, i włącz piekarnik. Jutro jest Wielkanoc, Constantine – dodała, wyrównując gładką już powierzchnię ciasta. – Zaprosiłam całą swoją rodzinę. Mam pełne ręce roboty.

Constantine poczerwieniał. Nie, nie będzie wszczynął awantury. Skoncentruje się na miłości i możliwościach, niewielkich sukcesach, takich jak bliskie doskonałości ciasta. Kołysał Zoe i między kolejnymi przypływami jej rozpacz szeptął bezsensowne słowa. Nie wdając się w dyskusję z Mary, włączył piekarnik, wyjął z zamrażalnika kolorowe paczuski z mrożonkami i delikatnie, jakby miały się połamać, położył je na blacie. Później, gdy dzieci już zjadły i znalazły się w łóżkach, przy stole w jadalni pomagał żonie przygotowywać wielkanocne koszyczki. Były splecione z rafii, różowej i w kolorze lawendy. Wypełniał je zielonymi wiórkami z tworzywa sztucznego, a Mary wkładała do nich cukierki i małe zabawki.

– Muszę jeszcze wykończyć sukienkę dla małej – powiedziała. – No i trzeba pochować jajka na jutrzejsze podchody z pisankami.

– Tak – powiedział. – Oczywiście.

– Wszystko jest takie drogie – westchnęła. – Aż trudno uwierzyć, że tyle to kosztuje.

Constantine przełknął ślinę i włożył wiórki do koszyczka. Dlaczego Mary nie potrafi zrozumieć kwestii pieniędzy? Wyszła do kuchni i wróciła, niosąc biszkoptowego zająca, którego postawiła pośrodku stołu w jadalni. Przyglądała się swemu dziełu krytycznie, z lekko przechyloną głową. Zając miał oczy z żelków, czarny galaretkowy nos w kształcie fasolki i lukrecyjne wąsy. Constantine poczuł, jak na widok ciasta wilgotnieją mu oczy. Było fantastyczne. Z powodzeniem mogło pochodzić z jednej z cukierni w śródmieściu – eleganckich, białych, wyłożonych lśniąco kafelkami – gdzie wykwinne wyroby eksponowano na srebrnych tacach, a ukryte kominy wydychały zapachy esencjonalne i słodkie jak nadzieja.

– Powinam była powiedzieć, żeby Joey i Eleanor coś przygotowali – stwierdziła. – Wcale niewiele gorzej im się powodzi niż nam. Con, wyłóż najpierw dno koszyczków kawałkami gazety, żeby te wiórki nie wyglądały tak skromnie.

– Dobrze.

Mary westchnęła, powoli wypuszczając powietrze, czemu towarzyszył cichy, chrapliwy odgłos, zadziwiająco starczy jak na dwudziestosekstoletnią kobietę.

– To jest przecież Wielkanoc – powiedziała z naciskiem.

Kilka razy kiwnął głową. Amerykańska Wielkanoc. Grecka wypada dopiero za trzy tygodnie, ale dobrze wiedział, że Mary nie byłaby zadowolona, gdyby o tym wspomniał. Przy każdej sposobności powtarzała: Jesteśmy Amerykanami, Con. A-me-ry-ka-na-mi. Jej matka, która przebyła drogę z Palermo do New Jersey, żeby jej dzieci mogły przyjść na świat jako obywatele Stanów Zjednoczonych, w ogrodzie przed domem wywieszała amerykańską flagę obok stojącej tam gipsowej figurki głęboko zatroskanej Madonny.

– Jestem taka zmęczona – narzekała Mary. – Przez te święta. Powinniśmy mieć trochę odpoczynku i rozrywki, a ja czuję się kompletnie wyczerpana.

– Za ciężko pracujesz – powiedział. – Nie powinnaś brać sobie tylu spraw na głowę.

– Ale przecież to wszystko ktoś musi zrobić.

Koszyczki były już prawie gotowe, gdy w drzwiach jadalni, mrużąc zaspane oczy, stanął Billy w swojej kowbojskiej pizamie. Mary uparła się, żeby mu ją kupić w Macy, bez względu na cenę. Gdy Mary go zauważyła, na jej ustach pojawił się niepewny uśmiech, a w oczach

cień przerażenia. Było już za późno, żeby schować koszyczki. Constantine usłyszał, jak żona, tłumiąc złość, nabiera głęboko w płuca powietrza.

– Co się stało, kochanie? – zapytała.

– Co robicie? – Billy odpowiedział pytaniem.

– Nic takiego, skarbie – zbagatelizowała je Mary. Podeszła do syna i uklękła tuż przy nim, zasłaniając mu widok. – Tak sobie siedzimy. No, co się stało? Miałeś zły sen?

Billy próbował wyjrzeć zza matki. Constantine poczuł, jak gniew narasta mu w gardle.

– Wracaj do łóżka – powiedział.

– A co tam stoi? – Billy nie dawał za wygraną. – Czy to są nasze wielkanocne koszyczki?

Constantine całą siłą woli próbował zapanować nad sobą. To jest mój mały synek, powtarzał sobie, mój chłopczyk jest ciekawskim dzieckiem. Lecz jednocześnie inny głos, obcy, nie jego, podszeptował mu zupełnie inne argumenty, zwracając uwagę na nienaturalną wątrość syna i wyraźnie rysujące się skłonności do mazgajstwa, na to, że mały zepsuł niespodziankę, którą przygotowała Mary. Te nowe zwyczaje – odwiedziny Świętych Mikołajów z brodami, wróżek i zajaczków – były ważne i jeszcze nieugruntowane. Trzeba je było pieczołowicie pielęgnować.

– Nie, skarbie – odpowiedziała Mary z wymuszonym ożywieniem. – Wyobraź sobie, że wielkanocny zajaczek był tutaj, ale zapomniał kilku rzeczy. Dzisiaj wieczorem jest bardzo zajęty. Te koszyczki zostawił pod naszą opieką i wyraźnie zaznaczył, że do jego powrotu w żadnym razie nie wolno nam ich nikomu pokazać.

– Chcę je zobaczyć – upierał się Billy, a Constantine czuł coraz silniejsze wzburzenie. To był jego jedyny syn. W wieku pięciu lat miał chudziutką szyję i piskliwy, błagalny głosik.

– Marsz do łóżka – stanowczo nakazał Constantine.

Billy spojrział na ojca ze strachem, ale też z wyraźną zuchwałością w oczach.

– Chcę je zobaczyć – powtórzył z naciskiem, jak gdyby do rodziców nie dotarło tak proste i logiczne żądanie.

Constantine wstał. Na widok przerażenia, które pojawiło się na twarzy Billy'ego, poczuł jeszcze silniejszy ucisk gniewu w gardle. Mary położyła dłonie na szczupłych ramionach chłopca, mówiąc:

– Daj spokój, kochanie. To jest tylko sen, którego rano nawet nie będziesz pamiętał.

– Niiieeee! – krzyknął rozpaczliwie Billy.

Niemal w tej samej chwili Constantine znalazł się przy nim. Podniósł go, zaskoczony niewielkim ciężarem chłopca. Mały był chudy jak patyk, sama skóra i kości.

– Do łóżka – powiedział ostro. Może zdołałby stłumić gniew, gdyby Billy dalej się stawiał, ale ten rozplakał się i zanim Constantine zdążył się dobrze zastanowić, potrząsał nim i wykrzykiwał: – Cicho bądź! Natychmiast przestań wyc i wynos się do łóżka.

– Con, uspokój się – wtrąciła się Mary. – Zostaw go. Pozwól, że ja się nim zajmę.

Jej głos był daleki. Constantine dał się ponieść gwałtownej wściekłości i trząśił Billym, aż zobaczył, że twarz chłopca, którą dotychczas widział wyraźnie, wykrzywił grymas bólu i straciła ostrość rysów.

– O Boże – lamentowała Mary. – Con, przestań. Proszę.

– Do łóżka! – ryczał Constantine. Brutalnie postawił syna z powrotem na podłodze, a Billy osunął się bezwładnie, jak gdyby w jednej chwili złamały mu się kości. Mary ruszyła w stronę chłopca, ale Constantine zastąpił jej drogę. Podniósł małego i podtrzymując go w pozycji pionowej, popchnął w stronę schodów. – Wynocha! – krzyknął i wymierzył synowi klapsa na tyle mocnego, że Billy siłą rozpędu przebiegł kilka kroków, po czym potknął się i upadł w połowie drogi do salonu, zanosząc się płaczem i z trudem chwytając oddech.

Constantine uderzył biodrem o stół i jedno z jajek pomalowanych przez Mary, jasnoniebieskie, potoczyło się po lakierowanym blacie drewnianego stołu. Mary zastygła w

bezruchu. Zobaczył, jak jej twarz pociemniała. Podbiegła do Billy'ego i zasłoniła go własnym ciałem. Jajko zatrzymało się na krótką chwilę na krawędzi stołu, a potem spadło.

– Przystań – Mary próbowała go powstrzymać. – Och, proszę. Daj mu spokój.

Constantine miotał się w pasji, niczym pobladły z gniewu bóg siejący zniszczenie. W przypiływie złości jednym ruchem zmiotł ze stołu przygotowane koszyczki. Zelki w kształcie fasoli rozprysły się we wszystkie strony, uderzając o ściany jak grad kamyków. Czekoladowe baranki rozpadły się na kawałki na podłodze, plastikowe jajeczka pootwierały się z trzaskiem i drobne niespodzianki, pochowane tam wcześniej przez Mary, rozsypały się dookoła. Rozjuszony, zamierzył się pięścią na ciasto, na biszkoptowego zajaca. Uniósł ją na pozbawioną wyrazu mordkę z żelków i lukrecji, ze sterczącymi zawadiacko uszami. I nagle zastygł z uniesioną ręką. Mógł uderzyć pięścią w sam środek wypukłego, pokrytego puszystym białym lukrem ciasta. Mógł wyrwać z niego pełną garść pulchnej masy i wepchnąć sobie do ust. Mógł zjeść to ciasto, brudząc lukrem całą twarz i przód koszuli, rozplakać się i z pełnymi ustami błagać o przebaczenie. Opuścił jednak powoli rękę i przez chwilę patrzył na ciasto. Podszedł do żony i syna i przyklęknął przy nich.

– Nie dotykaj mnie – wykrztusiła Mary, szlochając. – Och, zostaw nas w spokoju.

Pozbierał koszyczki i ustawiał je delikatnie na stole. Z powrotem włożył do nich wiórki i jajka owinięte w aluminiową folię.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała zduszonym głosem Mary.

– Nie wiem – powiedział. – Nie wiem.

– W jednej chwili wszystko jest w porządku, a w następnej wstępuje w ciebie...

Położył na wiórkach czekoladowe jajko, a potem znów zbliżył się do żony i syna. Billy wtulił się w ramiona Mary. Constantine ostrożnie położył dłoń na karku syna. Zegar w holu miarowo odmierzał czas.

– Proszę – powiedział, właściwie nie bardzo wiedząc, o co prosi. – Będę nad sobą pracował – dodał. – Wszystko może się zmienić. – Drugą dłonią dotknął jej ramienia. Nie okazała mu życzliwości, ale też nie cofnęła się. – Zrobię dla ciebie, co tylko zechcesz – zapewnił ją.

Kiedy nie odpowiadała, podniósł się niepewnie, aby pozbierać resztę słodczy. Z powrotem umieścił kurczaczki pomiędzy żdźbłami wiórków, a małe niespodzianki powkładał do jajek.

– Doskonałe – zachwycił się brat Mary, Joey, poklepując się otwartą dłonią po brzuchu, który wydał stłumiony odgłos.

Mary pomyślała o ciele Joeya, gęsto owłosionym, o przetaczających się w nim kwaśnych płynach ustrojowych. Przeniosła wzrok na Eleonor, jego żonę.

– Miło mi to słyszeć – odpowiedziała Mary. – Zawsze dbamy o to, żeby nasi goście byli zadowoleni.

Dołożyła talerz Joeya do stosu, który trzymała, i szybkim spojrzeniem ogarnęła resztki pozostałe po obiedzie. Można uznać, że potrawy wypadły zupełnie dobrze, chociaż szkoda, że szparagi były łykowate. Niezbyt udane okazały się żółte serwetki, które w sklepie, jak się wydawało, miały jasny i żywy kolor, a na stole wyglądały blado, miały szpitalny, bezbarwny odcień. Poczowała skurcz w płucach, ziewnęła, próbując głęboko wciągnąć powietrze.

– Zmęczona? – zapytała jej matka. – Bardzo się napracowałaś przy tym obiedzie, prawda?

– Nawet nie tak bardzo – powiedziała Mary trochę rozdrażniona. Twarz jej poczerwieniała, jak gdyby przyłapano ją na niestosownym egoistycznym wybryku. – Nie, nie jestem zmęczona. To tylko przez te święta. Zresztą sama wiesz.

– Wiem – odpowiedziała matka.

Ojciec Mary siedział obok matki pogrążony jak zwykle w głębokim milczeniu. Zona Eddiego, Sophia, wstała, by pomóc Mary posprzątać ze stołu. Wzięła talerz od Constantina, a on uśmiechnął się z chłodną uprzejmością cudzoziemskiego księcia. Przez cały czas obiadu

miał się na baczności, był w dobrym nastroju, kilka razy nawet roześmiał się przed końcem kawału. Miał na sobie granatową marynarkę i krawat w paski, który Mary podarowała mu na urodziny.

– Wszystko było doskonałe, kochanie – pochwalił. – Wyśmienite.

Uśmiechnęła się i usilnie starała się odetchnąć pełną piersią.

– Dziękuję, kochanie – powiedziała.

W salonie Billy i Susan bawili się z synami Joeya i Eleonor.

– Więc daj to tutaj – usłyszała głos jednego z dzieci. To był Chuck, starszy syn jej brata. Rozmyślając o małych niepowodzeniach związanych z obiadem, nadśluchiwała, czy odezwie się Billy.

– Nie – dobiegł ją głos Susan. – Nie dawaj mu, bo on to zje.

– Dzieci? – zawołała Mary. – Czy u was wszystko w porządku?

Zapadła cisza.

– Billy? Słyszysz mnie?

Natychmiast pojawił się w drzwiach, purpurowy na twarzy.

– Chuck chce mi zabrać mojego wielkanocnego kurczaczka – poskarżył się.

Mary spojrzała na Eleonor.

– Chuck, co ty tam robisz? – zapytała Eleonor.

– Nic – odpowiedział z irytacją Chuck. – Bawię się.

Billy patrzył w podłogę, jakby w dywanie tkwił jakiś zagadkowy przedmiot.

– On wziął mojego baranka do ust – powiedział.

– Możesz się przecież podzielić ze swoim kuzynem? – Mary próbowała załagodzić spór.

– Chuck – interweniowała Eleonor – czy na pewno zachowujesz się jak należy?

– Tak, mam – odpowiedział.

Billy oderwał wzrok od dywanu i spojrzał na matkę z nadzieją i niepokojem. Miał na sobie krótką, obcisłą żółtą marynarkę, na którą Mary skrzętnie odkładała pieniądze, i muszkę z materiału w tureckie wzory.

– Podejdz do mnie, kochanie – powiedziała głośniejszym głosem, niż zamierzała. – Chcę, byś mi pomógł przy deserze.

Podbiegł do niej drobnym kroczeniem.

– Chciał go zjeść – dodał.

– Powinieneś się dzielić tym, co masz – pouczyła go Mary. – Chodź, pomożesz mi wyjąć lody. – Dotknęła jego włosów. Dał się słyszeć cichy trzask iskry elektrostatycznej, delikatny przejaw jego istnienia.

– Mary, strasznie rozpieszczasz tego dzieciaka – zauważył Joey.

Wzruszyła ramionami. Nie zapomniała, żeby się uśmiechnąć.

– Bill, właściwie dlaczego nie wrócisz do pokoju i nie powiesz Chuckowi, co mu zrobisz, jeśli zje twoje słodycze? – zwrócił się do chłopca Eddie, młodszy brat Mary.

Billy'emu łzy napłynęły do oczu. Constantine uśmiechnął się, a Mary trzymała rękę na głowie syna. Zmagała się ze sobą, starając się stłumić przemożną chęć zaciśnięcia palców i szarpnięcia go za włosy.

– Potrzebuję jego pomocy – wyjaśniła stanowczym głosem Eddiemu. – Chodź, skarbie. Mamy do nakarmienia całą armię łakomczuchów.

Zabrała chłopca do kuchni, gdzie Sophia napuszczała wodę do zmywania naczyń.

– Och, zostaw to wszystko – powiedziała Mary.

Sophia i Eddie od lat starali się o dzieci. Sophia była postawną kobietą o łagodnym usposobieniu, która pogodziła się już ze swoją porażką i podchodziła do życia ze szczerym optymizmem. Dzieci rosły w jej łonie do pewnego momentu, a potem się rozplęwały.

– Pomyślałam, że zacznę już coś sprzątać – powiedziała Sophia.

– Wiesz, co mogłabyś zrobić? – zaproponowała Mary. – Mogłabyś wyjąć deserowe widelczyki i talerze. Są tam, widzisz?

– Tak. Oczywiście. Już się do tego zabieram.

Mary weszła do spiżarni po ciasto. Billy podążył za nią. Gumowe podeszwy jego małych, czarnych bucików w zetknięciu z podłogą wydawały charakterystyczny, skrzypiący dźwięk. Poczowała ukłucie w sercu.

– Oto jest – powiedziała. – Moje arcydzieło.

– Mamo. Jestem zmęczony – marudził Billy.

– Wiem, kochanie. – Podniosła paterę z ciastem. Miała wrażenie, że na klatce piersiowej zaciska się jej żelazna obręcz.

– Nienawidzę Chucka – wyrzucił z siebie Billy.

– Oni wszyscy niedługo sobie pójda – pocieszała go Mary.

W spojrzeniu Billy’ego, które odebrała jak uderzenie pięścią w brzuch, malowało się przerażenie. Stała pośrodku kuchni, trzymając przed sobą ciasto. Polewa lukrowa była nieskazitelnie biała jak świeży śnieg. Czowała wirujący chaos tego świata, czyhające zewsząd niebezpieczeństwa i chciała odpowiedzieć swojemu synowi: Ja też jestem zmęczona. Ja też nie cierpię Chucka. Chciała dać ciasto wyłącznie Billy’emu, a jednocześnie zapragnęła schować je w miejscu dla niego niedostępnym.

– Kiedy on sobie pójdzie? – zapytał Billy.

– Niedługo, kochanie. Jak tylko zjemy ciasto. No, chodźmy już.

Skierowała się z ciastem do jadalni. Billy podążył za nią.

– A teraz... – zawiesiła głos, wnosząc triumfalnie paterę.

– Patrzcie i podziwiajcie – powiedział Constantine. – Moja żona mogłaby być mistrzem cukiernictwa.

Mary postawiła swoje dzieło na środku stołu i ze skromną miną przyjmowała należne jej pochwały. Ciasto rzeczywiście prezentowało się wspaniale. Nieostrożne draśnięcie nożem przy wykrawaniu jednego ucha było całkowicie niezauważalne. Susan, Chuck i Al usadowili się z powrotem przy stole.

– No, to zaczynamy – powiedziała Mary, biorąc do ręki nóż. Ciasto w kształcie zająca miało figlarny wygląd, idealny, by wywołać miłe zaskoczenie gości. Zdziałała cuda za pomocą żelków i lukrecji. Powietrze wokół niej stało się gęste, wypełniło się pojedynczymi iskierkami szczęścia. U jej stóp przykucnął Billy.

– Daj wreszcie spróbować – ponaglał Joey. – Czekamy. Już nam ślinka cieknie.

– Mary? – powiedział Constantine. – Mary?

– Tak? Och, przepraszam. – Uniosła nóż i uśmiechając się, zagłębiła go w cieście.

Billy i Kate byli zajęci grą, gdy dały się słyszeć czyjeś głosy. Kate rzuciła kostką do gry, ale straciła kolejkę, ponieważ jej chłopak spóźnił się po nią. Była tęga, miała spokojne usposobienie i na ogół niczym się nie przejmowała. Zależało jej tylko na tym, żeby wygrać. Teraz Billy rzucił kostką i wypadło, że ma pójść do samochodu ojca i przypiąć w nim frędzelki. Siedzieli w jego pokoju i wyglądało na to, że nic im tu nie grozi.

Po chwili głos ojca, wibrujący od wzbierającego gniewu, wcisnął się do pokoju szparą między drzwiami a podłogą.

– Jak myślisz, Mary, skąd się biorą pieniądze? Czy sądzisz, że znam tajemne miejsce, w którym one rosną? Otóż nie. Nie znam takiego miejsca.

– On ją zamorduje – powiedziała Kate, przechylając się nad planszą do gry.

– Nie, nie zamorduje – uspokajał ją Billy.

– Constantine, pieniądze się skończyły – odpowiedziała matka Billy’ego ze złością, siląc się na cierpliwość. – Zostały wydane. Odsuń się, dobrze? Jestem zajęta.

Billy słyszał, jak matka sprząta w kuchni. Rączka od mopa raz po raz uderzała o szafki kuchenne, uporczywie, jak koń wierzgający kopytami o ściankę boksu.

– Jeśli pewnego dnia wrócisz ze szkoły i nie zastaniesz jej w domu, zadzwoń na policję i powiedz im, żeby zajrzeli do zamrażarki – poradziła Kate. – Sam nie sprawdzaj. Oszalejesz, jeśli zobaczysz w środku swoją matkę.

– Zamknij się – uciął Billy.

Kate stosowała system skomplikowanych, ciągle zmieniających się zasad. Była o rok starsza od Billy’ego, który uważał ją za najlepszą przyjaciółkę. Miała pięciu braci, z których każdy nieustannie popadał w tarapaty. Nic sobie nie robiła z awantur.

– Tak to ma wyglądać, tak? – krzyczał ojciec Billy’ego. – A więc tak to działa. Ty wydajesz pieniądze, nic mi o tym nie mówisz, a potem oświadczasz: „Pieniądze zostały wydane”. Taki tu obowiązuje system.

– A czego ty chcesz, Con? Mam wypełniać wnioski o dofinansowanie? Chciałbyś, żebym za każdym razem, gdy jedno z dzieci potrzebuje majtek czy podkoszulka, prosiła cię o zgodę na zakup?

– Możesz im kupować tyle bielizny, ile ci się żywnie podoba. Rozmawiamy teraz o cholernej wypchanej małpie, która kosztuje dziewięć dolarów i pięćdziesiąt centów. Mam rację? Czy może coś mi się pomyliło?

– Oczywiście, że masz rację. Zawsze masz rację.

Małpa z szelmowską miną siedziała na łóżku Billy’ego, patrząc prosto przed siebie błyszczącymi czarnymi oczkami, z wyrazem starczego zakłopotania na pyszczku. Jej sierść była gęstą płataniną puszystych loków w czekoladowym kolorze. Będąc z matką w sklepie, Billy tylko spojrział na tę małpę, a matka, nawet nie pytając go o zdanie, kupiła zabawkę, jak gdyby instynktownie czuła siłę wzbierającego w nim pragnienia. Sam nie był do końca pewien, czy chce mieć tego zwierzaka. Wolał raczej dostać lalkę Barbie, taką, jaką miała Susan, ale matka życzyła sobie, by chciał tę wypchaną małpę, więc podporządkował się jej woli. Teraz był już właścicielem małpy.

– Widok nieżywej matki pozostaje w pamięci na zawsze, to jedyna rzecz, po której nigdy nie można się całkowicie otrząsnąć. Jeśli zobaczysz swoją matkę martwą, nie ma mocnych, wariujesz, i nikt nie może ci pomóc.

Rzuciła kostką, wygrała randkę z Bobem, swoim ulubieńcem. Billy wolał Kena i Poindextera, mimo że z Poindexterem podobno nikt się nie chce umawiać. Chłopcu podobał

się, widniejący na karcie, łagodny wyraz twarzy Poindextera, jego pomarańczowe włosy i małe łagodne oczy.

– Świetnie, Bob! – krzyknęła Kate.

– Ciii – próbował ją uciszyć Billy. Kiedy ojciec był w domu, on powinien raczej grać w coś innego.

– Kocham cię, Bob! – krzyknęła Kate. Pocałowała kartę, na której widniała twarz jej ukochanego.

– Cicho bądź – uspokajał ją Billy.

– Mm-mm, mój Bob – wykrzykiwała Kate. Wysunęła spiczasty różowy koniuszek języka i polizała kartę.

Billy rzucił w nią kostką do gry. Odrzuciła ją, na tyle energicznie, by uderzenie mogło zboleć, chociaż właściwie nie zrobiła tego specjalnie. Powiedział jej, że jest tak gruba, że Bob, żeby ją zabrać na bal na zakończenie roku szkolnego, będzie musiał zaangażować całą swoją rodzinę. Wyszła, zanosząc się płaczem, a Billy zamknął się w swoim pokoju na resztę popołudnia, po tym jak kłótnia na dole ucichła i jak Kate zadzwoniła jeszcze z domu, by mu powiedzieć, że jej tusza z wiekiem minie, ale on pozostanie głupi na zawsze.

Billy leżał na łóżku, przeglądając komiks, kiedy matka zawołała go na obiad. To był stary komiks – jeden z tych, które dostał od matki – historyjka o kotce zakochanej w myszy, która pogardzała swoją wielbicieleką. Im więcej cegieł rzuconych przez mysz spadało na głowę kotki, ta tym bardziej była zakochana, aż wreszcie jej głowa zniknęła w kręgu wirujących serduszek i wykrzykników, które miały symbolizować oddanie i odniesione obrażenia. Billy tak bardzo lubił ten komiks, że uprosił matkę, by pozwoliła mu go zatrzymać. Tę historyjkę, o kotce z wielkim nosem owładniętej miłością do złośliwej myszy o patykowatych łapkach, przeglądał prawie codziennie. Matka czytała mu podpisy, aż nauczył się ich na pamięć. „Ignatz, mój kochaniutki. Ja kochać cię tysiąc razy. Mrrrr...” Widok obrazków wprowadzał go w stan ekscytacji, wywoływał poruszenie w piersiach. Nie zdarzyło się jeszcze, by miał dosyć oglądania, jak kotka i mysz pokonują tę samą drogę cierpienia, jak rozwija się czyste, bezgraniczne uczucie.

Zszedł na obiad i zajął swoje zwykłe miejsce przy stole. Obserwował uważnie wszystko, dokładając starań, by nie umknął mu żaden szczegół. Ojciec nic nie mówił. Jadł z nietypowym dla siebie grymasem niechęci na twarzy. Odkrawał każdy kęs z krawiecką precyzją i od czasu do czasu, przy kolejnym kawałku mięsa, wydawał z siebie cichy jęk, jak gdyby ostrze noża zagłębiało się w jego własne ciało. Billy spojrzał na dłonie ojca. Były czerwone i żyłaste, wystarczająco duże, by zamknęła się w nich głowa syna. Przypomniał sobie, że nie powinien tak się wpatrywać. Skoncentrował więc uwagę na pozostałych, mniej groźnych uczestnikach obiadu. Zoe bawiła się łyżką, która na przemian rozbłyskiwała i przygasiała w świetle lampy. Susan siedziała naprzeciwko niego. Billy dobrze wiedział, że jej obojętny wyraz twarzy i nienaganne zachowanie są tylko powierzchowne, w rzeczywistości cała uwaga jest skupiona na tym, aby żadna potrawa na jej talerzu nie stykała się z inną.

Matka jadła z chłodną precyzją. Jedzenie było dla niej czynnością wymagającą metodyczności i dokładności. W trakcie posiłku snuła barwne opowieści. Każdy temat był dobry. Do niej należało robienie zakupów i przyrządzanie potraw, a także obserwacja otaczającego świata i dzielenie się wrażeniami z rodziną.

– Weszłam dzisiaj do Widermana – zaczęła – żeby kupić kilka drobiazgów, i co widzę? Całą jedną półkę zastawioną radiami tranzystorowymi i wielki napis: „Okazja, trzy dziewięćdziesiąt dziewięć”. Nie wierzyłam własnym oczom. Pomyślałam, że coś musi być z tymi radiami nie w porządku, zapytałam więc Jewel, tę, której syn zginął w Pearl Harbor. W każdym razie zapytałam: „Jewel, co jest nie tak z tymi radiami? A ona na to: „Mary, rozumiem, o co ci chodzi, ale wierz mi, im absolutnie niczego nie brakuje. To są japońskie radia”. Wygląda na to, że Japończycy muszą pracować praktycznie za grosze, skoro te radia

kosztują niewiele więcej niż części, z których się składają, plus transport. Czy można wygrać z czymś takim? Wyprodukowali je ci, którzy zabili jedyne go syna Jewel, a teraz ona stoi w tym sklepie i sprzedaje ich radia po cenach, którym nie jest w stanie dorównać żadna amerykańska firma. Miałam wrażenie, że Jewel w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Dla niej to są po prostu tanie radia, ale ja jej powiedziałam, że wolałabym kupić amerykańskie radio, nawet gdyby miało kosztować cztery razy tyle. I wiecie, co ona zrobiła? Spojrzała na mnie jak na wariatkę. Ta biedna kobieta, która zmarnowała sobie nogi, pracując u Widermanna przez dwadzieścia lat, i której Japończycy zabili jedyne go syna, nie widzi nic niewłaściwego w tym, że ludzie kupują te radia. Jestem ciekawa, czy ona rzeczywiście rozumie pewne rzeczy. Zaczynam podejrzewać, że jest lekko stuknięta. Jak się zdaje, można postradać zmysły i jednocześnie wciąż wykonywać swoje codzienne obowiązki, to znaczy chodzi mi o to, że nie każdy wariat musi skończyć w kaftanie bezpieczeństwa. Tak jak na przykład wczoraj rano, kiedy byłam na rynku...

Matka wprawiała Billy'ego w zdumienie. Jej inwencja była niewyczerpana. Każdy temat przechodził gładko w następny. Nieodłączną częścią życia rodziny Billy'ego były nieustające monologi matki, zupełnie tak, jakby mieli przenośne radio włączone od świtu do nocy, które nadaje wiadomości, muzykę, słuchowiska poważne i rozrywkowe. Była fascynująca z powodu tak szerokiego wachlarza zainteresowań. Martwiła się zarówno zagładą narodów, jak i wróblem dogorywającym w śmiertelnych drgawkach za szybą panoramicznego okna.

– No więc, cóż złego jest w tanim radiu? – zapytał ojciec, kładąc nóż na talerzu.

Ale matka mówiła już o czymś innym i to pytanie wyraźnie ją zaskoczyło.

– Słucham? – zdziwiła się.

– Mówię o tanim radiu. Radiu, które kosztuje trzy dziewięćdziesiąt dziewięć. Gdzie tu widzisz problem? Kogo obchodzi, skąd ono jest?

– Con. Japończycy...

– Słyszałem o Japończykach. Sądzisz, że nic o nich nie wiem? – Wycelował w nią swój widelce. – Wojna się skończyła, tak? Skończyła. Mogłabyś jeszcze dzisiaj wsiąść do samolotu i polecieć do Japonii. Mogłabyś spędzić tam wakacje. Ale ty – potrząsnął widelcem w jej kierunku – ty wolałabyś zapłacić cztery razy tyle za radio, tylko dlatego że zostało zrobione przez jakiegoś obcego człowieka w Filadelfii.

– Con – powiedziała. – Nie mam zamiaru kupować radia. Nikt tu nie mówi o kupowaniu żadnego radia.

– Jasne. Tylko zabawki, na które lekką ręką wyrzucasz dziesięciodolarowy banknot.

– Con...

– Właśnie takie podejście wpędza nas w kłopoty. – Spojrzał na Billy'ego i Susan. – Przez takie rozumowanie ciągle jesteśmy bez grosza. Płacimy trzy razy więcej, ponieważ nie lubimy tych, którzy to czy tamto produkują tanio. Jesteśmy przecież Ame-ryka-nami. Nie chcemy japońskiego radia. Chcemy droższe amerykańskie. Ale zabawki... Proszę bardzo. Chcemy niemieckie wypchane mały. Chcemy też włoskie buty, które kosztują pięć razy tyle co amerykańskie. Mniejsza z Hitlerem i Mussolinim. Coś wam powiem – mierzył teraz widelcem w Billy'ego – waszymi wrogami nie są Japończycy. Są nimi ci, którzy każą wam przepłacać. To tyle. W zupełności wystarczy tej wiedzy na temat przyjaciół i wrogów.

– Jasne – powiedziała matka, tak cicho, że ledwie ją było słychać. – Ładnych rzeczy ich uczysz. Taaak, doskonale.

Zniżyła głos do ledwie słyszalnego szmeru. Kiedy mówiła w ten sposób, wydawało się, że zwraca się do kogoś, kto mieszka w jej wnętrzu, do niewidzialnego przyjaciela, który podziela jej przekonanie, że świat jest wspianiały i szeroki, ale ostatecznie życie na tym świecie jest zbyt wyczerpujące.

Po obiedzie Billy kręcił się w pewnej odległości od ojca. Nie odważył się podejść zbyt blisko. Ojciec siedział w swoim fotelu i oglądał telewizję. Billy bawił się zwierzątkami

gospodarskimi przy przeciwległym skraju dywanu. Zatopił się w tej nie istniejącej krainie, która tętni życiem wokół każdego przedmiotu. Wewnątrz plastikowej zagrody ustawił rzędem świnki, jedną przy drugiej, a potem wprowadził jeszcze konika o rdzawej sierści, który jednak nie chciał stać prosto na swoich plastikowych kopytach.

W kuchni matka dzwoniła talerzami i szklankami, ustawiając je na suszarce. Ścierka w jej ręce wydawała skrzypiące odgłosy, które najlepiej świadczyły o panującej wokół czystości. W drodze przez życie towarzyszył jej nieskazitelny porządek, natomiast ojciec wszędzie pozostawiał dowody swego niechlujstwa. W każdym miejscu, w którym się znalazł, można było potem natknąć się na jego włosy, wiórki tytoniu, zwinięte skarpety o gryzącym zapachu potu. W upalne dni rozbierał się do slipek, odsłaniając masywne, gęsto owłosione ciało i odciskał zarys spoconej sylwetki w formie mokrej plamy na obiciach mebli. Chociaż matka Billy'ego przecierała na mokro, odkurzała i niemal zeskrobywała skórę z mebli szmatką, nie mogła usunąć wszechobecnych śladów ojca. Plastikowy konik ciągle się przewracał. Nie chciał stać, chociaż Billy uparcie próbował go do tego zmusić. Jeśli tylko jeszcze bardziej się postara, jeśli nie zrezygnuje, konik podda się wreszcie jego woli i stanie prosto. Zginał i zginał nogi konika, aż jedna odłamała się na wysokości kolana z suchym trzaskiem. Patrząc z niedowierzaniem, trzymał kawałek nogi w jednej ręce, a kulawego konika w drugiej. Noga była cienka i zginała się w stawie, a kopyto od jej pozostałej części oddzielała nierówna spoina.

Odłożył nogę, delikatnie, jak gdyby mogła odczuwać ból. Nie wypuszczając z ręki trójnogiego konika, podszedł do fotela ojca i czekał zdenerwowany, aż ojciec spojrzy na niego.

– Taaak? – usłyszał w końcu.

Billy nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Zarys złożonej struktury kolan ojca wyraźnie zaznaczał się na wiotkiej tkaninie wyjściowych spodni. Na górnej części jego ud, masywnych jak kadłub łodzi, rozlewało się światło, a ich dolna część była wtopiona w ciemne zagłębienie zielonego fotela. Billy stał w obrębie ciepła i zapachu ojca, wdychając kwaśne cząsteczki potu, drobinki tytoniu i przebijającą się przez nie słodkawą woń płynu po goleniu.

– O co chodzi? – zapytał ojciec.

Billy wzruszył ramionami, na co ojciec zareagował gniewnym zmarszczeniem brwi.

– No, mów – ponaglał syna.

– Muszę mieć nowego konika – wydusił wreszcie Billy.

– Co takiego?

– Ten konik jest popsuty. – Billy zdziwił się, słysząc płaczliwą nutę w swoim głosie. – Odłamała mu się noga.

– Czy jeszcze coś musisz mieć? – zapytał ojciec.

– On się popsuł – powtórzył Billy.

Constantine kiwał głową, zdobywając się na spokój i życzliwość.

– Konik wciąż jest dobry – powiedział. – Został tylko ranny podczas walki. Właściwie nic poważnego mu nie dolega. Trzy nogi w zupełności wystarczą.

– Wcale nie – upierał się Billy. Wiedział, że za chwilę się rozpłacze. Czuł się zawstydzony, ale nie potrafił powstrzymać łez.

Ojciec wziął głęboki oddech.

– A gdybym ci tak kupił piłkę do futbolu zamiast konika? – zapytał. – A gdybyśmy poszli jutro razem do sklepu sportowego i kupili ci futbolówkę? Co ty na to?

Billy zawahał się. Chciał pójść z ojcem rano do sklepu, wypróbować tam różne piłki i wybrać najlepszą. Ale chciał również dostać to, o co prosił – małego, umięśnionego konia, który nie będzie uszkodzony i który będzie stał tak jak powinien.

– Nie chcę futbolówki – powiedział, chociaż w rzeczywistości było zupełnie inaczej. Chciał mieć wszystko.

Ojciec pokręcił głową.

– W takim razie nie ma o czym mówić – oznajmił.

Ponownie zaczął oglądać telewizję. Na ekranie wesoła blondynka śpiewała piosenkę o czymś, co wyglądało jak ser, ale pewnie było od niego lepsze.

Billy dałby wszystko, by nie uderzyć w płacz, ale nie mógł już dłużej znieść swojego smutku i rozżalenia i, jak to zazwyczaj bywało, rozpacz wzięła górę. Wstrząsnął nim szloch. Odwrócił się tyłem do ojca, niezdecydowany dokąd ma teraz pójść. Chciał znaleźć się w miejscu, gdzie nie będzie jego płaczu. Chciał zrobić krok i wydostać się poza granice jego zasięgu. Zasiadłby wówczas razem z ojcem do oglądania telewizji i obaj byłiby zdegustowani i zirytowani, gdyby płacz zaczął krążyć wokół nich.

Do pokoju weszła matka.

– Co się tu dzieje? – Trzymała zmiętą ścierkę do naczyń. Jej ciemne włosy były w nieładzie. Billy spojrzał na nią bezradnie z epicentrum hałasu, którego sam był źródłem.

– Twój syn chce nowego konika – odpowiedział ojciec Billy’ego. – Nie jest mu potrzebna piłka do futbolu. Powiedziałem, że kupię mu piłkę, a on na to, że nie chce. Woli nowego konika.

Billy czuł, że jest rozpieszczonym, zachłannym i niewdzięcznym dzieckiem, a im głośniej płakał, tym bardziej sobie to uświadamiał. W miarę jak wyraźniej zdawał sobie sprawę, że jest właśnie taki, jego płacz stawał się bardziej rozpaczliwy. Gdyby tylko mógł, skryłby się pod ziemię jak kret i przekopał do Niemiec albo do Japonii, albo w jakiegokolwiek inne miejsce, gdzie jeszcze nie zepsuł atmosfery swoimi małymi zachciankami.

Mary zbliżyła się do syna i przykucnęła tuż przed nim. Przybyła, wnosząc ze sobą żywe barwy i szelest swego nienagannie czystego, schludnego ubrania.

– Czy coś się stało twojemu konikowi? – zapytała.

Nie poruszył się ani nie odezwał. Płacz wciąż rozbrzmiewał wbrew jego woli. Matka wyjęła mu konika z ręki i ze współczuciem oglądała uszkodzoną zabawkę.

– To chyba nie jest zbyt wygórowana prośba – powiedziała szeptem. A po chwili, już głośniej, dodała: – Przecież nie prosił o piłkę do futbolu? Jak słyszę, chodziło mu tylko o plastikowego konika, który kosztuje dziesięć centów i jest robiony tutaj, w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

– Ma milion takich małych zwierzątek – odpowiedział ojciec Billy’ego. – Czy rzeczywiście potrzebuje ich milion plus jedno?

– Na miłość boską, zastanów się, co ty w ogóle mówisz.

– Chce dostać amerykańską zabawkę, proszę bardzo, kupię mu futbolówkę.

– Porozmawiamy o tym, ale później – powiedziała matka Billy’ego. – Chodź, Billy. Chodź ze mną do kuchni. Pomożesz mi trochę przy zmywaniu naczyń.

Wyszedł za nią, ponieważ niczego nie potrafił zrobić z własnej woli. Z tyłu głowy czuł napór milczenia ojca. W kuchni matka wytarła mu nos chusteczką, która pachniała jej wonią.

– Pójdziemy jutro do sklepu i kupimy ci nowego konika – oświadczyła. – Zgoda? Wypadki się zdarzają, to żadne wielkie nieszczęście. Kupimy nowego konika i będzie po kłopotcie. Co ty na to?

Chętnie przystał na tę propozycję. Uśmiechnęła się z głębokim zadowoleniem i powiedziała mu, że jest dobrym małym chłopcem, jej skarbem. Zapewniła go, że zasługuje na całe mnóstwo dobrych rzeczy i gdyby ktoś próbował mu wmówić co innego, to będzie najlepszy dowód, że ten ktoś nie ma pojęcia o niczym. Billy wpatrywał się w nią z wdzięcznością. Obdarzyła go wystudowanym uśmiechem, który widział już tysiące razy: nerwowy skurcz i poderwanie kącików ust, silne zmrużenie oczu, jak gdyby uśmiechanie się sprawiało jej ostry, dotkliwy ból. Poczł szarpnięcie w środku, na tyle silne, że zaczął podejrzewać atak choroby. Była jego przyjaciółką. Była osobą, która pozwalała. Jak mógłby

jej nie lubić? Usłyszał trzask, przypominający ten, który rozległ się wtedy, kiedy odłamała się noga konika.

Sprawy potoczyły się szybko. Stało się tak dlatego, że Constantine był Grekiem i dlatego że wstąpił do tawerny na piwo. Cała wiedza na temat przyczyny i skutku, którą dotychczas zdobył, legła w gruzach niemal w jednej chwili. W pewien słoneczny dzień, tuż po przesileniu letnim, spotkał szczupłego mężczyznę o nazwisku Kazanzakis, w marynarce ze złotymi guzikami. Idąc ulicą w porze lunchu, Constantine dostrzegł markizę pobliskiej tawerny, w której pełno było mężczyzn oglądających mecz Metsów. Duży czarno-biały ekran migał na półce nad rzędami podświetlonych butelek. Obok telewizora, na plakacie reklamowym piwa rozpościerał się widok bladonie-bieskiego górskiego jeziora. Constantine zajął jedyny wolny stołek, obok Kazanzakisa, który śledził mecz i jadł orzeszki z zapałem, lecz bez apetytu, tak jakby jego prawdziwym celem nie było zjedzenie orzeszków, lecz odsłonięcie dna pudełka. W przerwie meczu Constantine i Kazanzakis zaczęli rozmawiać. Najpierw o baseballu, później o budownictwie. Constantine pracował jako majster na budowie, która wkrótce miała się skończyć. Kazanzakis był deweloperem, który zaczął budować osiedla tanich domów na przedmieściach – nazywał je zaplanowanymi społecznościami – położonych na północ i na zachód od miasta. Przedstawili się sobie, podając również nazwę miejscowości, w której każdy z nich się urodził. Okazało się, że dziadkowie Kazanzakisa mieszkali w wiosce oddalonej o niecałe piętnaście kilometrów od wsi, z której pochodził Constantine. Obaj mężczyźni zaczęli rozmawiać po grecku. Śmiali się i zamawiali kolejne piwa. Przed końcem trzeciej rundy meczu Constantine miał już nową pracę. Został zatrudniony do nadzoru budowy najnowszej „zaplanowanej społeczności” Kazanzakisa, która wkrótce powstanie na płaskim brązowym pasie osuszonych bagien, dziesięć kilometrów na północ od miasta. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i zamówili następną kolejkę. Kazanzakis położył chudą rękę na ramieniu Constantine’a i zwracając się w kierunku baru, oznajmił: „Hej, wielbiciele sportu, oto mój nowy wspólnik. Grek, ktoś, komu mogę zaufać”.

To był czysty przypadek, rzut kostką do gry. Ostatnie piętnaście lat nieprzerwanej pracy właściwie nie miało znaczenia poza tym, czego Constantine nauczył się o belkach stropowych i ramach okiennych. Swój los wygrał dzięki temu, że pewnego wtorkowego popołudnia postanowił wstąpić do tawerny.

Wygrał go dzięki temu, że był Grekiem. Po tych wszystkich latach, w ciągu których Mary powtarzała uporczywie: „Jesteśmy Amerykanami, Con. Ame-ry-ka-nami”.

Jego dobra „grecka” passa nie opuszczała go od chwili, kiedy się rozpoczęła. Okazało się, że Kazanzakis ma doskonałe wycucie ludzkich pragnień, bezbłędną orientację w tym, na co będzie popyt. Oferował niedrogie domy, a ich ozdobą były okazałe ogrodzenia i namiastki mansardowych okien. Reklamował atrybuty luksusu: najwyższej klasy sprzęt gospodarstwa domowego, pokoje gier, garaże na dwa samochody. Z kolei Constantine znał się na tym, jak obniżyć koszty w sposób niezauważalny dla klienta. Wiedział, że można użyć niesezonowanego drewna i plastikowych rur. Wiedział, ile czasu można zaoszczędzić, jeśli zamiast wiercić otwory na przewody, każe się ludziom młotkiem wybijać tylko zagłębienia. Domy sprzedawały się prawie w takim tempie, w jakim on i Kazanzakis je wznosili. Constantine, któremu od dziecka wpajano zasady oszczędności, utrzymywał koszty na tak niskim poziomie, że często wzruszony Kazanzakis obejmował go i nazywał cudotwórcą. Nawet się nie spodziewał, że przedsięwzięcie może się okazać tak dochodowe.

Mary trudno było uwierzyć, jak szybko przybywa pieniędzy. Teraz wreszcie mogła obdarowywać dzieci pięknymi i drogimi rzeczami, chociaż jej córki i tak wołały tanie i w krzykliwych kolorach. Susan chciała mieć więcej ubranek dla Barbie i kuchenkę, w której żarówka wysuszała surowe ciasto, nalane do foremek, na małe, okrągłe grudki. Zoe chciała

dostać zestaw klocków, strzelbę i puszystą czapkę z kitą z farbowanego futerka z zająca, które lekko zalatywało moczem. Mary kupowała te wszystkie rzeczy, a poza nimi również inne, w nadziei, że jej córki zaczną dostrzegać blask, jakim emanują przedmioty wysokiej jakości. Kupowała więc złote bransoletki, moherowe swetry i szkatułki, z których po otwarciu wyłaniała się maleńka baletnica obracająca się w takt Dla Elizy. Te prezenty spotykały się z entuzjastycznym przyjęciem, ale zainteresowanie nimi nie trwało długo.

Spośród dzieci Mary tylko Billy chciał dostawać te rzeczy, które ona chciała dawać. Był chłopcem o marzycielskim usposobieniu, który przynosił do domu książki z biblioteki, wyszukiwał sobie kryjówki, gdzie zawsze mogła go znaleźć. Gdy kupiła mu płaszcz z alpaki, wkładał go w niedziele, siedł w nim do kościoła z powagą małego mężczyzny, która napępiała jej serce tym większą miłością. Chociaż kochała całą trójkę, tylko jego potrafiła zrozumieć. Dla niego kupowała szkockie sweterki z wycięciem w serek. Kiedy zaczął chodzić do piątej klasy, kupiła mu ciemnowisniową skórzaną teczkę i ciemnozieloną czapkę myśliwską z daszkiem. Dziewczynkom urządziła dom dla lalek, który najpierw stał w pokoju Susan, a potem u Zoe. Kurz gromadził się na misternie rzeźbionych drewnianych mebelkach i na lampkach, które rzeczywiście działały jak prawdziwe. Mary od czasu do czasu sprzątała domek dla lalek i z przyjemnością, choć zmaconą poczuciem winy, na nowo ustawiała mebelki.

Susan zaprowadziła ich na pole golfowe. Przedtem były tu tylko ogrodzone podwórka i plac zabaw. Dawniej w tym miejscu stały budynki, ciągnęła się ulica, którą wypełniał zgniły zapach, a w opuszczonej fabryce na betonie pleliły się chwasty. Teraz rozpościerało się tutaj jasne pole zieleni, nad którym unosił się intensywny zapach suchych liści, a ptak wyśpiewywał w kółko „Kra-kra-klara”.

Susan wiedziała, że wszystko, co mają, ojciec zdobył dla niej. Pochlebiało jej to i zarazem napawało obawą.

– Chodźże, Billy – ponaglała stanowczo.

Chłopiec, zatopiony w marzeniach, szedł kilka metrów z tyłu, wzbijając liście.

– Idę – odpowiedział.

Zoe pobiegła do przodu. Susan obejrzała się. Billy podążał za nią, pociągając nogami, a cienie liści układały się na nim w jasne i ciemne kształty. Jego utracona uroda przeniknęła do jej wnętrza, czuła ucisk na wysokości mostka, gwałtowny skurcz w płucach. Czasami wyobrażała sobie, jak wyciąga brata z płonącego budynku, jak gasi ogień tłący się na jego odzieży i we włosach.

Uratowałyby go. Uciekliby razem do lasu i tam mieszkali, z dala od ogromnego, nieskazitelnego domu, który kupił dla niej ojciec. Gdzieś przecież musi być las.

– No chodźże – powtórzyła. Jej cień, postrzępiony na brzegach, leżał przed nią na ziemi pokrytej liśćmi.

– Co ci się tak śpieszy? – zapytał Billy. – Idziemy przecież na spacer, prawda? Nigdzie nie jesteśmy spóźnieni.

– Nie chcę, żeby Zoe się zgubiła – powiedziała. – Biega po całym terenie. Nie da się jej powstrzymać.

– Wcale się nie zgubiła. Jest tam, wchodzi na drzewo.

Susan spojrzała w stronę, którą wskazał, i zobaczyła

Zoe mocno trzymającą się niższej gałęzi olbrzymiej sosny i wspinającą się coraz wyżej. Wydawało się, że kolorowe ubranie Zoe – jej jasnożółta bluzka i dzinsy w kolorze indygo – są porożcinane w rozmaite kształty wśród igliwia sosny.

– Zoe, zatrzymaj się! – krzyknęła Susan.

– Wcale nie musi się zatrzymywać – powiedział Billy. – Może wspinać się na drzewa, jeśli tylko przyjdzie jej na to ochota.

Susan stała pomiędzy Billym a Zoe i w jednej chwili opuściło ją przecucie co do jej własnej obiecującej przyszłości. Zawsze będzie młoda, zawsze lekceważona, zawsze będzie trzymać się reguł zachowania, którymi, w jej mniemaniu, nikt inny nie miał ochoty zaprzętać sobie głowy. A świat powinien być taki prosty. Wystarczyłoby, żeby każdy mówił cichym głosem, ale wyraźnie, unikał kłótni, poruszał się w umiarkowanym tempie, ani za szybko, ani za wolno.

– Ona zaraz spadnie – zaniepokoiła się Susan, chociaż była więcej niż pewna, że Zoe zmierza wprost do nieszczęścia i jest o wiele bardziej prawdopodobne, że spotka ją ono ze strony nieba niż ziemi. – Zoe! – zawołała ponownie. – Schodź stamtąd.

Wyobrażała sobie siebie, jak łapie spadającą Zoe.

– O, jest dom – oznajmił Billy. – Spójrz. Ta plama bieli tam, w oddali. Widzisz ją?

Susan ruszyła w stronę drzewa.

– Zoe, ja nie żartuję – powiedziała.

– To jest teraz nasz dom – dodał Billy, chociaż Susan odeszła już zbyt daleko, by mogła go usłyszeć. – Jesteśmy bogaci. No, może w połowie bogaci.

Susan zatrzymała się u podnóża drzewa i wsparła zaciśnięte pięści na biodrach. Stała tak na równo przystrzyżonej trawie, patrzyła przymrużonymi oczami w górę, na baldachim z sosnowych igieł. Za nią rozciągał się cień jej sylwetki, nieco odchylony w bok. Mogłaby być młodziutką służącą bogini rodzinnego utrapienia. Miała na sobie białą wiatrówkę, różowe spodnie do kolan i krótkie skarpetki z niewielkimi pomponami przyszytymi nad piętą, dzięki czemu nie zsuwały się do tenisówek.

– Zoe! – krzyknęła. – W tej chwili schodź.

Mała z wysiłkiem próbowała się podciągnąć na rozwidloną gałąź wyrastającą prawie dziesięć metrów nad ziemią. Zgodnie z przewidywaniami Susan, nic nie odpowiedziała. Starsza siostra westchnęła i spodobał jej się odgłos, który temu towarzyszył. Było to westchnięcie dojrzałej kobiety, pełne głębokich znaczeń. Mieszkała w tej okolicy niecały miesiąc, a już wiedziała o trzech chłopcach, których oczy – brązowe, ciemnobrązowe i niebieskozielone – próbowały wysledzić szczegóły jej życia.

Wyobrażała sobie, jak ci chłopcy porywają ją z jej nowego domu i przyprowadzają tutaj, na pole golfowe. Rozkazywałyby im, pocieszała ich i wymagała, żeby się dobrze zachowywali.

– Mówię poważnie! – zawołała. Pomyślała przez chwilę o swoim głosie ginącym wśród drzew, podążającym własną drogą. Może w tej chwili gdzieś w pobliżu spacerował pogrążony w smutku chłopak, który zabłądził wśród tych drzew i piaskowych bunkrów pola golfowego.

Właśnie podszedł Billy i stanął obok niej. Rozsiewał woń – delikatną, wyraźnie wyczuwalną, stanowiącą mieszaninę zapachu wybielacza i spleśniałego chleba. Susan zastanawiała się, czy on się w ogóle myje.

– Nie zejdzie, dopóki sama nie będzie chciała – powiedział. – Przecież wiesz.

– Skręci sobie kark – stwierdziła Susan. – Obiecałam, że będę na nią uważać.

– Ja też wejdę na to drzewo – oznajmił Billy. – Założę się, że z góry można zobaczyć całe miasto.

– Billy, nie. Zostaniesz tu, gdzie jesteś.

Ale on podciągnął się na najniższą gałąź i próbował się przedostać bliżej pnia drzewa. Susan obserwowała napinające się mięśnie jego chudych pośladków, drgające pod tkaniną spodni ogrodniczek, i znów zadała sobie pytanie, jakiego pokroju dziewczęta zechcą pewnego dnia rozładować jego napięcia.

– Billyyyy! – zawołała. – Niech cię diabli.

Posuwał się szybko i już po chwili wchodził na gałąź znajdującą się tuż pod tą, na której była Zoe. Siedziała z kolanem przyciągniętym do brody i brudną ręką przeczesywała sobie włosy.

– Hej, Zoe – powiedział lekko zdyszany. Podrapał sobie ręce o chropowatą korę i ruch powietrza wywołał uczucie swędzenia w miejscach, gdzie miał zdarty naskórek.

Nie odpowiedziała. Obserwował ją, aż nabrał pewności, że siostra mocno siedzi na swojej gałęzi, odwrócił się i poprzez zasłonę z igieł spojrzął w kierunku Garden City.

– Macie minutę, żeby stamtąd zejść. Jeśli nie, idę po was! – zawołała Susan.

– Ładne – skostatował Billy. Z tej wysokości dobrze widział schludne ulice dzielnicy, w której od niedawna mieszkał, krzyżujące się pod kątem prostym, ocienione drzewami o czerwonych i żółtych liściach. Dostrzegł wróbla unoszącego się nad karmnikiem, który skrzydłami przypominającymi małe, brązowe plamki wprawiał powietrze w ruch. Na dalszym planie rysowały się spiczaste wieże, bryły ceglanych budynków, w których miały swoje siedziby sklepy i banki, rozległa jasnoniebieska przestrzeń.

– Zwierzęta mogą nas obserwować – zauważyła Zoe. – Mogą wejść na to drzewo i patrzeć w dół, wprost na nasz dom.

– Boisz się? – zapytał Billy.

– Nie, to mi się podoba.

Zoe pociągnęła się za włosy i podrapała w kolano. Chociaż nigdy mu tego nie zdradziła, Billy wiedział, że ona myśli o sobie jako o zwierzątku. Miała zwyczaj chwytać jedzenie ze swojego talerza i jeść łapczywie małymi kęsami. Sypiała zwinięta w kłębek w gniazdku, które sama sobie robiła z koców i prześcieradeł.

– To tutaj teraz mieszkamy – powiedział Billy częściowo do Zoe, częściowo do siebie. – Teraz jesteśmy w połowie bogaci i mieszkamy tutaj.

Zoe kiwnęła głową.

– To jest królestwo drzew – wyjaśniła. – Tam jest schronienie, w którym żyją ludzie.

– Trochę mnie to przeraża – powiedział. – To znaczy nowa szkoła i w ogóle to wszystko. Masz szczęście, że jesteś dopiero w drugiej klasie.

Zoe obserwowała, jak czas płynie w miasteczku. Billy odkrył, że może mówić do tej Zoe, która myśli i zachowuje się jak zwierzak. Powiedzieć jej o rzeczach, o których nigdy nie wspomniałby ani słowem nikomu innemu. Zaszyła się w zapomnianym małym wąwozie, gdzie zachowując czujność, cieszyła się spokojem, który mógł wdychać wraz z nią.

– Czas minął! – krzyknęła Susan. – Wchodzę.

– Znalazła się niańka – mruknął Billy.

Zoe uśmiechnęła się. Była dziewczynką o szczupłej i silnej budowie, czarnych włosach i gęstych brwiach. Nosila gumowe plażowe klapki w październiku.

– Jak myślisz, czy my się zmienimy, dlatego że jesteśmy bogaci? – zapytał Billy. – Uważasz, że teraz będzie inaczej?

– Wciąż mamy jeszcze dwa życzenia – odpowiedziała Zoe.

– Mogłoby to coś zmienić – uznał Billy. Usadowił się wygodnie na swojej gałęzi, wyczuwając drobne wstrząsy rozchodzące się po całym drzewie, wywołane przez wspinającą się starszą siostrę.

– Niech was diabli – odezwała się w końcu Susan, z odległości niespełna dwóch metrów.

– Niech was diabli wezmą, oboje. Chyba rozerwałam sobie spodnie.

– Spójrz – powiedział Billy. – Widać stąd liceum.

– Musimy już wracać – ucięła Susan. – Robi się późno.

– Jeszcze nie – odpowiedział. – Wydaje mi się, że jeszcze nie jest bezpiecznie. Powinniśmy odczekać jakieś pół godziny.

– Wszystko jest w porządku – zapewniła Susan. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego musisz robić ze wszystkiego takie wielkie halo.

– Ty idź do domu – zbuntował się. – My jeszcze chwilę posiedzimy. Może zbudujemy tu na górze domek.

– Nie będziecie budować żadnego domku na drzewie. To jest własność prywatna.

– Zamierzamy się tu przeprowadzić, Zoe i ja.

– Musimy już iść – nalegała Susan. – Chodźcie, kolacja jest już pewnie gotowa.

– No to idź – powiedział Billy. – Zoe i ja zostaniemy tu jeszcze trochę.

– A więc dobrze. Ja sobie idę. Nie ruszyła się jednak z miejsca. U podnóża drzewa przeskakiwała przez liście wiewiórka, uniosła się na tylnych nóżkach i nagle znikła, jakby została wchłonięta przez ziemię. Susan spojrzała w dół, w kierunku domu, który zbudował dla niej ojciec. Uświadomiła sobie, co robi w tej chwili: ona, szczupła i wyprostowana czternastoletnia dziewczyna siedzi okrakiem na gałęzi wśród zapachu liści. Chciała się upomnieć o dom, który należał do niej, i jednocześnie chciała zamieszkać tu na górze, spokojna i groźna jak młoda matka dzikich zwierzątek. Chmury przesuwały się ponad rozległą równiną. Drzewo pogrążyło się w cieniu, a miedziany dach wieży rozbłysnął nagle jak ogromny i cenny skarb wydobyty z dna oceanu. Przez krótką chwilę, pod wpływem przemieszczających się cieni, Susan pomyślała, że jest wszechmocna. Zobaczyła, jak wiele może zostać dla niej zbudowane i jak wiele bezpowrotnie zniszczone. Poczowała dreszcz poruszenia. Wyobraziła sobie rozpadającą się tamę. Ujrzała srebrzystą ścianę wody spadającą

na kościoły i sklepy, na schludne uliczki. Miała ten widok przed oczami. Widziała, jak woda pochłania wszystko, co napotka na swej drodze, pod jej naporem pękają okna, ustępują dachy, które unoszone jej wzburzonym nurtem, niczym drobne przedmioty codziennego użytku – filiżanka, treska, kostka mydła – wynurzają się na powierzchnię i giną w głębinie. Widziała wzburzoną wodę, która wdziera się na wzniesienie i ostatecznie zatrzymuje w połowie wysokości drzewa, tuż poniżej gałęzi, na której ona siedzi. Tylko ona, Zoe i Billy zdołaliby się uratować. Po wszystkim zaległaby uroczysta cisza koloru mętnej wody. Widoczna byłaby wieża, górna połowa zegara, który przestał odmierzać czas, gałęzie wyrastające blisko wierzchołków kilku dębów i wiązów. Stada kaczek i gęsi przysiadłyby na wodzie. I stopniowo, w miarę obniżania się poziomu wody, ukazałyby się pierścionki i naszyjniki zaczepione na gałęziach. Sprowadziłaby Zoe i Billy'ego z powrotem do mokrego i pustego świata. Po drodze – gdy będą szli w dół, już jako sieroty, spokojni i pogrążeni w smutku, zmierzając ku przyszłości, w której wszystko może się zdarzyć – zakładałaby te pierścionki i naszyjniki i dotarłaby na dół przystrojona biżuterią.

Podczas swoich wieczornych wypraw Constantine wyobrażał sobie, że Mary siedzi przy nim. Nie ta Mary, z którą mieszkał obecnie, ale tamta, którą była, gdy miała lat siedemnaście – energiczna, tajemnicza dziewczyna zatraskująca za sobą furtkę. Tej Mary sprzed lat udawało się łączyć zdrowy rozsądek z czysto kobiecym optymizmem. Wtedy jeszcze nie wytykała mu jego braków. Wciąż był zakochany w tamtej Mary i kochał każdy ślad, który jeszcze po niej pozostał – opanowanie, umiłowanie porządku, zdecydowany krok i dumnie wyprostowane ramiona. Towarzyszką jego wypraw była tamta młodziutka Mary, która niekiedy w jego wyobraźni przybierała postać Susan. Bystra dziewczyna siedziała bezpiecznie przypięta na miejscu pasażera, obserwując krajobraz z rezerwą i surowym podziwem.

Pokazywał jej nowe osiedle, rzędy domów – całe miasteczko w ciepłych kolorach i prostych, przyjemnych dla oka kształtach. Czasami parkował na jednej z ulic, które powstały przy jego udziale, i siedział dłużej, obserwując ją, wygodnie zatopiony w wiśniowym pluszowym fotelu buicka. On i Kazanzakis zbudowali całe to miasteczko. To dachy, które oni położyli, wyznaczały horyzont, okna ich domów rozjaśniały światłem panującą wokół ciemność. W takie wieczory czuł się całkowicie spełniony.

Osiedle było idealne, nowe i uporządkowane. Domy Constantine'a stały w grupach po trzy. Jeden miał dwuspadowy dach, drugi – małą frontową werandę, a trzeci, jego ulubiony, dwa wykuszowe okna, zgrabne i symetryczne jak piersi młodej dziewczyny. Na tle nieba zarys sylwetek tych domów układał się w prosty, harmonijny wzór. Ilekroć na nie patrzył, był zaskoczony, że one naprawdę powstały. Jego dni wypełniały drobne sprawy i utarczki. „Jerry, powtarzam ci, nie ma potrzeby wkładać płyt pilśniowych między pokryciem dachu a poddaszem. Kto ci kazał zamówić te cholerne kamienie, kanały ściekowe można przecież wypełnić ziemią”. Dopiero wieczorem, podczas swoich wypraw, mógł w pełni ocenić stojące już domy, uzmysłowił sobie, że powstały dzięki temu, że zamówił cały wagon towarowy płyt gipsowych, pięć tysięcy bel materiału izolacyjnego, cały las sosnowego drewna. Czasami wybierał jeden z nich i przyglądał mu się dłużej, zawsze z rozsądnej odległości. Palił jednego papierosa za drugim i obserwował rozbłyskujące światłem lub ciemniejące okna, szczekające psy, które domagały się, by wpuścić je do środka. Czasem zatrzymywał się samochód, z którego wysiadał nastolatek, innym razem z któregoś z domów wychodził ktoś z jego mieszkańców, żeby podlać trawnik. Kiedyś przed jednym z nich pojawił się silnie zbudowany mężczyzna w zielonych spodniach w kratkę i stał na trawniku, aż noc zgarnęła z nieba ostatni promień dziennego światła i ukazały się gwiazdy. Constantine obserwował go, aż tamten z powrotem wszedł do domu z dwuspadowym dachem, który kosztował pewnie jedną piątą tego, co on zapłacił za swój. Przez krótką chwilę czuł sympatię do tego człowieka, a zarazem było mu go żal. Ten nieznajomy mężczyzna mógłby być jego młodszym bratem, albo najstarszym synem. Constantine właściwie nie potrafił powiedzieć, dlaczego odbywa te eskapady, czego tutaj szuka. Zawsze wtedy myślał, że siedzi obok niego młodziutka Mary lub osoba podobna do niej, i próbował sobie wyobrazić, jak wygląda życie toczące się za tymi ścianami. Gdy ponownie uruchamiał silnik i ruszał w kierunku domu, czuł wzbierające w nim tęsknoty i pragnienia. Nie pozwalał sobie zbyt często na te wypadki, najwyżej raz, czasem dwa razy w miesiącu. Wmawiał sobie, że chce sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, chce wiedzieć o wszystkim na bieżąco. Widział dziewczynę siedzącą na krawężniku i czekającą na kogoś, kto nie przybył na spotkanie. Widział, jak rudy pręgowany kot pochwyił drozda i jak z ptaka ulatuje płochliwe życie, równie szybko jak powietrze z przekłutego balonu. Słyszał rozmowy i muzykę, a raz wydawało mu się, że dobiegają go krzyki kochanków

uprawiających miłość. Wracał do domu z uczuciem coraz bardziej ulotnych nadziei, tak intensywnym, że niemal sprawiało mu ból. Dla swojej rodziny zbudował solidny dom na parceli liczącej cztery tysiące metrów kwadratowych. Sprawił im dwa prawdziwe kominki, trzydzieści osiem okien i frontowe drzwi z drewnianymi rzeźbionymi kolumnami po obu stronach, białymi i udekorowanymi jak tort weselny. Gdy naciskał guzik uruchamiający mechanizm automatycznie otwierający bramę do garażu, był świadom istnienia gwiazdozbiorów – Strzelca, Barana, Plejad – a także sieci międzystanowych autostrad, którymi gwoździe, produkty rolne, buty i traktory były, nawet w tej chwili, przewożone do swoich prawowitych właścicieli. Miał świadomość sieci podziemnych rurociągów, które dostarczały ludziom wodę, biegnących wśród korzeni drzew i przecinających świat zamieszkałych pod ziemią zwierząt. Kiedy otworzyła się brama do garażu, podciągana na blokach i naoliwionych zawiasach, porzucił zwykle niespokojne myśli i wkroczył do królestwa radości. Nie potrafił wyjaśnić tego uczucia. Miał wrażenie, że taka jest kolej rzeczy, nieuchronna, jak ruchy wielkich płyt kontynentalnych przemieszczających się pod nocnym niebem, zmieniających położenie zgodnie z określonym planem, na tyle prostym, że nie mieści się w granicach ludzkiego pojmowania. Przepelniony szczęściem, wprowadził samochód do garażu. Na białej tablicy w idealnym porządku wisały jego narzędzia. Były tu też jego kosiarka i imadło, a w oznakowanych słóczkach śrubki i gwoździe. Przez chwilę siedział w chłodnej ciszy samochodu. Potem wszedł bocznymi drzwiami do kuchni, gdzie Mary pozostawiła dla niego obiad. Na lodówce wisały stare rysunki Billy’ego i Zoe, przyklejone za pomocą magnesów w kształcie owoców. Plastikowe jabłko, pomarańcza i banan.

– Cześć – zawołała Mary. Robiła listę zakupów. Miała na sobie czerwone spodnie i szarą sportową bluzę.

– Cześć – odpowiedział. I w tym samym momencie, wraz z tą jedną niewinną sylabą, radość się ulotniła. Coś było nie tak. Z niewiadomych powodów nie znaczył tu tyle, na ile zasługiwał, choć przecież zarabiał sporo pieniędzy, dotrzymywał przysięgi małżeńskiej, żywił i ubierał dzieci.

– Jak minął dzień? – zapytała Mary, nie odrywając oczu od swojej listy. Kiedy zajęła się pracą, stawała się całkowicie nieobecna duchem. Ciemne włosy miała mocno ściągnięte do tyłu.

– Nieźle – odpowiedział. – Ładnie tu pachnie.

– Kotlety schabowe. I puree ziemniaczane. Jesteś głodny?

– Tak. Umieram z głodu. Co ty tam robisz?

– Och, tylko spisuję rzeczy, które trzeba kupić na przyjęcie urodzinowe Zoe. Trudno w to uwierzyć, ale zaprosiłam na całą noc osiem małych dziewczynek.

Kiwnął głową i niewiele brakowało, a zdołałby przywołać czyste, obezwładniające uczucie szczęścia, które ogarnęło go w garażu. Śliczna żona, dębowe szafki, kotlet schabowy i ziemniaki czekające na niego w gorącym piekarniku. Pragnął odczuwać szczęście w sposób ciągły, nieprzerwany, godzina po godzinie, a nie w postaci gwałtownych przyływów, które dopadały go nieoczekiwanie, zazwyczaj wtedy, gdy był sam. Tak ciężko pracował. Czasami wydawało mu się, że gdyby zachowywał się tak, jakby był szczęśliwy, gdyby mówił to, co na jego miejscu mówiłby człowiek szczęśliwy, wówczas mógłby znów dogonić szczęście. Mógłby je pochwycić za niewidzialne skrzydła i mocno przycisnąć do piersi.

– Gdzie są dzieci? – zapytał zżywieniem.

– Susan na lekcji tańca. Billy i Zoe na górze, podobno odrabiają lekcje. Bardzo późno dzisiaj wróciłeś.

– Tak. Mam piekielnie dużo roboty.

– Wiem. Tutaj też jest niemało pracy.

Odkasznął i wytarł usta wierzchem dłoni.

– Jak mi się wydaje, nie możesz narzekać na brak pieniędzy.

– Coś nie jesteś dziś w najlepszym humorze – zauważyła, nie odrywając się od listy. Wciąż trzymała ołówek w dłoni, aby podkreślić, że wypowiadając te słowa, bynajmniej nie miała złych intencji.

Constantine bał się jej. Była wzburzona i pochłonięta bardzo ważną czynnością. Sporządzała listę, która miała zostać wyryta w granicie jego kamienia nagrobego.

– Jestem tylko zwykłym wołem roboczym – poskarżył się. – Wystarczyłoby od czasu do czasu okazać mi choć odrobinę wdzięczności, nic więcej.

Dopisała jeszcze coś do listy. Jej ołówek z rozmachem poruszał się po kartce papieru.

– Ja również pracuję – powiedziała. – Prawdę mówiąc, właśnie w tej chwili jestem zajęta pracą.

Wydawało się, że kuchnia się powiększa, a on czuł, jak kurczy się w jej wnętrzu do rozmiarów małego człowieczka, który stoi zgłodniały na żółtym linoleum pokrywającym podłogę. Włączył światelko w piekarniku, spojrzał przez przyciemnioną szybkę na stojące w nim żaroodporne naczynia.

– Co z kolacją? – zapytał, a jego głos znów zabrzmiał pogodnie. Głos szczęśliwego człowieka.

– Con, jest właśnie tam. Mogę ci ją podać za chwilę. Ale jeśli chcesz jeść natychmiast, dokładnie w tej sekundzie, to chyba wiesz, jak otworzyć drzwiczki piekarnika?

– Jasne – odpowiedział. Wziął podkładkę, wyjął swoją kolację z piekarnika. Ustawił naczynia na blacie, zdjął szklane pokrywki zroszone pęcherzykami skroplonej pary. – Wygląda smakowicie – pochwalił.

– Uhm. Napoje, chipsy, słodkie pianki. Drobne upominki. Może małe flakoniki perfum. Chociaż... sama nie wiem. Pewnie jeszcze są na to za małe.

Constantine wyjął talerz z szafki. Właśnie nakładał sobie łyżką ziemniaki, kiedy do kuchni wszedł Billy.

– Cześć – powiedział. W wieku dwunastu lat był tak samo chudy jak wtedy, gdy midi: pięć. Patykowate kości i uwypuklenia stawów wyraźnie zaznaczały się pod mlecznobiałą skórą. W jego twarzy, bardzo podobnej do twarzy ojca, choć o ostrzejszych rysach, zaczynała się pojawiać przebiegłość.

– Cześć – odpowiedział Constantine.

Billy podszedł do lodówki i wyjął coca-colę. Constantine poczuł ucisk w gardle, skurcz pogwałconego prawa własności. Ta coca-cola należy do mnie, ja za nią zapłaciłem.

– Co słychać? – zapytał.

– Nic – odpowiedział Billy. – Odrabiam zadanie z geografii.

– Z geografii. – Constantine zacisnął palce na trzonku łyżki. Dlaczego nie potrafił wzbudzić w sobie miłości do syna? Czego mu brakuje? Mów, nakazał synowi w myślach, opowiedz mi o geografii. – Co teraz przerabiacie z geografii? – zapytał. Położył łyżkę na blacie, wbił widelec w mięso.

Pokaż mi na mapie świata, w którym miejscu jesteś. Chłopiec, który oddaje się rozmyślaniom, który zagłębia się w lekturze, który nie chce wiedzieć, jak nazywają się poszczególne narzędzia, i nie okazuje żadnego zainteresowania zabawami na świeżym powietrzu.

Billy wzruszył ramionami. Otworzył butelkę z coca-colą, wydała syczący dźwięk.

– Amerykę Łacińską – odpowiedział. – Główne towary, które importuje i eksportuje.

– Tak – powiedział Constantine. – Import i eksport. Z Ameryki Łacińskiej wywozi się dużo diamentów, prawda?

Billy podniósł oczy na ojca, a w jego dotychczas obojętnym wzroku rozbłysło zadowolenie. Constantine znał to spojrzenie wyrażające zwycięstwo, głęboki spokój po dokonaniu nadzwyczajnych czynów.

– Nie, tato – powiedział Billy z wystudiowaną cierpliwością. – Nie diamenty. Oni eksportują banany i kawę. I jeszcze inne rzeczy.

Constantine poczuł, jak narasta w nim gniew. Może i nie miał raki. Może to rzeczywiście gdzie indziej wydobywa się diamenty. Może w Afryce.

– Jesteś mądrym chłopcem, o tak – stwierdził. – Naprawdę mądrym chłopcem.

Być może mimowolnie nadał swemu głosowi ostrzejsze brzmienie. Czasami słowa, które słyszał z własnych ust, nie wyrażały tego, co czuł w głębi serca.

– Nie wiem – odpowiedział Billy.

– Ach tak, więc tego nie wiesz. Czyli, co ty właściwie wiesz? Wciąż słyszę od twojej matki, jaki to jesteś mądry.

Obserwował twarz stojącego przed nim syna. Na kruchą konstrukcję z kości naciągnięta była przezroczysta skóra. Jego oczy, nienaturalnie duże w stosunku do całej głowy, mrugały w rytm nieodgadnionych myśli.

– Tato, a gdzie leży Kostaryka? – zapytał.

– Co takiego?

– Kostaryka. Państwo. Czy wiesz, gdzie ono leży?

– O czym ty mówisz. Kostaryka?

– Ciągłe zapominam. Czy leży na północ, czy na południe od Panamy? – wyjaśnił Billy.

Constantine ruchem ręki dał mu do zrozumienia, żeby sobie poszedł.

– Uciekaj – powiedział. – Idź dokończyć lekcje.

– Jasne, idę – odpowiedział Billy.

Spojrzał w kierunku Mary, a ona odpowiedziała mu tak jawnie porozumiewawczym spojrzeniem, że Constantine poczuł, jak powietrze zatrzymało mu się w płucach. Podejrzał, że spiskują razem przeciwko niemu, że opowiadają sobie historyjki o jego wadach. Billy zaczął głośno łykać swoją coca-cola i skierował się do drzwi kuchni. Miał równy, dziewczęcy krok. Poruszał się tak, jakby chciał utrzymać monety na dużych palcach od nóg.

– Posłuchaj no, szanowny panie – powiedział w stronę jego pleców Constantine. – Nie podoba mi się twoje zachowanie.

– Con, daj spokój – wtrąciła się matka. – Billy, idź na górę.

Billy obejrzał się. Jego szczupła twarz wyrażała uczucie, którego Constantine nie potrafił nazwać. Mogła to być wściekłość. Albo strach.

– Jakie miasto jest stolicą Dakoty Północnej, tato? – zapytał Billy.

– Co ty mi tu wygadujesz? Czego tu jeszcze chcesz?

– Con – odezwała się znów Mary. Wyraźne wyczekiwanie w jej głosie tylko bardziej go rozżłościło.

– Ile jest siedem razy dziewięć? – pytał dalej Billy. – Jak się pisze słowo „rytm”?

– Ostrzegam cię, mój panie. Za kogo ty się, do diabła, uważasz?

– Jestem mądrym chłopcem – powiedział Billy. – Sam tak powiedziałeś.

– No już, wynoś mi się stąd, do cholery. Zanim doliczę do trzech, masz mi zniknąć z oczu. Raz.

Billy wyszedł z kuchni. Constantine zobaczył wyraz ulgi w oczach Mary. Trzymała w rękach swoją listę.

– Dwa, trzy – dokończył. Odwrócił się z powrotem do blatu, by nałożyć sobie resztę jedzenia na talerz. Wbijał widelec w kotlet, kiedy Billy krzyknął ze schodów:

– Stolicą Dakoty Północnej jest Bismarck.

Constantine wybiegł z kuchni i przeskakując po dwa stopnie, dopadł chłopca u szczytu schodów. Mary z krzykiem ruszyła za nim, ale jej interwencja tylko zaostrzyła gniew męża. Chwył Billy’ego za chude ręce i uniósł go.

– Coś ty powiedział? – zapytał Constantine i we własnym głosie wydobywającym się przez zaciśnięte zęby usłyszał groźbę.

Billy spojrział na niego obojętnie, z nieustępliwą miną.

– Siedem razy dziewięć jest sześćdziesiąt trzy – powiedział.

Kiedy zadał cios, miał wrażenie, że eliminuje słabość ze swego domu. Wypala ognisko zakażenia. Mocno uderzył syna w szczękę grzbietem dłoni, która przesunęła się po zębach chłopca, a Constantine poczuł na skórze oczyszczający płomień. Usłyszał z daleka krzyk Mary. Głowa Billy'ego odskoczyła do tyłu i Constantine uderzył go ponownie, tym razem nasadą dłoni; cios był solidny i pewny jak uderzenie młotka wbijającego gwóźdź w sosnowe drewno. W końcu puścił Billy'ego, który ciężko runął na podłogę i potoczył się kilka stopni w dół, gdzie Mary złapała go i przytuliła do piersi. Krzyczała i płakała. Do Constantine'a nie docierały jej słowa. Spojrzął w górę i zobaczył Zoe stojącą niepewnie w korytarzu, z rękoma przyciśniętymi do brzucha.

– Wracaj do siebie – nakazał. Patrzył, aż wbiegła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Ominąwszy Mary i syna, zszedł ze schodów.

– Ty potworze – zawodziła Mary. – Ty głupi draniu.

Constantine nie odpowiedział. Nie obejrzawszy się, zmusił się, by wolnym krokiem, w absolutnej ciszy, wyjść z domu i pójść do garażu. Wsiadł do samochodu. Oddychając miarowo, otworzył bramę, na wstecznym biegu wyprowadził samochód na podjazd, a potem na ulicę, dodał gazu i odjechał. Zanim znalazł się przy drugiej przecznicy, wskazówka szybkościomierza wskazywała sto kilometrów na godzinę. Spojrzął we wsteczne lusterko i zobaczył oddalające się światło swojej werandy, zlewające się z rojem anonimowych świateł sąsiednich domów. Słyszał dudnienie własnego serca. Jego twarz płonęła wściekłością i wstydem. Podczas jazdy postanowił, że będzie pracował jeszcze ciężiej. Obiecał sobie, że będzie lepszy, bardziej uprzejmy. Zorientował się, że jedzie w kierunku swojego osiedla, by obserwować nocne życie domów i słuchać, niczym skruszony grzesznik w kościele, szmeru ich wewnętrznych głosów.

1968

Pole golfowe było rozległe jak ocean, przecięte bladą smugą światła wschodzącego księżycy. Lśniły gwiazdozbiory, a północny wiatr, pierwszy tej jesieni, targał gałęziami sosen. Susan leżała na kwadratowym jasnożółtym kocu, z ostrożną troskliwością trzymając w dłoni członek Todda. Obserwowała, jak zmienia się wyraz jego twarzy.

– Och – mruzczał Todd. Z ust i nosa wydobywała mu się biała smużka pary. – Och. Ochhhh. Och.

– Cśśś – uciszała go Susan, chociaż wcale nie zachowywał się głośno.

W ciągu dnia Todd z zaskakującą łatwością żył wewnątrz swego olbrzymiego ciała. Właściwie nie dostrzegał niczego niezwykłego w tym, że jego dłonie potrafiły objąć wagę zupy, a stopy idealnie wypełniały buty ogromne jak betonowe bloki, które mogłyby służyć za śmiercionośne obciążenie. Przestrzegał reguł, ścisnął dłonie swoich kolegów i mówił im z głębokim przekonaniem, że ceni sobie ich przyjaźń. Natomiast wieczorem, gdy znalazł się na polu golfowym lub w samochodzie brata, wydawało się, że wymknie się z niego jakaś ważna część, zbyt duża, by mogła się w nim utrzymać.

– Achhh – westchnął.

– Cśśśśś – szepnęła ponownie.

Jego palce po omacku przesuwały się wzdłuż jej uda. Miała nadzieję, że w tej wieczornej scenerii, pod poruszonymi wiatrem gałęziami, jej udo jest piękne i alabastrowe. Miała nadzieję, że jest godna uwielbienia, w spódnicy i majtkach, w szorstkim swetrze Todda, pod którym nie miała staniczka, i z chłodnym kółkiem jego pierścienia na łańcuszku wokół szyi. Palce Todda wślizgnęły się pod elastyczną dzianinę jej majtek. Poruszyła się niespokojnie. Jego dotyk przyprawiał ją o mdłości, wywoływał uczucie podenerwowania. Te palce przesuwały się po jej ciele, po ciemnych włosach łonowych (dlaczego są takie gęste?), a potem jeden wsunął się do środka, szybko, niemal ukradkiem. Palec napierał, wycofywał się i znów napierał. Walczyła z narastającym uczuciem paniki. Todd był tak bardzo natarczywy. Jego palec zagłębiał się w nią w poszukiwaniu czegoś jeszcze, tajemniczej doskonałości, której – jak się obawiała – jej brakuje. Czy żartował na jej temat z przyjaciółmi? Zaczęła szybciej przesuwać dłonią w górę i w dół jego członka. Wiedziała, że jak tylko uda jej się doprowadzić go do spełnienia, on znów stanie się sobą, miłym, towarzyskim Toddem. Próbowwała przestać myśleć o własnych lękach, skoncentrowała uwagę na jego członku, trzonie z wypukłymi żyłkami i purpurowej, dziwnie niewinnej główce. Był jedyny, z którym miała styczność. Gdy zdarzało się, że z poczuciem winy fantazjowała o innych chłopcach, wyobrażała sobie ich torsy, nogi i pośladki, ale nigdy intymnych miejsc między nogami. Umieszczała tam białą plamę zamiast penisów. Wyobrażała ich sobie silnych i natchnionych, ale dla niej zawsze seksualnie obojętnych, jak konie. Na tworzonej w myślach mapie topograficznej męskiego ciała pojawił się wyłącznie członek Todda. Zastanawiała się, czy chłopak pojmuje głębię i bezmiar jej wierności. Zadawała sobie pytanie, czy to jej zaangażowanie, skrupulatna, wręcz drobiazgowa ciekawość, jest tym, co ludzie mają na myśli, kiedy mówią o miłości.

– Ochhh – wydał wilgotny, gardłowy odgłos i wiedziała, że już niewiele mu trzeba.

Jego palec podskakiwał w jej wnętrzu. Mogła krzyknąć, żeby przestał, ale zamiast tego przesuwała luźną skórę w górę i w dół, w górę i w dół, skupiając na tym całą swoją wolę, aż ze stłumionym jękiem wypuścił lekko połyskującą smużkę, która spadła małymi okrągłymi kropelkami na gładką płaszczyznę jego brzucha.

– Mmm – mruknęła. – Cśśś.

Rozszedł się zapach wybielacza. Dobiegła końca pośpieszna kapitulacja, niepokojąca i smutna. Trzymała go mocno, dopóki ustały skurcze, aż jego członek zwiotczał w jej rękach, a palec przestał się poruszać, wycofał się, a ona mogła położyć się obok Todda i pocieszać go, otulona ciepłem jego ciała.

Nie rozmawiali. Gdyby wieczór nie był chłodny, mogliby zasnąć. Głowa Susan spoczywała na piersi Todda, unoszącej się i opadającej pod wpływem jego równego oddechu. Uwielbiała te chwile, kiedy mogła leżeć obok niego, tylko spokojnie leżeć, czując się w pewnym sensie współwłaścicielką jego potężnego ciała, delektowała się więc myślą, że zmieściłaby się w nim w całości. Mogłaby je nosić jak zbroję. Z trawy unosił się zapach wilgoci i chłodu. Patrzyła na jego brzuch, na którym były widoczne miniaturowe jeziora spermy, opalizującej wśród cieni przesuwających się w ciemności. Z początku jego wydzielina budziła w niej odrazę, która stopniowo zamieniła się w ciekawość. Ta kleista ciecz pochodziła z organizmu Todda, była częścią tajemnicy, którą krył w swoim wnętrzu. Todd, przewodniczący najstarszej klasy, któremu matka prasowała podkoszulki. Wypuszczanie spermy tak bardzo do niego nie pasowało, że Susan nie mogła powstrzymać wzruszenia. Jego ejakulacje kojarzyły jej się ze stratą, jaką ponosił, a ona, gdy było już po wszystkim, uwielbiała go pocieszać. Obserwowała te maleńkie jeziora, wiedząc, że w następnej sekundzie staną się półprzezroczyste, stracą gęstość i zaczną strużkami spływać mu wzdłuż żeber. Ale teraz były gęstymi białymi kuleczkami połyskującymi pod październikowym niebem. Wyciągnęła palec i dotknęła idealnie okrągłej kropli, która drżała na powierzchni jego brzucha, tuż nad gęstą kępą włosów łonowych. Wy tłumaczyła sobie, że dotyka światła gwiazdy i smutku Todda, jego skrytych pragnień, które tylko jej powierzał. Trzymała swój wilgotny palec uniesiony w chłodnym powietrzu, obserwując jego matowy blask, a potem dotknęła nim języka.

– Co ty robisz? – zapytał.

– Chcę poznać twój smak – odpowiedziała. Smak był taki, jakiego można było oczekiwać po zapachu grzybów i krochmalu w aerozolu, chociaż była w nim jeszcze nuta czegoś surowego i głęboko ludzkiego. Poczowała, jak wstrzymał oddech.

– O Jezu! Sooz.

– Robię to wyłącznie w celach naukowych – wyjaśniła. – Młodzież chce wiedzieć. – Jednak usłyszała fałszywą nutę w swoim głosie. Przeliczyła się. Była prymitywna i groteskowa.

– No i, mhm, jak uważasz? – zapytał.

– To nigdy nie zastąpi lodów.

– Też tak sądzę.

Oboje się roześmiali, ale między nimi wyrosło skrępowanie. Susan mocniej otuliła się swetrem Todda.

– Zimno mi – odezwała się.

– Wiem, mnie też.

– Chyba powinniśmy już iść.

– Tak. Chyba tak.

Wstali i zaczęli się ubierać. Todd wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i wytarł brzuch szybkimi ruchami, zupełnie obojętnie, jak gdyby czyścił przednią szybę samochodu.

– Robi się na to za zimno – zauważył. – Pewnie już w tym roku nie będziemy tu przychodzić.

– Nie. Dziś jest pożegnanie z polem golfowym.

Rozejrzeli się wokół ze zdziwieniem, jak gdyby oboje dopiero w tej chwili zorientowali się, że w ogóle tutaj są. Piaskowe łąki połyskiwały na tle ciemnej trawy.

– Dawniej ślizgaliśmy się tutaj na bryłach lodu – wspominał Todd. – Czy już kiedyś ci o tym opowiadałem? Kiedy miałem dziesięć, może jedenaście lat, wieczorami, Dan, Ronnie i ja przychodziliśmy tu i zjeżdżaliśmy z tych wzgórz na wielkich bryłach lodu.

Poczuła przyspieszony rytm tętna. Jako mała dziewczynka nie miała pojęcia, co to jest pole golfowe. Każdego dnia przesuwaną się cień fabrycznego komina odmierzał kolejne godziny na ścianie szeregowego domu, w którym mieszkała z rodziną. Teraz stała się obywatelką innego państwa, luksusowego i skąpanego w zieleni, w którym sierp księżycy odpowiada na zaczepne i dumne łopotanie ustawionych przez graczy chorągiewek. Spojrzała przelotnie, ale głęboko w łagodną twarz Todda. Miał w sobie naturalną siłę, jak potężna góra. Wszystkie jego charakterystyczne cechy – idealnie symetryczna twarz, krótkie ręce, silnie umięśnione brzuch i pośladki – przywoływały jej na myśl kontynenty.

– Założę się, że byłeś rozkoszny jako dziecko – powiedziała. – Aż nie do zniesienia uroczy. – Potrafiła go sobie bez trudu wyobrazić: mocno zbudowany, o łagodnym usposobieniu, ostentacyjnie pogodny, nigdy nie sprawiający najmniejszego kłopotu.

Wzruszył ramionami z wyrazem zadowolenia na twarzy. Lubił takie trochę legendarne opowieści o swoim dotychczasowym życiu. Sprawiały mu radość trochę ubarwione historyjki na jego temat.

– A ty byłaś księżniczką. Mam rację?

Palcami przygładziła mu włosy i pocałowała w usta. Czasem trudno się było zorientować, które historie wymyślali wspólnie. Czy była znudzoną księżniczką z egzotycznego kraju, która przyjechała tu, by roztoczyć swą tajemniczą odmienność nad polem golfowym i barem „Dairy Queen”? A może była ubogą dziewczynką z baśni, której trafiła się jedna szansa na miliard?

– Och, daj spokój – zbagatelizowała jego pytanie. – Coś mi się zdaje, że dziś wieczór ojciec czeka, aż wrócę.

– Jasne, rozumiem.

Gdyby zatrzymał ją tam minutę dłużej, gdyby powiedział, że nie obchodzi go życie jej ojca, którym rządzą ściśle określone zasady i napady niepohamowanego gniewu, mogłaby zacząć przyzwyczajając się do myśli, że się w nim zakocha. Ale siła Todda tkwiła w tym, że robił właśnie to, czego od niego oczekiwano. Był znany ze swojej wylewnej i ochoczej gotowości do współpracy. Czasami cytował Willa Rogera: „Nie znam nikogo, kogo bym nie lubił”.

Złożyli koc i szli w milczeniu po pochyłym terenie na wysokości czternastego dołka. Todd otoczył Susan ramieniem. Czuła wyraźne muskanie jego oddechu, potężną, niezawodną siłę jego serca. Gdy byli już przy samochodzie jego brata, oparł się o błotnik i przyciągnął ją do siebie. Otaczała go niewidoczna, lecz wyczuwalna warstwa ciepłego, zagęszczonego powietrza o słodkim zapachu old spice’a i vitalisa. Jego bliskość przywoływała jej na myśl gospodarskie podwórze: świeże siano i zady dobrze odżywionych zwierząt pokryte gęstą sierścią.

– Sooz – wyszeptał, a ona poczuła jego oddech na swoim uchu.

– Tak?

– Wiesz, ja... chcę ci powiedzieć, że jesteś wspiana.

Roześmiała się i czule pocałowała go w ucho. Zachowywał się tak, jak gdyby nie mógł się na coś zdecydować.

– Ty też jesteś wspiana, kochanie – szepnęła. Wewnętrzny głos zdawał się jej podpowiadać, że to właśnie jest romantyczne uczucie.

Asfaltowa droga, stalowoszara w ciemności, prowadziła między drzewa i werandy porozrzucanych po okolicy domów. Chevrolet należący do brata Todda lśnił nadzieją na wolność i lepszy los, jaką może nieść samochód. Dlaczego więc w głębi duszy pozostawała niewzruszona? Jak to możliwe, że zachowała zdolność obiektywnego porządkowania

rzeczywistości, tę część siebie, która zauważała samochody i światła werand, a nazwała to uczucie romantycznym? Chciała dać się ponieść emocjom.

– To jest nasz ostatni rok – odezwał się Todd. – Później wszystko się zmieni.

– Wiem. Dopiero będzie frajda. Mam na myśli college i całą resztę.

Przesunął palcem wzdłuż jej kręgosłupa.

– Jasne – powiedział. – Będzie świetnie. Ja tylko... Ach, zresztą nieważne.

– Co? O co chodzi, kochanie?

– Mieszkam tu całe życie. Wiesz. Nigdy stąd nie wyjeżdżałem.

– Wiem. Wiem o tym.

Nabrał powietrza w płuca, tak głęboko, że poczuła się ściśnięta między jego ramionami i uniesioną klatką piersiową. Pierścień mocno wbijał się jej w mostek.

– Dziś jest nasze pożegnanie z polem golfowym – zauważył.

– Tylko na teraz. Możemy tu wrócić wiosną. Todd, kochanie, wszystko będzie dobrze. Ułoży się doskonale, zobaczysz.

– Oczywiście – odpowiedział. – Wiem. Chyba nie sądzisz, że myślę inaczej.

Zaskoczyła ją nuta rozdrażnienia w jego głosie. Todd nigdy nie był zirytowany ani ponury. On był jak stół, na którym ustawiono paterę z pomarańczami i dzban pełen mleka.

– Naprawdę będzie wspaniale, kochanie – zapewniła go skwapliwie. – Pomyśl o college'u. Pomyśl tylko, ile nas jeszcze czeka. To będzie zupełnie inny świat.

Kiwnął kilkakrotnie głową.

– Ale ja lubię ten świat – oznajmił. Skierował wzrok w stronę pola golfowego, gdzie na tle nieba widniał zarys postrzępionych koron sosen.

– Ja też go lubię – powiedziała.

Odwrócił się od niej, a potem spojrział z rozgorączkowaniem i wnikliwością badacza na rząd ciemnych domów stojących nieco dalej wzdłuż drogi.

– Podobają ci się dwupiętrowe domy? – zapytał. – Zawsze chciałem mieć dom z górną kondygnacją. Te jednopiętrowe nie wyglądają tak, jak moim zdaniem powinien wyglądać prawdziwy dom.

Susan sądziła, że zna prawdę o sobie i Toddzie. Ona wciąż całym sercem pragnęła tego, czego jeszcze nie posiadała, a on nie mógł sobie wyobrazić, że można chcieć więcej niż to, co się ma. Z nich dwojga ona była silniejsza, chociaż to on miał wszelkie predyspozycje. Ta prawda zdawała się rozsadzać jej głowę. Nie pasują do siebie. Potem zaczęły ją dręczyć wyrzuty sumienia. Potrzebował jej. Musiała mu pomóc pozostać takim, jaki był. Inaczej chłopiec, który żył w jego ciele, mógłby się wymknąć i krzyżąc przerażony, uciec tą pustą drogą.

– Lubię dwupiętrowe domy – odparła. – Oczywiście, że tak. A teraz przytul się do mnie.

Pocałowała go i ponownie zatopiła się w ogromnym wnętrzu chevroleta, otoczona słodkawym, trochę końskim zapachem Todda. Był taki potężny, taki uległy. Pewnego dnia porzuci go, by się dowiedzieć, ile może się wydarzyć w życiu bystrej i ładnej dziewczyny. Ale zanim to nastąpi, on należy do niej. Miała nieograniczone prawa do jego ciała i życia wypełnionego pracą i nagrodami. Tego wieczoru po raz pierwszy pozwoliła, by ją dotknął pomiędzy nogami delikatną, nieco anonimową główką swego członka.

Z całą pewnością doszło do awantury. Poczowała jej ciężar, gdy tylko weszła bocznymi drzwiami do domu.

– Cześć – zawołała wesoło w stronę pustej kuchni. Panował tu idealny porządek: lśniące naczynia ustawione na suszarce, umyte blaty, rząd miedzianych foremek (rybka, gwiazdka, zajęc) połyskujących nad paprotką w doniczce. Wokół panowała jednak niemal namacalna cisza, wyczuwało się atmosferę spustoszenia.

Przeszła przez kuchnię i zatrzymała się przed swoim odbiciem w lustrze na korytarzu. Fryzura była w porządku, ubranie wciąż wyglądało świeżo i schludnie. Chociaż zazwyczaj starała się nie poddawać fantazjom, teraz wyobraziła sobie boisko do piłki nożnej w chwili, gdy wyczytują jej nazwisko i podnoszą nad jej głową koronę, iskrzącą się w promieniach słońca. Była królową czy księżniczką? Czy pozwoliła Toddowi na zbyt wiele? Wyjęła z włosów źdźbło trawy, a ponieważ nie miała kieszeni, wsunęła je pod bluzkę.

Niezależnie od tego, co tutaj się wydarzyło, teraz w domu panował spokój. Zapewne wszyscy już poszli spać.

Jedynym świadectwem kłótni, oprócz wyraźnego ciężaru w powietrzu, były lampy wciąż palące się w pustych pokojach. Prawdopodobnie ojciec pojechał, a matka uciekła do sypialni, zamknęła się w niej i zasnęła. Susan przechodziła z pokoju do pokoju, gasząc światła, starając się nie myśleć o sobie w koronie, ze łzami w oczach, wybranej. Nieszczęściem było chcieć zbyt wiele. Zgasła światło w jadalni i w salonie. Od kiedy przeprowadzili się do tego miasteczka, uświadomiła sobie coś, z czego nie zdawał sobie sprawy nikt inny w jej rodzinie. Zorientowała się, że ich dom jest tylko namiastką domu. Kanapy i krzesła obite tkaniną w różyczki, blaty stołów o kasztanowym połysku, błyszczące mosiężne lampy – to wszystko stanowiło imitację mebli i elementów wyposażenia, które trzymały się dzięki zszywkom i klejowi. Odstraszały swoją nowością, wydierały lekki zapach chemikaliów. Jedynie ona, Susan, miała okazję bywać w prawdziwych domach. Jej matka – jej biedna matka – sądziła, że niebieska skórzana szkatułka o złożonych krawędziach jest szczytem wytworności i dobrego smaku. Ojciec uważał, że jest tak samo uprzywilejowany jak każdy właściciel domu, w którego oknach odbijały się trawniki i wiązy tych szerokich alei. Ale ją, Susan, zapraszano do środka.

Wiedziała, że w domach innych ludzi na półkach piętrzą się książki. W domach innych ludzi każdą godzinę dostojnie wybijały stare zegary.

Kiedy zgasła światło w kuchni, zobaczyła postać stojącą w ogrodzie na tyłach domu. W pierwszej chwili pomyślała o ojcu i poczuła dreszcz niepokoju – z jakiego powodu miałby tak stać na zewnątrz? Co zamierzał zrobić? Potem postać podniosła do ust papierosa żarzącego się pomarańczowymi iskierkami i w ich migotliwym świetle rozpoznała Billy'ego. Wyszła przez rozsuwane szklane drzwi i stanęła na wybetonowanym tarasie.

– Nie powinieneś palić – odezwała się.

Stał na trawniku, zwyczajnie zaciągając się dymem.

– Spóźniłaś się – powiedział. – To było niezłe widowisko!

– Nikomu nic się nie stało?

– Przypuszczam, że nie. Mama i Zoe poszły spać.

Splotła ręce na piersiach i spojrzała w górę, na gwiazdy. Todd pewnie kładzie się teraz do łóżka, mając na sobie tylko spodnie od piżamy. Małe złote ludziki z piłkami do koszykówki, jego trofea ustawione rzędem na półce, pewnie połyskują nad jego głową jak cudowne zatrzymane w bezruchu marzenia.

– Nie bądź taki patetyczny – powiedziała. – Billy, dlaczego ty zawsze tak dramatyzujesz?

– No cóż, sprawy przybierają dramatyczny obrót. Prawdopodobnie nie zadałabyś tego pytania, gdybyś tu była godzinę temu.

Powoli, czując ogromne zmęczenie, zeszła na trawnik i podeszła do brata.

– Ładna noc – zauważyła.

– Chyba tak. Rzeczywiście należałoby uznać ją za ładną.

Miał teraz piętnaście lat, chodził do drugiej klasy i zamiast dojrzewać, w pewnym sensie zasklepił się w ponurym, nie kończącym się dzieciństwie. Nie miał żadnych zainteresowań. Ubierał się zabawnie, w połatane spodnie dzwony i kwieciste, luźne koszule. Jego jedynymi, nielicznymi zresztą przyjaciółmi byli hippisi i typy spod ciemnej gwiazdy, którzy krążyli w okolicach szkoły niczym bezdomne koty. Todd starał się być miły dla Billy'ego, ale ona

wiedziała, że tak naprawdę nie lubi go. Nie, to nie była prawda. Todd lubił wszystkich. On nie szanował Billy ego. Uważał go za dziwaka, indywiduum. Mówił o nim: „Ten twój brat jest trochę pomyłony”.

– O co poszło? – zapytała.

– Czy to ważne? Jakie to w ogóle ma znaczenie?

Billy nerwowo zaciągnął się papierosem. Jego twarz była zbiorem punkcików i plam. Ostry wystający nos i spiczasta, wysunięta broda, zapadnięte policzki, usta, które nie chciały ułożyć się w żaden konkretny kształt, skóra gęsto pokryta trądzikiem. Susan obawiała się, że te nie do końca ukształtowane rysy pozostaną już takie na zawsze.

– Dla taty to jest trudny okres – próbowała usprawiedliwić ojca. – Ma teraz mnóstwo obowiązków. Sądzę, że powinniśmy uzbroić się w cierpliwość.

– Jasne – skwitował. – Wejdz do środka. Zimno tutaj.

– Nie jest mi zimno. A tak w ogóle, to skąd wzięłeś tego papierosa?

– Robię całą masę rzeczy, o których nie masz pojęcia. Mam swoje drugie nikomu nie znane życie.

Kiwnęła głową.

– Może rzeczywiście wejdę do środka. Ledwie się trzymam na nogach.

– To idź.

– On tylko traci czasem panowanie nad sobą – dodała. – Myślę, że staje się coraz lepszy. Stara się. Musimy być cierpliwi.

– Czy zauważyłaś, że on nigdy nie niszczy rzeczy? – zapytał Billy. – Kiedyś też tak mi się wydawało, no wiesz, że on traci panowanie nad sobą. Ale dziś wieczór, już po awanturze, przyglądałem się temu małemu szklanemu kurczakowi, który stoi na parapecie. Rozumiesz, o co mi chodzi? Jest u nas, odkąd pamiętam, stoi tam pod ręką, na widoku, a on go nigdy nie ruszył. Ostatnio pomyślałem sobie, że to nas chce krzywdzić. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Gdyby rzeczywiście nie panował nad sobą, już dawno roztrzaskałby tego kurczaka w drobny mak.

– Czy coś ci zrobił?

– Tatusz? Nieeee. On mnie nigdy nawet nie dotknął.

– Billy. Podejdz tutaj, bliżej światła.

– Nic mi nie jest.

– Powiedz mi, co się stało.

– Zaledwie kilka ciosów w twarz. Otwartą dłonią. Delikatnych jak pocałunki.

– Chodź tu do światła. Chcę ci się przyjrzeć.

– Daj spokój – powiedział. – Ze mną naprawdę wszystko jest w najlepszym porządku, ale powiem ci jedno.

– Co takiego?

– Pewnego dnia zabiję go, a kiedy już to zrobię, nie chcę, by ludzie mówili, że straciłem panowanie nad sobą. Rozumiesz? Jak będę się z nim rozprawiał, nikogo innego nie skrzywdzę i nic nie zniszczę. Chcę jednak, żeby nie było wątpliwości. Pamiętaj, żebyś wtedy powiedziała, że pewnego wieczoru staliśmy przed domem i ja zdradziłem ci swój zamiar. Zabiję tylko jego. Nikogo więcej. Zrobisz to? Czy zrobisz to dla mnie?

Przycisnęła ręce mocniej do piersi.

– Ależ ty jesteś głupi – odpowiedziała. – Czasami się zastanawiam, czy zdajesz sobie sprawę z tego, jaki jesteś strasznie głupi.

Susan leżała na łóżku przy zgaszonym świetle. Różowe stokrotki na tapecie wirowały w ciemnościach. Kiedy usłyszała samochód ojca, wstała, włożyła szlafrok i zeszła po schodach. Po drodze do kuchni wyjrzała przez okno jadalni, ale nie dostrzegła Billy’ego w ogrodzie.

Może poszedł spać, a może spacerował po okolicy. Wyjęła mleko z lodówki i właśnie stawiała rondel na palniku, kiedy wszedł ojciec.

– Cześć, tato – przywitała go.

Stał w progu, patrząc na nią tak, jak gdyby znał ją kiedyś, dawno temu, ale nie mógł sobie przypomnieć jej imienia ani okoliczności, w jakich się spotkali. Czy on pił?

– Nie mogłam zasnąć – wyjaśniła. – Napijesz się ze mną mleka?

– Susan – powiedział.

– Usiądź. – Przysunęła mu krzesło.

– Co u ciebie, Susan? – zapytał. – Jak tam w szkole?

Znała ten ton jego głosu: staranna wymowa, uprzejma, oficjalna powaga. Gdy był pod wpływem alkoholu, zaczynał mówić z tym swoim charakterystycznym akcentem.

– W szkole wszystko w porządku, tato. Wiesz, jak to w szkole. Siadaj. Tylko podgrzeję, to potrwa minutkę.

Oparł się ostrożnie o lodówkę. Jego twarz była rozplamiona, niewinna jak u chłopca. Wciąż miał na sobie ubranie, w którym chodził do pracy, białą koszulę i krawat w ciemne pasy. Mógł pobić Billy'ego, wyjść rozwścieczony z domu, upić się i wrócić kilka godzin później z idealnie zawiązanym krawatem, to było do niego podobne.

– Zostaniesz królową balu maturalnego – powiedział. – Kochanie, jestem z ciebie taki dumny.

– Teraz będzie zjazd absolwentów, tato. Bal maturalny jest na wiosnę. Zresztą, z tego co wiem dziś, ja będę tylko księżniczką. Królową zostanie prawdopodobnie Rosemary. Ona się tu wychowała. Ma miliony przyjaciół w szkole.

– Ty będziesz królową – obstawał przy swoim. – Tak. O tak, to ty zostaniesz wybrana.

Mleko zaczynało wrzeć przy ściankach rondelka, zamieszała je.

– Nie w Elizabeth, tato. Tutaj jest naprawdę dużo ładnych dziewcząt. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak one się ubierają.

Wstrzymała oddech, jak gdyby miała nadzieję, że uda się jej wciągnąć z powrotem ostatnie zdanie i połknąć je. Nie narzekaj przy nim na brak pieniędzy, skarciła się, nie wtedy, gdy jest w takim stanie. Ale jego twarz się nie zmieniła. Dalej patrzył na nią wilgotnymi, roztargnionymi oczami.

– Księżniczko – powiedział. – Zrobią z ciebie królową. Obiecuję.

Był duży, niebezpieczny i przepełniony miłością. Co by się stało, gdyby nie została wybrana?

– Tytuł księżniczki jest już wielkim zaszczytem – stwierdziła. – No usiądź, tato. Mleko jest gotowe.

Zastanawiała się, dokąd poszedł Billy. Nie zabiłby ojca, tego była pewna, ale gdyby teraz wszedł do kuchni i zaczął się zachowywać tak, jak to on potrafi, trudno przewidzieć, jaka byłaby reakcja ojca.

– Jesteś kimś więcej – powiedział, siadając na krześle. – A twoje sprawy? Jesteś szczęśliwa? Jak tam z Toddem?

– Todd jak Todd – powiedziała, wlewając parujące mleko do dwóch kubków.

– W szkole jak to w szkole, a Todd jak Todd. To nie brzmi za dobrze, Nie wygląda na szczęście.

Postawiła przed nim kubek.

– Och, nie zwracaj uwagi na to, co mówię. Naprawdę jest świetnie. Tyle tylko, że czuję zbliżający się koniec szkoły.

– Hę?

– Wiesz, ostatnia klasa. Już nie możesz się doczekać końca, kiedy jest tak blisko. Wobec czegoś takiego nawet medycyna jest bezradna.

Kiwnął głową. Zajrzał do kubka.

– Twój brat i ja mieliśmy dzisiaj wieczorem małe nieporozumienie – zmienił temat.

Tak bardzo chciał, żeby było jak najlepiej. Potrafił wyrządzić tyle krzywdy.

– Słyszałam – powiedziała. – Wolałabym, żebyście się nie kłócili w ten sposób.

– Powiedz to jemu, nie mnie. Chcesz wiedzieć, jak mnie nazwał?

– Jak?

– Nazwał mnie świnia. Świnia.

– Och, tato.

– Tak jak nazywa policjantów. Nazwał mnie pieprzoną świnia, przepraszam za wyrażenie.

Tak ostatnio odnosi się do mnie twój brat.

– Musisz czasem machnąć na to ręką.

– Twoja matka kazała mi się wynosić z domu...

W jego głosie słyhać było narastające napięcie. Twarz mu pociemniała.

– Ona się denerwuje – usprawiedliwiała matkę Susan. – Żyje w napięciu, wiesz przecież, te kłótnie ją wykańczają.

– Pewnie tak. Chyba masz rację. Ty sporo wiesz, prawda? Masz tylko osiemnaście lat, a tyle już wiesz.

– Wcale nie tak dużo. Tato, jest już późno. Muszę iść spać.

– Żeby twoja matka wiedziała choć połowę tego co ty. Boże. Tak bym chciał, żeby nie była ciągle taka rozgniewana.

– Muszę wstać za pięć godzin...

Położył rękę na jej dłoni. Rozpoznała uczucia malujące się na jego twarzy – miłość, tęsknotę i bezgraniczny smutek.

– Susie. – Jego twarz przybrała błagalny wyraz jak u dziecka, oczy wyrażały głębokie, choć bliżej niesprecyzowane, niecierpliwe dziecięce pragnienia.

– Jestem tu – powiedziała. – Jestem tutaj.

Nie poruszała się. Czuła strach i lekkie poruszenie. To nie było pożądanie. Niezupełnie pożądanie. Uświadomiła sobie, jaką mogłaby mieć siłę. Usłyszała swoje imię wyczytane na boisku futbolowym, ujrzała uniesioną koronę rozbłyskującą w słońcu. Powoli, z czułością, smukłymi rękoma objęła jego dużą udreńczoną głowę i obróciła jego twarz w swoją stronę. Jego oddech był przesycony zapachem piwa, intensywnym, ale nie nieprzyjemnym. Ludzkim. Myślała, że on się odsunie. Ale nie zrobił tego. Była przerażona. Pozwoliła, by pocałunek trwał.

Słowa uwięzły Zoe w gardle. Pozostało jej tylko patrzeć. Z bluszczu, który zdawał się powoli opuszczać porcelanową donicę, opadł liść. Kurz zajaśniał i przygasł w smudze światła, jakby jakiś duch przemknął nad dywanem, zawodząc cichutko z żalu za tym wszystkim, czego nie mógł odnaleźć.

– Zoe? – zawołała mama. – Jesteś tam?

Przytaknęła ruchem głowy. Rozległ się stuk obcasów mamy o deski podłogowe. Weszła do pokoju spowita obłokiem perfum. Świdrującym, roziskrzonym wzrokiem ogarnęła całe pomieszczenie. Jej spódnica zaszeleściła, ocierając się o nylonowe pończochy.

– No tak, oczywiście – powiedziała. – Jeszcze nie ubrana, gniazdo na głowie. Zoe, on tu będzie za dwadzieścia minut. Czy to w ogóle do ciebie dociera? Rozumiesz?

– Uhm – mruknęła Zoe.

– A więc ruszysz się wreszcie?

– Moja sukienka jest ohydna.

Usta mamy cmoknęły z dezaprobatą. Wyraźnie sprzeciwiały się zachciankom i zrobiły się wąskie jak kreska.

– Mogłaś mi powiedzieć w zeszłym tygodniu, że sukienka ci się nie podoba – oświadczyła mama. – W zeszłym tygodniu jeszcze można było coś zaradzić. Teraz chcę, żebyś włożyła właśnie tę sukienkę, uczesała się i umyła twarz. Masz na to dziesięć minut. Jasne?

Zoe kiwnęła głową. Wsunęła palce rąk pomiędzy palce u nóg. Na górze tato gwizdał tylko sobie znaną piosenkę.

Mama nie znosiła jego gwizdania, chociaż nigdy by tego nie powiedziała. Te piosenki jak igły wbijały się w jej skórę, a ona nauczyła się lubić ten ból.

– Zoe! – Mama położyła dłoń z różowo pomalowanymi paznokciami na ramieniu Zoe i energicznym ruchem podniosła ją z krzesła. – Doprowadzasz mnie do szału. Wiesz o tym? Teraz już chodź. Sama cię ubiorę.

Zoe pozwoliła mamie wyciągnąć się z pokoju i zaprowadzić schodami na górę, obok zawieszonych na ścianie zdjęć. Minęła swoje, zrobione, kiedy była malutką dziewczynką, przestraszona, ubrana w piżamkę w tańczące niedźwiadki. Za nim ślubne zdjęcie rodziców i fotografię Susan w sukieneczce do chrztu. Przeszła obok zdjęcia mamy jako młodej dziewczyny, w naszyjniku z pereł i z chłodnym, pełnym nadziei uśmiechem na ustach.

Zoe była pewna, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Panna młoda musi żyć zgodnie z pewnym planem, musi mieszkać w domu. Ona najchętniej zamieszkałaby pod gołym niebem, jadła zupę z kory i deszczówki. Nie była stworzona do życia w czterech ścianach.

– ...nie prosiłam chyba o zbyt wiele – mówiła mama. – Na dwunastoletniej dziewczynce powinno się móc polegać, wiedzieć, że się sama wyszykuje i że nie trzeba jej będzie stale kontrolować i niańczyć, przynajmniej tyle. Prawdę mówiąc, czasami nie mam pojęcia, co z tobą począć.

Mama zaprowadziła ją do największej sypialni; tam czas płynął o wiele wolniej niż gdzie indziej. Biała narzuta na łóżku była cichym świadectwem cierplivej trwałości bieli. Dwoje połyskujących srebrem tancerzy, mężczyzna i kobieta, zastygło w pół obrotu na ścianie. Mama posadziła Zoe przed toaletką – zastawioną słoiczkami, tubkami i małymi szklanymi buteleczkami – która wyglądała jak miniaturowe miasteczko kosmetyków. Tętniło własnym zagmatwanym i skomplikowanym życiem, wydawało się, że tu znajduje się centrum czegoś znacznie większego.

Zoe wolałaby mieszkać gdzie indziej, pozwolić włosom rosnąć i układać się swobodnie. Wolałaby pachnieć jak mech i sierść.

– Tylko siedź spokojnie – ostrzegła mama, biorąc do ręki swoją szczotkę do włosów. – Może trochę boleć. Powiedz mi, Zoe, jak ty to robisz, że masz tyle kołtunów? Co ty właściwie wyczyniasz z tymi włosami?

Zoe obserwowała siebie i mamę w okrągłym lustrze. Trudno było nie dostrzec, że sama jest zaprzeczeniem piękna. Miała niesforne brwi i haczykowaty nos. Początkowo był podobny do nosa mamy, potem zaczął przypominać bardziej wydatny nos Susan, po czym ostatecznie rozpląszczył się między małymi, czarnymi oczami i wystającą brodą.

Była inna niż pozostali członkowie rodziny. Nie potrafiła zachowywać się tak jak oni.

– Mmmm – mruzczała mama, próbując rozczesać włosy Zoe.

Z łazienki na drugim końcu korytarza znów dobiegło gwizdanie taty. Na ten odgłos mama bardziej energicznie zaczęła operować szczotką, rozplątując grube, czarne supły. Zoe przygryzała wargi z bólu.

– Zaraz kończę – powiedziała mama. – Gdybyś zrobiła to godzinę temu, kiedy był jeszcze czas, nie trzeba by było się teraz tak śpieszyć.

– Mamo, czy nie widziałaś mojej bransoletki z klejnocikami? – dobiegł z korytarza głos Susan.

– Czy czego nie widziałam?

Susan stanęła w progu sypialni.

– Mojej bransoletki z klejnocikami – powtórzyła.

Jej twarz znalazła się blisko twarzy mamy. Wszystkie trzy były teraz widoczne w lustrze. Oczy Zoe zatrzymały w kadrze tę chwilę milczenia.

– Może jest w twojej szkatułce?

– Myślisz, że tam nie zaglądałam?

– Więc może masz ją w kieszeni płaszczka? Pamiętasz, jak ostatnim razem myślałaś, że ją zgubiłaś...

– Tam też sprawdzałam. Szukałam już wszędzie.

– Czy koniecznie musisz ją założyć?

– Ja chcę ją założyć.

Mama wydała cichy pomruk, który miał oznaczać rezygnację.

– A więc dobrze – westchnęła. – Ty skończysz rozczesywać włosy Zoe, a ja pójde poszukać twojej bransoletki.

Wręczyła Susan szczotkę. Mamy odbicie zniknęło z lustra i w korytarzu rozległ się niecierpliwy stukot jej wysokich obcasów.

– Ajajaj, Zo, co ty masz na tej głowie – zdziwiła się Susan. Wniosła ze sobą charakterystyczny, delikatny zapach mydła, optymizm i pewność siebie.

– Ja nie chcę, żeby ktoś robił mi zdjęcie – zaprotestowała Zoe.

– Niestety nie ma odwołania. Czy ci się to podoba czy nie, i tak będziesz na bożonarodzeniowym zdjęciu. Teraz uważaj, może trochę zabołec.

– Auu – jęknęła Zoe, chociaż teraz o wiele mniej bolało, niż gdy czesała ją mama.

– Bądź dzielna.

– Nie znoszę, kiedy robią mi zdjęcia – marudziła Zoe. – Nie cierpię sukienki, którą ona mi kupiła.

– Wiem, wiem. Wszystko jest okropne. Przepraszam, spójrz tylko na ten supeł.

W lustrze ukazało się odbicie taty. Jego masywna sylwetka. Przejęta twarz, która ani na chwilę nie przestawała się poruszać.

– Witam, moje panie – powiedział. – Jak tam przygotowania?

– Właśnie walczę z włosami Zoe – wyjaśniła Susan. – Jest to zdumiewające zjawisko. Wyglądają na włosy, a kiedy próbujesz rozczesać je szczotką, widzisz, że jest to coś zupełnie innego. Splątany drut czy coś w tym rodzaju.

Tato położył rękę na ramieniu starszej córki.

– Musimy się pośpieszyć – powiedział łagodnym głosem. – Ten facet od zdjęć będzie tutaj lada chwila. Wasza matka zaczyna tracić głowę.

– Zdaje mi się, że to nie koniec Bożego Narodzenia, nic się nie stanie, nawet jeśli będzie musiał poczekać na nas pięć minut – stwierdziła Susan.

Tato skinął głową i uśmiechnął się. Właśnie taka była prawidłowa odpowiedź.

– Znalazłam ją! – zawołała mama. – Była w koszu na brudną bieliznę. Na miłość boską, mogłabym ją przecież niechcący wrzucić do pralki.

Weszła do pokoju, ale jej odbicie nie pojawiło się w lustrze. Tato cofnął rękę z ramienia Susan.

– Zoe jest już prawie gotowa – powiedziała Susan.

W lustrze ukazała się twarz mamy. Powietrze wypełniło się hałaśliwymi możliwościami, elektryzującym zniecierpliwieniem.

– Pozwól, że ja dokończę.

Wzięła szczotkę od Susan i przeciągnęła nią po włosach Zoe tak mocno, że najgłębiej ukryte myśli zostały wyszarpięte na powierzchnię mózgu. Łzy napłynęły Zoe do oczu, myśli zagotowały się w jej głowie. Nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku.

Później wszyscy razem usiedli w salonie wypełnionym popołudniowym światłem zachodzącego słońca, a pan Fleming ustawiał ich do zdjęcia. Był to niski, ruchliwy mężczyzna, w grubych okularach, sprawiający wrażenie wiecznie zdziwionego. Wydawało się, że nieustannie przed jego szczupłą, poważną twarzą rozgrywają się jakieś wydarzenia niewidoczne dla nikogo poza nim. Jego aparat stał na trzech bocianich nogach i mierzył swoim niewidzącym okiem w kierunku pokoju.

– Proszę się odprężyć – powiedział fotograf, obniżając lampę. – To zajmie tylko kilka minut. Dobrze? Kilka minut.

Zoe siedziała na kanapie razem z Billym. Miał na sobie niebieską marynarkę; z butonierki intrygująco wystawała czerwona chusteczka, jak zaszczytny symbol wtajemniczenia. Chłopak usiadł w taki sposób, żeby wydawać się większym, niż był w rzeczywistości, z szeroko rozstawionymi nogami i chudymi rękoma rozłożonymi na poduszkach. Uważał, że pewne rzeczy są istotne, ale niekoniecznie trzeba je traktować poważnie.

– Wspaniała suknia – mruknął do Zoe kątem ust.

Skurczyła się w sobie. Jej czoło poczerwieniało.

Czasem Billy mówił to, co rzeczywiście miał na myśli, innym razem jego słowa znaczyły zupełnie co innego. Sukienka była zielona, na wysokości talii ozdobiona czerwoną kokardą wielkości główki kapusty. Kiedy mama przyniosła ją do domu, Zoe wzruszyła ramionami z beztroską aprobatą. Z jakiegoś powodu nie w pełni uświadamiała sobie, że miała ją na sobie włożyć, i to już wkrótce.

– Niech dzieci usiądą na kanapie – dyrygowała mama. – Con, my możemy stanąć tutaj, z tyłu.

Wokół niej narastała atmosfera rozczarowania i dezaprobaty. Już teraz przygotowywała się na to, że będzie niezadowolona z wszystkich próbnych odbitek, które przyśle pan Fleming.

– Mamo, przecież tak jest co roku – zauważył Billy.

– A więc, profesorku – zwróciła się do niego mama – może masz jakiś lepszy pomysł?

– W tym roku chciałabym stać – wtrąciła się Susan. – Kiedy siedzę, wyglądam grubo.

Miała na sobie sukienkę, którą sobie wywalczyła, z białymi koronkami i szmaragdową szarfą. Mama uważała, że nie jest to wystarczająco odświętny strój. Susan jednak z lodowatą bezwzględnością potrafiła się domagać tego, na czym jej zależało. Mama miała różnorodne pragnienia. Chciała, by Susan włożyła sukienkę bardziej odpowiednią na Boże Narodzenie, ale jednocześnie dla Billy'ego pragnęła nowych hiszpańskich skórzanych mokasynów wprost z Kordoby, innej fryzury dla siebie (czy nie będzie wyglądała zbyt młodzieżowo?) i szczęściu

pudełek białych lampek choinkowych zamiast kolorowych, które zresztą zupełnie niedawno sama kupiła. Susan zawsze potrafiła dopiąć swego, z jubilerską precyzją wiedząc, czego chce.

– To będzie śmiesznie wyglądało, jeśli troje z nas stanie z tyłu, a tylko Zoe i Billy zostaną na kanapie – stwierdziła mama.

– Może usiądziesz między Zoe i Billym – zwrócił się do niej tata – a Susie i ja możemy stanąć z tyłu.

Mamy usta zacisnęły się mocno, przybierając charakterystyczny kształt kreski. Wyrażały zdecydowaną odmowę, a mama się nachmurzyła. Miała na sobie czerwoną sukienkę z wpiętą gałązką ostrokrzewu i trzema szklanymi kuleczkami w złotym kolorze, podrygującymi na wysokości piersi.

– A gdybyśmy ty i ja usiedli na kanapie? – zaproponowała. – Wtedy dzieci stanęłyby z tyłu.

– Zoe jest za niska – zauważył Billy. – Będzie jej widać tylko czubek głowy.

Mama przyznała mu rację.

– Dobrze więc – powiedziała. – Właściwie nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Jest to zupełnie obojętne. Ja usiądę, a ty, Susan, staniesz z tyłu razem z ojcem.

Zgubiła się w zbyt wielu możliwościach. Chciała stanąć za kanapą razem z tatą, ale chciała również mieć nowe płyty z koleśkami, komplet talerzy ręcznie malowanych w lizaki w kształcie cukrowych laseczek do zawieszania na choince i naszyjnik z prawdziwych pereł, by podarować go Susan na zakończenie szkoły średniej.

– Proszę się przygotować – powiedział pan Fleming. – Proszę zająć swoje miejsca.

Mama usiadła na kanapie między Billym i Zoe. Wypełniła powietrze swoim nerwowo drżącym blaskiem, rozpierając ją dumą i cichym pobrzękiwaniem kolczyków. Za trzy tygodnie świąteczne kartki wrócą od drukarza z napisem: „Wesołych Świąt życzy rodzina Stassos”.

– Panie Fleming? – zwróciła się mama do fotografa. – Jak to pańskim zdaniem wygląda? Jako kompozycja.

Fotograf przesunął lampę o centymetr. Spojrzał na rodzinę Stassos pełnymi podziwu oczami krótkowidza.

– Dobrze – powiedział. – Doskonale. Prawie idealnie. Susan, stań trochę bliżej ojca. Tak jak teraz. Właśnie w tym miejscu. Świetnie.

Zoe przesunęła się na poduszce kanapy. Zmieniła ułożenie rąk, starając się zasłonić czerwoną kokardę na wysokości talii.

– Zoe, nie wierć się – skarciła ją mama. Pochyliła się do Billy’ego i poprawiła chustkę w jego butonierce. Powiedziała mu coś szeptem, a on roześmiał się głośno. Zoe obejrzała się za siebie, na stojących za kanapą tatę i Susan. Przeszło jej przez myśl, że siostra ma na sobie ślubną suknię, błyszczącą i całą w koronkach. Stała obok taty taka spokojna i piękna.

– Świetnie – powtórzył pan Fleming. – Wyglądacie imponująco. Teraz bądźcie tak mili i uśmiechnijcie się wszyscy.

Zoe zorientowała się, że obiektyw aparatu jej nie obejmuje. Przesunęła się bliżej środka kanapy. Wciąż jednak pozostawała poza zasięgiem obiektywu.

– Hej, Zoe – zawołał pan Fleming. – Uśmiechniesz się wreszcie? No, zrób to dla mnie.

Skinęła głową. Uśmiechnęła się. Pokój wypełnił się ostrym światłem.

Już za późno, żeby się wycofać. Susan zaangażowała się w pocałunki, a teraz w żadnym języku nie można odmówić. Pozostało tylko przyzwolić. Nie mówiąc nic, nie nadawało się temu konkretnego kształtu, nie istniał ani początek, ani koniec. Jedynym wyjściem było nic nie mówić.

Gdyby to nie ona zaczęła, gdyby była niewinna, mogłaby się sprzeciwić. Dziewczyna bez winy mogłaby tak postąpić.

Będąc sobą i nie mogąc być nikim innym, dopuściła do tego. Chciała, żeby tak się stało. Nie to, żeby tego nie chciała. Zresztą tylko się całowali i obejmowali. W dodatku wyłącznie wtedy, gdy wypił. Była jednocześnie małą dziewczynką i pielęgniarką. Całował ją czule, żartobliwie. Uważał na swoje ręce.

Nie on był winien, nie do końca. Sama zaczęła, a teraz ta sytuacja trwała, stała się ich wspólną tajemnicą. Odmawiając, nadałoby się jej nazwę.

Pozostały dwie minuty do przerwy. U podnóża trybun w pełnej gotowości czekała orkiestra. W trąbkach i puzonach igrały złociste refleksy. W trakcie wykonywania piosenki zagrzewającej ich drużynę do walki Susan i Rosemary uśmiechały się do siebie. Jeszcze dwie minuty. Wszystkie cztery cheerleaderki zrobiły gwiazdy, a Dottie Wiggins, ciesząca się popularnością mimo braku urody, zaczęła się wygłupiać przed publicznością, raz po raz ocierając pot z czoła, jakby wykonała ciężką pracę. Mroźne powietrze wypełnił śmiech. Ktoś wypuścił w górę serpentynę połyskującą na tle czarnego nieba ciemnoczerwoną wstążką.

– Zwycięstwo, zwycięstwo, to nasze hasło jest. Zwycięstwo.

Kiedy gra została wznowiona, Susan i Rosemary stanęły blisko siebie i obserwowały płytę boiska.

– Denerwujesz się? – zapytała szeptem Rosemary.

– Nie. Trochę. A ty?

– Nie. Przecież wiem, że wygrasz.

– Nie, to ty wygrasz.

Podano piłkę do tyłu. Rdzawoczerwone koszule zwały się z pomarańczowymi. Susan słyszała stękania, krzyki oraz plaśnięcia zderzających się ze sobą kasków, układające się w melodię. Podkręcona piłka poszybowała, zataczając szeroki łuk, a Rosemary zapytała cicho:

– Widziałas Marcie? Wygląda, jakby wybierała się na Halloween.

Susan, krzywiąc się, kiwnęła głową. Marcia Rosselini była piękną dziewczyną bez skrupułów, która miała za sobą wszystkie stopnie wtajemniczenia. Kiedy ogłoszono nominacje, Rosemary zwróciła się do Susan i stwierdziła:

– Marcia namówiła wszystkich chłopaków, z którymi spała, żeby oddali na nią głosy.

Chociaż Susan nie pogardzała Marcją tak jak Rosemary, zdawała sobie jednak sprawę z niestosowności tej nominacji. Trudno było kwestionować urok wspaniałych kasztanowych włosów i orzechowych oczu Marcii, jej lekki i sprężysty, a przy tym powabny sposób poruszania się. Była najpiękniejszą dziewczyną w szkole. Ale zmieniała chłopców jak rękawiczki i szła na całość. Trwoniła urodę jak spadkobierczyni, która przepuszcza cały majątek w ciągu kilku szalonych, barwnych lat życia. Chłopcy krążyli wokół niej niczym wygłodniałe psy, warcząc i kłapiąc zębami, a Marcia, pomimo swego ogromnego powodzenia, była żałosna. Ponieważ na pożarcie psom rzucała siebie. Ponieważ śmiała się zbyt znacząco, nosiła obcisłe spódnice i ponieważ w końcu zamieszka w Elmont czy Uniondale, jako żona najbardziej porywczego i atrakcyjnego faceta, który na jej skórze będzie znaczył kolejne lata napadami złego humoru i nałogami. Nietrudno było spotkać takie Marcie

sprzed dziesięciu i dwudziestu lat, pracujące teraz jako kelnerki czy kasjerki albo pokrzykujące z frontowego ganku na swoje niesforne dzieci. Żyły marzeniami, które w ich wypielegnowanych, wprawnych dłoniach przemieniły się w garść popiołu.

Wyróżnienie takie jak tytuł królowej wcale nie było wyrazem zwyczajnego i ulotnego podziwu ze strony płci przeciwnej. Wybór na królową zjazdu absolwentów był zapisany w gwiazdach. Królowa odznaczała się gracją. Była wyjątkowa. Miała wystarczająco silną osobowość, by nie okazywać nieśmiałości, a wszelkie popełniane przez nią błędy wypalały się do czysta w gorącym blasku jej chwały.

– Marcia nie wygra – stwierdziła Susan. – Nie może. Ty wygrasz.

– Nie, myślę, że to ty zostaniesz królową – odpowiedziała Rosemary. – Takie mam przeczucie.

Susan ścisnęła rękę przyjaciółki. Niech i tak będzie, zgodziła się, przynajmniej sama przed sobą. Usilnie pragnęła wygrać. To zwycięstwo było jej potrzebne bardziej niż Rosemary. Zaczęła nawet się modlić: „Boże, błagam, spraw, by mnie wybrano. Pozwól mi być tą jedyną”.

W przerwie meczu, kiedy orkiestra wmaszerowała na płytę boiska, Susan wraz z Rosemary i Marcją stanęły na linii wyznaczającej środek boiska. Susan i Rosemary miały na sobie stroje cheerleaderek. Marcia była ubrana w mocno wyciętą jasnoniebieską sukienkę, jej szyję zdobił szafir zawieszony na cienkim złotym łańcuszku. Miała wystające kości obojczykowe i małą, kształtną głowę. Oczy podkreśliła grubą czarną kredką i na powieki, aż do linii brwi, nałożyła błyszczące, niebieskie cienie. Spojrzała na Susan i Rosemary charakterystycznym sennym i zniecierpliwionym wzrokiem.

– A więc teraz się wszystko rozstrzygnie, moje drogie – odezwała się.

Rosemary uśmiechnęła się i oderwała kłaczek ze swojego swetra. Nienawidziła Marcii tak, jak gospodyni domowa nienawidzi nieporządku. Susan natomiast żywiła dla Marcii pewien podziw za jej arogancką pewnością siebie, ale tak bardzo obawiała się losu, jaki szykowała sobie tamta, że w jej obecności czuła zawroty głowy.

– Właśnie – powiedziała Susan z nutą obawy w głosie. – Idzie przewodniczący.

Todd podszedł do nich, uśmiechając się szeroko, wyprostowany jak struna, z niedbale wsuniętą do kieszeni lewą ręką. Poruszał się w taki sposób, jakby każda kolejna sekunda tej uroczystości była jego wielkim wejściem. Trzymał zapieczętowaną kopertę. Do niego, jako przewodniczącego klasy, należało odczytanie nazwiska zwycięzcy. Był ubrany w szare spodnie i granatową marynarkę, którą znała tak dobrze jak własną odzież. Poczuła się ważna, wyróżniona, ponieważ to ona leżała półnaga pod gwiazdzistym niebem, trzymając głowę na tej marynarce. Potem ogarnął ją wstyd z powodu tego, co zrobiła, czuła się winna. Trudno jej było rozeznać się we własnych uczuciach.

– Cześć, dziewczyny – przywitał się Todd z uśmiechem. – Jesteście gotowe?

Ponieważ wiedział, co znaczy obowiązek, nie spojrzał bezpośrednio na Susan. Nie mrugnął do niej ani nie uśmiechnął się znacząco. Wypełniając swoją oficjalną misję, zachowywał się tak, jak gdyby był w przyjacielskich, lecz luźnych stosunkach ze wszystkimi trzema kandydatkami, za co Susan przez chwilę szczerze go nienawidziła. Spojrzała na Marcję, która prawdopodobnie miała za nic Todda, zawodnika drużyny, zbyt nudnego i zbyt honorowego.

– Miejmy to już za sobą – powiedziała Marcia.

Susan zastanawiała się, czy ta dziewczyna jest aż tak pewna swego przyszłego losu, że rzeczywiście nie dba o to, czy zostanie wybrana. Gdyby wygrała – za sprawą swojej głupoty, urody i zrzędzenia losu, na jaki jest skazana – wieczór skończyłby się dla niej na tym, że pijana, śmiejąca się w głos, z rozmazanym makijażem, zakładałaby koronę wysadzaną kryształami górskimi na członek Eddiego Gagliostri w stanie wzdrodu. W Susan wzbierała zazdrość silniejsza od tej, którą odczuwała, myśląc o Rosemary czy innych popularnych,

dobrze ułożonych dziewczętach. Złośliwa i zdzirowata Marcia stworzyła sobie świat, w którym porażka nie miała żadnego znaczenia, ponieważ nie miało go również zwycięstwo.

Rosemary delikatnie uszczypnęła Susan w ramię przez sweter, wrywając ją z zamyślenia. Rosemary była jej najlepszą przyjaciółką, prawdziwą siostrą. Susan pragnęła być taka jak ona. Todd poprowadził dziewczyny na środek boiska, gdzie członkowie orkiestry półkolem otoczyli jasnozielonego cadillaca z opuszczanym dachem, którym królowa wraz ze swoją świtą okrążą płytę boiska. Chłopcy z niższych klas stali z aparatami i lampami błyskowymi, gotowi do robienia zdjęć. Peggy Chandler, ubiegłoroczna królowa, czekała, by udekorować koroną tegoroczną triumfatorkę. Ładna, energiczna dziewczyna była wystrojona w drogą suknię z przypiętymi czerwonymi makami. Przyjechała pociągiem z Albany, gdzie wkrótce wyjdzie za mąż za asystenta prokuratora stanowego.

– Powodzenia – szepnęła Rosemary.

– Powodzenia – odwzajemniła się Susan. Poczowała, że kręci się jej w głowie, z trudem łapała oddech. Świat skurczył się jej przed oczami. Proszę, powiedziała w myślach. Boże, proszę. Ani Rosemary, ani Marcia nie potrzebowały korony tak bardzo jak ona. Obie już teraz znajdowały się na drodze do miejsc, do których zamierzały się udać.

Dziewczęta stały w rzędzie przed maską cadillaca, zwrócone twarzami w stronę trybun. Peggy Chandler, w swojej pięknej sukni, stała z boku opanowana i zadowolona. Susan wiedziała, gdzie siedzi jej rodzina, jednak z miejsca, w którym stała, nikogo z nich nie było widać. Wtopili się w falujący, wiwatujący tłum. Świat był tak ogromny. Tak wiele można było wygrać albo stracić. Todd wszedł na podwyższenie. Ustawił mikrofon, krzywiąc się, gdy ten trzeszczał, a potem uśmiechnął się szeroko do zgromadzonych.

– Witam wszystkich zebranych. – W głośnikach jego głos dudnił, grzmiał i przybierał niskie tony. – Witam kolegów absolwentów. Mam nadzieję, że mecz wam się podoba. Nie, nie tak. Muszę wprowadzić drobną poprawkę. Mam nadzieję, że podoba wam się, jak rozprawiamy się z Panterami.

Rozległy się okrzyki i gwizdy. Rdzawoczerwone wstęgi wleciały w górę. W świetle lamp posypały się konfetti.

– My, Trojanie, jesteśmy znani w tych stronach z woli współpracy, z honoru i zaciętości na boisku. To znaczy, niektórzy z nas. Są też wśród nas tacy, którzy słyną z urody i wdzięku. Nadeszła chwila, by ukoronować tę z dziewcząt, której przymioty zasługują na największe uznanie. Panie i panowie, mam zaszczyt ogłosić, której z nich przypadnie tytuł królowej meczu zorganizowanego z okazji zjazdu absolwentów w 1968 roku.

Znów rozległy się wiwaty, ale już nie tak głośne. Todd pochylił się do mikrofonu. Jego twarz z profilu była poważna, wyrażała profesjonalizm. Miał niskie czoło, krótki nos i szczękę tak masywną, że Susan czasami zastanawiała się zupełnie mimowolnie, jaki kształt może mieć cała jego czaszka.

– Pozwólcie, że na początku zaznaczę, że każda z tych trzech pięknych dziewcząt zasługuje na tytuł królowej. Wszystkie trzy, każda na swój sposób, reprezentują ideał Trojan. Jednak tradycja nakazuje wybrać tylko jedną. Tak więc, bez dalszej zwłoki...

Unióśł nieskazitelnie białą kopertę. Otworzył ją i wyjął kartkę białego papieru. Jego szeroka, łagodna twarz pozostała niewzruszona.

– Pozwólcie, że przedstawię pierwszą księżniczkę meczu z okazji zjazdu absolwentów w 1968 roku. Jest nią Marcia Rosselini.

Ponad tłum wzniosły się okrzyki, wśród których słyhać było pojedyncze gwizdy. Marcia uśmiechnęła się i uniosła wyżej brodę, jak gdyby nie zgadzała się na to, żeby Peggy Chandler wręczyła jej czerwoną różę należną księżniczce. Rosemary i Susan niemal równocześnie odwróciły się do siebie. Każda z nich wiedziała, że nie może pozwolić sobie na to, by zdradzić choć cień ulgi czy triumfu.

– Ty wygrasz – powiedziała Rosemary, poruszając bezgłośnie ustami.

Susan przecząco potrząsnęła głową odchyloną nieco do tyłu, chcąc przez to powiedzieć: „Nie, tytuł przypadnie tobie”. Przez chwilę nawet chciała, żeby to Rosemary została królową, żeby jej przyjaciółka nigdy nie poznała uczucia rozczarowania. Przez tę krótką chwilę pragnęła, by doskonała Rosemary osiągała jeszcze większą doskonałość, aż stanie się uosobieniem wszystkich kobiecych zalet, a ona, Susan, zostanie jej akolitką.

– Teraz nadszedł kulminacyjny moment – powiedział Todd do mikrofonu. W powietrzu zawisła cisza, przerywana tylko cichymi trzaskami głośnika i dalekim płaczem dziecka. – Przedstawiam księżniczkę Susan Stassos i królową zjazdu absolwentów 1968 roku, Rosemary Potter.

Rosemary i Susan padły sobie w ramiona. Susan doznała ulgi, przepełniało ją uczucie zadowolenia, że oto rezygnuje z własnego sukcesu dla dobra przyjaciółki. Tak, oczywiście. Rosemary zawsze miała wygrywać, właśnie po to się urodziła. Susan poczuła muśnięcie jej włosów i pomyślała: „Jestem pierwszą osobą, która obejmuje królową”. Zebrani goście wiwatowali. Kiedy Rosemary i Susan odsunęły się od siebie, zwyciężczyni płakała, a Susan zdała sobie sprawę, że jej oczy są suche.

– Moje gratulacje – powiedziała. Zdziwiła się, słysząc oficjalny ton swego głosu.

Rosemary kiwnęła głową, nie mogąc przez łzy wydobyć z siebie ani słowa, a Susan kompletnie zaskoczona zrozumiała, jak bardzo również Rosemary chciała zostać królową, jak bardzo zależało jej na tym, żeby ukończyć szkołę pełnym i niczym nie zmałym zwycięstwem. Poczuła, jak sztywnieje w objęciach przyjaciółki. Rosemary powiedziała: „Ty wygrasz”, wiedząc – wiedziała z całą pewnością – że Susan nie ma szans. Susan nosiła greckie nazwisko. Nie była blondynką.

Rozdzieliły się. Uśmiechały się do wiwatującego tłumu. Peggy Chandler objęła Rosemary i ostrożnie założyła jej na głowę diadem z górskich kryształów. Dała Susan różę, ucałowała w policzek, nie dotykając go ustami, a następnie wręczyła Rosemary tuzin róż zawiniętych w bibułkę. Susan spojrzała na Todda. Patrzył prosto na nią, uśmiechając się. Odpowiedziała mu uśmiechem. Wyjdę z tego obronną ręką. Ta porażka mnie zmieniła, ale wyjdę z tego cało, pomyślała.

Orkiestra zagrała *Stardust* i trójka dziewcząt zajęła miejsca na tylnym siedzeniu kabrioletu. Rosemary trzymała Susan za rękę. Nie rozmawiały ze sobą. Pozdrowiały gości zgromadzonych na trybunach. Samochód wolno objeżdżał wkoło boisko, wśród okrzyków widzów. Susan przesuwiała palcem wzdłuż łodygi swojej róży i zastanawiała się, czego się właściwie spodziewała. Może była zaskoczona dlatego, że jej oczekiwania tak całkowicie się sprawdziły. Być może sądziła, że oczywiste przeznaczenie Rosemary, łatwość, z jaką zawsze wygrywała, przyczyniły się do tego, że ona, Susan, nie miała żadnych szans. Kiedy samochód wolno pokonywał łuk toru, Susan zrozumiała, że możliwości świata, jeśli chodzi o sprawianie niespodzianek, są ograniczone. Siła faktów ma przewagę nad romantyczną iluzją. Biedna dziewczyna – o ciemnych włosach, obcego pochodzenia – mogła zostać księżniczką. Dla niej linia horyzontu sięgała do tego miejsca.

Samochód okrążył murawę boiska, ale dziewczyny nie wysiadały. Dalej machały w kierunku trybun, podczas gdy orkiestra kończyła grać utwór. Potem Todd otworzył tylne drzwi cadillaca. Pierwsza wysiadła Marcia, za nią Rosemary, zbierając pojedyncze oklaski. Na końcu Susan. Jak tylko stanęła na ziemi, Todd objął ją z taką siłą, że z trudem mogła złapać oddech.

– Jestem taki dumny z ciebie – wyszeptał.

Kiedy uwolnił ją z uścisku, przyjrzała się badawczo jego twarzy, szukając śladów współczucia lub zawodu. Nie zauważyła ani jednego, ani drugiego, ale jemu nie można wierzyć. Przecież sam mówił, że nigdy nie spotkał osoby, której by nie lubił.

Kilka dziewcząt, które liczyły na nominację, ale zostały pominięte, pogratulowało Susan, a ona po raz pierwszy zetknęła się z tą szczególną życzliwością, którą świat okazuje

przegranym. Rosemary stała kilka metrów dalej obok swojego chłopaka, Randy'ego. Jej twarz ciągle świeciła się od łez. Dziś wieczór bezpiecznie zakończyło się dla niej pełne sukcesów dzieciństwo. Błyskały flesze aparatów, rozpalając iskierkami koronę Rosemary. Gdy Susan zmrużyła oczy, widziała koronę w postaci fosforyzującego czerwonego obrazu.

– Ci od kroniki szkolnej prosili mnie, bym zatrzymał was jeszcze do pamiątkowego zdjęcia – powiedział cicho Todd.

To było zupełnie nie w jego stylu. Normalnie Todd powiedziałby: „Musicie tu jeszcze wszystkie zostać do zdjęcia”. Zwykle dla niego nie było różnicy między tym, co powinno się zrobić, ponieważ takie były oczekiwania innych, a obowiązkiem. Objął Susan za szyję, a ona delikatnie musnęła koniuszkami palców jego mankiet.

Pogratulowały jej jeszcze dwie koleżanki, a potem spośród gości wyłoniła się rodzina Susan. Pierwsza podeszła do niej matka.

– Ale pięknie wyglądałaś – powiedziała, przytulając ją do piersi.

Ojciec pogłaskał ją kciukiem pod brodą, roześmiał się i stwierdził:

– Przecież to granda. Powinni jeszcze raz przeliczyć głosy. Nie uważasz, Todd?

– Proszę pana, ja nie mam żadnych wątpliwości, kto jest prawdziwym zwycięzcą – odpowiedział chłopak.

Ojciec skinął głową i wzruszył ramionami.

– Blondynki – prychnął. – Cały świat szaleje na punkcie blond włosów. Nigdy tego nie mogłem zrozumieć.

Susan przesunęła się bliżej Todda. Ojciec ją winił, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. Jej nazwisko zawsze pojawiało się na tablicy wyróżniających się uczniów, nigdy nie przegrała wyborów klubowych. Tańczyła główną partię w przedstawieniu baletowym. Teraz stała bez korony na głowie, trzymając jedną różę, podczas gdy flesze aparatów błyskały wokół dziewczyny, która pracowała ciężiej, odznaczała się subtelniejszym wdziękiem, była lepsza. Susan Stassos przypadła rola służącej. Wśród trzech sióstr ona była jedną z dwóch, którymi wzgardził książę.

Teraz należała do swojego ojca.

Zoe trzymała się z boku zawstydzona, a Billy lekko szturchnął Susan pięścią w rękę i powiedział:

– Powinnaś za to dostać cholerny medal, za rany poniesione na polu walki. W porównaniu z tym cała reszta twojego życia będzie wydawała się bezpieczna i banalna.

Nie chciała być tą urażoną dziewczyną, stojącą w szkolnym bufecie z różą w ręku, pod dekoracjami z marszczonej bibuły, w czasie gdy zespół grał *Cherish*. Jeśli nie mogła wygrać, chciała być przynajmniej tak nonszalancko niewzruszona jak Marcia, która stała na skraju parkietu, dumna niczym Amazonka w niewoli, otoczona przez przyjaciółki – bezkompromisowe dziewczyny w kusych spódnicach i z jaskrawym makijażem – i w towarzystwie Eddiego Gagliosty, porywczego, przystojnego chłopaka, który według słów Marcii, nadawał się tylko do jednego.

– Może skoczmy do damskiej toalety na papieroska, co ty na to, księż-nicz-ko? – zaproponowała głośno jedna z przyjaciółek Marcii, a ta wybuchła śmiechem. Kto wie, może jednak okaże się na tyle pozbawiona skrupułów, by uniknąć swego przeznaczenia, jednopiętrowego bloku z cegły, brutalnego męża, który ciągle będzie bez pracy.

Zanim wyszła na papierosa, Eddie powiedział jej coś do ucha, a ona uśmiechnęła się porozumiewawczo. Eddie miał grube wargi i złamany nos, a nad czołem podskakiwał mu tłusty skręcony kosmyk włosów. Susan udawała, że słucha Dottie Wiggins, ale w rzeczywistości próbowała sobie wyobrazić, jak by to było być Marcją, kilka godzin później, pijaną, leżącą nago w samochodzie albo w wynajętym od kogoś pokoju. Wyobrażała sobie Eddiego – jego wydęte, lubieżne usta. Dottie Wiggins mówiła coś na temat college'u, a Susan

myślała o Eddim, który zadowolony z siebie, z drwiącym uśmiechem doprowadza dziewczynę do utraty kontroli nad zachowaniem. Włamywał się do domów, zastraszał młodszych chłopców. Dwa razy groził w szatni Billy'emu. Susan próbowała sobie wyobrazić mięśnie jego ramion i ud, jego napastliwy język, twarde, wytrenowane mięśnie klatki piersiowej i brzucha. Zarumieniona, ponownie skupiła uwagę na Dottie Wiggins.

– Tufts jest lepszą szkołą, ale na uniwersytecie Colorado byłoby o wiele przyjemniej i jestem zdania, że wiele przemawia na korzyść dobrej zabawy, nie sądzisz? – mówiła Dottie.

– Nie uważam, by ktokolwiek z nas potrafił dobrze się bawić – powiedziała Susan. – Moim zdaniem, wszyscy nauczyliśmy się robić wspólnie dużo hałasu i nazywać to dobrą zabawą.

– Można i tak, jeśli się chce koniecznie dramatyzować. – Dottie spojrzała na nią podejrzliwie.

Susan obracała w rękach różę.

– Ależ kochanie, wcale nie – zaprotestowała. Nigdy dotąd nie powiedziała do innej dziewczyny „kochanie”. Tak zwracała się Marcia do tych, których uważała za nudziarzy. – Nie mam zamiaru dramatyzować. Ja też chcę się dobrze bawić. Możesz mi wierzyć.

Wiedziała, co robi. Dawała początek plotce: Susan Stassos stała się zgryźliwa z powodu porażki. Dottie rozpowie wszystkim. Miała wyjątkowy talent do naśladowania innych. Będzie udawała Susan, stając spięta na skraju parkietu, obracając w rękach różę i mówiąc głosem Marleny Dietrich: „Nikt tu nie potrafi dobrze się bawić”.

– Cóż – powiedziała Dottie. – Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Dobra zabawa jest najprostszą rzeczą na świecie, szczególnie dla kogoś takiego jak ty.

– Kogoś takiego jak ja – powtórzyła Susan.

Pomyślała o dzisiejszym powrocie do domu. Czy ojciec nie będzie jeszcze spał? Czy będzie pijany? Teraz, kiedy znała mniej niż przedtem, jak mogłaby powiedzieć „nie”? Jak mogłaby kiedykolwiek powiedzieć „tak”?

Todd wrócił po wypełnieniu swoich obowiązków.

– Cześć, Sooz – powiedział. – Cześć, Dottie.

– Cześć, Todd – odpowiedziała przekornie rozpromieniona Dottie. Paliła ją zazdrość, była nią porażona, wszelkie starania, by być cały czas ożywioną, zabawną i swobodną, pochłaniały ją niemal bez reszty.

– Sooz, nie miałabyś ochoty na krótki spacer? – zaproponował Todd. – Jest taki ładny wieczór, chętnie zaczerpnąłbym trochę świeżego powietrza.

– To chodźmy – podchwyciła Susan. – Na razie, Dottie.

– Na razie.

Susan, wychodząc z Toddem, wiedziała, że Dottie rozgląda się już za kimś, komu mogłaby przekazać głosem Marleny Dietrich najnowszą plotkę: „Nikt tu nie potrafi dobrze się bawić”.

Na asfaltowym placu przylegającym do budynku, w którym mieścił się szkolny bufet, oficjalnie wolno było przebywać uczniom, którzy robili sobie przerwę w tańcu. Po drugiej stronie bezlitośnie oświetlonego placu widać było zarys ogromnej sali gimnastycznej o podłużnych pionowych oknach, za którą rozciągało się puste boisko do futbolu. Kilka innych par rozmawiało po cichu w kręgu oślepiającego światła. Zauważyli obecność Todda i Susan i trochę się przesunęli, by zrobić im miejsce. Jeden z chłopców, ambitny uczeń przedostatniej klasy, odszedł na chwilę od swojej dziewczyny, chcąc uścisnąć rękę Todda i zamienić kilka słów na temat swego udziału w przyszłorocznych wyborach na przewodniczącego.

– Przyjmij moje gratulacje, Susan – powiedział.

Susan podziękowała. Ciemnoczerwone refleksy odbijające się od jej sweterka cheerleaderki przecinały rozświetlone powietrze, kiedy Todd uwolnił się od tamtego chłopaka

i wyprowadzał ją z kręgu jaskrawego światła. Tam, w miękko spowijającej ich ciemności, żarzyły się iskielki papierosów. Postrzępione obłoki przesuwwały się na tle tarczy księżyca.

– Co za wieczór – zachwycał się Todd.

– Mhm. Prawdę mówiąc, cieszę się, że już się kończy.

Nie zareagował. Najwyraźniej miał jej coś do powiedzenia. Jeśli przygotowuje mowę pocieszenia, zerwę z nim, pomyślała Susan. Miała nadzieję, że właśnie to od niego usłyszy. Była gotowa krzyknąć.

– Sooz? – zaczął. – Susan?

– Tak?

Ostentacyjnie obracała w dłoniach różę. Pewnie zamierzał poradzić jej, żeby potraktowała to jako pouczające doświadczenie, by podziękowała Bogu, który stworzył jej okazję wzmocnienia siły charakteru. Pomyślała o Marcii, którą w żartach nazywano księżniczką. Marcia wyruszająca w świat, silna i wolna.

– No więc, widzisz – powiedział Todd – tak sobie myślałem.

– Mhm.

– O przyszłym roku. Wiesz. Złożyliśmy podania do innych szkół. A teraz jest już za późno.

– Wiem.

– I właściwie w ogóle o tym nie rozmawialiśmy.

– No właśnie. Nie rozmawialiśmy.

– Tak się zastanawiam. Suzy. Bez względu na to, dokąd pójde, chciałbym, żebyś poszła ze mną. Czy to będzie Yale czy Princeton, no wiesz.

Twarz mu poczerwieniała, w oczach pojawił się niepokój i zagubienie jak u kogoś, kto jest dotknięty ciężką chorobą. Nigdy przedtem nie widziała go tak zdenerwowanego, chyba że wtedy, kiedy się kochali. Nagle zapragnęła pomóc mu się opanować, odnaleźć drogę do celu.

– Więc co chcesz mi powiedzieć? – zapytała łagodnie.

– Wydaje mi się... Chyba próbuję powiedzieć ci, że chciałbym, żebyśmy się pobrali. Ty i ja. Chcę się z tobą ożenić.

Krew uderzyła jej do głowy. Była w stanie myśleć tylko: „To się dzieje teraz, właśnie teraz”. Ktoś chciał się z nią ożenić. Prosił ją o rękę w tej chwili, na placu, przed szkolnym bufetem, wieczorem, w dniu jej porażki. Nie jestem jeszcze na to gotowa, pomyślała, to nie powinno się teraz zdarzyć.

– Och, Todd – westchnęła. – Sama nie wiem.

– Nie wiesz, czy chcesz wyjść za mąż? A może nie wiesz, czy chcesz wyjść za mnie?

– Nie wiem ani jednego, ani drugiego. Nie, zapomnij, że to powiedziałam. To znaczy, no, uważasz, że naprawdę moglibyśmy to zrobić?

Sama nie wiedziała, co chciała wyrazić. Chodziło jej chyba o to, by się dowiedzieć, czy ktoś taki jak ona może wyjść za mąż. Chciała wiedzieć, czy Todd jest takim typem człowieka, którego wybiera się na męża.

– Myślę, że tak – powiedział, z trudem zdobywając się na uśmiech. – Moglibyśmy, jeśli tylko byśmy tego chcieli.

– A mój ojciec? – zapytała.

– Wiem, że ma staromodne poglądy – powiedział Todd. – Porozmawiam z nim. Będę bardzo...

Nagle Susan знаła już odpowiedź. Wiedziała, co ma zrobić.

Znalazło się dla niej rozwiązanie. Jeśli ona i Todd pójda dzisiaj do swoich domów i powiedzą o zaręczynach, ona zyska nowy język, za pomocą którego będzie mogła odmówić. Będzie pod ochroną.

– Moglibyśmy – uznała. – Tak. Naprawdę moglibyśmy to zrobić. Jasne, że tak.

– Pewnie – podchwycił Todd i roześmiał się z czułością w głosie. – Oczywiście, że możemy. Nie ma najmniejszych wątpliwości.

Znów był opanowanym, bezpośrednim, dobrze jej znanym Toddem.

– Moglibyśmy tak zrobić – powiedziała Susan. – Och, pewnie. Pobierzmy się.

– Naprawdę? Naprawdę tego chcesz?

– Tak. O, tak. Natychmiast.

– Natychmiast?

– To znaczy, jak tylko skończymy szkołę. Mogę założyć welon pod biret, możemy pójść do ślubu zaraz po rozdaniu świadectw.

– Ależ ty jesteś zabawna. Wiesz o tym? Jesteś zabawną dziewczyną.

Na kopercie, w której przyszedł rachunek telefoniczny, Mary napisała: „Nie będę kradła”. Zobowiązała się na piśmie, jednak nie przestała kraść. Nie miała pojęcia, dlaczego to robi. Pamiętała dzień, kiedy zdarzyło jej się to po raz pierwszy – w sklepie Engleharta. Poszła obejrzeć papier ozdobny z myślą o zaproszeniach na ślub Susan. Chciała tylko sprawdzić, czy u Engleharta mają w sprzedaży coś godnego uwagi, czy też ona i Susan będą musiały pojechać do Nowego Jorku. Ekspedientka, młoda dziewczyna, skrywająca delikatną urodę pod zbyt grubą warstwą makijażu, pokazała jej próbki. Zwykły kremowy, w kolorze kości słoniowej z lekko żółtawym odcieniem, mlecznoniebieski zupełnie bez wyrazu, przypominający papier na bilety autobusowe. Trzy ozdobne wzory brzegów do wyboru: lilie, gołąbki albo delikatne białe dzwoneczki. Sklep Engleharta nie spełni jej oczekiwań. I tak będzie musiała zabrać Susan do miasta. Mary podziękowała i powiedziała, że musi się zastanowić. Kiedy wstawała ze swojego miejsca przy kontuarze, pomyślała, że jest atrakcyjną trzydziestokilkuletnią kobietą, trzymającą w ręku elegancką granatową torebkę i uprzejmie odrzucającą towary oferowane w sklepie zatrudniającym ekspedientki pokroju tej młodej dziewczyny, której pospolita uroda przemijała wraz z młodością. W swoich młodzieńczych latach Mary widywała takie kobiety, jaką jest teraz sama – dobrze sytuowane żony, które uprzejmie i stanowczo odrzucały towary proponowane w okolicznych sklepach.

Kiedy wstała i cienki atlas jej halki płynnie zsunął się po nylonowych pończochach, ujrzała siebie tak wyraźnie, jak gdyby stała z boku i przyglądała się sobie z zewnątrz. Mogła być tą ekspedientką obserwującą, jak zamężna kobieta z pozycją, która z najwyższą starannością opakuje wszystkie swoje prezenty, wychodzi z miejscowego sklepiku z materiałami piśmiennymi, gdzie nie ma w sprzedaży artykułów najwyższej jakości. Serce Mary wezbrało dumą i doznała przyjemnego uczucia zadowolenia, które falowało w jej wnętrzu, a potem zmieniło się w niepewność, równie szybko jak upuszczony talerz rozbija się na drobne kawałki. Jej starsza córka, uznana piękność, miała niedługo wyjść za przystojnego młodego człowieka wybierającego się na uniwersytet w Yale. Taka córka dodawała splendoru, a jednak, chociaż sprawiało to Mary radość, przy Susan, której tak dobrze się wiodło, w pewien sposób czuła się zbyt skromnie. Dręczyła ją myśl, że kiedy pojawiają się publicznie razem, ona wygląda przy własnej córce, jakby nie była tą osobą, którą jest, lecz tylko ją udawała. Przypuszczała, że Susan uważa ją za żalostną i nieco śmieszna. Z poczuciem winy, ale też z satysfakcją przypominała sobie, że Susan nie została królową. Kiedy Mary zmierzała do wyjścia, usłyszała, jak ekspedientka zamyka książkę z próbkami. Po drodze zatrzymała się, by obejrzeć notesy adresowe, ponieważ przyszło jej na myśl, że Billy zbliża się do wieku, w którym taki notes może mu być potrzebny. W sklepie Engleharta notesy adresowe były podrzędnej jakości. Oprawione w imitację skóry i niestarannie sklezione. Mary, marszcząc brwi, oglądała jeden z nich, w czerwono-brunatnej plastikowej oprawie, z napisem „Adresy” wytłoczonym złotymi literami, w którym „y” zaczęło się już wycierać. Był tak tandetny, tak bardzo poniżej jej godności, że nawet tylko go oglądając, czuła się niezręcznie. Rozejrzała się wokół, zobaczyła, że nikt nie patrzy w jej stronę, i prawie zanim zdążyła zdać sobie sprawę z tego, co robi, wsunęła notes do torebki. Poczowała na czole przyływ gorąca. Spokojnie, zwykłym krokiem, w butach na obcasach, z perłowymi kolczykami w uszach, wyszła ze sklepu, wynosząc byle jaki notesik na adresy z wciąż przyklepioną do niego metką. Notesik kosztowałby dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

Nie wiedziała, dlaczego tak postąpiła. Ten okropny notesik wcale nie był jej potrzebny. Nie kierowała nią chęć posiadania, ten odruch miał więcej wspólnego z robieniem porządków. Potem poczuła gwałtowną ulgę, jak gdyby zdołała zapobiec wiszącemu w

powietrzu nieszczęściu, zadłużeniu, chociaż wiedziała, że nie do końca udało się jej tego dokonać. Teraz była w posiadaniu notesika na adresy, tego niewiele znaczącego przedmiotu, i nie miała pojęcia, co z nim zrobić. Nie mogła go podarować Billy'emu, ale nie potrafiła zmusić się do tego, by go wyrzucić. Zbyt dużo zaryzykowała dla tego notesika. Usunęła metkę z ceną i włożyła go do górnej szuflady swego sekretarzyka, myśląc, że być może kiedyś przyda się na prezent dla kogoś. A jeżeli nie, to ostatecznie sama przecież będzie mogła z niego korzystać.

Od tamtego dnia ukradła wiele drobnych rzeczy i za każdym razem ogarniało ją to samo podszyte niepokojem uczucie zadowolenia, jak gdyby sama się narażała, by zaprowadzić porządek. Kradzieże były niewiele znaczącym aspektem jej życia. Zajmowały mniej więcej tyle miejsca, ile mogłoby znaleźć się dla mało interesującego hobby, zaledwie tyle czasu, ile poświęca się na pobieżne przejrzenie „National Geographic”, gdzie stwierdza się, że zakątki świata diametralnie różnią się między sobą, a w ostatecznej analizie konkluduje, że wszystkie są mniej lub więcej do siebie podobne. Przygotowania do ślubu Susan całkowicie pochłonęły Mary. Wymagały od niej podejmowania nie kończących się decyzji, z wyborem różyczek na tort włącznie. Ślub był tak poważnym przedsięwzięciem, tak bardzo czuła na piersiach jego ciężar, że w końcu poszła do lekarza, by się dowiedzieć, czy może coś jej dolega, i dostała receptę na bladożółte tabletki. Jedną tabletkę wzięła w dniu ślubu i zdziwiła się, jak w pewnej chwili, kiedy Susan stała przy ołtarzu z Toddem, poczuła ukłucie gniewu na tyle ostre, że przebiło się przez przyjemne działanie pigułki. Ten gniew nie miał wyraźnego źródła – później będzie go sobie tłumaczyła zdenerwowaniem – i jak się zdawało, wywołał go widok Susan w białej sukni i spokojnej, miłej twarzy Todda, który pochylił się, by ją pocałować. To tylko nerwy, pomyślała Mary, i naturalna u matki troska o szczęście córki, zwłaszcza że sama tak wiele wiedziała na temat tego, co może się nie powieść.

Wesele wypadło bez zarzutu, gdyby nie część gości. Trzeba było oczywiście zaprosić współpracowników Constantine'a. W większości byli to hałaśliwi mężczyźni ubrani w tanie i niemodne garnitury, w towarzystwie żon, onieśmielonych albo przeciwnie, nadmiernie podekscytowanych, i bez wyjątku źle ubranych. Mary, z pomocą ojca Todda, wynajęła salę balową w ekskluzywnym klubie i perfekcyjnie udekorowała ją bukietami białego bzu w wazonach i stroikami z kremowych róż, które ułożyła pośrodku każdego stołu. Wynajęła firmę cateringową, która dostarczyła kurczaki miniaturki, dziki ryż i fasolkę szparagową z płatkami migdałowymi dla przeszło dwustu osób. Nie popełniła najmniejszego uchybienia, a teraz na jej biało-kremowe przyjęcie wtargnęła ekipa brygadzystów, którzy w firmie jej męża zostali zatrudnieni wyłącznie dlatego, że potrafili zmusić swoich podwładnych do budowania domów jak najniższym kosztem i w jak najkrótszym czasie. Na żony wybrali sobie takie kobiety, jak można się było spodziewać: o wyzywającym wyglądzie, w sukniach w krzykliwe wzory i obwieszone biżuterią, z włosami natapirowanymi i utrefionymi w okazałe, sztywne i piętrowe fryzury. Matka Todda i jego dwie ciotki wystąpiły w sukniach w naturalnych kolorach, miały proste uczesania i Mary cierpiała katusze z powodu swoich francuskich loków. Jej suknia była perłoworóżowa – w głębi duszy dziękowała Bogu, że nie zdecydowała się na marszczenie na wysokości stanika. Kiedy tańczyła z Billym, który sztywny i wyprostowany jak struna, czuł się nieswojo w niebieskim gabardynowym garniturze, obserwowała rozbawioną Susan rozmawiającą z dwiema swoimi druhami. Wydawało się, że Susan wyjechała do innego kraju, w którym wszystkie dziewczęta bez dokładania najmniejszych starań są szczupłe i piękne, a chłopcy mają przed sobą przyszłość tak pewną i bezpieczną jak wiszące mosty. Nawet mimo cudownego działania tabletki znowu poczuła wzbierającą falę emocji, które mogły być równie dobrze gniewem albo obawą. Nie chciała odczuwać ani jednego, ani drugiego, nie w takim dniu. Skoncentrowała się na urodzie córki, jej zachwycającej swobodzie bycia i wdzięku. Przynajmniej ona była już bezpieczna. Mary zanuciła kilka taktów *Begin the Beguine*, standardu, który właśnie grała orkiestra.

- Wygląda na to, że ślub i przyjęcie się udały – powiedziała do Billy’ego.
- Sądzę, że każdy ślub można uznać za sukces – odpowiedział. – Chodzi mi o to, że jeśli narzeczeni naprawdę chcą być razem i dlatego się pobierają, to znaczy, że się udało.
- Gdyby tylko to miało znaczenie, równie dobrze mogliby pójść do magistratu i zaoszczędzić twemu ojcu około pięciu tysięcy dolarów.
- Daj spokój. To przyjęcie naprawdę kosztowało pięć patyków?
- Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, ile wszystko kosztuje. Wy, młodzi, nie macie o tym zielonego pojęcia.

Zagwizdał.

- Pięć patyków – zdziwił się. – Za jedno przyjęcie.
- Kiedy ty będziesz się żenił – powiedziała – ojciec będzie miał święty spokój. Koszty będzie musiała pokryć rodzina twojej żony.
- Kiedy ja się będę żenił – odpowiedział – pójdziemy do magistratu. Jeśli komuś przyjdzie ochota wywalić pięć tysięcy dolców, weźmiemy gotówkę i spędzimy, dajmy na to, rok w Europie.
- Dziewczyna, z którą będziesz się żenił, może mieć zupełnie inne zdanie.
- Nie ożenię się z taką, która będzie myśleć tak zupełnie inaczej niż ja.

Utwór się skończył i Billy odprowadził Mary do stolika. Kiedy tak szła, trzymając swego syna pod rękę, jej różowe bućki rzucały zimne, zielonkawe połyskujące światło na dywan w kolorze indygo. To był jej syn, który wybierał się na Harvard. Miała świadomość jego nowego wzrostu, wielkości dłoni. Tak bardzo go kochała. Wciąż należał do niej, najbardziej inteligentny z jej dzieci, zapowiadał się obiecująco. Miał oszpeconą twarz, co tylko powiększało przygniatający ciężar jej miłości. Jej syn był tak bardzo delikatny, a zarazem boleśnie ludzki. On, jako jedyny spośród jej dzieci, przeżywał wzloty i upadki, które ona rozumiała.

Tego wieczoru leżała w łóżku w nocnej koszuli, obserwując rozbierającego się Constantine’a. Widok jego ciała, które stało się zwiotczone i kosmate, wzbudził w niej teraz czułość, mającą prawie tyle wspólnego z uczuciem macierzyńskim, ile z namiętnością. Jej mąż mógł być jej najstarszym dzieckiem, trudnym i kłótlwym chłopcem, który żył poza zasięgiem jej kontroli. Byłaby zdolna kochać go, mniej lub bardziej, kiedy myślała o nim jako o krnąbrnym chłopcu, któremu zdarza się ranić innych, który miewa gwałtowne napady gniewu, ale u którego dobre serce weźmie górę nad młodzieńczą furią. Osiągnąwszy wiek średni, Constantine zaczął sprawiać wrażenie dużego dziecka, i w taki sposób go traktowała, jak chłopca o pulchnym ciele i drażliwej naturze. Usiadł na skraju łóżka w samych bokserkach.

- No i koniec, oto odeszła. Jest już mężatką – powiedział.
- Mhm-mhm. – Mary wciąż jeszcze znajdowała się w początkowej fazie działania żółtej tabletki. Świat zachowywał swoją lekkość.
- Mężatką – powtórzył Constantine.
- Uważam, że wesele się udało, a ty? – zagadnęła Mary. – Miałam kilka zastrzeżeń do zespołu, ale ogólnie rzecz biorąc, naprawdę wypadło doskonale.

Constantine wstał bez słowa i włożył piżamę na spodenki. Podczas przyjęcia wypił kilka kieliszków, teraz poruszał się więc z przesadną ostrożnością, ale Mary nie zwracała na to uwagi. Myślała o przyjęciu weselnym, które zorganizowała, o kolacji przy stołach dla ponad dwustu osób. Starła się nie powracać do przykrych momentów uroczystości, nie myśleć o wulgarnym toaście ogłoszonym przez współnika Constantine’a, o brygadziście kłócącym się z żoną, która była w sukni usianej kwiatkami fuksji. Starła się nie zastanawiać nad tym, jak będą wyglądały wesela dziewcząt, które były druhami Susan, a których rodzin Mary prawie wcale nie знаła, ponieważ była Włoszką wydaną za mąż za greckiego majstra budowlanego. Nikt z gości ze strony Todda się nie upił.

– Mogłoby się obyć bez toastu Nicka Kazanzakisa – zauważyła. Wracały stare zadrażnienia. – Co on wyprawia? Taki toast na weselu.

– Nick jest w porządku – stwierdził Constantine. – Lubi trochę pozartować. Nikomu to nie przeszkadzało.

– Przeszkadzało Betty Emory. Siedziałam tuż obok niej. Aż zeszywniała, dobrze widziałam.

– Pieprzyć Betty Emory. Ona ma kij w tyłku, wystarczy na nią spojrzeć.

– No, pięknie. Bardzo ładne rzeczy mówisz o kobiecie. Ona jest prawdziwą damą, czego nie można powiedzieć o połowie kobiet, które były na dzisiejszym przyjęciu.

Constantine się położył. Mocny zapach alkoholu zmieszał się z dobrze jej znanym zapachem jego ciała.

– Nie kłóćmy się – poprosił. – Nie dzisiaj.

– Doskonale. Będę zachwycona, jeśli nie będziemy się kłócić.

Podciągnął kołdrę do wysokości piersi. Zobaczyła, jaką miał wymizerowaną twarz, jak bardzo zniszczoną. Zaczynał się starzeć.

– To był dzień ślubu naszej córki – przypomniał.

– Tak.

– Teraz jest panią Emory. Susan Emory.

– Wiem.

Zgasła światło. W pokoju zapanowała ciemność, z której powoli zaczęły się wyłaniać zarysy przedmiotów: fragment toaletki Mary z owalnym lustrem, znajdujące się bliżej łóżka nogi szezlongu, na którym nikt nigdy nie siadał. Mary leżała, rozglądając się po pokoju, a w głowie kłębiły się jej myśli tak splątane, że równie dobrze mogłaby nie myśleć o niczym. Słyszała tykanie stojącego przy łóżku zegara. Dobiegł ją jeszcze jakiś dźwięk, dziwny. W pierwszej chwili sądziła, że pochodzi z zewnątrz, lecz po chwili uświadomiła sobie, że to płacz leżącego obok niej Constantine'a. Był obrócony do niej tyłem. Dotknęła ręką jego pleców, po których biegły szerokie pasy pizamy.

– Con?

Nie odpowiedział.

– Con? Czy coś ci dolega?

– Nic mi nie jest – mruknął.

– Con, co się dzieje?

– Nic.

– Jak to nic.

Minęła dłuższa chwila, wypełniona tylko odgłosem jego płaczu. Moje życie toczy się poza mną, pomyślała. Nic o nim nie wiem.

– Nie mogę uwierzyć, że ona naprawdę odeszła – wykrztusił wreszcie.

Wydawało się, że słowa, które sam wypowiedział, wywołały nową falę łez, a jego szloch bardziej przypominał dźwięk towarzyszący rozdzieraniu wilgotnego papieru niż płacz człowieka. Od lat nie słyszała jego płaczu. Mary niemal w równym stopniu zawładnęły współczucie i irytacja.

– Ona nie odeszła – powiedziała. – Ma teraz własne życie. New Haven nie jest wcale tak daleko stąd.

– Ona odeszła – powtarzał Constantine. – Nie należy już do nas.

– Prawdę mówiąc, już od dawna nie należała do nas?

– Należała do mnie.

Mary zrozumiała. Odpędziła jednak od siebie tę myśl.

– Jesteś po prostu zmęczony – stwierdziła. – I za dużo wypiełeś. Rano wszystko będzie wyglądało o wiele lepiej.

Obrócił się w jej stronę. W półmroku jego twarz, zniekształcona płaczem, przypominała twarz półprzytomnego starca. Mary ujrzała, przerażająco wyraźnie, jak on będzie wyglądał, kiedy stanie się bezradny i by przetrwać, będzie potrzebował jej opieki.

– Proszę. – Wyciągnął do niej ręce, a kiedy się nie poruszyła, przygarnął ją do siebie i przycisnął swoją rozpaloną, moką twarz do jej szyi. – Proszę – powtórzył.

– Musisz przede wszystkim odpocząć – oznajmiła. – I wytrzeźwieć.

– Nie tylko, muszę jeszcze... – odpowiedział. – Och, Boże. – Pocałował ją w szyję, ujął pod brodę i przycisnął wargi do jej ust.

Nie kochali się od... ilu miesięcy? ...szczęściu? Czy jeszcze dłużej? To nie będzie ten wieczór, nie, przynajmniej jeśli chodzi o nią. Dawno temu zaczęła wychodzić zwycięsko ze zmagañ z własnymi uczuciami. Już od lat czuła, jak wypala się w niej pożądanie, jak gasną światła, tak jak w domu szykującym się do snu. Chwilami, właśnie w tym łóżku, ogarniała ją panika. Wypełniało się jej przeznaczenie, jej przyszłość zapisująca się na jej skórze. Nie będzie miała innego życia poza tym. Zdawało się, że przywykła do tych uczuć, nawet do strachu – stały się one częścią tego, co zwykła określać słowami „moje życie”. Dzisiejszego wieczoru nie miała najmniejszej chęci wprowadzać zmian do swego życia. Nie z Constantine’em, pijanym i rozklejającym się, nie po dniu tak męczącym jak dzisiejszy.

Uwolniła się od niego i powiedziała:

– Kochanie, śpij już. Rano poczujesz się lepiej.

– Nie mogę zasnąć.

– Owszem, możesz. – Zwracała się do niego tak samo, jak mówiła do dzieci, kiedy budziły się ze złego snu. Teraz, tak jak wtedy, kiedy uspokajała dzieci, zdziwiła się, słysząc we własnym głosie tę matczyną pewność. Wierzą, że jestem ich matką. Są pewni, że wiem, co robię. – Zamknij tylko oczy – powiedziała. – Sen przyjdzie sam, zanim zdążysz się zorientować.

I ku jej zdziwieniu, posłuchał jej. Wrócił pokornie na swoją stronę łóżka niczym rozhułkany chłopiec, który podporządkowuje się narzuconej mu dyscyplinie nawet wtedy, kiedy twierdzi, że nie wyobraża sobie życia bez zgiełku i silnych wrażeń, jakie oferuje mu świat. Leżała obok niego bez ruchu, z matczyną troską nasłuchując cichnącego szlochu. Dopiero kiedy zasnął, ogarnęło ją uczucie przerażenia tak ogromnego i nieokreślonego, że wstała z łóżka i zażyła trzy tabletki, aby podarować sobie spokojny, zwyczajny sen.

Wyniosła szczotkę do włosów, tanią bransoletkę, kostkę złocistożółtego mydła. Wiedziała, że musi z tym skończyć. Wyszukiwała niewiele znaczące argumenty na pocieszenie. Wszystkie skradzione rzeczy były tanie i nigdy nie brała do ręki tego, co ukradła. Dopóki nie używała tych przedmiotów, nie czuła się przez nie oskarżona. Susan przysyłała kartki z Hawajów, gdzie spędzała miodowy miesiąc – krótkie i ogólnikowe zapewnienia o szczęściu, napisane bardziej okrągłym i dojrzałym pismem niż to, które pamiętała jej matka. Mary przyczepiała widokówki do drzwi lodówki za pomocą magnesów w kształcie owoców. Skradzione przedmioty chowała w swojej szufladzie, aż jej kolekcja zaczęła przypominać posag panny młodej z ubogiej rodziny.

1970

Nazywał to samochodową jazdą z figurami. Była w tym moc i wdzięk, spokojny majestat muzyki. Poza miastem, na bocznych drogach, majaczyły czarne sylwetki drzew, słupy ogrodzeń miały ciemny kolor i powagę cementarnych pomników. Za tymi drzewami i słupami ogrodzeniowymi, pod dachami domów oblanych niebieskim światłem księżyca, spali farmerzy. Billy lubił wyobrażać sobie ten spokój. Kiedy przywoływał go w myślach, tym bardziej kochał to, co wyczyniały reflektory ich samochodów, to, co wносиła w ten spokój muzyka i hałas silników. Konary drzew odskakiwały do tyłu, rozpalone złocistym i srebrzystym światłem. Kurz, wirując, wzbijał się z ziemi, żółty, kiedy się zbliżali, czerwony, gdy pozostawiali go z tyłu. Fragmenty ich ulubionych piosenek wkradły się w sny farmerów.

– Jazda z figurami! – krzyczał z tylnego siedzenia. Wystawiał przez okno stopy, które w ogromnych buciorach sprawiały wrażenie dużych. Zdarzało się, że nocą czuł, jak otwiera się przed nim nowy rozległy świat wolności i miłości.

Czasem był to samochód ojca Larry’ego, innym razem ojca Bixa. Niekiedy, gdy się szczęśliwie złożyło, mieli do dyspozycji obydwu. Ojciec Larry’ego miał zielonego chevroleta impalę, ojciec Bixa – forda galaxie. Chevrolet był bardziej rasowy, w fordzie jednak jechało się miękko i płynnie. Taka jazda wywoływała niepokojący ucisk w żołądku i erekcję, gdy świat rozkołysał się i pędził bez opamiętania. Billy zawsze wołał forda.

– Szybciej! – krzyczał. – Gaz do dechy.

To on był głosem prędkości. Najniższy, najbardziej inteligentny, uwielbiany i nienawidzony zarazem. Z radia płynęły dźwięki *Eight Miles High*.

– Jesteś szalony – stwierdziła Dina.

Siedziała z Billym na tylnym siedzeniu, przyciskając swoje duże kolano do jego chudego i kościstego. Rozsmarowała na swoich wydatnych wargach różową szminkę o cukierkowym zapachu, przyczerniała brwi tłustą kredką. Miała wyższe buty niż Billy. Nazywała siebie królową piratów.

– Masz rację – powiedział. – Tak. Jestem szalony.

Otarła się kolanem o jego kolano. Wróciło dawne, dobrze mu znane, odbierające oddech podenerwowanie człowieka schwytanego w pułapkę. Z przodu Bix i Larry podawali sobie wódkę wśród grzmiących dźwięków muzyki. Dziś była to wódka, czasem mieli ze sobą piwo. W zależności od tego, co udało się im zdobyć. Kiedyś Dina ukradła ojcu butelkę likieru miętowego, po którym przez mniej więcej półtora kilometra Billy i Larry wymiotowali na zielono.

– Hej, chłopaki, czy dama może dostać łyżka? – zawołała Dina.

Larry podał jej butelkę. Bix trzymał kierownicę wyprostowanymi rękoma, cichy i bezgranicznie szczęśliwy. W ich towarzystwie to nie on był najbardziej powściągliwy. Ciemność, układająca się w pasma jaśniejszej i ciemniejszej czerni, pędziła za oknami samochodu, a wraz z nią nocne owady.

Dina pociągnęła łyk wódki i podała butelkę Billy’emu. Pozostawiła na niej smak swojej szminki. Billy obserwował kudłaty, brązowy owal głowy Bixa. Nabrał wódki w usta i poczuł pieczenie, małą eksplozję. Alkohol uderzył mu do głowy, poczuł przypływ prawdziwego szczęścia tak silny, że aż chciał mu się krzyzczeć, ale zdołał się powstrzymać. Przyszłość była coraz bliżej.

– A teraz jazda z figurami – zarządził. – Czas na akrobacje.

– Jakie akrobacje? – zapytał Larry. Miał najgorszą cerę z całej piątki i najmniej wdzięku. Zazwyczaj dawał to, o co nigdy się go nie prosiło. Nosił fryzurę a la Keith Richards.

– Ósemki – odpowiedział Billy. Podniósł się z pozycji pólężącej, wsunął głowę pomiędzy Bixa i Larry’ego, głębiej zanurzając się w muzykę. Tarcze i cyfry deski rozdzielczej połyskiwały spokojnym, mdłym światłem. Drzewa znikają za samochodem. – Ósemki – powtórzył, podając butelkę Larry’emu.

Bix gwałtownie skręcił na przeciwny pas drogi i z powrotem na swój. Opony zaprotestowały, wydając ostre, przeszywające piski.

– Na razie eski – orzekł Bix. – Tylko na rozgrzewkę.

Bix miał wojskowy umysł. Ustawiał się do świata jak torpeda, precyzyjnie namierzając cel.

– Chłopaki, nie za długo przetrzymujecie u siebie butelkę? – zapytała Dina.

– Zaszalejmy – szepnął Bixowi do ucha Billy i poczuł silne podniecenie. Kochał Bixa, ale też obawiał się go.

Nisko rosnąca gałąź musnęła samochód, jak gdyby była skrzydłem gigantycznego ptaka.

– No! no! – powiedział Larry.

– A dziewczyna mogłaby umrzeć z pragnienia – zauważyła Dina.

Zapach jej perfum czuło się wszędzie.

– To co robimy? – podchwycił Bix. Oddał butelkę Billy’emu.

– Już za długo jedziemy tą drogą – stwierdził Billy. – Unieśmy się w powietrze.

– W powietrze? Chcesz unieść się w powietrze?

– Tak. Och, tak.

– Jak sobie życzysz. Już się robi.

Bix wcisnął hamulec i ostro skręcił kierownicę. Samochód wpadł do rowu, podskoczył i znalazł się po jego drugiej stronie. Lśniące kropelki wódki prysnęły Billy’emu na twarz. Od strony podwozia dał się słyszeć głośny trzask przypominający odgłos łamiącej się kości.

– Psiakrew! – jęknął Larry.

Samochód podskoczył po raz drugi, a potem się zatrzymał. Znajdowali się na polu. W światłach reflektorów rozciągało się po niewielką kępę drzewek, które wyglądały na zaskoczone ich obecnością.

Billy’ego aż poderwało na tylnym siedzeniu.

– Co się dzieje? – krzyknęła Dina.

– Teraz ósemki – dyrygował Billy. – No, dawaj.

Przyłożył butelkę do ust przyjaciela i przechylił ją.

Wódka spływała Bixowi do gardła i na koszulę. Nacisnął pedał gazu i samochód wyrwał do przodu, oświetlając reflektorami wysoko wyrosniętą trawę.

– No! No! Ale czad! – Larry śmiał się w głos z zachwyty.

Dina położyła dłoń na ramieniu Billy’ego. Na palcach miała sześć pierścionków, srebrnych i plastikowych.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała bełkotliwym od alkoholu głosem.

– Jesteśmy w przestworzach – odpowiedział jej Billy. – Lecimy.

W radiu DJ, znad swego stołu wśród muzyki i wielobarwnych elektrycznych światel, zapowiedział *Ruby Tuesday*.

– To niebezpieczne – zaniepokoiła się Dina.

– Wiem.

Bix zatoczył fordem szeroki łuk. Ciemność i obrzydliwy zapach trawy wdarły się przez okna do samochodu. Podwozie tak mocno uderzało o nierówności terenu, że nie mogli trafić butelką do ust. Trawa, drzewa i fragmenty nocnego nieba chwiały się w smugach światel reflektorów. Billy zanosił się śmiechem, Dina mu wtórowała.

– Ósemki – zapowiedział Bix z wyrafinowaną bezwzględnością pilota bombowca.

Serce Billy’ego przepełniała radość. Wciąż powtarzał sobie, jak bardzo kocha szaleńczą jazdę.

– Taaak – westchnął.

Ponieważ nie mógł trafić butelką do ust Bixa, wylał mu trochę wódki na głowę. Miał wrażenie, że stoi na krawędzi świata, czuł, jak narasta w nim szczęście naznaczone udręką i przybiera na sile, zbyt szybko jak na zwyczajne życie. Tylko wtedy, gdy gnasz samochodem, tylko kiedy podejmujesz ryzyko, możesz wejść w ten inny wymiar, w którym przemieszczasz się w czasie i przestrzeni z potrójną prędkością.

– Da da da da da, taa taa, taa taa – Larry nucił Nad pięknym, modrym Dunajem.

– Dawaj! – krzyczał Billy. – Jazda, już już już.

Przed nimi pojawiła się krowa, jak gdyby wyrosła spod ziemi. Weszli w ostatnią pętlę ósemki i oto jest, czarno-biała, ogromna jak nadjeżdżający z przeciwka samochód. Billy zobaczył jej błyszczące, czarne oczy. Dostrzegł zakolczykowane białe ucho. Zaczął krzyczeć. Krzyczał również Larry. Bix skręcił kierownicę i samochód obrócił się z ostrym mechanicznym zgrzytem. Do środka wsypały się grudki ziemi. Billy poczuł ją w oczach i w ustach. Samochód wpadł w poślizg, szarpnął i zatrzymał się tak nagle, że Billy przeleciał na przednie siedzenie. Nic nie widział. Czuł, że uderza czołem o coś, co ani nie było twarde, ani miękkie. Przypomniał mu się urywek snu: burza piaskowa na pustyni i biegnąca wśród niej ciemna postać w pelerynie. Z radia dobiegał głos Micka Jaggera: „Who could hang a name on you?”¹

Zaległa cisza zakłócana jedynie muzyką, nabrzmiała, dzwoniąca w uszach. Billy mrugnął, przetaił oczy, by usunąć ziemię, i jeszcze raz mrugnął. Zobaczył, że leży na brzuchu, mając przed sobą but. Brązowy but roboczy, należący do Bixa. Odwrócił głowę i spojrzał w górę na przyjaciela.

Bix wciąż siedział za kierownicą z uśmiechem na ustach. Krwawił.

– Jasny gwint! – Bill wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Niech to diabli.

Zorientował się, że leży na przednim siedzeniu, z głową pod deską rozdzielczą. Bix i Larry tkwili na swoich miejscach. Dina siedziała z tyłu i mrugała, ze zdezorientowanym, ale uprzejmym wyrazem twarzy, jakby rozmowa przeszła na temat, który ona nie w pełni rozumie.

– Wypadek – oznajmił Billy. – Mieliśmy wypadek.

– Ajjj!

– Cholera! Słodki Jezu – zachichotał Bix. Po czole spływały mu strużki krwi. Na czubku nosa drżała ciemnoczerwona kropla.

– Bix, jesteś ranny – zaniepokoił się Billy.

– Czyżby?

– Chłopie, ty krwawisz.

– Naprawdę?

– Samochód mógł wybuchnąć – zauważył Billy. – Chyba słyszałeś, że rozbite samochody wybuchają?

– A skąd mam to niby wiedzieć?

– Lepiej wyłaźmy stąd. Ruszcie się.

Wszyscy zastygli w milczeniu, jakby nagle zdali sobie sprawę z tego, że samochód balansuje na skraju urwiska i przy najmniejszym ruchu runie w przepaść. Bix znieruchomiał z rękoma na kierownicy, majestatycznie uśmiechnięty. Z czoła spływała mu krew. Larry patrzył przed siebie ze zwykłym wyrazem dobrodusznego zdumienia na twarzy, a Dina wciąż siedziała na tylnym siedzeniu z uprzejmą i zdezorientowaną miną prababki.

– Ruszcie się. On zaraz wyleci w powietrze – ponaglał Billy.

Wszyscy wygramolili się na zewnątrz, w sam środek odmienionej nocy i opadającej chmury kurzu. Billy przebiegł kilka kroków i obejrzał się. Dina była w niewielkiej odległości

¹ Kto potrafiłby nadać ci imię?” – przyp. tłum.

za nim. Bix i Larry pobiegli w przeciwną stronę. Samochód stał przechylony pod pewnym kątem, przednie koła utknęły w rowie, a tylne były uniesione pół metra nad ziemią. Wyglądał imponująco i zarazem żałośnie.

– Boże – wykrztusiła Dina. – Czy wszystko w porządku?

W odpowiedzi Billy skinął głową.

– Uderzyłem się tylko lekko w głowę. To Bix jest poturbowany. Hej, Bix.

Przebiegł na drugą stronę rozbitego samochodu, gdzie stali Bix i Larry w takich pozach – z zaciśniętymi w pięści dłońmi wspartymi na biodrach – jak gdyby spokojnie oceniali sytuację.

– Niewiarygodne – odezwał się Larry.

– Bix – powiedział Billy – pokaż no się, obejrzę tę twoją głowę.

Bix z pewnym onieśmieniem dotknął czoła, jakby jego rana była czymś niezwykle cennym.

– Wszystko w porządku – uspokoił Billy’ego. – Tylko lekko uderzyłem się o kierownicę.

– Kiedy opuścił rękę, miał na palcach krew. Uśmiechnął się. – Lecieliśmy – powiedział.

– Tak – przyznał Billy. Stał blisko Bixa. Czuł zapach krwi, zmieszany z zapachem trawy i lekką wonią spalenizny, którą tamten zawsze rozsiewał. – Jesteś pewien, że nic ci nie jest?

– Nigdy nie czułem się lepiej. A co z tobą?

– Nic wielkiego. Lekkie stłuczenie.

Bix spojrział na swoje zakrwawione palce. Przyłożył je do czoła Billy’ego i z namaszczeniem nakreślił kółko.

– Barwy wojenne – oznajmił.

Billy poczuł mrowienie na czole. Miał na sobie krew Bixa. Dina, królowa piratów, pojawiła się przed nimi blada jak ściana.

– Boże. Czy nikomu nic nie jest? Co to było?

– Czuliśmy, że żyjemy – zwrócił się do niej Billy. Mówił z wyraźnym drzeniem w głosie.

– Wszyscy czuliśmy, że żyjemy.

– Skasowaliśmy samochód ojcu Bixa – zauważyła Dina.

– Nie jest tak źle – odezwał się poszkodowany. – Założę się, że damy radę wypchnąć go z tego rowu.

– Poczekaj chwilę – powstrzymał go Larry. Pobiegł z powrotem do samochodu.

– Wracaj! – zawołał Billy. – On zaraz wybuchnie.

Bix zaczął się śmiać, zawtórował mu Billy, a po chwili Dina. Larry zanurzył się w samochodzie i wyjął butelkę.

– Jeszcze trochę zostało – krzyknął.

– To cud – ucieszył się Billy.

– Spójrzcie – powiedziała Dina, wskazując palcem. Jej pierścionki rozblęły przyćmionym blaskiem. Kilkanaście metrów dalej stała krowa i przyglądała im się z niewzruszonym spokojem.

Billy parsknął śmiechem. Bix uderzył go w plecy, tak że upadł w trawę, a tamten runął na niego. Billy poczuł charakterystyczną woń krwi i wyrazisty, intymny zapach Bixa. Zanosił się śmiechem, z trudem łapał oddech. Poczuł gwałtowny przypływ pożądania i erekcję. Larry pociągnął łyk wódki i puścił butelkę w obieg. Kiedy była już pusta, Bix wstał i rzucił nią w krowę. Butelka upadła kilka metrów za blisko, rozbijając się o kamień. Krowa nawet się nie poruszyła.

– Biada! – wrzasnął Bix. Obie dłonie umazał krwią spływającą z czoła i ruszył na krowę, krzycząc i wymachując rękoma.

Kiedy Billy patrzył za nim, doznał olśnienia. Oto przed sobą zobaczył dziwnie ustawiony samochód, z którego dobiegała muzyka i którego reflektory oświetlały ziemię. Łaciatą krowę i Bixa w wojskowej kurtce, który – usmarowany krwią, rozbawiony – biegł przed siebie. Nie

było to jednak *déjà vu*. Billy nie miał wrażenia, że podobną scenę już kiedyś widział. Wiedział natomiast, że od dawna czekał na taką chwilę, zdumiewająco doskonałą, i teraz ją widzi. Oto staje się zupełnie kimś innym, niż był dotychczas, kimś zupełnie wyjątkowym, po długim okresie zamętu, jakim było jego dzieciństwo. Poczłł gwałtowny przypływ energii, z okrzykiem radości podskoczył i popędził za Bixem. Ziemia pod butami była miękka i nierówna. Wydawało mu się, że wkracza w chwilę tak rzeczywistą, że pozostawało mu tylko biec w jej stronę i krzyżeć. Dogonił Bixa dokładnie w momencie, w którym krowa odwróciła się do nich tyłem i niezadowolona, rycząc, zaczęła przed nimi uciekać. Billy i Bix gonili ją aż krowa zaczęła niezgrabnie podskakiwać, ale nie biegła ani trochę prędzej. To było z natury łagodne, powolne zwierzę ze sporym apetytem, niekiedy poruszające się w nieco szybszym tempie. Gonili ją jeszcze przez pewien czas, aż równocześnie, zaskakująco zgodnie, zatrzymali się i zaczęli krzyżeć na siebie. Twarz Bixa miała dziki wyraz i lśniła od spływającej krwi. Krzyżeli, aż w pewnej chwili wydarzyła się rzecz niewidoczna dla oka. Zaiskrzyło między nimi gwałtowne uczucie. Billy zamilkł. Stał bez słowa, nagle przestraszony. Bix przyglądał mu się wzrokiem, który nic nie wyrażał, z kamienną twarzą jak u posagu. Potem się odwrócił i ruszył do samochodu. Billy stał w trawie sam, czując, jak na przemian biorą w nim górę namiętność i strach. Bix zabrał ze sobą tę chwilę i Billy pobiegł za nim, gorąco pragnąc jak najwięcej z tego, co mogło się zdarzyć, cokolwiek miaoby to być. Dotarli do pozostałych, a kiedy już wszyscy byli razem, zaczęli radosny taniec. Z radia płynęły dźwięki *Light my fire*. Zabawa pochłoneła ich bez reszty. Można było odnieść wrażenie, że świętują ważne zwycięstwo.

Kiedy piosenka się skończyła, usiedli w trawie. Słychać było cykanie świerszczy, a DJ nastawił *Incense and Peppermints*. Billy dotknął swego czoła w miejscu, gdzie zaschła krew Bixa.

– Musimy wypchnąć samochód z rowu – powiedział Bix.

– Sądzisz, że damy radę? – zapytał Billy.

– Jasne.

Minęło kilka sekund całkowitej ciszy. Dina siedziała obok Billy'ego, wrywając garściami trawę, a on obserwował Bixa. Ten milczał, był wściekły. Miał w sobie taką żołnierską niezłomność i opanowanie. Serce Billy'ego wezbrało uczuciem. Zrobi wszystko, przecierpi każdą stratę.

– Lecieliśmy – odezwał się. Jego głos zabrzmiał ciszej, niż się tego spodziewał. Spojrzał w niebo i z niezwykłą wyrazistością dostrzegł blade gwiazdy i migające czerwone światła samolotu. Teraźniejszość zaczęła się kurczyć. Świszcząca wiatrem nicość nadciągała, chciała z powrotem zająć swoje miejsce. – Ale to był pieprzony lot – dodał.

Bix wstał. Miał szerokie ramiona i pełen wdzięku, choć nieco ocieżyły sposób trzymania się i poruszania. Stał tak, jakby jego kieszenie były po brzegi wypełnione kamieniami.

– Chodźcie – ponaglił. – Musimy wypchnąć ten cholerny samochód.

Obciążyli przedni zderzak i zgodnie z przewidywaniami Bixa udało im się powoli wypchnąć samochód z rowu. Chłopak wcisnął się na siedzenie kierowcy i po kilku próbach uruchomił silnik. Nie był uszkodzony. Zaległa cisza, której nikt nie przerywał. Zakończył się pewien etap, przynajmniej jeśli chodzi o tę noc. Nie było zniszczeń. Larry usiadł na przednim siedzeniu, Billy i Dina – z tyłu. Bix wyprowadził forda na drogę.

– Co za noc – zachwycił się Billy.

– Odlotowa – potwierdził Larry.

Bix i Dina nie odzywali się. Billy nie był jeszcze gotowy, żeby zatopić się w nicość.

– Chyba mam jeszcze za mało barw wojennych – powiedział.

Sięgnął ręką ponad siedzeniem i dotknął zakrwawionego policzka Bixa. Chłopak uderzył Billy'ego grzbietem dłoni. Chwycił go za brodę i zadał tak silny cios, że głowa odskoczyła mu do tyłu. Samochód gwałtownie zjechał na przeciwny pas jezdni.

- Bix, co się z tobą dzieje? – zdziwiła się Dina.
- Nie dotykaj mnie – rzucił Bix. – Nie chcę, żebyś mnie dotykał.
- Dobrze się czujesz, Billy? – zapytała.

Napierała swoim kolanem na jego. Odepchnął je od siebie.

- Dobrze – odpowiedział. – Daj mi spokój.

Zaległa cisza, ale dopóki odczuwał wewnętrzny ból, był tutaj i nigdzie indziej. Radio grało. Billy trzymał się rękoma za brodę i wystawił nogi za okno. Serce przepełnione miłością biło mu tak mocno, że przyprawiało go o zawroty głowy. Samochód gnał przed siebie, a on obserwował uciekające konary drzew. Miał wrażenie, że skóra nasiąka mu zapachem perfum Diny. Bix prowadził w milczeniu, a Billy delikatnie przesuwiał czubkami palców po swojej zuchwie, głaszcząc uderzone miejsce, jak gdyby należało ono do kogoś innego, do kogoś, kogo uwielbiał. Samochód mknął, właściwie trudno powiedzieć dokąd, ale Billy czuł rozstępującą się przed nim przyszłość. Wydawało mu się, że mógłby tak jechać całą noc.

Kiedy wszedł do domu, słabe światło rozlewało się po klatce schodowej. Starał się iść jak najciszej, ale jego buty były stworzone do hałasu.

- Czy to ty, Billy? – Głos matki spłynął wraz ze światłem.

Zatrzymał się na podeście schodów, wciągając powietrze przez zęby.

- Tak, mammo.

Pozwól mi pójść do mojego pokoju, pomyślał. Pragnę i potrzebuję tylko spokoju i ciemności. Wszedł na samą górę i był już w połowie korytarza, kiedy matka wyszła z sypialni i zatrzymała go, uśmiechając się z zaniepokojeniem. Była pulchna i rozpromieniona, miała na sobie różowy szlafrok.

- Jest późno – zauważyła.
- Wiem. Wiem, że jest późno.

Stał na wprost niej w butach i skórzanej kurtce, ale nie patrzył na nią. Wiedział, że czuć od niego alkoholem i krowim łajnem. Wiedział, że ma krew na twarzy.

- Jak ty wyglądasz? Coś ty robił?
- Nic – odpowiedział.

Zaprzagnął, by jego matka była taka jak Bixa, która wędrowała z pokoju do pokoju z koktajlem w ręce, niczego nie potrzebowała poza kentem albo scotchem i swoją zgorzkniałą, pozbawioną złudzeń osobowością.

- Co ci się stało w czoło? – zapytała. – Skaleczyłeś się?
- Nie. Naprawdę nic mi nie jest. Idę spać.

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego czoła, ale zrobił krok zaakcentowany głośnym stuknięciem ciężkich obcasów. Zdołała go schwycić za rękaw. Poczuł ucisk w klatce piersiowej, wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, starając się głęboko odetchnąć. Ostatnio miewał takie napady duszności, chociaż nikomu o tym nie wspomniał. Kilkakrotnie pomyślał nawet, że ma raka płuc.

– Student Harvardu w żadnym razie nie może tak postępować – żartobliwie powiedziała matka półgłosem.

- Nie jestem studentem Harvardu, mammo.

– Będziesz nim już we wrześniu, Billy. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jakie to jest wyróżnienie? Czy choć domyślasz się, jak wiele czeka cię w życiu?

- A może ja wcale nie chcę iść na Harvard.
- Nie bądź śmieszny. Po takim wysiłku i ciężkiej pracy.
- Nikomu jeszcze o tym nie powiedziałem. Bixowi i Larry’emu, i pozostałym. Oni nawet nie wiedzą.

Zbliżyła swoją twarz do jego. Pachniała pudrem, snem i ledwie uchwytną, ale przenikającą słodyczą, która wzbudziła w nim strach.

– Bix i Larry – powtórzyła. – Chcę, żebyś na siebie uważał, kiedy jesteś z nimi. Słyszysz? Bix i Larry to zwykli młodociani przestępcy.

– I właśnie dlatego ich lubię.

– Kochanie – nie ustępowała matka, a w jej ściszym głosie pojawił się głębszy i ostrzejszy ton zaniepokojenia. – Co się z tobą dzieje?

– Nic złego – odpowiedział spokojnie. – Jestem zmęczony. Muszę się położyć.

– Bardzo się zmieniłeś – stwierdziła. – Nie jesteś już tym samym chłopcem. Zupełnie nie wiem, z czego to wynika.

Chciał zanurzyć dłonie w jej włosach, chwycić je i powiedzieć... Co powiedzieć? Że nadchodzi nowy świat, a ona będzie musiała pozostać w domu. Stał tak przez kilka sekund w półmroku, miotany uczuciami miłości i gniewu, otoczony powietrzem, którym nie sposób oddychać, pragnąc dotknąć matki, być może po raz ostatni.

– Masz rację – powiedział. – Jestem kimś innym. Już mnie tu nie ma, odszedłem.

Constantine powiedział wyraźnie – w żadnym wypadku nie można mu przeszkadzać. Nie wtedy, kiedy jest u niego Bob Nupp. Otyły mężczyzna, tego dnia ubrany w koszulę w czerwone pasy – był najbardziej przebiegły ze wszystkich inspektorów budowlanych w okręgu. Należało połechtać próżność Nuppa, rozmawiać z nim. Trzeba było zabiegać o jego względy niczym o względy młodej dziewczyny, schlebiać mu, a potem wsunąć do ręki pieniądze z wystudiowaną i jawną obojętnością, z jaką uczniak mógłby położyć dłoń na piersi dziewczyny. To było całe przedstawienie i jeśli w decydującym momencie straciło się rozmach, można było całkowicie pogrzebać szanse na przychyłność Nuppa. Constantine niejednokrotnie był tego świadkiem. Nupp, w powolnych mękach, zmagał się ze swymi mieszanymi uczuciami i jeśli spotkanie zostało zakłócone, potrafił dźwignąć z krzesła zwaliste ciało, wyjść z pustymi rękoma i powrócić nazajutrz rano, przeprowadzić kontrolę – jego świdrujące oczy potrafiły wypatrzeć każdy szczegół, a świszczący oddech było słychać wszędzie – po czym przystąpić do rozsyłania pozwów.

Toteż kiedy Sandy otworzyła drzwi gabinetu i podekscytowana jak zawsze, wsunęła głowę do gabinetu, Constantine pomyślał: Dość tego, ona jest skończona. Nie mógł jej zwolnić w tej chwili, nie w obecności Nuppa. Zmarszczył więc tylko brwi i ostrym tonem powiedział:

– Sandy, mówiłem pani. Żadnego przeszkadzania. Czy nie tak powiedziałem?

– Przepraszam, panie Stassos. Wiem. Ja tylko, no cóż. To policja. Mówią, że mają ważną sprawę.

Constantine westchnął głęboko, wciągając powietrze przesycone sosnowym zapachem odświeżacza i potu Nuppa. Policja. Czy chodziło o Susan, która żyła teraz poza zasięgiem jego ochrony? A może o Billy’ego, który znów urządził wyścigi samochodowe z tymi swoimi przyjaciółmi? Świat był pełen zagrożeń. Gdy ma się dzieci, lęk staje się nieodłącznym towarzyszem na całe życie.

– Dziękuję, Sandy – powiedział już łagodniej.

Zwlekał z odebraniem stojącego na biurku telefonu, spoglądając na Nuppa. Jeśli wiadomość była zła, nie chciał jej usłyszeć w obecności tego tłustego półgłówka, który miał wargi grube i nakrapiane jak kiełbasa, a te swoje obszerne koszule nosił rozpięte na trzy guziki od góry, obnażając gęsto owłosiony tors i obwisłe piersi; sądził zapewne, że są wyjątkowe i piękne.

– I tak muszę już iść – powiedział Nupp. – Nie, nie odprowadzaj mnie, dam sobie radę.

Constantine skinął głową.

– Do zobaczenia jutro rano, Bob – pożegnał gościa i wyraźnie poczuł żal, z powodu którego będzie później żywił do siebie odrazę – że ten telefon będzie go kosztował fortunę w postaci kar za naruszenie przepisów. Zwolni Sandy, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

Odczekał, aż Nupp podniesie się z krzesła i wyjdzie z gabinetu. Nacisnął klawisz telefonu.

– Constantine Stassos – przedstawił się. – W czym mogę pomóc?

– Pan Stassos? – W słuchawce odezwał się mężczyzna monotonnym i powolnym głosem. Równie dobrze mógł to być głos nagrany na taśmę automatycznej sekretarki.

– Tak. Stassos. O co chodzi?

– Panie Stassos, mówi Dan Fitzgerald z policji. Musi pan przyjechać do biura szeryfa okręgowego dla Nassau. Możliwie jak najszybciej. Biuro mieści się na Old Country Road w Mineoli, wie pan, gdzie to jest?

– Przepraszam, ale co się stało? Czy chodzi o któreś z moich dzieci...? – Przerwał. Nie mógł znieść myśli, że głos po drugiej stronie słuchawki ma tyle władzy nad jego przyszłością. Zanim policjant zdążył odezwać się ponownie, Constantine dodał: – Chcę rozmawiać z pana przełożonym. Proszę mnie połączyć z sierżantem.

– Panie Stassos, gdyby mógł pan przyjechać do biura szeryfa...

– Powiedz mi, do cholery, ty sukinsynu. Powiedz mi. Czy mojej córce nic się nie stało?

Nastąpiła chwila ciszy wypełniona cichymi trzaskami na łączach telefonicznych. Do Constantine'a dobiegł szmer innej rozmowy. Usłyszał niewyraźnie słowa „całymi dniami”, wypowiedziane kobiecym głosem.

– Nie wydaje mi się, żeby to była pana córka – odpowiedział mężczyzna z wahaniem.

Constantine pomyślał, że z jakiegoś powodu zadzwonili do niego w sprawie córki innego człowieka, zupełnie obcej dziewczyny. Modląc się w głębi duszy, myślał o Susan.

– Proszę pana – usłyszał – kobieta, którą zatrzymaliśmy, jest pańską żoną.

Constantine i Mary jechali z powrotem w milczeniu, którego żadne z nich nawet nie próbowało przerwać. Zawiózł żonę na główną ulicę w centrum miasta, gdzie stał jej samochód. Przesiadła się bez słowa, nie okazując najmniejszej wdzięczności. Miała obojętne, nieobecne spojrzenie. Pod rozmazanym makijażem zatarły się jej wyraziste rysy, a twarz przybrała wrogi i groźny wyraz.

Constantine jechał za nią, trzymając się blisko opadającego tyłu jej dodge'a darta. W biurze szeryfa powiedziano, że do incydentu doszło nie po raz pierwszy. Nie zatrzymano by powszechnie szanowanej kobiety, członka społeczności, gdyby tylko raz zdarzyło się jej wsunąć kilka niedrogich przedmiotów do torebki. Nie, Mary była pod obserwacją od kilku miesięcy. Pracownicy ochrony sklepów nie chcieli stwarzać problemów. Dwa razy udali, że niczego nie zauważyli, potem udzielili ostrzeżenia.

Przepraszam bardzo, powiedziano jej, chyba się pani pomyliła. Z całą pewnością nie chciała pani schować tej szczytki do włosów do swojej torebki. Kiedy zrobiła to po raz kolejny, została zatrzymana.

Policjanci byli uprzejmi, wręcz zmieszani. To była Ameryka. Jeśli zdobyłeś uznanie, jeśli doszedłeś do dużych pieniędzy, nawet policja była gotowa uwierzyć w twoją niewinność. Ich zakłopotanie było dla Constantine'a bardziej krępujące, niż gdyby odnosili się doń z nienawiścią. Zasugerowali, by Mary zasięgnęła porady psychologa. Skinął głową, podpisał dokumenty, uściśnił rękę człowiekowi, który przywiózł jego żonę do aresztu. Cóż więcej mógł zrobić?

Mary skręciła na podjazd, a on podjechał pod dom za nią. Weszła do środka, zatrzymała się w kuchni, trzymając portfelową torebkę obiema rękoma, i ze zdumieniem rozejrzała wokół, jakby to dobrze jej znane pomieszczenie zostało nieoczekiwanie przemeblowane.

– Mary – zaczął stojący za jej plecami Constantine.

Była elegancko ubrana, w krótką, ciemną spódnicę i zieloną marynarkę. Constantine'a zaskoczyło, że dostrzega jej kształty, wypukłość bioder i niemal idealną symetrię nóg, na których miała cieniutkie pończochy.

– Nie, proszę cię, nie – powstrzymała go.

– Co nie?

– Nie wiem. Nie chcę rozmawiać. Nie mam prawa o to prosić, prawda?

Słyszał jej nierówny oddech. Podeszedł bliżej i stanął na wprost niej. Płakała, chociaż była wyprostowana jak struna i wciąż kurczowo przyciskała torebkę. Słyszał, z jakim trudem oddycha.

Wiedział, że powinien być rozgniewany. Był wściekły, ale gniew nie płonął w nim, w środku. Na przemian przygasał i znów się wzmagił, poza jego zasięgiem. Wydawało mu się, że odczuwa tylko zmieszanie i wstyd, jakby to on popełnił przestępstwo.

– Mary – powtórzył.
– Och, proszę cię, Constantine – powiedziała, a jej głos, przebijający się przez łyżę, zabrzmiał zdecydowanie. – Nie mamy o czym rozmawiać.
– Woda kolońska, breloczek do kluczy, kostka mydła – wyliczał.
Skinęła głową.
– Miały być dla Billy’ego – powiedziała.
– Co takiego?
– Myślałam o nim, kiedy je brałam. Och, Con, idę do łóżka. Chyba powinnam się na chwilę położyć.
– Ale dlaczego? – pytał. – Mamy dość pieniędzy. Mogliśmy te wszystkie rzeczy kupić. Ile mogły kosztować? Dziesięć, piętnaście dolarów?
– Mniej więcej tyle.
– Więc dlaczego?
– Nie wiem.

Constantine spojrział na nią i zobaczył dziewczynę, którą kiedyś była. Ujrzał jej śmiałość i pewność siebie, surową, płonąca oburzeniem twarz i chwytającą za serce swobodę, z jaką tańczyła, prowadziła rozmowę, popijała z kieliszka. Teraz, tutaj w kuchni dostrzegł, że jest i nie jest tamtą dziewczyną. Coś w niej zwiędło i obumarło, zredukowało się niemal do zera, pozostały jedynie sztywno wyprostowana sylwetka i determinacja.

– Nie rozumiem – szepnął.
– To dotyczy nas obojga – powiedziała. – Może powinieneś na mnie krzyknąć i tłuc talerze. Być może powinieneś mnie uderzyć. Zastanawiam się, czy wtedy poczulibyśmy się lepiej.

– Mary... Tak mi przykro.
Roześmiała się, wypuszczając gwałtownie powietrze, jakby chciała zdmuchnąć świeczkę.
– Po tych wszystkich latach – wyrzuciła z siebie – nareszcie odczuwasz żal...
Zamilkła i wpatrywała się w niego nieobecny wzrokiem, którego nigdy dotąd u niej nie widział.

– Idę się położyć – oznajmiła. – Możemy o tym porozmawiać rano. Zrobię wszystko, co będzie trzeba, ale w tej chwili myślę tylko o tym, żeby się położyć.

Wyszła z pokoju, nie dotknąwszy Constantine’a. Słyszał jej kroki, ciche i pewne, gdy wchodziła po schodach.

Constantine nalał sobie drinka i stał pośrodku kuchni, pociągając powoli ze szklanki. Lód pękał z cichym trzaskiem. Cienka czerwona wskazówka sekundnika omiatała tarczę nowego zegara w kształcie dzbanka do herbaty. Rozglądał się po domu żyjącym własnym, cichym życiem, aż w drzwiach wejściowych stanął Billy. Constantine usłyszał na korytarzu charakterystyczne stukanie jego butów o płytki podłogi, przypominające beztrioski odgłos kopyt kuczka.

Billy wszedł do kuchni, spodziewając się, że zastanie w niej Mary. Na widok Constantine’a, twarz zmieniła mu się w jednej chwili.

– Cześć, tato.

Miał na sobie koszulę w kwiaty, purpurowo-pomarańczową, z tak szerokimi, trzepoczącymi rękawami, że Constantine’owi przyszło na myśl, że to jest damska koszula. Włosy opadały Billy’emu kosmykami na brwi, zmniejszając optycznie jego twarz, co w połączeniu z trądzikową cerą nadawało mu głupekowaty, prostacki wygląd.

On jest stypendystą, upomniał się Constantine. Dostał stypendium do Harvardu.

– Jak leci, synu? – zapytał.

– Super. – Billy otworzył lodówkę, zajrzał do środka i z powrotem ją zamknął. Wyjął oreo ze słoika ze słodyczami i zaczął obgryzać czekoladę wzdłuż zewnętrznej krawędzi. – Wcześniej wróciłeś – zauważył.

– Tak – odpowiedział Constantine. – Wcześniej.

– Gdzie jest mama? Wyszła?

– Położyła się. Nie czuje się najlepiej.

– Ach tak.

Constantine nie potrafił sobie wyobrazić, co ojciec mógłby teraz powiedzieć do syna. Sączył alkohol ze szklaneczki. Zanim zdążył zdecydować się na kolejne zdanie, usłyszał własne słowa:

– Jeśli te cholerne włosy jeszcze trochę urosną, to nie będziesz nic widział.

– Nie ma obawy – odpowiedział mu Billy. – Mam oczy dookoła głowy.

Constantine skinął głową. Każda odpowiedź musiała być błyskotliwa, ten smarkacz zawsze musiał z niego drwić i go prowokować. Wiedział, że kocha syna – ktoś mógłby nie kochać? – ale chciał, żeby był inny. Chciałby, właśnie w tej chwili, stać z nim w kuchni i rozmawiać o tym, jak zwodnicze są blaski tego świata, a rozczarowania – zdumiewająco wszechobecne. Chciał mocować się z synem, silnym zamachem podać mu piłkę nożną.

– Tę koszulę pożyczyłeś od siostry? – zapytał.

– Muszę już iść, tato.

– Teraz rozmawiamy. Czy może tylko mi się tak wydaje?

– Idę do Diny. Powiedz mamie, że zostanę tam na kolację.

– Zadałem ci pytanie.

– Wiem. To jest moja koszula, tato. Moje włosy, moja koszula i moje życie.

– Nikt tu nie mówi, że życie nie jest twoje. Ale to do mnie będzie dzwonił dyrektor szkoły w sprawie twoich włosów. I to ja zapłaciłem za tę pedalską koszulę.

Billy stał pośrodku kuchni. Constantine'owi się zdawało, że w tym samym miejscu, w którym niedawno tkwiła Mary, płacząc i trzymając obiema rękoma swoją torebkę.

– Prawdę mówiąc, to nie ty za nią zapłaciłeś – powiedział Billy. – Kupiłem ją za własne pieniądze. Właśnie dlatego pracuję u Kroegera, żeby nie musiał brać od ciebie więcej, niż jest to absolutnie konieczne.

– Uspokój się – wycofywał się Constantine. – Nie ma o co tak się unosić i denerwować.

– Nie zapłaciłeś za tę koszulę – upierał się Billy – ale posłuchaj, oddam ci ją. To wyrówna dług za jedną z tych, które mi kupiłeś, kiedy jeszcze byłem za mały, żeby zarabiać. Co ty na to?

Zaczął się rozpinać, z każdym kolejnym guzikiem odkrywając coraz większą część chudego, niebieskobiałego ciała.

– Na miłość boską, Bill.

Zdjął koszulę i podał ją ojcu. Nagi tors Billy'ego był przerażająco chudy, biały i upstrzony czerwonymi pryszczami. Jak to możliwe, żeby młody chłopak, który miał już wkrótce stać się dorosłym mężczyzną, wyglądał tak niezdrowo i staro?

– Weź ją.

– Daj spokój – powiedział Constantine. – Przestań.

Billy rzucił koszulę na podłogę.

– A co z butami? – zapytał. – Te były drogie. Powinny zrównoważyć to, co jestem ci winien za dwie czy trzy pary, które kupiłeś mi, kiedy byłem w piątej klasie.

Uniósł patykowatą nogę i z trudem zaczął ściągać sięgający mu do kostki brązowy but. Kiedy go zdejmował, niemal stracił równowagę i Constantine nie mógł powstrzymać śmiechu. Jego syn miał w sobie siłę, potrafił się zdobyć na gniew i zdecydowane działanie.

– Bill – zwrócił się do niego ciepło. – Billy.

Kiedy ten próbował wyswobodzić nogę z buta, Constantine wyciągnął rękę, chcąc pieszczotliwie zmierzić mu zbyt długie włosy. Może się razem napiją po kieliszku. Billy miał siedemnaście lat, mógł już wypić w domu odrobinę bourbona.

Na dotknięcie ręki ojca, Billy odskoczył gwałtownie do tyłu jak porażony prądem.

– Nie – powiedział, wzdrygając się.

Constantine uświadomił sobie, że Billy obawia się uderzenia.

– Bill – uśmiechnął się. – No już, uspokój się.

Pojednawczo wyciągnął rękę dłonią do góry, by przekonać go o pokojowych zamiarach.

Jednak Billy, zawstydzony tym, że okazał strach, cofnął się o dwa kroki dalej. Nie zdążył jeszcze zdjąć drugiego buta, który głośno stukał o podłogę.

– Zwrócę ci każdy grosz – wyrzucił z siebie. – Za wszystko. Za najdrobniejszą rzecz, którą kiedykolwiek od ciebie dostałem.

– Przeciagasz strunę – ostrzegł Constantine.

Billy odwrócił się i dużymi krokami, w jednym bucie, z trudem utrzymując równowagę, zmierzał do wyjścia.

– Nie mów do mnie w ten sposób – ostrym tonem zareagował teraz Constantine, ale nie ruszył się, by pójść za synem. Nie był w nastroju do awantury. Słyszał, jak drzwi frontowe się otwierają i zamykają. Potem dobiegło go głośne uderzenie drugiego buta o drzwi. Tego było już za wiele. Constantine podbiegł do nich, ale kiedy już się tam znalazł i je otworzył, zobaczył tylko but leżący na werandzie.

W domu było cicho. Z rur i przewodów dochodził nieustanny szum. Urządzenia w kuchni pomrukiwały. Mary spała na górze, śniąc swoje sny. Złodziejka, recydywistka; kobieta, która niedawno siedziała milcząca, w świetle jarzeniówki w biurze szeryfa, z makijażem rozmazanym na bladej, umęczonej twarzy. Billy poszedł półnagi do swoich przyjaciół. Constantine, nalewając sobie drugiego drinka, pomyślał o Susan, dzielnej i mądrej, która potrafi wybaczać. Pewnie podąży, na swych kształtnych nogach, na spotkanie przyszłości, która kryje w sobie tylko coraz lepsze wiadomości. To, co się stało, nie miało znaczenia. Zdarzyło się zaledwie kilka razy, kiedy był pijany, błahostka. Przecież tylko się całowali i obejmowali. Zwyczajnie, miłość i tyle. Chciał zadzwonić do Susan, ale wiedział, że jego dumy nie uleczy wspomnienie rozmowy z córką, w której będąc pod wpływem alkoholu, prosił ją o wybaczenie. Kiedyś będzie stary. Musi ostrożnie obchodzić się z przeszłością, którą sam pokierował.

Koszula Billy'ego leżała na podłodze zwinięta w kolorowy zwój. Constantine pochylił się – rozległo się delikatne chrupnięcie jego zeszywniałych kolan – i podniósł ją. Była z cieniutkiej, delikatnej tkaniny, lekka jak puch. Na czarnym tle rozkwiatały pomarańczowe maki wielkości paznokcia dużego palca i purpurowe kwiaty, których kielichy kształtem przypominały trąbkę. Constantine przybliżył koszulę do twarzy i wciągnął jej zapach. Pachniała jego synem – słodkim zapachem jego wody kolońskiej i dezodorantu, wyczuwało się też delikatną nutę cukierków z dodatkiem olejku wintergrinowego, które lubił ssać, by mieć świeży oddech. Billy'emu ciągle się wydawało, że brzydko pachnie, był na tym tle przewrażliwiony. Constantine rozumiał te obawy syna. Sam żuł cukierki anyżowe, skrapiał się różnymi wodami, szorował zęby trzy razy dziennie. Jakie myśli wprawiały Billy'ego w przerażenie do tego stopnia, że wręcz zlewał się wodami kolońskimi, parzył wrzątkiem skórę pod prysznicem, aż zaparowywały okna w całym domu? O czym myślał? Constantine upuścił koszulę na podłogę. Potem jednak, ponieważ był dobrym mężem i ojcem, ponieważ darzył swego syna miłością z domieszką nienawiści, podniósł koszulę i starannie ułożył na oparciu jednego z kuchennych krzeseł.

Ile osób widziało, jak aresztują jego żonę? Ile spośród nich rozmawiało o tym w tej chwili, przy kolacji? Mówiłem ci, że to się stanie prędzej czy później, czego można się spodziewać

po takich ludziach jak oni? Oczy zapłonęły mu gniewem. Tak wiele pracy, tyle codziennej ostrożności. Wszystko w takiej chwiejnej równowadze.

Zbliżył się do rozsuwanych szklanych drzwi, wyrzwał na podwórko za domem. Susan, w małym schludnym mieszkanku na północ stąd, pewnie podaje kolację. O tym pragnął myśleć. Ale myśl o Susan – tak jak jego szczęście i gniew – niepokorna wymykała mu się spod kontroli, błędziła po pokoju i nie pozwalała się osadzić tam, gdzie mieszkają jego szlachetne uczucia. Myśli, które pulsowały mu w głowie, były przepełnione gorzkimi modlitwami za Billy’ego, za Mary i za niego samego. Wybaw nas od nienazwanych porażek, przyczajonych jak szczury w ścianach.

Wyszedł do ogrodu i przez chwilę stał, patrząc w górę. Wkrótce będzie zupełnie ciemno. Niebo stawało się coraz bardziej płaskie, traciło głębię błękitu, przytulając się do ziemi. Odrzutowiec ciągnął za sobą ogon ze spalin, różowozłoty w gasnącym świetle dnia. Dom Constantine’a wyglądał potężnie i złowrogo jak okręt wojenny. W jego oknach odbijało się niebo i czarne gałęzie drzew rosnących w sąsiedztwie.

Ten ogród doskonale nadawałby się pod uprawy, gdyby klon Wilkinsonów nie rzucał tyle cienia. Tam, na południowym krańcu, byłoby idealne miejsce. Z pustą szklanką w ręku, Constantine krokami odmierzył niewielki kwadrat ziemi, jak mu się zdawało, najbardziej obiecujący. Tak, ogród. Rzędy fasoli, sałaty, słoneczników o przyciężkiej urodzie. Właśnie tutaj. Truskawki mieniące się jak klejnoty. Pomidory duże i mięsiste jak ludzkie serce. Spojrzał w dół na trawę pod nogami. Jego stopy wsunięte w drogie białe mokasyny ze złotymi, połyskującymi sprzączkami, wyglądały na zadbane i okazałe. Przechylił do ust pustą szklankę i dalej przyglądał się ziemi, której był właścicielem.

Zoe słyszała, co zaszło w kuchni. Widziała całe zdarzenie? nie. Teraz zobaczyła go przez okno swojej sypialni, stojącego samotnie w ogrodzie. Jak nigdy dotąd sprawiał wrażenie dziwnie małego. Siedziała, paliła jointa i obserwowała, jak ojciec tkwi na trawniku w zapadającym mroku. Czuła, że cały dom się kurczy.

Zgasła skręta i przeszła korytarzem do schodów, obok wypełnionej życiem ciszy panującej w pokoju mamy. Mijając wielobarwny wystrój kolejnych pomieszczeń, ich spokojny porządek, zmierzała do ogrodu za domem, gdzie ćmy zataczały już swoje kręgi.

– Cześć, tato – powiedziała.

Odrzucił się zaskoczony. Uświadomił sobie jej obecność. Z wyrazu jego twarzy odczytała, że dostrzega jej bladość i oszołomienie. Była najdziwniejsza z jego dzieci. Wszyscy ją kochali, ale nikt jej nie rozumiał.

Codziennie żegnała się z nimi.

– Zoe – zdziwił się.

Zorientowała się, że w ogóle zapomniał o jej istnieniu.

– Aha.

– No, popatrz. Co za niespodzianka. To naprawdę ty, Zoe.

– Wiem. Wiem, że to ja. Zobaczyłam cię przez okno.

– Ja... – Podniósł ręce i zaraz je opuścił. – Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Jasne.

Nastała chwila ciszy. Przerwał ją ojciec:

– Zastanawiałem się nad założeniem tutaj ogrodu. Tutaj, w tym miejscu.

– Mhm?

– Ogród wymaga dużo pracy – wyjaśniał jej. – Trzeba go stale pielęgnować. Wchodzą robaki. Chwasty. Raz dużo słońca, to znów za mało.

Wzruszyła ramionami.

– Nawet podoba mi się ten pomysł – stwierdziła. – Właściwie chciałabym mieć ogród.

– Moglibyśmy tutaj uprawiać wiele różnych roślin – kontynuował. – Moglibyśmy hodować kabaczki, fasolę, pomidory.

– Nie znoszę pomidorów.

– Zgoda. Żadnych pomidorów.

Na myśl o pomidorze wzdrygnęła się. Przykucnęła i zanurzywszy palce w trawie, zagarnęła niepełną garść ziemi.

– To nie jest zła gleba – powiedział, prostując się. – Spójrz tutaj. Widzisz, jaka jest ciemna?

Skinęła głową.

– Chciałabym również mieć kwiaty – ożywiła się. – Czy moglibyśmy zasadzić tutaj kwiaty?

Ogród byłby miejscem, do którego mogłaby wracać. Ogród pamiętałby o niej.

– Oczywiście – odpowiedział. – Ta gleba jest stworzona do kwiatów.

Ostrożnie, jak gdyby była delikatna i krucha, podał jej tę niewielką grudkę ziemi. Zbliżyła ją do twarzy i poczuła intensywny ziemisty zapach.

– To dobra ziemia – stwierdził.

Udawała, że nie widzi łzy, która spływa mu po policzku. Nie wiedziała, jak zareagować.

– Będę podlewać ten ogródek – postanowiła. – Będę o niego dbać.

– Oczywiście, że tak – podchwycił. – Wiem, że się nim zajmiesz.

Dotknął jej włosów. Jego ręka była duża i niepewna. Zoe trzymała ziemię i obserwowała, jak na białej koszuli ojca zatrzymują się ostatnie promienie światła.

– Wiem, że się nim zajmiesz – powtórzył.

Część 2

NAGANNE POSTĘPOWANIE

Niebo nad Cambridge miało kolor arktycznego błękitu pozbawionego sentymentu, błękitu bez najmniejszych oznak zwykłej sympatii. Chociaż dopiero minęło południe ciepłego październikowego dnia, Billy'emu wydawało się zupełnie prawdopodobne, że na niebie wkrótce pojawią się małe polarne gwiazdy. Leżał na trawniku dziedzińca, patrząc w górę. Inez, siedząca na swoim Heglu i Kierkegaardzie, by chronić spódnicę, w całej okazałości prezentowała swoją ptasią wyniosłość i popisywała się szczerym, wnikliwym krytycyzmem.

– Billy brzmi zbyt grzecznie – stwierdziła. – Ktoś, kto dał ci na imię Billy, chciał, żebyś przez całe życie dobrze się zachowywał.

Inez miała szczupłą sylwetkę, złocisty kolor skóry i burzę czarnych, sztywnych jak druty włosów. Z twarzy, okrągłej, inteligentnej, o obojętnym i nieco zagadkowym wyrazie, przypominała sowę. W małych owalnych szklach jej okularów odbijały się promienie słońca i postacie innych osób.

– Moi rodzice nazwali mnie Billy – powiedział. – A myślałaś, że kto?

– William brzmi o wiele lepiej – zdecydowała. – Albo Willy.

– Tylko nie William – sprzeciwiła się Charlotte. – William. Ohyda.

Charlotte była dziewczyną ze Środkowego Zachodu, o cerze białej jak mleko i silnych rękach, które nie przestawały się poruszać. Co chwila dotykała swoich włosów, guzików tweedowej marynarki z lumpeksu, złocistego kolana Inez.

– Racja – przyznała Inez. – Niech będzie Willy. Albo Will. Na oficjalne okazje.

– Mogę zgodzić się na Willa – powiedział. – Willy brzmi zbyt, sam nie wiem, górnotnie. Pretensjonalnie. Mógłbym chyba przystać na imię Will.

Inez i Charlotte naradziły się po cichu.

– Więc postanowione – oznajmiła Charlotte. – Nadamy ci imię Will. Dziecko o imieniu Billy już nie istnieje. Jesteś nowym człowiekiem, złotko. Powstań i ruszaj w świat.

– Nie możecie tak po prostu zmienić mojego imienia – zaprotestował.

– Oczywiście, że możemy. Właśnie to zrobiliśmy.

– Skoro tak, to proszę bardzo. Inez, niniejszym zmieniam ci imię na Siostrę Agatę z Modesto. Charlotte, od tego momentu będziesz się nazywać Zsa Zsa.

Dziewczyny po krótkiej naradzie potrząsnęły głowami.

– My już mamy właściwe imiona – powiedziała Inez.

Charlotte podniosła liść i przedarła go na pół, jak gdyby był to obrzęd, który upamiętni tę chwilę i tę rozmowę. Nawet jej nerwowa gestykulacja do pewnego stopnia nabrała uroczystego charakteru.

– Złotko, robimy to dla twojego dobra – tłumaczyła. – Wcale nie dlatego, że mamy taki kaprys. Z imienia Billy już wyrosłeś.

– Doskonale – podchwycił zadowolony. – Świetnie. Wy będziecie mnie nazywać Will. A ja do was będę mówił Siostrę Agatę i Zsa Zsa.

– Nie przyjmie się – odpowiedziała Charlotte. – Poczekaj, a sam się przekonasz.

– Jestem Billym od osiemnastu lat. Już za późno, by to zmieniać.

W głębi duszy bardzo pragnął mieć nowe imię, choć właściwie nie wierzył, że jest to możliwe.

– Poczekaj, a sam się przekonasz – powtórzyła Inez.

Na dziedzińcu połyskujące liście zawirowały w powietrzu. Każdy się śpieszył, wszyscy nieśli książki w mglistym jesiennym świetle dnia. Billy pomyślał, że jeśli w ogóle istnieje raj, ten byłby najbardziej wyjątkowy w nieskończonym zbiorze rajów zaskakujących, dziwnych i doskonałych w sposób, jaki trudno sobie wyobrazić. W każdym z takich rajów byłoby się kimś zupełnie innym.

- Ono jest pretensjonalne – stwierdził. – Zdradzałoby osobowość, a to byłoby już żalodne.
- Nie przejmuj się tym tak bardzo – poradziła Charlotte, a on zgodził się spróbować.

Mieszkali razem, cała trójka, na ostatnim piętrze wyblakłego brązowego domu na Massachusetts Avenue. Wełniane narzuty na łóżko, w tureckie wzory, powiewały w jego trzaskających od wiatru oknach. Na zadbanej werandzie od frontu niespokojnie połyskiwały srebrne dzwoneczki. Billy uwielbiał ten dom. Kochał Charlotte za jej cierpkie poczucie humoru, za to, że była nieco zmanierowana i męska. Inez natomiast darzył głębokim uczuciem za jej stanowcze i metodyczne odrzucanie zasad zdrowego rozsądku. Dzięki niej mieli amfę i kwas bibułowy. Dzięki niej wielu obcych, zazwyczaj ascetycznie szczupłych, refleksyjnie usposobionych mężczyzn z kilkudniowym zarostem zjawiało się pod prysznicem, brzdąkało na gitarach na werandzie albo siedziało w milczeniu przy śniadaniu. Billy nazywał Inez i Charlotte Świętymi Siostrzyczkami od Tolerancji. Powierzył im wszystkie swoje najskrytsze tajemnice, a potem zaczął wymyślać nowe.

Imię Will przylgnęło do niego, tak jak ośmielał się na to liczyć. Jego pozostali przyjaciele entuzjastycznie je zaakceptowali, ponieważ, jak się zdawało, niemal wszystko na świecie było stare, nie przystawało do nowych realiów i wymagało nowej nazwy. Na początku imię Will było jego cichym przywilejem, potem stało się prawem, aż wreszcie faktem. Wśród przyjaciół nikt nie nazywał go już Billym. To imię należało do odległej przeszłości, umierającej ery samochodów, smutku i kolonialnej zaborczości, wyobcowanej egzystencji zamożnych domów. Will wyglądał inaczej: czysta cera, delikatna, wąska twarz okolona włosami spływającymi poniżej ramion. Will odznaczał się muskularną budową i harmonijnie ukształtowaną, symetryczną sylwetką. Miał długie nogi, a na klatce piersiowej wyrastała mu trójkątna kępka miękkich włosów. Poruszał się z gracją, trochę nieśmiało, ubrany w swoją wojskową kurtkę i bezkształtne spodnie khaki.

Czasami, przy korzystnym oświetleniu, był skłonny uwierzyć, że zmienił się w mężczyznę o imieniu Will. Potem to mijało i znowu stawał się chłopcem, którego imię brzmiało Billy, kimś niewiele znaczącym i niezbyt mądrym. Inni nazywali go Willem, ale w swoich snach i myślach pozostał Billym, młodzieńcem na tyle byстрыm, by wymyślić dla siebie sposób na życie, takim, który dobrze zna granice swoich możliwości.

W pewien ciepły kwietniowy wieczór, kiedy powietrze było przesycone zapachem deszczu, a po Brattle Street spacerowali ludzie z tulipanami w papierowych rożkach, nieznajomy mężczyzna nachylił się nad Billym i powiedział: „Czy wiesz, że twoja dusza jest wyjątkowa? Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, że ci to mówię?”

Billy, który czytał Faulknera, popijając kawę przy białym marmurowym stoliku, podniósł głowę z wyraźnym przestrawieniem w oczach, jak gdyby ten bezosobowy głos wyjawiał publicznie jego najbardziej wstydlive, głęboko skrywane pragnienie. Mężczyzna pochylił się nad stołem. Miał trzydzieści kilka lat, skomplikowaną budowę twarzy, do złudzenia przypominającą plastyczną mapę topograficzną, i jasne oczy. Emanował nieprawdopodobną siłą, chociaż nie był ani wysoki, ani mocno zbudowany. W bezwietrzny dzień miał rozwiane włosy.

- Nie – odpowiedział mu Billy.

Mimo że był wystraszony, odezwał się pewnie, z nutą znudzenia w głosie, jakby chciał dać do zrozumienia, że zdążył się już przyzwyczaić do podobnych uwag. Nie potrafił stwierdzić, czy mężczyzna jest szaleńcem, czy działa pod wpływem impulsu. Nieznajomy patrzył z takim psim entuzjazmem. Miał na sobie białe spodnie dzwoony, brązową skórzaną kurtkę i symbol jin i jang zawieszony na rzemyku na szyi.

– Wyjątkowa i bardzo stara dusza – ciągnął nieznajomy tonem zdradzającym zainteresowanie. – Nie powinieneś pić kawy, pobudza ciało, ale zabija ducha. Ta kawa wywołuje iskrzącą pomarańczową łunę, która unosi się wokół ciebie.

Billy kiwnął głową. Zdawał sobie sprawę, że ten człowiek jest groteskowy, a być może nawet niebezpieczny, ale chciał, żeby tamten jeszcze nie odchodził. Mężczyzna przyglądał mu się z takim nieskrywanym szacunkiem w oczach.

– Lubię pomarańczowy kolor – odezwał się Billy i podniósł do ust filiżankę z kawą.

– W porządku, młodzieńcze – zgodził się tamten. – Rozpal ją jeszcze bardziej, a już nigdy nie zgaśnie. Nie mam ci tego za złe, ja też byłem taki. Jestem Cody.

– Zawsze zaczynasz rozmowę z obcymi w taki właśnie sposób?

– Nie ze wszystkimi. W tobie dostrzegam coś znajomego, tak jak widzę światło, którym emanujesz. Pomarańczowe, ale z zewnętrzną otoczką najpiękniejszego, czystego błękitu. Pomyśl o kolorze płomienia kuchenki gazowej.

– Mam na imię Will – przedstawił się Billy zaczepnym tonem i natychmiast uświadomił sobie, że podał nieprawdziwe imię. Kiedy się z nim utożsamił, poczuł w żyłach, że otworzył się przed nim bezmiar możliwości.

– Cudownie – zachwycił się Cody. – Magiczne, jestem tego pewien.

Uściskał Billy'emu rękę w nie znany mu wcześniej sposób, wewnątrz dłoni najpierw, tak że ich dłonie złączyły się jak w boksterskim geście triumfu. Dłoń Cody'ego była duża, sucha i miękka.

– Czy ty... czy pochodzisz stąd? – zapytał Billy.

– Jestem z Marsa, moje dziecko – odpowiedział Cody. Jego oczy miały lekko zielonkawy odcień. Twarz miał w zasadzie brzydką i zniszczoną, ale można w niej było dostrzec ślady ładnych, choć nieregularnych rysów. Mógł mieć nawet czterdzieści lat. – Jesteś studentem? Ha?

Billy potwierdził skinieniem głowy. Nauczył się odczuwać dumę i zarazem zakłopotanie z powodu należnych mu przywilejów. Przy każdej rozmowie starał się dać do zrozumienia, że nie pochodzi z wielkopańskiego czy objętego szczególną ochroną miejsca, ale ilekroć to mówił, czuł się tak, jakby kłamał. Czy były mu obce pieniądze i miłość? Czy jego skargi w gruncie rzeczy nie brzmiały jak narzekania uprzywilejowanego?

– Ha – powtórzył Cody zadowolony, choć z wyraźnym lekceważeniem. – Nowe pokolenie wybawców. Co ty tam czytasz?

Billy podniósł egzemplarz *Absalomie, Absalomie...* Cody kiwnął głową.

– Wielki starzec we własnej osobie – podsumował. – Powiedz mi, Will, co ty kochasz na tym świecie?

– Słucham?

– Co kochasz?

Billy uśmiechnął się nerwowo i poczuł, że sam jest atrakcyjny i jednocześnie trochę śmieszny. Chciał, żeby ten mężczyzna nadal prawił mu komplementy, nie dlatego że sprawiały mu one przyjemność, ale ponieważ gdyby zostały odwołane, gdyby Cody nagle zepchnął go do kategorii nudnego harwardczyka, tłąca się w nim niepewna nadzieja mogłaby zacząć przygasać. Opinia, że jest bezbarwną postacią, mogłaby stać się faktem.

– Kocham Faulknera – powiedział i poczuł, jak pod wpływem tej uprzejmej i zdawkowej odpowiedzi czerwienieją mu uszy. Im większe wrażenie chciał zrobić na Codym, tym bardziej zaczynał go nienawidzić.

– Nie pytam o książkę – powiedział Cody. – Ani o nieżyjących. Co na tym świecie kochasz? Mam na myśli coś, co jest żywe, prawdziwe?

– Kocham kawę – odpowiedział Billy bez zastanowienia. – Kocham duże przeceny w sklepach Kmart. Przykro mi, ale muszę już iść.

Cody położył dłoń na rękę Billy'ego. Miał grube palce i krótko obcięte paznokcie, pomalowane jaskraworóżowym lakierem.

– Zostań jeszcze – poprosił. – Pospaceruj ze mną trochę. Mam przecucie co do ciebie. Chcę sprawdzić, czy się nie pomyliłem.

– Widzę, że bardzo ci na tym zależy – powiedział Billy, nie spuszczać oczu z ręki Cody’ego.

– Przejdźmy się razem kilka przecznic. Zdarzają się różne rzeczy, Will. Wokół nas wszystko pulsuje, zmienia się, otwiera i zamyka. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Nie.

– Ależ tak, oczywiście, że rozumiesz. Chodź.

Zawahał się. Potem zdecydował, że może to zrobić jako Will – odważny i beztrocki bohater, który nie do końca jest prawdziwy. Z uczuciem osamotnienia i obawy Billy zapłacił za kawę i wyszedł razem z Codym. Zapaliły się uliczne latarnie – jasnożółte światło na tle gasnącego wieczornego nieba.

– Ty wcale nie kochasz wyprzedaży w Kmart – zauważył Cody. – Powiedziałeś tak, bo jesteś sprytny.

– Zadałeś pretensjonalne pytanie.

– Sprytny, sprytny, sprytny. Musisz być ostrożny, inaczej ta kosztowna szkoła, do której chodzisz, zmieni cię w kogoś, kto będzie przebiegły, pozbawiony złudzeń i cyniczny, kogoś, komu będzie się wydawało, że wszystko może przejrzeć na wylot. A ty przecież nie chcesz być aż taki stary.

Cody wydzielał słaby zapach strużyn. Był krępy męczyzną, poruszał się otoczony obłokiem różnych zapachów i cichych metalicznych dźwięków wydawanych przez: klucze w kieszeniach, bransoletki na rękach. Billy był zdenerwowany i trochę zakłopotany. Czuł pęcznienie w kroczu. Zawsze wiedział, czego chce, ale nie potrafił wyobrazić sobie, że mógłby urzeczywistnić swoje pragnienia, tak więc wiódł życie estety, młodego adepta filozofii. Był przyjacielem, studentem i niepozornym obiektem zagadkowych spojrzeń, szczupły, rozmowny, trochę romantyczny i nie należący do nikogo. Potrzeby cielesne załatwiał sam ze sobą, doraźnie i pośpiesznie. Nie pozwalał sobie na marzenia.

– Ale ja chcę być stary – odpowiedział. – I nie widzę nic złego w tym, że ktoś jest sprytny.

– Trucizna – skwitował Cody. – Cięty dowcip i spryt są dla ciebie bardziej szkodliwe niż trzydzieści filiżanek kawy. Mówię o odgradzaniu się od świata ścianą elektryczności statycznej. Ale posłuchaj, Will. Czy sądzisz, że mógłbyś mnie pokochać?

– Słucham?

– Myślę, że ja mógłbym cię kochać. Przez godzinę. Może dłużej. Nie ma sensu rozmawiać szyfrem. Widzę w tobie czystość, której pragnąłbym dotknąć.

– Co takiego? – roześmiał się Billy. W jego śmiechu słychać było drżące, nerwowe popiskiwanie.

– Nie udawaj, że jesteś aż tak zaskoczony. Nie to nie, twoja sprawa, ale nie zachowuj się tak, jakbym zadał ci pytanie, które nigdy nie przyszło ci do głowy.

– No cóż. – Ponownie się roześmiał, chociaż nie chciał tego. – Ja tylko...

Zatrzymał się. Stali w połowie drogi między dwiema przecznicami, mijani przez przechodniów. Nieco dalej, po prawej stronie, była cukiernia wchodząca w skład sieci, która miała swój sklep również w rodzinnym mieście Billy’ego. Spojrzał na jasny neon nad wejściem, na rzędy charakterystycznych dla niej różnokolorowych wyrobów wyeksponowanych na metalowych tacach w oknie wystawowym. Pomyślał o swoim pokoju, książkach na półce.

– Mieszkam tu niedaleko – powiedział Cody. – Może wstąpiłbyś i wypalił ze mną jointa?

Billy spojrział w ciemną, zniszczoną twarz Cody’ego i uświadomił sobie, że na to pytanie odpowiedź znajdzie się sama. On nie musi się nad nią zastanawiać, nie musi nawet starać się dokonywać wyboru ani podejmować decyzji. Wystarczy, jeśli nie odmówi.

– Czyli gdzie mieszkasz? – zapytał.

– Tędy – powiedział Cody. – Chodź ze mną.

Szli Brattle Street, mijając znajome sklepy. Cody zagadywał, Will mu odpowiadał, ale rozmowa go nie wciągała. Myślał o niebezpieczeństwie i przyzwoleniu, pęcznieniu, które odczuwał między nogami. Zastanawiał się, czy nie zmienić zdania. Charlotte pochwaliłaby go za zachowanie zdrowego rozsądku, Inez dokuczałaby, wytykając tchórzostwo. Świat migotał wokół niego światłami ulicznych lamp i wielobarwnym blaskiem miejskiego ruchu. Inez propagowała życie pełne niebezpieczeństw. Charlotte zalecała rozwagę i drobiazgową analizę strat i zysków. Nie miał pojęcia, po której stronie on, Billy, by się opowiedział. Zaszczekał pies. Will nie wiedział, co zrobiłby w takiej sytuacji, gdyby chciał postąpić jak Billy, toteż pozwolił się Cody'emu prowadzić wzdłuż Story Street, a potem chodnikiem z cegieł przylegającym do jasnobieżowego budynku.

Billy znał ten dom – znał wszystkie domy przy Harvard Square – i kiedy mężczyzna otwierał kluczem drzwi do holu, poczuł przyływ irytacji. Cody swą ekscentrycznością naznaczał ulice, które Billy traktował jak swoją nieograniczoną własność. Od tej chwili ten budynek już zawsze będzie nią emanował.

– To mieszkanie przyjaciółki – wyjaśnił Cody. – Wyjechała na jakąś misję, mieszkam tu, by odstraszać złe moce.

Billy roześmiał się ponownie, nienaturalnie i nerwowo. Nie tak miał zabrzmieć jego śmiech. Chciał być opanowany i odważny. Chciał być obiektem pożądania, swobodnym i nieskrępowanym mężczyzną.

– Nie sądz, że demony nie istnieją – mówił dalej Cody. – Złe duchy i anioły wciąż walczą o nasze dusze. Ten świat jest znacznie ważniejszym miejscem, niż wmawiają nam to wielkie korporacje. Niewiele trzeba, wystarczy pozwolić, by ludzie stali się zbyt poważni, by zaczęli za długo się zastanawiać nad istotą dobra i zła, a wyzbędą się tej przemożnej chęci odgrywania roli klientów. Trach. Całą koncepcję robienia zakupów można wyrzucić przez okno.

– Może i tak – powiedział Billy. Podążył za Codym dwa piętra w górę, potem korytarzem, który był do tego stopnia pozbawiony charakteru, że mógłby być korytarzem ze snu, i wszedł za nim przez ciężkie, brązowe drzwi.

Wnętrze mieszkania było wyłożone gobelinami w kwiatowe albo tureckie wzory, z jeszcze innych spoglądały apatyczne słonie z rozbieżnym zezem, ukazane z profilu. Gobeliny zawieszane na ścianach ściśle do nich przylegały, natomiast te, które przyczepiono do sufitu, układały się w fale. Słabe wieczorne światło sączyło się przez okna i wnikało w warstwy tkanin. Pokój sprawiał wrażenie mrocznego i głębokiego jak grot. W powietrzu unosił się ledwie uchwytny zapach kadzidła. Cody zapalił świeczkę, potem drugą i trzecią.

– Dużo narzut na łóżko – zauważył Billy. – Pewnie mieszka tu osoba, która ma do nich słabość.

– Usiądź – powiedział Cody. – Przygotuję herbatę.

Zniknął w głębi mieszkania, gdzie prawdopodobnie była kuchnia, a Billy zajął miejsce na jednej z poduszek. Potem znowu wstał i podszedł do okna. Ulicę rozświetlały już reflektory samochodów. Zapalono neon. W mieszkaniu po przeciwnej stronie ulicy Billy zobaczył niebieskoszarą poświatę ekranu telewizora i poczuł nagłe ukłucie zazdrości. Tam ktoś wiódł najbardziej zwyczajne życie bez niespodzianek. Ktoś siedział na własnej kanapie, popijał piwo i oglądał wiadomości o dziewiętnastej. Billy postanowił, że napije się herbaty, powie Cody'emu, że miło go było poznać, i wyjdzie. Wróci do ustalonego porządku swych dni, znajdzie się znów we własnej skórze.

Cody wszedł, niosąc dwa kubki, i stanął z nimi w świetle świec. Odczekał chwilę, aż Billy zbliży się do niego.

– Za długie życie – powiedział Cody, unosząc swój kubek. Herbata miała gorzki zapach. Billy pozwolił, by para owionęła mu twarz, ale nie pił.

– Korzeń łopianu – powiedział Cody.

– Słucham?

– To jest napar z korzenia łopianu. Na początku jego smak wydaje się wstrętny, ponieważ przyzwyczyłeś się do cukru. Napij się, pomoże ci się wyzbyć wszelkich niepotrzebnych obaw.

Billy przybliżył ostrożnie kubek do ust. Herbata rzeczywiście była paskudna, jak woda, która nie wsiąkała w poszycie lasu. Cody roześmiał się.

– Spróbuj jeszcze raz – zachęcał.

Otworzył skrzyneczkę, która stała na drewnianym stoliku, wyjął plastikową torebkę wypełnioną ciemnym, zielonobrazowym suszem, z wprawą i skupieniem zawodowego cukiernika skręcił jointa. Skrzyneczka była misternie rzeźbiona, inkrustowana macicą perłową. Cody zapalił jointa i w blasku zapałki ukazała się jego twarz niczym wydobyte z ciemności malowidło na ścianie jaskini. Była pokryta bliznami po ospie, poorana zmarszczkami. Malujący się na niej spokój wyparł drzemiące w niej ślady urody, które zniknęły w jednej chwili.

Podał jointa Billy'emu. Chłopak wciągnął dym głęboko w płuca i z uczuciem wdzięczności poczuł dobrze mu znane, słodkie pieczenie w środku. Oddał jointa Cody'emu, a wtedy mężczyzna delikatnie położył dłoń na klatce piersiowej Billy'ego.

– Czuję bicie twego serca – powiedział. – Moje dziecko, czym ty się tak denerwujesz?

– Nie denerwuję się – odparł Billy. Odczekał, aż Cody zaciągnie się, wziął od niego jointa i znów wciągnął dym w płuca.

– Gdyby jednak okazało się, że jesteś zdenerwowany, wiedz, że nie ma najmniejszego powodu – uspokajał go Cody. – To tylko miłość, szanowny panie Will. Właśnie jej szukasz każdego dnia przez całe swoje życie, co zresztą dobrze o tobie świadczy.

– Wydaje mi się... – zaczął Billy. – Słuchaj, muszę już iść. – Oddał jointa Cody'emu.

– Tak szybko?

– No tak. Wiesz, mógłbym znaleźć zupełnie idiotyczne wytłumaczenie, na przykład takie, że w tej chwili przypomniałem sobie o umówionym spotkaniu, ale tak naprawdę... – Liczył, że zaskarbi sobie względy dzięki swojej szczerości. Był dobrym i uprzejmym chłopcem, który wciąż pamiętał o tym, że istnieją granice tego, co jest dopuszczalne. Cody, uroczy, ciepły i opiekuńczy mężczyzna, będzie go kochał za wszystko, czego postanowił nie zrobić. W pokoju przesuwały się cienie poruszane migotliwym światłem. – Słuchaj, naprawdę... – próbował się wykręcać Billy, a jego głos zdawał się dochodzić z daleka, jak gdyby mówił nim inny chłopiec, który stał w drugim pokoju.

Widział, jak Cody odkłada jointa na popielniczkę i zbliża się do niego. Czuł, jak tamten delikatnie kładzie ręce na jego ramionach. Powietrze wypełnił ten zapach drewna. Billy słyszał ciche trzaskanie świec. Chciał i nie chciał.

– Wszystko dobrze, moje dziecko – zapewniał go Cody. – Nic się nie martw. Tutaj jest sama dobroć i jej najdrobniejsze zalety.

Ręce mężczyzny przesuwały się wzdłuż kręgosłupa Billy'ego i chłopak nagle uświadomił sobie, że znalazł się po drugiej stronie pewnej granicy. W jednej chwili się zorientował, że to wszystko się dzieje i nawet gdyby się wyrwał i uciekł, i tak nie przerwie ich biegu. Był już zupełnie gdzie indziej i z przerażającą ulgą pozwolił, by Cody rozpiął mu koszulę. Z nieoczekiwanym spokojem poczuł, że ma prawo z tego skorzystać, jak dziecko, które jest rozbierane do spania.

– Cudownie – szeptał Cody. – Jesteś fantastycznym chłopcem, to wspaniale być takim szczupłym i ładnym jak ty.

Billy pozwolił, by słowa unosiły się wokół niego. Ładny. Dotknął palcami górnego guzika koszuli Cody'ego i w przypiływie uniesienia odpiął go. Ukazał się dotychczas niewidoczny fragment ciała mężczyzny, gęsto porośnięty czarnymi włosami. Billy nie mógł uwierzyć, że ma na to przyzwolenie. Krew pulsowała mu w skroniach, wydawało mu się, że część jego

samemu unosi się teraz nad nim, przepelniona radością, choć również przygląda się przerażona, jak jego ręce rozpinają kolejne guziki koszuli Cody'ego. W końcu była rozpięta. Billy widział wiotkie mięśnie jego klatki piersiowej, owłosioną wypukłość brzucha. Miotał się między uczuciem mdlącego pożądania i palącego, ogromnego wstydu.

– Podejdz tutaj – poprosił Cody. – Zbliż się. – Poprowadził Billy'ego w kierunku pokrytego poduszkami materaca i tam zdjął z niego koszulę pewnym, precyzyjnym ruchem, jak gdyby on, Cody, był lekarzem, a koszula zadawała Billy'emu powolny ból, którego źródło trudno było zlokalizować. – Teraz się połóż – polecił.

– Ja...

– Cśśś. – Cody przycisnął mu do ust swój gruby, brązowy palec.

Billy usłuchał. Wystarczyło, że nie protestował. Światło świec omiatało gobeliny niczym podmuch lekkiego wiatru. Cody rozwiązywał mu buty. Nagle Billy poczuł potrzebę mówienia. Wydawało mu się, że jeśli w tym pokoju nie usłyszy własnego głosu, przepadnie, pochłonie go nicość, która czyha na obrzeżach świata.

– Posłuchaj, Cody – odezwał się, a jego głos w mroku pokoju zabrzmiał cicho i niepozornie. – Nie sądzę, abym chciał to zrobić, to znaczy wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli sobie pójdę.

– Ty wcale nie chcesz stąd wyjść. Tak mówi tylko twój głos.

Billy poczuł wzbierającą w nim wściekłość. Mógłby kopnąć Cody'ego – skupiona, pomarszczona twarz mężczyzny była tuż nad czubkiem jego buta – i poderwać się na nogi, krzycząc: „Nie mów mi, czego ja chcę”.

Nie poruszył się jednak. Gniew narastał gwałtownie, wydostał się z głębi aż pod samą powierzchnię skóry i w jednej chwili zmienił w zupełnie coś innego, w nieznane dotąd uczucie.

Złość, pożądanie i strach do tego stopnia zmieszały się w jego umyśle, że nie potrafił już ich odróżnić. Leżał spokojnie przygnieciony ciężarem tych emocji, podczas gdy Cody, cicho postępując z wysiłku, zdejmował mu buty i stawiał je na podłodze. Na widok swoich butów odstawianych na bok w taki właśnie sposób Billy pomyślał o własnej śmierci, lecz nie poczuł strachu.

– Ja... – zaczął i na tym poprzestał. Tak jak poprzednio musiał natychmiast się odezwać, teraz ogarnęła go potrzeba milczenia, zapragnął zagłębić się w poduszki, w gobeliny i nie widzieć nic poza wazonem wypełnionym pawimi piórami, które mrugały do niego w półmroku. Wtopił się w ten pokój i wszystko mogło mu się przytrafić. Wszystko było w porządku.

Delikatnie, ale z tą samą chłodną precyzją, Cody rozpiął guziki spodni Billy'ego i ściągnął je. Chłopak leżał tylko w skarpetkach i bokserkach, oddychając szybko. Miał wzwód i wciąż dręczył go wstyd, ale teraz w zupełnie inny, abstrakcyjny sposób – był skrepowany, a zarazem zadowolony, przyglądał się rzędowi jasnozielonych słoni, które przedzielały na pół tkaninę znajdującą się nad jego głową. Nie czuł się już obco w tym pokoju. Wszystko mogło się zdarzyć. Zobaczył swoje spodnie i koszulę skłębione na podłodze i uznał, że to ubranie należy do kogoś innego, kogo sam wymyślił.

Cody zdjął Billy'emu bokserki.

– Cudowny – szepnął.

Billy miał przyspieszony oddech. Był tylko w skarpetkach. To do niego odnosiło się słowo „cudowny”. Cody rozebrał się. Billy uniósł głowę i z nerwowym, przyprawiającym o drżenie zainteresowaniem obserwował, jak Cody zrzuca z siebie koszulę, strząsa z nóg buty i zdejmuje spodnie dzwony. Nie miał na sobie bielizny. Stał, prezentując swoją nagość, owłosione ciało, członek w stanie erekcji. Jego ręce były szczupłe, brzuch lekko wystający. Cody uklękła na materacu i zaczął dłońmi gładzić klatkę piersiową Billy'ego. Chłopak nie patrzył na niego. Znów skierował wzrok na sufit, gdzie, jeden za drugim, maszerowały słonie.

Poczuł na swoim brzuchu usta Cody'ego. Przestraszył się. Serce zaczęło mu bić mocniej. To nie może się zdarzyć. Nie może. Ale nie wykonał żadnego ruchu, pozwolił, by to się działo. I się wydarzyło. Usta Cody'ego, obwiedzione łaskoczącym, kilkudniowym zarostem, zsuwały się coraz niżej i nagle objęły Billy'ego. Brzuch zaczął mu falować. Obawiał się zębów. Patrzył tylko w sufit. Usta Cody'ego poruszały się, a Billy powiedział sam do siebie, Że to się dzieje naprawdę. Czuł się silny i śmieszny. Przypomniała mu się ręka kelnera, który zaledwie godzinę temu podawał mu kawę. Kelner był przystojny, ale w taki bezbarwny, pozbawiony zadowolenia sposób. Ręce miał blade i gładkie, z zaznaczonymi mięśniami, które poruszały się tuż pod skórą. Billy spojrzał na nagie ramiona Cody'ego, na czubek jego potarganej głowy. Poruszała się. I nadeszła chwila spełnienia, doznania tak silnego, choć odległego, że niemal przyprawiało o zawrót głowy. W niczym nie przypominało dreszczy, które Billy sam w sobie pośpiesznie wywoływał własną ręką. Włosy Cody'ego były czarne, w nieładzie, niewinne. Tamten kelner wydawał się urażony swoją urodą. Miał posępny wyraz twarzy. Mięśnie ramion naprężyły mu się pod skórą, kiedy nalewał kawę. Billy zorientował się, że myśli o ręce kelnera, i wypowiedział słowo „piękna”. Było w tym przyzwolenie i powiedział to słowo po cichu. Ręka stała się piękna, a potem piękny stał się mężczyzna, nieszczęśliwy nieznajomy z ledwie widocznym zarysem wąsów. Mężczyzna, który czasami bywał nagi, który prawdopodobnie miał szczupłe biodra i stał z ponurą miną, z rękoma splecionymi na nagiej klatce piersiowej. Billy myślał o rzeźbionej sylwetce kelnera emanującej niezadowoleniem. Obserwował czubek głowy Cody'ego. Tak. Bix rozmazał swoją krew na twarzy Billy'ego. Pośladki kelnera były pewnie nieduże, o idealnym kształcie. Tak. Myślał o Bixie – o tłumionej wściekłości, obłądnym błysku w oczach – i o drobnych i niewinnych pośladkach kelnera; myślał także o sobie, o tym, jak podnoszą go silne ramiona, i właśnie wtedy rozległ się jego krótki okrzyk zaskoczenia; nastąpiło spełnienie.

To wszystko. Skończyło się.

Natychmiast zmieniło się w pustkę. Było tak wiele, a nie pozostało nic, tylko tępe poczucie wstydu i pragnienie, by być gdzie indziej. Cody otarł usta i uśmiechnął się. Poklepał Billy'ego po brzuchu, a drugą ręką sięgnął do popielniczki po jointa.

– Mmm – mruknął, delektując się nim. – Doskonały.

Billy się nie odzywał. Uświadomił sobie, że znajduje się sam na sam w pokoju z lubieżnym, zwariowanym starzejącym się człowiekiem.

– Wszystko w porządku – powiedział Cody, częstuując go jointem. – Nic ci nie jest, jesteś cały i zdrowy.

– Muszę iść – odparł Billy. Nie przyjął jointa.

– Wiem.

Billy wstał z materaca, włożył ubranie, czując na sobie wzrok Cody'ego. Nie chciał się obrócić i spojrzeć na niego, ale kiedy był już gotowy do wyjścia, musiał to zrobić, a wtedy zobaczył chudego, brzydkiego mężczyznę, z zaokrąglonym brzuszkiem i purpurowym czubkiem penisa wystającym z ciemnych włosów, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami i dopalającego jointa. Billy nie wierzył własnym oczom. Ta brzydota, to smutne ciało.

– Do widzenia – powiedział.

– Do widzenia. I nie zamartwiaj się.

– Nie mam zamiaru.

– Będę tutaj jeszcze dwa dni – dodał Cody.

– Raczej się już nie zobaczymy. To znaczy, mam dużo nauki...

– Wiem. Szczęśliwej podróży. Proszę, staraj się dręczyć siebie jak najmniej.

– Oczywiście, jasne.

– Idź. Idź w pokoju, moje dziecko.

Billy skinął głową. Wiedział, że może już odejść i będzie mu to przebaczone. Całe jego pragnienie wyparowało. Ten epizod nie musiał nic oznaczać, poza zwykłą ciekawością i

brakiem uprzedzeń, które przywozili ze sobą wszyscy poszukiwacze przygód przybywający do nowego świata. Potem podszedł do Cody'ego – trzy kroki – i złożył na jego ustach pocałunek. Żaden z nich się nie odezwał. Billy obrócił się w stronę wyjścia. Poczł na dolnej wardze kropelkę wilgoci. Ślina Cody'ego czy jego własna sperma?

Słyszał stukot swoich butów o deski podłogi. Zamknął za sobą drzwi, dużymi krokami pokonał pusty korytarz, zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Przeszedł przez złowieszczy, niewielki hol polakierowany na żółto, z rzędami poplamionych chromowanych skrzynek na listy, otworzył szklane drzwi i wyszedł w całkowicie odmieniony wieczór w Cambridge. Był kwiecień, powietrze miało zapach budzącego się życia, chociaż w nadchodzących tygodniach mogły jeszcze się zdarzyć przelotne, obfite opady śniegu. Will odetchnął głęboko, potem jeszcze raz. Wydostał się już z tamtego pokoju, ale jeszcze się nie wyzwolił z tego, co go tam spotkało. Niósł to ze sobą. Pocałował innego mężczyznę i nagle już wiedział, kim będzie. Kiedy skręcił w Brattle, z ciekawością dotknął warg. Obezwładniła go gwałtowna fala szczęścia i strachu, porwała go tak nagle, tak nieoczekiwanie, że zatrzymał się i stał, zwyczajnie stał, na wprost własnego odbicia w szybie wystawowej księgarni. Rozpierała go radość, a zarazem nie potrafił się oprzeć przerażeniu. Pocałował innego mężczyznę. Pozwolił, aby w jego wnętrzu zamieszkało coś nowego, ta dotychczas nieznana możliwość. Skrawek gazety niesiony podmuchem wiatru otarł się o jego stopy, a on, wśród elektrycznych świateł Cambridge, wypowiedział swoje nowe imię, po cichu, sam do siebie, z czułością i zaskoczeniem, jak gdyby zwracał się do brata, którego właściwie nie znał, nie widział od lat i który nagle powrócił, niezapowiedziany, stanął przed nim rozpromieniony, gwałtowny i szalony niczym anioł przepełniony nieskazitelnie czystym smutkiem bez złudzeń.

Wciąż nic nie chciało się wydarzyć. Susan uważała, że już dawno powinno, a jednak nic nie chciało się zagnieździć. Żaden mikroskopijny haczyk nie chciał się zaczepić o inny haczyk, by mógł się rozpocząć długi proces splatania się kolejnych haczyków w rączki i stopki i by potem pojawiły się pierwsze ruchy uspionej istotki. Starannie zaznaczała na wykresie swoje dni, zawsze wiedziała. Kilka razy zdarzyło się, że pomyślała: Udało się. Na pewno się przebił. Teraz wszystko się zacznie. Ale nic się nie zaczynało. W swoim ciele wciąż była sama.

Nie chciała już dłużej czekać. Chciała mieć własną rodzinę. Kiedy jej i Toddowi urodzi się dziecko, staną się odrębną całością, będą szanowani. Nie musieliby już jeździć w odwiedziny do swoich rodzin na święta.

Poza brakiem dziecka – ten problem uważała za przejściowy – była zadowolona ze swego życia. Wystarczająco zadowolona. Nie miała nic przeciwko swojej pracy, polegającej na pisaniu na maszynie i segregowaniu dokumentów w biurze do spraw rekrutacji. Nie miała nic przeciwko Yale, chociaż uniwersytet nie otworzył dla niej swych podwojów. Prywatnie nazywała go fortecą. Ona i Todd, a także wszyscy ich znajomi mieszkali w obrębie kamiennych murów i trawników miasteczka uniwersyteckiego. W bliskim sąsiedztwie, wokół skweru i bardzo starego kościoła, wyrosło wiele sklepów i niedrogich restauracji. Zawsze można było się tam wybrać. Za sklepami i kawiarniami było potłuczone szkło, czarni mężczyźni i czarne kobiety, przyćmione, brudne światło dworca autobusowego sieci Greyhound. Susan nie oddalała się zbyt od miasteczka. Nigdy nie narzekała. Zaprzyjaźniła się z koleżankami z biura, które podobnie jak ona, były młodymi żonami studentów Yale. Uwielbiała swojego szefa, pana Morsta, jowialnego mężczyznę o piskliwym głosie, który pachniał jak przegrzany odkurzacz i nie miał w sobie za grosz erotyzmu. Pan Morst wydawał wyłącznie skromne polecenia. Proszę posegregować te broszury, proszę przepisać na maszynie te formularze. Wiedział, że ani Susan, ani inne dziewczęta nie pozostaną tu długo, wiedział również, że jeśli ta praca przestanie im się podobać, już jutro mogą sobie znaleźć inne, równie niewiele znaczące zajęcie. Po burzy niejasnych i wzajemnie wykluczających się pragnień Susan nauczyła się tego wyspiarskiego stylu życia, jaki narzucała szkoła, składającego się z prostych i nie wymagających dużego wysiłku obowiązków, które czasami traktowała jak przyjemność wynikającą z poczucia winy. Robiła tyle, ile było trzeba, ani więcej, ani mniej. Godziny mijały niczym wagony towarowe, miarowo, w mechanicznym rytmie i porządku, który miał w sobie coś z pełnego godności i imponującego majestatu pociągu przemierzającego kraj od wybrzeża do wybrzeża. Todd ciężko pracował, przygotowywał się do zajęć i miał takie dobre wyniki, jakich oczekiwał. Nie było niespodzianek. Perspektywa studiów na wydziale prawa stawała się coraz bardziej realna: albo Yale, albo Harvard. Mijały dni. W ciele Susan nic nie rośło, a przecież tego pragnęła. Dopóki to się nie stanie, dopóki dziecko nie zmanifestuje swojej obecności, jej dni będą wypełnione oczekiwaniem. Przepisywała na formularze oceny uzyskiwane przez studentów, zawsze dokładnie na linii. Robiła zakupy, gotowała, sprzątała mieszkanie, piła kawę z Ellie, Beth, Lindą i innymi koleżankami z pracy. Pozostałe dziewczęta starały się unikać ciąży, do czasu aż ich mężowie skończą szkołę i się okaże, gdzie spędzą swoje dorosłe życie: w Nowym Jorku, Kalifornii czy na równinach.

– Będę wychowywała dzieci przez następne dwadzieścia lat – powiedziała Beth przy kawie podczas przedpołudniowej przerwy. – Wcale nie mam nic przeciwko temu, żeby następnym roku czy dwa nadal były trochę beztrudne.

– Moja mama wymogła na mnie obietnicę, że się z tym wstrzymam, aż skończę dwadzieścia trzy lata – dodała Ellie. – Mówi, że dziewczyna, która ma mniej lat niż dwadzieścia trzy, nie może wychowywać dziecka, ponieważ sama jeszcze nim jest.

– Chyba tak – przyznała Susan. – Ale wiecie, ja mam przecucie, że ktoś na mnie czeka. Mam na myśli moje dziecko.

– Jak to?

Westchnęła, a jej oddech zmarszczył powierzchnię stojącej przed nią kawy.

– Och, nie zwracajcie na mnie uwagi – powiedziała. – Sama nie bardzo wiem, co mówię. Chodzi o to, że mam, nie wiem, jak to określić, przecucie. Wydaje mi się, że moje dziecko już istnieje. On tylko czeka, bym go dogoniła, a wtedy będzie mógł rozpocząć swoje życie.

– Albo ona – wtrąciła się Linda.

– Czuję, że pierwszy będzie chłopiec. Jestem o tym przekonana. To właśnie mam na myśli. Wciąż odnoszę wrażenie, że to już jest osoba, już istnieje, a tylko ja wszystko opóźniam. Czuję, że jeśli będę czekać zbyt długo, ta osoba zniknie.

– Lepiej urodzić dziecko, kiedy już gdzieś się osiadzie na stałe – orzekła Beth. – Nawet nie wiesz, gdzie ty i Todd będziecie o tej porze w przyszłym roku. Jeśli teraz zajdziesz w ciążę, choćby dzisiejszej nocy, może się okazać, że przyjdzie się wam przeprowadzać gdzieś daleko z trzymiesięcznym maleństwem.

– Todd nie stara się o przyjęcie na wydział prawa w jakimś odległym miejscu – sprostowała Susan z cichą satysfakcją. To ona z ich czwórki poślubiła chłopca, z którego przyszłością wiązało się najmniej znaków zapytania. Mąż Beth, Arnie, nieoczekiwanie zmienił swój przedmiot kierunkowy z inżynierii na dziennikarstwo. Bob, mąż Lindy, nie zaliczył dwóch przedmiotów. To one musiały się zabezpieczać, planować swoje życie najlepiej jak potrafiły, ponieważ los może je zaprowadzić wszędzie.

– Założę się, że jeśli się ma trzymiesięczne dziecko, to supermarket wydaje się odległym miejscem – stwierdziła Linda.

– Ja myślę, że robi się wokół tego zbyt dużo szumu – powiedziała Susan. – Moja matka urodziła mego brata i mnie, zanim skończyła dwadzieścia jeden lat, nie miała pieniędzy i poradziła sobie doskonale.

Beth i Ellie znów wymieniły spojrzenia.

– Ja, na przykład, nie jestem twoją matką – powiedziała Ellie.

Susan wiedziała, że jest wśród nich autsajderką, że gra w przeciwną drużynę. Kiedy przestanie tu pracować, nie będzie już utrzymywać kontaktów z tymi dziewczętami.

– No chodźmy już, muszę się brać do pracy. – Westchnęła. – Jeśli nie posegreguję tych broszur do dwunastej, będzie katastrofa.

– Racja – powiedziała Beth z przesadną cierpliwością w głosie.

Gdy wychodziły z bufetu dla pracowników, spódnica Lindy zaczepiła się o jej nylonowe rajstopy i ukazało się masywne i jędrne, białe udo. Przez krótką chwilę Susan zobaczyła, z przerażającą wyrazistością, jak ułoży się przyszłość Lindy. Jej mąż nie będzie zarabiał najlepiej. Linda się roztyje – już zaczynała przybierać na wadze – i zostanie w domu, by zajmować się dziećmi, podczas gdy on będzie coraz później wracał do domu, takiego jak te, które stawia ojciec Susan, domu zbudowanego z materiałów drewnopodobnych zbijanych gwoździami druciakami.

Domy wznoszone przez ojca czekały na takich, którym nie powodziło się zbyt dobrze.

Susan wiedziała, że w szkole średniej Linda była pogodną i niczym nie wyróżniającą się dziewczyną, przyjaciółką bardziej popularnych koleżanek, ponieważ nie stanowiła dla nich zagrożenia. Wiedziała, że Ellie jest uległa, chcąc wyrównać niedostatki urody – płaski biust i brodę w zaniku. Susan zauważała te rzeczy mimowolnie, tak jak jubiler zawsze widzi prawdziwą wartość szlachetnego kamienia. Starła się nie osądzać, ale widziała rzeczy takimi, jakie są, i nie potrafiła udawać, że jest inaczej. Aby ukarać samą siebie, przywoływała

w pamięci obraz Rosemary, w koronie, płaczącej ze szczęścia na boisku do piłki nożnej. Nie uważaj się za kogoś lepszego, napominała się w myślach. Byłaś tylko księżniczką, nie ty wygrałaś. Jednak im dłużej się zastanawiała, tym bardziej jej umysł koncentrował się na brzydocie Lindy, bezwolności Beth i nieestetycznym wyglądzie Ellie, która nakładała zbyt grubą warstwę różu i zbyt grubą kreską podkreślała oczy.

Kiedy wróciła do domu, Todd siedział przy swoim biurku. Stawał się kimś. Ten proces toczył się na jej oczach. Kupił sobie nowe okulary w oprawie w kolorze lukrecji. Pewne jego chłopięce cechy znikły – choćby jego dawna, wyraźna potrzeba miłości – a zamiast tego pojawiła się jeszcze większa potrzeba pracy. Susan uważała jego studia za smakowitą, kuszącą strawę. Pochłaniał książki z wiecznie nienasyconym apetytem. Odpoczynek i satysfakcja, złota chwila, zostały głęboko zagrzebane i żeby mógł się do nich dostać, musiał pochłonąć kilometry zadrukowanych stron, zapisać odpowiednią liczbę kartek, odpowiedzieć na każde pytanie wyczerpująco i poprawnie, tak precyzyjnie i w pełni zrozumieć poszczególne koncepcje, że odradzały się one niejako na nowo w jego krytycznym, pracowitym umyśle.

– Cześć – przywitała go od progu.

– Cześć. – Podniósł wzrok, uśmiechnął się i wsunął okulary głębiej na nos. Miał potężne, silne ręce, gęsto porośnięte jasnymi włoskami.

Podeszła do niego i zaczęła mu masować ramiona.

– Jak idzie? – zapytała.

– Dobrze – odpowiedział. – Finanse międzynarodowe to straszny koszmar.

– O tak, z całą pewnością.

Teraz, kiedy był studentem ostatniego roku college’u, przedmioty, których się uczył, kojarzyły się Susan z rozległymi i obcymi łańcuchami górskimi Azji. Przez pierwsze dwa lata udawało się jej nadać. Potrafiła objąć umysłem literaturę dwudziestego wieku, wyobrazić sobie biologię komórkową. Ale teraz on studiował niewidzialne prawa handlu, historię myśli. Obserwowała, jak w miarę zdobywania wiedzy jej mąż staje się coraz bardziej poważny i dojrzały. Pomyślała o dzieciach, które ona będzie musiała nauczyć dobroci; którym będzie potrzebna jej dobroć w każdej godzinie.

– A jak tobie minął dzień? – zapytał.

– Dobrze. Jak zwykle. Idę przygotować kolację.

– To się cieszę.

Po raz ostatni przesunęła palcami po jego karku i poszła do kuchni. Mieszkanie było przytulne, zwyczajne. Tu mieli swój pierwszy wspólny dom, ale Susan najwyraźniej nie potrafiła nadać mu konkretnego charakteru. Był w tak oczywisty sposób tymczasowy jak jej praca. Utrzymywała go w czystości, od czasu do czasu kupowała kwiaty. Każdego ranka wiedziała, co przygotuje wieczorem na kolację. Dni upływały jeden za drugim, a w chwilach pełnych nadziei, które przychodziły raz na jakiś czas, czuła, jak coś usilnie stara się z niej wydostać, delikatnie, ale uporczywie wypycha od wewnątrz tkanę jej skóry.

Kiedy płucała sałatę, zadzwonił telefon.

– Halo?

– Cześć, kochanie.

– Cześć, mamó.

– Nie przeszkadzam?

– Nie. Dopiero zabieram się do kolacji. Co tam u was słychać?

– U nas wszystko w porządku.

Susan usłyszała to i od razu wiedziała. Poznała po brzęczącej ciszy, która zaległa po drugiej stronie kabla.

– Co się stało? – zapytała. – O co chodzi?

– Nic. Nic wielkiego. Billy niedawno dzwonił ze szkoły i powiedział, że nie przyjeżdża do domu na Boże Narodzenie.

– Dokąd jedzie?

– Do jakiegoś znajomego. Kogoś, kto ma gdzieś dom. W Vermont. Dom w Vermont.

– Wygląda na to, że szykuje mu się dobra zabawa – powiedziała Susan. – Mamo, Billy ma już własne życie. Nie będzie przyjeżdżał do domu na każde święta.

– Och, przecież wiem. Nie sądzisz chyba, że nie zdaję sobie z tego sprawy. Musi realizować własne plany. Zresztą chcę, żeby to robił.

– Ale? – zapytała Susan.

– Słucham?

– Ale co? Wiem, że nie jesteś szczególnie zadowolona z tego powodu.

– No cóż, kochanie, oczywiście, że nie jestem zachwycona. Pokaż mi matkę, która nie chciałaby widzieć dzieci w domu na święta?

Susan ramieniem przycisnęła słuchawkę do ucha i zaczęła dzielić sałatę na kawałki.

– Ale chodzi ci o coś innego – dociekała. – Więc o co?

– Och, kochanie, przecież wiesz.

– Powiedz mi.

– Obie doskonale wiemy, że Billy nie chce przyjechać do domu ze względu na ojca. Czuję, że do tego dojdzie. Spodziewałam się. Pamiętasz ostatnie święta Bożego Narodzenia?

– Nigdy ich nie zapomnę.

Susan usłyszała, jak matka nabiera powietrza głęboko w płuca, jak chrząka, próbując pozbyć się ucisku w krtani.

– Twój ojciec odstrasza Billy’ego – powiedziała matka. – Doprowadza mnie to do białej gorączki.

– Nikt nie odstrasza Billy’ego, mamo. On jest w college’u, jego życie się zmieniło. Wróci, zobaczysz.

– Czasami wydaje mi się, że mogłabym zamordować waszego ojca. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego on jest taki uparty? Co o tym myślisz? Widzę, jak wszczynają te awantury, proszę, żeby przestał, ale on mnie nie słucha.

Nie przestaje. Nie potrafi się powstrzymać, jest jak rozjuszony byk.

– No cóż, mamo.

– Słucham?

– Cóż mogę powiedzieć, to ty za niego wyszłaś.

– Jak możesz tak mówić? Wyszłam za chłopca, dwadzieścia dwa lata temu. Ludzie się zmieniają. Pewnie jeszcze tego nie wiesz. Nie chodzi mi teraz o to, że Todd się zmieni. On jest inny.

– Nie uważam, żeby ktokolwiek mógł się aż tak bardzo zmienić – powiedziała Susan. – Jeśli tato teraz jest taki gwałtowny, prawdopodobnie dawniej był taki sam.

– On nie jest gwałtowny. Kochanie, ja wcale nie mówiłam, że jest gwałtowny. Powiedziałam, że jest jak rozjuszony byk.

– Och, daj spokój. Potrafi być okropny. On jest...

– Skarbie, ja kocham waszego ojca. Jest całym moim życiem.

– Nie twierdę, że go nie kochasz.

– Zrobiłabym dla niego wszystko.

– Mamo, posłuchaj...

– No, słucham cię. Jak się miewa Todd?

– U Todda wszystko w porządku. Ciężko pracuje, jak zwykle.

– To doskonale – skwitowała jej matka. – On jest naprawdę niezmordowany. A jak ty się miewasz? Nie masz dość tej twojej pracy?

– Nie, jestem z niej zadowolona. Posłuchaj, wszystko będzie dobrze, mam na myśli Billy’ego. Dorośnie, a wtedy między nim a tatą wszystko się ułoży.

– Och, wiem. Przecież wiem. To są tylko problemy okresu dojrzewania, każdy chłopiec przez to przechodzi. No, zajmij się kolacją. Todd jest pewnie bardzo głodny.

– W porządku. Mamo?

– Mhm?

– Nic takiego. Taty nie ma teraz w domu, prawda?

– Twojego ojca? Ach nie, jeszcze jest w pracy. Znasz go. On i Todd są z tej samej gliny, dwa niezmordowane woły robocze. Kiedy będziecie się wybierać na święta do domu, nie pozwól mu zabrać ze sobą żadnych książek.

– Zobaczę, co się da zrobić.

– Nie mogę się już doczekać, kochanie. Do świąt zawsze czas się wlecze tak niemilosiernie. Pozdrów ode mnie Todda.

– Dziękuję. Do widzenia, mamo.

– Do widzenia. Miło było cię usłyszeć, kochanie.

Susan odwiesiła słuchawkę i stała przez chwilę nieruchomo. Odczekała kilka minut. Nie będzie płakać, nie dziś wieczór. Skończyła rozdrabniać sałatę, z lodówki wyjęła pomidora. Ochłonęła i powróciła do swego życia, jego regularnego rytmu, jasnej, tymczasowej kuchni nie nawiedzanej przez upiory z przeszłości. To jest moje życie, pomyślała, i stoję dokładnie tutaj, w jego centrum. Pokroiła pomidora na plasterki. Nie myślała o niczym.

Tego wieczoru ona i Todd się kochali. Wiedziała, że jest bardzo zmęczony. Najchętniej dałby jej szybkiego całusa na dobranoc i odwrócił się na drugi bok. Ale to była jedna z jej nocy. Przesunęła dłonie w dół po jego szerokich plecach, przywarła do jego ust i zrozumiał. Położył obie dłonie na jej piersiach, jego usta wędrowały wzdłuż jej karku. Włożył rękę pod nocną koszulę i delikatnie dotknął pomiędzy nogami. Mruknęła przeciągle pod wpływem tego dotknięcia. Małżeństwo umniejszyło i jednocześnie pogłębiło tajemnicę. Widziała go siedzącego na sedesie, znała intymne, nieprzyjemne zapachy. Przyłapała go, jak patrzył przed siebie z tak bezmyślnym, idiotycznym i pełnym samozadowolenia wyrazem twarzy, że pomyślała: To koniec mojego zainteresowania. On już go nie odzyska. Ale jednocześnie coraz lepiej znała jego ciało, było jej z każdym dniem bliższe. Jego najdrobniejsze szczegóły – siateczka cienkich włosków na brzuchu, pojedyncza, gruba żyła śpiąca wzdłuż bicepsów – stały się również jej własnością, toteż ich widok wywoływał falę przepełnionej smutkiem czułości, której wcześniej nie znała, ani sobie nie wyobrażała wzajemnie wykluczających się uczuć: wrażenia szerokich możliwości i ciągłej obawy przed stratą. Teraz już wiedziała, że nikt nigdy nie może być pewny miłości. Ujawniała się ona nie wprost, w różnych sytuacjach, jednak nawet gdy trwała w uśpieniu, została już przekroczona pewna granica, obalona świętość. Cała jej pewność, jednostajne dni były przesycone teraz strachem, że Toddowi może się coś złego przydarzyć. Gdyby został ranny albo zachorował, gdyby umarł, jakaś część jej zostałaby uwolniona, ale inna, ta, która znaczyła więcej, którą Susan przeznaczyła dla niego, zamilkłaby na zawsze.

– Och – szepnęła. Czowała go, czuła, jak jego członek napiera, jak próbuje się dostać do środka. Todd był zmęczony. Ten raz będzie trwał wyjątkowo krótko. Rękoma wodziła w górę i w dół wzdłuż jego umięśnionych pleców. Jego siła wciąż robiła na niej wrażenie. Ciało, które wyczuwała pod jego skórą, było tak muskularne, tak bezustannie napięte, że wyobraziła sobie Todda, który żyje w stanie nieustającego, fizycznego bólu, ustępującego tylko wówczas, gdy śpi i kiedy uprawia seks. Nie miała wątpliwości, że ciało tak ogromne i umięśnione musi boleć, i kiedy dotykała Todda, wyobrażała sobie, że próbuje mu ten ból złagodzić, próbuje mu go ująć.

– Och – westchnęła ponownie, głośniej. Zazwyczaj robiła więcej hałasu niż on. Krępowало ją to. Martwiła się, że czerpie zbyt dużo przyjemności, że jest rozwiązła i

pożądliva. Powtarzała sobie, że to dla dziecka. Gdy Todd w nią wchodził, myślała o dziecku, które czekało. Może to będzie ta noc. Wiedziała tak dużo. Wiedziała, że będzie miał ciemne włosy, tak jak ona. Wiedziała, że będzie poważny, uprzejmy i nigdy nie podda się słabościom. Todd poruszał się w niej. Pod palcami wyczuwała twarde, bolesne mięśnie jego pleców. Biedactwo, pomyślała. Jego oddech łaskotał ją w ucho. Biedactwo. Poruszał się w skupieniu, milczący, słychać było tylko jego oddech. Doznanie zaczęło narastać. Coraz bardziej się mu poddawała. Przy każdym nacisku otwierała się coraz bardziej, aż usłyszała swój przyspieszony oddech i krzyk, poczuła kropelki potu, które pojawiły się wzdłuż kręgosłupa Todda. Zbliża się. To może być ten raz, ten, właśnie teraz. Wciąż myślała o dziecku, które czekało. Poczła silne mrowienie, ujrzała jasną wewnętrzną ziemię niczyją. Pomyślała o dziecku i o Toddzie, a kiedy wytrysnął w niej, zdumiony, wydając pojedyncze westchnienie, oboje na chwilę zmieszali się w jej umyśle, Todd i dziecko, świat wewnętrzny ze światem zewnętrznym, ciała, które czekały, by się z nią zespolić, by móc się uwolnić od smutku i bólu.

1972

Matka Trancas zostawiła wszystko: męża, rabatki petunii, dom z niebieskimi okiennicami przy ulicy, na której mieszkała Zoe. Zabrała ze sobą Trancas, by zamieszkały razem, do czasu, aż upijając się i wyrzekając wszystkiego, dotrze do twardego jądra nicości i będzie mogła rozpocząć wszystko od nowa. Zmierzała tam, pijąc alkohol i paląc po dwa chesterfieldy naraz. Oglądała telewizję i czekała na dzień, w którym będzie już miała za sobą tyle zmarnowanych godzin, że same się rozkruszą, dni staną się nie do odróżnienia od nocy. Wtedy będzie mogła wśród gruzów poszukać dla siebie nowej osobowości. Chciała brać kwas razem z córką, ale Trancas wciąż powtarzała, że nie wie, skąd go zdobyć.

– To na razie, dziewczęta – zawołała pogodnie matka Trancas zatopiona w kolorowej poświacie. Odblask telewizyjnego ekranu w jej szklance z whisky nieustannie się zmieniał. Postanowiła myśleć o sobie i Trancas jak o siostrach, dwóch młodych występnych kobietach, które mają jeszcze wszystko przed sobą.

Zoe rozumiała matkę Trancas, która zostawiła zasłonki w oknach i wyłożone papierem półki, by żyć z dala od cywilizacji. Chciała spojrzeć na swoje ludzkie życie oczami zwierzęcia i zobaczyć, gdzie się kryją błędy.

– Odchrzań się – mruknęła pod nosem Trancas.

Zoe uszczypnęła ją w ramię, twarde i tłuste jak kiełbasa. Zoe uwielbiała matkę Trancas. Szanowała jej płonne i absurdalne nadzieje na narodzenie się po raz drugi.

– Bawcie się dobrze! – krzyknęła jeszcze matka Trancas. Patrzyła na ekran poprzez swojego scotcha.

Pewnie to wygląda jak obraz w kalejdoskopie, pomyślała Zoe. Matka Trancas była chuda i drobniutka niczym podstarzała baletnica, wytwornie niechlujna jak królowa dotknięta obłędem. Miała na sobie indyjską bluzkę wyszywaną w kwiaty i ozdobioną połyskującymi cekinami. Emanowała bladym, migotliwym światłem, które harmonizowało z odblaskiem telewizora. Równie dobrze mogła być postacią z telewizji osadzoną w scenerii tego pokoju.

– Dobranoc, pani Harris – pożegnała się Zoe.

Trancas wypchnęła ją za drzwi, zamknęła je pośpiesznie, jakby chciała odciąć się od źródła śmiertelnego promieniowania. Żałowała matki, a zarazem czuła przed nią strach silniejszy niż miłość.

– Odchrzań się – powtórzyła głośniejsz Trancas w stronę zniszczonych drewnianych drzwi, pokrytych grubą warstwą farby.

– Nie bądź dla niej taka surowa – poprosiła Zoe.

– Dobrze ci mówić, to nie ty jesteś jej córką – odparła Trancas. – Jutro wracasz do Garden City.

– Przecież nienawidzisz Garden City.

– Spaliła wczoraj krzesło – powiedziała Trancas. – Zajęło się od papierosa. Wyszłam ze swojego pokoju i zobaczyłam ją. Spała twardo w kłębach dymu, a maleńki jęczyzek ognia lizał jej tyłek.

– Powinna bardziej uważać – stwierdziła Zoe, ale była w stanie zrozumieć nawet to, że ktoś może chcieć spłonąć. Matka Trancas prawdopodobnie śniła, że siedzi na płonącym krześle, unosi się wraz z dymem i patrzy na odwieczne sprawy tego świata.

– Cholerna racja – przyznała Trancas. – Jeśli ona chce się zabić, proszę bardzo. Niech tylko nie zabiera ze sobą mnie i połowy budynku.

– Jest w depresji.

– To pieprzona wariatka i tyle. Chodź już, spadajmy stąd.

Trancas i Zoe szły Jane Street, pod koronami drzew poruszanych wieczornym wiatrem. Trancas była najlepszą przyjaciółką Zoe, odkąd obie skończyły dziewięć lat, a teraz Trancas opuściła dawny świat złożony z reguł i dziewczęcych pragnień. Zoe odwiedzała ją w weekendy. W szafie u Trancas przechowywała zupełnie inne ubrania: czarną spódnicę mini, przezroczystą bluzkę w kolorze mocnej kawy. W Nowym Jorku niektórzy mężczyźni traktowali ją jak piękną kobietę.

– Jutro – zaczęła Trancas – chciałabym pójść obejrzeć motocykl.

– Jaki motocykl?

Trancas wyciągnęła z tylnej kieszeni kawałek gazety.

– Ktoś na West Tenth chce sprzedać starego harleya za trzysta dolarów – powiedziała.

– Ale przecież ty nie masz ani grosza.

– Jeżeli ten motocykl mi się spodoba, zdobędę te trzy stówy.

Trancas wypróbowała nowy rodzaj niefrasobliwości, nieograniczonej i egoistycznej swobody, w której nie ma miejsca na zmartwienia. Planowała ucieczkę. Ostatnio starała się przytyć, wysuwała zuchwę do przodu, by nadać twarzy bardziej kwadratowy kształt i mniej przyjemny wyraz. Mówiła, że kupi sobie motocykl, skórzaną kurtkę i nóż z trzonkiem z masy perłowej. Zoe wciąż była jej najlepszą przyjaciółką, w jakiś niejasny sposób, powierniczką jej nowych pomysłów. Chodziły ulicami niczym kochankowie.

– Jak zdobędziesz trzysta dolarów? – zapytała Zoe.

– To się da zrobić – odpowiedziała wymijająco Trancas. – Są sposoby.

Pielęgnowała tajemnice. Kiedy się poznały, Trancas była wysoka i inteligentna, niezgrabna, mało atrakcyjna. Żyła w ogromnym, z wolna narastającym chaosie wśród płataniny własnych błędów i nadziei. Teraz zaczynała nabierać kształtów. Mówiła o Kalifornii.

– Może twoja matka ci go kupi – zastanawiała się Zoe.

– Akurat.

– Mogłabyś ją poprosić.

– Ona nie ma pieniędzy.

– Twój ojciec pewnie jej coś przysłał.

– Ona nie realizuje jego czeków. Ostatnim podtarła sobie tyłek i odesłała go z powrotem.

Trancas była zachwycona złym zachowaniem matki. Niektóre z tych opowieści były prawdziwe.

– To może poprosiłabyś ojca? – podsunęła Zoe.

– O pieniądze na motocykl? On chce mi kupić baletki. Ciągłe mi powtarza, że jeszcze nie jest za późno, by zacząć.

Zoe wzięła przyjaciółkę za rękę, kiedy przechodziły na drugą stronę Hudson Street. Wieczne niebo było pokryte małymi obłokami zaciśniętymi w pięści, jasnoszarymi na purpurowoczarowym tle nieba.

Poszły do jednego z ulubionych barów Trancas, po drugiej stronie w East Village. Bar był rozjaśniony przyćmionym niebieskim światłem wewnątrz własnej, zastarzałej ciemności. Mężczyźni tańczyli w skórzanych kowbojskich strojach i nikt nie zwracał uwagi, czy też nikogo nie obchodziło, że Zoe i Trancas miały po szesnaście lat. Był to jeden z takich barów, do którego można wejść z węzem udrapowanym na ramionach. Z szafy grającej dobiegał głos Jamesa Browna, który śpiewał Super Bad.

Trancas i Zoe usiadły na połamanej kanapie w głębi sali, w pobliżu stołu bilardowego i smrodu toalet. Trancas zapaliła jointa, podała go Zoe.

– Tłoczno tu dziś – zauważyła.

– Mhm.

– Spójrz na tego faceta z tatuażami.

– Gdzie?

– Tam. Gra w bilard.

Muskularny mężczyzna o kociej twarzy pochylił się i znalazł w jaśniejszym kręgu lampy oświetlającej stół bilardowy. Mierzył w bilę z numerem siedem. Jego ręce były pokryte sercami, mieczami, szczerzącymi zęby czaszkami, węzami, smokami o czujnym, krwiożerczym spojrzeniu.

– Ale gość – zachwyciła się Trancas.

– Mhm.

– Zrobię sobie tatuaż.

– Jaki?

– Może różę – powiedziała Trancas. – Na tyłku.

– Będziesz ją już miała na zawsze – ostrzegła ją Zoe.

– Chciałabym wiedzieć, że coś będę miała na zawsze. Ty nie?

– Tak, chyba też bym chciała.

Paliły jointa, słuchały muzyki. W barze czas przestawał płynąć, istniała tylko muzyka i różne odcienie ciemności. Zoe bała się i to się jej podobało. Lubiła wieczory w mieście, w barach takich jak ten, małe niebezpieczeństwa i nadzieje, które były nieodłączną częścią tych wypraw. To tak, jakby mieszkało się w lesie. W Garden City artykuły spożywcze były poustawiane na półkach w alfabetycznym porządku.

– Może błyskawicę – zastanawiała się Trancas.

– Co? – Zoe była coraz bardziej naćpana. Czuła, jak wibruje w niej muzyka. Widziała, że wytarty, brązowy plusz oparcia kanapy jest sam dla siebie światem.

– Błyskawicę zamiast róży – wyjaśniła Trancas. – Myślę, że może zdecyduję się również na różę, no wiesz. R-ó-ż-ę.

– Lubię różę – powiedziała Zoe.

– No to powinnaś sobie wytatuować przynajmniej jedną.

– Kto wie, może tak zrobię.

– Ty będziesz miała różę, a ja błyskawicę. Albo smoka. Podoba mi się smok, taki, jakiego ten facet ma na ręce.

– Możesz wytatuować sobie i błyskawicę, i smoka – stwierdziła Zoe.

– Właśnie. Muszę się tylko zdecydować, który tatuaż chcę mieć najpierw.

Trancas wyjęła następnego jointa i nagle na oparciu kanapy znalazł się mężczyzna. Zoe nie zauważyła, kiedy się zjawił. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie siedział tutaj przez cały czas. Nie, jeszcze kilka minut temu wpatrywała się w wytarty brązowy plusz.

– Hej – zagadnął, uśmiechając się do nich. Jego twarz otaczała aureola włosów: burza czarnych, łamliwych kędziorów na głowie, nastroszone, kłujące czarne baczki i mała trójkątna bródka. Był ciemny, rozmyty jak tatuaż.

– Hej – odpowiedziała Zoe. Obecność tego krępego, uśmiechającego się mężczyzny z burzą włosów natychmiast wywołała w niej silne uczucie podniecenia. Trawka zrobiła swoje, Zoe czuła się trochę senna i skłonna do seksu.

– Co słyszeć?

– Nic. Siedzimy sobie.

Poczęstowała go jointem, zaciągnął się. Zrobił minę jak postać z kreskówek, zmrużył oczy i ściągnął usta. Zoe roześmiała się.

– Co cię tak bawi? – zapytał, oddając jointa.

Potrząsnęła głową i teraz ona pociągnęła skręta. Ten niski mężczyzna rodem z kreskówek miał w sobie podniecający urok, czujność, zagubienie i psią uległość. Był ubrany w czarną sztruksową koszulę i czarne motocyklowe buty. Równie dobrze mógł być kukułką, która wyskakuje z czarnego zegara i oznajmia pełną godzinę.

– Jesteś bardzo ładna – powiedział. – Chyba nie masz mi za złe, że to mówię?

– Wcale nie jestem ładna – odparła. – Chociaż bardzo bym chciała.

– Właśnie, że jesteś.

– Niestety nie. Może wyglądam ładnie w tym świetle, ponieważ tego chcę. To znaczy ty prawdopodobnie nie widzisz mnie, tylko jak bardzo chciałabym być ładną dziewczyną siedzącą na kanapie w barze.

Znowu się roześmiała. To była dobra riposta.

– Co takiego? – zapytał.

– Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia, co przed chwilą powiedziałam.

– Jesteś zwariowaną dziewczyną, mam rację?

– Tak. Jestem zwariowaną dziewczyną.

– To dobrze. Lubię zwariowane. Ale jesteś dziewczyną, prawda?

– Co?

– Nie jesteś chłopcem.

– Nie. Nie jestem chłopcem.

– Doskonale – ucieszył się. – Hej, lubię chłopców, ale lubię wiedzieć, na czym stoję. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak. Nie. Niezupełnie.

– Przychodzi tu dużo dziewczyn, które nimi wcale nie są.

– Wiem o tym – powiedziała. Czy rzeczywiście wiedziała? Zaczynała się trochę gubić.

– Widzę, że jesteś dziewczyną. Masz w sobie coś, czego oni nie potrafią podrobić, ten charakterystyczny blask. Wiesz, o co mi chodzi?

– Chcesz powiedzieć, że ja świecę.

– Właśnie. Mam na imię Ted.

– Cześć, Ted. Jestem Zoe. To moja przyjaciółka Trancas.

– Miło mi was poznać. Słuchajcie, nie miałybyście ochoty wrzucić kilka działek? – zapytał.

– Jasne. Czemu nie?

– Mam gram czy dwa u siebie. Mieszkam zaraz po drugiej stronie ulicy. Może skoczmy do mnie, zrobimy kilka szybkich?

Zoe spojrzała na Trancas, która wzruszyła ramionami. Trancas nie chciała odmawiać. Nie zmieniała się w osobę, która używałaby słowa „nie”.

– Zgoda – powiedziała Zoe.

– No to chodźcie.

Mężczyzna wstał. Zoe i Trancas zaczęły się zbierać do wyjścia, kiedy odezwał się czyjś głos:

– Dziewczyny, nie idźcie z tym typkiem.

Zoe najpierw zauważyła czerwone czółenka bez pięty na dwunastocentymetrowych obcasach. Pomyślała: Moja mama ma podobne buty, ale nie takie wysokie. Podnosząc oczy, zobaczyła wojskowy mundur, głęboko, aż do ramion wydekoltowaną bluzkę z falbanami, platynowoblond perukę, której sztuczne włosy opadały na ramiona, wydając elektryczne trzaski. Ten człowiek stał z rękoma wspartymi na biodrach. Jego upudrowana twarz emanowała wątlm światłem, była wąska, o ostrych rysach, wyzywająca.

– Odwal się, Cassandra – mruknął Ted.

– Ten tam jest zwiastunem złych wiadomości, moje panie – powiedział mężczyzna w peruce. – Trzymajcie się od niego z daleka, chyba że lubicie to na ostro, i to naprawdę na ostro. Wiem, co mówię.

– Odpieprz się.

– W zeszłym miesiącu jedna dziewczyna wylądowała przez niego w szpitalu. Uprzedzałam go, że jeśli znów będzie się tu kręcił, przepędzę jak psa. Myślisz, że żartowałam, Nick, kochanie?

– On ma na imię Ted – odezwała się Zoe.

Mężczyzna z kreskówki zwrócił się do Zoe i Trancas:

– Do tego baru męty z ulicy lgną jak muchy do gówna. Chodźcie.

– Na własne życzenie, moje panie – powiedział ten w peruce. – Jeśli tylko macie świadomość, w co się pakujecie.

Zoe się zawahała. Wiedziała, że Trancas nie zmieni zdania. Nie mogła. Okazanie strachu czy zdrowego rozsądku wepchnęłoby ją z powrotem w skórę tej wysokiej, niekochanej i nerwowej dziewczyny, którą postanowiła przestać być. Zoe zerknęła na mężczyznę z kreskówki, patrzącego teraz z gniewną miną, i przeniosła wzrok na mężczyznę w peruce, który stał niczym nawiedzona bogini moralności i pozorów, z twarzą o ostrych rysach wystającą spod srebrnych zasłonek peruki i rzędami kolorowych bransoletek połyskujących na obu nadgarstkach. Zoe pomyślała o Alicji po drugiej stronie lustra, niewinnej i wrażliwej dziewczynce. Alicja zabrała ze sobą do krainy czarów spokój, zdrowy rozsądek, swoją angielskość. Uratowała siebie, zachowując się poprawnie, słuchając z powagą zwierząt mówiących ludzkim głosem i zwariowanych ludzi.

Zoe podjęła decyzję.

– Jednak zostaniemy tutaj – powiedziała do Teda czy też Nicka. I zaraz dodała, zwracając się do Trancas: – Chyba że ty chciałybyś pójść.

Trancas, z wyrazem ulgi, potrząsnęła głową.

– Nie. Przecież nie zostawię cię samej w takim miejscu.

– Chyba nie pozwolicie, żeby wystraszyła was ta kanalia? – obruszył się mężczyzna. – Stroicie sobie ze mnie żarty?

– Nie – oświadczyła Zoe. – Zamierzamy zostać. W każdym razie, dzięki za zaproszenie.

Twarz mu się skurczyła. Wyglądało to tak, jakby próbował zmniejszyć sobie głowę.

– Dobra, jak chcecie – powiedział. – Słuchajcie nędzarek i meneli, oni rzeczywiście mają pojęcie, co mówią. Słuchajcie transwestytów, którzy jeszcze tydzień temu siedzieli za kratkami w Bellevue.

– To nieprawda – zaprotestował mężczyzna w peruce. Mówił z głębokim przekonaniem, z godnością, powoli, rozciągając samogłoski. – Nigdy nie byłem w Bellevue ani żadnej innej instytucji dla pomyłonych przestępców. Nie będę ukrywał, że siedziałem trochę za drobne kradzieże sklepowe, ale kochanie, nie wpłynęło to w żaden sposób na moją umiejętność rozpoznania zbrodni.

– Zbrodni, też coś – obruszył się mężczyzna. – I kto to mówi? Ty mnie nazywasz zbrodni.

– Zbrodnic – wyjaśnił mężczyzna w peruce – to ktoś, kto robi innym ludziom rzeczy, których oni sobie nie życzą. Koniec, kropka.

– Chodźcie – zwrócił się Ted do Zoe. – Nie chcę już patrzeć na odrażającą mordę tego dupka.

– Nigdzie nie idziemy – powiedziała stanowczo Zoe. – Naprawdę.

Potrząsnął głową.

– Głupia dziwka.

Mężczyzna w peruce uniósł ręce i poruszył palcami.

– Zniknij – powiedział. – Nie masz tutaj żadnej władzy.

Nick alias Ted odszedł, rozrzucając przekleństwa niczym małe zatrute różyczki.

– Słuszny wybór, panienki – orzekł mężczyzna w peruce. – Wiercie mi.

Zoe odczuwała wdzięczność i strach, nieufność i szacunek. Już wcześniej widziała w tym barze transwestytów, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że dla nich może być widoczna.

– Mam na imię Trancas. A to jest moja przyjaciółka Zoe. Jak masz na imię? – Trancas chciała żyć życiem barów, znać wszystkich transwestytów po imieniu.

– Cassandra – odpowiedział mężczyzna. – Urocze imię, wiem o tym.

Teraz, kiedy mężczyzna z kreskówki sobie poszedł, wyglądało na to, że Cassandra straciła zainteresowanie. Rozglądała się dokoła, zbierając się do odejścia. Migotała w gęstym powietrzu niczym ławica rybek w morskiej głębinie.

– Podobają mi się twoje kolczyki – pochwaliła Zoe. Jeden z kolczyków Cassandry przypominał srebrzystą raketę, drugi był miedzianym księżycem o zirytowanym, niespokojnym obliczu.

– Tak, są świetne – podchwyciła Trancas.

Cassandra dotknęła swoich kolczyków.

– Prawda? Rakietę i księżyc. Wspaniałe. Chcesz je mieć?

– Och, nie – wzbraniała się Zoe.

– Nalegam. – Cassandra wyjęła z ucha kolczyk w kształcie księżyca. Jego maleńka miedziana twarz pociemniała w barowym oświetleniu.

– Nie, naprawdę, proszę – protestowała Zoe. – Nie mogłabym.

– Chodzi o kwestię higieny? – zapytała Cassandra.

– Ależ nie. Ja tylko...

– Podzielmy się nimi. Ty weźmiesz księżyc, ja zatrzymam raketę. – Potrząsnęła przed oczami Zoe księżycem wielkości jednopensowej monety.

– Naprawdę? – zapytała Zoe. – Ale przecież mnie nie znasz.

– Kochanie – zwróciła się do niej Cassandra. – Jestem choinką. Upuszczam jedną małą ozdobę tu, inną tam. Cały czas przybywają nowe rzeczy. Zaufaj mi. To jest wspaniały wielki świat, na który składają się rzeczy. A zresztą, ukradłam tę tandetę, zawsze mogę ukraść następną.

Zoe wyciągnęła rękę po kolczyk. Trancas pomogła jej wbić go w płatek ucha.

– Fantastyczny drobiazg – zachwyciła się. – To będzie cenna pamiątka.

– Od tej chwili jesteśmy kolczykowymi siostrami – stwierdziła Cassandra. – Związane ze sobą na całe życie.

– Dziękuję – powiedziała Zoe.

– Bardzo proszę. Teraz wybaczcie mi, dziewczęta. – Odeszła, zręcznie poruszając się na swych wysokich obcasach. Srebrna peruka mieniła się sztucznym światłem.

– No, no – odezwała się Trancas. – A to dopiero postać.

– Zastanawiam się, czy nie uratował nam życia – powiedziała Zoe.

– Prawdopodobnie. On jest naszą cholerną dobrą wróżką.

Trancas i Zoe ponownie usiadły na kanapie i zaczęły palić trawkę, ale niewiele już mogło się wydarzyć. Skończyły jointa i wyszły z baru. Odwiedziły jeszcze kilka innych miejsc, wypaliły jeszcze jednego skręta, tańczyły razem i obserwowały facetów. Kiedy wróciły do mieszkania Trancas, zastały jej matkę chrapiącą przed telewizorem. Zoe rozejrzała się, czy nie widać pierwszych oznak pożaru. Trancas przystawiła palec do głowy śpiącej matki.

– Pif-paf – powiedziała.

Jej matka uśmiechnęła się przez sen, ale się nie obudziła.

– Chciałabym, żebyś została w domu w ten weekend – powiedziała mama. – Co cię tak ciągnie do Nowego Jorku?

– Trancas czuje się tam osamotniona – odpowiedziała Zoe. – Jestem jej potrzebna.

Mama miała na nogach czerwone tenisówki. Jej cień przysłonił maleńkie strączki fasoli i główki sałaty, ciemniejsze i bardziej rozrośnięte pędy kabaczków. Mama stała wśród tej plątaniny spragnionych wody roślinek. Kiedy przyjdzie czas, fasola dojrzeje, a ona zerwie strąki z pnących się łądyg i wrzuci je do wrzątku.

– Trancas prawdopodobnie poradziłaby sobie sama przez jeden czy dwa weekendy – stwierdziła mama.

– Tęsknię za nią – powiedziała Zoe. – Ja też czuję się tutaj samotna.

W uchu miała miedziany księżyc Cassandry. Miała na sobie dzinsy w łąty i nierówno ufarbowaną koszulkę – rzeczy należące do jej domowego życia. Ukucnęła między grządkami, na których każda z upraw była oznaczona odpowiednią nazwą, i wrywała chwasty. Ziemia oferowała własny cień, drzemający w niej chłód, który wydobywał się z jej głęboko ukrytego wnętrza.

– Pozwól jej jechać, Mary – odezwał się ojciec. Niósł skrzynkę z nagietkami tak jasnymi, że wydawało się, iż wydzielają ciepło. Również z jego twarzy promieniował gorący blask, smutek palący jak ogień.

– Wydaje mi się, że to jednak przesada – stwierdziła mama. – Każdy weekend w Nowym Jorku.

Tata podszedł i stanął obok Zoe. Dotknął jej włosów. Kiedy byli razem w ogrodzie, bronił jej prawa do wszystkiego, na co miała ochotę. Poza ogrodem tracił ją z oczu. Wciąż ją kochał, ale nie potrafił uwierzyć, że ona istnieje poza światem korzeni i urodzajnej gleby, w którym łączyła ich wspólna ambicja, żeby zebrać plony.

– To jej najlepsza przyjaciółka – przekonywał. – A przecież niewiele się dzieje tutaj, na Long Island, w sobotni wieczór. Mam rację, Zoe?

Zoe wzruszyła ramionami. Wszędzie dużo się działo. Tylko że ona miała coś do załatwienia w Nowym Jorku. Nie szukała sławy ani nie dążyła do autodestrukcji jak Trancas. Chciała czegoś innego, czegoś takiego, jak miała Alicja, gdy znalazła się w krainie czarów, a potem z niej powróciła do świata ogrodów, podręczników szkolnych i rozwieszzonego na sznurku prania. Pragnęła stać się bogatsza w środku.

– Doskonale – powiedziała mama, a w jej głosie zabrzmiała nuta rozgoryczenia pomieszanego z satysfakcją. Uwielbiała porażki, przyjmowała je z takim zgorzkniałym upodobaniem i taką niechęcią, z jaką podchodziła do jedzenia. – Zrobisz, co uważasz.

Ruszyła w stronę domu, stąpając po trawie w swoich czerwonych płóciennych butach. Tata stał nad Zoe, jedną ręką dotykał jej włosów, drugą obejmował skrzynkę z nagietkami. Obrzydliwy i słodki zapach kwiatów roznosił się wszędzie. Nagietki opadły bezradnie. Były tylko zapachem i barwą, nie miały ani trochę siermiężnej spoistości warzyw.

– Posadźmy je – powiedział tata z czułością w głosie. – A potem zawiozę cię na pociąg o dwunastej trzydzieści.

– Dzięki. Trochę mi przykro, że tak ciągle wyjeżdżam.

– Nie martw się tym – pocieszał ją tata, a Zoe wiedziała, że mówi szczerze.

Susan pozostawiła po sobie pustkę w domu, Billy również. Susan, kiedy odeszła, zabrała ze sobą część przyszłości, Billy błędy przeszłości, które przez to stały się nie do naprawienia. Jej wyjazdami rządził inny rodzaj logiki. Wyjeżdżanie było nieodłączną częścią jej pracy.

Czasami Cassandra była w barze. Zoe uświadomiła sobie, że czeka przez cały tydzień na wieczory, kiedy razem z Trancas szły do baru. Jeśli nie zastała tam Cassandry, czuła się rozczarowana i zlekceważona, jakby ktoś sprawił jej zawód, nie dotrzymując obietnicy. Natomiast gdy Cassandra była w barze, Zoe witała się z pełną niepokoju nadzieją w głosie, jakby zwracała się do chłopca, którego kocha. Cassandra zawsze odpowiadała: „Cześć, kochanie” i szła dalej. Zoe nie była zakochana w Cassandrze, ale czegoś od niej oczekiwała. Nie potrafiła jednak określić czego.

Trancas zaczęła się puszczać, żeby zdobyć pieniądze na motocykl. O pierwszej przystanku opowiadała jak o osiągnięciu.

– Krążyłam przed tym kinem na Fortysecond – relacjonowała, gdy siedziały w kawiarence na Waverly. – Tak okropnie się bałam, no wiesz, że nikt mnie nie będzie chciał. Może nikomu nie przyjdzie do głowy, po co tu jestem?

Twarz przyjaciółki była blada i brzydka, czerwona od emocji, które najbardziej przypominały wzburzenie. Wsypała pięć łyżeczek cukru do swojej kawy. Miała na sobie szarą dżinsową kurtkę i koszulkę zespołu Greatful Dead, szkielet w koronie z róż.

– Powiedziałam sobie – mówiła Trancas – że postoję jeszcze, dajmy na to, kwadrans i jeśli nic się nie wydarzy, pójdę do domu. Minęło już mniej więcej czternaście i pół minuty i nagle podchodzi do mnie ten facet, po prostu normalny facet pod pięćdziesiątkę. Nie wyglądał na bogatego, ale też nie jak ostatni palant. Cały ubrany w poliester, jeden z tych facetów, no wiesz, taki zwykły, który prawdopodobnie pracuje w jakimś biurze, cały dzień coś tam robi, a potem wraca do domu. W każdym razie podchodzi do mnie i w pierwszej chwili pomyślałam, że to jest jakiś znajomy mojego ojca. Potem pomyślałam, no nie, zaraz mi powie coś w stylu: „Przystanek autobusowy jest tam za rogiem”, albo wręczy ulotkę o Chrystusie czy coś takiego. Ale nie. Podchodzi prosto do mnie i mówi: „Cześć”. Odpowiadam: „Cześć”, a on na to: „Możemy dobić targu?” Serce mi wali jak młotem, jestem przerażona, ale mój głos brzmi tak, jakbym to robiła już tysiąc razy, jakbym była już w tym nieźle obcykana. Patrzę na niego dłuższą chwilę, a potem odpowiadam: „Być może”. I to było niesamowicie dziwne uczucie, Zoe. To było tak, jakbym doskonale wiedziała, co mam robić, co mówić i jak się zachowywać. On pyta: „Ile bierzesz?”, a ja odpowiadam: „Zależy, co byś chciał”. Byłam całkiem opanowana. Nie mam pojęcia, jak mi się to udało.

– A co on na to? – zapytała Zoe. Pochyliła się do przodu nad porysowanym i poplamionym blatem stołu.

Z kuchni słychać było mężczyznę śpiewającego z obcym akcentem: „Hang down, Sloopy, Sloopy, hang down”².

– Powiedział: „Chcę laskę i trochę czułości”. I wiesz, co ja na to?

– Co?

– Powiedziałam, laska kosztuje trzydzieści dolarów i nie oferuję czułości.

– Nie wierzę.

– To prawda. Tak spokojnie, Zoe. Grałam rolę i byłam w niej świetna.

– Co się potem wydarzyło?

– On zapytał: „Co powiesz na dwadzieścia pięć?” Popatrzyłam na niego, wiesz, to było takie spojrzenie w stylu: „Przestań marnować mój czas, dupku”. A on się roześmiał głośno: ha ha ha, pokazał wielkie zęby i zgodził się na trzydzieści. Potem pomyślałam, cholera, co teraz? Czy powinnam go zaprowadzić do jakiegoś znanego mi hotelu? Ale on powiedział, żebym poszła z nim, no i poszliśmy, kilka przecznic dalej do tego hotelu, w którym mieszkał, Edison czy coś w tym stylu. Tak, to był Edison. Potem na górę do jego pokoju i ja wtedy powiedziałam: „Zanim posuniemy się dalej, może dostałabym te trzydzieści dolarów?” On znów to swoje ha ha ha, ale dał mi pieniądze. Dziewczyno, jego zęby były wielkie jak kości do gry. O nic mnie nie zapytał. Nawet o to, ile mam lat. Od razu się rozebrał. Wiesz, nie był to najpiękniejszy widok, ale widziałam gorsze rzeczy, potem ja zdjęłam swoje ubranie i obciągnęłam temu pieprzonemu cholernikowi na łóżku, ubrałam się i w nogi.

– Ta wszystko? – zapytała Zoe.

– Wszystko. Trzydzieści dolców.

– Naprawdę to zrobiłaś?

– Jedyne sposoby, by zdobyć pieniądze.

– Nie bałaś się?

– Zoe, przecież mówiłam ci, że się bałam.

– Chodzi mi o to, czy jego się nie bałaś.

– Nie. Nie było się czego bać, zrozumiałabyś mnie, gdybyś go zobaczyła.

² „Bujaj się Sloopy, Sloopy, bujaj się”.

Zoe popijała kawę i wyglądała przez zaparowaną szybę na Waverly Place. Jakiś otyły mężczyzna prowadził śmiesznie wyglądającego żółtego pieska, którego ubrał w białą bluzeczkę i spódniczkę w szkocką kratę. A więc istniał inny świat, w którym nie obowiązywały żadne reguły, a obok niego ten stary świat, w którym było ich zbyt wiele. Nie potrafiła żyć w żadnym z nich. Jej matka była duchem opiekuńczym starego świata. Jej matka była dumna i urażona. Ostrzegła Zoe: „Nigdy nie daj się zbałamucić chłopakowi do tego stopnia, żebyś straciła panowanie nad sytuacją, chłopcy dążą do tego, by zniszczyć wszystko to, co cenisz”.

Cassandra była duchem opiekuńczym tego nowego świata. Wierzyła w seks, ale wierzyła również w bezpieczeństwo. Ostrzegła dziewczyny przed wychodzeniem z mężczyznami, którzy w skrytości uwielbiali przemoc.

– Nie jestem pewna, czy powinnaś to robić – powiedziała Zoe.

Trancas była wyraźnie zachwycona, w jej oczach iskrzył się entuzjazm. Już wpadła.

– Wyobrażasz sobie, Zoe – powiedziała. – Trzydzieści dolarów za, mniej więcej, dwadzieścia minut pracy. Jeszcze dziewięciu facetów i będę mogła kupić sobie tego harleya.

– Ale mimo wszystko to prostytutka.

– Dziewczyno. To tak samo jak być kelnerką czy sekretarką. Tyle że w tej pracy się lepiej zarabia.

Zoe spojrzała na Trancas i spróbowała zrozumieć. Czy ona stawała się wolna, czy właśnie wkraczała na drogę powolnego unicestwienia siebie? Jak można być pewnym, gdzie kończy się emancypacja, a zaczyna samozagłada?

– Jeśli zamierzasz nadal to robić, uważaj na siebie – ostrzegła ją Zoe.

– Jasne – odpowiedziała Trancas, a Zoe wyobraziła sobie ją martwą. Stanął jej przed oczami widok sinobladej skóry przyjaciółki, lekki uśmiech zastygły na ustach, ponieważ wyprzedziła matkę, pierwsza dotarła do najmniej zbadanego, najbardziej odległego miejsca ze wszystkich. Jej przypadła w udziale wygrana.

Tego wieczoru Cassandra stała przy barze, w starej sukni z balu maturalnego, istne szaleństwo szmaragdowego atłasu i żółto-zielonego szyfonu. Zoe odczekała, aż Trancas pójdzie do toalety, i szybko zbliżyła się do Cassandry, która trzymała w ręku drinka i rozmawiała z wysokim czarnym mężczyzną w aksamitnej pelerynie i kanarkowym toczku na głowie.

– Cześć, Cassandra – przywitała się Zoe.

Cassandra miała bystre spojrzenie, a jej twarz pod grubo nałożonym fluidem, szminką i tuszem do rzęs wyglądała na rozpląszczoną. Kosmetyki i skomplikowane połączenie dwóch wzajemnie wykluczających się celów, jakimi było życie jak mężczyzna i życie jak kobieta, zdawały się jej siłą napędową, która popychała ją do przodu. Czasami wyglądała tak, jakby przyciskała twarz do szyby, starając się mówić wyraźnie i troszeczkę zbyt głośno do kogoś, kto znajdował się po drugiej stronie.

– A to ty, cześć, mała. Co słychać?

– Jakoś idzie. Właściwie chciałabym z tobą chwilę porozmawiać.

– Kochanie, możesz rozmawiać, o czym tylko zamarysz. Zacznij od początku i mów, zmierzając stopniowo do samego końca.

– A może być na osobności? Zajmę ci tylko minutkę.

– Na tym świecie nie ma nic, co mogłoby choć w najmniejszym stopniu zadziwić obecną tu pannę Cinnamon – zapewniła ją Cassandra.

– Doskonale to ujęłaś – odezwała się panna Cinnamon. Żółta woalka jak skrzydła owada drżała nad jej błyszczącymi brwiami.

Zoe, trochę zdenerwowana, zamilkła na chwilę.

– Tak więc – podjęła – znasz Trancas, moją przyjaciółkę?

– Oczywiście, że znam.

Zoe znów przerwała. Miała ochotę ukryć twarz w jarmarcznej sukni Cassandry, w jej śliskiej, sinoniebieskiej połyskującej tkaninie. Miała ochotę usiąść na jej chudych kolanach, szeptać jej do ucha tajemnice i usłyszeć od niej, że za niebezpieczeństwami zwyczajnego świata istnieje inny, wspaniały, cudowny i bezpieczny.

– Mów głośniej, kochanie – powiedziała Cassandra. Jej głos brzmiał twardo i pewnie niczym dudnienie deszczu w rynnie.

– Ona zaczęła się puszczać – wykrztusiła Zoe.

– No cóż, domyślałam się, że to intratne zajęcie.

Panna Cinnamon położyła ogromną dłoń na ramieniu Zoe.

– Czy sprawiła sobie gaz łzawiący?

– Martwię się o nią – wyznała Zoe.

– Powinna nosić przy sobie gaz łzawiący i nóż – poradziła panna Cinnamon. – Mogłaby sobie sprawić mały, poręczny nożyk. Nie musi być duży jak te rzeczy starego typu. Taki, żeby dał się wsunąć do buta.

– Dlaczego się martwisz? – zapytała Cassandra.

– Boję się, że coś się jej stanie.

– Właśnie dlatego potrzebny jest gaz łzawiący i nóż, kochanie. Słuchaj, co mówię.

– Wszystko może się zdarzyć – powiedziała Cassandra. – Dzieją się okropne rzeczy.

– Wiem – powiedziała Zoe.

– Obie jesteście takie młodziutkie. Nie macie rodziców czy kogoś bliskiego? Kto się wami opiekuje?

– Trancas mieszka ze swoją matką tutaj, w mieście. Ja przyjeżdżam na weekendy. Mieszkam z rodziną na Long Island.

– Na innej planecie – podsumowała Cassandra.

– I tam zdarzają się okropne rzeczy – powiedziała Zoe.

– Wyobrażam sobie, kochanie. Spójrz, idzie twoja przyjaciółka.

Trancas wróciła z toalety. Zobaczyła, że Zoe rozmawia z Cassandrą, i podeszła do nich, przepełniona zachłannym szczęściem, swoim zamiłowaniem do eksperymentów i destrukcji. Zoe wyobraziła sobie ją, jak chowa do kieszeni zwitek pieniędzy przed obciążeniem laski facetowi o zębach rozmiaru kości do gry.

– Cześć, Cassandra – odezwała się Trancas swoim grubym głosem robotnika z rancza. Zwracając się do panny Cinnamon, dodała: – Wspaniały kapelusz.

– Dziękuję, moje dziecko – powiedziała skromnie towarzysząca Cassandry.

Zoe wyobraziła sobie, że była ona kiedyś małym chłopcem, który chodził z matką do kościoła, siadał przed ołtarzem, w zasięgu przepełnionych cierpieniem drewnianych oczu Chrystusa, gdy wokół rozlegały się westchnienia chóru aksamitów, brokatów i krynolin.

– Właśnie rozmawialiśmy o blaskach i cieniach zawodu – zagadnęła Cassandra.

Trancas spojrzała na Zoe. Na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania i wyzywającego gniewu, który przypominał dumę, ale nią nie był.

– No tak – powiedziała. – Zawodu.

– Mam dla ciebie jedną radę, kochanie – ciągnęła Cassandra. – Pamiętaj, nie ceń się zbyt nisko. Nie w twoim wieku. Powinnaś dostać dwadzieścia dolarów za samo zdjęcie koszuli, nie obciążaj laski za mniej niż pięćdziesiąt. Jeśli ktoś będzie próbował ci wmówić, że przecnić dalej biorą połowę tej ceny, to znaczy, że zajmie się tym jakaś zmęczona, stara biedulka, która ledwie chodzi bez pomocy i potrzebuje okularów, by znaleźć stojącego pindola. Powiedz mu, żeby sobie poszedł i załatwił okazję, jeśli jej szuka. Ale jeżeli będziesz miała ochotę się z nimi bzykać, żądaj co najmniej stowy. Nie wahaj się, kiedy podajesz cenę. Nie wdawaj się w negocjacje. Zanim zaczną cię pieprzyć, domagaj się, żeby zakładali kondomy. Nie wiesz, gdzie bywały niektóre z tych fiutów.

– Rozumiem – powiedziała Trancas.

– Jeszcze jedno, mała – wtrąciła się panna Cinnamon. – Mówiłam właśnie twojej przyjaciółce, że powinnaś nosić coś do obrony. Spraw sobie gaz łzawiący i zgrabny mały nożyk, który zmieści ci się w bucie.

– Słusznie – przyznała Trancas.

– To są głosy doświadczenia, kochanie – dodała Cassandra. – Posłuchaj swoich cioc.

– W porządku – zgodziła się Trancas, a po jej twarzy przemknął zwykły u niej wyraz głębokiej nieufności.

Przez chwilę cała czwórka stała w milczeniu. Zoe poczuła gwałtowny, niemal obezwładniający przypływ miłości i strachu. Czegoś podobnego nigdy dotąd nie doświadczyła. Miała wrażenie, że porzuca swoje dotychczasowe życie, obiadki i meble, spokojną zieloną pustkę podwórka za domem. Jako mała dziewczynka wyobrażała sobie, że zamieszka w lasach, wiedziała jednak, że nie będzie mogła tego zrobić. Nie będzie mogła zbudować na drzewie gniazda, żywić się grzybami i jagodami. Nawet gdyby miała odwagę spróbować, ktoś by po nią przyszedł. Wydano by ją do jednego z tych miejsc przyjmujących dziewczęta, które wierzą, że można uciec od życia w czterech ścianach, i trzymaliby tam, aż wyrzeknie się swoich marzeń.

Tutaj był las, w którym nikt nie może zabronić jej zamieszkać. Taki los dziewczyna mogła sobie sama wybrać i żyć w tym olbrzymim rozwiątym mieście, które przygarniało nawet najbardziej dziwne stworzenia.

– Czy mogłabym cię czasami zaprosić na herbatę? – zwróciła się do Cassandry.

Cassandra zamrugnęła oczami i uśmiechnęła się niepewnie.

– Proszę? Powiedziałas „na herbatę”?

– Albo, no wiesz, na filiżankę kawy. Chciałabym czasem z tobą porozmawiać. Ostatecznie jesteś moją ciocią, prawda?

Cassandra zamilkła. Namyslała się przez chwilę. Uśmiechnęła się do panny Cinnamon. Zoe czuła się tak, jakby rozmawiała z dwiema bogatymi i sławnymi kobietami, które z wyniosłym, zabarwionym ironią wdziękiem korzystały z należnych im praw.

– Słyszałaś? Na herbatę – powiedziała Cassandra do panny Cinnamon, wymawiając to słowo w taki sposób, jak gdyby było jednocześnie zabawne i przerażające. Potem wzięła długopis od barmana i na serwetce zapisała swój numer telefonu. – Powinnaś wiedzieć – wręczyła serwetkę Zoe – że twoja ciocia Cassandra zamorduje cię, jeśli kiedykolwiek, z jakiegokolwiek powodu zadzwonisz pod ten numer przed trzecią po południu. Rozumiesz?

– Tak – powiedziała Zoe. – Rozumiem.

– Nie ma nic gorszego, niż obudzić transwestytę, zanim jest na to gotowy. Uwierz mi, dziecko, lepiej, żebyś się do tego nie posunęła – dodała panna Cinnamon.

1972

Will, Inez i Charlotte wzięli kwas po raz ostatni, zapewnili się o wzajemnym przywiązaniu i rozjechali na lato do rodzinnych domów. Kiedy rodzice Willa, którzy przyjechali po niego na dworzec kolejowy w Garden City, wieźli go do domu, był zaskoczony tym, że miasteczko wydaje mu się zarówno śmieszne, jak i bardzo znajome, niemal w nadnaturalnym znaczeniu tego słowa. Miał wrażenie, że poddał się hipnozie i jest bliski przypomnienia sobie poprzedniego życia. Myślał, że podróżuje po obcym kraju, gdzie za sprawą sił nadprzyrodzonych wie, że kierowca skreśli w lewo w najbliższą ulicę i że zza skarlłowaciałej czarnej morwy ukaże się żółty dom z dwuspadowym dachem. Był przygotowany na to, że na widok wciąż takich samych trawników i zadbanych, zamożnych domów ogarnie go znudzenie i irytacja. Już wcześniej dokładnie sobie wyobraził ten stan nieważkości, w którym się znalazł, kiedy ojciec prowadził samochód z obiema rękami na kierownicy, a matka opowiadała o nowych kąpielówkach, które kupiła mu na wyprzedaży. Nie spodziewał się jednak, że będzie miał wrażenie komfortu psychicznego, własnego niemal surrealistycznego położenia. Nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że w czasie gdy buick jego ojca będzie skręcał w znajomą uliczkę, w jakimkolwiek sensie poczuje, że wraca do domu. Wysiadł z samochodu, stanął na trawniku i patrzył na dom, wytworny na swój podmiejski sposób, zbudowany za pieniądze ojca, na ogromną, pełną zakamarków, kiczowatą budowlę z mansardowym dachem i wykuszowymi oknami czystymi jak lza w promieniach letniego słońca. Wewnątrz nie było żadnych książek poza czytałkami w miękkiej okładce, które matka pochłaniała w czasie letnich wakacji. W domu nie było ani jednego przedmiotu, naczynia czy mebla, który byłby starszy niż Will. Ale były znajome potrawy. Było schronienie. Ojciec zarządzał domem z pozycji udzielnego i odwiecznego władcy, a Will w pewnym sensie pozostawał sługą swego ojca, a ponieważ nigdy tego tak nie nazwano, dawało się odczuć w tym większym stopniu.

– Nad czym się tak zamyśliłeś? – zapytała matka.

– Proszę? Och, przepraszam.

– Zrobiłam sałatkę z kurczaka. Jesteś głodny?

– Chyba tak. Pewnie, że jestem.

– Więc wchodź do środka. Tak się cieszę, że znowu jesteś w domu.

Jego pobyt zakończył się przed upływem dwóch dni. Decyzja o ucieczce zapadła już pierwszego wieczoru. Przy kolacji ojciec zapytał:

– Zastanawiałeś się już nad wyborem specjalizacji?

– Myślę, że chciałbym uczyć – odpowiedział Will.

Skłamał. Sam był zaskoczony własnymi słowami.

Wcale nie chciał uczyć. Zawód nauczyciela był monotony, niewdzięczny i źle opłacany. Miał zamiar studiować architekturę. Chciał budować: Jego matka, szczuplejsza i bardziej niż ostatnim razem, gdy ją widział, skłonna do milczenia pokrywanego uśmiechem, przesuwiała palcem po krawędzi talerza. W kryształowym żyrandolu pojawiały się i znikwały opalizujące plamki i wyraźne, małe tęcze światła elektrycznego.

– Uczyć – powtórzył ojciec. Wymówił to słowo z pogardliwą obojętnością. Wyrzucił je z siebie od niechcienia. Ojciec przytył. Jego ciało stało się nabrzmiące, nadmuchane, jak u człowieka, który się nieoczekiwanie roztył, a przyszedł na świat, żeby być szczupły. Will podejrzewał, że ojciec przybrał na wadze tyle, ile straciła matka.

– Tak. Uczyć.

Zoe z wypiekami na twarzy, w łachmanach nieokreślonego koloru, ustrojona tymi swoimi cygańskimi świecidełkami, siedziała naprzeciwko Willa. Uśmiechała się do niego bezradnie.

– A kogo uczyć? – zapytał ojciec.

– Dzieci – odpowiedział Will. Wszystko, co mówił, było dla niego zaskoczeniem. Początkowo wybrał literaturę angielską, potem zmienił na językoznawstwo, a teraz już prawie zdecydował się na kursy, które będą mu potrzebne, by po skończeniu szkoły mógł się ubiegać o przyjęcie na wydział architektury. Jesienią zacznie chodzić na te kursy i będzie się uczył o najsłynniejszych architektach, takich jak Palladio i Frank Lloyd Wright. Będzie poznawał zasady prowadzenia przewodów elektrycznych w pomieszczeniach. Czuł jednak nieodpartą chęć ukazania ojcu innego życia. Potrzebny był mu inny wizerunek siebie, taki, który z ojcem nie miałby nic wspólnego.

– Myślę, że chciałbym uczyć dzieci, które wszyscy spisali na straty – powiedział. – Mógłbym na przykład pracować w programie Head Start.

– Moim zdaniem będziesz sobie świetnie radził z dziećmi – wtrąciła się matka. – Doskonale nadajesz się na nauczyciela.

– I po to musisz iść na Harvard? – zdziwił się ojciec. – Małe czarnuchy można uczyć po dwóch latach college’u.

– Nie wypowiadaj się przy mnie w taki sposób – powiedział Will.

– Bardzo przepraszam. Mu-rzy-ni. Kolorowe dzieci. Nie chwytam tego. Do czego to prowadzi, ta cała wymyślna edukacja? Może mi łaskawie powiesz.

– Nie, to ty mi, tato, wyjaśnij jedno. Skąd się bierze ta twoja nienawiść? Jaki jest jej cel? Co ci się nie podoba?

– Natychmiast obaj przestańcie – zażądała matka. Dało się słyszeć ciche drapnięcie jej paznokcia o porcelanę, czysty, przejmujący dźwięk.

– Jaka nienawiść? – obruszył się ojciec. – Ja nikogo nie nienawidzę, chyba że mam powody. Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego wybierasz się na Harvard, na ten cholerny Harvard, skoro chcesz tylko uczyć murzyńskie dzieci?

– Wystarczy – przerwał Will. Zdjął serwetkę z kolan i rzucił ją na talerz. – Mamo, obiad był doskonały, dziękuję.

– Kochanie, prawie nic nie zjadłeś.

– Straciłem apetyt.

– Daj spokój – uciął ojciec. – Nie zachowuj się jak urażona primadonna. Jeśli nie możesz znieść chwili szczerej rozmowy, nie mam pojęcia, skąd twoje przekonanie, że poradzisz sobie z klasą bambusów.

Will wstał. Spojrzał z góry na ojca, który siedział otoczony swoim bogactwem i przeżuwał jedzenie. Ojciec miał na sobie zielone spodnie w szkocką kratę. Na tapecie błękitne pagody wznosiły się ponad sielankowymi, wiejskimi mostkami i brodzącymi żurawiami. Will pragnął tylko jednego – stać się obcy dla swojej rodziny. Zniknąć. Przeszło mu przez myśl, by spojrzeć ojcu w tę jego zadowoloną twarz z poruszającą się żuchwą i powiedzieć: „Sypiam z facetami”. Pomyślał, żeby pocałować ojca na do widzenia. Czuł złość, wstyd i nieokreślone pragnienie, które brzęczało mu w żyłach niczym rój pszczół.

– Billy – powiedziała matka – usiądź, proszę, i dokończ obiad.

Will na dźwięk swego dawnego imienia wypowiedzianego przez matkę wyszedł z pokoju. Nie powiedział im o swoim nowym imieniu. Od emocji kręciło mu się w głowie. W uszach dźwięczał mu głos ojca: „Jeśli nie możesz znieść chwili szczerej rozmowy, życzę ci szczęścia na tym świecie”. Poczł szarpnięcie w żołądku. Nie był jeszcze gotowy, żeby zniknąć, jeszcze nie. Wciąż nie znał całej prawdy o sobie i gdyby powiedział zbyt dużo, już nigdy nie mógłby wrócić.

Późnym wieczorem do jego pokoju przysła ZOE. Zapukała tak cicho, że bez pytania wiedział, kto idzie.

– Wejdz, Zo – powiedział.

Pukanie ojca przypominałoby walenie. Matka zastukałaby uprzejmie, ale zdecydowanie i rytmicznie, kuleczki dobrych intencji uderzające miarowo jak grad. Tylko Zoe zachowywała się tak, jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że można ją zignorować.

Miała na sobie rozdartą pomarańczową koszulkę z reklamą parku Carlsbad Caverns, w którym nigdy nie była, oraz zwiewną spódnicę w czerwone arabeski. Na czarnej aksamitnej wstążeczce związanej wokół szyi wisiał dzwoneczek wielkości i kształtu paznokcia damskiego kciuka.

– Cześć – powiedziała.

– Proszę cię, Zoe, wejź – powiedział. W pokoju wciąż znajdowały się materialne dowody jego dawnego życia. Plakat Dylana, aluminiowe gwiazdki naklejone na suficie. – No chodź, usiądź obok mnie, tutaj na łóżku.

Przez krótką chwilę pomyślał o Codym, który twierdził, że widzi aurę człowieka. Willowi wydawało się, że dostrzega słabe światło promieniowania unoszące się wokół Zoe, chociaż wcale nie przypominało naelektryzowanych pól, które opisywał Cody. Było ledwie widoczne, niczym poświata. Tak jakby od czasu do czasu duch zamieszkujący w ciele Zoe unosił się kilka milimetrów nad powierzchnią jej skóry. Will nie był mistykiem. Nigdy poważnie nie zastanawiał się nad złudzeniami wzrokowymi. W tej chwili jednak przyznawał sam przed sobą, że czasami, kiedy szybko spojrzął na siostrę, udawało mu się dostrzec blade, migoczące światło, które pulsowało wokół jej ciała, przemykało po powierzchni skóry, gdy nikt nie patrzył.

Weszła do pokoju, pachnąca paczulą, i przysiadła na skraju łóżka. Aż trudno uwierzyć, jak taka hałaśliwa i pazerna rodzina mogła ją spłodzić.

– Co słyhać? – zapytał. Dotknął czarnej płataniny jej włosów. Tylko w stosunku do Zoe odczuwał tę bolesną tkliwość. Kochał pozostałych, ale tylko o Zoe się martwił, tylko o nią się obawiał. Była bezbronna, przychodziła i odchodziła.

– Cieszę się, że przyjechałeś. Tęskniłam za tobą.

– Zo, nie dam rady wytrzymać tutaj przez całe lato – powiedział Will. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli wrócę do Cambridge.

– Tak szybko? – zapytała.

– Jezu, Zoe, co ty wyprawiasz z włosami? Mam nadzieję, że nie ma w nich pajaków czy czegoś takiego, co?

– Tak krótko tu jesteś – powiedziała. – Nie widziałeś się ani z Bixem, ani z Larrym, w ogóle z nikim.

– Będzie jeszcze gorzej. Przez najbliższe kilka dni ojciec i ja znów będziemy załatwiać porachunki między sobą. Pamiętasz lato ubiegłego roku?

– Co będziesz robił w Cambridge? – zapytała.

– Mogę znaleźć sobie jakieś zajęcie, nieważne jakie. Zawsze można dostać pracę, jeśli jest ci obojętne, co będziesz robić.

– Nie mógłbyś zostać chociaż trochę dłużej? Przynajmniej tydzień?

– Lepiej będzie, jeśli wyjadę – powiedział. – Nie będę się nawet rozpakowywał.

– Proszę cię.

– Daj spokój.

Skinęła głową.

– Jestem za bardzo samolubna – powiedziała. – Obawiam się, że pewnego dnia będziemy tylko, no wiesz, dalekimi krewnymi.

– Zawsze cię rozpoznam, Zo. Po włosach.

– Ja też chciałabym wyjechać – oświadczyła.

Wziął ją za rękę. Chciał jej powiedzieć, że nie może zostać, ponieważ nie należy już do rodziny, chociaż nie znajduje sposobu, by się od niej uwolnić. Chciał jej wszystko

wytłumaczyć. Ona jednak wciąż była częścią tego domu, a on musiał zachować dla siebie swoją tajemnicę. Musiał uciekać.

– Wyjedziesz już bardzo niedługo – zapewnił ją. – I pamiętaj, zawsze możesz przyjechać do Cambridge i zamieszkać ze mną, słyszysz? Zawsze będzie mnie stać na to, żeby ci kupić bilet na pociąg. W porządku?

– Tak – powiedziała.

– Chcesz zapalić? – zapytał.

– Mhm.

Wyjął z kieszeni marynarki jointa, zapalił go i podał siostrze. Zaciągnęła się głęboko, oddała skręta i zdjęła sobie włoski z twarzy. Obserwując Zoe, nagle uświadomił sobie, że ona jest już dorosła. To już się stało. Miała własne życie, plany i całą masę sekretów. Przyglądał się jej w milczeniu z pewnym zdziwieniem. A więc stąd się biorą dorośli, pomyślał. Wyrastają z dziwnych, nieszczęśliwych dzieci takich jak Zoe i on. Dożyją nowego stulecia.

– Zo? – odezwał się.

– Mhm?

– Właściwie nic.

Co zamierzał jej powiedzieć? Ze ją kocha i boi się o nią, że chciałby ją ustrzec od bólu. Ze staje się kimś innym, podobnie jak ona. Siedzieli w milczeniu, podając sobie jointa. Aluminiowe gwiazdki przyklejone do sufitu, kiedy miał dwanaście lat, połyskiwały delikatnie nad ich głowami.

1973

Constantine obsiewał ziemię, a ona odwodziła mu się czerwonoлистną sałatą, skręconymi wąsami fasolki szparagowej i papryką o zmysłowych, obfitych kształtach. Ogród uprawiali razem z Zoe i był to wspaniały okres. Zdarzało się, że znajdował jaśniejącą pod liściem idealną dynię piżmową, o długości jego serdecznego palca, albo Zoe stała w promieniach popołudniowego słońca, trzymając pełne garście bazylii. Wtedy wierzył, że dotarł do upragnionego celu. Ale te czasy minęły. Zawsze mijają.

Kiedyś panował zamęt. Kiedyś była przyprawiająca o mdłości jasność.

Teraz Mary wkładała na noc do łóżka rękawiczki; układała kompozycje kwiatowe na małym krążku ze szpilkami. Susan odeszła. Ledwie na niego spojrzała spod swojego welonu, kiedy prowadził ją środkiem kościoła w kierunku ołtarza. Czasami dzwoniła, ale już nie dotrzymywała mu towarzystwa na co dzień.

A co się stało z jego synem? W wieku dwudziestu lat nosił małe okrągłe okulary, jakie zazwyczaj miały na nosie zgorzkniałe stare panny. Przesuszone, niesforne włosy zwisały mu do chudych ramion jak postrzępione firanki w domu staruszki. Wysiadywał na Harvardzie, stawał się świętoszkowatym obrońcą cichych tego świata, którzy przez całe życie nie pracowali tak ciężko jak Constantine przez jeden tydzień. Mógł przytoczyć kilka opowieści o przeciwnościach losu. Spróbujcie przyjechać do tego kraju bez grosza przy duszy, znając po angielsku dwa słowa: „hello” i „please”. Ilu mężczyzn, dla których początkiem było „hello” i „please”, potrafiłoby osiągnąć to, do czego on doszedł? Więc jesteś czarny. Przykro mi. A teraz opowiedz mi prawdziwą historię swego życia.

Co się stało? Ktoś taki jak Billy, młody mężczyzna całkowicie zabezpieczony finansowo, powinien pochłaniać świat. Powinien maszerować przez życie wielkimi krokami, silny jak koń, bystry jak wilk, wysysać krew z serc pokornych, zamożnych kobiet. Kiedy Mary urodziła syna, wyobrażał sobie siebie, jak zagarnia przyszłość pełnymi garściami i wpycha ją sobie do ust. Córci, nawet te najlepsze, znikają, stając się częścią życia innych mężczyzn. Ale syn nosi w sobie ojca. Ojciec ma swój udział w jego przyjemnościach; ojciec żyje w swoim cieple, ale również w jego.

Być może, pomyślał Constantine, popełniałem błędy. Wiedział, że cierpi na napady furii, gwałtownego żywiołu, który nie chce dać się utrzymać w ryzach. Te ataki gniewu zawsze zaliczał do swoich zalet. Miał wszelkie powody, by uważać, że chłopiec potrzebuje dyscypliny, tak samo jak drzewo wymaga przycinania. Jego własny ojciec rozbił mu kiedyś głowę o piec, wykręcił rękę tak mocno, że wyskoczyła ze stawu równie łatwo jak groszek z łupiny. Kary hartowały charakter Constantine'a, dzięki nim wyrósł na człowieka. Ukształtowały go na silnego, ambitnego mężczyznę, który wyszedł obronną ręką z tak wielkich opresji, że teraz mógł żyć bez strachu. Ale nie kochał ojca. Skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji, przebył ocean, by stać się na tyle potężny, żeby ojciec nie mógł go tknąć. Czyżby Billy robił to samo? Czy te włosy i koraliki miały stanowić osiągnięcia wystarczająco dziwaczne, by mogły go ochronić przed własnym ojcem? W magazynie „Life” napisano, że mamy erę Wodnika. Zamieszczono zdjęcia mężczyzn z włosami do ramion, roześmianych, stojących u boku kobiet, które nie wzięły sobie do serca przysięgi małżeńskiej. Ci faceci uprawiali seks, kiedy tylko przyszła im na to ochota, pływali nago i twierdzili, że nie mają żadnych planów, wystarczą im drzewa i woda, kobiety i dzieci w ich łóżkach. Istniał jakiś nowy rodzaj tolerancji. Tutaj, wewnątrz starego świata, rodził się nowy, rozwiązyły, powstawał inny, nieznany kraj z odrębnymi zwyczajami i językiem. Wyglądało na to, że tam właśnie wybiera się Billy, tak jak Constantine opuścił Grecję i przybył do Ameryki. Nie potrafił powiedzieć, czy chce, żeby syn wrócił, czy woli, by ten nowy świat go porwał.

Constantine był mężem i ojcem, wiernym, nawet jeśli niezbyt namiętnym, kochankiem, ciężko pracującym człowiekiem. Nie potrafił dostrzec siebie na żadnej ze stron magazynu „Life”.

Miała na imię Magda, jak jedna z sióstr Gabor. Constantine zatracił się w niej, wpadł po uszy, tak jak traci się monetę, gdy wpadnie do kanału burzowego. Będąc z Magdą, czuł, że spada, a potem widzi blask w ciemności, ukrytą i trudno dostępną nagrodę. Magda była Węgierką, tak jak siostry Gabor, ale jej obcy akcent został ujarzmiony i wygładzony po dwóch dziesięcioleciach spędzonych w New Jersey. Constantine, kiedy się jej oddawał, gdy gościł w jej ogromnym, białym ciele, wydawał z siebie spontaniczne, radosne dźwięki, które zawsze tłumił ze względu na Mary. W wieku czterdziestu jeden lat Mary była starzejącą się dziewczynką, Magda przez większość swego życia była kobietą. Constantine wchodził ostro w jej duży wilgotny otwór – nie pragnęła delikatności – i kiedy napierał na nią, kiedy pchał i pchał, jej krzyki zagłuszały jego, tak jak jej ciało wchłaniało jego ciało. Ważyła pewnie około osiemdziesięciu kilogramów, on miał niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu. Wbijał się w nią. Gryzł jej piersi, ciągnął za włosy. Krzyczała, czasami tak głośno, że dzwoniło mu w uszach, a potem, gdy już leżeli spoceni na prześcieradłach, przy sączących się przez ścianę dźwiękach radia włączonego w sąsiednim pokoju, kładła mu na klatce piersiowej dłoń z różowo pomalowanymi paznokciami i szeptła: „Fantastycznie, kochanie. Pieprzenie, że mucha nie siada”.

Podobała mu się banalność całej tej sytuacji. Podczas godzinnej przerwy na lunch bzykał się z sekretarką wspólnika w pokoju w motelu. To były schadzki żywcem wzięte z pism humorystycznych, a on miał wrażenie, że wstąpił do klubu, że stał się członkiem narodowego bractwa mającego swoje rytuały i tradycję. Nie tylko seks dostarczał mu przyjemności, ale wszystko, co się z tym wiązało, parkowanie buicka z tyłu motelu, odbieranie klucza od uśmiechającego się znacząco, podstarzałego recepcjonisty z kaprawymi oczami i kilkoma pasemkami długich włosów przyklejonych do łysej głowy. Uwielbiał trzask neonu w biały dzień, składającego się z napisu „Wolne pokoje” i trzech różowych strzałek. Podobały mu się te dwa identyczne obrazki z niebieskimi stokrotkami, przymocowane do ściany nad każdym podwójnym łóżkiem. Podobało mu się, że w wieku czterdziestu sześciu lat, ilekroć usłyszał w radiu Toma Jonesa lub Engelberta Humperdincka, miał wzwód. Byli dla niego jak rodzeni bracia, śpiewający swoje piosenki o pożądaniu i stracie w świecie wystarczająco dużym, by mógł pomieścić wszelkie niespodzianki.

Era Wodnika. Cholerna prawda.

– Jesteś za dobry, kochanie – powiedziała Magda, a wynajęty pokój zdawał się potwierdzać jej słowa.

Był za dobry na ten pokój, z jego pełnym zacieków sufitem z płyt gipsowych i sfilcowanym, włochatym dywanem. Był za dobry dla tej kobiety, farbowanej blondynki z nadwagą, która mieszkała w bliźniaku wraz z matką i czterema kotami. Poklepał jej ogromny, pomarszczony bok.

– Ty też jesteś niezła – mówił z uznaniem.

Zdumiewało go to, że jej pożąda. Zawsze marzył o pięknie, a teraz czuł napięcie między nogami, kiedy siedział rano przy swoim biurku i dźwiękach muzyki płynącej z radia, myślał o wielkim, rozlanym brzuchu i poślaskach jak dwie białe dynie. „It’s not unusual to make love with anyone”³, śpiewał Tom Jones. Niekiedy w czasie pracy wymykał się do łazienki i sam sobie sprawiał ulgę, myśląc o Magdzie, o jej rozłożystym cielsku.

Miał czterdzieści sześć lat, a był napalony jak piętnastolatek. Mógłby być swoim synem, takim, o jakim marzył. Uśmiechał się do własnego odbicia w lustrze w łazience, pracując nad umywalką nad swoim penisem w oczekiwaniu na właściwe harce w Mayflower Motel za

³ „To nic niezwykłego, miłość można uprawiać z każdym”.

dwie godziny. Niespodzianki jeszcze się nie skończyły. Wiek był smutną fikcją, bajką dla słabeuszy.

Jego wspólne życie z Mary należało do przeszłości. Uświadomił sobie, że potrafi żyć bardziej swobodnie. Złagodniał. Drażliwe miejsca, które były źródłem gniewu i rozczarowania, zaczęły zanikać, wypierane przez kolejne godziny spędzane na pracy i dobrym, ostrym seksie, po którym znów przychodziła praca, a po niej kolacja i sen. Mary wiodła obok niego własne życie. Wypróbowywała nowe przepisy (serowe fondue, quiche Lorraine), kupowała rzeczy, które były jej potrzebne. Kiedy kłótnie i miłość wygasły, Constantine zaczął dostrzegać prostotę, która zawsze była obecna, lecz kryła się pod powierzchnią codziennej walki. Uświadomił sobie, że wystarczyło pieprzyć i zarabiać pieniądze, rozmawiać przez telefon ze swoją piękną córką, gdy zdarzyło się, że dzwoniła, pielic ogródek z najmłodszą córką i wykrzykiwać radośnie razem z nią na widok pierwszej rzodkiewki. Starać się nie myśleć za wiele o chłopcu. Wydawało się, że godzinne sesje w porze lunchu Constantine'a z Magdą, która nie oczekiwała od niego niczego ponad to, co sam jej chciał dać, uratowały go. Były dla niego kuracją, i to tak silną, że żadną miarą by tego nie przewidział. Miał wrażenie, że żyje nowym i łatwiejszym życiem, a z poprzedniego zachował się tylko jeden nawyk – jego wieczorne wycieczki samochodem na osiedla domów, gdzie obserwował mieszkańców krzątających się wokół zwykłych, codziennych spraw. Teraz wybierał się na nie rzadziej, zaledwie raz na kilka miesięcy. Ale jednak jeździł. Tak jak dawniej parkował samochód i wsłuchiwał się z uczuciem głębokiej tęsknoty, jak nieznani mężczyźni i kobiety jedzą wieczorny posiłek, kłócą się, kochają, troszczą o los swoich dzieci. Wciąż siadywał w ciszy swego buicka, paląc papierosa za papierosem i chłonąc ciche, pobliskie odgłosy z natężoną uwagą księdza siedzącego w konfesjonale, który stara się zrozumieć, na czym polega prawdziwy mechanizm dobra i zła kryjącego się w nieudolnych opowieściach jego parafian o porażkach ciała.

Na uroczystość Mary włożyła słomkowy kapeluszek w kremowym kolorze i prostą kremową sukienkę pod beżowy żakiet z lnu. Kiedy szła przez miasteczko uniwersyteckie z ręką w rękawiczkę wspartą na łokciu Constantine'a, gdy na trawie wokół nich przesuwali się cienie liści, wiedziała, że przyjechała w dniu, który na zawsze zachowa w pamięci, niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy. Bez względu na to, jakie popełniła błędy, jakie zniosła poniżenia, zatrzyma dla siebie ten dzień, w którym ona idzie u boku swego męża w Harvardzie, przy dźwiękach dziwnej muzyki dobiegającej z okien akademika, a młodzież w biretach i togach, stojąca u progu obiecującej przyszłości, stroi głupie miny do aparatów fotograficznych. Wiedziała, że w jej złotych kolczykach odbija się światło. Z jednego okna dochodził głos, czysty tenor, śpiewający o szalonym świecie. A może szerokim świecie.

– Niezłe miejsce – stwierdził z uznaniem Constantine.

– Mhm – mruknęła lekko zirytowana. Nie chciała się zachwycać. Chodziło jej tylko o to, żeby być w tym miejscu i do niego przynależać, być elegancko ubraną, atrakcyjną kobietą, która przyjechała zobaczyć, jak jej syn odbiera dyplom Harvardu. Przyjechała, by zająć miejsce pomiędzy swoim mężem ubranym w granatowy garnitur a córką, żoną młodego, dobrze zapowiadającego się studenta wydziału prawa w Yale.

– Zrobiłem rezerwację na lunch – powiedział Constantine. – W tej restauracji, za którą szaleją Florio i jego żona.

– Świetnie. – Nie chciała rozmawiać. Nie chciała myśleć o swoich obawach ani o tym, że restauracja, którą Paul i Liz Florio uważają za dobrą, może się okazać drogim, ale nieodpowiednim lokalem w złym guście, z wymyślnym, niesmacznym jedzeniem, lokalem, który omijają inne rodziny, opowiadając o nim dowcipy, w drodze do restauracji, o których Constantine i Mary nawet nie mają pojęcia. Zapytała Billy'ego, dokąd powinni pójść na lunch po uroczystości, ale on dziwnie się ostatnio zachowywał. Był łaskaw odpowiedzieć tylko: „Nie róbmy z tego wielkiej sprawy. Pójdźmy gdzieś na hamburgera. Nie zamierzam uczestniczyć w scenkach z okolicznościowych kart Hallmarka, nie przy tym wszystkim, co się dzieje na świecie”. Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, ograniczyła się więc do najbardziej oczywistego stwierdzenia: „Jesteś pierwszą osobą w mojej rodzinie, a także rodzinie ojca, która ukończyła college. Absolutnie pierwszą, przecież wiesz”.

Billy będzie jedyny. Susan wyszła za męża, a Zoe to Zoe. Krewni Constantine'a, o ile jej wiadomo, wciąż uprawiają ziemię w Grecji, a dzieci braci Mary będą mogły mówić o szczęściu, jeśli dożyją trzydziestki bez odsiadki wyroku. Chciała uświadomić Billy'emu, że ta uroczystość jest równie ważna jak ślub czy pogrzeb. Chroniła go przez całe swoje życie. Nie był w stanie sobie wyobrazić, że udało mu się uniknąć tych wszystkich długich, pozbawionych nadziei lat, widoku mężczyzn pochylonych nad zardzewiałymi maszynami i kobiet mamroczących ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Nie miał pojęcia, jak czas wisi w pomieszczeniach. Wierzył, że życie pcha wszystkie swoje dzieci ku dobrym zakończeniom.

– Na pierwszą – powiedział Constantine. – Tak chciałaś, prawda?

– Hmm?

Skręcili na dziedziniec, gdzie miała się odbyć uroczystość rozdania dyplomów. Rzędy składanych drewnianych krzeseł stały w idealnym porządku w uroczystej ciszy, a na górze, na podwyższeniu, siwowłosa, postawny mężczyzna w garniturze, uosobienie sukcesu, omawiał szczegóły dotyczące mikrofonu z młodszym w niebieskich dżinsach.

– Na lunch – przypomniał Constantine. – Zrobiłem rezerwację na trzynastą. Dzięki temu będziemy mieli dość czasu, żeby znaleźć tę restaurację.

– Doskonale.

Westchnął, a Mary w tej samej chwili usłyszała jego chrapliwy oddech. Jego ciało miało skłonność do wytwarzania śluzu, jej stawało się coraz bardziej wysuszone. Była przekonana, że kiedy się zestarzeją, on będzie gruby, lepący i owłosiony, natomiast ona będzie chuda i sucha jak pieprz. Z wiekiem różnica między nimi będą się pogłębiać. Czasami martwiła się, jak to będzie zestarzeć się z Constantine'em, ale w tej chwili czuła, że jest w stanie przedrzeć się przez starą sieć utkaną z wątpliwości i przedostać wprost do solidnej, niezniszczalnej przyszłości, połyskującej wśród liści, iskrzącej się i śpiewającej wzdłuż białych rynien tych starych ceglanych budynków, w których wielcy ludzie byli kiedyś młodzi.

– Powinniśmy już jechać po Billy'ego – zauważył Constantine.

– Za chwilę – odpowiedziała. – Mamy jeszcze trochę czasu. Chciałabym trochę pospacerować po miasteczku.

– Ładne, co nie?

Czoło Mary poczerwieniało, a na górnej wardze pojawiła się cienka warstewka potu. Kochała Constantine'a za wszystko, co myślał na temat Harvardu, za to, że był dumny z powodu ocienionych alejek i szerokich schodów, ale był to jednak ktoś, kto potrafił powiedzieć: „Co nie”. To prawda, że zarabiał pieniądze, trwał przy niej i kochał ją na swój sposób. Jednak dzisiejszego popołudnia zabierze ich do ulubionej restauracji Floriosów „Chez coś tam”.

– Jedźmy po Billy'ego – powiedziała ni stąd, ni zowąd.

– Myślałem, że chcesz jeszcze pospacerować.

– Nie możemy. Nie mam pojęcia, o czym myślałam, jesteśmy już spóźnieni.

Po powrocie do domu powie swoim przyjaciółkom, że im mniej się mówi na temat mieszkania Billy'ego, tym lepiej. Najpierw ona i Constantine byli przekonani, że dostali zły adres. Budynek sprawiał takie wrażenie, jak gdyby miał za chwilę wydać z siebie ostatnie przykurzone tchnienie i runąć w chwasty porastające podwórko, pozostawiając po sobie tylko szkielet konstrukcji z zardzewiałych rur i rozpadający się komin. Mary zerknęła na karteczkę, na której zapisała adres. „Nie, to tutaj”, powiedziała.

– Jezu Chryste – jęknął Constantine. – Można się było tego domyślić.

– Proszę, nie zaczynaj. Dzisiaj jest radosny dzień. Nie można nikomu psuć przyjemności.

Z ponurą miną kiwnął głową.

– Mam nadzieję, że w środku jest bezpiecznie – powiedział.

Trzymał ją pod łokieć, kiedy ostrożnie stąpali po nierównych płytach werandy, a potem wchodzili po stopniach – każdy pomalowany na inny jaskrawy kolor – które były niewiele lepsze niż drewno na podpałkę.

– Chryste – mruczał Constantine.

Powietrze było ciężkie od słodkich zapachów, a także woni półdzikich zwierząt. Mary nie potrafiła zidentyfikować tych zapachów. Na pewno kotów i być może kadzidła – ten znała z kościoła. Budynek miał w sobie coś ze zdekonskrowanej kaplicy – poświęcone kiedyś miejsce przekazane we władanie bezdomnym kotom i wszelkiemu robactwu o nienasyconych apetytach.

– Można się było tego domyślić – utyskiwał Constantine.

Mary kazała mu przestać.

Kiedy zapukali w zniszczone drzwi, dobiegł zza nich głos Billy'ego:

– Otwarte.

Weszli do środka i zastali go w połatanych dzinsach i wyszarganej flanelowej koszuli, siedzącego razem z Zoe na kanapie, która wyglądała, jakby przyniesiono ją tu prosto ze śmietnika. Mieszkanie było... no cóż, trudno nawet znaleźć słowa, by je opisać – wyglądało na lokum szaleńca, do tego stopnia wyzbytego fundamentalnych zasad porządku i czystości, że mógłby przyciągnąć dowolny śmieć z ulicy, dumny z siebie jak paw, i umieścić go tutaj.

Kiedy Mary i Constantine znaleźli się w środku, ona czubkami palców mimowolnie dotknęła jednego kolczyka.

– Cześć, rodzice – przywitał ich Billy. – Witajcie w Domu Usherów.

– Chryste, spójrz tylko na ten śmietnik – powiedział Constantine. Zdobył się na gardłowy śmiech, a Mary pomyślała, doskonale, żarciki załatwią sprawę. Mogą wszystko obrócić w niewybredny męski dowcip.

– Ja nazywam go domem – powiedział Billy.

– Niewątpliwie jest tu kolorowo. – Mary się uśmiechnęła. – Podoba mi się. Zabawny pomysł – dodała, zwracając się do Constantine’a.

Znów wezbrały w niej tak sprzeczne emocje, że poczuła, jak na górnej wardze występują jej kropelki potu. Chciała ochronić Billy’ego przed ojcem. I chciała też stanąć obok Constantine’a i domagać się, by Billy wyjaśnił, co znaczy u niego ta zmiana. Kim jest. I jak to się stało, że tak zbłądził. Poczuła ucisk w płucach i próbowała złapać oddech.

– Cholerne gniazdo szczura – powiedział Constantine ze zjadliwą nutą w głosie.

– Proszę – powiedziała cicho Mary.

– Kim ty jesteś – zapytał. – Bitnikiem?

– Właśnie tak, tato – potwierdził Billy. – Strzał w dziesiątkę. Rzeczywiście jestem bitnikiem. Trafiłeś w samo sedno.

– Teraz mnie posłuchasz, przyjacielu...

– Dajcie spokój, chłopcy – prosiła Mary, chociaż ledwo mogła mówić z braku powietrza. Niewidzialne metalowe pasy opinały jej płuca i zdawały się zaciskać o kolejną dziurkę przy każdym oddechu, który z trudem udało się jej złapać. – Dzisiaj jest radosny dzień, nie będziemy się przecież kłócić.

Billy i Zoe siedzieli razem na kanapie, która wyglądała, jakby była pełna robactwa czyhającego tylko na dogodną chwilę, by przedostać się do ich włosów. Nagle zrozumiała, że lachmany, które mieli na sobie Billy i Zoe – te stroje, które uważała za głupie, ale nieszkodliwe – składały się na pewną ekscentryczną całość. Siedzieli tu, jej syn i córka, spadkobierca i spadkobierczyni codziennych zmagani trwających od stuleci, modlenia się o powodzenie i lepszą pogodę, oszczędnego gospodarowania funduszami. Siedzieli ubrani w szmaty, z rozczochranymi włosami – najbiedniejsza biała biedota – rozparci na meblu, który nawet jako nowy musiał być nędzny i wytarty. Pijany ojciec Mary miał w sobie więcej godności. Jej sycylijska babcia, zbyt biedna, by kupić szklanki, trzymała swoje słóiczki po dżemach ustawione w nienagannie równiutkich rządkach. Po raz pierwszy w życiu Mary patrzyła na swego syna jak na kogoś obcego. Kogoś, kto jest zdolny do wszystkiego, kto głowę ma pełną myśli i pragnień, których nie potrafiłaby sobie wyobrazić.

– Racja – zgodził się Constantine. Podniósł rękę i spojrział na zegarek. Ciemnoniebieska wełniana melanżowa tkanina jego marynarki, świeżo wyprasowany biały mankiet rękawa koszuli przesunęły się w górę, odsłaniając roleksa i ukazując całą jego spokojną niezawodność. Na widok tego zegarka Mary wyobraziła sobie swego męża i syna jako oficerów dwóch wrogich obozów: jeden silny i bogaty, uzbrojony w czołgi, drugi – inteligentny i sprytny, wyposażony w strzałki umoczone w nieznanymi truciznach.

– No bierz już swój biret i togę – ponaglał Constantine. – Musimy po drodze zabrać z hotelu Susan.

– Nie zamierzam wkładać biretu ani togi – oświadczył Billy.

– Że co?

– Nie zamierzam wkładać biretu ani togi. Jestem gotowy przejść przez uroczystość rozdania dyplomów i całą tę maskaradę, przez wszystko co trzeba. Ale nie mam zamiaru robić z siebie przebierańca.

– Nie wygłupiaj się – zachnął się Constantine. – Rusz się, idź po niego, bo się spóźnimy.

– Nie mam po co iść – powiedział Billy. – Nie zamówiłem biretu ani togi.

– Och, Billy – jęknęła Mary.

Constantine przełknął ślinę. Mary słyszała, jak bulgoczą w nim płyny ustrojowe, tę wewnętrzną pracę organizmu, w którym wzbiera gniew. Pragnęła tylko położyć się gdzieś, gdzie było czysto i bezpiecznie, i nie wstawać do czasu, aż odzyska swobodny oddech.

– Chcesz iść na uroczystość w stroju bitnika? Chcesz tam wmaszerować, wyglądając jak wałkoń? – denerwował się Constantine.

– Chcę tam pójść we własnym ubraniu – odparł Billy. – Dlaczego to taki wielki problem?

– Musisz zrobić inaczej niż wszyscy. O to ci chodzi, tak? – burzył się Constantine. – Koniecznie musisz się wyróżnić.

– Hej, chłopcy – wtrąciła się Mary, ale wiedziała, że jej głos niewiele znaczy.

– Słuchajcie – powiedział Billy. – Mam przyjaciół, którzy śmieją się ze mnie tylko dlatego, że w ogóle tam idę. Że będę tam siedział i słuchał przemówień o tej szacownej, starej instytucji, utworzonej przez ludzi, którzy pomogli wynaleźć napalm. Wiecie, jak działa napalm? Jak ogień, który przywiera do człowieka. Przeżera się do kości.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – stwierdził Constantine. – Nie widzę żadnego związku z czymkolwiek.

– Harvard ma podpisane z rządem ogromne kontrakty na badania naukowe – wyjaśnił Billy. – Zauważyliście, jakie mamy ładne miasteczko uniwersyteckie, jak dobrze utrzymane? Jak myślicie, skąd się biorą pieniądze na to wszystko? Z nauczania? Ze sprzedaży bluz sportowych?

– Mój panie, ja mógłbym powiedzieć ci niejedno na temat tego, skąd się biorą pieniądze...

– Chłopcy – znów wtrąciła się Mary. – Chodźcie. Susan na nas czeka.

– Tato, bardzo mi przyjemnie, że ty i mama tutaj jesteście – rzekł pojednawczo Billy. – Ogromnie się cieszę, że możemy w tym wszystkim razem uczestniczyć. Ale są granice. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz...

– To jest moje przedstawienie. Moje życie. I nie włożę tego cholernego stroju.

– Jasne – powiedział Constantine. – Musisz postawić na swoim, tak? Nie ma dla ciebie znaczenia, że twoja matka, Zoe, Susan i ja jechaliśmy do ciebie taki kawał drogi.

– Nieprawda. Ma duże znaczenie. Szczerze wam dziękuję za to, że przyjechaliście do mnie cały ten szmat drogi na uroczystość rozdania dyplomów, w której wezmę udział ze względu na was. We własnym ubraniu.

– A więc daj sobie spokój – wycedził Constantine. – Nic nie musisz robić ze względu na nas. Nie zmuszaj się.

Billy potrząsnął głową. Mary poczuła, że zaraz się rozplacze. Patrzyła przez gorącą zasłonę łez, jak syn wstaje i mówi:

– Każdą rzecz można zrobić na dwa sposoby, prawda, tato? Na twój sposób albo na niewłaściwy. Będziemy musieli obfotografować się we wszelkich możliwych ujęciach na dziedzińcu Harvardu, a potem, po uroczystości, zapakować się do samochodu i pojechać do jakiejś okropnej, snobistycznej francuskiej restauracji. Nie przyjechałeś tu po to, żeby zobaczyć mnie, jak odbieram dyplom. Jesteś tutaj, żeby oglądać syna, który skończył studia, bo ty tego chciałeś. Mam dla ciebie wiadomość. To są dwie różne osoby.

– Ładne przemówienie – skwitował Constantine. – Całkiem niezłe. Gdzie jest twoje cholerne serce, mój panie? Czy wiesz, co robisz swojej matce?

– Mama i ja możemy zawsze porozmawiać o tym, co jej robię. Tutaj chodzi o mnie i o ciebie. Mam rację? Chciałeś przyjechać do Harvardu jak jakaś wielka szychy i pozować do zdjęć z absolwentem ubranym w biret i toge. Mogę cię umówić z kilkoma chłopakami. Postawne chłopcy z krótkimi włosami, idą na prawo albo ekonomię. Mam układy, weź aparat i możemy pójść prosto na dziedziniec...

– Zamknij się! – krzyknął Constantine. – Słyszysz, zamknij się. – Twarz mu pociemniała, zeszywniały ręce wyprostowane wzdłuż tułowia.

Mary wiedziała, że w następnej sekundzie, po choćby niewielkiej dodatkowej prowokacji, rzuci się do przodu.

– Och, Con, Billy, proszę – szepnęła.

– Dla mamy nie ma znaczenia, w czym pójde na uroczystość. Prawda, mammo?

– Nie wiem – powiedziała. – Ja tylko... proszę. Nie kłóćcie się.

– Nie rób jej tego – rzucił ostro Constantine. – Ani mi się waż.

Billy skinął głową.

– To był błąd – powiedział cicho. – Mammo, tato, przykro mi, że przejechaliście na próżno taki szmat drogi.

Ostrożnie wyminął ojca i podszedł do drzwi wejściowych.

– A ty dokąd się, u licha, wybierasz? – krzyknął Constantine.

– Na spacer. Może później pójde do kina. Co byś na to powiedziała, Zoe? Nie masz ochoty wybrać się ze mną? W kinie „Orson Welles” grają *Nocnego kowboja*.

Zoe zamrugnęła, jak gdyby sama zapomniała, że jest tu obecna. Wszystko zawiodło, pomyślała Mary. Cały wysiłek, cała miłość, to ostrożne tkanie każdego dnia po kolei poszło na marne.

– Nie mogę. Przykro mi. Muszę zostać z Mary i Constantine’em – odpowiedziała Zoe.

Upała się ostatnio, by zwracać się do nich po imieniu. Żadne upominania ani perswazje nie pomagały.

– W porządku – zgodził się Billy. – Do zobaczenia.

Wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaskiem. Mary myślała, że Constantine pobiegnie za nim, ale się nie poruszył. Nikt nie wykonał najmniejszego ruchu.

– Niewiarygodne – pokręcił głową Constantine. – Naprawdę niewiarygodne.

Po twarzy Mary płynęły łzy, gorące i ciężkie zsuwały się do linii brody. Wyjęła z torebki chusteczkę.

– I co teraz zrobimy? – zapytała cicho.

– Pójdziemy na tę cholerną uroczystość rozdania dyplomów, oto, co zrobimy – oznajmił Constantine. – Chodźcie. Musimy pojechać do hotelu po Susan, czeka tam na nas.

Znów nikt się nie ruszył. Zoe w dalszym ciągu siedziała na kanapie, patrząc na swoje buty, a Mary z całych sił powstrzymywała się, żeby nie podejść do Zoe i nie krzyknąć: „Co z wami jest? Co się z wami dzieje?”

– No chodźcie – ponaglał Constantine.

– Con.

– Nic nie mów. Ani słowa. Susie czeka na nas. Wychodzimy.

– Muszę skorzystać z łazienki – powiedziała Mary.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Poczekajcie na mnie chwilę.

Przeszła przez pokój gościnny i ruszyła korytarzem. Minęła nie posprzątaną kuchnię wyłożoną żółtymi kafelkami, jedne zamknięte drzwi, potem następne. Nie musiała skorzystać z łazienki, chciała tylko zostać sama, chociaż na chwilę. Musiała skoncentrować się na zaczerpnięciu powietrza do płuc. Kiedy znalazła łazienkę, zamknęła za sobą drzwi na klucz i wyjęła z torebki tabletkę. Połknęła ją i oparła się o umywalkę, ciężko oddychając. Na dnie umywalki leżał długi, czarny włos, skręcony w kształt znaku zapytania. Lustro w łazience było poplamione, na półce stał fajansowy kubek z trzema szczoteczkami do zębów, Billy’ego i jego dwóch współlokatorów, których nigdy nie poznała. Mary nie wiedziała, która szczoteczka należy do jej syna. Czy ta żółta, zużyta? Czy nowsza i krótsza, jasnozielona, z włoskami sztywnymi jak szczotka do włosów? Czy może jasna, przezroczysta z małym półksiężycem pasty? Żadna z nich nie wskazywała jednoznacznie na jej syna, ale

jednocześnie żadnej nie można było z całą pewnością wykluczyć. W jednej chwili uświadomiła sobie, jak całkowicie przestała rozumieć swoje dzieci. Własne życie, rytm domowych zajęć, prowadzenie domu, wszystko to wydawało się takie rzeczywiste, tak nadzwyczaj istotne, że życie innych, nawet jeśli było to życie jej dzieci, toczyło się na marginesie, w płaszczyźnie jednowymiarowej i niezmiennej jak fotografia. Nieustannie myślała o Billym, ale w taki sposób, jak gdyby był postacią abstrakcyjną, bohaterem programu telewizyjnego, którego już nie nadawano. A tu była łazienka, z wonią stęchlizny przebijającą przez wyraźnie wyczuwalny zapach chloru. Tutaj były szczoteczki. Gdy się im przyglądała, poczuła wzbierającą falę niepokoju, na tyle silnego, że musiała usiąść na krawędzi wanny i pochylić się do przodu tak nisko, że czołem niemal dotknęła kolan. Oddychaj, powtarzała sobie. Odpręż się. Nabierz powietrza. Kiedy usłyszała Constantine'a pukającego do drzwi i dopytującego się, czy nic jej nie jest, miała wrażenie, że nie zdążyła upłynąć nawet sekunda, odkąd weszła do łazienki.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała pogodnym głosem. Wyciągnęła rękę i spuściła wodę. Wstała i wtedy zapragnęła wsunąć wszystkie trzy szczoteczki do swojej torebki, żeby później je dokładnie obejrzeć i spróbować ustalić, która należy do jej syna. Ale to był szalony pomysł. Wszyscy od razu by się zorientowali, kto to zrobił. Constantine zapukał ponownie.

– Mary? Wchodzę do środka.

– Nie wchodź – sprzeciwiła się nieco zbyt ostro i zaraz dodała łagodniej: – Wszystko w porządku. Naprawdę.

Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech. A potem, zanim otworzyła drzwi, zdjęła spłóviałą różową myjkę z wieszaka na ręczniki i szybko, prawie nie zastanawiając się nad tym, co robi, włożyła ją do torebki.

Kiedy Susan usłyszała, że jada bez Billy'ego na uroczystość, zapytała:

– Jaki to ma sens?

Miała na sobie zieloną rozszerzaną sukienkę w białe kwiaty. Mary wolałaby wprowadzić, by była nieco dłuższa, ale poza tym Susan wyglądała nienagannie. Usta miała pomalowane różową, błyszczącą szminką, włosy tylko do ramion. Mówiąc, patrzyła Constantine'owi prosto w oczy. Pokój hotelowy, tak jak sama Susan, lśnił czystością i przyzwoitością.

– Jedziemy – powiedział stanowczo Constantine – Chodźcie.

– To głupie – stwierdziła Susan. – Jeśli Billy zachowuje się jak smarkacz, mówi się trudno. Nie ma żadnego powodu, byśmy uczestniczyli w uroczystości w otoczeniu obcych ludzi.

Mary nie mogła się nadziwić: jej starsza córka trzyma prosto ramiona z tak niezachwianą godnością, ma w sobie tyle niewzruszonej pewności siebie, a do tego ta nienaganna świeżość jej sukienki. Potrafiła nazwać Billy'ego smarkaczem. Znała słowo, które jego złe zachowanie sprowadziło do mało znaczącego i krótkotrwałego wybryku. Mary nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego tak często, bez żadnego powodu, Susan wywoływała u niej irytację, a Billy, najmniej godny szacunku spośród jej dzieci, najbardziej destrukcyjny, przyprawiał ją jedynie o tępy ból, który zdawał się w zupełnie niezrozumiały sposób wywodzić z jej własnego zakłopotania.

– Ja w każdym razie idę – oświadczył Constantine. – Wy możecie robić, co wam się podoba.

Susan spojrzała na mamę, która odpowiedziała jej słabym uśmiechem. Wzruszyła lekceważąco ramionami. Mary знаła ten gest: mniejsza o mamę, ona i tak robi to, co będzie najprostsze. Twarz jej poczerwieniała. Dobrze wiedziała, że jeśli tylko się odezwie, jeśli powie choć jedno słowo, znowu się rozplacze i tym razem może nie być w stanie się opanować i przestać. Nienawidziła swojej rodziny, wszystkich bez wyjątku. Żadne z nich nie miało pojęcia, co czuje, nie wiedzieli, że nie opuszcza jej wrażenie balansowania na linie i ten okropny głód powietrza.

– A więc dobrze – powiedziała Susan. – Chodźmy na uroczystość Billy’ego bez niego. Todd wybrał się na spotkanie ze swoim starym znajomym, zobaczymy się z nim na miejscu.

Zajęli miejsca z tyłu, wśród morza drewnianych krzeseł. Mary, teraz, kiedy była już tutaj, wśród matek w pastelowych sukniach i ojców w ciemnych garniturach, poczuła się głupio, a potem ogarnął ją gniew. Billy doprowadził do tego, że wyszli na idiotów. Upokorzył ich na oczach tych wszystkich ludzi, mężczyzn o dobrodusznym, zadowolonym twarzach i opanowanych, rozmownych kobiet z polakierowanymi paznokciami. Zdenerwowanie na Susan ustąpiło nerwowej wdzięczności. Mary była wdzięczna córce, siedzącej po jej lewej stronie, i Toddowi, który zajął miejsce obok Susan i wyglądał przystojnie i uroczyście w garniturze w takim samym, granatowym kolorze jak garnitur Constantine’a. Mary dotknęła kolczyka, przysunęła się bliżej do męża, którego miała po swojej prawej stronie, kipiącego tłumionym gniewem. Starła się nie dopuścić do tego, by jej rozdrażnienie zwróciło się przeciw Zoe, siedzącej po drugiej stronie Constantine’a, w workowatej sukience z muślinu, z potarganymi włosami i w staromodnych, sznurowanych butach, na które się uparła. Zoe zaczęła się ubierać jak postać z dagerotypu. Wyglądała jak jedna z tych kobiet z kręconymi włosami, które spoglądają surowo z brązowo-białych zdjęć, sprawiają wrażenie statecznych i przestraszonych, chorobliwie oficjalnych i z których żadna już nie żyje.

– Myślę, że Billy się pojawi – szepnęła Mary do Susan. – Wydaje mi się, że on tylko tak się z nami przekomarza.

– Nie spodziewaj się zbyt wiele – odpowiedziała Susan. – Wiesz, po kim odziedziczył upór.

Mary porozumiewawczo kiwnęła głową, chociaż bardzo rzadko myślała o swoim mężu i synu jako o osobach, które pod jakimkolwiek względem są do siebie podobne. Zajmowali odrębne wycinki przestrzeni, przypisane do odmiennych systemów logiki.

– Uważam, że on się jednak pojawi – ciągnęła. – Zupełnie nie mieści mi się w głowie, dlaczego, u licha, po takiej ciężkiej pracy nie chce teraz uczestniczyć w uroczystości rozdania dyplomów.

– Raczej odetchnij głęboko i nie spodziewaj się zbyt wiele.

Mary poczuła nagły przypływ strachu. Czyżby Susan zauważyła jej trudności z oddychaniem? Nie, to tylko takie utarte powiedzenie. Delikatnie położyła dłoń na napiętym pod pończochą kolanie córki.

Rozpoczęła się uroczystość, na którą składały się same przemówienia. Głosy mówców płynęły z ustawionych wśród drzew głośników i brzmiały jednakowo, nisko i tubalnie. Mary nie słuchała. Żeby skierować myśli w inną stronę, upatrzyła sobie chłopca siedzącego z przodu, w sektorze przeznaczonym dla studentów. Trochę przypominał Billy’ego – miał takie same szczupłe i szerokie ramiona, które Mary kojarzyły się ze skrzydłami, i taką samą szeroką zuchwę, nieco zbyt dużą i ciężką w stosunku do delikatnej szyi. Natomiast włosy tego chłopca były starannie ostrzyżone. I jeszcze jedno, był obecny na uroczystości. Zastanawiała się, kim mogą być jego rodzice. Bezpośrednio przed nią siedział mężczyzna, który wyglądał zbyt staro, by mieć syna kończącego college, ale najwyraźniej był mężem dużo młodszej od siebie kobiety, jednej z tych o okrągłych twarzach i delikatnych rysach, powszechnie uważanych za urodziwe, chociaż w rzeczywistości nie są szczególnie piękne. Te kobiety pochodziły z zamożnych rodzin, na tyle wpływowych, by się domagać rozciągnięcia kryteriów wyjątkowej urody na ich córki. Mary poczuła, jak pod wpływem zazdrości i podziwu kurczy się jej żołądek, niczym marszcząca się, mokra tkanina. Ich syn był prawdopodobnie owocem drugiego małżeństwa tego mężczyzny, a Mary pomyślała, że potrafi sobie wyobrazić tę trapiącą kłopotami, starzejącą się kobietę (czy była niepłodna? a może biedna?), która została odsunięta, a jej miejsce zajęła spiżowa blondynka ze swoją spiczastą brodą i płodnością, małym nosem i funduszem powierniczym. Mary przeniosła

wzrok z siedzącej przed nią pary na chłopca, który przypominał Billy'ego. Obserwowała go, a on coś szeptał do kolegi, w czasie gdy niski męski głos płynący z trzeszczących głośników mówił coś o czekającej absolwentów długoletniej, ale satysfakcjonującej pracy Mary, wychodząc z rodziną i innymi gośćmi po zakończonej uroczystości, próbowała odszukać wzrokiem chłopca podobnego do Billy'ego.

– Nie mogę uwierzyć, że do tego doszło – powiedziała Susan. – Nie mieści mi się w głowie, że mogłam w taki sposób spędzić dwie godziny mojego życia.

Todd wziął ją za rękę. Zdołał nadać swej twarzy wyraz, który był jednocześnie optymistyczny i współczujący. Zoe szła w swojej bezkształtnej sukience, pogrążona w tylko sobie znanych myślach.

– Billy jest buntownikiem – powiedział Todd. – To może się przejawiać na różne sposoby.

– Słuchajcie – odezwał się Constantine. – Mamy jeszcze pół godziny czasu. Rezerwację zrobiłem na trzynastą.

– A więc będziemy przez to brnąć dalej? – zapytała Susan.

– Chcesz, żebyśmy nie jedli tylko dlatego, że twój brat ma poprzewracane w głowie? Czy tylko z tego powodu mamy zrezygnować z lunchu?

– Ależ nie – powiedziała Susan. – Wykluczone.

– Dziękuję ci za to, że byłeś taka miła – szepnęła Mary, dotykając ramienia Susan, kiedy opuścili dziedziniec szkoły.

– Nie musisz mi dziękować.

Mary była zaskoczona nutą wyrzutu w głosie córki. Po tych wszystkich latach niechęć Susan wciąż ją zdumiewała. Miała ochotę swoim zwyczajem położyć ręce na jej ramionach i zapytać: „Jak możesz mnie nie lubić, kiedy ja tak cierpię?”

– Już sama nie wiem, co pocznę z tą dwójką – powiedziała, i spodobała się jej ta lekkość w głosie, na którą zdołała się zdobyć, to radosne brzmienie. Nadejdą kiedyś lepsze dni.

– Co możesz zrobić? – zapytała Susan. – Co mogłabyś tak naprawę na to poradzić?

– Chyba nic. Billy kiedyś zmieni zdanie. A co u ciebie, wszystko w porządku?

– Tak, mamo. Doskonale.

Susan odeszła i powiedziała coś cicho Toddowi. Mary i jej rodzina przesuwali się w kierunku placu wśród grupek absolwentów i ich rodziców. Wokół nich młodzi mężczyźni i kobiety wykrzykiwali radośnie i padali sobie w objęcia, a ich togi wydawały się ciemnymi plamami w dziennym świetle wczesnego lata, które nie tworzy cienia. Ktoś otworzył butelkę szampana. Nad dachem biblioteki wzeszedł półksiężyc. Kiedy przeszli przez bramę i znaleźli się na ulicy, Mary ponownie zobaczyła tego chłopca, wsiadającego do samochodu razem z rodzicami (zwyczajnie wyglądający ludzie) i ładną blondynką w białej sukience. Dziewczyna trzymała chłopca za rękę, a jego ojciec, z ręką wspartą nonszalancko na ramieniu żony o różowej cerze, powiedział coś, co rozbawiło pozostałych. Mary patrzyła, jak odjeżdżają. Nie mogła przestać się zastanawiać, dokąd jada, co będą jedli dziś wieczór, w jaki sposób będą ze sobą rozmawiali, dokąd potem pójda. Wsunęła rękę do torebki, zwyczajnie, jakby chciała wyjąć chusteczkę czy miętowego cukierka, i dotknęła myjki, którą zabrała z mieszkania Billy'ego.

1975

Pewnej nocy Susan obudziła się i uświadomiła sobie, nagle i z całkowitą pewnością, że ona i Todd nie będą mieli razem dziecka. To nie miało się wydarzyć. Czekanie na dziecko stanowiło jej podstawowe zajęcie, usprawiedliwiało ją. Teraz będzie musiała się zająć czymś innym. Todd spał obok niej, z jedną ręką zarzuconą na twarz. Wstała z łóżka i poszła do łazienki nalać sobie szklankę wody. Gdy szła, flanelowa nocna koszula ocierała się o jej ciało. Miała świadomość siebie poruszającej się w ciemnych pokojach – niewyraźny, niebieski kształt pośród czarnych, przysadzistych kształtów łóżka, lampy, komody.

W łazience napełniła szklankę wodą z kranu i wróciła z nią do sypialni. Powietrze wypełniał oddech Todda, odgłosy jego lekkich, rytmicznych, cichych pochrapywań. Śpiący Todd przypominał jej łódź podwodną. W czasie wielogodzinnego snu nieustannie się kręcił, a dźwięki, które z siebie wydawał – nosowe, urywane chrapanie, sporadyczne pomruki – sugerowały, że jest jak pływający kolos, posuwający się do przodu po omacku, sterowany falami dźwiękowymi, które w niewidoczny sposób odbijają się od raf koralowych i podwodnych łańcuchów górskich. Nawet we śnie zmierzał w jakimś kierunku. Poruszał się w stronę poranka, kiedy wstanie, by ochoczo przystąpić do pracy. Susan napiła się wody, podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Za nimi utworzyła się warstwa zimnego powietrza, uwięzionego pomiędzy szybą okna a tkaniną, i gdy chłód owionął jej twarz, pomyślała, że właśnie uleciało z niej coś żywego. Ulica New Haven, oświetlona słabym pomarańczowym światłem latarni, była pogrążona w ciszy. Istniał świat snu i celu, ciemne okna ludzi, takich jak Todd i ona, którzy zażywali odpoczynku przed nadejściem nowego dnia wraz z jego niezliczonymi możliwościami. Czasami, z uczuciem zachwyty, myślała o tym, że gdzieś tutaj, na tej ulicy, mieszkają ludzie, którzy przyczynią się do zmiany świata. Będą naukowcami i politykami, będą odkrywać nowe leki i tworzyć prawa. Przytknęła brzeg szklanki do brody. Na chodniku skradał się kot, który polował na własny cień. Podążyła wzrokiem za nim, a kiedy wskoczył pod krzak bzu, wydało się jej, że widzi tam ludzką postać. Ten człowiek patrzył do góry, wprost w jej okno, na nią. Miał szerokie ramiona jej ojca, pochyloną sylwetkę boksera. Ogarnął ją strach połączony z przekonaniem, że wszystko, absolutnie wszystko, czego pragnęła, zostanie jej teraz odebrane. Potem mrugnęła i stwierdziła, że to było tylko złudzenie. Nagie gałęzie i nakładające się na siebie cienie ułożyły się w tę postać. Nic się przecież nie stało, tłumaczyła sobie. Były tylko pocałunki, nigdy do niczego więcej nie doszło. Szczelnie zasunęła zasłony, jak gdyby zamykała szufladę. Odczekała, aż się uspokoii.

Cassandra nazywała ją swoją córką. Cassandrę pochłaniały jej własne sprawy, ale starała się być na bieżąco, tak jak robiłaby to matka. Zoe miała innych przyjaciół, mieszkanie i pracę, z której udawało się jej, z mniejszym czy większym powodzeniem, opłacać czynsz. Miała kochanków. Jej życie było wypełnione zdarzeniami i wszystkie wymagały od niej znacznie więcej starań i energii, niż cyniczna Cassandra wkładała w podtrzymanie swego niemal nabożnego uwielbienia do ciuchów, mężczyzn, niespodzianek i podsycanie przekonania, że niespodzianki nie są możliwe. Cassandra żyła w lustrze. Żyła w barach (Zoe nauczyła się myśleć o Cassandrze jako o „kobiecie”). Twierdziła, że adoptowała Zoe. Odprawiała matczyne rytuały, składające się z pochwał, przestroż i utyskiwań. W barze wybierała mężczyzn dla Zoe. „Tamten, kochanie”, szeptała, wskazując swym długim palcem. „Mówi, że jest gejem, ale znany jest z tego, że zdarza mu się przelecieć jedną czy dwie panienki. Wiem z najlepszego źródła, że pomiędzy tymi chudymi nożynami ma zabójczy instrument”.

Cassandra udzielała Zoe porad na temat szczegółów stawiania laski. Szyła ubrania dla niej i namawiała do zrobienia porządku z włosami.

– Być nieposkromioną to jedna sprawa – powiedziała. – Być Meduzą to druga. Tą swoją fryzurą z buszu odstraszasz mężczyzn. Dlaczego nie pozwoliś, żebym wtarła w nie balsam i trochę je skróciła? Tylko żeby zobaczyć, czy potrafimy je zmusić, by poruszały się w czasie wichury.

Ale Zoe nie chciała zmieniać fryzury. Miało tam swoje miejsce coś ciężkiego i splątanego, chciała to zatrzymać.

Po ukończeniu szkoły średniej razem z Trancas wynajęły mieszkanie, ale przyjaciółka wyjechała i teraz Zoe mieszkała z Ford i Sharon, na czwartym piętrze bez windy na East Third Street, naprzeciwko głównej siedziby Hell's Angels. Trancas przeniosła się do Oregonu i była zakochana w trzech kobietach jednocześnie. Zoe pracowała w sklepie z używanymi ubraniami na Mac-Dougal Street. Paliła jointy w zagraconym małym biurze w głębi sklepiku, pomagała obcym ludziom podjąć decyzję, czy mają kupić przechodzone suknie wyjściowe, jedwabne chusty, hawajskie koszule. Piżmo z używanych ubrań wsiąkało jej pod skórę, wieczorem więc brała gorące kąpiele i skrapiała się olejkiem z trawy cytrynowej, by poczuć się świeżo. W domu wypal siła kolejne jointy i piła wino z Sharon, która pracowała jako kelnerka. Towarzyszyła im Ford, która zarabiała, grając na gitarze na ulicach. Zoe na ścianach sypialni zawieszała nieudane zdjęcia obcych ludzi, przykrywała lampy kolorowymi chustami. W Nowym Jorku czuła się jak Alicja, wierząc, że pewnego dnia powróci do tego drugiego świata, do ogrodów, podręczników szkolnych, bielizny suszącej się na sznurku. Na razie były jej łagodnie usposobione przyjaciółki i mało wymagająca praca, z pensją wypłacaną na lewo w gotówce. Był seks z przypadkowymi mężczyznami. Był kwas w Central Parku i strzykawki z amfą, która sprawiała, że Zoe prześlizgiwała się przez godziny jak nitka przez ucho igielne. Starła się doświadczyć wszystkiego. Jako mała dziewczynka mieszkała w domu swoich rodziców i oglądała w telewizji córki i synów minionej ery, tańczących, ubranych w łańchmany i kawałki flagi, z kwiatami wplecionymi we włosy. Zanim dorosła, nadzieje zbladły, zostały utracone, beztraska wiara w to, że ludzie mogą żyć niewinnie wśród zwierząt, okazała się ulotna.

Zoe z pewnych względów opłakiwała odejście dawnej wizji przyszłości, z innych było jej to zupełnie obojętne. Miała w sobie zbyt wiele iskrzących obwodów wytwarzających energię, zbyt wiele chęci do życia, by chcieć je spędzić na uprawianiu marihuany i karmieniu kurczaków i kóz. Chciała doświadczyć prawdziwych niebezpieczeństw czyhających w lesie; pastwiska i podwórza gospodarskie za bardzo przypominały jej domy.

Cassandra dzwoniła, kiedy akurat przyszło jej to na myśl. Czasami wpadała z wizytą. W dzień nie przebierała się za kobietę. Nie ukrywała chudości i rzadkich, rudych włosów. Nosiła luźne spodnie w kolorze khaki, szerokie koszule, czasami jedną lub dwie bransoletki.

– Więc, co tam u ciebie, kochanie? – zapytała, popijając kawę przy kuchennym stole. W męskim ubraniu wyglądała bardziej kobieco. W sukience i peruce była mężczyzną w sukience i peruce.

– Poznałam kogoś – powiedziała Zoe. Zawsze starała się mieć jedną czy dwie historyjki w zanadrzu.

– No to opowiadaj. – Cassandra wsparta spiczastymi łokciami na blacie stołu, spoglądała znad filiżanki z kawą jak bystra żona.

– Spotkałam go w parku Tompkins Square – mówiła Zoe. – Paliłam hasz przy muszli koncertowej, a on bawił się z psem, rzucał mu frisbee.

– Mężczyźni z psami są zazwyczaj godni zaufania – zauważyła Cassandra – ale niezbyt dobrzy w te klocki.

– Pies podbiegł do mnie. To był przyjemny piesek, zwykły kundel. Pogłaskałam go, a wtedy ten facet zagadnął mnie i zaczęliśmy rozmawiać.

– Jakie sprawiał wrażenie?

– Miły. Z tych nietykalnych. Powiedział: „No! No!”

– Tylko tyle?

– Nie. Powiedział, jak mi się zdaje: „No, no, palisz hasz tutaj, tak na widoku?” i „No, no, masz niezły naszyjnik”. Zachowywał się jak dziesięcioletni chłopiec, który skończył już dwadzieścia pięć lat, wiesz, o czym mówię?

– Och tak, ten typ rozpoznaję na odległość. Nie podchodzą do okropnych starych transwestytów bliżej niż na pięćdziesiąt metrów.

– Wypaliliśmy fajkę do końca, a potem zaczęliśmy rzucać psu frisbee.

– Lepiej przejdź od razu do seksu, zaczyna mnie to nudzić.

– Oboje się spociliśmy, on zdjął koszulę.

– I co było pod spodem? – zapytała Cassandra.

– Ładne ciało. Szczupłe, trochę chłopięce, z małutkimi brodawkami. Ale podobało mi się. Nie zależy mi, żeby facet był umięśniony.

– Wy, zwykłe dziewczęta, jesteście cudowne. Nic dziwnego, że wszystkie wychodzicie za mąż. To tylko mężczyźni wleźliby we własny tyłek, by znaleźć doskonałość. Mam rację?

– Nie wiem – odpowiedziała Zoe. – Nie wyszłabym za mąż za tego faceta.

– Mniejsza z tym. Czy przyprowadziłaś go do domu?

– Mhm. Powiedziałam mu, że mieszkam zaraz za rogiem i że jeśli ma ochotę, mógłby wziąć u mnie prysznic.

– Zuch dziewczyna – pochwaliła Cassandra. – Jak lew sprowadzający sobie gazelę.

– Przecież jestem dziwką – powiedziała Zoe. – Cóż mogę powiedzieć?

– Więc przyprowadziłaś go do domu.

– Mhm. On wziął prysznic, no i wiesz, co było dalej. Zrobiliśmy to.

– A co z psem, na miłość boską?

– Dałam mu miskę wody i położył się w salonie. To był dobry piesek.

– A jak seks? – zapytała Cassandra. – Opowiedz swojej mamusi.

– Przyjemny. Wiesz, on był szybki. Za szybki jak dla mnie. Ale miły. Zaraz potem zasnął, zsunął się ze mnie i wydaje mi się, że zdążył zasnąć, zanim opadł na materac.

– Tak jak ci mówiłam – skwitowała Cassandra. – Tacy są faceci z psami.

Cassandra pracowała jako szwaczka oraz występowała w przedstawieniach wystawianych w piwnicznych klubach. Nie powierzano jej głównych ról. Grała służące i niewolnice, czasem przyjaciółkę głównej bohaterki. Zoe zawsze szła ją zobaczyć. W *Sinobrodym* Cassandra była nieszczęśliwą żoną. Stojąc za pomalowanymi tekturowymi drzwiami, mówiła: „Och, mój pan

ostrzegł mnie, żebym nigdy nie ważyła się naruszyć świętości i tajemnicy tej głównej komnaty, ale ja muszę wiedzieć, co się w niej kryje”. W *Annie Kareninie* czy *Nocnym pociągu* była w chórze, który śpiewał *Can't Stop Loving That Man of Mine*. W *Sekretach Imperium Chun King* wchodziła na scenę ubrana w kimono i mówiła: „Cesarz wybrał Wing Li na swoją nałożnicę i matkę następcy, aby udała się wraz z nim do królestwa spokoju, które leży za Błękitnymi Górami, tak więc reszta z was, dziewczyny, może zabierać stąd swoje tyłki”.

Zoe zawsze oklaskiwała ją z dumą i skrytym, palącym uczuciem wstydu. Kochała Cassandrę. Pochlebiało jej i zarazem upokarzało ją to, że Cassandra opowiadała wszystkim wokół o niej, Zoe, jako o dziewczynie, która wyzbyła się wszelkich ograniczeń. Dziewczynie, która nie była ani miła, ani zwyczajna. Zdarzało się, że potrafiła być tą dziewczyną. Czasem chciała tylko zasnąć w małej, białej sypialni, w czasie gdy Cassandra i ta druga Zoe będą wędrowały ulicami mieniącymi się wszystkim, czego obie pragnęły.

Po przedstawieniach Cassandra wychodziła napić się z Zoe drinka. Te kluby były mroczne jak noc, wypełnione zapachami z przeszłości, zapachem gnicia, który przypominał Zoe woń wydobywającą się z kosza z brudną odzieżą, wszechobecną na zapleczu sklepu. Cassandra przedstawiała Zoe każdemu: „To jest moja dziewczynka, tak, drogie panie, stuprocentowy autentyk. Jest moją protegowaną. Czy nie jest urocza?”

Wszyscy się zgadzali, że jest urocza. Kto mógł wiedzieć, co naprawdę myśleli? Zoe siedziała na stołku barowym w swoim ciemnym ubraniu, w stwarzającej dystans czerni proszku antymonowego, którym zaczęła małować oczy. Popijała piwo i przysłuchiwała się rozmowie. Mężczyźni w sukniach nie angażowali jej w rozmowę. Oni byli aktorami, w przedstawieniach, które zrobili z własnego życia, i była im tylko potrzebna w roli widza.

– Wiecie, czego jej zazdrosczyć? Tych małych stopek. Wyobraź sobie, że możesz wejść do sklepu i zwyczajnie kupić sobie parę butów, które przypadły ci do gustu.

– Mówiąc szczerze, moja droga, nie wyobrażam sobie nic bardziej przygnębiającego. To takie proste, byle głupek potrafi wejść do sklepu, a ja uwielbiam wyzwania. Znaleźć parę ślicznych czółenek w rozmiarze męskiej trzynastki, to jest dopiero osiągnięcie, z którego dziewczyna może być dumna.

– A-ha. Czy przypadkiem nie miałaś na sobie tej pary, którą widziałam w zeszłym tygodniu na żelaznym pręcie nad punktem naprawy butów?

– I kto to mówi. Kochanie, policja wciąż nie może ustalić, kto zwinął te dwa kajaki z jeziora w Central Parku, ale ja milczę jak grób.

Cassandra i jej przyjaciółki nie potrzebowały towarzystwa Zoe na długo. Mówiła więc dobranoc i zostawiała je przy barze, zajęte rozmową, rozbawione. Cassandra zazwyczaj odprowadzała ją do drzwi.

– Dzięki, że przyszłaś, aniołku.

– To było dobre przedstawienie, Cassandro.

– Nazywają to sławą, ale jest ona udziałem tylko wybrańców. Zadzwoń do mnie.

– Dobrze.

– Nie za wcześnie.

– Nigdy bym się nie odważyła.

Kiedy Cassandra odwiedzała Zoe popołudniami, ubrana w spodnie i T-shirt, siadała przy kuchennym stole i zbierała okruszki czubkiem palca.

– Wy, dzieciaki, powinniście trochę częściej sprzątać. Tylko patrzeć, a w tym mieszkaniu zaroi się od karaluchów.

Czasami Zoe myślała, że powinna mieć plan. Powinna dążyć do konkretnego celu, tak żeby mogła, kiedy ją ktoś zapyta: „Czym się zajmujesz?”, udzielić lepszej odpowiedzi niż: „Przygotowuję czopki z opium” albo „Gram na basie na piątym piętrze”. Jej największe

zdolności przejawiały się w tym, że potrafiła być obecna i czasem wydawało jej się, że to wystarczy. Jestem świadkiem, myślała. Moim zadaniem jest obserwacja zdarzeń.

Kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, odeszła ze sklepu z używaną odzieżą i znalazła lepiej płatną pracę kelnerki w koktajlbarze. Zakochała się w jednym z barmanów, nieprawdopodobnie przystojnym, niezrównoważonym mężczyźnie, który od dzieciństwa miał siwe włosy. Wyprowadziła się z mieszkania na East Third, by zamieszkać z nim w SoHo, a następnie wróciła do poprzedniego miejsca po tym, jak w napadzie zazdrości uderzył ją pięścią. Dostała pracę w innym barze, pracowała do czwartej rano, spała do dwunastej lub pierwszej w południe. Razem z Ford i Sharon oglądała w telewizji seriale, zaczęła palić, potem przestała. Na przemian zakochiwała się i odkochiwała w Brendzie, cichej kobiecie o silnym charakterze, która umiała czytać z kart tarota i zarabiała na życie jako oświetleniowiec na Broadwayu.

Zdarzało się, że Zoe przez kilka miesięcy nie miała wiadomości od Cassandra. Bywało, że Cassandra dzwoniła pięć razy w ciągu tygodnia. Niekiedy, choć niezbyt często, przychodziła do niej w odwiedziny i zostawała na całe popołudnie.

– Cieszę się, że znam kogoś tak młodego jak ty. Podoba mi się to, że nie jesteś wspaniała – mawiała.

– Jestem wystarczająco wspaniała, by realizować własne cele – odpowiadała jej Zoe.

– To znaczy cudownie wspaniała, kochanie. Chodzi mi o ten rodzaj doskonałości, który jest obecny we wszystkich filmach, jakie kiedykolwiek nakręcono z Idą Łupino. Mogę rzucać mięsem w towarzystwie innych dziewczyn, sile tak naprawdę, kochanie, to jest trochę tak, jakbym mówiła po francusku. Niezależnie od tego, w jakim stopniu zdołałabym go opanować, i tak nie będzie moim ojczystym językiem. Ale miło jest tak czasami wpaść do ciebie, siedzieć beczynn timer i grać w scrabble.

Przy okazji każdego spotkania bowiem zaczęły grywać w scrabble. Cassandra zawsze wygrywała.

– Ja też to lubię – powiedziała Zoe.

– Moja mała dziewczynka, och, córka, której nigdy nie miałam. A teraz powiedz mi, aniołku, czy bzykasz się z kimś nowym?

Mary wiedziała. Zorientowała się po zapachach, które przynosił do domu, po melodiach, które nucił. Constantine miał tę kobietę wypisaną na twarzy. To odkrycie samo w sobie nie było dla Mary zaskoczeniem. Mężczyźni zdradzali, kierowały nimi żądze. Została odpowiednio wychowana, gdy była małą dziewczynką, nigdy nie dawała pierwszeństwa sentymentom przed głosem rozsądku. Nie zaskoczył jej sam fakt, lecz dystans, z jakim go przyjęła, a nawet, po kilku nieprzespanych nocach, uczucie ulgi. Constantine nie był jej wierny i potrafiła to zrozumieć. Daleko jej było do idealnej żony, mimo że kiedyś postanowiła nią być. Wkładała wiele trudu w przygotowywanie tortów urodzinowych, sprzątała bez wytchnienia, obszywała równiutkimi rąbkami sukienki. Mijały jednak lata, a ona nigdy nie nauczyła się odczuwać pożądania. W łóżku była zimna i niechętna. Kradła i nie potrafiła z tym zerwać. Nie udało jej się zaprzyjaźnić z kobietami z pozycją, zostać ich serdeczną przyjaciółką, chociaż udzielała się w niezliczonych komitetach. Jeśli Constantine miał romans na boku, jeżeli znalazł sposób na zaspokajanie swoich pragnień, tak jak inni mężczyźni wychodzili na zewnątrz na papierosa, ona nawet mogła się z tym pogodzić. Była niemal zupełnie pewna, że się nie zakochał. Triumfujące uczucie samozadowolenia, lecz z wyraźnie zaznaczoną granicą, przylgnęło do niego jak perfumy tej kobiety. Budowanie i zdobywanie leżało w naturze Constantine'a, i mógł do swojego życia dodać jedną czy dwie kobiety, nigdy jednak dobrowolnie nie zrezygnowałby z niczego, co było jego własnością. Nie poświęciłby tej trudnej przyjaźni, która połączyła jego i Mary, wygód wspólnie zbudowanego domu. Żyła dalej, jak gdyby nic się nie stało. Nie odpowiadało jej to udawanie nieświadomości, ale byłaby w stanie znieść to, że czuje się głupia, lekceważona. Uważała, że jest to nadal niewielka cena, którą byłaby gotowa zapłacić. Nie potrafiłaby jednak żyć w ramach układu. Nie zdobyłaby się na to, by podlewać bluszcz czy wypróbować nowe przepisy jako kobieta, która otwarcie toleruje niewierność męża, ale mogła dochować tajemnicy.

Dochowywała tajemnicy prawie przez rok i robiłaby to dalej, ale któregoś dnia, podczas największej od przełomu wieków fali upałów, jadąc do sklepu spożywczego, wstąpiła do Constantine'a, aby podrzucić umowę, której zapomniał zabrać z domu. Rzadko zachodziła do jego biura. Nie miała tam nic do załatwienia. Nie było to miejsce, które odwiedzałyby żony. Nie oferowało żadnych udogodnień, żadnych pism czy miękkich krzesel, a wspólną toaletę znajdującą się na drugim końcu korytarza, do której szło się z kluczem zawieszonym na ogromnym mosiężnym kółku, lepiej pominąć milczeniem. Jeśli można powiedzieć, że Constantine i jego wspólnik rygorystycznie przestrzegali zasady oszczędności przy budowie domów, byli co najmniej surowi, gdy chodzi o własne wygody w pracy. Ich biura, które mieściły się na trzecim piętrze budynku wzorowanego na stylu z epoki Tudorów, były wyłożone boazerią z płyt pilśniowych i wyposażone w przypadkowe meble: biurka z namiastki drewna i zielone krzesła obite sztuczną skórą. Mary w ogóle nie lubiła wchodzić do tego biura. W jego tandetnych pomieszczeniach czuła się nieswojo i w tych rzadkich wypadkach, kiedy musiała tam pójść, jeszcze przez jakiś czas po takiej wizycie odczuwała zdenerwowanie i niepokój, jak gdyby zobaczyła termyty podgryzające fundamenty jej domu.

Jednak umowa była Constantine'owi potrzebna, więc pewnego upalnego ranka tuż przed dziesiątą weszła do biura, ubrana w beżową lnianą spódnicę i jasnożółtą jedwabną bluzkę. Zastąpiła męża siedzącego za biurkiem. Wyglądał na tak zajętego i zavalonego pracą, był tak wyrazistą ilustracją obu tych stanów, że odniosła wrażenie, jakby na odgłos trzaśnięcia drzwi wejściowych do biura podniósł słuchawkę, zapalił wszystkie trzy wskaźniki nadchodzących połączeń i zaczął zapisywać jakieś bezsensowne słowa w żółtym notesie. Pomyślała, że może

to być jeden ze sposobów tworzenia wizerunku firmy – manewr zastosowany po to, by wywieść w pole zarówno kredytodawców, jak i inwestorów. Jak tylko ją zobaczył, od razu się odprężył, odłożył słuchawkę i usiadł wygodnie w dużym fotelu na kółkach, które wydawały nieprzyjemny, urywany dźwięk, ilekroć przetoczyły się po jasnej wykładzinie z tworzywa sztucznego, którą Constantine pokrył podłogę za swoim biurkiem, by nie zniszczyć dywanu.

Nie przestawał jednak mówić:

– ...powiedziałem niskie koszty, jeśli takie masz wyobrażenie o niskich kosztach, Jimmy, to nie mam pojęcia, jak mam ci to wytłumaczyć...

Machnął do niej ręką. Ten gest, przecinający powietrze, miał oznaczać powitanie, a zarazem dać do zrozumienia, że nie będzie jej zatrzymywał. Wskazał ręką prawy narożnik biurka, gdzie położyła umowę. Powiedział bezgłośnie: „Dziękuję” i dalej mówił do słuchawki.

– Chcę, żebyś wynegocjował dobrą cenę, tego chcę, czy mam ci wyjaśnić, co to znaczy dobra cena, więc dobrze, powiem ci, dobra cena to...

Mary odwróciła się już w stronę drzwi, nie mogąc się doczekać, kiedy wróci do względnej ciszy i czystych, wyściełanych powierzchni własnego życia. Niemal zderzyła się z sekretarką Nicka Kazanzakisa – jak ona miała na imię? – grubą dziewczyną, którą poznała dwa lata temu na przyjęciu z okazji świąt Bożego Narodzenia.

– Och, dzień dobry – przywitała ją Mary i się uśmiechnęła.

Jak ona miała na imię? Martha, Margaret. Nie, to było jakieś inne, obco brzmiące.

Dziewczyna stała, patrząc z tak pustym, tępym i zdziwionym wyrazem twarzy, że Mary zaczęła ją podejrzewać o uposłedzenie umysłowe. Miała cechy charakterystyczne dla wyglądu takich osób: nienaturalna tusza, mała głowa, bezbarwne włosy mocno zwinięte w nieduży kok na czubku głowy. W pierwszej chwili Mary zamierzała mówić wolno i wyraźnie, tak jak mówiłaby do dziecka. Mogłaby powiedzieć na przykład: „Jestem panią Stassos, jaką ładną ma pani sukienkę”.

– Dzień dobry – odpowiedziała dziewczyna ostrym głosem, z wyraźnie obcym akcentem. W żadnym razie nie można było go uznać za normalny.

Mary obserwowała, jak zmienia się wyraz twarzy tej kobiety, zupełnie jakby kolorowa szklanka napełniała się jasnym płynem. Pod warstwą makijażu twarz dziewczyny przybrała nadąsany i triumfujący wyraz, jak gdyby tylko ona знаła pewną tajemnicę z przeszłości Mary, dawny grzech, który Mary uważała za bezpiecznie pogrzebany.

– Chyba już się kiedyś spotkałyśmy. Jestem Mary Stassos.

– Magda Bolchik – przedstawiła się dziewczyna. Nadal spoglądała na Mary z wyrazem triumfalnej nienawiści, tak jawnej, że zdawała się emanować z niej falami, niczym ciepło unoszące się z asfaltu.

– O ile sobie dobrze przypominam, na przyjęciu bożonarodzeniowym – powiedziała Mary. – Właśnie wychodziłam, przyniosłam tylko dokumenty.

– Tak, rzeczywiście, na przyjęciu bożonarodzeniowym – powtórzyła jak echo Magda.

– No cóż, miło znów panią widzieć.

Mary wyminęła dziewczynę, skierowała się do drzwi i być może wyszłaby wyłącznie z uczuciem zdziwienia, nieprzyjemnym wrażeniem niepokoju, ale obejrzała się i zobaczyła, że dziewczyna stoi przy Constantinie, opierając rękę na jego ramieniu. Zobaczyła, że Constantine odsuwa rękę dziewczyny i podnosi oczy na nią, na Mary, z wypisaną w nich paniką, mimo że nie przestawał rozmawiać o odpowiedniej cenie za deski.

A więc to była ta dziewczyna.

Mary poczuła się zagubiona. Straciła swoje wewnętrzne przekonania na temat przyczyny i skutku. Wiedziała, że Constantine ma romans, ale dziewczyna, którą sobie wyobrażała, była tak zupełnie inna, tak pod każdym względem przewyższająca tę tutaj, że zostały, jak się zdawało, pogwałcone fundamentalne prawa fizyki. Skoro pospolita, tęga dziewczyna mogła

sypiać z jej mężem, mogła być jej rywalką, to równie dobrze papiery leżące na biurku Constantine'a mogły zacząć wrzeszczeć, a potem unieść się niczym ptaki i latać po całym pokoju. Dzbanek do kawy mógł eksplodować, mogły zawalić się ściany. Mary stała jeszcze przez chwilę, Magda wpatrywała się w nią z wyrazem gniewnego zadowolenia obżerającego się niedźwiedzia, a Constantine patrzył na żonę błagalnym i skruszonym wzrokiem, nie przestając mówić do słuchawki.

Mary zrobiła jedyną rzecz, którą wiedziała, jak zrobić. Powiedziała do męża uprzejmym tonem: „Do zobaczenia później”. Dotknęła kolczyka i wyszła.

Uświadomiła sobie, że nie wytrzyma w domu, chociaż już wzięła tabletkę. Pokoje sprawiały wrażenie skażonych. Wypełniała je tak okropna cisza, że zdawała się ciężyc, jak gdyby jakiś trujący, niewidzialny gaz przenikał przez ściany do środka. Mary pomyślała, że jej trudności z oddychaniem mogą być spowodowane oparami wydobywającymi się z ziemi, które zatrwały tylko ją, ponieważ spędzała tutaj więcej czasu niż ktokolwiek inny. Oczywiście, była to śmieszna hipoteza. Na te napady duszności cierpiała przez większość swego dorosłego życia. Niemniej nie mogła być teraz w domu. Dusila się w nim. Nie mogła tu zostać. Nie mogła pojechać na zakupy. Nie mogła odwiedzić przyjaciółki, ponieważ wszystkie jej znajomości miały oficjalny charakter, były powiązane z interesami Constantine'a lub jej działalnością charytatywną. Kobiety, które darzyła największą sympatią, spokojne, dobrze wychowane damy, które przewodniczyły komitetom i wydawały lunchy, nigdy nie okazały jej niczego poza powierzchownym, uprzejmym zainteresowaniem. Przez długie lata jej to wystarczało, teraz było to o wiele za mało. W żadnym wypadku nie mogła złożyć niezapowiedzianej wizyty komuś, kto jedynie z grzeczności będzie tolerował jej obecność. Zakładając nawet, że zostanie przyjęta, wprowadzona do salonu i poczęstowana szklanką mrożonej herbaty, i tak nie mogła z tego skorzystać, ponieważ bała się, że wybuchnie płaczem. A gdyby rozkleiła się przed którąkolwiek z tych opanowanych, pewnych siebie kobiet, to tylko niewiele różniłaby się od imigrantki pogrążonej w histerycznej, bezdennej rozpacz, wymachującej rękoma, głośno wykrzykującej, lamentującej, w czasie gdy odpływa biały statek. Wiedziała, że będą ją traktować uprzejmie, ale wiedziała również, że pomyśli sobie, jak bardzo jest żalosa, i że tego nie zniesie.

Pojechała więc do Nowego Jorku i wynajęła pokój w hotelu Plaža. To miejsce podziało na nią kojąco. W ciszy jego bogato zdobionego złotem holu ponownie poczuła się jak kobieta, która doskonale daje sobie sama radę, silna i zamożna, która może zrobić wszystko, co okaże się konieczne. Pozwoliła, by odprowadzono ją do pokoju, mruknęła coś do boja hotelowego na temat walizek, które przyjadą później, a kiedy została sama, nastawiła klimatyzację na najwyższy poziom i położyła się na podwójnym łóżku. Okna jej pokoju wychodziły na południową stronę, z czego nie była zadowolona. Nie było jednak wolnych pokoi z widokiem na park, przynajmniej nie dla kobiety, która przybywa samotnie, bez bagażu i wcześniejszej rezerwacji. Za oknem rozciągał się Nowy Jork spieczony słońcem i pomimo upału tętniący życiem. Miasto nie robiło sobie przerwy, nawet w taki dzień jak ten. Dochodziły ją dźwięki klaksonów taksówek sunących wzdłuż Fifth Avenue, a po drugiej stronie ulicy, u Bergdorfa, sprzedawczynie z lodowatą pewnością siebie wciąż poruszały się szybkim krokiem wśród rzędów wieszaków. Skwar nie zdołał powstrzymać tego dążenia, tego zakrojonego na szeroką skalę poszukiwania perfekcji, niezależnie od tego, czy chodziło o pantofelek, klejnot czy kieliszek wina; złote jajko, które można by było wziąć do ręki i powiedzieć: „Tak, to jest to, o co chodzi właśnie teraz”. Nowy Jork był przeciwieństwem Garden City. Tam czas był elastyczny, dostosowywał się do nastroju i jeśli pozwoliłeś sobie popaść w odrętwienie czy stracić nadzieję, świat zdawał się mieć swój udział w tej utracie wiary, ukazując ci wyludnione pokoje pełne mebli, bezużyteczny karmnik dla ptaków, gdy mieszkająca naprzeciwko pani Ramble, staruszka, wychodzi w płaszczu, owinięta szalem, by sprzątnąć

kawałek papieru, który wiatr przywiął na jej trawnik. Nowy Jork się nie zatrzymywał, nie przejmował się tobą. Prawie dziesięć minut Mary leżała na łóżku, odczuwała względny spokój, oddychała głęboko, otoczona stłumionym hałasem dobiegającym z ulicy i nieskazitelnym, chłodnym luksusem pokoju, z różami na tapecie i koszykiem drogich przyborów toaletowych, który – jak wiedziała – stoi na blacie przy umywalce.

Potem znów zaczęła myśleć o tej dziewczynie, jej zadowoleniu malującym się na twarzy, jej brzoskwińowej bluzce z syntetycznej tkaniny z rzędem perłowych, świecących, plastikowych guzików. Dziewczynie dotykającej ramienia jej męża, tej, którą wybrał jej mąż.

Mary usiadła i wykręciła numer. Nagle zapragnęła porozmawiać ze swoimi dziećmi. Nie, wcale nie po to, by powiedzieć im, co wyprawia ich ojciec, ale by usłyszeć ich głosy, otrzymać tę odrobinę ciepła, jaką zechciałyby jej ofiarować, po raz kolejny się upewnić, że każde z nich ma swoje życie, które będzie się dalej toczyło. Najbardziej pragnęła porozmawiać z Billym, ale on wyjechał, podróżował według jakiegoś tajemniczego planu. Przed wyjazdem obiecywał tylko, że co kilka tygodni wyśle do niej widokówkę. W ciągu roku dostała trzy kartki, jedną z San Francisco, drugą z Gallup w stanie Nowy Meksyk i trzecią z Kolumbii Brytyjskiej. Wykręciła numer Susan w Connecticut, ale nikt nie odbierał telefonu, a kiedy wsłuchiwała się w sygnał, miała przed oczami puste pokoje domu córki, zadbane stare meble z czasów osadnictwa i elegancką tapetę w spokojnych kolorach. Czowała osamotnienie, bardziej dotkliwe niż kiedykolwiek przedtem. Wreszcie zadzwoniła do Zoe. Najmłodsza córka mieszkała niecały kilometr od miejsca, gdzie jej matka leżała na łóżku w wynajętym pokoju, jednak Mary miała wrażenie, że telefonuje do niej z największej odległości.

Odczekała trzy sygnały, a wtedy ktoś podniósł słuchawkę i usłyszała: „Halo?”

Był to głos kobiecy, chrapliwy, raczej ponury.

– Och, przepraszam – powiedziała Mary. – Pomyliłam numer.

– Nie, nie, to jest mieszkanie Zoe Stassos. Właśnie wyszła na chwilę. Jestem pokojówką.

– Słucham?

– Mały żart. Jestem przyjaciółką Zoe, powinna wrócić lada moment. Czy mam jej coś przekazać?

– Mówi jej matka.

– Och, pani Stassos. Tyle o pani słyszałam.

– Naprawdę?

– Mhm. Jestem przyjaciółką Zoe, zawsze bardzo chciałam panią poznać. Mam na imię Cassandra.

– Ach tak – powiedziała Mary. – Zoe wspominała o pani.

W rzeczywistości, o ile Mary sobie przypominała, Zoe nie mówiła jej o nikim, kto miałby na imię Cassandra. Należało się jednak zdobyć na te drobne uprzejmości. Kobieta wydawała się starsza od Zoe, co było dość dziwne, ale miała kulturalny głos. Lepsze to niż Trancas, nieopierzone, toczące się stworzenie, i wszystkie pozostałe dziwolągi, które Zoe przyprowadzała do domu w ciągu minionych lat.

– Czy mam jej przekazać, by do pani oddzwoniła, kiedy wróci? – zapytała Cassandra.

– Nie, nie ma potrzeby. Proszę jej tylko powiedzieć, że dzwoniłam i przesyłam ucałowania.

– Oczywiście.

– Mam nadzieję, że dobrze znosi upał – powiedziała Mary. – Że obie go dobrze znosicie.

Czuła, że powinna już zakończyć rozmowę, jednak nie miała ochoty wrócić do ciszy hotelowego pokoju, niepewności tej godziny i następnej. Porozmawia minutę czy dwie z miłą nieznaną o zwykłych, błahych sprawach.

– Och, mnie upał nie przeszkadza – odparła Cassandra. – Odkryłam pewien sekret wiele lat temu. Trzeba mu się poddać. Kiedy robi się taki skwar jak teraz, nie nakładam nawet odrobiny makijażu i nie obchodzi mnie, że ktoś może się mnie przestraszyć na ulicy.

Wreszcie, pomyślała Mary, był ktoś, kto mówił zrozumiałym dla niej językiem. Ktoś, kto nie drwił z nylonowych pończoch czy makijażu, kto się nie upierał, by chodzić z gołymi nogami, rozczochranymi włosami, ubrany w łachmany, które inni wyrzucali na śmietnik.

– Latem chodzę wyłącznie w odzieży z jedwabiu i lnu – powiedziała Mary.

– Doskonale – odpowiedziała ta kobieta.

– Czy mogę pani zdradzić pewną małą tajemnicę?

– Jak najbardziej, proszę.

– Wkładam stanik i majtki na noc do zamrażarki.

– To ciekawe, muszę też spróbować.

– Cudowny sposób – powiedziała Mary. – A jeśli się opali nogi, można z powodzeniem obejść się bez pończoch.

– Uwielbiam słońce. Ale niestety, wystarczy chwila i jestem cała w piegach.

– Musi pani na to uważać, jeśli ma pani jasną karnację.

– Mam karnację w kolorze jajka – westchnęła Cassandra. – Skandynawskie pochodzenie, wszyscy moi przodkowie z wielkim upodobaniem osiedlali się nad brzegami fiordów i za każdym razem wybierali sobie na żony najbardziej blade dziewczyny we wsi.

– Och, ale bardzo jasna cera może wyglądać uroczo. Jakiej szminki pani używa, czy preferuje pani perłowe róże?

– Wie pani, jeśli będę zbyt perłowa i różowa, będę wyglądała jak ktoś, kogo fale przed chwilą wyrzuciły na brzeg po kilku tygodniach. Wiem, że może to panią zdziwić, ale zaczęłam eksperymentować z czerwienią. Mam na myśli intensywną czerwień. Szkarłat.

– Naprawdę? – zdumiała się Mary.

– Nie jest on wprawdzie odpowiedni na każdą okazję. Ale, wie pani, moim zdaniem, tutaj, w Nowym Jorku, czasami najlepiej samemu zaskakiwać, nie czekając, aż zaskoczą cię inni.

– Chyba tak. Ojej, nie powinnam zabierać pani tyle czasu.

– Nic nie szkodzi. Ogromnie było mi miło uciąć sobie z panią tę krótką pogawędkę.

– Mnie również było miło. Mam nadzieję, że kiedyś znów sobie porozmawiamy.

– O tak, z całą pewnością. Przekażę Zoe, że pani dzwoniła. Do usłyszenia.

– Do usłyszenia.

Mary odłożyła słuchawkę i znów się położyła. Tak jak się tego spodziewała, cisza i niepewność już na nią czekały. Jednak w pewnym, niewielkim stopniu czuła się pocieszona. Istniał ktoś, z kim mogła porozmawiać o zwykłych, mało ważnych rzeczach, czarująca kobieta, która gawędziła z nią bez egzaltacji, nie siląc się na protekcyjalny ton. Mary spojrzała w górę, na śnieżnobiały sufit, zaczęła się wsłuchiwać w odgłosy ruchu ulicznego. Następnym razem, gdy będzie rozmawiała z Zoe, zrobi jej delikatną wymówkę, że ani słowem nie wspomniała o swojej uroczej, nowej przyjaciółce.

Słowa piosenek mówiły, że miłość jest wszędzie. Pod oknem Willa jakiś mężczyzna w myśliwskim kapeluszu i pogniecionych spodniach w kratę przez pół nocy wykrzykiwał: „Hej, kochasz mnie, kochasz mnie, hej, sukinsynu, mówię do ciebie”. Telefonowanie na policję na niewiele się zdało, on znowu wracał – to był jego teren. By go zagłuszyć, Will nastawiał płyty, z których rockowi piosenkarze i jazzowi puzoniści jak jeden mąż za pomocą muzyki zadawali to samo natarczywe pytanie: „Czy mnie kochasz, czy mnie kochasz, hej, sukinsynu, kochasz mnie?” Will nie potrafił się zakochać w kimś tak skomplikowanym i nieuchwytnym jak druga osoba. Ale nie martwił się tym. Przynajmniej nie bardzo. Dzielił duże, zimne mieszkanie z przyjaciółką i jej pięcioletnią córeczką. Miał niewielkie grono bliskich przyjaciół. Miłość przytrafiała się gdzie indziej, innym ludziom. Przyjdzie do niego w swoim czasie. Miał dwadzieścia sześć lat i nie czuł do siebie przesadnej antypatii. Jeśli w ogóle, to niewielką i tylko chwilami. Czasem, kiedy nikt go nie mógł usłyszeć, po skończonych lekcjach siadał przy swoim biurku i pozwalał, by z jego krtani wyrwały się ostre, krótkie pojękiwania. Dawał w ten sposób wyraz ubolewaniu nad tymi wszystkimi spotkaniami, nad pozornymi zwycięstwami, potencjalnym upokorzeniem, które zdawały się nieustannie wyrastać z jego roli nauczyciela tych uczniów, a właściwie o wiele bardziej skomplikowanej i bardziej prawdziwej roli ich sługi. Will czasami wracał myślami do tamtego wieczoru sprzed lat, kiedy spojrzał prosto w rozszoszczoną twarz ojca przeżywającego miarowo jedzenie i powiedział: „Zamierzam zostać nauczycielem”. Zrobił to po części z ciekawości, jaka będzie reakcja ojca, po części, by rozwiać jego oczekiwania. Potem jednak ciągle myślał o jego kipiącym oburzeniem pytaniu: „To musisz iść na Harvard, żeby uczyć małe czarnuchy?” Plama sosu na brodzie ojca, stonowany martwy błękit tapety w jadalni. Kiedy Will podróżował po kraju, podejmując pracę kelnera czy chłopaka na posyłki – przygotowywał się do tego, by pozostawić za sobą dzieciństwo i rozpocząć życie zawodowe – uświadomił sobie, że jego dawne plany związane z architekturą zacierają się, i stopniowo nabierał przekonania, z pewnym ekscytującym i przyjemnym poczuciem bezradności, że zostanie nauczycielem.

Uczył więc w piątej klasie na Beacon Hill, za szesnaście tysięcy rocznie. Widywał się z przyjaciółmi, jadał niedrogie kolacje na mieście i oglądał francuskie albo włoskie filmy. Spacerował, czytał, kupował ubrania w sklepach z przeceną. Wypatrywał miłości.

Tego mężczyznę poznał pewnego zwykłego dnia wieczorem. Spotkał go w barze w centrum miasta, gdzie podstarzali mężczyźni oferowali drinki i porcelanowe uśmiechy, silne opiekuńcze ramiona i ojcowską zaborczość młodym chłopaczkom, którzy właśnie przyjechali do miasta. Will zachodził do tego baru dla jego osobliwości. Niczego nie oczekiwał. Wypijał jedno lub dwa piwa, rozmawiał z tymi starszymi facetami. Lubił ich. Myślał o nich jak o duchach bohaterów, którzy odeszli do krainy cieni. Oni pochodzili z innej epoki. Swoje najlepsze lata spędzili przyczajeni w publicznych toaletach, na niestrudżonym poszukiwaniu odosobnionych zakątków w miejskich parkach. Teraz byli niczym uchodźcy, którzy dotarli do krainy obfitości. Jeśli ich twarze przybierały wygłodniały wyraz, gdy próbowali upolować jakiegoś chłopczyka, który dopiero co przyjechał z Worcester czy Fall River, Will mógł im to wybaczyć. Byli jego wujkami, kiedyś zostali niecnie wykorzystani. Mogli opowiedzieć historie, którym trudno dać wiarę.

Ten mężczyzna stał w pobliżu drzwi i popijał piwo. Stał w kręgu światła padającego z grającej szafy, jakby nie było nic nadzwyczajnego w tym, że jest wysoki, przystojny, ma jasną cerę, silnie zarysowaną szczękę i ramiona szerokie niczym skrzydła zimowego pług. Wyglądał zbyt atrakcyjnie jak na to miejsce. Nawet wujkowie czuli przed nim respekt. Mogli sobie dać radę z jakimś nerwowym chłopcem z niewielkiego, podupadającego miasta

włókienniczego. Mogli z drwiną i natarczywością nagabywać chudego, pozornie pewnego siebie dzieciaka, ponieważ wiedzieli, co się dzieje w jego duszy. Znali strach lepiej niż ktokolwiek inny. Zmierzyli się z nim i wyszli z tego zwycięsko. Ożenili się bez miłości, byli bici przez kryminalistów i przez policję, pluli własnymi zębami na chodnik. Teraz wujkowie siedzieli śmiało na barowych stołkach, zadbani i wyperfumowani, zamożni, zwracając się łagodnym głosem do bardziej uprzywilejowanych, którzy dziś byli tacy jak oni dwadzieścia czy trzydzieści lat temu. Odznaczali się tym pogodnym, obojętnym sposobem bycia młodocianych cesarzy, którzy dorosli. Lecz ten mężczyzna był zbyt doskonały. Nikt do niego nie podchodził.

Will oparty o bar rozmawiał ze znajomym o imieniu Rockwell. Wyglądał on jak sobowtór senatora Everetta Dirksena. W kłapie marynarki miał tulipana wyhodowanego w szklarni.

– To musi być jakaś pomyłka – powiedział, popijając daiquiri i wskazując głową w kierunku mężczyzny. – Pewnie jego skrzydła strawił ogień i spadł na Washington Street. Wiesz, to się czasami zdarza. Oni fruują zbyt blisko słońca.

– Nie sądzę, żeby on był prawdziwy – stwierdził Will. – Myślę, że jest halucynacją, której wszyscy ulegliśmy. To przykład zbiorowej histerii. Wystarczy zgromadzić w jednym miejscu odpowiednią liczbę gejów i może nastąpić, w pewnym sensie, połączenie ich marzeń.

– Och, Willy, on nie jest żadnym urojeniem. Jest prawdziwy i właśnie wyruszył na łowy. Dzisiejszego wieczoru wyszedł na poszukiwanie, możesz mi wierzyć.

– Na poszukiwanie miłości – dodał Will. – Miłość miłość miłość miłość miłość. Czego poza nią można szukać?

– Wielu rzeczy – powiedział Rockwell i zanucił: „Most gentlemen don’t like love, they just like to kick it around”⁴. Cole Porter, mędrzec naszego stulecia.

– Sam nie wiem – zamyślił się Will. – Obawiamy się miłości, nie sądzisz? Mówimy, że pragniemy tego, po co możemy sięgnąć. Jeśli nadarza się okazja, by dać się przelecieć, twierdzimy, że właśnie o to nam chodziło. Ale tak naprawdę każdy chce się zakochać. Nie uważasz?

– Bardzo przyjemny pogląd na ludzką naturę. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby on sobie poszedł. Jego obecność działa mi na nerwy. Czego on właściwie tutaj szuka? Moim zdaniem wyłącznie podziwu. Cioty wielbicielki. Założę się z tobą o drinka, że tamten odwiedzi dziś wieczorem kilka barów, do nikogo nie otworzy ust, a potem wróci do domu i podjara się przed lustrem.

– Kto wie? – powiedział Will. – Myślisz, że to w porządku oceniać kogoś w ten sposób, tylko dlatego że jest przystojny?

– Od niepamiętnych czasów stare wiedźmy wydają surowe wyroki w sprawie ładnych, młodych istot. Ci spośród nas, którzy sami kiedyś byli ładnymi, młodymi istotami, zazwyczaj mają rację.

– Być może przyszedł tutaj, licząc, że kogoś pozna. Niby dlaczego nie?

– Może się zdarzyć, że księżna Windsoru będzie chodzić po Woolworth, mając nadzieję, że znajdzie coś dla siebie, ale bardzo prawdopodobne, że będzie miała jakiś ukryty powód – odpowiedział Rockwell. – Ile ty masz lat, Willy? Czy nie nadszedł już czas, byś porzucił swój młodzieńczy idealizm? W pewnym wieku nie jest już stosowny.

– Jaką dostanę nagrodę, jeśli podejść do niego i z nim porozmawiam?

– Mój dozgonny szacunek.

– Jeśli się okaże, że to równy i porządny gość, będziesz mi stawiał drinki do końca miesiąca. Co ty na to?

– Dobra. Idź. Zдай później relację.

⁴ „Większość mężczyzn nie przepada za miłością, lubi się nią tylko zabawiać”.

Will wziął swoje piwo i bez wahania podszedł do nieznanego. To był jedyny sposób. Odwagą natchnął go Rockwell. Poczł się pewniej na samą myśl, że będzie postrzegany jako gotowy na wszystko i śmiały.

– Przepraszam, ale chciałbym o coś zapytać. Co ty tutaj robisz? – zwrócił się do przystojnego mężczyzny.

– Słucham?

Nieznajomy miał szczerą, spokojną twarz o wyrazistych rysach. Był w wieku Willa, może trochę starszy.

– Ten bar jest we władaniu smutnych starych ciot – wyjaśnił Will. – Przykro mi, ale muszę cię poprosić, żebyś go opuścił.

– przecież nie jesteś starą ciotą. – Mężczyzna podniósł do ust butelkę z piwem. Plama odbijającego się w niej światła przesunęła się wzdłuż jej szyjki.

– Mam tutaj specjalną przepustkę. Nazywam się Will.

– Matt – przedstawił się mężczyzna. Uścisnęli sobie ręce. Matt miał na sobie białą frakową koszulę i jasnoniebieskie spodnie ze sztruksu, zbyt mocno pachniał wodą kolońską. Jego włosy, wzburzone ciemnoblonde loki, sięgały do kołnierzyka.

– Twoja obecność działa na wszystkich przynębiająco – szepnął Will konspiracyjnie. – Jesteś zbyt przystojny jak na to miejsce. Przy tobie cała reszta czuje, że wygląda tak, jak naprawdę wygląda.

– Chyba rzeczywiście powinienem sobie pójść – powiedział Matt.

Will trochę się zaniepokoił. Czyżby ten mężczyzna dał się tak łatwo zrazić? Znał dobrze swoje możliwości, zdawał sobie sprawę z tego, że kiedy jest zdenerwowany, potrafi być nadmiernie wygadany, zbyt elokwentny, ale wiedział też, że poniekąd chce, żeby ten Matt stąd zniknął. Był zbyt perfekcyjnie ukształtowany, za bardzo szczęśliwy. Swoboda, z jaką obnosił swoją urodę, zawisła niezręcznie w stęchłym powietrzu tego miejsca.

– Nie – powiedział Will. – Ja tylko żartowałem, staram się, no wiesz, być bystry.

– I tak już ledwie się trzymam na nogach – stwierdził Matt. – Muszę wstać wcześniej rano.

– Ach tak.

Matt ziewnął, by zmanifestować zmęczenie. Nitka przezroczystej śliny rozciągnęła mu się między górnymi a dolnymi zębami.

– Właściwie ja też muszę wstać bardzo wcześniej – przypomniał sobie Will. – Od rana mam lekcje. Wpadłem tylko na chwilę, żeby napić się piwa z ciotkami i wujkami.

– Jesteś nauczycielem? – zapytał Matt.

– Tak.

– Niedawno skończyłem studia.

– Naprawdę?

– Tak. Dostałem dyplom na wydziale pedagogicznym. Na Harvardzie.

– No tak. Ktoś musi się tym zajmować.

– Właśnie – powiedział Matt. – No, na mnie już czas.

– W porządku.

Nastąpiła chwila niepewności, trudna do uchwycenia zmiana. Will i Matt spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami, tak jakby jeden z nich opowiedział dowcip.

– Miałbyś ochotę wpaść do mnie na jeszcze jedno piwo? – zapytał Matt.

Will mrugnął kilkakrotnie. Matt jednak jest przywidzeniem, nie może być inaczej. Wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, by taki mężczyzna, o mocno zarysowanej szczęce, dobrze zbudowany, mężczyzna z jego marzeń, zaprosił go do siebie. W świetle Willa takie rzeczy się nie zdarzały.

– Dlaczego nie – odpowiedział. – Jasne.

– No to chodźmy.

Wzięli swoje płaszcze. Kiedy wychodzili z baru, Will obejrzał się na Rockwella, który uniósł szklaneczkę z daiquiri. Will wyobraził go sobie, jak stoi na nabrzeżu w porcie, wśród rodziców i opuszczonych ukochanych, i patrzy na odpływający statek. Rockwell był kiedyś przystojny, żył w gąszczu możliwości. Widząc go teraz, Will pomyślał o tej zwykłej samotności, która czekała każdego. Niewielka torba z zakupami spożywczymi, długa droga po schodach. Potem wyszedł z baru za Mattem.

Powietrze skrzyło się delikatną mgiełką mrozu. Matt przywołał taksówkę i ich rozmowa się urwała. Podał kierowcy adres w Cambridge, oddalony mniej więcej o sześć przecznic od domu, w którym mieszkał Will, kiedy studiował na Harvardzie, usadowił się na tylnym siedzeniu obok Willa i zamknął się w sobie. Will zadał mu kilka zwykłych pytań o szkołę, skąd pochodzi, Matt jednak odpowiadał półsłówkami i patrzył na miasto migające za oknem. Will, by się uspokoić, zaczął się przyglądać nowemu znajomemu pod kątem ludzkich niedoskonałości. Miał niestaranie obcięte paznokcie. Używał taniej i przeciętnej wody kolońskiej (Will znał tę markę). Z pewnością miał marzenia, a za sobą skrywane przed światem rozczarowania, które stały się jego udziałem mimo urody i imponującej męskiej sylwetki. Kiedyś, jako dziecko, płakał ze złości.

Matt mieszkał w brązowym wieżowcu z cegły, jednym z tych, które kiedyś Will mijał po drodze, czując ciarki na plecach i zastanawiając się, kto mógłby chcieć zamieszkać w takim miejscu. Milczenie trwało również wtedy, gdy Will wchodził za Mattem do holu, a potem do windy. Jej ostre światło w najmniejszym stopniu nie ujęło Mattowi urody, ale jego twarz, w swoim niewzruszonym spokoju, nie sprawiała już wrażenia szczerzej i sympatycznej, jak w barze i taksówce. W jednej chwili Will się zorientował, że nie potrafi sobie wyobrazić, jak mógłby go pocałować. To minie, zaczął sobie powtarzać w myślach. Niezależnie od tego, co się wydarzy, już wkrótce będę znów szedł ulicą, wrócę do swojego życia. Myślał o tym, co zje po powrocie do domu. W domu miał banany, chociaż za bardzo dojrzałe. Zostało jeszcze trochę chińszczyzny.

W mieszkaniu Matta znajdowały się tylko stopy kartonowych pudeł i fotel. Nagie ściany oślepiały swą bielą w jaskrawym świetle żyrandola w kształcie kuli. W pokoju nie było nawet skrawka cienia. Na jednym z pudeł ktoś napisał równym pismem słowo „Płyty”.

– Wyprowadzam się – wyjaśnił Matt. – Pojutrze wyjeżdżam do Waszyngtonu.

– No proszę. Szczęśliwej podróży.

– Chcesz piwo? – zapytał Matt.

– Tak. Dziękuję.

Matt wyszedł do kuchni i powrócił z dwoma butelkami piwa. Oświetlenie było jednostajne i pozbawione koloru jak bieżąca woda z kranu. Wejść w to, w myślach nakazał sobie Will, zrób to, bez względu na wszystko, a potem wynoś się stąd. Lecz atmosfera nie sprzyjała jego planom. Ten pokój nawet w najmniejszym stopniu nie zachęcał do seksu. Will miał wrażenie, że żarówki eksplodują oślepiającym światłem prosto w twarz. On i Matt stali obok siebie, popijając piwo. Will poczuł się zagubiony w swoim ubraniu. Buty wydawały mu się ogromne. Przyszło mu na myśl, że źle się zrozumieli. Matt dziwnym trafem się nie zorientował, że wszedł do baru dla gejów. Zwyczajnie zaprosił Willa do siebie, by jak dobrzy kumple wypili razem piwo, zanim zostawi za sobą swoje dotychczasowe życie i rozpocznie nowe. Ta myśl wydała się Willowi prawdopodobna; gdyby tak było, nie musiałby ryzykować zbliżenia z kimś tak mu obcym i doskonale zbudowanym.

– Jaką pracę dostałeś? – zapytał Will.

– Nie mogę ci podać nazwiska mojego szefa. Powiem tylko, że on zajmuje wysokie stanowisko w rządzie, a ja będę jego osobistym asystentem. To świetna praca. Miałem szczęście.

– Wspaniale. Gratulacje.

– Dzięki.

Wypili do końca piwo. Matt obrócił w rękę butelkę i powiedział:

– Nie mam w tym zbyt dużego doświadczenia. Ta sytuacja jest dla mnie raczej nowa.

– Czyli niejako dopiero teraz się ujawniasz? – zapytał Will.

Matt wzruszył ramionami, uniósł butelkę, którą trzymał w dłoni. Willowi wydało się, że zrozumiał. A więc stąd ta niezręczność i skrępowanie. Teraz wszystko okazało się jasne, układało się w logiczną całość. Matt był nowy. Przyszedł do tego baru, ponieważ nie wiedział, do którego powinien pójść – prawdopodobnie kiedyś oblała mu się o uszy jego nazwa. Strach od dawna mieszkał w tym doskonałym ciele. Wreszcie, po latach oszukiwania się, Matt, zanim pozostawi dotychczasowe życie i rozpocznie nowe, zamierza pozwolić ujawnić się swoim pragnieniom. Will poczuł, jak wzbiera w nim tkliwość i wzruszenie.

– Nie jest to takie łatwe, prawda? – zapytał. – Na początku cholernie się denerwowałem.

Matt pociągnął długi łyk z pustej butelki. Nie jest najgorzej, pomyślał Will. Zrobił krok do przodu i objął szerokie ramiona Matta. Z tej odległości czuł zapach jego potu zmieszany z duszącą wonią wody kolońskiej. Przyszło mu na myśl, że koło samo się właśnie zamyka. Teraz on okaże cierpliwość i hojność, by pomóc innemu mężczyźnie zaakceptować siebie.

– Nie ma się czego obawiać – powiedział. – W tym nie ma nic złego. Odpręż się. Wszystkim się zajmę.

– Dobrze – powiedział Matt, a jego głos nieoczekiwanie przybrał ostry ton. Mógł dostać to, co mu się jak najbardziej należało po długich i gorzkich zmaganiach.

– Masz jeszcze łóżko? – zapytał Will. – Czy pojechało już do Waszyngtonu?

– Jest tam.

Matt zaprowadził Willa do sąsiedniego pokoju i nacisnął włącznik. Rozbłysło takie samo jaskrawe światło. Stało tu niepościelone podwójne łóżko i kolejne kartonowe pudła.

– Świetnie – powiedział Will. – Chciałem powiedzieć... dobrze, że łóżko jest wciąż tutaj.

– Rozbierzesz mnie? – zapytał Matt.

– A chcesz, żebym to zrobił?

– To ja zadałem ci pytanie.

– Tak. Rozbiorę.

Matt stał pośrodku pokoju i pozwolił zdjąć z siebie ubranie. Will rozpiął mu koszulę i zsunął z ramion, polecił usiąść na łóżku, by rozebrać go z butów i skarpetek.

– Lubisz to? Lubisz rozbierać facetów? – zapytał Matt.

– Lubię.

Coś było nie tak. Matt nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego. Miał pogardliwy i zacięty wyraz twarzy. W jego głosie brzmiała ironiczna nuta.

– Tak myślałem.

Will powtarzał sobie w duchu, że ma postępować łagodnie. Różni mężczyźni na rozmaite sposoby radzili sobie z własnym strachem. Najważniejsza była łagodność, należało postępować z pełną wyrozumiałością, zaopiekować się. Zdjął Mattowi buty i skarpetki, poprosił go, by wstał. Matt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ty rzeczywiście to lubisz.

– Jasne, że tak – powiedział Will. – Czego tu można nie lubić?

Odpiął pasek, zsunął Mattowi spodnie do kostek, a potem bokserki. Matt, uśmiechając się, wyjął stopy ze spodni. Jego członek był w stanie lekkiego wzwodu. Medalion złocistych włosów na piersi zwięźlał się ku dołowi, przechodząc w postrzępioną linię, która biegła do krocza. Will zauważył, że członek Matta jest mniejszy niż jego.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – zapytał Matt.

– Teraz ja się rozbiorę – powiedział Will. Pośpiesznie zdjął ubranie, zawstydzony własnym wychudzonym ciałem, ale dumny ze swego członka. – Gotowe – powiedział, kiedy i on był nagi.

Obaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie.

– A teraz co zamierzasz zrobić? – zapytał Matt.

– Zamierzam położyć cię na łóżku.

Will miał nadzieję, że udało mu się nadać swemu głosowi władczy, a nie pytający ton. Mimo usilnych starań, by postępować łagodnie i po ojcowsku, nie mógł się pozbyć wrażenia, że to jest jakiś test, który może zaliczyć lub nie.

– Sam się położę – powiedział spokojnie Matt.

Ułożył się w wygodnej pozycji w poprzek materaca, z rękoma splecionymi za głową. Spod pach sterczały mu ciemnozłociste włosy. Will poczuł gwałtowny przypływ gniewu. Ten mężczyzna był zbyt pewny siebie, za bardzo przekonany, że mu się to wszystko należy.

– Nie ruszaj się – powiedział Will. – Zostań tam, gdzie jesteś.

Uklęknął na łóżku, obejmując uda Matta swoimi. Miał świadomość, że w tym osłepiającym świetle wygląda blado i chudo. Nie przeszkadzało mu to jednak. Przystąpił do działania. Dotknął językiem białych sutków Matta, ugryzł je delikatnie, wolno przesuwając usta w dół, wzdłuż jego brzucha. Podążał śladem włosów układających się w jodełkę. Czuł zapach wody kolońskiej Matta, słabą, ale ostrą woń jego ciała, przypominającą charakterystyczny zapach żelaza w mroźny dzień. Will otoczył ustami członka Matta. Był mały i prosty, główka ciemnoróżowa, trzonek także różowy, ale w jaśniejszym odcieniu. Całował jego uda, lizał mosznę, wargami delikatnie pociągał włosy łonowe. Kiedy Matt zaczął pomrukiwać, Will gryzł go w uda, a potem wsunął język pod jądra. Wyobraził sobie, że jego język to płomień, a ciało Matta to czajnik pełen wody, która za chwilę zacznie wrzeć. Jeszcze trochę. I znowu, o tak. Płomień zamierza dotrzeć wszędzie. Wkrótce będziesz kipiał. Biodra Matta zaczęły się poruszać, a wtedy Will delikatnie dotknął ustami jego członka.

– Aj – wykrzyknął Matt i Will cofnął usta.

Cierp, pomyślał, chciej tego.

– Przewróć się na brzuch – powiedział.

– Dobrze mi tak jak teraz – powiedział Matt. Jego głos brzmiał już łagodniej.

– Przewróć się. Rób, co ci mówię.

Ku jego zaskoczeniu Matt posłuchał. Ukazały się złociste mięśnie jego pleców, wyrostki kręgosłupa i pośladki, urocze i niewinne. Willowi zaschło w gardle na ten widok. Uwielbiał męskie pośladki. Były delikatną, jak gdyby dziecięcą częścią ciała. Kiedy patrzyło się na nagie pośladki mężczyzny, widziało się, że ten wielki, hałaśliwy i agresywny typ, złożony wyłącznie z mięśni, bezczelny i pewny siebie, był kiedyś mały i przerażony.

Will lizał wewnętrzną stronę kolana Matta i zaczął powoli przesuwając usta w górę uda. Matt znów jęknął. Jego biodra kołysały się. Will dotarł do biodra i zaczął wodzić językiem w miejscu, gdzie udo łączyło się z pośladkiem. Nie mógł uwierzyć, że ma władzę nad tym potężnym ciałem. Przesuwał się w górę, aż po wzgórek prawego pośladka Matta, ugryzł go nieco mocniej, niż zamierzał, ale Matt nie zareagował. Will ugryzł go w pośladek i poczuł się silniejszy, większy, jak nigdy dotąd. Był kanibalem, który schwycił najemnika. Duży biały człowiek, przybywający ze świata, którym rządzą pieniądze i broń, był tutaj niczym więcej jak pożywieniem, zwykłą kolacją. Will wsunął język w zagłębienie między pośladkami. Poczuł kwaśny, ludzki zapach, co wywołało w nim nową falę pożądania i wzburzenia. Nie myślał o własnej przyjemności. Musiał pożreć Matta. Musiał zdobyć władzę nad jego ciałem, tak żeby tamten już nigdy nie zachowywał się wyniośle, już nigdy nie był tyranem. Will przesuwając językiem we wgłębieniu między pośladkami Matta, wsunął jego czubek w odbył. Tak, biały człowieku, przemytniku broni, nie ma nic, czego bym nie zjadł. Twoje karabiny nie są w stanie dorównać językowi i zębom w obliczu prawdziwego głodu. Zjadam je, wszystkie twoje reguły. Twoje bezczelne docinki. Zjadam cię. Teraz.

– Auuu – wykrzyknął Matt. – Och, Boże.

– Przewróć się z powrotem na plecy – rozkazał Will.

Matt posłusznie wykonał polecenie. Jego członek był nabrzmiąły z podniecenia. Will polizał różowy miękki koniuszek. Matt teraz dyszał, jego oddech stał się krótki, urywany jak u sprintera. Przy każdym wydechu z ust wyrывał mu się jęk, niski, błagalny pomruk.

Will wziął w usta jego członek– Teraz jem najbardziej prawdziwą część ciebie. Teraz zostajesz przeze mnie wchłonięty i już nigdy nie odzyskasz siebie. Zjadam cię i część ciebie pozostanie we mnie na zawsze. Cały członek Matta znalazł się w ustach Willa, który zaczął przesuwając ustami w górę i w dół, nie za szybko. Drażnił palcami jego jądra, wkładał mu w odbył palec i delikatnie nim poruszał.

Matt doszedł, wydając z siebie cichy krzyk, wysoki dźwięk, który zaskoczył Willa. Uda Matta zacisnęły się wokół głowy Willa, który zatopił się w jego ciele, z zablokowanymi uszami i ustami pełnymi jego spermy.

Chwilę później było po wszystkim. Uda Matta rozluźniły się i Will wypuścił z ust jego członek.

– Uff – westchnął Matt. Pociągnął dwa razy swój członek, palcami dotknął do nosa.

Will uśmiechnął się. Czekał, co się wydarzy. Matt ziewnął.

– A więc, to wszystko – powiedział. – Na tym polega całe przedstawienie.

– Dopiero pierwszy akt – oznajmił Will. – Dobrze się czujesz?

– W porządku, chłopie. Czuję się doskonale. No, późno już. Muszę się położyć.

Will nie był pewien, co tamten chciał przez to powiedzieć. Czyżby się spodziewał, że spędzą razem noc?

– Tak, rzeczywiście jest dość późno.

Wciąż kręciło mu się w głowie od seksu, od własnego podniecenia. Chciał pocieszyć Matta, usłyszeć słowa uznania za swoje umiejętności i pragnął, by jego sperma rozlała się na twardym, umięśnionym brzuchu tamtego.

– Jutro jest mój wielki dzień – powiedział Matt. – Lepiej, żebyś już sobie poszedł.

– Racja – przyznał Will.

Twarz mu poczerwieniała, ale nie mógł się przemóc, by domagać się odwzajemnienia. Nie potrafił się do tego stopnia poniżyć. Wstał i zaczął wkładać ubranie. Kiedy się ubierał, Matt powiedział:

– Chyba nie zdążyłem ci o tym wspomnieć. Żenię się.

– Moje gratulacje. Nie widziałeś gdzieś mojego lewego buta?

– A ty, myślisz czasami o małżeństwie?

– Nie, nigdy.

– Powinieneś. Jesteś dobrym chłopakiem. Mógłbyś sobie znaleźć naprawdę miłą dziewczynę.

– To nie jest to, czego chcę – odpowiedział Will.

– A czego chcesz? Zrobić karierę na tym?

– Na czym?

– Tym. – Wykonał ręką gest, którym objął cały ten pusty pokój i ich obu. – Pedalskim biznesie.

– Ja lubię pedalski biznes.

Matt potrząsnął głową.

– Chcesz zobaczyć zdjęcie mojej przyszłej żony? – zapytał.

– Niekoniecznie.

Matt podniósł się z łóżka i przeszedł nagi do drugiego pokoju. Wrócił z fotografią oprawioną w srebrną ramkę. Z jego zwiotczalego członka ściekała strużka spermy.

– To ona – powiedział. Pokazał Willowi zdjęcie przyjemnej blondynki, o czarnej trójkątnej twarzy, ze sznurem pereł na szyi. – Ładna, prawda?

– Bardzo ładna. Muszę już iść.

Matt stał, trzymając w rękach fotografię. Twarz miał zarumienioną, błyszczące oczy.

– Chcę ci coś powiedzieć.

– Co takiego? – zainteresował się Will.

– Zrobiłem to, żeby sprawdzić, czy mi się spodoba. Jeśli facet ma za chwilę złożyć przysięgę na całe życie, wydaje mi się naturalne, że trochę się interesuje tym i owym. I wiesz co? Zrobiło mi się niedobrze. Rzygać mi się chce na to pedałstwo.

– Przykro mi, że tak się poczułeś – powiedział Will. – Dobrej nocy.

– Właściwie, w pewnym sensie powinienem być ci wdzięczny. Za to, że teraz mam już pewność, kim jestem.

– Nie ma o czym mówić.

Will wyszedł z pokoju. Kiedy odnalazł klamkę i nacisnął ją, drzwi wejściowe ustąpiły.

– Dobranoc, pedziu – zawołał za nim Matt.

Po powrocie do domu Will wziął prysznic, puszczając tak gorącą wodę, jaką tylko mógł wytrzymać. Nalał sobie kieliszek bourbona i położył się do łóżka. Później, kiedy opowiedział tę historię swoim przyjaciołom, zgodnie przyznali, że takie rzeczy się zdarzają. Czasami trafia się na świra. Dennis, jego przyjaciel, opowiedział mu o pewnym schludnie ubranym, cicho mówiącym facecie, który przez dwa dni trzymał go przykutego kajdankami do łóżka. Wydawał się przekonany, że wszystkie protesty Dennisa stanowiły wyrafinowane oznaki przyjemności, jakiej doznawał. Rockwell przytoczył kilka opowieści o bardziej zwyczajnych upokorzeniach jakie go spotkały w zajazdach dla kierowców ciężarówek, w parkach, w męskiej toalecie w British Museum. Każdy gej mógł opowiedzieć niejedną podobną historię. Okradano ich, bito, porzucano nago na autostradzie w New Jersey. To były zwykłe rzeczy. Takie przypadki się zdarzały. Krążyły potem jako anegdoty, jak wojenne opowieści, a kiedy przechodziły do historii, ich bohaterowie zyskiwali rozgłos. Matt Nazistowski Anioł, jak nazwał go Rockwell, był tylko epizodem w sztuce o namiętności.

– Wyobraź sobie tego biednego sukinsyna ożenionego z miłą, głupiutką dziewczyną i pomyśl, jak wymyka się ukradkiem do barów i kina – zwrócił się do Willa. – Możesz mi wierzyć, widziałem to już setki razy. Tacy jak on stają się paskudni wtedy, gdy się ich uderzy w czułe miejsce. Uczcijmy minutą ciszy los tego żałosnego fagasa i niech życie toczy się dalej.

Will wierzył słowom Rockwella. Wspomnienie Matta jednak nie opuszczało go. Intrygowały go spokój i pogardliwe zachowanie tego mężczyzny, sposób, w jaki stał w oślepiającym białym świetle żarówki, trzymając w rękach fotografię tej dziewczyny. Will wyobraził sobie Matta, jak – opanowany i zdecydowany z wydatną, silnie zarysowaną szczęką – wkracza pewnie, w garniturze, w ciszę rządowego budynku, i ogarnął go strach piekący jak lodowato zimna woda.

To nie był romans. Słowo „romans” nie jest właściwym określeniem na to, co się zdarzyło w życiu Susan. A zatem, co to było? Błąd, który świadomie popełniła. Pokusa, której czasami nie potrafiła lub nie chciała się oprzeć. Kiedy myślała o kobiecie uwikłanej w romans, wyobrażała sobie hotelowe pokoje wypełnione płaczem, pasmo tęsknot i żalów. W jej wypadku to był seks i coś jeszcze, swego rodzaju przywiązanie, które – o dziwo – przypominało jej przyjaźnię z czasów dzieciństwa. Romanse były zaplanowane, żyły dzięki męczącym systemom spotkań. Natomiast ona i Joel uprawiali seks, kiedy mieli na to ochotę i gdy pozwalały na to okoliczności. On był chirurgiem drzew. Susan wiedziała, że ich relacje można by obrócić w niewybredny żart, ale sama nie potrafiła sobie wyobrazić, jaki miałyby on być.

Mieszkali z Toddem w swoim domu w Connecticut od niespełna trzech miesięcy, kiedy pewnego dnia Joel przyjechał do starego wiązu, który jako jedyny w okolicy znanej kiedyś ze swych drzew cudem przetrwał epidemię grafiozy. Kiedy Todd i Susan kupili ten dom, dowiedzieli się, że zostali niejako uznani za strażników skarbu, pomnika przyrody. Sąsiedzi poradzili im – a właściwie przykazali – by, tak jak poprzedni właściciel, wzywali co sześć miesięcy Joela, który miał sprawdzać zdumiewająco dobry stan tego drzewa. Dla miasteczka Darien było ono symbolem ocalenia, przyszłości, której nic nie może całkowicie unicestwić, nawet bezgraniczna zachłanność choroby. Susan chciała sumiennie wywiązać się z nałożonego na nią obowiązku i zadzwoniła do niskiego i życzliwego mężczyzny około czterdziestki, który palił fajkę i roztaczał wokół siebie subtelną aurę uległości zmieszanej z zapachem tytoniu i drewna. Przypominał leśne stworzenie, czujne i zawsze gotowe, by zerwać się do ucieczki. Cechowała go typowa dla zwierząt ostrożność i dążenie do upatrzonego celu. Gdy przyszedł po raz pierwszy, obserwowała go, jak bez obawy wspina się po chromowanej, rozsuwanej drabinie, żeby odciąć martwą gałąź. Była pod wrażeniem, widząc, jak całkowicie pochłonęła go ta prosta czynność. Piłował gałąź szybkimi, delikatnymi pociągnięciami, a kiedy spadła, zszedł na ziemię i zaniósł ją do ciężarówki z taką czułością, jak gdyby to było zwierzątko, ulubieniec rodziny, które niestety jest już martwe. Miał czarne włosy przycięte krótko przy skórze, a na sobie żółte buty robocze i zieloną marynarkę w kratę. Jego postać wydawała się Susan romantyczna. Mężczyzna silnie zbudowany, kompetentny, który robił to, czym chciał się zajmować, i który, jak przypuszczała, mógłby zaprowadzić ją do lasu i nazwać bezbłędnie każdą napotkaną roślinę czy stworzenie. Joel miał zwyczaj pogwizdywać przy pracy. Jeździł ciężarówką, na której jasnoniebieskimi literami było wymalowane jego nazwisko.

Po raz pierwszy zdarzyło się to podczas jego drugiej wizyty. Zbadał drzewo i przyszedł do domu po zapłatę. Susan zaproponowała mu filiżankę kawy, a on przyjął zaproszenie i stali w kuchni, rozmawiając o cudownym ocaleniu drzewa. Poruszyli tylko ten jeden temat.

– To bardzo dziwne – mówił swoim cichym, jednostajnym głosem. – Nie ma reguły, absolutnie żadnej reguły. Tornado może zrównać dom z ziemią, obrócić go w ruinę, a pozostawić nietkniętą jedną ścianę z półką zastawioną porcelanowymi filiżankami... wszystkie całe, bez najmniejszego pęknięcia.

– Wydaje mi się, że takie rzeczy są dziełem opatrności – powiedziała.

Wzruszył ramionami, zakłopotany nawet najmniejszą aluzją do świata nadprzyrodzonego. Prawdopodobnie uznawał tylko to, co rzeczywiste. Kiedy zbierał się do wyjścia, Susan uściśliła mu rękę, a on spojrzał na nią pytająco swoimi łagodnymi oczami dzikiego zwierzątka. Nie narzucał się. Wystarczyło spuścić wzrok i cofnąć rękę. Ale zawahała się chwilę, a wtedy on delikatnie i powoli przyciągnął ją do siebie. Był od niej wyższy zaledwie o

dwa, najwyżej trzy centymetry. Wiedział, że nie powinien całować jej w usta. Pocałował w policzek tak delikatnie, że ten pocałunek wydawał się jej niemal zupełnie niewinny. Następnie pocałował ją w czoło i we włosy. Gdyby próbował się do niej zalecać, odtrąciłaby go. Gdyby był agresywny, gdyby chwycił ją i przyparł do ściany, odprawiłaby go i zadzwoniła do Todda. To, co się stało, było w ogóle możliwe dlatego, że on okazywał jej zwykłą i nieco przepaszającą życzliwość. Zdawał się dawać jej do zrozumienia, że seks jest oczywistą i właściwą rzeczą, że dwoje ludzi w sposób naturalny robiłoby to samo co oni w takiej sytuacji. Poddawała się więc biegowi zdarzeń, tak jak podporządkowała się, gdyby w rozmowie ktoś starszy i bardziej od niej wykształcony nieoczekiwanie zmienił temat. Stali objęci w holu i on powiedział szeptem:

– Może wejdziemy na górę, co ty na to?

Zawahała się. Mogła to powiedzieć tylko w jeden sposób.

– Nie stosuję antykoncepcji. Nawet nic nie mam w domu.

– Nie szkodzi. Nic nie szkodzi – odpowiedział. – Nie będzie nam to potrzebne.

Ponownie zamilkła. W jej umyśle zatrzymywały się poszczególne elementy otoczenia, wieszak z giętego drewna, tapeta w pasy. Skinęła głową. Kiedy wchodzili po schodach, miała wrażenie, że ani nie idzie przed nim, ani za nim. Jego ręka przesuwiała się wzdłuż jej talii, jednak nie popychała jej do przodu. Wydawało się, że zależy mu wyłącznie na tym, by utrzymać z nią fizyczny kontakt, ponieważ gdyby został przerwany, byłoby to równoznaczne z zaprzeczeniem wszystkich celów, jakie oboje mieli. Była podekscytowana i zdenerwowana, jednak pewnym krokiem pokonała korytarz i weszła do pokoju gościnnego. Nie zaprowadziła go do sypialni, którą dzieliła z Toddem. Kiedy stała z nim na dywaniku wśród przypadkowych mebli – pokój gościnny pełnił funkcję podręcznego składu niepotrzebnych rzeczy – przyszło jej na myśl, że ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat i jest właścicielką, współwłaścicielką domu w stylu kolonialnym, z trzema sypialniami, stojącego na parceli o powierzchni czterech tysięcy metrów kwadratowych, prawdopodobnie bardziej okazałego niż ten, w którym mieszka Joel. Była panią domu i dobrowolnym uczestnikiem wydarzeń. Pozwoliła, by rozpiął jej bluzkę. Przez cały czas zachowywała jasność myśli. Miała pełną świadomość tego, co się dzieje. Jeśli kiedykolwiek myślała o podobnej sytuacji, wyobrażała sobie ją jako kolejny etap alkoholowego szaleństwa i rozbudzonych namiętności. Teraz jednak obserwowała, z niemal chłodnym opanowaniem, jak on zdejmuje jej ubranie, a potem sam się rozbiera. Nie była ani dumna ze swego ciała, ani nim zawstydzona. Jej ciało było faktem, równie oczywistym jak rosnący przed domem wąż, miało ten sam niekwestionowany przywilej. Ciało Joela było jędrne, skąpo owłosione i nie tak muskularne, jak sobie wyobrażała. Spojrzała z zaciekawieniem na jego penisa – inne, poza penisem Todda, męskie organy widywała tylko na zdjęciach. Joela był większy niż Todda, główka bardziej spłaszczona i bardziej czerwona. Wiedziała, że wielkość stanowi zaletę, ale nie to, żeby zrobił na niej wrażenie, nie myślała w ten sposób. Kochała penisa Todda, jego brązoworóżowy trzonek i delikatny lawendowy czubek. Joela sprawiał wrażenie naturalistycznego, był gęsto pokryty żyłkami, i na jego widok ogarnęło ją chwilowe zwątpienie. Pomyślała, że jego penis może być anomalią, wynaturzony i dotknięty chorobą. Może powinna zmienić zdanie, wyprosić Joela. Już miała to powiedzieć, ale ponownie wziął ją w ramiona, zasypał pocałunkami jej włosy i szyję. Zdecydowała, że pozwoli się temu wydarzyć. Będzie potem pamiętała, że w tej kwestii została podjęta świadoma decyzja.

Podprowadził ją do łóżka – starego podwójnego łoża jej rodziców – i odsunął przykrycie. Wzruszyły ją ciepło i delikatność tego gestu. Wsunęła się pod prześcieradła i poczuła jak dziewczynka z bajki porwana przez bestię o ogromnych łapach i pośladkach, bestię, która pożera innych, ale ją uwielbia. Kiedy wyobrażała sobie takie rzeczy, myślała o niebezpieczeństwie, chrapliwym oddechu napastnika i dźwięku rozdieranej tkaniny. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że może się to odbywać w sposób łagodny i delikatny.

Joel położył się obok niej, a ona dotknęła dłonią jego ramienia. Uśmiechnął się nieśmiało. Jego twarz nie była ani brzydka, ani ładna. Była zwyczajną twarzą o okrągłym nosie, pospolitych oczach i krzaczastych czarnych brwiach. Powiódł palcem wzdłuż jej ręki, pocieszająco dotknął łokcia, tak jak zrobiliby to przyjaciel. To się dzieje naprawdę, pomyślała, a więc tak to wygląda. Przesunął rękę w górę, w kierunku jej piersi i kiedy palcami musnął sutek, ułożył usta w literę „O”, jak gdyby również odczuwał przyjemność, która była dla niego zaskoczeniem. Czubkiem wskazującego palca zakreślił koło wokół jej sutka, potem przesunął palec pod pierś i delikatnie unióśł ją na dłoni.

– Mmm – szepnął.

Była podekscytowana, ale nie podniecona. Zaczynała przypuszczać, że będzie to miłe doznanie, ale odległe i bez znaczenia. To się odbędzie poza nią. Widziała siebie, jak z powrotem ścieli łóżko po jego wyjściu. Jej teoria prawdopodobnie była słuszna: w najlepszym wypadku seks jest miłym, ale drugorzędnym doświadczeniem i powszechnie się go przecenia. Ponieważ nie miało to większego znaczenia, ponieważ już wkrótce to się skończy i nie będzie miało żadnego wpływu na nic, pozwoliła swojej dłoni opaść na jego klatkę piersiową. Przebada go niczym pielęgniarka i pozna to, co znają inne kobiety, siłę i budowę męskich ciał. Chodziło wyłącznie o zwykłą ciekawość, w żadnym razie nie miało nic wspólnego z palącym pożądaniem. Wystarczał jej Todd. Czasami jednak zastanawiała się, w jakim stopniu jest podobny do innych mężczyzn, a w jakim się od nich różni. Próbowwała odgadnąć, co właściwie miały na myśli inne kobiety, kiedy mówiły, jacy są w łóżku ich mężczyźni. Pod warstewką tłuszczu piersi Joela były jędrne, podobnie jak uda Susan. Pośrodku wyrastała kępka niesfornych, kręconych włosów, otaczała jego sutki (bardziej wydłużone niż Todda, bardziej spiczaste i kobiece) i spływała w dół wzdłuż krzywizny brzucha. Z pewnością był bardzo atrakcyjny w wieku dwudziestu lat i kiedy o tym pomyślała, wyobraziła go sobie jako ucznia. Spokojny, pomyślała, atletyczny, ale nie typ bohatera, ani popularny, ani odrzucany, zrównoważony chłopiec, który lojalnie umawia się z tą samą dziewczyną (skromną, przeciętnej urody, śpiewającą w szkolnym chórze) i wkrótce potem ją poślubia. Obecnie jest już prawdopodobnie od co najmniej dwudziestu lat żonaty, a jego nawyk wierności z czasem zaniknął. Nachylił się nad nią, uśmiechając się, i ustami dotknął jej sutka, który odrobinę przypominał jego własne. Zrobiło jej się niedobrze i już miała odepchnąć jego twarz, ale miał aksamitne usta i całował jej sutki, nawet nie dotykając ich zębami. Potem musnął je językiem i przeszył ją pierwszy prawdziwy dreszcz, silne łaskoczące doznanie, które spowodowało, że gwałtownie wciągnęła powietrze. Nie spodziewała się tego. Przez chwilę lizał jej sutki, raz jeden, raz drugi, a ona odczuwała na przemian przyjemność i mdłości, tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką, a ojciec przytrzymywał ją i łaskotał. Nie potrafiła określić, czy sprawia jej to przyjemność czy nie. Uczucie mdłości przesunęło się od żołądka w kierunku gardła, a Joel, nie odrywając ust, zaczął przesuwac palce w dół brzucha, w kierunku jej krocza.

– Och – westchnęła, na tyle głośno, że sama poczuła się zaskoczona.

Palce Joela zaczęły poruszać się w jej włosach łonowych, wędrować wśród nich niczym pająk o pięciu odnóżach, wydawało się jej, że wiatr zaczął igrać między jej nogami. Spodobała jej się myśl, że jest dotykana przez wiatr, i kiedy przeczesywał jej włosy łonowe, zapragnęła, aby dotknął ją jeszcze niżej. A gdyby miał na tym poprzestać? Uniosła biodra, by wyjść naprzeciw jego palcom, a kiedy je cofnął, ogarnęła ją złość. Kimże on jest, ten spokojny przeciętny chłopiec, który osiągnął wiek średni? Co on sobie wyobraża, za kogo ją ma? Odchrząknęła. Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się, po czym zaczął całować, przesuwając się powoli w dół jej brzucha. Wydawał dziwne odgłosy, ciche pogwizdywanie i pomruki. Leżała bez ruchu, przypatrując się jego uszom i rzednącym włosom, niepewna, czego chce, a czego nie chce. Patrzyła, jak rysuje wzdłuż jej brzucha linię złożoną z pocałunków, i nagle się zorientowała, do czego on zmierza. Todd nigdy tego nie robił, nigdy nie próbował dotrzeć tam ustami. Nie chciała tego, będzie się czuła zbyt bezbronna, ale Joel

całował wewnętrzną stronę jej ud i nie powiedziała mu, żeby przestał. Czekala. Poczula strach i jakiś nowy rodzaj podniecenia, niemal wywołujący zawroty głowy. Żalowała, że do tego dopuściła. Chciała znaleźć się sama w swojej kuchni, parzyć świeżą kawę, podlewać rośliny. Jego twarz znalazła się już między jej nogami. Dotknął ją tam językiem. Poczula, jakby przeszył ją prąd; ciepłe, wilgotne, nieco mdlące doznanie. Jęczała, chociaż tego nie chciała. Drażnił ją koniuszkiem języka, rozsunął kciukami wargi sromowe i znalazł je. Znalazł to miejsce i wiedział o tym. Początkowo pomyślała, że tylko je musnął przypadkowo, ale on zaczął zataczać językiem kółka wokół tego miejsca i wiedział, wiedział, że to znalazł, i wiedział, że powinien ją tam dotykać. Z jej ust wydobywały się teraz głośne okrzyki, nie chciała ich powstrzymywać. Objęła rękoma jego głowę – czuła szorstką, rzednącą szczecinę jego włosów – trzymała tak, ponieważ bała się, że on przestanie to robić. Bała się, że zaprzepaści to, co wiedział.

– O Boże – westchnęła.

Krew zaczęła jej krążyć w żyłach z nową siłą. Czuła wzbierającą w niej falę, intensywne drżące doznanie, które zmierza w nieznanym kierunku. Była przyzwyczajona do wznoszenia się i opadania, do pośpiechu. Szybko przemykał gorący czerwony cień, który pozostawiał po sobie zaledwie wspomnienie ciepła. To jednakże nie ustawało. Jego język był nieubłagany, odnajdywał ją, a ona wiała się, mając cichą nadzieję, że zdoła się wymknąć jego językowi, ale nie, on ją odnajdywał i odnajdywał, a ona krzyczała: „Och, och, och, Boże, och”. Rozstępowała się w niej nieznanym bezmiar. Nie mogła już wytrzymać, nie mogła się bardziej otworzyć. Odnajdywał ją, wciąż i wciąż, aż dotarła do samego skraju i przekroczyła go. Promieniowanie rozeszło się po całym ciele, zaczęła spadać i nic nie było ważne, znajdowała się wewnątrz siebie i ta fala nie zatrzymywała się, gorące i wilgotne pulsowanie trwało, aż wreszcie ustało.

Podniósł twarz i uśmiechnął się do niej. Patrzyła na niego półprzytomnym wzrokiem, z narastającym skrępowaniem. Zobaczyła, że jej skóra jest pokryta cienką warstewką potu. Pocałował ją delikatnie w zgięciu kolana. Odsunął pasemko włosów, które opadło jej na czoło.

I nagle zaczęła płakać. Sama się temu dziwiła. Początkowo było to ciche pochlipywanie, zaledwie piekaca oczy wilgoć, ale kiedy spojrzała na twarz Joela, przemieniło się w płacz, nie tyle głośny, ile wydobywający się z głębi piersi, przerywany cichym nierównym oddechem. Nie próbowała powstrzymywać płaczu. Czuła smutek i ulgę, jak gdyby udało się jej uciec zwykłemu szczęściu i przedostać tam, gdzie znalazła dla siebie coś znacznie potężniejszego, bardziej skomplikowanego i obiecującego. Joel pogłaskał ją po włosach.

– Już dobrze, no, już dobrze – szeptał, a ona pomyślała, że pewnie w ten sposób przemawia do drzew, kiedy siedzi wśród ich konarów, odpilowując dotknięte chorobą części.

Kiedy się uspokoiła, obydwójce ubrali się i razem przeszli korytarzem, mijając zamknięte drzwi prowadzące do trzeciej sypialni, w której miał być pokój dziecka. Susan czuła się nieco zdezorientowana, jak gdyby przebudziła się w środku nocy w nowym domu, który początkowo wydawał jej się obcy, a dopiero po chwili uświadomiła sobie, że w rzeczywistości jest jej domem. Na ścianach tapeta w paski, którą sama wybrała, a tam stare lustro wiszące u podnóża schodów. Joel zatrzymał się przy drzwiach frontowych. Jego robocze buty, poplamione sokami drzew, miały niemal ten sam kolor co polakierowane sosnowe deski podłogi. Ujął jej dłoń.

– To było miłe – powiedział.

– Naprawdę? – zapytała. Potem roześmiała się i przetarła lekko oczy. – Tak. To było miłe.

Tak łatwo mógł to zniszczyć. Mógł być wulgarny albo zacząć się pyszczyć. Mógł dać do zrozumienia, miną lub gestem, że mu jej żal. Mógł ją zapytać, kiedy będą mogli to powtórzyć.

– Do widzenia – pożegnał się.

– Do widzenia.

Otworzył drzwi, a ona wyszła razem z nim na werandę. Na zewnątrz ciągle był dzień, ciepły i jasny. Trwała jesień. Susan wciąż mieszkała w Darien, na ulicy, przy której stały domy w stylu kolonialnym, a na progach tych domów szczyrzyły zęby lampiony z dyni. Za kilka dni dzieci innych ludzi przebiorą się w kostiumy i zadzwonią do jej drzwi, prosząc o cukierki.

– Nie zapomniałeś wziąć czeku?

Położył dłoń na górnej kieszeni marynarki. Obydwoje się roześmiali.

– Mam go – odpowiedział.

Wsiadł do swojej ciężarówki i odjechał. Pomachał do niej na pożegnanie.

Zaskoczyło ją, że kiedy tydzień później w drodze do supermarketu zobaczyła ciężarówkę Joela, zaparkowała swój samochód i bez wahania poszła z nim porozmawiać. Pracował na terenie należącym do szkoły podstawowej, przycinał gałęzie chaotycznie posadzonych drzewek, które miały nadać weselszy wygląd ponuremu skupisku budynków z jasnej cegły. Miał na sobie te same robocze buty, granatowy sweter i dżinsy opuszczone znacznie poniżej pasa. Do okien jednopiętrowego budynku, który znajdował się za jego plecami, były przyklejone taśmą kolorowe liście wycięte z kartonu.

– Dzień dobry – powiedział, najwyraźniej zadowolony, że ją widzi. Miał brązowe, zwyczajne oczy. Jego skóra połyskiwała w przymglonym świetle poranka.

– Dzień dobry.

Zapadła chwila ciszy.

– Czy to dobrze, że zatrzymałam się, żeby z tobą porozmawiać? – zapytała.

– Pewnie – odpowiedział. – Jasne, dlaczego miałabyś tego nie zrobić?

– No cóż. Nie wiem. Masz żonę?

– Och, mieszkamy kawał drogi stąd. W Wilton. Ona nie przyjechałaby tutaj. Na pewno. Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

– Nigdy przedtem nie zrobiłam czegoś takiego – zaczęła się usprawiedliwiać. – Domyślam się, że wszystkie tak mówią.

Wzruszył ramionami.

– Nie jest ich wcale tak wiele.

– Och, daj spokój.

Nie była zazdrosna. Chciała, żeby to była zwykła rzecz, chciała przynależeć do grupy.

Ponownie wzruszył ramionami i roześmiał się.

– No dobrze. Jest ich kilka.

– Powinam już iść. – Zobaczyłam cię i, sama nie wiem. Wydawało mi się dziwne, że mogłabym tak po prostu pojechać dalej.

– Miło cię widzieć – powiedział.

– Może się znów spotkamy. Zanim przyjdzie pora na kontrolę drzewa. Czy nie jestem zbyt bezpośrednia?

– Nie, byłoby miło, gdybyśmy mogli się znów zobaczyć. Bardzo bym chciał.

– Lepiej, żebyś nie przyjeżdżał tą swoją wielką ciężarówką – powiedziała. – Wiesz, sąsiedzi. Boże, to takie w stylu gospodyni domowej. Dziwnie jest mówić takie rzeczy, prawda?

– Ależ nie, mogłabyś przyjechać do mojego biura – powiedział. – Znasz adres, to jest w Norwalk. Tam moglibyśmy się spotkać.

– Dobrze. Może w czwartek, po południu?

– O czwartej? Odpowiada ci czwarta?

– Trochę za późno, co byś powiedział na trzecią?

– Mam zlecenie w New Canaan. Będę wolny dopiero o wpół do czwartej.

- Dobrze. Wpół do czwartej.
- Zgoda.
- Więc do czwartku.
- Tak. Do czwartku.

Wróciła do swojego samochodu i pojechała do supermarketu. Aż trudno uwierzyć, takie to było dziwne. Odbywało się tak spokojnie, bez żadnego zamętu uczuć. Tylko ustalenie terminu i to smutne, ale jednoznaczne uczucie ulgi.

Była zaskoczona tym, że potrafi wymykać się do Norwalk na spotkania z Joelem, a mimo to nadal kochać Todda. Wyobrażała sobie miłość jako uczucie stanowiące pewną skończoną całość. Myślała, że jeśli koncentruje swoją emocjonalną energię na kimś nowym, to trzeba odpowiednią ilość uczucia odebrać osobie, którą się do tej pory kochało. Jednak jej miłość do Todda się nie zmieniła, czasami nawet wydawało się, że przybiera na sile. Wciąż odczuwała w stosunku do niego tę samą czułość, lubiła dodawać mu otuchy, kiedy wracał do domu, pozostawiając za sobą rygor i trudy dni spędzanych w mieście. Wiedziała już, że praca, którą Todd zaczął w college'u, nigdy się nie skończy. Myliła się, sądząc, że po studiach będzie dysponował niekwestionowanymi kwalifikacjami i swobodą wyboru. Okres ciężkiej pracy w Yale nie był czasem największej próby, lecz zaledwie pierwszym ogniwem w ciągu nie kończących się wysiłków. Do tej pory stało się już jasne, że jedna praca pociągała za sobą kolejną. Jego umiejętności będą bezustannie poddawane weryfikacji, a on sam będzie musiał bez końca udowadniać swoją wartość. Walka stawała się bardziej zażarta, gra toczyła się o coraz większą stawkę, a słabsi odpadali. Firma Todda zatrudniała wyłącznie najlepszych i z czasem zamierzała zwolnić połowę. Todd nie chciał znaleźć się wśród zwolnionych i co więcej, nie miał najmniejszego zamiaru skończyć jedynie jako odnoszący sukcesy adwokat. Chciał rządzić, tworzyć nowy ład. W czasie, który udawało mu się wykroić ze swojego harmonogramu, doradzał miejskiej komisji planowania w Darien i radzie szkoły. Rozpowszechniał swoje nazwisko. Miał powody przypuszczać, że pewnego dnia zostanie kongresmanem, senatorem, może nawet zdoła dotrzeć jeszcze wyżej. Nic nie stało na przeszkodzie. Był inteligentny i przystojny, miał w sobie nieagresywny urok. Jego żoną była inteligentna i atrakcyjna kobieta, która pracowała, by on mógł skończyć college, potem studia prawnicze, a teraz uczęszczała na zajęcia w college'u przygotowującym do wyższych studiów. Myśl, że mogłaby wyrządzić nieodwracalne szkody, gdyby odkryto jej tajemnicę, wydawała się jej niedorzeczna jak opowieści o karach wymierzanych kobietom oskarżonym o czary. Wypełniała swoje obowiązki, żyła na skraju lasu, z dala od tego, co Todd określał mianem świata. Zajmowała się domem, uczęszczała na zajęcia, pocieszała męża po długich zmaganiach, które wypełniały jego dni.

Jej związek z Joelem przybierał na intensywności. Nie pragnęła niczego ponad doznania i zwyczajną przyjaźń. Nie szukała miłości. Nie troszczyła się o antykoncepcję. Uznała, że przecież i tak nie może mieć dzieci. Kochała Joela za to, że przy nim nie musiała myśleć o dzieciach – o swojej porażce i niedostatku kobiecości. Będąc z Joelem, bez skrepowania dążyła do rozkoszy. Dosiadała go, poruszała w górę i w dół na jego dużym, czerwonym członku. Siadała mu na twarzy, krzycząc, szarpała za włosy, domagała się, by nie przestawał. Nigdy nie przypuszczała, że tak może być, że istnieje taka namiętność, burzliwe wspinanie się na szczyt i wewnętrzna eksplozja. Nie miała pojęcia, że może czuć się potem oczyszczona. Po takich spotkaniach, jadąc z powrotem do domu, była odświeżona, promieniejąca, jak gdyby starto z niej warstwę kurzu. Inaczej odczuwała dotyk chłodnego powietrza na skórze. Spódnica inaczej układała się na jej udach.

Pewnego wrześniowego poranka zadzwoniła matka.

– Cześć, kochanie – powiedziała pogodnym i znużonym głosem, a Susan wiedziała od razu, że coś się wydarzyło.

– Mamo. Co się dzieje?
– Wiesz, mam ci coś do zakomunikowania.
– Co takiego? Mamo, co się stało?
– Kochanie, powiedziałaam twojemu ojcu, żeby się wyprowadził. Na razie przeniósł się do hotelu Garden City.
– Co takiego? Co chcesz przez to powiedzieć?
– Rozstaliśmy się. Nie wiem dokładnie, jaki będzie dalszy obrót sprawy. Przykro mi, że mówię ci o tym przez telefon, ale pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.
– Ale co się stało?
– Zanosilo się na to od dawna, kochanie – powiedziała matka. – Musiałaś wiedzieć, że ja i twój ojciec zawsze mieliśmy pewne problemy.
– Ale dlaczego teraz? – zapytała Susan. – Coś się musiało wydarzyć.
Matka zamilkła. W słuchawce było słycać ciche trzaski zakłóceń na linii.
– Wiesz, co to tak naprawdę oznacza, kochanie? – powiedziała matka. – Wreszcie będę mogła rozpocząć samodzielne życie. Nie stałam się feministką, nic z tych rzeczy, uwierz mi. Nie zacznę palić swoich biustonoszy. Ale... Nie wiem, jak to powiedzieć. Wydaje mi się, że już od długiego czasu czuję, że muszę mieć swoje życie. Twój ojciec i ja wychowaliśmy was, nasze dzieci, wytrwaliśmy, a teraz, gdy każde z was poszło już swoją drogą, my też musimy się usamodzielnic. Czy to, co mówię, ma sens?
Susan zdrętwiała. Myślała jedynie o tym, że zawiodła. Ze została odkryta jej tajemnica. Nie wiedziała, o co chodzi. Nie była pewna, co ma o tym myśleć.
– Nie wiem. Nie mam pojęcia, co powiedzieć.
– Wiem, że to jest dla ciebie wstrząs – powiedziała matka. – Zdaję sobie z tego sprawę.
– Muszę kończyć.
– Susan, wszystko będzie dobrze. Nie przestaliśmy być twoimi rodzicami, nic się nie zmieniło, jeśli o to chodzi.
– Mamo, ja naprawdę muszę kończyć. Teraz nie mogę z tobą rozmawiać.
– Bez względu na to, co myślisz, masz do tego pełne prawo. Rozumiem to.
– Nie rozumiesz – powiedziała Susan. – Absolutnie nic nie rozumiesz.
– Nie mam do ciebie pretensji o to, że jesteś na mnie zła.
– Dziękuję.
– Twój ojciec, no cóż. Jego charakter. Ja zwyczajnie...
– Muszę kończyć. Przepraszam.
– Dobrze, kochanie. Jak uważasz.
Todd wrócił z pracy i zastał Susan siedzącą przy stole w jadalni. Nie zadzwoniła do niego do biura. Nie zadzwoniła do nikogo. Trzymała już w ręku słuchawkę, dotykała tarczy, zamierzała zatelefonować do męża, brata i siostry, do wszystkich. Potem cofnęła rękę i poszła do jadalni, i usiadła przy mahoniowym stole, który był prezentem od rodziców na nowe mieszkanie. Ktoś próbował się dodzwonic, potem znowu brzęczyk telefonu, i jeszcze jeden. Odczuwała mdłości i była zdezorientowana, jak gdyby cierpiała na chorobę morską. Poprzez rozsuwane drzwi balkonowe widziała ogród za domem, soczystą, żywą zielen trawy. Kiedy ona i Todd podejmowali decyzję o kupnie tego domu, zwracali szczególną uwagę na ogród, który miał być odizolowany od hałasu z ulicy i na tyle duży, by wystarczyło w nim miejsca na huśtawki, piaskownicę, brodzik. Wśród konarów słynnego wiązu można zbudować domek. Teraz wspomnienia powróciły z gwałtowną siłą. Jak wiele ryzykowała, jak bardzo była egoistyczna. Uświadomiła sobie – jak to możliwe, że wcześniej tego nie widziała – że to wszystko jest takie ulotne. Popeniła straszną pomyłkę i nie mogła usprawiedliwic się chwilą słabości, tym, że uległa cielesnej pokusie. Kłamała. Wciąż to robiła. Chociaż nie była religijna, modliła się teraz, siedząc w swojej pustej jadalni. Proszę, oszczędź mi tym razem kary, a odtąd będę już zawsze postępować właściwie. Niemal dwie godziny siedziała na

mahoniowym krześle w stylu mebli z epoki królowej Anny. Trwała tak bez ruchu, a po pewnym czasie przestała myśleć o czymkolwiek. Nie wiedziała, dokąd ma pójść, co ze sobą zrobić, tak więc nie robiła nic. Po powrocie do domu Todd zastał ją siedzącą po ciemku. Podbiegł do niej i zapytał:

– Kochanie, co ty robisz?

Wniósł z sobą swój zapach, zainteresowanie i troskę, słowa i gesty.

– Siedzę – odpowiedziała. – Po prostu siedzę tutaj.

– Dlaczego? O co chodzi? Co się stało?

– Dzwoniła dzisiaj moja matka. Ona i tata się rozstają.

– Co?

– Rozstają się, rozwodzą. Ojciec wyprowadził się do hotelu.

– Jezu – powiedział Todd. – Znasz jakieś szczegóły?

– Nie. Nie mogę w to uwierzyć.

– Kochanie. Och, skarbie, wiem, że to dla ciebie wstrząs.

– Ja... To zbyt dużo.

– Chodź – powiedział. – Chodź ze mną do kuchni. Przygotuję nam coś do jedzenia, a potem położę cię do łóżka. Tak?

– Dobrze.

Usmażył jajecznicę na bekonie dla nich dwojga, a kiedy już zjadła, zaprowadził ją na górę i zdjął narzutę z ich łóżka równie delikatnie, jak kiedyś zrobił to Joel w pokoju gościnnym. Jej twarz płonęła ze wstydu.

– Zostań ze mną – poprosiła. – Nie pracuj dzisiaj do późna, nie czytaj.

– Oczywiście – odpowiedział.

Rozebrał się i położył obok niej. Jego ciało znała prawie tak dobrze jak własne. Starła się nie patrzeć na jego penisa, cudowną zwyczajność jego kształtu i koloru.

– Myślałam, że najgorsze mają już za sobą. – powiedziała. – Naprawdę sądziłam, że jeżeli wytrzymali razem tak długo...

– Daj im trochę czasu – mówił Todd. – Założę się, że przed upływem tygodnia stary, poczciwy Constantine będzie z powrotem w domu.

– Może. Chociaż nie byłabym wcale taka pewna.

– Zaufaj mi. Cóż oni poczną bez siebie?

Położyła rękę na jego gładkiej, miękkiej klatce piersiowej. Czula w sobie pustkę, strach, jakiego dotychczas nie zaznała.

– Przebac mi – powiedziała cicho. – Nigdy więcej tego nie zrobię.

Pocałowała Todda, przesunęła palce wzdłuż jego żeber. Szepnęła mu wprost do ucha:

– Och, kocham cię, tak bardzo cię kocham.

– Ja też cię kocham, skarbie.

Czule pocałowała go w usta. Był jej jedynym prawdziwym przyjacielem, a ona go zdradziła. Nie odrywała ust, a Todd obrócił się i położył na niej. Rozsunęła nogi, a on wszedł w nią po raz pierwszy od – jakiego czasu? – roku? Może jeszcze więcej? Poruszał się w niej i przypląnęła dawna znajoma fala, czerwony cień. Leżała jak zawsze, ściskając nabrzmiące mięśnie jego karku, wygładzając je. Całowała go z wdzięcznością w policzek i ucho. Wypełniło ją dawne ciepło, słodkie krótkotrwałe poruszenie. Uważała, by nie zrobić niczego niekonwencjonalnego, żeby nie wypróbować nic z tego, czego nauczyła się od Joela. Mogła poprosić Todda, aby poruszał się wolniej, aby dał jej czas. Mogła poprosić, aby dotknął ją językiem tam, w dole. Ale wówczas zorientowałby się, domyślił wszystkiego. Czula się przezroczyta, wydawało się, że jej niewierność pulsuje tuż pod powierzchnią skóry. Jej nienasylenie i lubieżność, zdolność niszczenia.

– Todd, och, kocham cię – szepnęła.

Jego twarz skurczyła się, westchnął i opadł obok niej, z ręką spoczywającą przyjacielsko w poprzek jej piersi. Pocałował ją, a ona leżała przy nim, modląc się po cichu. Trzy tygodnie później, kiedy się dowie, że jest w ciąży – być może z dzieckiem Todda, czy, co bardziej prawdopodobne, Joela – złoży ostateczne ślubowanie. Będzie wierna do końca życia. Zrezygnuje ze szkoły, przestanie myśleć o pracy. Będzie bez zarzutu, niezawodna, stanie się uosobieniem serdeczności i dobrych uczynków.

Jego widok, gdy nagi stał na schodach pożarowych i śpiewał „Didn't it rain?”⁵, a wokół jego kształtnego, ciemnego ciała rozpraszał się mrok – dziwka na górze krzyczała, żeby się, do cholery, zamknął – taki właśnie widok w zupełności wystarczył Zoe, by mogła powiedzieć, że wie wszystko na temat miłości. Siedziała na materacu, nucąc Dark Angel. Powtarzała w kółko te dwa słowa, gdy muzyka płynęła w rozjaśniającym się powietrzu, a rozwścieczona dziwka stopami wybijała nad głową konkurencyjny rytm. „I got a dark angel gonna visit me tonight”⁶. Gdyby Zoe miała do tego talent, napisałaby piosenkę. Czarne skrzydła, gładkie boki, kształt i układ mięśni, przyczepionych bezpośrednio do kości. Ani grama zabójczego tłuszczu. Ostatnia porcja kwasu przenikała jej do krwi, a ona nuciła „Dark angel in my window”⁷. Powiedział, że chce zaśpiewać hymn dla Annie, dziewczyny z niesfornymi włosami, unoszącej się gdzieś w wodach East River, milczącego anioła topielców dryfującego pośród połyskujących ryb i zagubionej biżuterii. Między nim a rzeką znajdowali się inni ludzie, ale ta muzyka nie była przeznaczona dla nich.

– Hej – powiedziała Zoe i obserwowała, jak jej głos przedziera się przez mgłę unoszącą się w pokoju. Patrzyła, jak mknie niczym strzała do miejsca, w którym stoi Levon. – Hej.

Nie przerywał. Patrzyła, jak jej głos wpływa mu do ucha i tam się zatrzymuje. Kolejna cząstka jej znalazła się teraz w jego wnętrzu. Nie zawsze je oddawał.

Powiedziałyby: „Chodź tutaj, wracaj do łóżka”, ale nie chciała pozbywać się tych słów. Nie chciała, by je sobie przywłaszczył. Podniosła się z materaca i owinęła narzutą. Wzory zaiskrzyły. Tkanina naelektryzowała się w zimnym, wilgotnym powietrzu. Powstała chmura, która podążyła za nią przez pokój w stronę okna.

– Hej – powtórzyła, wychodząc przez okno na zewnątrz.

Z góry głos dziwki spłynął na nich jak deszcz:

– Wy popieprzeni maniacy, zamknijcie się, bo zadzwonię po policję.

Po nikogo nie zadzwoni. Zoe było przykro, że nie zna jej imienia. Floretta była słodka, a Luz zabawna i skrzywdzona, ale od tamtego czasu przewinęły się już trzy inne dziewczyny i każda z nich była jak czarna dziura na tym świecie, niegodziwość zawładnęła nimi całkowicie i nie pozostało ani trochę miejsca dla choćby odrobiny życzliwości czy przynajmniej poczucia humoru. Nie było okazji poznać ich imion.

– Levon – szepnęła, jedno przejrzyste słowo, które mógł zatrzymać, ponieważ i tak należało do niego. Nie przestawał śpiewać. Zatracił się w swoim śpiewie. W oknach kamienicy czynszowej po drugiej stronie cmentarza paliły się już tu i ówdzie światła. Zoe pomyślała, że ludzie, którzy już nie spali, mogą wyjrzeć przez te okna i zobaczyć Levona, zupełnie nagiego, śpiewającego hymn w pierwszym, jeszcze niepewnym świetle poranka. Pomyślała, że mogą się poczuć pocieszeni albo przerażeni. Potężny, nagi Murzyn, który śpiewa pieśń wznoszącą się nad cmentarzem. Dzień Sądu Ostatecznego, właśnie kiedy zaczynasz pić poranną kawę i sprawdzasz, czy twoje skarpetki wyschły na kaloryferze przez noc.

– Levon, stąd świat wygląda jak ocean. – Nie była pewna, co chce przez to wyrazić, ale zorientowała się, że jeśli pozwoli swoim ustom mówić, powiedzą rzeczy, o których jej umysł jeszcze nie wiedział. – Tu jest tak, jakby się stało nad brzegiem Atlantyku – usłyszała wypowiedane przez siebie słowa.

⁵ Czyżby nie padało?

⁶ Mój czarny anioł odwiedzi mnie dziś wieczorem.

⁷ Czarny anioł w moim oknie.

Zacząła rozumieć siebie. Nowy Jork spowity resztkami mglistej ciemności był niczym zatopione miasto z podwodnymi, mrocznymi jaskiniami, gdy niebo ponad nim przecierało się i rozjaśniało. Podwodna cisza unosiła się nad cmentarzem, a między grobowcami, wśród elektrycznych świateł płynął leniwie grindwal, któremu do płetw przyłgnęły kolonie pąkli. Ryby poruszały się gwałtownymi zwrotami, szybkie i błyskotliwe jak myśli.

– Och, Levon – szepnęła. – Czy to nie dziwne? Czy to nie jest cudowne, no i dziwne?

Wiedziała, że ją słyszy. Słyszał wszystko. Dotychczasowe życie nauczyło go, jak należy słuchać. Ale nigdy nie ryzykował. Był rybakim, który zatrzymywał dla siebie wszystko, co złowił.

Pogładziła go po twardych ramionach, powoli przesunęła palce w dół, wzdłuż linii kręgosłupa. Levon był całkowicie widoczny. Oto jego mięśnie poruszające się pod jedwabistą skórą w kolorze bakłazana, drabinka kręgosłupa. Jak przebiegały wewnętrzne procesy jego organizmu pod skórą, można się było domyślać, tak jak można było się domyślać nagości innych mężczyzn ukrytej pod ubraniem. Wyobraziła sobie, jak go rozbiera, jak potem oddziela skórę od wilgotnych purpurowych włókien mięśni i sięga głębiej, po płuca i jelita. Wyobraziła sobie, jak wyjmuje rozszalałe, połyskujące serce i trzyma je w dłoniach, słysząc jego głośne, miarowe dudnienie. Ciało Levona było odsłonięte, bezwstydne, odarte z tajemniczości. Tajemnice Levona kryły się w jego mózgu, gdzie trzymał zaciśnięty węzełek swojej odmienności, osobliwych żalów i potrzeb, do których nic, ani pocieszenie, ani seks, ani rytuał nie miały dostępu.

– Levon – odezwała się po dłuższej chwili i była zadowolona, że nie zareagował. Co chciała mu powiedzieć? Ze kocha go tak bardzo, że chciałaby rozłożyć go na części, organ po organie, i trzymać każdą z nich z szacunkiem, gdy nad czynszowymi kamienicami wstawało słońce. Ze chciałaby się z nim pieprzyć właśnie tutaj, na schodach pożarowych, być unicestwioną, by dla niej śpiewano i by fale miały ją, aż stanie się innym kształtem w zmieniającym się świecie.

Skończy śpiewać, gdy sam uzna za stosowne. Czekala, gładząc go otwartymi dłońmi po spoconych plecach. Zoe wiedziała już, jak to jest być wdową po kapitanie statku, spacerującą z duchem swojego męża, który przekazał jej wiadomość na godzinę przed przybyciem posłańca. Znała ten wstrząs, odbijającą się echem wiadomość i to przerażające, bezsensowne zadowolenie. Opłakiwanie było proste, było zwyczajnym cierpieniem. Od tej chwili twoje życie będzie łatwiejsze. Bez troski o to, czy on jest bezpieczny. Bez obawy, że jego miłość do ciebie zaczęła tracić świeżość i więdnąć.

– Levon – powtórzyła raz jeszcze, tylko po to, żeby zobaczyć, w jaki sposób jego imię przetnie powietrze.

– Mmm.

Jego głos był zawsze cichy i ostrożny. Ktoś mógłby słuchać, robić notatki, szykować taką przyszłość, w której Levon będzie mniej się liczył.

– Kochanie, to już dzień. Lepiej będzie, jak wejdiesz do środka, mogą cię aresztować.

Skinął głową. Mięśnie jego ramion poruszyły się jak cienkie rozleniwione węże wygrzewające się w promieniach słońca. Stał i zastanawiał się, jak gdyby aresztowanie mogłoby być dobrym rozwiązaniem. Oczyszczające doświadczenie, nieprzyjemne, ale odkupiające. Potem obrócił się przodem do niej. Jego naprężony członek lekko uderzył ją w udo. Stał na zewnątrz, śpiewając hymn, z pobudzonym członkiem, pomyślała. Objął ją. Z góry dobiegały krzyki dziwki wzywającej policję.

Zoe nie pamiętała, kiedy weszli do środka. To stało się samo. Byli na zewnątrz, a potem znaleźli się wewnątrz. Znów leżeli na materacu, kochali się, wydając jęki i ciche, wilgotne odgłosy ssania. Kwas wciąż działał. Zoe czuła w sobie jego członek i czuła barwy, które wstrzykiwał w jej krew, gorące oranże i żółcie, płynne i wzburzone, jak spieniona woda, przez którą przepuszczono prąd. Miała świadomość siebie, jęczącej, z nogami wspartymi na

ramionach Levona, miała też świadomość pokoju, starych mebli przykrytych prześcieradłami i narzutami, obrazów w wyszczerbionych, złożonych ramach. Zdała sobie sprawę, że to była tylko rupieciarnia, stworzona wyłącznie z czekania. Kiedy się kochała, traciła kontakt ze sobą. Wypływała poza granice swego ciała. Zaczynała dostrzegać, że ona i Levon kochają się w wymarłym pokoju, w budynku pełnym dziwek, narkomanów i starych, wystraszonych kobiet. Ktoś w sąsiednim pokoju gotował jajko. Ktoś próbował znaleźć żyłę w sinym świetle poranka. Ruch uliczny dudnił na Second Avenue, a kierowca autobusu wzdychał, wspominając marne atrakcje poprzedniego wieczoru. Teraźniejszość rozciągała się, aż w końcu przelała się do przeszłości i przyszłości. Cienie imigrantów, żeglarzy i kupców torują sobie drogę pomiędzy pogrążonymi we śnie żywymi, a na schodach pożarowych stoi Levon, ze swoją pieśnią i sterzącym członkiem, wymyślając muzykę dla cienia Szalonej Anny, która uznała, że gwałtowne uniesienie wywołane podwójną dawką i połyskująca, czarna od ropy woda są lepsze niż kolejny dzień spędzony na rozmyśleniach. Levon był tutaj, poruszał się w niej w milczeniu całkowicie tym pochłonięty, spocony. Stosunek przypominał drążenie tunelu. Łyżeczką do herbaty musiał przekopać tunel prowadzący z więzienia na wolność. Och, kochała go. Kochała jego cierpliwość i obojętność, jego zwyczaj znikania, zanim opuścił pokój. Kochała go i z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła do końca określić, chciała, by umarł. Widziała przyszłość, w której Levon porzuci ją bez słowa wyjaśnienia, przepełniony smutkiem, z rozwągą i szacunkiem, tak jak śpiewał swoje hymny.

Potem gorące barwy ostygły, przekształciły się w jednolity błękit. Levon westchnął i zsunął się z niej. Na kwasie nigdy nie mogła wspiąć się na szczyt, nie myślała o tym. Byłoby to zbyt dużo. Orgazm rozerwałby ją na części jak petarda włożona do wnętrza melona. Otworzyłaby się zbyt szeroko. Jej ciało powoli stygło. Oparła głowę o spoconą klatkę piersiową Levona, wdychając jego cierpki zapach. Bawiła się jego zwiotczalym, wilgotnym członkiem. Levon różnił się od innych mężczyzn, nie tylko tym, że był czarny. Dusił w sobie całą swą nienawiść, ochraniał ją, jak gdyby była czymś cennym, czym nie chciał się dzielić ze światem.

– Ładny – szepnęła.

– Hm?

– Jesteś taki ładny.

Chrząknął, co mogło oznaczać znudzenie albo lekceważenie. Zatrzymywał dla siebie jej słowa, skrawki wstążki, które umieści na zawsze wewnątrz swojej głowy. Nauczyła się znosić to, za pomocą niewidzialnych rąk, które obejmowały ją wewnątrz. Można by zwariować, gdyby zaczęło się liczyć własne porażki i niedoskonałości.

– Jesteś naprawdę piękny – powiedziała. Daj spokój. Zwyczajnie nie przejmuję się tym, co się zatrzymuje, a co powraca. – Masz najbardziej fantastyczny członek, jaki kiedykolwiek widziałam u faceta.

Zachichotał jak ojciec na widok żywego entuzjazmu swojego dziecka.

– Murzyni słyną z tego, że natura hojnie ich obdarza – stwierdził Levon. – Badacze czarnego kontynentu czasami przywozili ich ze sobą jako osobliwości. To nie jest cecha indywidualna. To afrykański znak szczególny.

– Być może cię kocham – oznajmiła. – Co by się stało, gdyby się okazało, że to prawda?

Ponownie chrząknął. Przesunął dłoń wzdłuż jej uda. Na zewnątrz krzyknął gołąb. Mrówki niestrudzenie przemierzały swoje ścieżki na drzewach stojących pośród starych grobowców, wędrowały po ścianach i podłogach zniszczonych brązowych budynków.

– Słuchaj – powiedziała – może powinniśmy się trochę przespać.

– Mmmm.

Sięgnęła do szkatułki stojącej obok materaca, wytrząsnęła ze szklanej buteleczki dwie czerwone tabletki.

– Prześpijmy się trochę – powiedziała, podając mu jedną z nich.

– Dobrze – wymamrotał, połykając tabletkę. – Kolorowych snów.

Połknęła tabletkę i czekała, aż ogarnie ją dobrze znany, błogi spokój. Levon oddychał równo obok niej, miał zamknięte oczy, chociaż przecież nie mógł tak szybko zasnąć. Delikatnie przesuwiała palcem po jego czole, torsie i brzuchu, jak gdyby szukała przycisku. Mechanizmu, który za jednym dotknięciem otworzyłby do niego dostęp. Chciała tego, czego on nigdy jej nie da. Jego dzieciństwa, lęków. Wyjaśnień. Nie był niemiły, ale żył we własnym świecie. Mogła poznać reguły, tylko je łamiąc. W świecie Levona komplementy były zniewagami, a opowieści – kłamstwami. Spośród wszystkich wydawanych przez ludzi dźwięków tylko muzyka nie była skażona chęcią zwycięstwa czy dominacji.

Zoe niepokoiła się. Może naprawdę dążyła do tego, żeby pozbawić go życia. To był jej pierwszy miły facet, jej pierwszy czarny mężczyzna i kochała go gwałtowną miłością łowcy. Czy nie myślała o tym, by zagłębić w nim swoje ręce? Czy nie robiła się wilgotna, wyobrażając sobie, jak gryzie jego idealne pośladki, nie delikatnie, ale zachłannie, zatapiając zęby w tych okrągłościach, doprowadzających do obłędu muskularną niewinnością? Wyobraziła sobie, że mieszka wewnątrz Levona i wybiera go od środka łyżką. Przesunęła palcami po jego włosach łonowych i, pod wpływem kwasu, pomyślała o jedzącej obiad Cassandrze, która ma szczęki zawieszane na zawiasach w taki sposób, że otwierają się jak paszcza węża, a ona może połykać ciała jej rozmiarów. Daj spokój, pomyślała. Nie pozwól szaleć wyobraźni. Przed oczami stanęły jej drzewa oplątane węzami. Obserwowała profil Levona.

On wkrótce odejdzie. Tak naprawdę nigdy go tu nie było. Odejdzie tam, dokąd nie będzie mogła za nim podążyć. Śnił w obcym dla niej języku.

Powoli przesunęła palec w poprzek własnych piersi, potem w dół, ku wypukłości brzucha. Nic się w środku nie poruszało, jeszcze nie. Pomyślała, że odejdzie od niej, zanim ciąża stanie się widoczna, i stwierdziła, że to chyba dobrze. Nic mu nie powie. Nie potrafiłaby znaleźć właściwych słów. Dziecko i tak należy do niej, wyłącznie do niej. Levon chciałby mu nadać imię, którego nie mogłaby poznać. Chciałby ująć w dłonie lekką jak puch duszę dziecka i dodać ją do swojej listy powodów do gniewu. Przypatrywała mu się przez dłuższy czas. Obserwowała, jak sen bierze we władanie jego dziwną, piękną twarz.

Miała dla siebie jego nienazwaną część. Będzie ją chroniła, będzie z nią rozmawiała językiem prawdy i doskonałości.

– Do widzenia, kochany – szepnęła.

Nie otwierając oczu, odpowiedział:

– Dobranoc.

Potem zadziałał narkotyk i podążyła śladem snu, opuszczając pokój.

Wieczorem tego dnia, kiedy dokumenty rozwodowe zostały podpisane, Constantine kupił sześciopak piwa i pojechał do swoich domów. Nie chciał widzieć się z Magdą. Nic mu się nie chciało robić i jednocześnie nie chciał zupełnie nic nie robić. Zaparkował przy jednej z ulic i siedział w samochodzie, paląc papierosa za papierosem i popijając piwo. Czekał, aż ogarnie go spokój, ale czas mijał, a jego coraz bardziej irytowały rozświetlone okna, żółte fajansowe kaczątka ustawione w rzędzie, jedno za drugim, za białą kaczką matką. Denerwowało go to, że ciągle ktoś przyjeżdża albo wyjeżdża. Za kogo ci ludzie się uważali? Frajerzy, prostaczki, wypruwający sobie żyły, żeby spłacać raty za te gówniane domy, w których ściany można przebić łyżką kuchenną, a aluminiowe ramy okienne stanowiły taką ochronę przed zimnem jak płaszcz przeciwdeszczowy przed zmoczeniem, gdyby się wpadło do oceanu. Pojechał na inną ulicę, na Amity Lane, potem na następną, Meadowview. Na Meadowview, mniej więcej w jej środkowej części, jeden segment stał pusty. Tak, pod numerem siedemnaście. Każdy, kto budował domy, wiedział, że z niewyjaśnionych powodów nad niektórymi ciążyła klątwa. Nie ulega wątpliwości, że pozostawiały one wiele do życzenia, że były knotem budowlanym, ale przecież powstały z takich samych materiałów, takiego samego sosnowego drewna i tynku jak wszystkie pozostałe. Miały takie same garaże na dwa samochody, taką samą wykładzinę, identyczne wyposażenie kuchni. Na osiedlach Constantine'a stały zaledwie o trzy lub cztery domy dalej od innych, bliźniaczo do nich podobnych. Jednak z nieznanых powodów nikt ich nie chciał kupić. Stały ciemne i puste, gdy tymczasem pozostała część osiedla szybko się zaludniała. Z czasem ptaki zaczęły wic gniazda na okapach dachów, a w piwnicach skunksy rodzić swoje młode. Dzieciaki będą się do nich wlamywać, żeby popalać marihuanę, pieprzyć się w pustych pokojach albo wypisywać świństwa na ścianach. Wreszcie człowiek zgodzi się sprzedać taki dom za około pięć tysięcy, znacznie poniżej jego wartości rynkowej, i czasem na tym kończą się kłopoty, ale bywa, że niektóre takie domy nadal je sprawiają. Nowi właściciele nie spłacają rat, a potem, kiedy bank zajmie nieruchomość, a Constantine ją od niego odkupi i sprzeda ponownie, kolejni właściciele – mili, zwykli ludzie – giną w wypadku samochodowym albo tracą dziecko, albo znikają pewnego dnia, zostawiając w kredensach równo ustawione talerze. Nikt w branży nie wierzy ani w klątwy, ani w duchy, nie przywiązuje wagi do mitów o świętych miejscach spoczynku, nic z tych rzeczy, jednak prawdą jest, że raz na jakiś czas, nieważne, z jakiego powodu, trafiają się domy takie jak ten pod numerem siedemnaście na Meadowview, najczęściej opuszczone, a kiedy już w nich ktoś mieszkał, prześladował go pech. Były takie domy, które stały w zaklętym kręgu nieszczęścia, chociaż miały świeżą farbę i proste kominy.

Constantine wysiadł z samochodu i wolnym krokiem obszedł pogrążony w ciemności dom. Patrzył na szczegóły: biały aluminiowy siding, aluminiowe okna o wymiarach dwa na dwa metry, zielone okiennice z płyty pilśniowej, którą kupował na grosy. Dom jest zbyt nowy i czysty, by mogły się w nim czaić złe moce, pomyślał. W środku panowała ciemność, cisza wypełniała puste pokoje. Znał to wnętrze równie dobrze jak własnego domu. Z foyer (żony przyszyłych właścicieli uwielbiały te drobne sztuczki, jak określanie przedpokoju mianem foyer) przechodziło się do salonu z wnąką. Po lewej stronie była kuchnia i niewielka dziupla wyłożona linoleum, zwana bawialnią. Po prawej znajdowały się trzy maleńkie sypialnie i dwie łazienki. Całkowita powierzchnia wynosiła sto siedem metrów kwadratowych. Constantine wolnym krokiem wszedł do ogrodu za domem. Był to niewielki skrawek terenu z rozsypaną na nim świeżą ziemią przywiezioną ciężarówką z Passaic, by zasypać bagna, gęsto porośnięte pałkami wodnymi, siedlisko żab, gdzie czasem zaglądał krzykliwy żuraw.

Constantine stał na nagiej ziemi, zwrócony w stronę domu, który sam zbudował. Przed sobą miał rozsuwane, przeszklone drzwi prowadzące do salonu i wysokie, prostokątne okno największej sypialni. Pochylił się, podniósł kamień i rzucił nim w okno sypialni, bez złości, jedynie po to, żeby sprawdzić, jak to jest. Kamień przeszedł przez szkło w taki sposób, w jaki przebiłby się przez cieniutką warstwę świeżego lodu: z cichym, czystym brzękiem, pozostawiając po sobie otwór o nierównych, białych krawędziach. Constantine nie był pewien, co czuje. Gniew – być może, chociaż raczej pustkę. Wydawało mu się, że musiałyby wybić wszystkie okna w tym cholernym domu, żeby zwyczajnie wrócić do punktu wyjścia, żeby zacząć odczuwać coś tak zwyczajnego jak wściekłość. Rzucił następny kamień, po nim jeszcze jeden. Wybił wszystkie trzy szyby w oknie największej sypialni, potem ciskał w rozsuwane drzwi, których szkło się nie rozpryskiwało, ale przyjmowało kamienie tak jak ciało kule – jeden otwór, drugi, trzeci. Rzucał jeden kamień za drugim, przy każdym następnym coraz bardziej obawiając się policji. Jednak wciąż czuł w sobie kompletną pustkę, żadnego konkretnego uczucia poza niejasną potrzebą znalezienia się daleko stąd, pośpiesznie więc wrócił do samochodu i odjechał.

Była jasna, ciepła noc. Autostrada pulsowała własnym, stałym rytmem, świeciła miękkim, białym blaskiem. Jazda samochodem dawała pewne ukojenie i wmawiał sobie, przez prawie osiemdziesiąt kilometrów, że rzeczywiście chodzi tylko o przejażdżkę samochodem, o uspokojenie organizmu. Dopiero kiedy zostawił za sobą Manhattan, przyznał sam przed sobą z niejakim zakłopotaniem, że prawdopodobnie zamierza jechać tak aż do domu Susan w Connecticut.

Kiedy dojechał na miejsce, było już po północy. Na widok okazałego domu córki, w stylu kolonialnym, stojącego pośród starych drzew na solidnym kawałku ziemi łzy napłynęły mu do oczu. Udało się jej. Była szczęśliwa, bezpieczna. Miała życie, jakiego pragnął dla swoich dzieci i dla siebie. Wysiadł z samochodu i ostrożnie przeszedł przez trawnik, nasłuchując. Nie słyszał nic poza cykaniem świerszczy i cichymi westchnieniami i szelestem nocy. Żadnych odgłosów płaczu dziecka. Na górze jednak paliły się światła. Wszedł po schodach na werandę i tam się zatrzymał. Co powie Susan, kiedy to ona otworzy drzwi? Prawda powinna wystarczyć. Dzisiaj on i jej matka oficjalnie otrzymali rozwód, i nie potrafił znieść myśli, że mógłby być z kimś innym niż Susan. Wciąż jednak nie pukał do drzwi ani nie naciskał dzwonnka. Czuł wewnętrzny niepokój, silne wyrzuty sumienia i nie chciał, żeby Susan to zobaczyła. Nie chciał alkoholu ani współczucia jej męża, maminsynka, miłego chłoptasia, któremu się powiodło, ponieważ miał bogatych rodziców i nie miały nim namiętności rządzące życiem niektórych mężczyzn. Constantine nie chciał się poczuć w tym domu stary ani samotny, ani w jakikolwiek sposób przegrany. Ale również nie chciał być w żadnym innym miejscu. Uwielbiał ten dom – jego solidną sylwetkę, tchnącą dostatkiem i spokojem, mansardowe okna i gołębnik, okna o wymiarach dwa na dwa – za to, że był prawdziwy. Szczegóły jego architektury Constantine i Nick Kazanzakis odtwarzali w płycie wiórowej i aluminium, budując domy w Jersey i na Long Island. Dom miał kilka takich samych detali – drzwi o pionowo dzielonych skrzydłach, okno wykuszowe – jak ten niewielki, niefortunny segment na Meadowview Drive. Constantine nie był jeszcze gotowy, by stąd odjechać, ale także nie potrafił się przemóc, by zadzwonić do drzwi. Nie chciał ukazać się jako żałosna postać, ktoś, kto potrzebuje schronienia. Stał jakiś czas na werandzie, gdzie usłyszał cichy, niespokojny płacz dziecka dobiegający z okien górnej kondygnacji, a potem, jak gdyby go wzywano, ruszył z powrotem do samochodu. Odczekał, aż zgasły wszystkie światła. Obserwował, jak zmienia się ciemność nocy, grę cieni na ścianach domu, podczas gdy wewnątrz spali matka, jej mąż i dziecko. Minęła godzina, po niej następna. Obserwował toczące się ukradkiem, gorączkowe życie nocy, aż sama noc zapomniała, że on tu jest, aż jego czujna obecność została wchłonięta, a on zespolił się z ciszą powstającą z ziemi na spotkanie innej ciszy, głębszej, zimniejszej, która zstępowała z gwiazd. Zobaczył szopa pracza

drepczącego niespiesznie po trawniku jego córki. Spozrzegł sowę, która bezszelestnie uniosła się ponad wierzchem niczym dusza tego drzewa. Słyszał nawoływania, cichy świergot będący oznaką przyjemności albo trwogi, czy może zwykłym zaznaczeniem obecności. Usłyszał donośny głos jakiegoś ptaka, krzyk przerażenia, w którym niewątpliwie brzmiała nuta niedowierzania. Raz po raz, w krótkich seriach, padało pytanie: Czyżby? Czyżby? Czyżby? Zapalił kolejnego papierosa, otworzył następne piwo. Przecież tylko się całowali i obejmowali. Nigdy nie próbował posunąć się dalej. Na miłość boską, przecież on ją kochał. On, w pewnym sensie, był nią, a ona nim. Jeśli w ogóle to cokolwiek znaczy. Pocałunki były nieszkodliwe. Nikomu nie wyrządzały krzywdy. Wpatrywał się w upływającą noc. W jednej chwili czuł się tak, jak gdyby strzegł tego domu przed ciemnością, która napierała ze wszystkich stron, która tętniła własnym życiem. W następnej wydawało mu się, że jako bezdomny, pozbawiony środków do życia przybył tu, by wyświadczyć się ze wszystkich swoich wad i szukać opieki u bram pogrążonego we śnie miasta.

Miał już dość własnej chudości. Przestało mu zależeć na tym, żeby uchodzić za delikatnego i błyskotliwego, przewrotnego i swawolnego chłopca. W wieku dwudziestu dziewięciu lat Will zapragnął być duży i silny. Chciał się poruszać ze swobodą, nonszalancją i wzbudzać respekt muskulaturą. Koniec z nerwowym, tanecznym kroczeniem chudzielca. Był znużony żartowaniem i płataniem figli. Dojrzał do tego, by wyglądać nieco groźnie, by nie musiał się usprawiedliwiać.

Zaczął uczęszczać do siłowni na peryferiach miasta. Chodził pilnie, zmagając się z uczuciem zakłopotania. Czuł się speszony swoim wciąż chłopcowskim, ale już starzejącym się ciałem i jednocześnie krępowało go usilne dążenie do poprawy własnego wyglądu. O wiele łatwiej było żyć z cyniczną, wyzywającą chudością. Łatwiej było siedzieć na stołku barowym i stroić sobie drwiny. Teraz zaczynał przyznawać sam przed sobą, że ma w sobie tego rodzaju próżność. Chciał tego, czego chcieli głupcy, podzielał ich wiarę w ciało. Mimo palącego wstydu jeździł po lekcjach do siłowni i dręczył swoje ciało. Siłownia, którą wybrał, mieściła się w podupadającym centrum handlowym w Malden, daleko poza granicami świata, w którym zwykle się poruszał. Na sali mężczyźni w średnim wieku wylewali siódme poty na rowerach do ćwiczeń. Solidnie umięśnieni młodzieńcy z niemodnie ostrzyżonymi włosami dźwigali ogromne ciężary i zagrzewali się nawzajem do wysiłku, obrzucając się obelgami. Mogli być blisko spokrewnieni z jego dawnym przyjacielem, Biffem, hałaśliwie pewni siebie, zakochani we własnym wyglądzie i gotowi zamordować każdego faceta, który podziwiałby go tak, jak oni sami to robili. Will trzymał się na uboczu. Nie znosił ich i jednocześnie obserwował z niechętnym uznaniem z drugiego końca wyłożonej wykładziną sali wypełnionej sztangami i urządzeniami do ćwiczeń.

Wstydził się, ale pilnie pracował nad sobą. Wykrzywił się przy podnoszeniu dwuipółkilogramowych ciężarków. Czasami, kiedy twarz miał czerwoną z wysiłku i czuł się kompletnie wyczerpany po podniesieniu kompromitująco małego ciężaru, rozglądał się dokoła i uśmiechał bezradnie, pragnąc pokazać ewentualnym świadkom, że to była tylko wprawka dla żartu. Gdy stwierdził, że nikt na niego nie zwraca uwagi, że najwyraźniej nikogo nie obchodzi, brał następny ciężarek i zaczynał od początku.

Dwuipółkilogramowe ciężarki przestały z czasem sprawiać mu trudność, sam prznosił się na wyższy stopień wtajemniczenia i ćwiczył z pięciokilogramowymi, potem znowu dwa i pół kilograma więcej. Po blisko dwóch miesiącach zaczął zauważać lekkie puchnięcie klatki piersiowej. Początkowo trudno mu było uwierzyć, że jest to rezultat jego wysiłków. Nie potrafił sobie wyobrazić, że jego ciało mogłoby zareagować na narzuconą mu dyscyplinę i ciężką pracę. Jak się zdawało, dotychczas zawsze rządziło się własnymi prawami. Wyglądało tak, jak wyglądało, trzymało się zdrowo bez odpowiedniej ilości odpoczynku, ograniczania alkoholu czy przestrzegania zasad właściwego odżywiania. Teraz Will przyjrzał się dokładnie swojemu odbiciu i stwierdził, że pod białą skórą dotąd zupełnie płaskiej klatki piersiowej zaczynają się kształtować dwa niewielkie wzgórki mięśni. Obrócił się jednym bokiem do lustra, potem drugim, wreszcie znowu stanął przodem. Niewątpliwie były widoczne. Małe wzgórki mięśni, które sam ukształtował.

Pracował jeszcze ciężiej i nabierał tężyzny. Było to niczym cud. Wyraźnie się uwypuklały mięśnie klatki piersiowej, a potem, choć nieco wolniej, ramion i pleców. Miał wrażenie, że z poprzedniego wynurza się inne ciało. Obserwował je, jak zaznacza swoje kształty: podłużne pasma tricepsów, twarde poduszki bicepsów. Zaczął kupować książki na temat prawidłowego żywienia i, wciąż odczuwając palący wstyd, poradniki, w których opaleni mężczyźni o

połyskującej skórze demonstrowali nowe ćwiczenia. Wypróbowywał każde po kolei. Kupował witaminy, zmuszał się do jedzenia pięciu posiłków dziennie. Żył wewnątrz tego nowego ciała, obserwując, jak się przekształca, z nadzieją, której nie potrafił stłumić, że spotka drugiego mężczyznę. Również z tego powodu odczuwał wstyd – w kogo się zmieniał? – jednak starał się tym nie przejmować. Pozwalał się podziwiać własnym oczom i oczom innych. Robił się z niego potężny mężczyzna. On, Billy, chudziak, którego siła leżała w dowcipie i niezwykłych zdolnościach do przeciwstawiania się woli innych. W siłowni, kiedy krzywił się z wysiłku, podnosząc coraz większe ciężary, dopingował sam siebie i myślał o tym, jak przybywa mu masy i siły, o tym, że zbliża się koniec zwątpienia. Kiedy zrobiło się cieplej, kupił sobie podkoszulki bez rękawów i pierwszą parę butów firmy Speedos.

Żył w nim dwie różne osoby, jedna, która kiedyś była przestraszonym dzieckiem, i druga, której wżgórki mięśni rzucały cienie na skórę. Czasami wyobrażał sobie, jak pokazuje to powiększone ciało ojcu. Próbował sobie wyobrazić podziw, jaki w nim wzbudzi, a może nawet pożądanie. Niekiedy Will miał wyrzuty sumienia, że poświęca tak wiele czasu i energii na projekt skazany na niepowodzenie. Czasami przepełniało go poczucie nieograniczonych możliwości, które przenosiło go w tamte dni, ponad dziesięć lat temu, gdy wychodził wieczorami, by pojeździć z przyjaciółmi tymi dużymi pożyczonymi samochodami, które mogły ich zawieźć, dokąd tylko zapragnęli.

Halo?

– Czy mogłabym rozmawiać z Mary Stassos?

– Przy telefonie.

– Mary, mówi Cassandra. Przyjaciółka Zoe. Przypominasz mnie sobie?

– Cassandra. Tak, pamiętam.

– Mary, posłuchaj. Zoe czuje się dobrze, ale jest w szpitalu.

– Co takiego?

– Nie rwij sobie od razu włosów z głowy. Ona naprawdę czuje się dobrze.

– Co jej jest? Co się stało?

– Och, moja droga, wzięła o kilka tabletek za dużo.

– O czym ty mówisz?

– Trochę się pomyliła. Za dużo małych czerwonych, takich czy innych; każdemu może się to przytrafić. Teraz posłuchaj, ona czuje się już dobrze, mówią, że wypuszczą ją jutro, najdalej pojutrze. Nie chciała, żebym do ciebie dzwoniła, i właściwie miałam tego nie robić, ale potem pomyślałam: Co jest, u licha, nigdy nikogo nie słucham, dlaczego teraz ma być inaczej? A zresztą, matka powinna wiedzieć o takich rzeczach.

– Gdzie ona jest? W którym szpitalu?

– U Świętego Wincentego. Jestem teraz tutaj.

– Zaraz tam będę. Cassandra?

– Mmm-hm?

– Zostaniesz przy niej, do czasu aż przyjadę?

– Przecież nie mogę zostawić teraz mojej córki samej, prawda?

– Co takiego?

– Figura retoryczna. Teraz, kochanie, wsiadaj do tego swojego samochodu i ruszaj.

– Będę tam w ciągu godziny.

– Nie pędź na złamanie karku, kochanie. Ona naprawdę dobrze się czuje, powiedziałałabym ci, gdyby było inaczej. Dziewczyny od czasu do czasu popełniają błędy. Mary?

– Tak?

– Z dzieckiem też wszystko w porządku. Kiedy już tu przyjedziesz, musimy poważnie porozmawiać z tym dziewczęciem na temat tego, jak ona postępuje w swoim stanie. Będziemy jej suszyć głowę bez litości...

– Z dzieckiem?

– Posłuchaj, po prostu tu przyjeźdź. Dziewczyno, masz trochę do nadrobienia.

Zoe, wychudzona i szara, spała na szpitalnym łóżku. Mary patrzyła na nią, starając się rozpoznać w niej swoją córkę. Dziewczyna leżąca na łóżku miała twarz pozbawioną wyrazu, mogła być kimkolwiek. Była chuda, nieszczególnie ładna, miała proste i niezbyt czyste włosy, teraz rozrzucone na poduszce. Mary uświadomiła sobie, że przygląda się dłoniom Zoe. Jej twarz, woskowożółta, pogrążona we śnie, kojarzyła się z eksponatem do pokazów, jak ściśle skóra może przylegać do czaszki. Wpatrywała się w dłonie Zoe i w nich ujrzała córkę, rozpoznała ją po rozprostowywaniu i kurczowym zaciskaniu palców, które Mary dobrze pamiętała. W tych niespokojnych dłoniach skryło się roczne niemowlę, śniące swoje sny na kolanach matki. Ileż to razy w jej nogach przestawała krążyć krew, ponieważ nie odważała się zmienić pozycji w obawie, że obudzi Zoe i zacznie się kolejna godzina nieutulonego płaczu, który zdawał się nie mieć przyczyny.

Wciąż jeszcze przypatrywała się rękom córki, kiedy usłyszała za plecami czyjś głos:

– Mary?

To był mężczyzna w sukience.

Stał w świetle szpitalnych lamp, wysoki, z umalowanymi na czerwono ustami i ogromnymi, czarnymi wachlarzami sztucznych rzęs. Miał perukę z czarnych włosów upiętych na czubku głowy i czerwoną suknię do kadryla całą w siateczkach, szyfonach i czerwonych koronkach.

– Tak?

– Jestem Cassandra.

Mary była kompletnie oszołomiona. Poczowała, że ziemia usuwa się jej spod nóg, tak jak tamtego dnia, w biurze Constantine'a, kiedy zorientowała się, że on ma romans z tłąstą, brzydką Magdą. A więc to była Cassandra, wypowiedziała w myślach te słowa. Jej córka przedawkowała, a to była kobieta, z którą tak przyjemnie rozmawiało się przez telefon.

– Przykro mi z powodu tego wszystkiego – tłumaczyła się Cassandra. – Nie miałam czasu się przebrać. To nie jest strój, w którym zwykle chodzę na oddziały doraźnej pomocy.

Mary skinęła głową.

– Cassandra – powtórzyła.

– Och, wiem, wiem. Życie ma w zanadru mnóstwo niespodzianek. Rozmawiałaś z lekarzem?

– Tak.

– No i co, miałam rację? Nic jej nie będzie.

– Ale co się stało?

– Nie zamierzała bawić się w Marilyn, jeśli to masz na myśli. Jestem o tym przekonana. Tak jak ci powiedziałam przez telefon, to była zwyczajna pomyłka. Ale ona musi z tym skończyć. Wiesz, jacy są młodzi, uważają, że nie może im się stać nic złego.

Mary miała wrażenie, że zawisała pod sufitem i unosi się w powietrzu, obserwując siebie, stojącą przy łóżku śpiącej córki i rozmawiającą z wysokim mężczyzną w czerwonej sukience. Ta Mary, która stała przy łóżku, zadawała pytania i domagała się odpowiedzi.

– Chyba wspominałaś coś o dziecku? – zapytała.

– Sądziłam, że wiesz. Zapewniała mnie, że ci powiedziała. „Co masz zamiar zrobić, ukrywać dzieciaka przez pierwsze osiemnaście lat?”, pytałam. „Nie jesteś Lucy Ricardo, daj sobie spokój z błazeńskimi pomysłami”, powtarzałam.

– Od jak dawna jest w ciąży?

– Od czterech miesięcy.

– A ojciec dziecka?

– Nie miałam przyjemności poznać.

– No tak – westchnęła Mary.

Stała tam w tym samym miejscu. Nie płakała. Nie wykonała najmniejszego ruchu.

Cassandra położyła dłoń na jej ramieniu. Dłoń była miękka i lekka, a Mary z uczuciem zdziwienia stwierdziła, że ten dotyk nie budzi w niej odrazy.

– Wiem, kochana – powiedziała Cassandra. – To zbyt wiele na jeden raz.

Część 3

WŚRÓD DŹWIĘKÓW MUZYKI

Magda nie była ideałem piękności, nie takim, jakie lansowano w kolorowych czasopismach, które lubili mężczyźni. Nie należała do takich kobiet, za jakimi się uganiali: chudych, bez bioder i z płaskim biustem, i z gniazdem z włosów przypominających wate cukrową na patyku. Mary, owszem, ona zaliczała się do tego rodzaju piękności. Miała żurnalowe paznokcie, uda, które nie stykają się ze sobą. Constantine dobrze to znał, miał z tym do czynienia. Wiedział niejedno na temat tęsknot, jakie kryją się po drugiej stronie. Wiedział o pruderyjności stolików nocnych. Poznał gwałtowny, niepohamowany gniew, na który nie było lekarstwa, ponieważ nie miał on przyczyny, niczego, do czego można byłoby dotrzeć, poza zwykłymi faktami o ciężko pracującym mężczyźnie i kobiecie, która uznała, że uroda daje jej prawo oczekiwać więcej, niż świat miał do zaoferowania. On dobrze to znał, być może właśnie tym różnił się od innych mężczyzn. Już miał to, do czego większość z nich dąży przez całe życie. Być może wiedział coś, o czym tamtym nawet się nie śniło. Może przetaił sobie drogę do pewnego rodzaju wiedzy, posiadał nadzwyczajną zdolność widzenia elementów, które nie mieściły się w kanonach zwykłej piękności.

Więc dobrze. Skoro Mary miała się z nim rozwieść z powodu Magdy, zabrać dom, który on zbudował, a także okazałą część jego comiesięcznych zarobków, skoro miała podburzać dzieci przeciwko niemu... Proszę bardzo. Miał na to odpowiedź, prostą i prawdziwą. Jego miłość do Magdy była nadzwyczajna. Nie miała nic wspólnego ze zwykłą miłością pożalowania godnego nieudacznika, odchodzącego od żony dla blond tygrysicy, która zostawi go, jak tylko trafi jej się coś lepszego. Jego miłość była zupełnie inna i jeżeli ktoś nie potrafi tego zrozumieć, jeżeli wciąż jest tak niepewny siebie, że musi paradować z królową balu naturalnego u boku, to trudno, tym gorzej dla niego.

Constantine, kiedy był u siebie, w wynajętym mieszkaniu, odtwarzał swoje stare płyty i myślał o Magdzie. Słuchał Toma Jonesa, Engelberta Humperdincka. Słuchał ich w samotności, ponieważ jego dzieci, nawet Susan, dokuczały mu z powodu jego gustu muzycznego, a on ostatnio nie lubił, gdy się z niego naśmiewano. W porządku, nigdy nie lubił, kiedy się z niego żartowało, ale ostatnio wpadał w szal, jeśli ktokolwiek bawił się jego kosztem, uczynił choćby najmniejszą uwagę, która mogłaby sugerować, że on jest obiektem żartów. Mary tylko na to czekała – każdy jego napad wściekłości wykorzystywała jako kolejny argument w podburzaniu dzieci przeciwko ojcu. Toteż swoich płyt słuchał, gdy był sam, po pracy. Tom Jones śpiewał: „It's not unusual to make love at any time”⁸. Trzymał płyty w szufladzie, poza zasięgiem wzroku, gdyby któreś z dzieci zjawiało się z niezapowiedzianą wizytą i zaczęło przeglądać jego kolekcję, nie miałyby powodów, by go krytykować. Już tego wystarczy. Teraz chciał tylko, by go kochano.

Chciał, by go kochano. Cóż w tym złego?

Poślubił Magdę w kościele św. Bartłomieja, największym kościele episkopalnym w sześciu okręgach. Do diabła z katolicyzmem, z jego klątwami, jego odkupieniami, nawoływaniem do pogodnego znoszenia niedoli, co podobno jest jedyną cnotą na ziemi. Do diabła z greckim Kościołem prawosławnym jego dzieciństwa, z welonami, tajemnicami i przydrożnymi kapliczkami. Członkowie Kościoła episkopalnego rozumieli, że Chrystus przyszedł na ziemię, by słać ciało, żeby powiedzieć nam, że nie ma nic złego w tym, że się jest człowiekiem; że pożąda się rzeczy, że jest się bogatym, dopóki zachowuje się pokorę i pamięta o tym, że wszystko trzeba będzie i tak zwrócić, kiedy nadejdzie czas. Tak więc Constantine nalegał na episkopalny ślub, a matka Magdy, stara katoliczka, której życie wskutek artretyzmu ograniczało się do oglądania telewizji i żartobliwych utyskiwań, nie zdołała wysunąć żadnego argumentu, z którym by sobie nie poradził. Jeśli potrafił

⁸ „To nic niezwykłego kochać się o każdej porze dnia”.

przechytrzyć inspektorów okręgowych i całe zastępy nieuczciwych robotników, mógł też przekonać chorą, pogodnie usposobioną, starą Węgierkę ubraną w szlafrok w kolorze czerstwego chleba. Poza tym ona nie była w ciemną bita. Potrafiła rozpoznać dobrą okazję, jeśli się nadarzała.

Constantine i Magda zorganizowali najwspanialsze wesele, jakie kiedykolwiek widział kościół św. Bartłomieja. Na uroczystość ścięto tysiąc białych gladioli. Upieczono tort prawie półtorametrowej wysokości i udekorowano go białymi cukrowymi różyczkami, łabędziami i dzwoneczkami, a na samej górze przyozdobiono figurkami panny młodej i pana młodego – z porcelany, nie plastiku – z uszczęśliwionymi twarzami, choć o niewyraźnych rysach, i identycznymi czerwonymi usteczkami. Na suknię Magdy poszło czterdzieści metrów białej koronki, zrobionej przez belgijskie czy może francuskie zakonnice, całe mnóstwo białego jedwabiu i szyfonu, do tego białe cekiny i perły nie większe niż oko wróbla. Mary opowiadała kiedyś Constantine’owi o tak zwanym zakazanym ścięgu, chińskim wynalazku, który był haftem tak misternym, że trzeba było zakazać kobietom jego wykonywania, ponieważ traciły wzrok nad igłą. Kiedy Constantine stał przy ołtarzu, spojrzął na Billy’ego, swego drużbę, jedynego syna i spadkobiercę, który ostatnio nabral tężyzny fizycznej, a teraz stał nadąsany w zbyt ciasnym, wypożyczonym smokingu. Krew zaczęła mu pulsować w skroniach. Wiedział, kim jest Billy, ale nie potrafił wypowiedzieć tego słowa, nawet w myślach. Stał oto przed gośćmi, którzy przybyli na uroczystość razem ze swoim dobrze zbudowanym, zniewieściałym synem, nieco dalej, w pierwszej ławce siedziała Zoe z małym czarnym bękartem, a obok niej Susan – doskonała Susan, która prawie się do niego nie odzywała – ze swoim przydupasem mężem i ich synem, jego wnukiem o jasnej twarzą, wystrojonym w miniaturowy granatowy garniturek. Jego wnuk. W wieku trzech lat dzieciak potrafił już napisać własne imię, rzucić piłką do softballu na tyle mocno, że gdy się ją złapie, ręka piecze z bólu. Wprawdzie jak na swój wiek był zbyt poważny, ale umiał wyraźnie okazać, że dobrze zna swoją wartość. To była przyszłość, na którą zapracował Constantine, ten dobrze zbudowany, uczuciowy chłopiec o greckiej, wydatnej szczęce i szeroko rozstawionych amerykańskich oczach. Przynajmniej to jedno pnącze wynurzało się z kłębowiska proste, autentyczne i silne. Stojąc przy ołtarzu, Constantine poczuł rozpierające szczęście, takie jak dawniej, zrodzone z bolesnej świadomości porządku zmieniającego się w nieodgadniony sposób. Cierpiał, być może nawet w pewnym sensie zawiódł, ale teraz stał tutaj, przed ołtarzem ogromnego kościoła, w smokingu, wielki i dumny jak lew. W porządku, a więc niech się wszystko zaczyna, pomyślał. Jak gdyby w odpowiedzi na tę wydaną w myślach komendę rozległy się dźwięki marsza weselnego, a Magda w sukni mieniącej się niczym księżycowy ogród ruszyła w jego stronę po czerwonym dywanie rozłożonym wzdłuż głównej nawy kościoła. Pomyślał, że... niech będzie, może i to trochę dziwne, ale jednak pomyślał, że podoba mu się taki porządek rzeczy: szwaczka traci wzrok, by dzięki temu mógł nastąpić ten wielki moment, na który składają się witraże i muzyka, proste jak struny białe gladiole, jasne i czyste, przypominające pochodnie płonące w wielobarwnym półmroku kościoła. Miało to coś wspólnego ze zmartwychwstaniem, z uwolnieniem się od świata cichych. Było mu w pewnym sensie przykro, ale też uważał to za słuszne, że ten przepych, który stworzył, ta wspaniałość musiała powstać kosztem tego świata. Niektórzy ludzie znajdowali miłość i wielkie pocieszenie. Niektóre kobiety traciły wzrok nad igłą. Taka była kolej rzeczy. Materii nie można ani stworzyć, ani zniszczyć, można ją tylko przekształcać. Trochę więcej w jednym miejscu oznacza trochę mniej w innym.

Mary podeszła do okna i wyjrzała na resztki zdewastowanego ogrodu Constantine'a. W ten sposób dała upust swojej złości, potrzebie niszczenia. Dom pozostał nieskazitelny, łóżka pościelone i zamiecione podłogi, blat stołu w jadalni wypolerowany do połysku, gotowy, by przy nim zasiąść, chociaż sama jadała posiłki w kuchni albo przynosiła je na tacy i mościła się przed telewizorem. W ogrodzie Constantine'a nie dotykała niczego. Przyglądała się w zasadzie obojętnie, choć z pewną irytacją, jak na krzakach dojrzewają i pękają pomidory, jak wędnie fasola i brązowieje bazylia. Obserwowała, jak pędy cukinii rozrastają się i zajmują coraz większy obszar ogrodu; same cukinie były karykaturalnie spuchnięte, o twardym jak drewno miąższu, wielkie niczym nasiąknięte wodą kije baseballowe, niejadalne. Potem przyglądała się, jak obumierają – opadając ciężko jedna na drugą, usychając – aż wreszcie nie pozostało z nich nic oprócz suchych liści skruszałych pod wpływem pierwszych mrozów, i jak dynie, długie i zwiotczałe, stają się zupełnie bezużyteczne. Mary okryła krzaki róż, obłożyła torfem cebulki wieloletnich kwiatów, przycięła martwe gałęzie na gruszy. Dbała z największą starannością o każdą inną ożywioną rzecz, ale nie dotykała ogrodu Constantine'a, nie uczyniła nawet tyle, aby wejść do tej jego niewielkiej, zrujnowanej świątyni. Kiedy przyszła zima, śnieg przysypał szerniałe główki sałaty, przykrył wszystko to, co stało się zbyt cuchnące dla królików. Podmuchy wiatru poprzewracały tyczki na fasolę. Pewnego wietrznego dnia na początku grudnia Mary wyjrzała przez okno w chwili, gdy wiatr wywiewał ponad płotem w niespokojną, mroźną szarość niewielkie, wijące się pnące winorośli z jednym brązowym liściem o idealnym kształcie wachlarza.

Jamal zjadał niebo. Otwierał usta tak szeroko, że u nasady żuchwy czuł delikatne chrupnięcia, kiedy wciągał w siebie tę pulchną, ciężką biel, która unosiła się i wirowała wokół niego. Na języku znikala bez śladu. Biegał w kółko, zjadając skrawek gęstego, białego, spadającego nieba, i wyobrażał sobie, jak się nim stopniowo wypełnia, zimnem i oddaleniem, ogromną, iskrzącą się pustą przestrzenią.

– Jamal. – Cassandra, w niebieskich okularach i białej marynarce, właśnie zbliżała się do niego.

Jamal ostatni raz nabrał pełne usta bieli. Spojrzał żałośnie na całe to niebo, którego nie będzie mógł już zjeść.

– Chodźmy, kochanie. – Cassandra, olbrzymia w swoich butach, stała już przy nim. – Wszyscy są gotowi.

Jamal się nie poruszył, czekał. Zjadł część tej białej ciszy, ale tak wiele jej jeszcze pozostało.

– Ładnie, co? – powiedziała Cassandra. Położyła swoją dużą dłoń na jego głowie. – Jeśli się lubi przyrodę. Ja na przykład teraz wolę bar albo mieszkanie, miejsca, gdzie można trochę operować światłem. Dzień jest dla młodych. Ale już chodź do środka, twoja babcia wychodzi z siebie.

Jamal chwycił ją za rękę. Była niemal gorąca, grudkowata od pierścieni. Płatki śniegu osiadały na Cassandrze na marynarce i znikaly. Kiedy prowadziła go z powrotem do domu, otworzył szeroko usta i zjadł jeszcze trochę nieba.

– Zobaczysz, zmienisz się w kamień, jeśli nie wyjedziesz z Connecticut, zanim zrobi się zupełnie ciemno – zrzędziła Cassandra. – Zaraz, chwileczkę, to nie jest prawda. Obiecałam twojej babci, że przestanę przy tobie koloryzować, martwi się o twoje poczucie rzeczywistości. Wycofuję to, co przed chwilą powiedziałam. Nie obrócisz się w kamień, jeśli pozostaniesz w Connecticut po zmierzchu. Będziesz sobie żył dalej, tyle że w Connecticut.

Jamal napełniał usta, zostawiał za sobą ślady. Ukazał się biały dom, z białymi liniami na czarnych okiennicach. Na tle żółtych kwadratów okien wirowały płatki śniegu.

– Jesteśmy! – zawołała Cassandra w kierunku kuchennych drzwi.

W środku było ciepło i panowało mnóstwo reguł. Babcia wyszła z kuchni i przykucnęła przed nim.

– A więc wreszcie jesteś – powiedziała. Na jej twarzy pojawił się blady, bolesny uśmiech. Była ciemniejsza od Cassandry, bardziej szczęśliwa i bardziej zmartwiona. Ona i Cassandra miały takie same usta. – I coś ty najlepszego zrobił! Jak mogłeś wyjść bez rękawiczek – utyskiwała babcia.

– Gnał go wewnętrzny przymus – wyjaśniła Cassandra.

– Ma lodowate ręce. – Twarz babci zmarszczyła się. Zamartwianie się sprawiało jej przyjemność.

– Jamal, chodź do kuchni – powiedziała Cassandra. – Rozgrzejemy te twoje małe łapki.

– Naprawdę nie możesz wybiegać z domu na wpeł ubrany – irytowała się babcia. – Jest strasznie zimno.

– Święta prawda – potwierdziła Cassandra. – Dziękujemy Panu za centralne ogrzewanie.

– Jamal, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Musisz trochę myśleć, nie możesz robić tego, co ci strzeli do głowy.

– Och, Mary – westchnęła Cassandra.

Babcia zamilkła – na jej twarzy wyraźnie widać było wzburzenie – i zastanawiała się, jak ma zareagować.

– Daj spokój – ucieła. – Ostatecznie to ja jestem jego babką.

– A ja matką chrzestną. Doskonale wiem, że czteroletniemu chłopcu zdarzy się od czasu do czasu wybiec na śnieg bez rękawiczek. To wcale nie znaczy, że schodzi na złą drogę.

– Cassandra... – Babcia spojrzała w dół, potem znowu do góry. – Niech będzie – powiedziała. Przełykała twardą kulkę gniewu i zmartwienia o słodko-kwaśnym smaku. – Jedźmy już.

Jamal pozwolił babci wziąć się za rękę i zaprowadzić do pokoju, gdzie wcześniej odbywało się przyjęcie. Balony wciąż podskakiwały i rozpychały się pod sufitem. Do połowy zjedzony tort odcinał się bielą od bieli stołu, na którym stał w otoczeniu ogarków świeczek. Ben siedział na swoim krześle u szczytu stołu, obok ciotki Susan. Za nimi stał dziadek, który zachłannym wzrokiem wodził po pokoju. On chciał zjeść dom. Jamal chciał zjeść wszystko na zewnątrz domu. Ben jeździł po obrusie swoją nową pomarańczową ciężarówką. Spojrzał twardo na Jamala.

– Jeszcze tu jesteś? – mruknął Ben.

Jamal skinął głową. Obydwaj, Ben i dziadek, popatrzyli na niego i od razu zobaczyli, że jest mały, ma ciemną skórę i łatwo się gubi. Czytał to w ich oczach.

– Oczywiście, że wciąż tu jesteś – powiedział dziadek. – Nie uciekłyś przecież ze swojego przyjęcia urodzinowego, prawda, kolego?

– Wszyscy myśleli, że się zgubiłeś – powiedział Ben.

Ciotka Susan dotknęła włosów Bena. Potem zbliżyła się, zawahała ułamek sekundy, zanim dotknęła włosów Jamala. Poczł najpierw ciepło jej niepewnej dłoni, a potem dotyk.

– Straciliśmy cię z oczu, kochanie – powiedziała.

Jamal skinął głową. Jadł zamrożone powietrze. Nie było go nigdzie i był wszędzie.

– Powinniśmy już ruszać – zauważyła babcia. – Wolałabym nie jechać tym czymś po zmroku.

Mówiła do dziadka, chociaż na niego nie patrzyła. Złe drogi i ciemność to nie wszystko. Było jeszcze coś, cierpliwie czekająca tęsknota.

– Mm-hm – przytaknęła ciotka Susan. – Jamal, kochanie, miło było cię gościć.

Nie wiadomo skąd wyłonił się wujek Will. Nie było go w pokoju, a potem już był.

– Hej – powiedział. – Myśleliśmy, że postanowiłeś wrócić do domu piechotą.

Jamal patrzył na dywan. Skrywali się w nim ludzie. Była tam ta tłusta Japonka z rozkrzyżowanymi rękoma. I ten roześmiany diabeł. Kiedy ponownie podniósł oczy, wuj Will wciąż stał w tym samym miejscu. Ciotka Susan uśmiechała się. Miała na sobie suknię podobną do sukni babci, tylko jaśniejszą i zapinaną na więcej guzików, i złotego ptaka na piersiach, jasnego, milczącego ptaka z ostrym dziobem.

– No, towarzystwo, w drogę – ponaglała babcia.

Jamal z przerażeniem rozejrzał się wokół, szukając Cassandry. Zniknęła, a potem się znalazła, stała za nim. Rozsiewała swój blask i zapach. Dotknął swoich włosów, a potem wziął ją za rękę. Pokój świecił się i migotał.

– Dzięki wam wszystkim – powiedziała Cassandra.

Teraz był już długi ciąg płaszczy i pożegnań. Kiedy otwarto frontowe drzwi, wiatr nawiał do środka śnieg. Jamal obserwował, jak płatki wtapiają się w deski podłogi. Myślał o tym wszystkim, czego nie zdążył zjeść. Nie wypuszczał z rąk niektórych prezentów: pomarańczowej ciężarówki, takiej samej, jaką miał Ben, i statku kosmicznego ze *Star Treka*. Wujek Will trzymał dużego wypchanego misia, którego Jamal najpierw chciał dostać, a teraz się go wstydził. Właściwie wciąż chciał go mieć, a zarazem, z bliżej nieokreślonych powodów, nim pogardzał. Miś miał czarne oczy bez wyrazu i jasnopomarańczowy język.

– Pozdrówcie Zoe, życcie jej od nas powrotu do zdrowia – powiedziała ciotka Susan.

– Oczywiście. – Babcia pocałowała ją na pożegnanie.

Ciotka Susan była podobna do jego babci, ale ciemniejsza, bardziej zmartwiona i gładka.

Ptaka polyskiwał na jej piersiach. Jamal szedł do samochodu między Cassandrą a wujkiem Willem, miał pełne ręce prezentów. Otaczały go przeplatające się fale miłości i nienawiści, którym towarzyszył stłumiony szum. Kiedy się obejrzał, zobaczył Bena i dziadka stojących na progu. Otaczały ich żółte kontury, patrzyli, jak Jamal odjeżdża. Wujek Will zajął miejsce za kierownicą, a babcia z przodu, przy nim. Jamal usiadł z tyłu razem z Cassandrą.

– No i skończyło się – oznajmił wujek Will.

– Uważam, że było miło – powiedziała babcia.

– Pewnie – przyznał wujek Will. – Było miło. Urocze kameralne przyjęcie.

Jamal obserwował płatki śniegu ocierające się o szyby. Patrzył na przesuwane się za oknem drzewa i inne samochody, i domy. Wyobrażał sobie, jak zabiera to wszystko ze sobą, jak wyciąga rękę za okno i zbiera każdy dom i drzewo, teraz, kiedy tak jadą pośród rozdmuchiwaną bielą. Myślał o tym, że zabiera to wszystko ze sobą do domu i pokazuje swojej mamie.

– Opowiedz to jeszcze raz – szepnął do Cassandry.

– Co?

– Przecież wiesz.

– Tę samą historię? – zapytała.

– Tak.

– Kochanie, chyba masz bzika.

– Opowiedz.

– Zgoda. Byłeś zupełnie nowiotki, byłeś najmniejszą istotką z małych istotek...

– Jak małą?

– Hmm. Byłeś tylko trochę mniejszy od tych kurczaków na wystawie w restauracji Lee Chow.

– Nieprawda.

– Już wiem, mamy nie zmieniać opowieści ani na jotę? No dobrze, byłeś taki mały jak szczeniaki pani Garcii. Tajemniczy Bezimienny.

– Tak.

– Zabraliśmy cię do samochodu i zawieźliśmy aż do Green River w Massachusetts.

– Jechaliście bardzo długo – wtrącił Jamal.

– Tak, długo. Ponad dwie godziny. Były inne rzeki położone bardziej dogodnie, ale twoja matka kiedyś widziała Green River i od tamtego czasu wierzyła, że ta rzeka ma w sobie magiczną siłę, wobec tego, kiedy się urodziłeś, koniecznie musiałeś być tam ochrzczony.

– Zgadza się.

– Jechaliśmy ponad dwie godziny – ciągnęła Cassandra. – Był piękny lipcowy dzień, przy drodze rosły lilie tygrysy i rudbekie. Miałam na sobie, nie chwaląc się, elegancki odświętny strój, białe skórzane spodnie, białą smokingową marynarkę i buty do pieszych wędrówek, ponieważ, kochanie, to była prawdziwa wyprawa nad tę magiczną rzekę. Twoja matka nie wybrała miejsca blisko drogi, oj nie.

– Jechaliśmy niebieskim samochodem.

– Tak. Pożyczoną toyotę, szczególnie wytworną, ale za to solidną. Jechałeś ty, twoja matka, Will i ja.

– Aha.

– Dotarliśmy na miejsce, zaparkowaliśmy, a potem nieśliśmy cię kawał drogi do rzeki.

– Jak daleko? – zapytał Jamal.

– Och, zastanówmy się, jaka jest prawidłowa odpowiedź na to pytanie? Dalej, niż gdyby iść z Canal Street do Central Parku.

– Zgadza się.

– I wreszcie dobrnęliśmy na miejsce. Fryzura twojej ciotki Cassandry była odrobinę w nieładzie, jednak ciotka okazała się prawdziwym traperem, bardzo daleką krewną Daniela

Boone'a⁹. Rzeka rzeczywiście była piękna. Duża, szeroka, wzdłuż jej brzegów rosły drzewa, i Bóg świadkiem, prawie w ogóle nie było tam ludzi, gdyż niewiele osób zdecydowałoby się na tak daleką wędrówkę tylko po to, żeby zobaczyć dokładnie to samo, co płynie z kranów w ich domach...

– Tam były ryby.

– Mhm. Pstrągi. Można je było zobaczyć. Wszyscy zdjęliśmy buty i weszliśmy do wody, która była lodowata, i ciotkę Cassandrę ogarnęło zwątpienie, ale dość szybko się z niego otrząsnęła. Woda była kryształowo czysta, a dno rzeki przykryte małymi, okrągłymi kamykami. Urocze miejsce, chociaż temperatura wody mogłaby zdenerwować Eskimosa.

– Mama mnie trzymała.

– Tak, trzymała – powiedziała Cassandra. – Weszliśmy z tobą do wody i wypowiedzieliśmy kilka słów, a Will i ja obiecaliśmy opiekować się tobą. Potem, mimo sprzeciwu twojej ciotki Cassandry, Will polał ci głowę odrobiną tej lodowatej wody, ponieważ niezależnie od wszystkiego, to był jednak chrzest.

– Rozpłakałem się.

– Jak zrobiłby to każdy wrażliwy człowiek. Płakałeś całą drogę powrotną do samochodu, a potem, jak tylko ruszyliśmy, zasnąłeś.

– I to już koniec – powiedział Jamal.

– Mniej więcej. W taki sposób ten zmęczony stary człowiek, na którego teraz patrzysz, został twoją matką chrzestną. Kochanie, świat jest przede wszystkim pełen niespodzianek.

– To już koniec – powtórzył Jamal.

– No wiesz, i tak, i nie – odpowiedziała Cassandra.

Kiedy wrócili do domu, Zoe leżała w gorączce. Przez jakiś czas czuła się lepiej, była siedzącą w pokoju kobietą, popijającą napar z rumianku, obserwującą płatki śniegu za oknem i czekającą na powrót syna. Potem wróciła gorączka i Zoe znalazła się w jej władaniu, stała się tylko gorączką, chorobą i dziwnymi rozpalonymi myślami, które pragnęły obrócić się w sny. Choroba działała jak narkotyk, ale miała ostrzejsze brzegi i więcej złośliwości w sobie. Zoe usilnie starała się zachować jasność myśli, poczucie rzeczywistego czasu w pokoju, za którego oknami padał śnieg. To był Nowy Jork, styczeń. Wyblakłe róże na fotelu próbowały się poruszyć, przybierać kształt twarzy, ale powstrzymała je i pozostały różami, różowymi i purpurowymi, nieruchomymi. Leżała na swoim materacu, obserwując te róże, i nagle oni już tu byli, przyglądała się różom zbyt uważnie, by usłyszeć, jak otwierają się drzwi. Jamal wczółgał się na materac obok niej, ochno, choć trochę niepewnie. Emanował zimnem, na włosach miał idealnie okrągłe kropelki przejrzystej wody.

– Cześć – szepnęła. – Wróciłeś.

– Dostałem statek kosmiczny – pochwalił się od razu.

Pokazał jej go, szary spodek z przezroczystą bańką na górze. Zatoczył nim szeroki łuk i poczuła jego zapach, silną woń nowego tworzywa sztucznego, nieożywioną słodycz.

– Tak jak chciałeś – powiedziała. Usłyszała swój głos, wodnistą stróżkę wypływającą z miejsca, które znajdowało się w pobliżu, ale nie w niej. – Dobrze się bawiłeś?

– Tak – odpowiedział, chociaż ona wiedziała, że nie mówi prawdy. Gdzie one uczyły się kłamać, w takim młodym wieku, chociaż nikt nawet nie prosił, by kłamały?

Matka usiadła na brzegu materaca, przyłożyła rękę do jej czoła.

– Wciąż jesteś rozpalona – powiedziała.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała Zoe. – Przez dłuższy czas czułam się lepiej, gorączka powróciła jakieś pół godziny temu.

⁹ Daniel Boone (1734-1820) – jeden z pierwszych białych Amerykanów, który przybył do Kentucky, gdzie rozpoczął budowę miasta, dając początek osadnictwu na tym terenie.

– Uważam, że powinnaś wezwać lekarza – stwierdził Will. – Jeśli ty do niego nie zadzwonisz, ja to zrobię.

– Nie, nie trzeba, czuję się zupełnie dobrze – zapewniła go Zoe. – To grypa, ludzie chorują na gripę. Jamal miał ją w zeszłym tygodniu, prawda, kochanie?

Potwierdził skinieniem głowy. Odpłynął myślami, pochłonięty oglądaniem pojazdu kosmicznego, a ona podążyła za nim. Światło lampy padało na szarą powierzchnię pokładu, na biały napis „Enterprise”. Przestrzeń kosmiczna była jasna, nie czarna. Można było lecieć dokądkolwiek.

– Idę zagrzać zupę dla Jamala – oznajmiła Cassandra. – Czy ty też trochę zjesz?

– Nie, dziękuję – powiedziała Zoe.

Pokład statku był gładki i połyskujący jak granit. Przez krótką chwilę wydawało się jej, że coś cudownego kryje się we wnętrzu tej prostej zabawki. Potem przestało się jej tak wydawać, a potem znów uwierzyła, że tak jest.

– Nie chcę żadnej zupy – zaprotestował Jamal.

– Nie ma sprawy, nie to nie – odpowiedziała Cassandra. – I tak nie chciałam ryzykować połamania paznokci przy otwieraniu puszeki.

– On powinien coś zjeść – odezwała się matka Zoe. – Przecież przez cały dzień nic solidnego nie jadł.

– Jadł tort urodzinowy, lody i pokaźną ilość śniegu – wyliczała Cassandra. – Bywają takie dni, kiedy człowiek ma ochotę wyłącznie na białe jedzenie.

– Tylko kilka łyżek zupy, Jamal – powiedziała matka Zoe.

– Nie chcę – upierał się Jamal, ale matka Zoe poszła do kuchni, żeby jednak podgrzać zupę, ponieważ tak postanowiła.

Zoe wyczuwała lęki i pragnienia kłębiące się w małej główce Jamala, jego głód, potrzebę nieodczuwania głodu, jego oczarowanie statkiem kosmicznym. Upomniała sama siebie: Jesteś jego matką. Nie możesz razem z nim zapominać o bożym świecie.

Will uklęknął obok materaca, pogładził ją po włosach.

– Martwię się o ciebie – powiedział.

– Niepotrzebnie. To tylko grypa, po co tyle hałasu?

– Od września chorowałeś już trzy razy.

– Zarażam się od Jamala, każdy, kto spędza dużo czasu z dziećmi, choruje. On i ja ciągle wymieniamy się bakteriami.

– Jednak chciałbym, żebyś mimo wszystko poszła do lekarza.

– Niepotrzebny mi lekarz – powiedziała. – Poleżę w łóżku przez kilka dni i mi przejdzie.

Cassandra przykucnęła obok Willa. I oto pochyłali się nad nią, spowici aurą smutku i miłości, dumy, nienawiści do samych siebie, złożonej niechęci do siebie nawzajem.

– A mnie się zdaje, że najlepiej ci zrobi, jak wszyscy pójdziemy sobie do diabła i zostawimy cię wreszcie samą, żebyś mogła się trochę zdrzemnąć – stwierdziła Cassandra.

Zoe uśmiechnęła się rozpalona od gorączki. Oto twarz Willa, przystojniejsza, odkąd odkrył siebie na nowo, spokojna jak ogród przeznaczony pod jedną tylko uprawę. Oto szczerą, przekorna brzydota Cassandry, ten jej ostry blask.

– Wcale nie musicie wychodzić – powiedziała Zoe, wiedząc, że niezależnie od tego, co powie, oni w końcu pójdą, czy będzie tego chciała czy nie.

Śniła. Sen wywołany gorączką, niespokojny, przeplatany lekkimi nerwowymi drgawkami strachu, który zdawał się zamieszkiwać świat, tak jak węgorze skałę. Obudziła się i leżała, oddychając ciężko, aż spośród ciemności ponownie wyłonił się pokój, jego nierówny sufit i stare meble, niebieskie okno, poprzez które słabo przeświecała zimowa gwiazda. Jamal spał obok niej. Stłumiła pokusę, by go obudzić, i nagle obudził się sam, jak gdyby usłyszał jej

myśli. Czasami tak się zdarzało. Nie potrafiła określić, czy to zaleta czy wada jej macierzyństwa. Otworzył oczy i patrzył na nią.

– Cześć – powiedziała.

Milczał. Miał przy sobie statek kosmiczny.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

Skinął głową. Podciągnęła kołdrę, żeby go przykryć. Przez okno, bladym i zimnym światłem, świeciła ta jedna jedyna gwiazda, a Zoe zaczęła śnić na jawie sen, w którym ona i jej syn ukrywali się w ruinach, w niebieskim cieniu rozpadającej się zabytkowej budowli, pośród rozbrzmiewających echem marmurów i wilgotnej płataniny winorośli, gdy tymczasem ktoś lub coś próbowało ich odnaleźć. Wizja była tak realistyczna, że przyłożyła palec do ust, ostrzegając Jamala, by zachowywał się cicho. Potem sen się urwał i uzmysłowiła sobie, że jest kobietą, która leży razem z synem w pokoju, w mieszkaniu w Nowym Jorku, jednak uczucie, że zastawiono na nią pułapkę, nie ustępowało. Nakazała szeptem Jamalowi, by spróbował ponownie zasnąć, a on, biorąc do ręki statek kosmiczny i unosząc go nad głowę, powiedział:

– Naprowadź nas na kurs.

Wołała go matka. Leżał pod łóżkiem, oddychając ciemnością, a jej głos rozbrzmiewał jego imieniem, w poszukiwaniu obiegał każdy pokój.

– Ben? Ben? Beniamin?

Skurczył się wewnątrz własnego milczenia. Nie był gotów, by się pokazać, nie teraz. Kłębiły się w nim dawne błędy, ponure myśli, przesiąknięty wilgocią i zimnem niedostatek istnienia. Chciała go widzieć w doskonałej formie. Nie potrafił spełnić jej życzenia. Nie potrafił być rozpromieniony, nie teraz, ukrył się więc i nasłuchiwał, jak woła jego imię, zaglądając do kolejnych pomieszczeń. Odpowiadało jej tylko milczenie tapety ściennej, popołudniowe światło, kobieca godność mebli. Czekał. Poczł zapach jej perfum, kiedy przechodziła obok.

Błagam, wyszeptał i wreszcie odeszła, mówiąc do jego dziadka:

– Nie ma go tutaj, być może zszedł na plażę.

Właśnie, pomyślał, plaża, i zobaczył siebie na plaży, opalonego chłopca, szczęśliwego i silnego, nieustraszonego, trzymającego muszelkę albo uszko od chińskiej filiżanki czy inny drobny skarb, który udało mu się znaleźć. Czekał tutaj, ukryty w swojej bardziej smętnej postaci – chłopiec leżący pod łóżkiem, który nie odpowiedział na wołanie matki. Po upływie kolejnej minuty wyczołgał się z kryjówki i spojrział ponad okiennym parapetem. Tam była ona, zmierzała w kierunku plaży, szukała go. Widział szczupłą, zdeterminowaną kobietę w blad różowej spódnicy, każdym ruchem zaznaczającą silne poczucie własności, jak gdyby była zaginioną oblubienicą oceanu, która powróciła domagać się swoich utraconych przywilejów.

Mamo, zawołał bezgłośnie i patrzył, jak matka oddala się dużymi krokami na poszukiwanie syna, który miał być przy niej – nie smutny ani popełniający błędy – czekać na nią z jakimś skarbem.

Kiedy się oddaliła, wdrapał się na łóżko i położył na nim, czując wokół siebie ciepło domu swojego dziadka. Kochał ten dom bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce. Jego cień padał na rosnące wokół drzewa, wszystkie tajemnice były tu nowe i czyste. Z okien sypialni rozciągał się widok na ogród, a stamtąd można było dostrzec wyraźną, niebieską linię oceanu, który z ogrodu wydawał się czymś ogromnym, prostym i niewyobrażalnie kosztownym, co zostało umieszczone tam po to, by wydobyć bardziej złożone piękno domu. Okna były z niebieskiego i czerwonego szkła. Wewnątrz wisiały żyrandole, drżące precyzyjnym bezbarwnym blaskiem, był kamienny kominek, tak duży, że Ben mógł w nim swobodnie stanąć, i pokój, który nazwał Lodowym Pałacem, z puszystymi białymi dywanami, białymi kwiatami na obrusie i białymi wiklinowymi krzesłami, które czekały w mroźnej ciszy, by ktoś na nich usiadł i mogły odezwać się ukrytą w nich muzyką lodowych trzasków i skrzypnięć. Coś jasnego i obiecującego, niewidzialnego przechodziło nieśpiesznym, pewnym krokiem, z pokoju do pokoju, jednak nie zjawa – dom był nazbyt wymuskany, by mogły zasiedlić go zjawy, za bardzo wypełniony światłem. Ale bez wątplenia dziadek i Magda mieli tutaj współmieszkańca – ożywioną energię, której Ben nadał postać białego pawia, wspaniałego, dumnego i spokojnego, który wchodzi z godnością po łuku schodów, potem kroczy wzdłuż wyłożonego wykładziną holu i zmierza do znajdującej się na trzecim piętrze wieżyczki, gdzie teleskop zwraca swoje oko na ogród i ocean, a na dachu trzepocze amerykańska flaga.

Leżał na łóżku, którego domagał się dla siebie, w małym pokoju z widokiem na drzewo, z komodą o mosiężnych uchwytych w kształcie gniewnych, oburzonych orłów. Odczekał minutę, po niej następną. Wreszcie wstał, przećwiczył przed lustrem niewinny wyraz twarzy i wyszedł na poszukiwanie dziadka.

Znalazł go na dole, w kuchni, gdzie na parapecie układał pomidory. Dziadek w granatowej koszuli wydawał się barczysty, zniszczony słomkowy kapelusz, spod którego wystawały miękkie włosy, nadawał mu łagodny wygląd.

– Cześć – odezwał się Ben i pomyślał, że jego głos brzmi zupełnie naturalnie.

Dziadek odwrócił się. Odnaczał się tą cierpliwą wielkodusznością mężczyzn w starszym wieku, którzy mają już mniejsze oczekiwania.

– Hej, kolego. Twoja mama wszędzie cię szukała.

– Byłem tu przez cały czas – powiedział Ben.

Podszedł szybkim krokiem do parapetu i wziął pomidora, który zabłysnął, ciężki i półprzejrzysty, w jego dłoni. Czuł zapach dziadka, kremu po goleniu i wyraźną, ostrą, gryzącą woń jego ciała.

– Poszła cię szukać na plażę – wyjaśnił dziadek.

Ben zważył w dłoni pomidora.

– Beefsteak – orzekł.

– Chłuba New Jersey – odpowiedział dziadek. – Chodź, pójdziemy po mamę. Lada chwila przyjedzie po was twój ojciec.

Ben niechętnie odłożył pomidora i podążył za dziadkiem. Kiedy szli w stronę oceanu, dziadek wziął go za rękę. Ben miał już siedem lat i był za duży na taki gest, jednak przystał na to, a nawet tego pragnął, ponieważ dziadek posiadał głęboko ukrytą wiedzę i bardziej prawdziwe, pełniejsze życie. Ben trzymał dziadka za rękę, idąc skrajem ogrodu. Czuł bezgraniczną radość, ogromne, niesprecyzowane pragnienie złożone z zapachu dziadka i zapamiętanego ciężaru pomidora w dłoni, jego jędrności i blasku, mięsistych nieregularności mięszu. Narastało w nim, czyste, wywołujące dreszcz – czuł pęcznienie między nogami, w głowie rozbrzmiewało mu słowo „beefsteak” – i nagle ogarnął go wstyd. Mylił się, chociaż nie potrafił dokładnie powiedzieć, co do czego. Był swoim gorszym wcieleniem, tym tchórzliwym chłopcem, który się ukrywał. Już niedługo, dosłownie za chwilę, znajdą matkę, a ona będzie się domagała, żeby był zupełnie kim innym. Kiedy przeszli przez ogród i zaczęli schodzić z boczem prowadzącym na plażę, Ben wyobrażał sobie, jak się wspina do wnętrza swojego dziadka i jedzie w nim jak żołnierz w czołgu, kierując go w stronę kobiety w różowej spódnicy, która żądała poprawności. Stała na piasku, na tle oceanu i rozglądała się dokoła.

– Hej, Susie – zawołał dziadek. – Zobacz, znalazłem.

Obejrzała się i spostrzegła go. Ben nigdy nie był pewien, ile ona wie, jak głęboko sięga jej wzrok. Nadał twarzy właściwy wyraz i puścił rękę dziadka. Ruszył w jej stronę, po drodze zaczął doganiać siebie, swoją siłę i czystość. Kiedy krzyknął: „Cześć, mamó”, jego głos brzmiał potężnie jak huk fal oceanu.

– Cześć – odpowiedziała. Nawet nie była wzburzona ani rozczarowana. Jej twarz zarumieniła się z radości na jego widok, z zadowolenia, że przybiegł. – Wszędzie cię szukam.

– Byłem w pobliżu – wyjaśnił.

To zaczynało się dziać, czuł to. Biegając, pozostawił za sobą lęki i niestosowność swojego zachowania, wymknął się im, i oto stał przed matką, pogodny chłopiec, który nie ma nic do ukrycia. Podbiegł do niej, odtańczył krótki taniec udawanej radości, podniósł kamień i cisnął go w błękitną wodę. Poczuł siłę własnego ramienia, ciepło jej radości w swoim wnętrzu.

– Chodź – powiedziała. – Twój ojciec lada chwila tu będzie, a my nie jesteśmy nawet w połowie gotowi.

Ben rzucił następny kamień i jeszcze jeden. Odtańczył na plaży szaloną gigę dla uczczenia własnego życia, tego, które jemu się należało.

– No chodź już – ponagliła matka, ale on wiedział, że drobne nieposłuszeństwa, niepoohamowana energia składają się na jego urok.

Dziadek chciał położyć swoją dużą, brązową dłoń na ramieniu matki, ale ona się cofnęła. Podeszła do Bena i z czułością i bezgraniczną dumą dotknęła go z tyłu głowy.

– Nie mogłam cię nigdzie znaleźć – powiedziała cichym, drżącym głosem, jak gdyby była to ich wspólna tajemnica, o której dziadek nie mógł się dowiedzieć. Ben podniósł kamień i trzymał go w ręku. Ocean iskrzył się białymi plamkami, niezłomną siłą. Stał obok matki, patrząc w dal, przed siebie. Trzymał w dłoni kamień.

– Trzeba już iść – powiedział dziadek, a Ben poczuł, jak jego głos działa na skórę matki, jak pozostawia na niej drobne zadrapania.

Rzucił ostatni kamień, który odbił się raz, dwa razy, i pobiegł w górę plaży. Uwielbiał czuć na twarzy pęd powietrza, późnopołudniowe promienie słońca i wiatr. Gdy biegł, pozostawiał za sobą drobne błyski, przeciwieństwo przesuwających się cieni, jaskrawe refleksy, które zdawał się wzbudzać, jak gdyby ostre światło odbijało się od ostrza noża. Pędził w stronę domu, wiedząc, że będzie zasługiwał na to, żeby go szukać. Pomyślał, żeby pobiec aż do pokoju w wieżycy, by aż tak dalece zaostrzyć ciekawość matki, ale kiedy znalazł się w holu, zastał w domu Magdę wkładającą do swojej torebki kluczyki do samochodu. Najmniejszy jej ruch powodował ciche pobrzękiwanie i iskrzenie. Zwróciła w jego stronę twarde, oślepiające światło swojego zainteresowania. Spojrzała na niego. Wycelowała w niego reflektor; znała nazwy wszystkiego.

– Cześć – powiedziała. Przeniosła wzrok z Bena z powrotem na wnętrze torebki, gdzie jej oczom ukazywał się miniaturowy świat, z którego czerpała więcej zadowolenia i który dawał jej więcej swobody niż ten większy.

– Cześć – powiedział Ben.

Magda, jedyna spośród wszystkich znanych mu dorosłych, nie czuła, że musi mówić czy robić cokolwiek, by on darzył ją sympatią. Z tej przyczyny, a także z kilku innych, ją kochał. Niczego nie potrzebowała ani od niego, ani od nikogo innego. Była bogata, silna duchem i wyzywająco, ekstrawagancko tłusta.

– Byłem na plaży – poinformował ją głosem, w którym brzmiała nuta natarcywego przekonania, jakby musiał jej coś wytłumaczyć, dokładnie umiejscowić siebie.

Magda miała ogromne piersi, które unosiły się przy każdym jej oddechu, i kwadratową głowę. Czasami wydawała mu się duchem proroczym i głosem wulkanu.

– Ta plaża jest pełna potłuczonego szkła – stwierdziła. – Nie mam pojęcia, skąd się ono bierze.

Zamknęła z trzaskiem torebkę, z jej piersi wydobyło się dudniące westchnienie, pod wpływem którego, jak się zdawało, wprawiony w ruch żyrandol, kołysząc się i pobrzękując, prezentował swą zdolność załamywania i odbijania światła. Magda porzuciła przyjemny mały świat torebki dla świata pełnego potłuczonego szkła, który wymagał umiejętności surowego osądu i powściągliwości.

– Zawsze jestem ostrożny – zapewnił Ben, czując się tak, jakby rzucił w czeluść krateru zbyt skromną ofiarę: kwiat hibiskusa, owoc granatu.

– Jesteś głodny? – zapytała tonem, który sugerował, że głód jest ściśle związany z ostrożnością. Jej pytanie było dla Bena zagadką, z prawidłową i nieprawidłową odpowiedzią.

– Nie – powiedział z wahaniem, a ona skinęła głową. Wybrał właściwą odpowiedź.

Magda miała w uszach duże perły o nieregularnym kształcie, małe opalizujące kuzynki pomidorów dziadka. Diamentowa jaszczurka, zastygła bez ruchu, przyczaiła się na wzniesieniu jej piersi. Diamenty na jej palcach odpowiadały na niespokojne pobłyskiwania żyrandola. Kiedyś Ben pojechał z nią do sklepu jubilerskiego w Nowym Jorku i miał okazję zobaczyć, że znalazła tam takie samo zadowolenie, jakiego dostarczało jej wnętrze torebki. Sklep był elegancki, wytworny, wypełniony chłodną, tchnącą bogactwem ciszą. Ben pomyślał wtedy, że Węgry, skąd pochodziła Magda, z pewnością są takie jak ten sklep jubilerski i wnętrze jej torebki. Tęskniła za światem bezpiecznym i połyskującym przepychem, wyściełanym aksamitem.

– Gorąco dzisiaj – powiedziała.

- Uh-mm.
- Chyba napiję się wody sodowej. Chcesz trochę?
- Poproszę – powiedział, a ona uśmiechnęła się do niego niewyraźnie.

Magda stanowiła skończoną całość. Nawet jeśli miała braki, każdy z nich był wyraźnie wyodrębniony – kupowała wszystko, czego potrzebowała.

Na to weszli matka Bena i dziadek, i w jednej chwili nastąpiła zmiana. Magda, słysząc, że wchodzi kuchennymi drzwiami, spojrzała na Bena w taki sposób, jakby ukrywał przed nią jakąś informację, wiadomość, którą mogłaby wykorzystać w swojej walce z chaosem i zaskoczeniem. Z żalem odłożyła torebkę na złożony stolik i skierowała się do kuchni im na spotkanie. Ben podążył za nią.

Dziadek pokazywał matce Bena jeden z pomidorów. Kiedy weszła Magda, Ben dostrzegł, jak jego matka przenosi wzrok z pomidora na nią, i zrozumiał, że to, co się dzieje tutaj, jest przyczyną wszystkiego innego, za sprawą niewidzialnych nici oskarżeń i skutków. Magda w jakiś sposób była skazą pomidora.

- Cześć – powiedziała pogodnym głosem matka Bena.
- Cześć – odpowiedziała Magda.

Dziadek podszedł i pocałował zimny, upudrowany policzek Magdy. Usta matki Bena ułożyły się w linię, ściągnął je skurcz uśmiechu.

- No i co tam – zagadnął dziadek. – Wszystko już wykupiłeś ze sklepów?

Na twarzy Magdy pojawiło się zniecierpliwienie i lekceważenie, jak gdyby ktoś przestawił w niej mechanizm na inny cykl działania, tak jak w samochodzie zmienia się bieg z przedniego na wsteczny. Plaża była pełna potłuczonego szkła; mewy niszczyły gonty dachu.

- Nie mogłam znaleźć sukienki dla siebie – odparła. – Same szkaradzieństwa.
- W przyszłym tygodniu wydajemy kolejne wielkie przyjęcie – wyjaśnił z dumą dziadek.
- Z okazji jednej z tych charytatywnych akcji Magdy.
- Nowotwory – dorzuciła Magda i wyraz zadowolenia powrócił na jej twarz.
- Mm – mruknęła matka Bena.
- Tym razem to duża sprawa – puszył się dziadek. – Namioty, orkiestra. Armia wrózek z kwiatami, przystawki.

Matka Bena zerknęła na zegar.

- Nie mam pojęcia, dlaczego Todd się spóźnia – niecierpliwiła się.

Magda była skazą pomidora, rak był skazą Magdy, a za wszystko – Magdę, raka i potłuczone szkło wyrzucane na plażę przez fale – ponosił winę dziadek, stojący w zniszczonym słomkowym kapeluszu, z wyrazem dumy i szczęścia na twarzy. Jego Ben kochał najbardziej ze wszystkich.

– Anna próbowała mnie namówić na zieloną kieckę – powiedziała Magda. – Szyfonową, z cekinami. Ohyda. Nic tu nie ma godnego uwagi, jutro będę musiała pojechać do Nowego Jorku.

– Tak, w Nowym Jorku jest naprawdę mnóstwo sukienek – przyznała matka Bena. – Och, spójrzcie, już jedzie.

Samochód ojca sunął wzdłuż podjazdu. Cienie liści padały na lśniąca karoserię, rdzawoczerwone boki, Ben poczuł ucisk w żołądku. Wkrótce znów zostanie sam z rodzicami.

- Weźcie ze sobą pomidory – powiedział dziadek.

Sięgnął po brązową papierową torbę, szybkim, wprawnym ruchem potrząsnął nią, by się otworzyła. Dziadek zawsze wiedział, co robi. Był miłszy od Magdy, ale podobnie jak ona potrafił zapewnić sobie wszystko, czego potrzebował. Kochał swoje pomidory, swój dom. Wkładał pomidory do torby, jeden i drugi, i trzeci. Była tylko jego silna, ogorzała od słońca ręka i mięsista krągłość pomidorów, które tak bardzo kochał. Ben ponownie poczuł narastające emocje, poruszenie w kroczu i wiedział, że za chwilę może znaleźć się w

niewłaściwym stanie, w beznadziejnym położeniu. Uratował się, wybiegając ojcu na spotkanie.

Ojciec Bena zaparkował samochód i właśnie z niego wysiadał. Przywiózł ze sobą swe surowe poświęcenie, swoją bezgraniczną dobroć. Ben podbiegł do niego i znalazł się w zasięgu prawości ojca, jego surowości i codziennych trudów. Na chwilę syn i ojciec stali się jedną osobą. Potem ojciec zapytał: „Cześć, kolego, jak leci?” i dźwięk jego głosu wystarczył, by ich rozdzielić. Ojciec wiódł życie złożone z oczekiwania. Ben był tym, na którego czekał.

– W porządku – odpowiedział Ben. Zatrzymał się pomiędzy dwoma stanami, tym straconym i tym, który można było zobaczyć. Poczł przyływ tchórzliwej miłości, ale przemógł się i powiedział: – Ćwiczyłem rzuty wolne. Siedem celnych na dziesięć.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Doskonale.

Ojciec miał gładką skórę, był barczysty, spragniony szczęścia. Ben dawał mu wszystko, co udało mu się znaleźć.

– Chciałbym, żeby dziadek podniósł bramkę – powiedział. – Jak najwyżej.

– Uważasz, że jesteś na to gotowy?

– Uh-huh.

Ben zaatakował powietrze gradem ciosów. Tańczył dla matki, dla ojca okładał pięściami powietrze. Ojciec miał przystojną twarz, ciało niespokojne i pełne gracji niczym jacht. Jego oczy poddawały ocenie to, co widziały, niezwłocznie wydawały osąd.

– Uspokój się, kolego. – Głos ojca był przepełniony taką radością, że Ben w przyplwywie nowej energii zaczął boksować powietrze z gwałtowniej udawanym zapalem. Ojciec uśmiechnął się, rozjaśnił przyszłość cienkim promieniem miłości. Będzie startował w wyborach do senatu. Będzie pewną ręką prowadził samochód, będzie zadowolony z jedzenia, odnajdzie ukojenie w swojej pracy.

– Czy mama jest w środku? – zapytał.

– Aha.

– Jesteście gotowi do wyjazdu?

– Tak.

Ojciec dotknął jego ramienia, Jego dłoń dawała do zrozumienia, że nadeszła pora, by się uspokoić i zacząć poruszać z precyzją i skromnością. Ben wyobrażał go sobie w pracy, jak dotyka ludzi, komputerów, telefonów, apelując o pomoc w jego marszu do przodu, o wsparcie w tworzeniu surowszego świata, który będzie nagradzał dobrych, a unicestwiał złych. Ben przestał młócić powietrze. Razem z ojcem wszedł do domu, gdzie czekała matka.

Powiedziała jego ojcu, że bardzo się cieszy, że go widzi. Pocałowała go w usta, szybko, żeby mieć już to za sobą, i wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne.

– Jak się masz, Todd – przywitał go dziadek i obydwaj wymienili uścisk dłoni w męski sposób, sygnalizując sobie nawzajem pokojowe zamiary i demonstrując siłę.

Magda również uścisnęła mu dłoń – nie miała w zwyczaju całować ani mężczyzn, ani kobiet – a Ben widział, że myśli o sklepach jubilerskich i wnętrzu swojej torebki, o spokojnej doskonałości złota i czerni. Była pochłonięta cichą kontemplacją porządku. Jutro pojedzie do Nowego Jorku, w którym jest mnóstwo sukienek.

– Musimy się zbierać, kochanie – powiedziała matka Bena do jego ojca. – Późno przyjechałeś.

Ojciec Bena wzruszył ostentacyjnie ramionami, na użytek dziadka. Obaj byli pracującymi mężczyznami bez winy, próbującymi przetrwać w świecie kobiet. Dziadek jednak nie zareagował. Ponownie wydał z siebie ten dźwięk – hwrack hwrack hwrack – i głośno cmoknął w policzek matkę Bena.

– Wzięliście pomidory? – zapytał ją.

– Tak – zatrzeszczał jej głos.

Magda była skazą pomidora; nowotwór zaatakował panią Marshall, sąsiadkę.

– Uściśnij mnie – powiedział dziadek, i Ben poddał się jego dużym, szorstkim rękom.

Owionął go zapach wody kolońskiej dziadka, słodka i ostra, piżmowa woń jego oddechu. W ramionach dziadka mógł przestać być Benem. Mógł bez skрэpowania być nikim.

Potem uścisk się zwolnił i Ben znów znalazł się w otoczeniu wymagań zwykłego dnia. Magda pocałowała go w policzek, zajęta myślami o nowotworach i sukienkach, o utraconym bezpieczeństwie innych krajów. Poszedł z rodzicami do samochodu, usadowił się na tylnym siedzeniu i obserwował, jak dom dziadka znika wśród rozmytych, migoczących świateł innych domów, pozostaje wśród pól obsadzonych ziemniakami.

– Jak było? – zapytał ojciec Bena jego matkę.

– W porządku – powiedziała. – Jak zwykle. Wolałabym, żebyś się nie spóźniał.

– Robię, co mogę.

– Magda jeszcze przytyła. Jest wielka jak dom.

– Twój ojciec chyba lubi odrobinę ciała – zauważył ojciec Bena.

– Proszę, nie żartuj na ten temat. Na każdy inny, ale nie ten.

Matka Bena zdjęła okulary przeciwsłoneczne, wytarła je w spódnice i założyła z powrotem. Odwróciła się do Bena.

– No i już po wszystkim, kochanie – powiedziała. – Mamy to za sobą. Co byś powiedział, gdybyśmy pojechali na kolację do P. J.?

– Pewnie, możemy – odpowiedział pewien, że jego zadowolenie sprawiło jej przyjemność.

Samochód jechał pośród cieni liści i słonecznych plam. Jego matka znów była szczęśliwa, bezpieczna. Nucila sobie pod nosem melodię, która była jej radością przełożoną na muzykę.

– Czuję taką ulgę – powiedziała do ojca Bena. – Jestem wreszcie z dala od tamtego miejsca.

– Spełniłaś swój obowiązek.

– Wiesz, co teraz wymyślili? Fontannę. Kiedy wejdiesz frontowymi drzwiami, pierwszą rzeczą, którą zobaczysz, będzie gipsowy delfin plujący wodą do muszli.

– Każdy ma swoje upodobania.

– To żenujące. Za kogo oni się uważają, za króla Salomona i królową Saby?

Ben siedział na tylnym siedzeniu, trzymając na kolanach torbę z pomidorami dziadka. Wsunął rękę do środka. Wziął pomidora, który wciąż był ciepły od promieni słońca, i pozwolił sobie na krótką chwilę nieuwagi. Stał się milczącym, zamkniętym w sobie chłopcem, który chciał tylko zostać sam i spać.

Inicjatorką babskich spotkań była Cassandra. Na początku Mary się wykręcała, za każdym razem podając inny powód: umówione wcześniej spotkanie, zatokowy ból głowy albo nawał pracy w domu. Cassandra jednak się nie zrażała i dzwoniła z ogromną cierpliwością, wręcz z uporem (czyżby nie docierało do niej, że się ją zbywa?), aż wreszcie Mary się poddała. Tak, niech będzie, pojedzie do miasta i zje obiad z Cassandrą. Dobrze, za tydzień, licząc od najbliższego poniedziałku, o wpół do drugiej, w restauracji w Greenwich Village. Nie, z całą pewnością nie będzie miała kłopotów ze znalezieniem tego miejsca.

Cóż innego mogła zrobić? Cassandra była najlepszym i właściwie jedynym ogniwem łączącym Mary z Zoe. Z bliżej nieokreślonych powodów jej córka, jak się zdawało, ufała tej osobie. Wybrała tę osobę na matkę chrzestną (to było jej określenie) własnego dziecka, chociaż oczywiście nie był to prawdziwy chrzest i, oczywiście, Zoe nie dała się przekonać, by ochrzcić dziecko w kościele. Mary miała w związku z tym mieszane uczucia. Z jednej strony, pozostawała kwestia duszy dziecka. Z drugiej, bezsprzecznie, zdecydowana ulga, że nie trzeba iść do ojca McCauleya do św. Pawła, żeby omówić szczegóły chrztu nieślubnego półmurzyńskiego dziecka, którego ojciec Bóg jeden wie gdzie się podziewa, a matka wybrała na chrzestną mężczyznę, który z dużym prawdopodobieństwem mógłby wystąpić na uroczystości w peruce i sukience.

W poniedziałek o jedenastej rano Mary stała w sypialni, zastanawiając się, co na siebie włożyć, i pomyślała: A więc na to mi przyszło. Na tę myśl, związła i prostą, Mary, z siłą większą, niż zamierzała, opadła na zieloną obciążoną jedwabiem ławeczkę przy swojej toalecie. A więc na to mi przyszło. Do tej pory wydarzenia ostatnich dni i tygodni istniały w jej umyśle w formie półpłynnej masy bez kształtów i wymiarów, miejscami jasnej i srebrzystej, miejscami ciemnej, złożonej z mniej lub bardziej przypadkowych epizodów: minimalne przekrzywienie miedzianoczerwonego tupeciku, który miał na głowie jej prawnik w dniu sporządzania dokumentów rozwodowych; sznur bursztynowych koralów, które kupiła dla Susan, ale nieoczekiwanie postanowiła zatrzymać dla siebie; zachmurzone niebo środowego poranka pełne obietnic i przestróg, jak gdyby jedno i drugie zostały ze sobą ściśle połączone. To były tylko drobne zdarzenia, wyraźne, ale niewiele wyjaśniające, związane ze szczegółami dotyczącymi sprzątnięcia, robienia zakupów, jej nowej pracy i z tą zaskakująco intensywną przyjemnością, jaką odczuwała, kładąc się wieczorem do łóżka sama. Teraz, kiedy próbowała ubrać się do wyjścia, pomyślała niemal z dystansem naukowca: A więc na to mi przyszło. Mieszkam sama w domu z pięcioma sypialniami. Moja starsza córka prawie do mnie nie dzwoni. Mój syn kocha innych mężczyzn. Ja nie potrafię się zdecydować, co mam włożyć na lunch z „matką chrzestną” mojego młodszego wnuka, ponieważ nie wiem, do jakiego lokalu się wybieram, i nigdy dotąd nie umawiałam się na lunch z mężczyzną, który nosi sukienki. Wzięła buteleczkę lakieru do paznokci, odstawiła ją z powrotem. Przyszło jej na myśl, że być może w tej samej chwili Cassandra siedzi w swoim mieszkaniu i zastanawia się, jak ma się ubrać na spotkanie z taką kobietą jak Mary, zamożną, szanowaną, zadbaną.

– Nie jestem – powiedziała głośno Mary i zdumiał ją dźwięk własnego głosu w pustym pokoju.

Co chciała przez to wyrazić? Była zamożna i szanowana, była niewątpliwie zadbana. A wobec tego, jaka nie była? Ponownie sięgnęła po buteleczkę lakieru do paznokci, przyjrzała się jej, jak gdyby odpowiedź mogła się kryć w jasnym, perłowobeżowym, gęstym płynie.

– Właściwie nie wiem – powiedziała sama do siebie.

Zdecydowała się włożyć granatowy kostium od St.

Johna. A potem nagle zaczęła się śmiać.

– A więc na to mi przyszło – powtórzyła.

Postanowiła potraktować lekko tę niecodzienną sytuację, jak zabawne zdarzenie, i w tej samej chwili stała się ona zabawna. Lunch z mężczyzną, który może być sztywniej ubrany od niej. Więc dobrze. Granatowy kostium od St. Johna. Czółenka od Ferragamo. Prosty sznur pereł.

Cassandra wybrała restaurację na Charles Street, w części miasta, w której Mary do tej pory nigdy nie była. Jeszcze jako młodsza kobieta znała – dokładała wielu starań, żeby poznać – Nowy Jork wyłącznie od strony teatrów i hoteli, budynków z wapienia z wieżyczkami górujących nad spokojną zielenią Central Parku i jego niebezpieczeństw. Teraz, na kolejnym etapie życia, dzięki swoim dzieciom poznała jego najbardziej obskurne dzielnice. Chodziła pośród żebraków i szaleńców, zniszczyła but od Charles'a Jourdana na stłuczonej butelce po piwie, wchodziła po ponurych, brudnych i śmierdzących schodach. Pewnego dnia, idąc odwiedzić Zoe, musiała obejść ludzkie ekskrementy, które niczym przejaw głupoty i upodlenia leżały na samym środku korytarza wyłożonego błękitnymi płytkami. Jeśli zdołała zmierzyć się z tym wszystkim, potrafi przeżyć lunch w jeszcze jednej nieznannej części miasta, w restauracji, którą mógł wybrać ktoś taki jak Cassandra. A więc na to jej przyszło. Ta sytuacja może być nawet zabawna, jeśli w taki sposób się do niej podejrze. Jeśli tylko nie będzie się jej traktowało zbyt poważnie albo zbyt daleko wybiegało myślami w przód.

Ani Charles Street, ani restauracja nie okazały się nawet w połowie takim wyzwaniem, jakiego Mary się spodziewała. Ulica była nawet bardzo ładna, ocieniona drzewami. Po jej obu stronach w szeregowej zabudowie stały domy, w których Mary uznała, że mogłaby zamieszkać. Były to okazałe stare budynki z ogromnymi oknami, przez które można było dostrzec fragmenty ozdobnych gzymsów, misterne medaliony sztukaterii na suficie i żyrandole. Jeden z domów porastały pnącza wistarii, wśród których Mary zobaczyła kamienne panneau z wyrzeźbionymi liśćmi, arabeskami i pokrytą patyną twarz, która zdawała się przedstawiać jedną z surowszych cnót – wyrozumiałość lub siłę, albo niezłomną wolę zachowania dziewictwa. Stała na wprost tej twarzy, oplecionej płataniną kłujących, brązowych pędów, i doznawała dziwnego, ale nie nieprzyjemnego wrażenia, że to miejsce jest jej bliskie, jak gdyby już kiedyś, jeszcze jako dziecko, była na tej ulicy. Twarz zdawała się mieć kobiece rysy, chociaż trudno to było stwierdzić z całą pewnością, patrząc na nią poprzez gęstwinię zarośli. Rozpoznanie płci było tym bardziej utrudnione, że przy tym dawnym stylu rzeźbienia wszyscy, mężczyźni i kobiety, wyglądali jak powściągliwe, pulchne młode dziewczęta.

Restauracja znajdowała się na rogu ulicy. Na szybie miała wypisaną dyskretnymi złotymi literami nazwę; w rzeczywistości była niewielką kawiarenką w stylu paryskich kafejek, taką, jak je sobie Mary wyobrażała: mroczną, ale czystą, wyłożoną ciemną boazerią, ze śnieżnobiałymi obrusami, które dawały więcej światła niż złocistożółte kinkiety. Gdy zatrzymała się przed drzwiami, poczuła nieoczekiwane ukłucie żalu: Teraz ta urokliwa, tajemnicza uliczka i urocza kawiarenka, pomyślała, zapamiętają ją jako osobę, która miała coś wspólnego z kimś takim jak Cassandra. Jako kogoś, kogo życie przywiodło aż tutaj. Obiecała sobie, że poleci do Paryża, co tydzień będzie odkładała na ten cel trochę pieniędzy.

Cassandra zamachała do niej od jednego ze stolików przy oknie. Mary z ulgą zauważyła, że wybrała męskie ubranie, czarny golf i dżinsy. Kiedy Cassandra wstała i wyciągnęła do niej rękę, Mary po raz kolejny zdumiała się, jak zupełnie nie różnił się wyglądem od innych ten chudy człowieczek o odstających uszach, przeredzonych rudawych włosach i małych, wodnistych oczach. Równie dobrze mógłby być starszym się sprzedawcą albo kelnerem, jednym z wielu zwykłych mężczyzn, których się ledwie zauważa, ponieważ ani nie odnoszą sukcesów, ani nie ponoszą spektakularnych porażek. Wiodą życie dyskretniej obsługi.

– Miło cię widzieć, Mary – przywitała ją Cassandra.

– Cieszę się, że tu jestem – odpowiedziała.

Wyciągnęła rękę, a Cassandra uścisnęła ją mocniej, niż Mary się spodziewała.

– Usiądź, proszę.

– Dziękuję. – Od razu wzięła serwetkę ze stołu i rozłożyła ją sobie na kolanach. – Bardzo przyjemne miejsce – dodała.

Najłatwiej było się zdobyć na uprzejmość. Najłatwiej było potraktować to spotkanie jak zwykły lunch z przyjacielem. Gdyby miała zrezygnować z uprzejmości, nie wiedziałyby, co mówić czy robić.

– Prawda, że urocze? – ucieszyła się Cassandra. – Działa jak balsam. Przychodzę tu czasami, kiedy moje nerwy nie są już w stanie znieść ani jednej chwili *joie de vivre*. Tutaj można sobie usiąść przy oknie z filiżanką herbaty i zostać nawet godzinę, jeśli ma się ochotę.

– Trochę kojarzy mi się z Paryżem – powiedziała Mary.

– *Oui. Ça pourrait être un bistro en plein Marais.*

– Mówisz po francusku?

– Boże, zachowałam się strasznie pretensjonalnie, prawda? Przepraszam, złotko, to tylko nerwy. Nie należę do osób, które jadają lunch.

– Naprawdę znasz francuski? – zapytała Mary.

– Ależ tak. Nie spędzam całego swojego czasu na wypróbowywaniu cieni do powiek. Nauczyłam się francuskiego i hiszpańskiego i zupełnie nieźle radzę sobie z niemieckim, ale przydaje się tylko w rozmowach z Niemcami.

– Gdzie się nauczyłaś francuskiego?

– W Paryżu, mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu.

Mieszkałam tam przez pewien czas, ta stara łajba zawijała do wielu portów. Obskurna, mała kawalerka w pobliżu Beaubourg, możesz mi wierzyć, Ameryka w żadnym razie nie jest jedyną na świecie składnicą tandety i bezguścia.

– Mój mąż i ja zawsze chcieliśmy pojechać do Paryża – powiedziała Mary.

– No cóż, miejscami jest piękny, tak jak opowiadają, ale sama nie wiem. Ostatnio zaniedbałam sprawę paszportu i stracił ważność. Podróżowanie zaczęło mi się wydawać... powiedzmy, trochę przygnębiające. Jedziesz dokądś, potem gdzie indziej, tak, wiem, że to powinno być wspaniałą przygodą, ale ostatnio zaczęło mi działać na nerwy. Wszędzie widywałam ludzi kupujących pamiątki i nie mogłam przestać myśleć o tym, że pojawia się one na kiermaszach staroci w dwutysięcznym roku, tak jak te szaliki Hermesa przetrwają ludzi, którzy je kupili, a zresztą, mniejsza z tym. Dość powiedzieć, że ostatnio moje podróże kończą się na Central Parku.

Przez chwilę Mary nie potrafiła się odnaleźć. Wygładziła serwetkę na kolanach. Mów tylko to, co mówiłabyś do kogokolwiek innego, pomyślała.

– Chcieliśmy podróżować – zaczęła. – Ale zawsze był problem z dziećmi, interesami i całą resztą...

– Więc rób to teraz – ożywiła się Cassandra. – Gdybym ja była taką olśniewającą rozwódką jak ty, wsiadałabym na najbliższy statek. Pamiętaj tylko, kochanie, mężczyźni we Francji to świnię.

– Nie myślę zbyt wiele o mężczyznach.

– Kiedy będziesz gotowa, by zacząć o nich myśleć, nie bierz pod uwagę Francuzów. Zaufaj mi.

– I bynajmniej nie jestem olśniewającą rozwódką – powiedziała Mary. – Jestem pięćdziesięciopięcioletnią kobietą i, jeśli mam być szczerą, ostatnio czuję się trochę zmęczona. Jestem zwyczajnie zmęczona.

– Bzdura – obruszyła się Cassandra. – Jesteś piękna, wiesz, że jesteś. Dopiero teraz zaczyna cię otaczać aura tajemniczości.

– To miłe, co mówisz, ale spójrzmy prawdzie w oczy.

– Daj spokój z tą prawdą. Ile czasu minęło, od kiedy puściłaś kantem tego drania? Pięć lat? Kochanie, najwyższy czas, żeby „wdowa Stassos” trochę zaszalała.

Mary wzięła do ręki menu.

– Zamówimy coś? – zapytała. – Umieram z głodu.

– Powinnaś obciąć włosy – poradziła Cassandra. – Potrzebujesz odmiany. Jak myślisz, co by się stało, gdybyś podcięła je trochę poniżej uszu, nadała im prostą i swobodną linię? Żadnych loczków ani lakieru.

– Tak jest dobrze, naprawdę – obraziła się Mary. – Nie wiedziałabym, co z nimi robić przy jakiegokolwiek innej fryzurze. Mm, sałatka z kurczaka z papają. To może być dobre.

– Może powinnaś również przestać je farbować. Niech będą siwe. Założę się, że masz piękny srebrzysty odcień siwizny.

– Tak jest dobrze. Naprawdę. Dziękuję za zainteresowanie i rady. Czy rozmawiałaś ostatnio z Zoe?

– Dzisiaj rano.

– Jak się czuje?

– Dobrze – powiedziała Cassandra. – Dzisiaj pracuje do siódmej, ja odbieram Jamala z przedszkola.

– Czy ty... Czy ty spędzasz z nim dużo czasu?

– Zoe potrzebuje pomocy, nie jest jej łatwo samej wychowywać dziecko.

Mary popijała wodę. Wierzyła, że potrafi przetrwać ten lunch, tak jak przetrwała noc poślubną, trzy porody, trudne małżeństwo i wszystkie te niewytłumaczalne drobne przejawy nienawiści ze strony własnych dzieci. Mogła znać kogoś takiego jak Cassandra. Osobliwość tego, co się wokół niej działo, nie mogła jej zaszkodzić, ponieważ utraciła dawne złudzenia i przestała odczuwać przerażenie, które kiedyś jej nie opuszczało. Co jeszcze mogło się wydarzyć? Cóż jeszcze mogła utracić?

– Kiedy wychowywałam dzieci, wydawało mi się, że jestem sama – powiedziała Mary. – Mój mąż prawie nie bywał w domu.

– A więc, w takim razie wiesz, jak to jest.

– Tak, wiem.

– Jamal przeżywa teraz fascynację bronią – powiedziała Cassandra. – Dla niego świat składa się tylko z dwóch rzeczy, broni i bezużytecznych przedmiotów.

– To chyba normalne.

– Oczywiście, że tak. Agresja, czy jest od niej coś bardziej normalnego? Zoe nie jest tym zachwycona, cały czas wyobraża sobie siebie na przesłuchaniu po tym, jak zasypał gradem kul centrum handlowe, ale jej powtarzam, że to mu przejdzie. Mały chłopiec nie jest Kubusiem Puchatkiem, niezależnie od tego, jak bardzo chciałoby się, żeby nim był.

– Mówisz tak, jakbyś miała doświadczenie w tych sprawach – powiedziała Mary.

– Wychowałam dwóch braci i siostrę. Nasza matka czasami zapominała wrócić do domu i, szczerze mówiąc, nie winię jej za to. Gdybym była kobietą o nazwisku Erna Butz, próbującą wychować samotnie i bez pieniędzy czworo dzieci w Table Grove w stanie Illinois, też chciałabym czasami uciec od rzeczywistości.

– Zostawiała was samych?

– Proszę, nie zaczynaj patrzeć na mnie tak, jakbym była postacią z Dickensa. Lepiej nam było bez niej. Radziłam sobie z tymi dziećmiakami dużo lepiej niż ona.

– Ach tak – powiedziała Mary. Zastanawiała się, o czym ma mówić dalej, kiedy podszedł kelner, by przyjąć zamówienia. Mary poprosiła o sałatkę z kurczaka i, po chwili wahania, kieliszek białego wina. Cassandra również zamówiła sałatkę z kurczaka oraz herbatę.

Kiedy kelner odszedł, Cassandra pochyliła się do przodu i powiedziała cicho:

– Jeśli jesteś ciekawa, mam na imię Bertram.

– Słucham?

- Urodziłam się jako Bertram Butz w Table Grove, Illinois. Sądziś, że winię moją matkę za to, że się nami nie zajmowała? Absolutnie nie, kochanie. Całkowicie ją rozumiem.
- Kontaktujesz się z nią? – zapytała Mary.
- Och, nie. Umarła.
- Bardzo mi przykro.
- Mnie chyba też. Chociaż prawdopodobnie nie tak bardzo, jak powinno.
- A co z twoimi braćmi i siostrą?
- Nie wiedzą, gdzie mieszkam.
- Niemożliwe.
- Nie, tak jest lepiej. Każde z nich wie bardzo konwencjonalne życie. Wszyscy mają rodziny, dzieci i mieszkają w Illinois. Nie pragną wizyt Cioteczki Mamusi.
- To okropne.
- Nie, wcale nie – powiedziała Cassandra. – Oznacza tyle, że nie musimy się męczyć ze sobą w czasie świąt Bożego Narodzenia. Teraz ty opowiedz coś o sobie. Urodziłaś się w Nowym Jorku, prawda?
- W New Jersey.
- Zapewne jesteś Włoszką. Masz te charakterystyczne oczy i kości policzkowe.
- Nazywałam się Mary Cuccio. Moi rodzice nigdy mi do końca nie wybaczyli, że wyszłam za Greka.
- Boże, o cóż to ludzie potrafią się złościć. Młodo wyszłaś za męża, mam rację?
- Miałam siedemnaście lat. Chciałam się wyrwać z domu.
- Kochanie, jakbym słyszała siebie – powiedziała Cassandra. – Małżeństwo nie byłoby dla mnie najszczęśliwszym rozwiązaniem, więc poszłam do college’u. Przyznano mi stypendium na Uniwersytecie Wisconsin, powiedziałam więc dzieciakom: „Tak się włącza pralkę, tak kładzie się mamę do łóżka, kiedy tego potrzebuje. A teraz, sayonara”.
- Prawdopodobnie powinnam była pójść do college’u – stwierdziła Mary. – Nigdy poważnie o tym nie myślałam. Jak się zdawało, nie mieściło się to w zasięgu moich możliwości.
- Tak więc, wytrwałam rok na studiach doktoranckich, ale ich nie skończyłam – ciągnęła Cassandra. – Otrzymałam dyplom z literatury, ale nie potrafiłam... powiedzmy, że czegoś mi brakowało. Nie potrafiłam wykrzesać z siebie zapachu na samą myśl o tym, że skończę jako chudy, zniewieściały mężczyzna wykładający literaturę dziewiętnastego i dwudziestego wieku na jakimś niewielkim uniwersytecie na Środkowym Zachodzie, gdzie przypuszczalnie zdarzyłoby mi się ileś tam razy zadurzyć w iluś tam studentach, którzy flirtowałiby ze mną, by zapewnić sobie dobre oceny. W innych czasach prawdopodobnie bym tak zrobiła, wybory spragnionego uczucia transwestyty są niemal tak samo ograniczone jak wybory kobiety. Żyjąc jednak w takich, a nie innych czasach, pewnego dnia wstałam w środku czytania Skrzydeł gołębic, zaznaczyłam miejsce, w którym skończyłam, wypłaciłam z banku swoje trzysta dolarów i przenieśliśmy się do Nowego Jorku.
- Zadowolona jesteś, że to zrobiłaś?
- Tak, jak najbardziej. Nigdy tak naprawdę nie chciałam nauczać o Annie Kareninie i Pani Bovary, ja chciałam być Anną Kareniną i panią Bovary. A skoro natura zdecydowała się wyposażyć cię w duszę tragicznej diwy i ciało chudego mężczyzny, który zaczął łysieć, mając dwadzieścia dwa lata, to...
- Miałam szesnaście lat, kiedy poznałam mojego męża – przerwała jej Mary. – Byłego męża. Zaledwie szesnaście lat. Pomyśl tylko.
- Byłaś Lolitą. Założę się, że zламаłaś niejedno serce w swoim rodzinnym mieście.
- Niezupełnie. Rzeczywiście byłam dosyć ładna, chyba tak, ale szesnaście lat wydawało się wówczas tak bardzo mało. Nie to, co dzisiaj. Constantine był moim pierwszym chłopakiem, możesz w to uwierzyć?

– Poślubiłaś swoje dzieciństwo, kochanie. To się zdarza.

– Poznałam go na wieczorku, na potańcówce w kościele w mojej okolicy. Był pomocnikiem brygadzysty w tej samej ekipie budowlanej, w której pracował mój brat Joey. Był szefem mojego starszego brata i wydawał się taki ważny.

Wydawał się kimś. Miał dwadzieścia jeden lat. Pojawił się na tej okropnej potańcówce w kościelnej piwnicy w czerwonej sportowej marynarce.

– Szykownie.

– Na krótko przed tamtym wieczorkiem widziałam w jakimś czasopiśmie zdjęcie chłopaka ubranego w taką właśnie czerwoną sportową marynarkę. Prawdę mówiąc, chyba najpierw zakochałam się w marynarce. Tak, najpierw w marynarce, potem w chłopcu.

– To jeden ze znanych sposobów.

– Chciałam się zakochać. Nie mogłam już się doczekać. Widzisz, moi rodzice... tak okropnie się bałam, że skończę jak oni. Chciałam dla siebie czegoś... lepszego. Uważałam, że zrobię niemal wszystko, by to osiągnąć.

– Czyli jest nas na razie dwoje – powiedziała Cassandra.

Był to pierwszy z babskich lunchów, jak upierała się je nazywać Cassandra. Później Mary spotykała się z nią co cztery, pięć tygodni, zawsze w tej samej kawiarence. Spotkania z Cassandrą zaczęła traktować w pewnym sensie jak przejaw zuchwalstwa, przyprowadziła ją o lekki dreszcz zakazanej przyjemności. Mary przekonywała samą siebie, że spotyka się z Cassandrą, by nie stracić kontaktu z Zoe, i właściwie było to prawdą, jednak po mniej więcej dwóch miesiącach, po pięciu babskich lunchach, musiała przyznać, że również lubi spotykać się z Cassandrą dla samego tylko spotkania. W rozmowach na rozmaite tematy mogła powiedzieć wszystko, co tylko przyszło jej na myśl, i wiedziała, że Cassandra nie czuje się lepsza od niej. Jeśli już, to sama czuła wyższość nad Cassandrą, chociaż nie lubiła tego rozpatrywać w takich kategoriach. Tak wiele spraw w jej życiu było trudnych, a te lunche były zaskakująco łatwe. Nie miały żadnego znaczenia. Można było liczyć na Cassandrę, która zawsze podtrzymywała rozmowę, tak jak kiedyś rodzina Mary mogła polegać na niej. Nigdy nie była nudna (Mary zaczęła, choć niechętnie, myśleć o Cassandrze jako o kobiecie), regularnie przypominała Mary o jej urodzie i przekonywała ją, jakkolwiek niezbyt skutecznie, że w wieku pięćdziesięciu pięciu lat dopiero wkracza w królestwo prawdziwej kobiecej tajemnicy. Po jednym ze spotkań przyszło jej na myśl, że Cassandra pod pewnymi względami przypomina jej przyjaciółki z czasów dzieciństwa, włoskie dziewczęta z dawnego sąsiedztwa, z którymi nie rozmawiała od ponad trzydziestu pięciu lat. Odznaczała się tą samą krzykliwą ekstrawagancją, czerpała podobną przyjemność z własnych, niechby nawet ograniczonych perspektyw. Oto siedziała przed nią – przyjaciółka, która nadskakuje i nie stwarza żadnego zagrożenia. Mary stwierdziła, że jest zadowolona z tej potajemnej przyjaźni. Nosiła ją w sobie, zabierała do sklepów w Garden City i na swoje spotkania klubowe, na których inne kobiety były niezawodnie miłe i uprzejme, i absolutnie nie okazywały prawdziwego zainteresowania Włoszce, byłej żonie Greka budującego tandetne osiedla.

Na szósty z kolei lunch Cassandra przyprowadziła Jamalę. Mary weszła do restauracji i zobaczyła ich dwoje, Jamalę siedzącego na jej miejscu, z podłożoną pod pupę książką telefoniczną. Pochylił się nad stołem i mówił coś do Cassandry, po cichu, ale z ożywieniem. Jego małe czarne ręce tak mocno zacisnęły się na krawędzi stołu, że ściągnął obrus, a solniczka przechyliła się i niewiele brakowało, by się przewróciła. Stojąc przy wejściu, Mary odniosła wrażenie, że zniknęło uczucie bliskości, które w pewnym sensie zrodziło się między nią a Cassandrą. Zajęci ożywioną, tajemniczą rozmową wyglądali surrealistycznie, dziwoli z nędznego cyrku objazdowego, przesiąknięci zepsuciem, z drobnymi przestępstwami na koncie i mentalnością szaleńców chichoczących w charakterystyczny sposób. Mary pomyślała, żeby zwyczajnie się odwrócić i wyjść, ale właśnie wtedy dostrzegła ją Cassandra.

Jamal zauważył ją chwilę później i wyprostował się na krześle tak szybko, że mógłby być parodią złodziejaska przyłapanego na gorącym uczynku.

– Niespodzianka – powiedziała Cassandra, kiedy Mary z uśmiechem podeszła do stolika.
– Musieli dzisiaj zamknąć całe przedszkole, zdaje się, że do rur dostało się coś trującego. Było już za późno, żeby do ciebie zadzwonić, więc przyprowadziłam Jamala.

– To wspaniale. – Mary była zaskoczona własną irytacją na myśl, że Jamal będzie im towarzyszył przez cały lunch. Był przecież jej wnukiem, co się z nią działo? – Cześć, kochanie – powiedziała do niego.

Pochyliła się, aby go pocałować, a on uznał, że pozwoli, by go pocałowano, i nie okazał, że w jakikolwiek sposób tego pragnie. Potrafił być taki powściągliwy, taki małomówny i myślami nieobecny, chociaż jeszcze przed chwilą, w rozmowie z Cassandrą, jak się zdawało, nie zdradzał najmniejszej rezerwy ani niechęci. Mary starała się go polubić, poczuć się z nim związana i czasami nawet jej się to udawało, ale częściej te uczucia zwyczajnie wymykały jej się i patrzyła na Jamala, jakby był zupełnie obcym dzieckiem, krnąbrnym i skrytym, trochę nierozgarniętym. Gdyby był bardziej podobny do mnie, myślała Mary, może by to pomogło. Gdyby nie miał takich fioletoawych ust i tych wełnistych włosów.

– Strzelaliśmy do przechodniów – powiedziała Cassandra. – Jak na razie upolowaliśmy równy tuzin.

Mary przystawiła sobie krzesło od sąsiedniego stolika i usiadła. To przecież dziecko, upominała sama siebie. Chce tylko tego, czego pragną wszystkie inne dzieci.

– Więc zamknęli przedszkole, tak? – zwróciła się pogodnie do Jamala.

– Mówią, że jutro będzie już otwarte – wyjaśniła Cassandra. – Od czasu do czasu przytrafia się jakaś katastrofa i masz wolny dzień.

– No cóż. Czy nie jest miło mieć wolny dzień?

– Wymyśliliśmy, że po lunchu pójdziemy do Central Parku – mówiła dalej Cassandra. – Chciałabyś pójść razem z nami?

– Zobaczmy. Jamal, co miałbyś ochotę zjeść na lunch?

Jamal spojrzał na Mary tak niepewnym wzrokiem, z tak wyraźnym brakiem zrozumienia, że znów zadała sobie pytanie, jak to czasami robiła, czy on aby na pewno jest w pełni władz umysłowych. Może należałoby go zaprowadzić na badania.

– Wezmę cheeseburgera – powiedziała Cassandra – ponieważ nie muszę dbać o linię.

– Cheeseburger – szepnął Jamal.

– Czyli dwa razy – powiedziała Cassandra. – Mary, dla ciebie sałatka?

– Chyba tak, poproszę.

Jamal odwrócił się do okna, wycelował palec w starszego mężczyznę i powiedział:

– *Zzzip.*

– Trafieś go – oznajmiła Cassandra. – Ładny, tłusty okaz. – Zwracając się do Mary, dodała: – Nie bierzemy jeńców.

– Rozumiem – powiedziała Mary.

Jamal przesunął się na krześle, skierował palec na siedzącą przy sąsiednim stoliku parę i znów powiedział:

– *Zzzip.*

– Odwróć się do stołu, kochanie – zwróciła mu uwagę Cassandra – i odłóż tę rzecz. To niegrzecznie strzelać do współbiedniaków.

Mary była zaskoczona, widząc, że malec posłuchał. Nagle jego osobliwość i w ogóle niecodziennosc sytuacji przestały istnieć, a Jamal i Cassandra równie dobrze mogli być zwyczajnie ojcem i synem, którzy próbują znaleźć kompromis pomiędzy pobłażliwością a surowością, miłością a zasadami dobrego wychowania.

– Lubisz się bawić w kowboja? – zapytała wnuka, który znów spojrzał na nią z wyrazem kompletnego braku zrozumienia, jak gdyby nie tylko jej słowa, ale i ona sama była czymś niespotykanym i, co bardzo możliwe, niebezpiecznym.

– Typowe pytanie cywila, prawda, Jamal – stwierdziła Cassandra. – A gdybyśmy tak opowiedzieli twojej babci o planecie Sark?

– Słucham? – zapytała Mary.

Jamal spojrzał na blat stołu, jak gdyby i ten mebel był zupełnie niecodziennym przedmiotem.

– Z planety Sark pochodzi Jamal – wyjaśniła Cassandra. – Jest to gwiazda średniej jasności, położona troszeczkę na lewo od pasa Oriona. On nie strzela kulami do tych ludzi, ponieważ na jego planecie zabijanie jest zabronione, tam jest to niemożliwe. Sarkianie nie mogą zabijać, tak jak ty czy ja nie możemy postanowić, że przestaniemy oddychać. Na jedno i drugie nikt nie ma wpływu. Jeżeli jednak spotka się szczególnie irytującego osobnika, wówczas można strzelić do niego ze specjalnego pistoletu, który uczyni go niewidzialnym, i śpieszę ci donieść, że ostatnio świat szybko się zapełnia niewidzialnymi obywatelami. Nie przestają się krzątać wokół swoich spraw, nadal są niegrzeczni, podli, egoistyczni i uprzedzeni, jednak nikt ich nie widzi. Jamal, czy tak to mniej więcej wygląda?

Chłopiec spojrzał na swój palec, potem na podłogę.

– To chyba lepsze, niż gdyby się ich zabijało – zauważyła Mary.

– O wiele lepsze – odpowiedziała Cassandra. – Nie unieszczęśliwia to matek tych ludzi, nie neguje całkowicie agresywnych impulsów. Takie rozwiązanie jest pod każdym względem jak najbardziej satysfakcjonujące.

Po lunchu Mary poszła z Cassandrą i Jamalem do Central Parku. Nie bardzo miała na to ochotę, prawdę mówiąc, wcale jej nie miała, gdyby jednak wymyśliła jakąś wymówkę, we własnych oczach byłaby kobietą, która tłumaczy się umówioną wizytą u fryzjera, by uciec przed własnym wnukiem. Kiedy zaproponowała, żeby pojechali samochodem, Cassandra się uparła, że wybiorą się na ten spacer metrem.

– O tej porze jest okropny ruch – mówiła – a tam nigdzie nie można znaleźć miejsca do zaparkowania.

Mary zgodziła się, chociaż kiedy szli kilka przecznic do metra, nie potrafiła pozbyć się myśli, czy przypadkiem Cassandra nie chciała się wykręcić od jazdy jej samochodem, od tego, żeby usiąść w chłodnej, tchnącej bogactwem ciszy, która była własnością Mary. Samochód kojarzył się ze spokojem, porządkiem, solidnością; stacja metra, kiedy na nią weszli, była wypełniona ostrym światłem i przemykającymi się, pokonanymi bohaterami. Wydobywający się z głośnika niski trzask mógł być mimowolnym pomrukiwaniem samego miasta, jego niespokojnymi, odwiecznymi snami. Wydawało się, że Cassandra czuje się tam u siebie, stojąc na peronie, trzymając Jamala za rękę i gawędząc z Mary o nowych, krótszych spódnicach, które miały być modne jesienią. W powietrzu unosił się gnilny zapach, ostra woń moczu i potraw smażonych na zjełczałym oleju. Mary pomyślała o własnym dzieciństwie, pełnej udręki przyszłości, która ją czekała, i miała wrażenie, że zupełnie nie może tutaj oddychać, że będzie musiała biec z powrotem na powierzchnię, z trudem łapiąc powietrze. Zamiast tego uśmiechała się do Cassandry, kiwała głową i starała się głęboko oddychać. Stała się mistrzem w radzeniu sobie z uczuciem duszności bez okazywania jakichkolwiek emocji, z całkowitym spokojem. Poradzi sobie z tym. A gdyby jednak ją przerosło, zawsze pozostawały jeszcze tabletki. Potem zobaczyła światła zbliżającego się pociągu i wiedziała, że da sobie radę.

Park, gdy już do niego dotarli, zachwycił ich swoim pięknem, które dopiero się kształtowało, budziło do życia. Słońce na początku kwietnia przygrzewało coraz silniej, brązowa, sucha trawa była tu i ówdzie przyprószona świeżutką, nieśmiałą zielenią.

– Jak pięknie – westchnęła Mary.

Pod wpływem światła padającego z przejrzystego nieba ziemia zdawała się rozmarzać niemal na ich oczach. W taki dzień można było sobie wyobrazić, że ogromna, rozlewająca się falami życzliwość, łagodna i zwyczajna, bardziej przypominająca ludzką sentymentalność niż napominającą boską łaskawość, w rzeczywistości zwyciężyła na tym świecie.

– Ślicznie, jeśli ktoś lubi przyrodę – powiedziała Cassandra. – Szczerze mówiąc, przychodzimy tutaj, ponieważ Jamal lubi ten park. Ja denerwuję się w parkach, te gałęzie mogą się zaczepić o perukę i zerwać mi ją z głowy.

Jamal pobiegł wybetonowaną ścieżką, odwracając się przez ramię, by sprawdzić, czy Cassandra i Mary idą za nim. Mary zobaczyła, że on rzeczywiście jest dzieckiem, które w dziecięcy sposób cieszy się wolnością i otwartą przestrzenią, małym chłopcem, przestraszonym w dziecięcy sposób, że może mu się trafić taka wolność, że już nigdy nie odnajdzie powrotnej drogi. Kiedy obserwowała go, jak biegnie na swoich krótkich, chudych nóżkach, przysięgła sobie po cichu: Będę dla niego lepsza. Będę o tym pamiętać.

– Często przyprowadzasz go tutaj? – zapytała.

– Raz albo dwa razy w tygodniu, teraz, kiedy już zmienia się pogoda. Ograniczyliśmy spacer, gdy park był ośnieżony, nie podobało mu się to, ale jednak są pewne granice. W zimnie nie funkcjonuję najlepiej.

– Ja bardzo lubię zimę – powiedziała Mary. – Uwielbiam mroźne, rześkie dni.

– W takim razie, kochanie, zimą następnego roku ty możesz upychać go w kombinezon, przyprowadzać tutaj i lepić aniołki ze śniegu.

– Byłoby miło.

– A więc nie ma przeszkód, moja droga.

Była to pierwsza uwaga ze strony Cassandra, niezupełnie delikatna i nie do końca wyrażająca podziw. Mary była nią trochę zaskoczona. Spojrzała na profil Cassandra i zobaczyła – oczywiście zawsze to wiedziała – że ona ma charakter. Zauważyła również, tutaj, w delikatnym wiosennym świetle, że Cassandra jest w taki dostojny, królewski sposób zniszczona, prawdopodobnie starsza, niż Mary sądziła, dobrze po pięćdziesiątce. Słabo widoczna, ale jasna poświata, jak ta znad białych obrusów w restauracji na Charles Street, zdawała się unosić z twarzy Cassandra na spotkanie bardziej żółtego i rozproszonego światła popołudniowego słońca.

– Być może tak zrobię – powiedziała Mary. Skąd u kogoś takiego podobny sposób zachowania, takie zdecydowane dążenie do celu?

– Doskonale – powiedziała Cassandra.

Dotychczas ciepła atmosfera ich stosunków znacznie się ochłodziła, a Mary po raz pierwszy zrozumiała, że uczucia Cassandra w stosunku do niej nie ograniczały się do podziwu i chęci sprawiania przyjemności. Przez chwilę obie szły w milczeniu. Gałęzie rzucały na chodnik blade, niewyraźne cienie.

– Chciałabym, żebyś spędzała z nim więcej czasu – dodała powoli Cassandra, a Mary nie mogła się zorientować, co kryje się w tonie jej głosu. Nie był ani gniewny, ani miły, raczej stanowczy, lecz pozbawiony emocji, jak gdyby wymieniała ważne i bezdyskusyjne fakty.

– Powinam – powiedziała Mary. – Będę.

Jak ktoś taki ośmielał się ją pouczać? Słuchała jednak.

– Mówię poważnie – ciągnęła Cassandra. – Powinien cię lepiej poznać, ponieważ pewnego dnia może cię potrzebować.

– Mm-hm.

– To dziecko prowadzi bardziej niż niekonwencjonalny tryb życia i możesz mi wierzyć, nie mam najmniejszych złudzeń, że kiedykolwiek będzie zupełnie inaczej. Ale istnieją granice. Nie chcę, żeby obijał się nie wiadomo gdzie, jeśli coś się zdarzy. Nie chcę, żeby musiał się błąkać, a potem zamieszkać z kimś, kto byłby dla niego zupełnie obcy.

Mary poczuła się dziwnie. Nie potrafiłaby tego nazwać, ale przypominało to wewnętrzne ukłucie, wspomnienie przeraźliwego smutku, które dawno nie wracało. Chłód i uporczywy wewnętrzny niepokój. Obok nich na rolkach przejechały dwie czarne dziewczyny, rozbawione, z głośnym stukotem kółek po chodniku. Cassandra, blada i chuda, zmierzała do jakiegoś celu. Mary dotknęła jej ramienia czubkami palców.

– O co chodzi? – zapytała.

Cassandra przykryła dłoń Mary własną.

– O nic. Chodzi dokładnie o to, co właśnie powiedziałam.

– Ach tak. – Mary nie potrafiła wymyślić nic, co mogłaby teraz powiedzieć.

Obok nich przemknęło stado gołębi, tak blisko, że Mary była niemal pewna, że ptaki dotkną skrzydłami jej twarzy, ale się nie usunęła. Pomyślała, że muśnięcie skrzydła ptaka sprawiłoby jej przyjemność. Ta ich nieujarzmiona delikatność, to bez wysiłku tętniące życie. Niemal poczuła, jak pióra muskają jej skórę. Daleko z przodu Jamal pochylił się, by coś podnieść, monetę albo połyskujący kamień. Trzymał to teraz w dłoni i biegł z powrotem pokazać zdobycz Cassandrze.

Najbardziej przerażające piękno ujawniało się w nocy. Za dnia świat roił się od zdarzeń; żyło się wśród mnóstwa spraw do załatwienia. Późną nocą, gdy z ulic znikwały wszystkie inne sprawy, pozostawało jedynie pożądanie lub jego brak. To był Boston – przed północą większość mieszkańców śniła już swoje sny. W późnych godzinach nocnych ulice przechodziły we władanie mężczyzn, przynajmniej w niektórych dzielnicach, i wtedy stawały się miejscem najbardziej prozaicznych transakcji – paczka kawy, strzyżenie, ubezpieczenie od ognia i kradzieży – liczyło się tylko buntownicze, muskularne piękno.

Teraz Will wypełniał sobą swoje ubrania, poruszał się, nie przepaszając, że żyje. W pewną zimną kwietniową noc przed kinem pocałował na dobranoc przyjaciół i poszedł w kierunku domu. Zapach zimy, deszcz, po którym krople długo zatrzymywały się na nagich gałęziach, krążyły nad Bostonem, chociaż nadeszła, a potem minęła Wielkanoc.

Przed nim szli chodnikiem dwaj chłopcy, rozmawiali półgłosem i śmiali się, popychali się ze swobodą i poufałością typową dla braci. Byli wysocy i młodzi, niezbyt elegancko ubrani, w tanie skórzane kurtki i jasne szaliki, dotkliwie przystojni przy swojej masywnej budowie i z szerokimi, przeciętymi twarzami. Bez troską obecnością ogłaszali całej ulicy, że seks nie jest udręką ani walką duszy skazaną na niepowodzenie. Seks jest czymś zupełnie zwyczajnym, jak trawa. O co tyle hałasu? Will starał się nie zwracać na siebie uwagi, obserwował ich dyskretnie.

Chciał... Nie ich, chociaż chętnie przespałby się i z jednym, i z drugim. To nie było nic tak całkiem prostego jak chęć posiadania ciała. Pragnął ich pewności siebie, swobody ruchów. Tego, co tworzyli żartami i głośnym śmiechem, i tego, co robili dla siebie, kiedy wbiegali po schodach budynku z cegły, stukając butami, idąc do domu, by tam położyć się razem do łóżka, albo wybierając się na imprezę, o której Will nie mógł wiedzieć, ponieważ było to królestwo młodych mężczyzn takich jak ci, pewnych siebie, przyjaznych i zupełnie świeżych. Will poprawił kurtkę, odwinął mankiety. Za miesiąc miał skończyć trzydzieści pięć lat. Właściwie lubił swoje życie – nie potrafił wyobrazić sobie innego, które tak jak to mogłoby mu bardziej odpowiadać – a jednak odczuwał pewien niedosyt. Kolejne lata zdawały się mijać bezsensownie, mimo wszystkich zdarzeń, a on wciąż czekał, aby zamieszkać w sobie. Nie narzekał na drobiazgi, ciężką, ale satysfakcjonującą pracę, grono serdecznych, interesujących przyjaciół i liczne romanse, które trwały od trzech tygodni do roku, ale zawsze okazywało się, że już na samym początku każdej z takich przygód kryje się zapowiedź końca, w pierwszej nieporadnej rozmowie, pierwszym nerwowym seksie. Namietności zmieniały się w potrzeby; zdecydowane poglądy przekształcały się w drażliwość lub gniew. Will specjalnie się nie przejmował. Powtarzał sobie, że wszystko może się zdarzyć. Jeszcze wszystko mogło się zdarzyć. Gdy seks przestał być atrakcyjny i rozproszyły się nadzieje, zawsze starał się utrzymać przyjacielskie kontakty. Ćwiczył w swojej siłowni, co drugi dzień przebiegał dziesięć kilometrów, potrafił godzinami chodzić po sklepach, szukając odpowiednich butów, oczywiście, że to była próżność, ale on właśnie pragnął tego, co istniało ponad zwykłą próżnością i drobną, cierpką satysfakcją, którą ona dawała. Miał nadzieję, że znajdzie swoją drogę, tak by nie musiał już ukradkowo i tęsknie przypatrywać się obcym ludziom. Tak aby nie musiał już zazdrościć wesołości głupim chłopakom albo mięśni mężczyznom lepiej od niego umięśnionym.

Ponieważ nie był zmęczony, poszedł do baru cztery przecznice dalej na piwo i aby popatrzeć na kobiety grające w bilard. Stał w ciemnym, żółto oświetlonym, ciepłym wnętrzu i z przyjemnością obserwował, jak zmiatają bile ze stołu. To była słynna grupa kobiet; nikt nie mógł ich pokonać. Mało kto próbował. Mężczyźni popijali drinki i obserwowali, jak te

kobiety pokonują się nawzajem. Po drugiej stronie baru, w sąsiednim pomieszczeniu, kilkoro wielbicieli tańca poruszało się w rytm Smalltown Boy, chociaż w zimną kwietniową noc w środku tygodnia nawet DJ sprawiał wrażenie, że muzyka do niego nie trafia.

Szczupła kobieta w czarnych dżinsach uderzyła bilę z numerem dwa, posłała ją, podkreconą, do narożnej kieszeni z taką swobodą i zręcznością, jakby się z nimi urodziła. Will zwrócił się do stojącego obok mężczyzny i powiedział kilka pochlebnych słów na temat umiejętności tej kobiety, a może to ten mężczyzna zagadnął go i skomentował grę. Już chyba nie dojdą do tego, który z nich odezwał się pierwszy. Jak się zdaje, nigdy nie będzie to miało jakiegokolwiek znaczenia.

– Są naprawdę świetne.

– Niesamowite.

– Zawsze chciałem dobrze grać w bilard.

– Czasami zapominam, że nie potrafię. Chodzę sobie jak ktoś, kto dobrze gra w bilard, próbuję się w taki sposób poruszać.

– A jak chodzi mężczyzna, który dobrze gra w bilard?

– No wiesz. Pewnie. Dumnie kroczy na trochę pałkowatych nogach.

– Ambitne wyzwanie. Ja zazwyczaj tylko staram się nie przewrócić.

– Przewróciłem się, idąc tutaj. Potknąłem się właściwie o nic, niewielki występ na chodniku wysokości półtora centymetra. Gdy tak sobie szedłem dostojnym krokiem jak facet, który dobrze gra w pool.

– Naprawdę upadłeś?

– Na jedno kolano. Wokół byli ludzie. Wiesz, nigdy nie jestem pewien, jak mam wyjść z twarzą, kiedy przytrafia mi się coś takiego. Zawsze mam dylemat. Czy iść dalej, jak gdyby nic się nie zdarzyło? Czy uśmiechnąć się i potrząsnąć głową? Czy może się obejrzeć i analizować to, o co się przewróciłem?

– Zawsze możesz usiąść na krawężniku i zacząć płakać.

– Chyba tak.

Kobieta w czarnych dżinsach uderzyła białą bilą w szóstkę, która wbiła bilę z numerem dziesięć do bocznej kieszeni.

– Już nic błyskotliwego nie przychodzi mi do głowy – stwierdził mężczyzna.

– Ani mnie – powiedział Will.

Harry nie był ani przystojny, ani brzydki. Na czoło opadał mu kosmyk włosów. Miał twarde, szczupłe ramiona, ekscentryczny wyraz twarzy, oczy z żółtymi plamkami i zmarszczki po obu stronach ust. Miał czterdzieści lat i wyglądał na tyle. Pasowało do niego imię Harry – do jego niestaranego wyglądu, okularów w czarnych oprawkach, z gracją poruszających się pośladków wewnątrz szerokich, pogniecionych wełnianych spodni.

Dokończyli piwo. Wyszli z baru razem, choć wcześniej tego nie uzgodnili. Will miał już dość ładnych chłopców; wciąż był w nich zakochany, chciał jednak, w pewnym sensie, od nich odpocząć. Szedł w deszczu czarnymi ulicami w towarzystwie Harry'ego, który ani go nie pociągał, ani nie budził w nim odrazy.

– Ja tutaj skręcam – powiedział Harry.

Zatrzymali się na rogu ulicy. Krople wody układały się w aureole wokół ulicznych lamp, fragmenty neonu odbijały się w mokrym asfalcie. Harry zdjął okulary, wytarł je o kurtkę.

– Myślisz, że powinniśmy wymienić się numerami telefonów? – zapytał Will.

Może zostaną przyjaciółmi. Może połączy ich seks i przyjaźń.

– Tak. Powinniśmy, wydaje mi się, że tak.

– Niestety nie mam długopisu.

– Ja chyba też nie.

– Może więc chodźmy razem do domu.

– Sam nie wiem. W zasadzie postanowiłem przestać sypiać z facetami.

- Podobnie ja, przyrzekłem sobie mniej więcej to samo.
- To zawsze zabawnie się zaczyna, od przespania się z kimś, zanim się dowiesz, czy jego rodzice żyją czy nie. Nie to, żebym uważał, że cokolwiek się zaczyna.
- Uhm.
- Zawsze wydaje mi się, że będę czarujący, męski i uwodzicielski, pełen gracji. I nigdy taki nie jestem.
- Żaden z nas się jeszcze nie potknął.
- Rzeczywiście.
- Może powinniśmy do siebie zadzwonić i umówić się na randkę.
- To naprawdę przerażający pomysł.
- Wiem.
- Gdybym ci podał swój numer telefonu, zapamiętałbyś go?
- Pewnie.
- Nic z tego, na pewno zapomnisz. Chodźmy od razu do mnie.
- Myślisz, że to dobry pomysł?
- Nie. Ale mimo wszystko tak zrobimy.

Harry mieszkał na drugim piętrze kamienicy z elewacją z piaskowca. Był kardiologiem, grał na saksofonie. Nagi, w świetle jednej zapalanej lampy wydawał się drobny, miał wyraziste rysy twarzy, był prawie nieowłosiony. Nie uprawiał ćwiczeń fizycznych. Wiele lat temu był zapewne zwinny, dobrze zbudowanym chłopcem, ale teraz, jako dojrzały mężczyzna, miał ciało starzejącego się akrobata, cienkie wężyki mięśni na rękach i nogach i lekko wystający brzuch, okrągły, twardy i zwarty, poniżej gładkiego, kwadratowego torsu. Will wiedział od razu, że jeśli wydarzy się coś poza jedną wspólnie spędzoną nocą, z nich dwóch to jemu przypadnie rola tego pięknego, a Harry w sposób błyskotliwy i dowcipny będzie oddawał honory. Spodobała mu się ta myśl, ale jednocześnie uznał ją za przykrą. Tu, w tym kosztownie, ale chaotycznie urządzonej mieszkanie był zaskoczony tym, że to ona ma atrakcyjne ciało i jest bez pieniędzy. Nie tego się spodziewał, przychodząc tutaj.

W łóżku Harry całował mięśnie klatki piersiowej Willa. Językiem powiódł po jego sutkach i zaczął schodzić w dół. Will czuł się nawet zadowolony. Doznania, język Harry'ego i jego łóżko, wszystko razem składało się na przyjemność, ale tylko tyle. Nie było w tym nic porywającego ani niebezpiecznego. Nie było w tym nic, co mogłoby się nie udać. Will pogładził ramiona Harry'ego i nie martwił się. Pozwolił, żeby wydarzenia toczyły się same. Kiedy usta Harry'ego, znacząc swą drogę pocałunkami, dotarły z powrotem do twarzy Willa, zaczęli się ostrożnie razem poruszać, jak gdyby trzymali pomiędzy brzuchami jajko.

Harry, pomyślał Will, dlaczego on musi mieć na imię Harry?

Potem zasnęli. Po przebudzeniu Will zbierał się do wyjścia, kierując się bardziej grzecznością niż chęciami, a wtedy Harry przytrzymał go za ramię.

– Po prostu zostań – poprosił.

Został. Wydawało się to naturalne. Szybko zapadł w głęboki sen, plecami dotykając pleców Harry'ego.

Kiedy jeszcze był Billym, siadywał w ciemnym wnętrzu szafy ojca i badał jej zawartość. Przeszukiwał ją po omacku, natrafiając rękoma na całe stosy past do butów w metalowych pudełkach, szczotek, zawieruszonych monet. Dno szafy było ciepłe i przytulne, połyskujące czernią jak studzienka odpływowa. Przedmioty wędrowały na dół szafy i już tam pozostawały. Przeszukiwał po omacku dno, aż jego ręce trafiły na twardy przedmiot – łyżkę do butów, o idealnym kształcie dziurki od klucza unoszącej się w powietrzu. Przyłożył ją do ust, chcąc sprawdzić, jak smakuje śliska, gumowata, nowiusienka. Była bez smaku; nagryzał

ją mocno, a potem trzymał w smudze światła przeświecającego pod drzwiami. Jego zęby pozostawiały idealny, symetryczny ślad.

Szafa jego matki, znajdująca się zaraz obok, była królestwem koloru i słodkich, kwiatowych zapachów. Tę szafę również lubił, ale jej przepych przytłaczał go i trudno mu było oddychać ciężkim powietrzem przesyconym perfumami. W szafie ojca wszystko wydawało się zbędne i nieuporządkowane. Rzeczy miały kolor nocy. Nad jego głową ginęły w ciemnościach zwisające rękawy i mankiety. Na dnie wyłożonym linoleum w kompletnej ciszy czekały buty ojca. Billy przybliżył twarz do jednego z jego wyjściowych czarnych półbutów. Był ogromny, niemal tak długi jak ramię Billy'ego, i nawet w tej ciemnej szafie połyskiwał przyćmionym, brązowoczanym światłem. Billy wciągnął powietrze. But miał silny i nieprzyjemny, jednak dziwnie fascynujący zapach pasty i, choć trudno to wytłumaczyć, zapach tajemnic, jakie kryły się w życiu ojca. Silny, odpychający, ale fascynujący. Billy był całkowicie zatopiony w tych zapachach, gdy nagle ojciec otworzył drzwi szafy.

Harry wstał wczesnym rankiem, by zaparzyć kawę. Will leżał w łóżku, jeszcze niezupełnie rozbudzony, powracał ze swoich snów do rzeczywistości. Nikłe refleksy porannego światła tego szarego, deszczowego dnia grały na klapach i czarze saksofonu. Na półkach, w narożnikach pokoju piętrzyły się stosy książek, książki były też poukładane na kiwających się krzesłach. W szklance stały zeschnięte na wiór żonkile. Harry wrócił z kuchni, wciąż zaspany. Miał na sobie tylko biały bezrękawnik. Nic specjalnego, w rodzaju tych, które noszą starsi panowie. Podał Willowi kubek kawy i wszedł do łóżka.

– Jak ci się spało? – zapytał.

– Dziękuję, dobrze – odpowiedział Will.

Nic oryginalnego nie mieli sobie do powiedzenia. Popijali kawę.

– Za półtorej godziny muszę być w szkole – powiedział Will.

– A ja w piątki chodzę później do pracy.

– To masz dobrze.

Kubki były białe i ciężkie, podobne do tych, które kelnerki z hałasem stawiały na bufecie w barze szybkiej obsługi. Na stoliku obok łóżka Will dostrzegł pudełko chusteczek jednorazowych, notes, garść długopisów, kamiennego aniołka o uroczystym wyrazie twarzy i egzemplarz *Anny Kareniny* w miękkiej oprawie.

– Czytasz Tołstoja? – zapytał Will.

– Czytam *Annę Kareninę* regularnie co kilka lat. Jestem fanatycznym wielbicielem Tołstoja.

– Ja też bardzo go lubię. Ale jeśli mam mówić o fanatycznym uwielbieniu, to mam je dla George Eliot.

– *Middlemarch* jest niesamowite.

– Do tej książki wracam co kilka lat. Dosłownie ścina mnie z nóg.

Nic oryginalnego nie mieli sobie do powiedzenia. Instynktownie jednak wyczuwało się, że sytuacja jest wyjątkowa, choć złożona z najprostszyc elementóv, a upływające sekundy odmierza trzask migawki aparatu fotograficznego. Willowi przyszło na myśl, że mógłby być dla Harry'ego tym, kim zawsze chciał, by dla niego byli atrakcyjni mężczyźni. Mógłby być miły i inteligentny, obecny, mający swój wewnętrzny świat. Mógłby zostać na jakiś czas, a potem, kiedy znów zapragnąłby odzyskać wolność, odejść. Z mieszanymi uczuciami dumy i współczucia Will położył dłoń na kościstym, chudym i bladym kolanie Harry'ego.

Dwa dni później zjedli razem kolację. Każdy z nich opowiedział historię swego dotychczasowego życia, czy raczej jej fragmenty. Jako dziecko Harry mieszkał w ogromnym, zimnym domu w Detroit, wraz z ósmiorgiem rodzeństwa. Ojciec wierzył w wojskową dyscyplinę, a matka tak usilnie poszukiwała reguł, którym mogłaby się podporządkować, aż stała się religijna. Jedyne, czego Harry żałował – przynajmniej do tego tylko się przyznawał – to to, że nie poświęcił się muzyce. Leczył pacjentów chorych na serce i robił to z zamiłowaniem, lubił swoją pracę, ale wierzył, że nigdy nie znajdzie w niej takiej przyjemności, jakiej dostarczało mu wciąganie powietrza pełną piersią i oddawanie go ludziom w postaci jednej, długiej melodii.

– Nie miałem dość odwagi, by zostać muzykiem.

Stare plakaty wiszące na ścianach restauracji przedstawiały oceaniczne liniowce, które nie pływały już od trzydziestu lat.

– Potrzeba odwagi, żeby zostać lekarzem – powiedział Will.

– Niezupełnie. A właściwie innego rodzaju odwagi. Jeśli już zaczniesz wykonywać zawód lekarza, reszta przychodzi sama, robisz to z rozpędu. O wiele trudniej byłoby się zdobyć na to, by z niego zrezygnować, niż by przy nim pozostać.

– Chcesz zrezygnować?

– Nie. Lubię to, co robię. Lubię też grać na saksofonie u siebie w domu i wyobrażać sobie, że gram w klubach. Niektóre marzenia są lepsze, gdy się nie spełniają, nie sądzisz?

– Chyba tak. Zamierzałem zostać architektem, a skończyłem jako nauczyciel piątych klas.

– I nie jest to zajęcie, które ci odpowiada?

– Niezupełnie. Stało się tym, które mi odpowiada. Początkowo chodziło tylko o to, żeby zrobić na złość ojcu. Przynajmniej tak mi się teraz wydaje.

– Wyprawiałem o wiele gorsze rzeczy, żeby zrobić ojcu na złość.

– Wiązał ze mną takie ogromne nadzieje. Wyobrażał sobie, że kiedyś zostanę szychą, i nie dopuszczał myśli, że może być inaczej. A ja pewnego dnia spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem: „Zamierzam uczyć w szkole podstawowej”.

– Ja całymi dniami ćpałem i grałem na gitarze. Musiałem pójść na medycynę w Meksyku.

– Upijałem się i jak szalony jeździłem samochodami. Zanim skończyłem szkołę średnią, razem z przyjaciółmi zdążyłem rozbić trzy auta.

– Nieźle załazłeś mu za skórę.

– Chyba tak.

– Nawiasem mówiąc, to była świetna zabawa.

– Hm?

– Ćpanie i granie na gitarze też było przyjemną rozrywką. Jestem pewien, że zabawa w rozbijanie samochodów była doskonała. Nie zapominajmy, że tego wszystkiego nie robiliśmy przecież tylko po to, żeby odegrać się na naszych ojcach.

– No nie. Oczywiście, że nie.

Harry uśmiechnął się, przesunął palec wzdłuż krawędzi swojej szklanki. Na palcach wyrastały mu kępki złocistych włosów. Z mankietu koszuli zwisała mu nitka. Poruszała się przy każdym ruchu ręki, łaskocząc go w nadgarstek, i Will mimowolnie spojrzał na swój nadgarstek, ponieważ wydawało mu się, że nitka dotyka również jego.

Nie obawiał się Harry'ego. Zastanawiał się, czy obawia się trochę któregokolwiek z mężczyzn spotkanych do tej pory.

On i Harry kochali się ostrożnie, z rozważą. Był to dobry seks, dość dobry, ale Will zupełnie inaczej odczuwał go pod skórą. Zazwyczaj seks spychał go na odległy plan, gdzie stawał się niewidzialny, ginął w cieniu urody tego drugiego mężczyzny. Przy Harrym był bardziej widoczny. Czasami lubił to uczucie. Innym razem miał ochotę wstać i wyjść,

powrócić do wygodnej i dobrze znanej egzystencji, do swojego dotychczasowego zwyczajnego życia, w którym nie znajdował szczęścia.

Chodzili do kina, jadali w restauracjach. Pierwszego słonecznego dnia pojechali samochodem Harry'ego do Provincetown i spacerowali brzegiem wody, trzęsąc się z zimna. Harry'emu, w brązowej zamszowej kurtce, wiatr przyciskał kosmyki włosów do okularów, i wokół niego utworzyło się doskonałe piękno, piękno, które powstało w tamtej chwili: jasne, zimne niebo i delikatny, złocisty, ledwie widoczny kilkudniowy zarost nad górną wargą. Nie składali żadnych deklaracji, sytuacja rozwijała się sama. Kolejna noc, po niej następna, niedziela spędzona nad kawą i gazetami.

Czasami Will myślał, że nadeszła miłość.

Czasem przekonywał sam siebie, że chce czegoś więcej.

Tak długo czekał na ciemnowłosego mężczyznę o duszy chłopca, bohatera, który wnosi w jego życie wszystko, czego dowiedział się na temat przygody i ciała. Przygotowywał się długo, aż stał się kimś, kto mógł po to sięgnąć. W wyobraźni Willa nigdy nie powstał obraz chudego, skromnie wyglądającego mężczyzny, który nie lubi tańca ani nocnych wypadów. Nie wyobrażał sobie, że ten ktoś będzie miał wątpliwy gust, jeśli chodzi o styl ubierania, że będzie mieszkańcem zagraconego mieszkania, właścicielem chudych nóg i płaskich pośladków.

Zawsze mieli o czym rozmawiać. Mogli powiedzieć sobie wszystko. Will czuł, że może mówić bez ograniczeń. Kiedyś, leżąc wieczorem w łóżku, powiedział:

– Czasami martwię się, że nie potrafię się naprawdę zakochać. Nie chodzi mi o to, co inni przez to rozumieją.

– A co rozumieją inni? – zapytał Harry. Jego naga noga spoczywała na nogach Willa. Marynarka i spodnie Harry'ego wisiały na krześle, czuwały w ciemności jak cierpliwy, starszy człowiek, którego jedynym zajęciem jest obserwacja.

– Nie wiem. Myślę, że utratę własnej osobowości.

– Dlaczego miałbyś tracić własną osobowość?

– Chciałem przez to powiedzieć, że moim zdaniem miłość wymaga pewnego rodzaju hojności, na którą ja nie potrafię się zdobyć, i to mnie martwi. Obawiam się, że nie umiem być hojny, ponieważ jestem bardzo próżny.

– Wiem, że jesteś próżny – powiedział Harry. – Ale przecież próżność nie jest najgorszą wadą.

– Właśnie w tym między innymi tkwi problem, że nie jest ona poważnym grzechem, lecz zaledwie jednym z irytujących pomniejszych grzeszków. Uważam, że lepiej już być złym do szpiku kości.

– Sądzisz, że nadszedł czas, by powiedzieć mi, że mnie kochasz? Wydaje ci się, że na to czekam?

– Nie. Nie wiem. A czekasz?

– Nie wydaje mi się. Może. Chociaż nieszczęśliwie zależy mi na takich deklaracjach.

– Spotykamy się już sześć miesięcy – zauważył Will.

– Prawie siedem. Proszę, nie traktuj tego jak czegoś, w czym mógłbyś zawieść.

– Ale przecież można zawieść. W miłości. Można się wycofać. Można dotrzeć do pewnego punktu, a potem powiedzieć nie.

– Chyba tak. Czujesz, że na to się zanosi?

– Nie jestem pewien. Może.

– Miłość cieszy się złą sławą. Zresztą, kto by się nie bał po tych wszystkich filmach?

– A ty myślisz, że mnie kochasz?

– Widzę, że chcesz, żebym to powiedział pierwszy – stwierdził Harry.

– A więc tak myślisz?

– Tak.

- To dobrze.
 - Dobrze?
 - Tak.
 - Przeżyję, nawet jeśli ty nie jesteś pewien. Nie jestem aż taki nerwowy.
 - Rzeczywiście nie jesteś – przyznał Will.
 - Nie, nie jestem.
- Pocałowali się i znów zaczęli się kochać.

Przytrafiło się to Willowi, kiedy zapomniał zabrać parasola. Wszedł rano z mieszkania Harry'ego, już był na ulicy, ale wrócił. Drzwi były otwarte. Harry grał na saksofonie w swojej sypialni, szybki riff przed wyjściem do pracy. Nie słyszał, jak Will wszedł. Stał w bokserkach i białych skarpetkach, grał. Will nie rozpoznał melodii. Obserwował Harry'ego od drzwi. Wiele razy widział go grającego, ale nigdy w takiej sytuacji, gdy Harry nie wiedział, że ktoś na niego patrzy. Teraz było zupełnie inaczej. Harry pochylał się nad saksofonem, miał zamknięte oczy, zarumienioną twarz. Will dotychczas nie widział go tak oderwanego od otaczającego świata, tak bez reszty pochłoniętego tym, co robi, nawet wtedy, gdy uprawiali seks. Na skroni pulsowała mu żyła. Grał dobrze, nie po mistrzowsku, ale muzyka całkowicie nim zawładnęła. Był mężczyzną z lekko zarysowanym brzuszkiem w opadających białych skarpetkach i bokserkach w niebieskie paski, grającym na saksofonie w nieuporządkowanej sypialni, gdy w okienne szyby bębniły krople deszczu. Nic się właściwie nie wydarzyło, ale Will poczuł wzbierające w nim uczucie. Nigdy nie będzie w stanie sobie tego wytłumaczyć. Był niemal pewien, że widzi jak na dłoni dzieciństwo i starość Harry'ego, całą jego linię życia, która przebiegała w tym pokoju, w tamtej chwili. Na kilka sekund Will opuścił własne ciało i połączył się z Harrym, poczuł jego obawy i nadzieje, i coś jeszcze – jego życie złożone z poszczególnych dni, które toczy się wewnątrz jego ciała i którego kwintesencja wypływa w postaci dźwięków wydychanych przez tubę, składających się na tę fascynującą muzykę. Will stał w milczeniu. Nie powiedział ani słowa. Wziął parasol z salonu i wyszedł.

Will zaczął żyć z uczuciem pewnego rodzaju zadowolenia. Zadowolenia, jakie daje chleb i rozmowa. Godziny jego dni nabrały nowych kształtów, wypełniły się bardziej konwencjonalnymi zajęciami, były lepiej zagospodarowane. Żył jako on sam i jako młodszy mężczyzna, którego kochał Harry, i choć trudno to pojąć, w pewnym sensie żył również jako Harry. Dawne wrażenie unoszenia się w powietrzu zdawało się zanikać, chociaż od czasu do czasu powracało. Kiedy ustępowało, pojawiała się zwykła radość i nowy rodzaj rozczarowania, które krążyło na obrzeżach zadowolenia, natrętnie jak osa. Teraz Will nie będzie osiągalny dla tego idealnego, wymarzonego mężczyzny, który potrafi zatrzymać czas siłą swoich drzemających pod skórą mięśni. Jeśli nawet ten mężczyzna istnieje – pogodny i potężnie zbudowany – Will już go nie odnajdzie, ponieważ spotkał tego miłego człowieka o przeredzających się włosach. Coś zaczynało w nim mieszkać, zajmować stałe miejsce w jego wnętrzu. Czuł rozpiekającą radość i coraz rzadziej smutek. Zdarzyło mu się przespać z kilkoma pięknymi, niezbyt rozcigniętymi chłopaczkami, których spotykał w barach albo na siłowni. Kupił dla Harry'ego płyty z muzyką jazzową, sweter z kaszmiru i kremową francuską papeterię. Martwił się wszystkim, co mogłoby się wydarzyć, każdym wypadkiem na świecie, czasami płakał, ze smutku i szczęścia, choć nie potrafił ich rozgraniczyć i nazwać.

Przez tak długi czas Zoe czuła się dobrze. Wiedziała o wirusie. Wydawało jej się, że czuje go w sobie, słyszy ciche trzaski jak te, które wydają iskrzące przewody elektryczne, stłumione odgłosy detonacji pomiędzy skórą a kośćmi. Ale nigdy nie czuła się chora, a minęły już prawie trzy lata. Coraz bardziej skłaniała się do przekonania, że przekazano jej chorobę, która jej jednak nie szkodzi, tak jak radio nie ponosiło żadnych konsekwencji, przyjmując relacje korespondenta, który żąda sprawniejszych systemów ścigania przestępstw, wyższych odszkodowań dla bogatych i surowszych kar dla wszystkich pozostałych. Radio mogło przekazywać złe wiadomości bez najmniejszego uszczerbku. Przez lata Zoe nabrała przekonania, że jej ciało jest jak radio, migające i szumiące, ale nienaruszone.

Częściej niż zwykle zapadała na przeziębienia i grypy, ale one zawsze miały normalny przebieg, potem choroba wycofywała się, a Zoe triumfowała, znów pełna życia. Kiedy pojawiły się bóle głowy i pierwsza prawdziwa gorączka, gdy obudziła się o trzeciej nad ranem w pościeli mokrej od potu, trudno jej było w to uwierzyć, tak samo jak wtedy, gdy dowiedziała się o infekcji. Była w równym stopniu zaskoczona, choć w nieco inny sposób. Tę wiadomość usłyszała trzy lata temu i początkowo miała wrażenie, że jej ciało zostało zagarnięte przez najeźdźcę, skolonizowane. Teraz uważała, że została zdradzona nie tyle przez wirusa, ile przez własne ciało. Miało się dostosować i nauczyć funkcjonować z infekcją. Miało w niej żyć, tak jak ryba żyje w wodzie.

Czy naprawdę uwierzyła, że z nią może być inaczej niż z innymi, że będzie wyjątkowym przypadkiem?

Uwierzyła.

Starła się jak najmniej leżeć w łóżku. Chodziła do pracy w biurze Towarzystwa Pomocy Prawnej, sprzątała mieszkanie, rozmawiała przez telefon. Wydawało się, że jeśli będzie się zajmować swoimi zwykłymi sprawami, normalność sama ją dogoni. Nie modliła się, ale zanosila usilne prośby do tej nadprzyrodzonej siły, która zarządza biegiem spraw toczących się utartym torem i szansami na lepszą przyszłość. Proszę, nie pozwól, bym zachorowała na zapalenie płuc. Dzięki za uchronienie syna przed chorobą. Czasami wychwalała siebie za to, że bardziej się troszczy o swojego syna niż o siebie. Czasem ganiła siebie za coś, co wydawało się tylko urojonym przewinieniem. Jej wdzięczność za ocalenie Jamala i niepokój o jego przyszłość przesłaniały prawdziwe pragnienie silniejsze od wszystkiego innego: chciała żyć. Czy pozwoliłaby mu umrzeć zamiast niej? Nie. Oczywiście, że nie. Czy poświęciłaby część jego szczęścia i bezpieczeństwa w zamian za własne ocalenie? Tak. Do pewnego stopnia byłaby skłonna poświęcić swego syna.

Uświadomiła sobie, że wyszukuje znaków: numery telefonów, w których suma wszystkich cyfr jest parzysta lub nieparzysta, liczba liter w pierwszym słowie, na którym zatrzyma się jej wzrok po otwarciu gazety. Pewnego dnia na Second Avenue zobaczyła niewidomą kobietę idącą z naprzeciwka i powiedziała sobie: „Jeśli minie mnie z lewej strony, wyzdrowieję. Jeśli minie mnie z prawej, mój stan się pogorszy”. Kobieta skręciła i weszła do sklepu, a Zoe poczuła się najpierw ocalona, potem skazana. Stwierdziła, że jeśli nawet istnieją znaki i przepowiednie, nie potrafi ich właściwie interpretować.

Zwlekła z poinformowaniem Jamala. Miał zaledwie cztery lata, kiedy powiedziano jej o chorobie. Powtarzała sobie, że jest na to czas. Wciąż jednak się zastanawiała: czy on bardziej ją zniechęca za to, że go chroniła, czy za to, że wyjawiała mu prawdę?

Wiedziała, że zniechęca ją za jej śmierć. Czyż nie był to ten jeden jedyny czyn, którego nie da się wybaczyć? Wydawało się niemożliwe, że może umrzeć, zanim Jamal będzie na tyle duży, by poznać ją jako kogoś, kto kiedyś był dzieckiem. Gdyby umarła, kiedy on będzie

jeszcze mały, pozostanie w jego pamięci wyłącznie jako matka. Będzie pamiętał jej dobroć i popełnione błędy. Stworzy sobie własny wizerunek matki i taki zachowa na zawsze. Żyłaby po śmierci jako abstrakcyjna postać o wyolbrzymionych cechach. Z jednej strony nie mogła znieść tej myśli, z drugiej, w zakamarkach duszy, była nią zachwycona. Ona, Zoe, stanie się mitem. Na samą myśl o tym ogarniało ją ponure, przerażające bezpieczeństwo niebiańskiego spokoju, schronienia.

Jamal miał siedem lat, kiedy pojawiły się pierwsze zmiany chorobowe u Cassandry. Zoe zdecydowała, że nie może już dłużej zwlekać. Przygotowała mu kanapkę i usiadła razem z nim przy stole. Był mroźny, biały dzień, ale śnieg, mimo wszystkich oznak, nie zaczął padać. Niebo za oknem, prześwitujące pomiędzy budynkami, było zasnuwane kłębiącymi się chmurami, nieprzejrzyste.

– Jamal, kochanie. Wiesz, co to jest AIDS, prawda? – powiedziała.

Jamal przeżuwał kanapkę. Trzymał chleb obiema rękami, jak dziecko, które ma mniej niż siedem lat. Jego włosy wymagały ostrzyżenia. Czarne kędziory opadały swobodnie, zasłaniając mu czoło i kark. Zorientowała się, że wpatruje się w jego rzęsy.

Zastanawiała się, czy chciałby dostać na Gwiazdkę rower? Czy byłby bezpieczny, jeżdżąc na nim?

Skinął głową.

– AIDS – powiedziała Zoe – jest taką chorobą, prawda?

Ponownie skinął głową.

– Nazywa się ją wirusem. Przypomina małego robaczka, zbyt małego, by można go było zobaczyć. Może się przedostać do krwi człowieka i wtedy ktoś, kogo to spotka, choruje.

– Uhm.

– Wiesz. Ja go mam. Przedostał się do mojej krwi i mogę zachorować. Prawdopodobnie tak będzie.

– Kiedy?

– Nie wiem. W każdej chwili jest to możliwe. Pomyślałam, że powinnam ci teraz o tym powiedzieć.

– Jak się nim zaraziłaś? – zapytał.

– Trudno powiedzieć. – Zawahała się. Tak nie możesz tej sprawy zostawić, upomniała siebie. Niech pozna prawdę. Zapamięta na całe życie każde usłyszane od ciebie kłamstwo. – Przypuszczam, że od mężczyzny. Naprawdę nie wiem od którego. Albo od igły.

– Zaraziłaś się tym od mojego ojca? – zapytał.

– Nie.

Tego nie była pewna, jednak istniały granice szczerości.

– Umrzesz? – zapytał.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Ale może tak być.

– Jeśli umrzesz, zamieszkam z moim ojcem?

– Nie – odpowiedziała.

– To dobrze.

Pogłaskała go po włosach. Ugryzł następny kęs kanapki, przeżuł i połknął. Spod sufitu dobiegł głuchy odgłos wydobywający się z rury.

– Jeśli umrzesz, mieszkałbym z Cassandrą.

– Kochasz Cassandrę, prawda?

– A ja też go mam?

– Nie. Kilka lat temu zaprowadziłam cię na badanie, pewnie nie pamiętasz. Doktor pobrał ci krew, a ty krzyczałeś przez pół godziny. Nie, ty nie masz, jesteś zdrowy.

– Mogę iść na górę do Ernesta?

– Chcesz mnie jeszcze o coś zapytać?

– Nie.

- Na pewno?
- Tak.
- Naprawdę masz ochotę pójść do Ernesta? – zapytała.
- Uhm.

Wstał od stołu i podszedł do drzwi.

- Jamal?
- Tak?
- Uważaj na siebie.
- Dobrze.
- Nie bawcie się z Ernestem na korytarzach. Zostańcie w domu.
- Dobrze.
- Ostatnio widziałam, jak przed wejściem kręcił się jakiś mężczyzna, wyglądał niezbyt miło. Nie bawcie się więcej na korytarzach. Zgoda?
- Dobrze.
- Nie wracaj za późno. Tak?
- Taak.
- No to cześć.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Słyszała, jak idzie po schodach na górę.

A więc tak przebiegła rozmowa, podczas której powiedziała swojemu dziecku, że zachoruje i prawdopodobnie umrze. Czego się spodziewała, rozpaczy i oskarżeń? Że rzuci się z płaczem w jej ramiona? Prawdopodobnie lepiej, że potoczyła się w taki sposób. Miała jednak za złe swojemu synowi, że przez cały czas zachował spokój i że zastanawiał się, co z nim będzie. Czowała ulgę i gniew, i smutek, jakiego nie była w stanie znieść. Czy śmierć będzie podobnie niezręczna i zwyczajna? Pomyślała, że jest to bardzo prawdopodobne. Może zaskoczyć przede wszystkim swoim podobieństwem do wszystkich innych zdarzeń. Niekoniecznie musi oznaczać koniec niewypowiedzianych uczuć czy troski o siebie samego; może nawet nie być końcem towarzyskiego skrępowania. Siedziała przy kuchennym stole, na którym stał kwadratowy słoik ze szklarniowymi tulipanami i leżała w połowie zjedzona kanapka jej syna, i coraz wyraźniej zaczynała zdawać sobie sprawę – wirus panoszący się w jej krwi miał w tym swój udział – że może odejść z tego świata, martwiąc się tylko o siebie, w otoczeniu osób, które będą ją trzymać za rękę i głaskać po czole i które w głębi duszy przepełnionej smutkiem będą czekały na jej śmierć, by mogły kontynuować własne życie. Będą wdzięczni losowi, że to spotkało ją, a nie kogoś z nich.

Nie tego pragnęła, nie chciała goryczy ani głuchego lęku. Pragnęła transcendencji. Chciała odczuwać szczęśliwość.

Nie. Wcale nie tego. Chciała móc nadal robić zakupy, słuchać muzyki i czytać gazetę w łóżku. Tak bardzo wciągały ją te codzienne drobne czynności, tak się do nich przywiązała, że nagle uświadomiła sobie, że nie może umrzeć. Nie umrze. Była tak niezaprzeczalnie obecna tutaj, w tym pokoju, we własnej skórze.

Podniosła rękę do twarzy i powąchała na wysokości nadgarstka. Potem sięgnęła przez stół po nadgryzioną kanapkę Jamala. Pozostał na niej odcisk jego zębów. Siedziała przy stole, trzymając ją w dłoniach.

– No cóż, kochanie – powiedziała Cassandra przez telefon. – Czego się po nim spodziewałaś?

– Nie wiem – odpowiedziała Zoe. – Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

– Rozmyślanie o tym, co czuje w związku z twoją chorobą, zajmie mu całe życie. Oczekiwanie, że w ciągu pierwszych pięciu minut będzie to wiedział, świadczy tylko o zadziwiająco dziwnym postrzeganiu rzeczywistości.

– Jak się czujesz? – zapytała Zoe.

– Stosunkowo nieźle. Dzisiaj rano kupiłam sobie sześć par czarnych, grubych pończoch, nie zacznę przecież nosić makijażu na nogach, istnieją pewne granice.

– Nie powiedziałaś mu jeszcze o tobie.

– Chyba rozsądnie. Raczej nie powinien dostać od razu całej dawki.

– Ale ja naprawdę nie wiem, kto się nim zajmie. Jeśli ani ty, ani ja nie będziemy w stanie.

– Od pewnego czasu próbuję wdrażać twoją matkę.

– Wcale nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby zamieszkał z moją matką. Ona robi wszystko...

– Ona jest drobnomieszczańską matroną, a on dzikusiem wychowywanym przez transwestytów. Wiem. Ale zastanów się nad tym, Kochanie. Nikt z naszych przyjaciół nie ma ciągot do macierzyństwa.

– Alice i Louise mogłyby się podjąć.

– Alice poszłaby na to – powiedziała Cassandra. – Louise zgodziłaby się ze względu na Alice. Miałyby najlepsze intencje, a po trzech tygodniach zrobiłaby z jego życia piekło. Zostawiłby masło orzechowe na wierzchu, a ona już by szła po druciany wieszak.

– Może masz rację. A Sam?

– Nie życzę sobie, żeby Jamal mieszkał z alkoholikiem. Koniec kropka.

– Ale on nie jest alkoholikiem – powiedziała Zoe.

– Jest pijany dwie noce na trzy, i jeśli o mnie chodzi, wystarczy, żeby go skreślić.

– A bliźniaki?

– Bliźniaki ledwie potrafią zatroszczyć się o siebie. Raczej Jamal powinien ich zaadoptować. Miałoby to większy sens.

– Tim, Mark i Robert też są chorzy – powiedziała Zoe.

– Twoja matka ma pieniądze i mnóstwo wolnego czasu. Poza tym nie jest szalona. Przynajmniej nie bardziej niż większość ludzi.

– Myślałam o moim bracie – powiedziała Zoe.

– Lalce Ken? Brr.

– Nie rozumiem, dlaczego wy dwoje nie możecie znaleźć wspólnego języka. Tej zagadki nie potrafię rozwiązać.

– Nie ma w tym nic zagadkowego. Ja jestem cudownym tworem własnej podświadomości, a on jest osiłkiem, który czerpie natchnienie z idiotycznych czasopism. Gdzie tu może być mowa o wspólnym języku?

– To nieprawda. Jesteś dla niego niesprawiedliwa.

– Och, być może jestem – zniecierpliwiła się Cassandra. – Nic na to nie poradzę, on ma wszystkie najmniej ulubione przeze mnie cechy. Z chęcią chodzi do eleganckich małych barów i restauracji, goni za modą i mieszka w B-o-s-t-o-n-i-e, na miłość boską.

– Pracuje jako nauczyciel i jest zakochany w lekarzu.

Nie starasz się spojrzeć na niego z każdej strony. Postanowiłaś go nie lubić i tyle.

– Być może, być może – powiedziała Cassandra. – Mam takie hobby. Nie przepadam za ładnymi chłopcami, którzy myślą, że słońce wschodzi i zachodzi w ich tyłkach. Przepraszam za wyrażenie.

– Będzie dobry dla Jamala. Lubi dzieci.

– Będzie ubierał Jamala, tak jak sam się ubiera, nauczy go chodzić na przyjęcia. Zabierze go do siebie do Bostonu. Och, cała moja wieloletnia praca pójdzie na marne.

– I tak zamierzam zadzwonić do Willa – stwierdziła Zoe. – Muszę teraz poinformować o tym moją rodzinę. Jemu powiem najpierw.

– Twoja matka jest znacznie lepszą kandydatką na opiekunkę Jamala. Jestem o tym przekonana.

– Wiesz, ostatecznie on jest moim dzieckiem.

– Kochanie, on jest naszym dzieckiem. Nie próbuj nadużywać swojej pozycji wobec mnie.

– Posłuchaj, Cassandra. Tę decyzję muszę podjąć sama.

– Zaraz, zaraz. Czy ty naprawdę sądzisz, że przez te wszystkie lata zmieniałam pieluchy i chodziłam do zoo, żeby wtedy, gdy zrobi się chryja, odsunięto mnie na bok jak zramolałą starą nianię, której pomoc na nic się już nie przyda?

– Daj spokój Cassandra, nie kłóćmy się.

– Nie dyrygujemy również sobą nawzajem. Ty go urodziłaś, to fakt. Ale nie daje ci to prawa do jednoosobowego rozstrzygnięcia o jego losie. Oddałam całe serce temu małemu skurczybykowi tak samo jak ty. On jest również moim dzieckiem.

– Wiem. Ja tylko...

– Ty tylko nic – powiedziała Cassandra. – Znasz mnie wystarczająco dobrze. Nie bierz mnie więc za bezwonną niedojdę, która zna swoje miejsce. Potrafię być dobrą wróżką, ale umiem też stać się Medeą.

– Wiem.

– Do tego tematu możemy jeszcze wrócić za jakiś czas. Teraz powiedz, jak ty się czujesz?

– Właściwie nieźle. Jestem trochę zmęczona.

– Masz może ochotę wybrać się na zakupy?

– Raczej nie – powiedziała Zoe. – Niczego nie potrzebuję.

– Kochanie, gdyby brak potrzeby powstrzymywał ludzi od robienia zakupów, gospodarka ległaby w gruzach.

– Wiesz, jednak zostanę w domu przez resztę popołudnia. Trochę sobie poczytam.

– Jak uważasz. Wychodzę upolować kilka świecidełek, może pokręcę się po ostatnim piętrze w Bloomingdale. Bardzo dawno tam nie zaglądałam, założę się, że zupełnie o mnie zapomnieli.

– W takim razie baw się dobrze.

– Och, dziękuję. Dla dziewczyny nie ma nic lepszego niż wyprawa na zakupy. Od razu czuje się podniesiona na duchu. Aha, Zoe?

– Mhm?

– Chcę dla Jamala jak najlepiej. O nic innego mi nie chodzi.

– Wiem. Obie chcemy tego samego.

– Boże, jesteś w stanie w to uwierzyć? Ja jestem głosem rozsądku i przyzwoitości. No cóż, nigdy nie można przewidzieć, co się wydarzy.

Zoe zadzwoniła do Willa do Bostonu. Zostawiła wiadomość na jego automatycznej sekretarce i kilka godzin później oddzwonił.

– Cześć, Zoe.

– Cześć, Will. Co u ciebie?

– W porządku. No, powiedzmy, że w porządku. Miałem wyjątkowo parszywy dzień.

– Przykro mi – powiedziała.

– Mam w klasie na porannych zajęciach dzieciaka, wiesz, takie zwykłe beztalencie. Kazałem mu zostać po lekcjach, nie tylko po to, żeby go ukarać, ale żeby powtórzyć z nim materiał. Myślałem, że może co nieco wejdzie mu do głowy, jeśli będzie sam. Nie płacą mi za korepetycje. Robię to, ponieważ lubię tego dzieciaka z takich czy innych idiotycznych względów. Każdy inny nauczyciel w tej szkole przepychałby go z klasy do klasy, do czasu aż będzie miał ileś tam lat i można go będzie usunąć ze szkoły. Ten gnojek uważa, że jest głupi, i wydaje mu się, że jeśli zdoła zbuntować całą klasę, jeżeli uda mu się zakłócić normalny tok nauczania, może nikt się na nim nie pozna. Tak więc poprosiłem jego rodziców, ponieważ chciałem porozmawiać o tym, w jaki sposób mogliby w domu zachęcić go do nauki. A oni są jak z koszmarnego snu. Matka, drobna osóbką o zaciśniętych ustach i wyglądem pruderyjnej, tandetnej paniusi, z tych, co to kiedyś były puszczalskimi dziewczuchami, zaszły w ciążę, mając czternaście lat czy coś koło tego, i nagle stały się pobożne. I ojciec, wielki tłuścioch, milczący, już z samego wyglądu wredny typ. Nigdy w życiu żadne z nich nie przeczytało ani

jednej książki. Przypuszczam, że w domu w każdym pokoju trzymają broń. Mniej więcej w połowie rozmowy ojciec spojrział na mnie z tym przebiegłym, protekcyjnym błyskiem w oczach i mówi: „Nie spotyka się wielu mężczyzn w zawodzie nauczycielskim”. To była pierwsza rzecz, jaką powiedział. I zerka w ten porozumiewawczy sposób na swoją żonę, a ona odpowiada mu takim samym spojrzeniem. Wtedy do mnie dotarło... oni się domyślili, że jestem gejem. Powiedzą teraz swojemu synowi, żeby trzymał się ode mnie z daleka. Być może jestem jego jedyną szansą, mogę się założyć, że nikt inny w tej szkole nie ma zamiaru się nim przejmować, a te dupki chcą go nastawić przeciwko mnie. W ogóle ich nie obchodzi, jak on sobie radzi w szkole, chcą, żeby był taki nadęty jak oni. Wiesz, zupełnie opadły mi ręce. Co za cholerna beznadziejność. Chodzi mi o tę bezdenną podłość i głupotę, tak silnie zakorzenioną. Już sam nie wiem, wydaje się, że teraz spotyka się ją na każdym kroku. Tak jakby ludzie stawali się coraz podlejsi i głupszy, i coraz bardziej z tego dumni.

– Wiem. Chciałam powiedzieć, że to okropne.

– Przepraszam, że się tak rozgadałem. Za każdym razem ryzykujesz, kiedy dzwonisz do mnie w powszedni dzień. Co słyhać, Zoe? Jak leci?

– Will, ja mam AIDS.

– Co ty mówisz?

– Mam AIDS.

– O Boże.

– Wyszedł mi dodatni wynik testu prawie trzy lata temu. Nie powiedziałam o tym nikomu z rodziny, przepraszam.

– Och, mój Boże.

– Naprawdę nie mam na to żadnego usprawiedliwienia. Ja tylko... dopóki nikt o tym nie wiedział, mogłam uważać, w pewnym sensie, że to nieprawda, tak mi się wydaje. Wmówiłam sobie, że jeśli inni nie będą wiedzieli, ja nie będę musiała żyć jak ktoś, kto nosi w sobie chorobę.

– Byłaś u lekarza?

– Oczywiście.

– Czy to ktoś dobry?

– Tak. Ktoś dobry.

– Jakie są twoje... Masz jakieś objawy?

– Pocenia w nocy, ale dopiero od niedawna. Bóle głowy. Właśnie dlatego uznałam, że powinnam ci powiedzieć.

– Wiesz, ile masz limfocytów T?

– Czteryście.

– Niedługo u ciebie będę.

– Nie musisz przyjeżdżać.

– Samolot odlatuje co godzinę.

– Will, i tak nic na to nie możesz poradzić.

– Będę za dwie, najdalej trzy godziny.

Will zjawiał się niecałe trzy godziny później. Zoe parzyła herbatę. Jamal siedział przy kuchennym stole i jadł kolację. Kiedy Will stanął w drzwiach, chwilę się zawahał, nie mając pewności, czy Jamal wie.

– Cześć, Will – powiedziała Zoe.

Pocałowała go tak, jak gdyby przyjechał ze zwykłą wizytą. W jej wyglądzie nie zaszły żadne zmiany. Oczywiście, początkowo u nikogo ich nie widać. Will pochował kilkoro przyjaciół i dobrze wiedział, ile czasu może minąć, zanim się pojawią zmiany. Kiedy zaczęli chorować, ich oczy zachowywały wilgotną głębię, skóra była wciąż ściśle połączona z mięśniami i kośćmi. We wczesnym stadium postęp choroby był niezauważalny,

siateczka precyzyjnych ściągów wyszywanych po wewnętrznej stronie skóry. Ale Zoe była jego siostrą, mimo że niejedno już widział, na krótką chwilę uwierzył, że wszystko jest w zupełnym porządku. Wydawało się, że to sztuczka, może pomyłka. Mieszkanie Zoe było tym samym mieszkaniem, widnym i skromnym. Wielka kuchnia z podłogą z szerokich desek, gdzie unosił się zapach cynamonu i kawy; wyszczerbione talerze i filiżanki nie od kompletu, ustawione jedna na drugiej za szybą szafki; wyblakłe obrazki meksykańskich świętych i okropne amatorskie bohomy, które kupowała na wyprzedażach (aniołek z kaskadą włosów Nancy Sinatry, chihuahua, uśmiechnięty mężczyzna z włosami obciętymi na jeża i ze świńskimi, niesymetrycznie rozmieszczonymi oczami). To miejsce nie wydawało się dostatecznie głębokie na śmiertelną chorobę. Brakowało mu powagi i ciężkiej atmosfery.

– Cześć – powiedział Will. – Cześć, Jamal.

Jamal siedział przy stole, udając, że je.

– Dzień dobry – odpowiedział.

Ostatnio porzucił swój zwyczaj milczenia w towarzystwie osób, których dobrze nie znał. W zamian przyjął majestatyczną, nieco zbolaną oficjalność. Mówił: „Dzień dobry” i „Dziękuję”, i „Będzie nam miło, jeśli jeszcze kiedyś nas odwiedzisz”.

– Jesteś głodny? – zapytała Willa Zoe.

– Nie. Tak. Trochę.

– Mamy na obiad ryż i fasolę – powiedziała. – Jamal przeszedł na wegetarianizm.

– Naprawdę? – zwrócił się do chłopca Will.

Jamal skinął głową.

– Tak.

– Nie jadasz nawet ryb?

– Ryby są żywymi istotami. Płynię w nich krew.

Zoe nałożyła na talerz ryż i fasolę dla Willa. Usiadł przy stole obok Jamala. Mały nadział na widelec fasolę, umieścił ją ostrożnie pomiędzy przednimi zębami i wciągnął w siebie.

Nie wyglądał na zdenerwowanego ani przestraszonego. Nie okazywał najmniejszego zdziwienia tym, że nagle zjawił się jego wujek, pokonując blisko pięćset kilometrów.

– Jak tam w szkole? – zapytał go Will.

– Uroczo – odpowiedział Jamal, a w jego głosie, jak się zdawało, nie było cienia ironii.

– Druga klasa, prawda?

– Tak.

– Gdybyś mieszkał w Bostonie, za kilka lat mógłbym być twoim nauczycielem. Uczę piątą klasę.

– Wiem.

Zoe nalala sobie herbaty do filiżanki i usiadła przy stole.

– Ja skończyłam kolację dwadzieścia minut temu. Jamal je najwolniej ze wszystkich żyjących istot.

Jamal uśmiechnął się skromnie, jak gdyby był to komplement. Nadział pojedyncze ziarno ryżu na ząb widelca.

– O ile mi wiadomo, ten, kto je wolno, lepiej trawi – powiedział Will. Dlaczego w obecności dzieci człowiek czuje się jak podczas oficjalnej wizyty polityków z mało znanych i odległych krajów?

– A Cassandra w ogóle nie je – zauważył Jamal.

– Oczywiście, że je – powiedziała Zoe. – Każdy musi jeść.

– Ona tylko pije wodę, sok i kawę – upierał się Jamal.

– Nieprawda – odpowiedziała mu Zoe. – Cassandra je dużo. Opowiadasz historie, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

– Raz dziennie zjada jabłko. Jedno zielone jabłko.

– Nie będę z tobą o tym dyskutować. Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Założę się, że w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin widziałeś, jak jadła cheeseburgera.

– A jak się miewa Cassandra? – zapytał Will.

– Dobrze – odpowiedziała Zoe.

– Cassandra już dawno przestała jeść cheeseburgery – powiedział Jamal. – Uważa, że są wstrętne.

Kiedy obaj skończyli jeść, Zoe poprosiła Jamalą, żeby poszedł do siebie odrabiać lekcje. Włożyła talerze do zlewu. Will podszedł do niej. Położył dłoń na jej szczupłych plecach.

– Kochanie – powiedział.

Odkręciła gorącą wodę.

– Jamal wie. Ale dziękuję, że nie poruszyłeś tego tematu przy nim.

– Nigdy bym...

– Nie chcę, żeby co pięć minut musiał o tym słuchać. Chociaż czasami zastanawiam się, czy to właściwe podejście, może należałoby mu o tym mówić tak często, aż stanie się to dla niego normalne jak każda inna zwykła rzecz.

Wycisnęła na gąbkę płyn do naczyń, w taki sposób jak robiła to ich matka. Trzymała go w nieprzezroczystej plastikowej butelce, tak samo jak matka. Miała na sobie czarną koszulę i sprane czarne dżinsy.

– Myślę, że to słuszna decyzja – stwierdził. – Ale tak naprawdę, kto to może wiedzieć? Któż może wiedzieć, jak postąpić wobec dzieci?

– Dziękuję, że przyjechałeś.

– Proszę, nie dziękuj.

Nastąpiła chwila milczenia, dziwnie przypominająca spotkanie towarzyskie, gdzie spotkali się jako dwójka znajomych, którym po chwili rozmowy wyczerpały się tematy, ale nie potrafia znaleźć taktownego sposobu uwolnienia się od siebie. Wydawało się, że powinni przytulić się do siebie i razem rozplakać. Oni jednak nie płakali. Zachowywali się jak dwoje dorosłych, którzy zmywają w kuchni naczynia, podczas gdy dziecko odrabia lekcje w drugim pokoju.

– Czuję się trochę skrępowana – powiedziała. – Czy to nie idiotyczne? Wydawałoby się, że powinnam mieć zupełnie inne odczucia, których przecież jest tak wiele.

– Czy coś bierzesz?

– Jeszcze nie. Sharon, moja lekarka, namawia mnie na AZT. Ale ja się boję, słyszę o tym tyle okropnych rzeczy. Powiedziałam, że jeszcze się zastanowię.

– Myślę, że powinnaś się jednak zdecydować. Chociaż może nie. Sam nie wiem. Też słyszałem dużo złego o AZT. A ta Sharon trochę się na tym zna?

– Tak, mówiłam ci, że tak. Nie martw się tym tak bardzo.

– No tak, jasne. Nie ma żadnego powodu do zmartwienia!

– I proszę, przestań ironizować.

– Jeśli odejmie się niepokój i ironię, nie mam już w czym wybierać – powiedział. – Nie bierzesz żadnych leków?

– Jeszcze nie. Tylko całą masę witamin. No i staram się dobrze odżywiać.

– Nie sądzę, żeby to wystarczyło.

– Pewnie trzeba będzie zacząć od czegoś przeciwko zakażeniom oportunistycznym – powiedziała. – Może od bactrimu. Zastanawiałam się nad pentamidyną w aerozolu, ale kosztuje majątek.

– Jak to ma znaczenie, ile kosztuje?

– Will, moje ubezpieczenie nie pokryje wszystkiego. I tak się szczęśliwie składa, że w ogóle jestem ubezpieczona. Jak ci się wydaje, dlaczego codziennie przez tyle lat wkładam spódnice, idę do centrum i siadam przed komputerem?

– Nie martw się o pieniądze – powiedział.

- Muszę się o nie martwić.
- Mogę ci pomóc.
- Dziękuję. Ale ile ty zarabiasz? Dwadzieścia pięć tysięcy rocznie?
- Harry ma pieniądze. Tata ma pieniądze. Susan też ich nie brakuje.
- A więc dobrze. Przeszanę się o nie martwić.
- Skoro już mowa o lekach, przywiozłem ze sobą... jointa. Masz ochotę zapalić?
- Wiesz... Tak. Chętnie zapalę.

Will przechylił głowę w stronę pokoju Jamala i uniósł pytająco brwi.

– Widział mnie już na hajku. Cóż mogę powiedzieć? Jestem jedną z tych matek, o których można przeczytać w gazetach.

– Jak dla mnie jesteś wzorową matką. – Wyjął jointa z portfela.

– Czy ja wiem. Staram się, ale to przychodzi o wiele trudniej, niż się początkowo wydawało. Nie, to niezupełnie tak. Jest trudne pod innymi względami, niż się człowiek spodziewał. Bardziej ludzkie. Wyobrażałam sobie, że istnieją wyraźnie zaznaczone granice, że będę dokładnie wiedziała, co mam powiedzieć dziecku.

Will zapalił jointa, zaciągnął się i podał go siostrze. Osuszyła ręce ścierką z wzorem przedstawiającym fragment dżungli.

– Mama nie była taka całkiem ludzka, nie wydaje ci się? – zapytał. – Nie chcę przez to powiedzieć, że była potworem, ale nigdy nie zachowywała się jak prawdziwy człowiek, czyli ktoś, kto żyje i denerwuje się tutaj, na powierzchni ziemi. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Zoe zaciągnęła się i wypuściła gęsty obłok dymu, który zawisł ciężko w świetle lampy.

– Och, mama się bała. Ona się bardzo bała.

– Chyba masz rację. Powiedziałaś jej?

– Jeszcze nie. Najpierw musiałam to wypróbować na tobie.

Will wziął od niej jointa i zaciągnął się głęboko.

– Znoszę to chyba nieźle, nie sądzisz? – zapytał.

– Mhm. Byłam pewna, że tak będzie.

Will wziął do ręki małego plastikowego człowieczka, który leżał na stole.

– Co to jest? – zapytał.

– Jeden z ludzików Jamala ze *Star Treka*. Doktor, ale zapomniałam, jak on się nazywa.

– Bones. Kapitan Kirk tak się do niego zwracał. Bones.

– Ach tak, rzeczywiście – powiedziała. – Ale o ile sobie przypominam, on nie był jednym z głównych bohaterów, prawda?

– Zawsze znajdował się w pobliżu. Był... pomocny.

– Jamal ma ich wszystkich. Spójrz, tutaj jest Klingon.

– Nieprzyjemna postać.

– Uwielbia przybyszy z kosmosu. Dla niego nie ma znaczenia, czy są dobrzy czy źli. Will?

– Tak?

– Cassandra też to ma.

– O Boże.

– Dłużej ode mnie. Ma na nodze mięsaka Kaposiego.

– Och. – Trzymał w ręku małego plastikowego doktora Bonesa, który miał malutkie czarne oczka i skórę w kolorze plastra z opatrunkiem. – Cassandra jest na AZT? – zapytał.

– Próbowala. Dostała takiej anemii, że ledwie mogła się podnieść. Między innymi dlatego nie jestem pewna, czy powinnam się na to zdecydować.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić – odpowiedziała. – Wystarczy, że tu jesteś. Bardzo się z tego cieszę.

Podeszła do stołu i usiadła przy nim z takim zdecydowaniem, jakby to była oczywista rzecz, którą należy zrobić w następnej kolejności. Wciąż trzymała w ręku plastikowego przybysza z kosmosu. Postawiła Klingona przed sobą na stole, spojrzała na figurkę z badawczą powagą jubilera, który zastanawia się, czy kamień nie został wyceniony powyżej swej wartości.

– Tata buduje szklarnię – oznajmiła.

– Wiem.

Will napełnił szklankę zimną wodą z kranu. Przyniósł ją ze sobą do stołu, napił się trochę i postawił szklankę obok Klingona. Zoe też pociągnęła łyk.

– Chce hodować orchidee – ciągnęła. – Czy to nie zabawne? Wyobrażasz sobie jego hodującego orchidee?

– Ojciec i Magda starają się żyć po wielkopańsku. Ona zajęła się działalnością charytatywną. Słyszałaś o tym?

– Tak jak mama.

– Jak w serialu „Beverly Hillbillies”. Krąży po Bridgehampton w futrze z lisa, aż się dziwię, że obrońcy praw zwierząt jeszcze nie oblali jej czerwoną farbą.

Zoe roześmiała się. Wyraz jej oczu się nie zmienił.

– Mama jest taka samotna – powiedziała. – Powinna sprzedać dom.

– Byłoby ci przykro, gdyby tak zrobiła?

– Nie. Tak naprawdę wcale nie jestem do niego przywiązana.

– Ja też nie. Uważa się to za klasyczne traumatyczne przeżycie, kiedy rodzice sprzedają dom, w którym się dorastało, a mogę pomyśleć tylko jedno: Mamo, kup sobie mieszkanie. Nie zwlekaj z tym dłużej.

– Nie byliśmy tam szczególnie szczęśliwi.

– Czasem byliśmy. Zdarzały się takie chwile.

– Tak, właściwie masz rację. Takie chwile bywały. – Zoe próbowała umieścić Klingona na krawędzi szklanki. – Niezbyt dużo zrobiłam w życiu – powiedziała.

– Daj spokój. Nie mów takich rzeczy.

– Ale to prawda i tyle. Kiedy myślę o sobie, no wiesz. O tym, że mnie już tutaj nie będzie. Czasami zastanawiam się, jak to jest. Chodzi mi o to, że ani nie jestem w trakcie tworzenia wspaniałego dzieła sztuki, ani nie zajmuję się ratowaniem ludzkiego życia, ani nic w tym rodzaju. Mam tylko Jamalą, pracę i to mieszkanie.

– To wystarczy – powiedział Will. – Nie musisz przecież być neurochirurgiem.

– Rzecz w tym, że gdyby to minęło... Gdyby zdarzył się cud i minęła mi choroba... Nie sądzę, żebym tak bardzo się zmieniła. Nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, że zostałabym lekarzem albo pracowałabym z biednymi, ani nic takiego. Nawet przez jakiś czas prowadziłam rozmowy, powiedzmy, że z niewidzialną siłą, i próbowałam przekonywać mojego cichego rozmówcę, kimkolwiek on był, że jeśli dostałabym jeszcze jedną szansę, robiłabym wszystko inaczej. Ale nawet wtedy, gdy to mówiłam, wiedziałam, że to nieprawda.

– Kochanie, wiele osiągnęłaś. Nie chcę, żebyś się tym zamartwiała.

– Najbardziej zabawne jest to – powiedziała – że wcale nie czuję się lepiej, myśląc, no wiesz, myśląc o śmierci. O tym, że nie przeszkodzi w żadnej mojej wspaniałej pracy.

– Mhm.

– Czasem wydaje mi się, że chciałabym, żeby moja śmierć była większą tragedią. To śmieszne, prawda? Chciałabym, żeby moje odejście było ogromną stratą dla świata, a przecież wiem, że tak nie będzie. Jediną osobą, dla której będzie naprawdę druzgocząca, jest Jamal.

– Posłuchaj, Zoe, takie rozważania są jednak przedwczesne, nie sądzisz?

– Jeśli coś mi się stanie i jeśli coś stanie się z Cassandrą, myślę, to znaczy, zastanawiałam się...

– Wyglądasz bardzo dobrze. To są dopiero pierwsze symptomy.

– Zastanawiałam się, czy nie pomyślałbyś może, żeby zabrać do siebie Jamala. Muszę wiedzieć, że będzie miał kogoś, kto się nim zaopiekuje.

– Boże, Zoe – powiedział Will. – Pewnie tak, chyba mógłbym go zabrać.

– Cassandra ubzdurzyła sobie, że Jamal powinien zamieszkać z naszą mamą. Ale sama nie wiem. Mama jest taka... jest taką mamuszką. Ona i Jamal zwyczajnie do siebie nie pasują, wolałabym, żeby zamieszkał z tobą.

– Będę musiał się nad tym zastanowić. Przypuszczam, że nie byłoby specjalnych problemów. Prawdopodobnie mógłbym zabrać go do siebie, gdybyś tego chciała.

– Dziękuję.

– A może przyjechałabyś do Bostonu? – zapytał Will. – Pomógłbym ci znaleźć mieszkanie.

– Nie. To jest nasz dom, Jamal ma tutaj przyjaciół. i nie potrafiłabym go rozdzielić z Cassandrą.

– Rozumiem.

– Cassandra jest co najmniej tak dobra dla niego jak ja. Nawet sobie nie wyobrażasz.

– Gdybyś jednak zmieniła zdanie, jeślibyś chciała na jakiś czas przenieść się bardziej na północ, koniecznie daj mi znać.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj mi. Proszę.

Przemaszerowała Klingonem w poprzek stołu i postawiła go przed Willym.

– Dziękuję ci, Will – powiedziała niskim głosem.

Siedzieli razem przy stole, aż w kuchni pojawił się Jamal, żeby powiedzieć, że skończył odrabiać lekcje i że chciałby pooglądać telewizję. Oglądali razem z nim przez godzinę, potem Zoe położyła go spać. Will i Zoe wrócili do kuchennego stołu, siedzieli przy nim długo w noc i rozmawiali. Od czasu do czasu Will bezwiednie maszerował Klingonem po blacie stołu, to znów robiła to Zoe. Podczas rozmowy Will rozczesywał jej włosy.

Mary przyjeżdżała do Bostonu raz albo dwa razy do roku, żeby zobaczyć się z synem i pobyć w mieście, które jej nie rozpoznawało. A raczej, jechała do Bostonu, by spotkać się z synem, a przy tej okazji skorzystać z dodatkowej i mniej skomplikowanej przyjemności, ciesząc się pobytem w Bostonie. Boston był w pewnym sensie miniaturą Nowego Jorku, miastem, w którym prezentowała się znacznie lepiej niż większość kobiet w jej wieku i z którym nie wiązały się żadne wspomnienia. Zawsze zatrzymywała się w hotelu Ritz Carlton, co w każdych okolicznościach byłoby ekstrawagancją, a tym bardziej teraz, kiedy utrzymywała się z alimentów i pieniędzy, które zarabiała, pracując u Annę Klein. Jednak dla Ritza było warto. Przechodząc przez salę recepcyjną, ubrana w spódnicę i żakiet, mogła być dystyngowaną, zamożną bizneswoman z San Francisco. Mogła być amerykańską żoną importera win, który ma mieszkanie w Paryżu i dom w Toskanii. Odkładała pieniądze na te eskapady, nie brała innych urlopów, a nowe ubrania kupowała zawsze z myślą o tym, że będzie je nosiła w Bostonie. Tam, idąc Newbury czy Arlington Street, mijając wystawy drogich sklepów, mogła być kimkolwiek. W Bostonie, gdzie kobiety nawet w lepszych dzielnicach miasta były przeważnie przysadziste, miały zde gustowany, zawiedziony wyraz twarzy jak wizerunki na staroangielskich monetach, tam gdzie płaszcze z burberry wydawały się szczytem mody, a kobiety z trzydziestokilogramową nadwagą najwyraźniej nie potrafiły wybrać dla siebie bardziej gustownej odzieży niż w dużą kratę albo jaskrawe kwiaty – Mary mogła się rozkoszować smagłą cerą Włoszki, twarzą o wyrazistych rysach i aurą egzotycznej odmienności, jaką roztaczała wokół siebie.

Tam mogła na pewien czas zapomnieć o faktach z własnego życia. Przeształa być matką śmiertelnie chorej dziewczyny. Nie roztrwoniła swojej młodości, żyjąc z porywczym, nieokrzesanym mężczyzną, który zostawił ją dla tłustej sekretarki o kanarkowych włosach. Nie prowadziła skromnego życia w ogromnym, pustym domu. Nie wyczekiwała wizyt znajomych pań, z którymi kiedyś miała nadzieję, jak się okazało płonną, nawiązać bliższe kontakty.

Kiedy udawała się do Bostonu, stawała się kobietą mieszkającą w dobrym hotelu. W torebce nosiła cienki złoty ołówek i francuską szminkę w czarnym, zdobionym emalią etui. Była tam, by się spotkać ze swoim synem, postawnym mężczyzną w dżinsach i tweedowej marynarce.

Billy (nauczyła się używać w rozmowie z nim imienia Will) umawiał się z nią w restauracjach lub sklepach albo przychodził po nią do Ritza. Była w Bostonie już wielokrotnie, ale ani razu u niego w domu. Każda z jej wizyt w tym mieście miała oficjalny charakter. Mary pozostawiała za sobą własne życie, by przyjechać do Bostonu, i w pewnym sensie Billy również opuszczał swoje. Wkładał marynarkę, wyjściowe buty i jechał metrem do dzielnicy Bostonu prawie tak samo obcej dla niego jak dla niej. Razem stanowili parę turystów. Spacerowali po ulicach, emanując dumną i wyzywającą anonimowością. Boston miał dla nich swoje domy z nakrapianej cegły i z fasadami z wapienia, swoje egocentryczne szaleństwo kupowania i sprzedawania, i wystawy pełne towarów. Mary opierała rękę w zgięciu łokcia Billy'ego i rozmawiała z nim o przyjemnych, codziennych sprawach. Wielu jednak nie poruszali. Znała jego tajemnicę, chociaż nigdy jej nie wyjawiał, a ona nigdy nie zapytała wprost. Nie potrafiła dokładnie określić, od kiedy posiadała tę wiedzę. Nie byłaby w stanie powiedzieć na przykład, że wiosną 1980 roku czy jesienią 1982, a może na Boże Narodzenie tego roku, kiedy skończył trzydzieści lat, zdała sobie sprawę, że jej syn jest homoseksualistą. Mary była niemal pewna, że pamięta czasy, gdy o tym nie wiedziała, ale ilekroć próbowała cofnąć się pamięcią do tych lat, kiedy nie wiedziała, zawsze okazywało się,

że zaczyna wierzyć, iż wiedziała zawsze, nawet wtedy, gdy był jeszcze dzieckiem. Jej wspomnienie jego niewinności istniało, lecz głęboko ukryte, wyczuwała je intuicyjnie, tak jak wyczuwa się czyjąś obecność, gdy jeszcze nie widać osoby. Kiedy powracała myślami do przeszłości – gdy próbowała dokładnie umiejscowić w czasie tę Mary, która wierzyła, że jej syn kocha kobiety i pewnego dnia się ożeni – były one skażone obecną wiedzą i przywołany w pamięci obraz heteroseksualnego syna rozplątywał się, jak gdyby tamta Mary nigdy nie istniała.

Przyjęła to jako fakt, odległy i neutralny jak sam Boston. Pozwoliła mu żyć spokojnie w sobie i nie zastanawiała się nad szczegółami. Ona i Billy zawarli milczący układ. Wstępował po nią, zjawiając się elegancko ubrany. Opowiadał o swojej pracy, pytał o siostry, znacznie więcej słuchał, niż mówił. Czasami przypominał nieśmiałego adoratora. Zdarzały się nawet chwile, kiedy przypominał jej Constantine'a jako młodego mężczyznę: Constantine – robotnik w najlepszym ubraniu, na jakie mógł sobie pozwolić, mówiący po angielsku mniej niż dobrze, traktujący ją z szacunkiem i delikatnością, ponieważ był nią zauroczony i nie rozumiał połowy z tego, co mówiła, oraz ponieważ miał w zanadrzu niespodzianki: swój porywczy charakter oraz tę rzecz między nogami, które chował na później, kiedy będą już po ślubie. Nie zastanawiała się nad niespodziankami Billy'ego. Czekwała, aż zadzwoni z hotelowej recepcji. Zabierała go do sklepów i kupowała mu nowe ubrania, stanowczym gestem podając przy kasie swoją kartę kredytową w odpowiedzi na jego protesty, które, oboje dobrze o tym wiedzieli, stanowiły swego rodzaju rytuał. Zabierała go na kolacje do eleganckich restauracji, pozwalając mu, nie angażując go w rozmowę, tylko słuchać jej wywodów. Wydawało się to formą wzajemnego szacunku, sposobem okazywania sobie miłości.

Od lat między nimi obowiązywały te same zasady. Ze strony Mary nie zmieniłyby się przez wiele kolejnych lat. Mogła sobie wyobrazić siebie jako starszą panią, dystyngowaną i poważną, w ciemnym kostiumie, dobrze znaną personelowi w Ritzu, która raz na kilka miesięcy przyjeżdża, by spotkać się z synem, już szpakowatym, przystojnym i postawnym mężczyzną ze starannie przystrzyżonymi siwymi wąsikami i twarzą pomarszczoną i świecąca niczym elegancka skóra. Spacerowałyby razem po Public Gardens. Jadałoby kolacje w zacisznych restauracjach, gdzie nadal upierałaby się, z łagodną zuchwałością dziecka charakterystyczną dla podeszłego wieku, by uregulować rachunek.

Wydawało się, że starzenie się równoległe z synem jest dobrym sposobem na przyjęcie starości z godnością, i po cichu gratulowała sobie, że potrafi zdobyć się na taką otwartość. Nie każda matka umiałaby w ten sposób szanować wybory dziecka czy jego prawo do prywatności. Niektóre okazywały się jędzami, błagały i groziły. Ona, Mary, pakowała najlepsze ubrania i wynajmowała pokój w Ritzu.

Zdarzyło się to podczas jej wiosennej wizyty. W restauracji Billy nachylił się do niej i powiedział:

– Wiesz, mam, chyba się zakochałem.

Zaledwie tych kilka słów. W pierwszej chwili się nie zorientowała, jak wiele niosły. Upiła łyk wody i zapytała:

– Naprawdę?

Żadne z nich nie odezwało się przez długą chwilę. Umysł Mary rejestrował stłumione i radosne pobrzękiwania sztućców, filiżanek z kawą i szmer rozmów, dobiegające od stolików innych gości. To była urocza restauracja, jedna z jej ulubionych w Bostonie, elegancki lokal, gdzie wszyscy kelnerzy byli przystojni i gdzie świeczki migotały na wprost własnych odbić w przyciemnianych lustrach. Właśnie w takie miejsce Mary miała nadzieję udać się na lunch po uroczystości rozdania dyplomów, przed wielu laty, kiedy decyzje podejmował Constantine i zabrał ją do okropnej kawiarni z kraciatą tapetą, plakatami reklamującymi wycieczki i

usychającą różą na każdym stoliku. Teraz, kiedy siedziała naprzeciw syna i czekała, aż on podejmie rozpoczęty temat, poczuła przemożne pragnienie, by odejść. Nie od stołu i zostawić go samego – nie zrobiłaby tego – ale zespolić się w jedno z restauracją, opuścić własne ciało i stać się częścią tego pomieszczenia z jego gwarem swobodnych rozmów i ścianami wyłożonymi adamaszkiem, kosztownym, solidnym, połyskującym wystrojem wnętrza.

– Ma na imię Harry – powiedział Billy.

– Ach tak. – Mary postanowiła, że nie będzie udawać zaskoczenia. Cóż mogła na tym zyskać? – Od jak dawna go znasz? – zapytała.

– Mniej więcej od roku.

Billy podniósł nóż i ponownie go odłożył. Mary spostrzegła, że jest dumny i zarazem zakłopotany. Uświadomiła sobie, że w pewnym sensie jej syn w ogóle się nie zmienił od dnia, kiedy mając dziesięć lat, przywiózł do domu misterny naszyjnik z koralików, który zrobił dla niej na obozie letnim. Wiedziała, że jest dumny z tego naszyjnika i że inni chłopcy, którzy byli z nim na tym obozie, zrobili dla swoich mam popielniczki albo portfele. Wyobraziła sobie swojego syna siedzącego pomiędzy dziewczętami, nawlekającego koraliki z wyrazem zawziętego skupienia na twarzy, pogrążonego w swoim uwielbieniu dla kobiecej staranności. Teraz, mając trzydzieści sześć lat, nieśmiało i z zakłopotaniem marszczył brwi, patrząc na nóż, który trzymał w rękach.

– Przypuszczałem, że ty pewnie wiesz. O mnie – powiedział.

Mary się nie odezwała. Wydawało się, że straci coś, co być może będzie jej później potrzebne, jeżeli teraz przyzna się do tego, że wie. Billy czekał, obracając w palcach nóż, a kiedy się zorientował, że ona nie zamierza nic odpowiedzieć, zaczął mówić dalej.

– Czuję się naprawdę głupio, ujawniając się w moim wieku. Powinienem już dawno ci o tym powiedzieć. Ale byłem niemal pewien, że ty wiesz, i zawsze sobie powtarzałem, że oficjalnie powiem o tym, kiedy się zakocham, jeśli w ogóle tak się stanie. Ponieważ chciałem ci o tym powiedzieć w związku z prawdziwą, żywą osobą, nie tylko o, no wiesz, skłonności. Zwlekałem tak długo prawdopodobnie ze zwykłego tchórzostwa. W każdym razie tak się sprawy mają. Lepiej późno niż wcale, prawda? Jestem zakochany w mężczyźnie, który ma na imię Harry.

– No tak – powiedziała Mary.

– Jesteś tym wstrząśnięta? – Billy podniósł na nią wzrok i zobaczyła, jak on bardzo pragnie, żeby ona nie była zbulwersowana. Jak bardzo potrzebuje... czego? Nie przebaczenia, niezupełnie tego. Potrzebuje jej akceptacji. Rozpaczliwie pragnie nie stać się dla niej obcym człowiekiem. W jego wieku, po prawie dwudziestu latach samodzielnego życia i robienia tylko tego, na co miał ochotę. Od dwudziestu lat cała trójka jej dzieci żyła poza jej wpływem. Drwili z niej swoją uprzejmością i wyrozumiałością. Robili tylko to, co chcieli, a ją pozostawili jej własnemu, coraz bardziej kurczącemu się życiu. A teraz nieoczekiwanie, po tylu latach, Billy znalazł się w zasięgu jej rąk i mogła go skrzywdzić z taką samą łatwością jak wtedy, kiedy był dzieckiem.

W pierwszym odruchu chciała to wykorzystać. Mogła mu powiedzieć, że robi jej się niedobrze na samą myśl o tym, że jej jedyny syn kocha innego mężczyznę. Mogła powiedzieć, że zostały pogrzebane wszystkie jej nadzieje. Albo, co byłoby jeszcze gorsze (trudno to racjonalnie wytłumaczyć, ale czuła, że byłoby gorsze), mogła zmienić temat. Mogła potraktować tę jego deklarację miłości jako nic nie znaczącą dygresję w rozmowie, niemal nie zasługującą na komentarz.

Mogła mu odpłacić za każdy afront, każde rozczarowanie i przejaw braku szacunku dla niej. Przypomniała sobie, jak marudził, mając cztery lata; jaki był rozwydrzony w wieku siedemnastu lat, bardziej lojalny wobec bandy głupich, agresywnych przyjaciół niż wobec niej. Pomyślała o dniu rozdania dyplomów, kiedy to poszedł sobie do kina, odmawiając jej głębokiej satysfakcji, która nie kosztowałaby go prawie nic. Poczuła, jak opanowuje ją gniew

i zaczyna się trząść z irytacji, jak gdyby kawałek chrząstki utkwiał jej głęboko między zębami. Jednak prawie wbrew swej świadomości i woli, cicho, ale wyraźnie powiedziała:

- Nie, nie jestem wstrząśnięta.
- To dobrze – odetchnął.
- Opowiedz mi coś więcej o Harrym.

Na twarzy Billy’ego pojawił się uśmiech, mimowolny, ledwie zauważalny grymas uśmiechu, a Mary dostrzegła – prawdę mówiąc, raczej się domyśliła, niż dostrzegła – że w oczach poczuł piekącą zapowiedź gorących łez wdzięczności. Dlatego że okazała spokojne, zwykłe zainteresowanie. Tylko tyle. Wzbierające łzy w oczach chłopca, mężczyzny, który przez tyle czasu był zamknięty w sobie jak migdał w swej łupinie.

– Jest kardiologiem – powiedział. – Gra na saksofonie. Ale najważniejsze jest to, że z Harrym mógłbym rozmawiać całą wieczność.

Mary skinęła głową. Poczwała, jak coś w niej rośnie, twardy niewielki pęcherzyk powietrza, który jak się zdawało, ma swoje miejsce pod jej żebrami niczym trzecie płuco. Była rozczarowana. Rozsadzał ją gniew. Ale nie potrafiła skrzywdzić własnego dziecka, chociaż żałowała, że nie jest wystarczająco silna, by to zrobić. Gdyby była kobietą, która potrafi wyładować gniew na swoim synu, potrafi się zemścić, która wie, jak inne mogłoby być jej życie! Gdyby była kobietą stanowczą i bezlitosną, łatwo wpadającą w złość, czy nie wyszłaby lepiej za męża? Czy nie wychowałyby dzieci, które by ją szanowały, które osiągnęłyby w życiu wiele, ponieważ ich matka była zawsze przy nich uzbrojona w miecz i wagę? Czy nie taka powinna być kobieta, która mieszka w Ritzu? Wyposażona w kły i pazury, silna.

Jednak w tej restauracji, widząc swego syna owładniętego żarliwym uczuciem, syna, którego tak łatwo było dotknąć, mając przed oczami jego starzejące się dłonie, zrozumiała ostatecznie, że nie jest taką kobietą. Była sobą. Nosila w sobie swoją skomplikowaną przeszłość. Mogła zrobić tylko to jedno – słuchać swego syna z uczuciem miłości i obawy, czując głęboko ukryte pulsowanie gniewu, w czasie gdy on uśmiechał się niepewnie i mówił z wahaniem w głosie o mężczyźnie, którego kochał.

– Nawet trochę się sobie dziwię – powiedział Billy. – Harry nie jest najprzystojniejszym facetem, jakiego w życiu spotkałem. Jest bardzo inteligentny i miły, ale nie jest postacią z moich marzeń. Chyba go po prostu kocham. Nic podobnego dotąd mi się nie przytrafiło. On mnie fascynuje coraz bardziej.

- Wygląda to rzeczywiście na coś poważnego – powiedziała Mary.
- Myślę, że tak. Tak mi się zdaje. Czy chciałabyś go poznać?

Mary przypomniała sobie nagle, jak przed dwoma laty spacerowała po Central Parku z Cassandrą i Jamalem. Tym dziwnym małym chłopcem, w którym płynęła jej krew zmieszana z krwią czarnego, nieznanego mężczyzny. Przypomniała sobie Cassandrę, jej starą twarz z tym rozkazującym wyrazem, który przybrała, kiedy znikły z niej wszelkie pozory dziewczęcej serdeczności.

Co powiedziała wtedy Cassandra? „Pewnego dnia on może cię potrzebować”. Coś w tym rodzaju. „Nie chcę, by musiał zamieszkać z obcymi ludźmi”.

- Mary pomyślała o skrzydłach, które niemal otarły się o jej twarz.
- Tak. Tak, oczywiście, że chciałabym go poznać.

1992

W dole za domami ciągnęła się zielona otwarta przestrzeń. Bujna trawa wibrująca brzęczeniem. Ben siedł w towarzystwie Andrew i Trevora, śpiewając urywki Jeremego i wypuszczając w powietrze niebieskie obłoki papierosowego dymu.

– Kocham Mary Kelly – powiedział Andrew. – Ja naprawdę kocham Mary Kelly.

Andrew miał w sobie tę ekspansywność, romantyczną bez troskę. Trevor, niższy, o bardziej skomplikowanej i wyważonej osobowości, był bardziej skłonny do ostrożności i śmiechu.

Ben był skryty i milczący. Przytrzymał Andrew i Trevora siłą swego wzroku, milcząco dawał do zrozumienia, że ktoś wie. Ktoś wiedział o wszystkim i trzymał ich w szachu.

– Kochasz cycki Mary Kelly – powiedział Trevor. – Kochasz dokładnie jeden kilogram Mary Kelly, ty sukinsynu.

– One ważą więcej niż kilogram.

– Sprawdzales?

– Możesz mi wierzyć.

– Akurat. Wierzyć tobie.

– No to mnie zjedz.

– Chciałbyś.

Szli, zanurzając się coraz głębiej w zieleń. Andrew był blondynem o niedbałym sposobie chodzenia. Trevor był barczysty, masywny, skoncentrowany na swojej sile i skłonności do szydzenia ze wszystkiego.

Za ich plecami w oknach domów odbijały się wycinki nieba o zmierzchu. Kwiaty połyskiwały bielą w zapadającym zmroku. Woda tryskała w górę spiralami, wirując i sycząc ponad trawnikami.

– Mary Kelly jest boska – upierał się Andrew. – Mary Kelly może mnie mieć, jeśli chce.

Trevor roześmiał się wystarczająco głośno, by wprawić w zakłopotanie krowę, która wyłoniła się zza świerka i oddaliła powoli, machając ogonem – żywa ilustracja pojęcia czerni.

– Mary Kelly miała już całą drużynę futbolową – stwierdził. – Reprezentację szkoły i juniorów.

Ben siedł z tyłu w milczeniu. Nie patrzył na plecy swoich przyjaciół, mocne, niewinne, lekko pochylone.

– Mary Kelly – powiedział Andrew – jest dziwką, to prawda, ale nigdy nie zaliczyła całej drużyny futbolowej. Wielu chłopaków pominęła.

– Jedyni faceci w przedostatniej i ostatniej klasie, z którymi Mary Kelly się nie pieprzyła, to pedały – oświadczył Trevor. – Hej, Ben?

– Co?

– Masz papierosy?

– Tak.

Trevor zatrzymał się, wyjął z paczki papierosa i zapalił. Zaciągnął się, przymrużył oczy i rozkoszował się dymem.

– Myślisz, że Andrew ma jakąkolwiek szansę u Mary Kelly? – zapytał Bena.

– Mary Kelly chodzi do najstarszej klasy – zauważył Ben.

– Fakt. A ja jestem pieprzonym dwunastolatkiem – powiedział Andrew.

– Nie będzie tak zawsze.

Ben zapalił papierosa, podał go Andrew i zapalił następnego dla siebie. Andrew włożył między wargi papierosa, którego przed chwilą miał w ustach Ben, i zaciągnął się. Wypuścił postrzępioną niebieskoszarą strużkę dymu.

– Diabli mnie biorą – powiedział. – Wszystkie dziewczyny, których pragnę, mają cholerne siedemnaście lat.

– Pożądaj tych, które możesz mieć – poradził Trevor.

– Nie mogę pożądać tych, których nie pożądam.

– Ja chciałbym mieć wszystkie baby – powiedział Trevor. – Stare i młode, i grube, i te, którym wypadły włosy po chemioterapii.

– Uch.

– A co z tobą, Ben?

– Co?

– Jesteś, kurde, cholernie cicho tam z tyłu.

– Taaak – odpowiedział Ben.

– Nie przeszkadzamy ci przypadkiem?

– Nie przeszkadzacie mi.

– Chyba nie jesteś wkurzony, że rozmawiamy o babach?

– Nie. Nie jestem.

– To super.

Zapadło milczenie. Kiedy byli mali, wystarczyło samo towarzystwo. Wystarczyło wykorzystać szansę, mieć siłę i zwyczajny talent do zabaw. Teraz, kiedy zaczęły zachodzić zmiany, trzeba było mówić jak zupełnie inna osoba. Trzeba było mieć tysiące pragnień i dysponować językiem, w którym można je było wyrazić.

– Ben to świetny gość. Chłopak czynu, nie musi o tym gadać – powiedział Andrew.

Kiedy nadejdzie czas, gdy zaczną go nienawidzić, pomyślał Ben, Andrew znenawidzi go ostatni.

– Ben to mięczak – stwierdził Trevor.

– Zamknij się – warknął Andrew.

– Jesteś mięczakiem, Ben?

– Nie jestem.

– Debilem?

– Daj spokój, Trevor.

– A może jesteś księżniczką?

Andrew uderzył Trevora wierzchem dłoni, na tyle mocno, że tamten się zachwiał. Niewiele brakowało, by upadł. Odskoczył do tyłu, mrugając i mrużąc oczy, próbując się rozeznać w sytuacji. Powietrze wokół niego pulsowało zaskoczeniem. Spojrzał na Andrew w taki sposób, jak gdyby tamten stał się zbyt mały, by można go było dojrzeć.

– Nie mów więcej w ten sposób do swoich przyjaciół – ostrzegł Andrew.

– To był cholerny żart.

– Jakoś nikt się nie śmieje.

Trevor przełknął to upokorzenie i gniew. Zatrzyma to w sobie, przechowa.

– Żart, człowieku – powiedział. – Wy, skurczybyki, coście się tak nadęli.

– Nie lubię takich żartów – powiedział Andrew. Był wystarczająco duży, by okazywać wspaniałomyślność, by bronić innych. Mógł sobie na to pozwolić. Przyszłość miał wypisaną na sobie. Odznaczał się posągową, spokojną urodą, miał doskonale ukształtowane ramiona.

– Spadajmy stąd – powiedział Trevor.

Żaden z nich się jednak nie poruszył. Zasłonili papierosy dłońmi, stojąc pośród ciemniejszej zieleni. Za nimi rozciągały się zabudowania, z przodu rząd czarnych drzew zamykał pierścieniem jezioro. Patrzyli, jak mrok z każdą chwilą mocniej przytula się do drzew.

W domu matka nalewała zupę z białej wazy. Para unosiła się i dotykała jej pięknej i zmęczonej twarzy. Na świecie była tęsknota za dobrem. Mieszkała też tutaj, w domu Bena,

gdzie dbano o każdy talerz i łyżkę. Gdzie Ben we własnej osobie, w różnym wieku, uśmiechał się ze ścian, zza szklanych płytek.

– Zastanawiałam się – powiedziała matka – czy nie powinniśmy ustanowić funduszu na naukę w college’u dla syna Zoe.

Podawała talerz zupy Benowi, napełniła talerz dla jego ojca.

– Hmm – mruknął ojciec Bena.

– Martwię się o niego. Nikt nie pomyślał o jakimkolwiek zabezpieczeniu dla niego, dorasta bez żadnej kontroli.

– A czyja to wina?

– Nie ma znaczenia czyja. Moglibyśmy trochę pomóc, tylko to się liczy.

Ben zjadł łyżkę zupy.

– Oczywiście, że możemy – powiedział jego ojciec. – Ben, co myślisz o Jamalu?

Krew uderzyła mu do głowy, oczy zaszczyły mgłą, gorąco, które rozsadzało go od wewnątrz, promieniowało na cały pokój. Trzymał w ręku łyżkę. Spojrzał na ojca i powiedział:

– Jest w porządku.

– Jesteś jego bliskim kuzynem – ciągnął ojciec. – Starszym, więc w pewnym sensie stanowisz wzór, którego taki dzieciak potrzebuje. Tak naprawdę tobie przypada rola starszego brata.

Ben zachował swój zwykły wyraz twarzy. Postanowił być tym, kim był.

– Uhm.

– Może powinniśmy go częściej do siebie zapraszać – zapalił się jego ojciec. – Miałby okazję wybiegać się po lesie i wyładować nadmiar energii. Musiałbyś go wziąć pod swoje skrzydła. Co ty na to?

Ojciec Bena był pełen nadziei i obaw. Tak wiele dźwigał na swoich barkach. Od świtu do późnej nocy musiał być w obecny w Parlamencie Stanowym. Musiał za wszystko płacić, ostrożnie prowadzić samochód i znać problemy szerszego świata. Codziennie musiał powielać samego siebie jako cierpliwego mężczyznę, który usprawni funkcjonowanie władz – obecnie stanu Connecticut, wkrótce państwa – dzięki rozległej wiedzy i kategorycznemu przeciwstawianiu się opieszałości i marnotrawstwu.

– Jasne – odpowiedział Ben. Jego głos zabrzmiał bez zarzutu. To był jego naturalny głos.

– Miasto nie może mieć na niego dobrego wpływu – powiedział ojciec Bena. – Na ulicach aż się roi od wykolejeńców, którzy tylko czyhają na niewinnych dziesięcioletnich chłopców.

Ben obawiał się, że gwałtowne pulsowanie krwi pod jego czaszką może być słyszalne. Pokój stracił wyrazistość kształtów, stanął w płomieniach. Ben siedział na krześle i jadł zupę.

– Uważam, że powinniśmy również zainwestować dla niego jakąś kwotę pieniędzy – powiedziała matka Bena. – Kiedyś będzie przecież ubiegał się o przyjęcie do college’u.

– Jeśli w ogóle w jakimkolwiek porządnym college’u będą chcieli go przyjąć – powątpiewał ojciec Bena.

Matka Bena dotknęła ust serwetką. Kiedyś poświęciła wszystko.

– Jamal jest bardzo inteligentny – przypomniała. – Wiesz przecież. Wyniki jego testów wykraczają poza skalę.

– A ty wiesz, że chodzi do szkoły średnio raz na trzy dni. W dobrych college’ach liczy się coś więcej niż wyniki testów. Tam przyjmuje się tych, którym na czymkolwiek zależy lub przynajmniej takie robią wrażenie.

– On ma teraz ciężki okres. Z oczywistych powodów. A przecież jest dopiero w piątej klasie.

– Dlatego mówię, że powinniśmy go częściej do siebie zapraszać. Przyjąć go na pewien czas pod swój dach, okazać mu nieco rodzinnego ciepła.

– Chyba masz rację – powiedziała matka Bena. – Wcale nie twierdzę, że nie powinniśmy tego zrobić. Ale będzie również potrzebował pieniędzy.

– Obsypywanie ludzi pieniędzmi niekoniecznie musi im pomóc.

– Proszę, nie zaczynaj.

– Niezależnie od wszystkiego – ciągnął ojciec Bena – w tym czy innym college’u dostanie pełne stypendium, nawet jeśli w ogóle przestanie chodzić do szkoły. Nie mówię o Ivy League. Ale możesz mi wierzyć, wciąż istnieje wiele szkół, które stoją otworem dla takich dzieciaków; ustawiają się po nie w kolejce.

– Ben, kochanie, chcesz jeszcze trochę zupy? – zapytała matka.

– Wcale nie jestem przekonany, że powinniśmy mu zafundować rachunek bankowy – mówił niezrażony ojciec Bena. – Nie jestem pewien, czy w ten sposób wyświadczymy mu przysługę, dając do zrozumienia, że można mieć coś za nic. Wolałbym raczej, żeby Ben nauczył go jednej czy dwóch rzeczy na temat wartości i ciężkiej pracy, dopóki jego kuzyn jest jeszcze na tyle młody, by mógł cokolwiek przyjąć do wiadomości.

– Kochanie? Zupa?

Głos zawiódł Bena. Uwiązł mu w gardle. Ben rozprostował nogi, pomyślał o trawie i niebie, o stłumionym odgłosie piłki tenisowej uderzonej dokładnie środkiem rakiety.

– Tak – powiedział. – Proszę o dokładkę.

Tej nocy obudził się z lepką plamą w spodniach od piżamy. Sen wchłonęła już krew płynąca w jego żyłach. Śnił mu się Andrew. Pływał. Wynurzył się z zimnej, czystej wody, rozpromieniony, nagi. Słyszał było ryk przypominający wycie wiatru, ale to nie był wiatr. Andrew stał nagi i nagle przerażony w kałuży lodowatej wody, a ryk się nasilał. Wcale tego nie chcąc, nie przyzwalając na to, Ben poczuł napięcie i gwałtowną ulgę. Obudził się. Wskoczył z łóżka, zerwał z siebie spodnie od piżamy i poszedł do łazienki. Oplukał piżamę pod kranem. Schował mokre spodnie w głębi szafy, wyjął drugą parę z komody. Próbował zasnąć, ale był zbyt podenerwowany.

Jak mógł pozwolić, by to się stało?

Po upływie prawie godziny zszedł do kuchni. Intuicyjnie wyczuwał, że rodzice śpią. Słyszał tykanie zegara w holu. Wyjął z lodówki dzbanek, napił się wody i wypłukał szklanekę. Przekonywał się, że właśnie po to przyszedł. Nie wychodził jednak z kuchni, stał ubrany w spodnie od piżamy, rozglądając się dokoła, jakby nigdy przedtem tu nie był. Tutaj były lakierowane dębowe szafki i półki, płytki z nadrukowanymi na nich zdjęciami ziół. Tutaj stały przezroczyste szklane pojemniki z makaronem, fasolą, cukrem i solą.

Wyjął z szuflady nóż, trzymał go w dłoniach. Z zaciekawieniem, jak gdyby chciał się tylko dowiedzieć, co by się stało, przeciągnął ostrzem noża po skórze, na wysokości przedramienia, po tym delikatnym miejscu tuż poniżej łokcia, po wewnętrznej stronie ręki. Nie bolało, nie bardzo. Nóż pozostawił po sobie tylko Imię. Po chwili pokazała się krew. Było jej więcej, niż się spodziewał. Najpierw wystąpiła jedna jasna kropla w środkowej części rany, po niej wzdłuż całej długości pojawiły się następne. Przez kilka sekund krew utrzymała się w prostej linii, napływając coraz mocniej. Potem kropla z dolnego końca rany potoczyła się w dół przedramienia i rozlała we wgłębieniach nadgarstka. Obserwował krew. Pomyślał, że być może coś uchodzi z niego, a kiedy to odejdzie, on będzie wolny. Był zaskoczony takim słabym bólem. Nie mógł się też nadziwić, jak dużo wypłynęło krwi. Druga kropla toczyła się wzdłuż przedramienia, za nią trzecia. Uświadomił sobie, że ona za chwilę spadnie na podłogę, i szybko uniósł rękę, by krew popłynęła w przeciwną stronę, ale było za późno. Jedna niewielka plamka zakwitła na białej podłodze w ciapki, po niej następna. Sięgnął po papierowy ręcznik. Wytał nim podłogę, a potem krew z ręki. Krew wciąż wypływała, a on wycierał ją, aż papierowy ręcznik całkowicie nasiąkł czerwienią. Trzymał zakrwawiony ręcznik w zdrowej ręce, tę z raną podstawił pod kran, odkręcił zimną wodę, spłukiwał krew, aż przestała napływać. Oplukał zlew i wyszorował go środkiem czyszczącym. Wrzucił zakrwawiony papierowy ręcznik do śmieci, zamaskował resztkami z obiadu i połową główki

sałaty, która zdążyła się zepsuć przed zjedzeniem. Potem jednak pomyślał, że matka i tak może go znaleźć. Prawdopodobieństwo było niewielkie, jednak gdyby się tak stało, zapytałaby o ten ręcznik, a on nie wiedziałby, co odpowiedzieć. Wyjął więc ręcznik z kosza na śmieci. Czarne drobinki fusów przylepiły się do krwi, i kawałek celofanu, i ziarnko kukurydzy. Zrobiło mu się słabo na widok śmieci przyklejonych do krwi, niewiele brakowało, by stracił przytomność. Zdołał jednak zapanować nad sobą. Starając się iść jak najciszej, zaniósł papierowy ręcznik do łazienki na dole. Pomyślał, że wrzuci go do muszli i spuści wodę. A jeżeli utknie w rurach? Co wtedy, gdy wezwą hydraulika, który stanie w drzwiach łazienki z tym zakrwawionym kawałkiem papieru oblepionym śmieciami? Ben chodził z nim z pokoju do pokoju, czując narastające przerażenie, pod wpływem którego pokoje z wygodnymi fotelami i haftowanymi poduszkami, wazonami pełnymi kwiatów wydawały mu się coraz bardziej obce. Co mógłby zrobić z tym skrawkiem przesiąkniętym własną krwią? Gdzie mógłby go położyć, żeby mieć pewność, że nikt go nie znajdzie? Jak się zdawało, jego rodzice znali każdy zakamarek tego domu, każde ocienione i ukryte miejsce. Wreszcie, starając się robić jak najmniej hałasu, ostrożnie wyszedł kuchennymi drzwiami do ogrodu; wciąż trzymał w dłoni papierowy ręcznik. Była zimna noc, pod gołymi stopami czuł wilgotną, lodowatą zimną trawę. Szybkim krokiem skierował się w stronę ogrodzenia za domem, przykucnął i w miękkiej ziemi, w pobliżu górki kompostu wykopał dół. Kopał głęboko, niemal po łokieć. Ziemia miała wilgotny, gryzący zapach stęchlizny, przypominający odór starych ubrań. Kopał ogarnięty strachem tak silnym, że odbierał mu ostrość widzenia. W każdej chwili jedno z rodziców mogło zapalić zewnętrzne światło i wyjrzeć przez okno, a gdyby tak się stało, nie potrafili by znaleźć żadnego wytłumaczenia. Wrzucił papierowy ręcznik do dołu, zasypał go i wygładził ziemię rękoma. Podniósł się z ulgą, ale kiedy się odwrócił, dom wydał mu się odmieniony. Wciąż był białym domem z ciemnozielonymi okiennicami, krytym gontem, ale przestał być już jego domem. Ruszył biegiem, by go dogonić, dostać się do środka i z powrotem znaleźć w łóżku, zanim dom zmieni się na tyle, że już nigdy nie będzie mógł do niego wrócić. Gdy tylko znalazł się w kuchni, poczuł się lepiej. Kuchnia wyglądała nieskazitelnie. To była kuchnia, którą dobrze znał. Opłukał ręce z ziemi nad kuchennym zlewem, potem cicho poszedł na górę i zabandażował skaleczenie, by nie zabrudzić pościeli. Bandaż da się ukryć, a do następnego wieczoru pewnie uda mu się wymyślić powód skaleczenia. Wrócił do łóżka. Prawie się uspokoił. Mógł wreszcie zasnąć, chociaż zanim mu się to udało, zmagął się z niepokojem o zakopany papierowy ręcznik. Obawiał się, że ktoś może go znaleźć, i o coś jeszcze, o coś absurdu. Wiedział, że nie miało to sensu, ale nie mógł przestać o tym myśleć. Wyobraził sobie papierowy ręcznik, który wstaje ze swojego małego grobu niczym broczący krwią duch zamordowanej osoby. Wyobraził go sobie, jak krąży tam, w odległym, ciemnym końcu ogrodu.

Pragnęli tylko jednego: móc ciągle przeżywać taki sam dzień. Czasami taki im się zdarzał. Wtedy Jamal szedł do szkoły i spędzał czas ze swoimi przyjaciółmi, jego matka szła do pracy, a potem oboje wracali do domu. Ona przygotowywała kolację. On odrabiał lekcje. Dzwoniła Cassandra, by pogawędzić o błahostkach, albo w drodze do nocnych klubów wpadała na filiżankę kawy. Jamal i jego matka trochę oglądali telewizję, kładli się spać i pozwalali, by otuliła ich noc ze swoimi odgłosami: szumem rur w ścianach, muzyką klaksonów, syren samochodów uprzywilejowanych, audycji radiowych. Bywało, że dane im było to wszystko.

Czasami czuła się za bardzo chora, by pójść do pracy, i spędzała dzień na kanapie, czytając albo nie czytając, zapadając w niepokrzepiający sen i budząc się z niego po krótkiej chwili. Pojękiwała do wtóru gołębiom, które przysiadły na schodach pożarowych. Czasem wracał do domu ze szkoły i razem z nią oddychał ciężkim powietrzem. Czasami siedział do późna na werandzie przed domem. Takie dni spędzał ani w domu, ani z dala od niego, przysłuchując się mijającym go radiom i przyglądając przechodzącym obok fryzuirom. Siedział, gdy zaczynały zapalać się światła i jeszcze długo potem, gdy oświetlały ulicę, której życie toczyło się utartym rytmem.

Czasami, kiedy dawne dni trafiały się coraz rzadziej, szedł do Cassandry. Miał nadzieję zniknąć tam tak jak kiedyś, pośród luster i naszyjników. Dostrajał się do terkotu maszyny do szycia, w czasie gdy Cassandra pochylała się nad swoimi tiulami i szyfonami, gdy była zajęta naszywaniem koralików. Jednak ostatnio powietrze stało się tam zbyt gęste. Nie było dość miejsca na jego długie nogi; potrzeba ruchu wywoływała w nim niepokój i chciał się jak najszybciej stamtąd wydostać. Ogarniało go znużenie. Kiedy był małym chłopcem, mieszkanie Cassandry było jego ulubionym miejscem; dwa małe pokoje tak poobwieszane i poprzykrywane, że nie dało się wyodrębnić ścian ani podłóg, tylko wysoko na ich tle odcinała się biel sufitu. Ściany i podłogi zdobiły perły i kawałki sztucznej skóry we wzór imitujący cętki lamparta, kolorowe szale i orientalne dywaniki, i kapelusze, i stare fotografie, i skrawki pożółkłej koronki. Stała tam sofa pokryta niebieskim pluszem i lampy z namalowanymi na abażurach scenkami, świeczniki i prążkowane pudła na kapelusze, bukiety zasuszonych róż w srebrnych kielichach i złote krzesła na cienutkich nogach, i gobelin, na którym niebiescy i brązowi tancerze tańczyli w perukach w kolorze kości słoniowej. Były tam półki wypełnione książkami i zaśniedziała trąbka, i stary elektryczny wiatraczek, i atlasowe pudełeczka, i szkatułki z rzeźbionego drewna, i srebrne skrzyneczki, i uśmiechający się biały Budda z popękaną skórą, i oprawiony w ramę obraz zachwyconej blondynki na huśtawce, i dwie naturalnej wielkości żelazne mały trzymające na głowach popielniczki. Dawniej Jamal to uwielbiał, ale teraz nie pasował do tego otoczenia, był zbyt duży. Znalazł się w nurcie czasu, który płynął szybciej, niż pracowała maszyna do szycia Cassandry; w jej jaskrawych, wielobarwnych pokojach nie działo się absolutnie nic.

Cassandra była coraz bardziej zmęczona, podenerwowana. Traciła cierpliwość, siedząc przy swojej maszynie. Znowu zaczęła palić.

– Nie powinnaś tego robić – powiedział jej Jamal któregoś popołudnia.

Był marzec i jeszcze nie pojawiły się nawet pierwsze oznaki zieleni. Drzewa w parku na Tompkins Square wciąż wyglądały jak z cementu.

– Wiem, że to obrzydliwy nałóg – stwierdziła Cassandra. – Ale istnieją takie miejsca, w których nie można pokazać się bez papierosa.

Była zajęta przyszywaniem dżetów do czarnego stanika. Szerokim ruchem łokcia i nadgarstka wkładała papierosa do ust i wypuszczała kłęby gęstego dymu w roziskrzony

półmrok. Miała na sobie swoją różową szenilową podomkę. Obok niej jedna z milczących małp trwała w bezruchu, trzymając w górze popielniczkę.

– To ci szkodzi – powiedział Jamal.

– Kochanie, wiem, że mi szkodzi, czy sądzisz, że musi mi o tym przypominać dziesięcioolatek?

– Więc nie pal.

Przymrużyła oczy i oceniała swoje dzieło.

– Z całym należnym szacunkiem – powiedziała – zajmij się, do cholery, swoimi sprawami.

– Ale to jest moja sprawa – nie ustępował. – Ja też muszę wdychać ten dym.

– Istnieje proste rozwiązanie tego problemu.

– Jakie?

– Zgadnij.

– Masz na myśli to, że mogę wyjść?

– Jeżeli dym tak bardzo ci przeszkadza, to zaraz za drzwiami masz do dyspozycji cały świat wolny od niego.

Jamal podniósł z podłogi kawałek białego atłasu i rozerwał na pół. Lubił dźwięk, który temu towarzyszył.

– Wychodzisz dzisiaj wieczorem? – zapytał.

Cassandra pragnęła, żeby ta sama noc wciąż się powtarzała, jednak w niejasny sposób czuła, że jeśli przeżyje tę samą noc wystarczająco wiele razy, wszystko pęknie, ukazując coś lepszego niż miłość, lepszego niż muzyka.

– Wyjdę, jeśli uda mi się na czas skończyć tę suknię – powiedziała Cassandra, trzymając między wargami kilka szpilek. – Ostatnio muszę bardziej dbać o moich klientów, nie mam ich tylu co dawniej. Muszę tyrać jak wół, tak zresztą jak wszyscy inni.

– Chciałbym, żebyś kiedyś zabrała mnie z sobą – powiedział.

– Miejsca, w których bywam, zdecydowanie nie są odpowiednie dla dziesięcioletnich chłopców.

– Co robisz, kiedy wychodzisz? – zapytał Jamal.

– Kiedyś już o tym rozmawialiśmy.

– Powiedz mi jeszcze raz.

– Tańczę na blacie baru i rozmawiam z głupcami. Gdybym uważała, że coś tracisz, zabrałabym cię z sobą. Zapewniam cię.

– Więc dlaczego ciągle wychodzisz?

– Mam talent do tego. Ludzie powinni robić to, w czym są dobrzy, nie sądzisz?

– Chciałbym kiedyś z tobą pójść.

– Więc dobrze. Możesz pójść ze mną do „Piramidy”, a ja wybiorę się z tobą na zabawę dla piątych klas.

– Mogłabyś pójść ze mną na zabawę – powiedział.

Cassandra szyła i paliła. Ani na chwilę nie przestawała dokładać starań, by być sobą, ale poddawała się milczeniu, które zmieniało jej wyraz twarzy. Zamykała się w sobie, a wtedy pokój stawał się zamieszkały w mniej skomplikowany sposób. Dym przemieszczał się w ciężkim złocistym powietrzu.

– Kiedy jest najbliższa zabawa? – zapytała nieswoim głosem. Wydobywał się on z oddali, jak gdyby dochodził z radia włączonego w sąsiednim mieszkaniu.

– Na Wielkanoc – powiedział. – Nie sądzę, żeby ci się tam spodobało.

– O to się nie martw. Nie chcę pójść z tobą na zabawę dla piątych klas. Chciałam się tylko dowiedzieć, kiedy jest najbliższa.

– Na Wielkanoc. Odbędzie się na Wielkanoc.

– Czy zabierasz kogoś na zabawę?

- Ależ nie – powiedział.
- Jesteś coraz starszy, prawda?
- Nie wiem.
- Wybacz, że mówię o takich banalnych sprawach. Jesteś coraz starszy. Stajesz się kimś.
- Nie – powiedział. – Wcale nie.
- Jamal?
- Co?
- Nic. Wyświadczyć mi przysługę, dobrze?
- Jaką?
- Nie wyrośnij na dupka.
- Uhm.
- Byłam dla ciebie dobrą matką, czyż nie? Mimo wszystko, dość dobrą matką.
- Chyba tak.
- Mam dla ciebie tę jedną radę, gdybyś w przyszłości miał dorastać beze mnie. Postaraj się nie być dupkiem.
- Dobrze.

Cassandra zaciągnęła się papierosem i wypuściła gęstą, postrzępioną smugę dymu.

– To tyle, a teraz znikaj. Zoe do tego czasu na pewno zrobiła już kolację, nie powinienesz kazać jej tyle czekać.

– Nie jestem gotów, by sobie pójść – powiedział.

– Ale ja jestem gotowa pogodzić się z twoją nieobecnością.

Uniosła głowę, wypluła szpilkę na dywanik. Zmieniała się, stawała się coraz mniejsza. Jamal miał ochotę wyrwać jej z ręki papierosa, zerwać z niej tę szatę, wypchnąć nagą za drzwi, w żółtawy smród korytarza, gdzie handlarze narkotyków częstowali swoją zwykłą gadką, a kobiety śpiewały w obcych językach. Chciał zatrzaskać za nią drzwi, przekręcić klucz w zamku, położyć się w jej łóżku i nie zwracać uwagi, kiedy się będzie dobijała i prosiła, by ją wpuścić.

– Nie pójdę.

– Zabieraj ten swój mały tyłek do domu, nie jesteś mi tutaj do niczego potrzebny, a twoja matka jest zupełnie sama.

Jamal dotknął nogi krzesła, na którym siedział, dotknął zimnego wgłębienia w uchu małpy. Odczuwał chęć dotykania wszystkiego w tym mieszkaniu, po prostu dotykania.

– No i? – zapytała Cassandra. Jej skóra jaśniała białym światłem. Miała w sobie dostojeństwo kościotrupa, majestatyczną godność ducha.

Jamal dotknął swego czoła, potem karku. Cassandra wyciągnęła rękę i dotknęła tych samych miejsc, które on przed chwilą dotykał. Szybko cofnęła rękę, jak gdyby oparzyła się o jego skórę.

Jamal, kiedy się o tym dowiedział po raz pierwszy, nazwał to „jajeczkami”. Moja mama ma jajeczka. Tak sobie wyobrażał: ona nosi złe jajeczka, zjełczałe i cuchnące siarką. Jajeczka szkodziły jej, ale gdyby je wyrzuciła, byłoby jeszcze gorzej. Jeżeli ktoś już miał te jajeczka, nie mógł ich zatrzymać, ale również nie mógł się ich pozbyć.

Teraz znał fakty na temat krwi. Nie był głupi. Ale po cichu, w swojej głowie, wciąż nazywał to „jajeczkami”. Wciąż myślał o tym, że jego matka i Cassandra wróciły z kurnika i stamtąd przyniosły skażone jajka.

Poszedł do domu, ale nie wszedł do mieszkania. Był to jeden z tych dni, kiedy z werandy przyglądał się ulicy. Siedział na betonie, a powietrze nasycalo się niebieskawą barwą i wypełniało cząsteczkami nocy. Obserwował mężczyzn i kobiety spieszących na spotkanie tego, co na nich czekało. Przyglądał się psom rozkoszującym się zapachami. Przepuszczał do

budynku ludzi, którzy w nim mieszkali, o których wiedział, że nie stanowią zagrożenia. Patrzył na ulicę i nie pozwalał swoim myślom błądzić.

Wszedł do mieszkania później niż kiedykolwiek. Ukazała mu się właśnie tak, jak ją sobie wyobrażał, aż pomyślał, że w ogóle jej tam nie ma. Znadto był przekonany, że zastanie ją na kanapie pośród poduszek, z pudełkiem chusteczek jednorazowych, książką i do połowy napełnioną szklanką wody.

– Czy wiesz, która jest godzina? – zapytała.

– Tak.

– Prawie kwadrans po dziesiątej.

– Wiem.

– Gdzieś ty się podziewał?

– Siedziałem przed domem.

Nie mógł jej nic odpowiedzieć. Nie mógł jej ze sobą zabrać.

– Nie powinieneś tak późno wracać do domu – powiedziała.

Patrzył na pokój, na panujący w nim jaskrawy nieład. Zaczęła kupować stuwatowe żarówki do lamp. Na podłodze leżały porozrzucane torby na zakupy. Do jej policzka przyłgął mokry od potu kosmyk włosów, zwinięty w kształt haczyka na ryby.

– Słyszałeś, co powiedziałam? – zapytała.

– Tak.

– W takim razie odpowiedz mi.

– Jak brzmi pytanie?

Wzięła głęboki oddech, potem następny.

– Pytanie – zaczęła. – Pytanie brzmi: Na jakiej podstawie uważasz, że w twoim wieku możesz przebywać poza domem przez pół nocy i że to jest w porządku?

– To nie jest środek nocy.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy siedzieć tutaj od trzeciej po południu, myśląc, że właśnie wracasz do domu ze szkoły? Minęło siedem godzin. Gdyby nie zadzwoniła do mnie Cassandra, nie miałabym najmniejszego pojęcia, gdzie byłeś przez cały ten czas, a nie tylko od szóstej do tej chwili.

– Nie robiłem nic złego – powiedział.

– Masz do mnie dzwonić. Masz mi mówić, gdzie jesteś. Jadłeś już kolację? Odrobiłeś lekcje?

– Oczywiście.

– Jamal...

– Słucham? – zapytał.

– Proszę, nie postępuj w ten sposób. Ja nie dam rady... potrzebuję chociaż odrobinę twojej pomocy. Chcę, żebyś popołudniami wracał do domu ze szkoły. Chcę, byś, kiedy wychodzisz, mówił mi, gdzie będziesz.

– Uhm.

Wyciągnęła z pudełka chusteczkę, nie przetarła nią oczu ani nie wydmuchała nosa. Przedarła ją na pół. Trzymała w rękach oba kawałki.

– Nie wiem, jak powinnam z tobą postępować – powiedziała. – Postaram się zrobić wszystko, co okaże się konieczne. Daj mi tylko jakąś wskazówkę.

Nie mógł jej nic odpowiedzieć. Obydwoje wiedzieli, czego pragną, ale skoro dawne dni miały nigdy nie powrócić, byli uwięzieni w pułapce. Ona nie pasowała do kanapy. On nie pasował nigdzie.

– Jamal?

Miała w oczach chorobę, miała to plastikowe spojrzenie. Jej oczy były wilgotne i jednocześnie niewilgotne. Chciał jej powiedzieć, że żaden sposób postępowania nie będzie skuteczny, ale potrafił to przekazać jedynie, idąc do swojego pokoju. Wyczuwał w salonie jej

oddech. Leżał w ciemnościach na swoim łóżku. Myślał o sobie, leżącym w ciemnościach i myślącym o sobie. Nie myślał o niej.

Następnego dnia wrócił do domu i zastał wujka i ciotkę. Ciotka przywiozła ze sobą Bena. Rozsiedli się w salonie razem z jego matką i popijali wodę, jak gdyby to był rarytas. Czyżby czekali na niego?

– Cześć, Jamal – przywitał go wujek Will.

Wujek Will wykonał to, co do niego należało: sceptyczny półśmiech, uprzejmy ruch głową, cała ta poważna i nerwowa demonstracja zainteresowania osobą Jamala połączona z wyłamywaniem palców, czemu towarzyszył trzask rozciąganych stawów.

– Cześć – odpowiedział Jamal.

Ciotka Susan pocałowała go. Zawsze wiedziała, jak się zachować. Poruszała się wzdłuż linii prostych.

Ben uściśnął mu dłoń. Należał do tych chłopców, którzy wymieniają uścisk dłoni. Otaczała go aura skrępowania, jego małe, niewidoczne promyki. Odznaczał się taką poskromioną uprzejmością.

Jamal domyślił się – zaskoczył ich, wracając do domu o właściwej porze. Byli tutaj, by pomóc jego matce przetrwać czas jego nieobecności. Jego obecność stanowiła problem.

– Urosłeś – zauważyła ciotka Susan.

Nie była to prawda. W ciągu ostatniego roku nie przybył mu nawet centymetr.

Za to Ben urósł prawie trzydzieści centymetrów. Odnosiło się wrażenie, że pod jego skórą, wzorowymi manierami, czystym błękitem koszulki polo kryje się popłoch i przerażenie. Pomimo całej swej masywności miał taki błagalny wygląd.

– Jak leci? – zapytał wujek Will.

– W porządku – odpowiedział Jamal i szybko dodał: – Ben, chcesz pograć w coś na wideo?

Ben spojrzał na matkę. Ciotka Susan spojrzała na matkę Jamala, która spojrzała na wujka Willa.

– Dopiero wróciłeś – zauważyła matka Jamala.

– Wiem.

– Dobrze. – Ben przyjął propozycję. Jego głos wydobył się z ogromnej niebieskiej wypukłości klatki piersiowej i w formie słów wydostał się na zewnątrz przez usta.

– Pół godziny – zaznaczyła ciotka Susan. – Nie więcej.

– Byłoby miło, gdybyśmy mogli spędzić ze sobą trochę czasu, Jamal. Prawie cię nie widuję – powiedział wujek Will.

– Uhm.

W zainteresowaniu nim innych ludzi nie znosił tego, że czyniło go widocznym a jemu przecież chodziło tylko o to, żeby pozostać niewidocznym i móc obserwować.

– Pójdziecie tylko na Second Avenue? – zapytała jego matka.

– Za pół godziny jesteśmy z powrotem – zapewnił ją.

– Dobrze. Cześć.

Wyszedł z mieszkania, a Ben podążył za nim. Jamal odwrócił się, by spojrzeć na matkę, ciotkę i wujka. Pomyślał o oceanie, tej zimnej, zielonej bezkresnej przestrzeni. Pomyślał o swoim dużym kuzynie, nerwowym i dziwnym, podobnym do konia.

Kiedy znaleźli się już na ulicy, zapytał Bena:

– Naprawdę chcesz pograć w gry wideo?

Ben odczekał chwilę, aż pytanie opadnie, i przeniósł wzrok w dół, tam gdzie spoczęło.

– Chyba tak – powiedział. – A ty nie?

Pomyślał, że na to pytanie są dwie odpowiedzi: prawidłowa i błędna. Chciał wybrać tę prawidłową.

– Możemy pograć – zgodził się. – Dla mnie nie ma znaczenia, co będziemy robić. Musiałem się tylko stamtąd wyrwać.

– Ach tak.

Szli Avenue B w kierunku północnym, w stronę parku. Był zimny, słoneczny dzień, radia milczały. Minęła ich kobieta z pudłem na głowie, wykrzykująca coś o spisku Holendrów i Żydów. Była owinięta kocem przedstawiającym jeźdźców rodeo, bladych kowbojów chwytających na lasso wyblakłe niebieskie byki.

– To chyba wariatka – stwierdził Ben.

– Pewnie.

– Wciąż widzisz się z tym zwariowanym facetem?

– Jakim facetem?

– Tym, który nosi sukienki.

– A, chodzi ci o Cassandrę. Ona nie jest zwariowana.

– Dawniej na jego widok dostawałem gęziej skórki – powiedział Ben.

– O Cassandrze powinienes mówić „ona”.

– Dlaczego?

– Przez grzeczność – wyjaśnił Jamal.

Ben skinął głową. Wierzył w zasady wszelkiego rodzaju.

Szli przez park, mijając namioty bezdomnych. Na ławce, na znalezionym na ulicy brudnym materacu piankowym siedział starszy człowiek, wylizując kawałek folii aluminiowej, która iskrzyła się i lśniła w słońcu jak wartościowy przedmiot. Na jego gęstej brodzie drżały nitki spaghetti.

– Obrzydliwość – skrzywił się Ben.

– Cśśś – zwrócił mu uwagę Jamal. – Może cię usłyszeć.

Szli przez chwilę w milczeniu. Jamal czuł się tak, jakby ulicami swojej dzielnicy prowadził konia. Białego, pięknego konia, ale niezwykle płochliwego i desperacko starającego się przypodobać.

– Nie idźmy na te gry – powiedział Jamal.

– Jak chcesz.

– Poukrywajmy się na trochę.

– Co takiego?

– Chodź za mną.

Jamal zaprowadził go do opuszczonego budynku na Eleventh Street. Budynek wyglądał tak samo nienormalnie jak kobieta z pudłem na głowie, był równie zniszczony i opuszczony. Miał zawalony dach, a na ostatnim piętrze wyrosło małe drzewko, tak że szczyt budynku wieńczyły gałązki. Z okien powypadały wszystkie szyby i tylko w niektórych wciąż tkwiły trójkątne kawałki szkła.

– Zamierzasz tam wejść? – zapytał Ben.

– Tak.

Ben zapał się na werandzie od frontu. Parskał i grzebał kopytem o beton, rżąc niespokojnie, szykując się do ucieczki. Jamalowi jednak spodobał się pomysł wprowadzenia swojego dużego, przerażonego kuzyna w te niebezpieczne zakamarki wypełnione ciszą. Miał wrażenie, że właśnie to powinien zrobić, zabrać go w takie miejsce, które nie było częścią świata. Wydawało się, że on tego pragnie: ukryć się.

– Chcę ci coś pokazać w środku – powiedział Jamal.

– Raczej nie mam ochoty tam wchodzić – opierał się Ben.

– No chodź.

Jamal wbiegł po popękanych frontowych schodach, odciągnął na bok obłuzowaną deskę, która blokowała wejście. Czekał. Po chwili Ben, udręczony niepokojem, lecz zdecydowany ulec namowom, podążył za nim.

– Myślisz, że tu jest bezpiecznie? – zapytał.

– Bezpiecznie. Zawsze tu przychodzę.

Wprowadził Bena do głównego holu, gdzie pachniało tynkiem, moczem i gniciem. Na ścianie ostatni skrawek tapety w okazałe, rdzawoczerwone kwiaty zwinął się w rulonik. Panowała tu cisza przesycona wilgocią, na podłodze, porozrzucane tu i tam, leżały fiolki po kokainie. Do wnętrza budynku wciskało się przyćmione światło.

– Tędy – instruuował Jamal i zaczął wchodzić po schodach.

Poręcz już dawno została wyłamana i przeznaczona na opał, zniknęła też połowa podnóżków stopni, jednak i tak bez większego trudu można się było dostać na górę. W jednym z pokoi na drugim piętrze krzyknął gołąb.

– Jesteś pewien, że ten dom jest bezpieczny? – zapytał Ben.

– Tak.

Prawdopodobnie był bezpieczny. Mogło się zdarzyć, że natrafią na narkomana czy dwóch, ale oni byli niegroźni. Przeważnie niegroźni. Matka i Cassandra dobrałyby mu się do skóry, gdyby wiedziały, że tutaj przychodzi, ale jemu ten dom był potrzebny, musiał mieć miejsce tylko dla siebie, które nie miało nic wspólnego z tamtymi sprawami.

Poprowadził Bena holem na drugim piętrze, mijając puste otwory drzwiowe, które wiodły do pomieszczeń, gdzie nie było nic poza porzuconymi butelkami, strzykawkami i zawilgoconymi materacami. W jednym z pokoi stały damskie buty na platformach, jasnoróżowe, prowokujące, porzucone, jak gdyby stanowiły klucz do zagadki, której nikt nawet nie próbował już rozwiązać.

– To wariactwo – powiedział Ben.

– Po prostu idź za mną.

Jamal minął trzecie piętro i zaprowadził Bena na samą górę, gdzie nie było dachu i gdzie małe drzewko w kolorze popiołu zdołało zapuścić korzenie w tej odrobinie pyłu i ziemi naniesionej przez wiatr pod popękane deski podłogi. Ściany z nagiej, skruszonej cegły wciąż trwały na swoim miejscu, puste okna wychodziły na Eleventh Street. Jamal zaprowadził Bena do pokoju, w którym rosło drzewko.

– Spójrz tutaj – powiedział.

Podszedł do okna, z którego rozpościerał się widok na fronton kościoła stojącego po przeciwnej stronie ulicy. Znajdowało się na tej samej wysokości co pozłacany posąg brodatego mężczyzny w todze, na którego twarzy malowała się powaga z domieszką zaskoczenia. W jednej ręce trzymał krzyż i pokazywał na niego wskazującym palcem drugiej ręki, chociaż odnosiło się wrażenie, że palec ma skierowany na własną głowę. Kiedy Jamal był młodszy, wierzył, że ten gest ma oznaczać ważne pytanie o związek między krzyżem a głową.

– Kiedyś myślałem, że to jest Bóg – powiedział Jamal. – Ale się myliłem. To jest święty Franciszek Ksawery.

– Święty Franciszek Ksawery – powtórzył Ben.

Stali przez jakiś czas przy oknie, wyglądając na kościół i ulicę. Na gałązce rachitycznego drzewka przysiadł gołąb, otrząsnął się i odleciał.

– Przychodzę tu czasami – wyjaśnił Jamal – ale już nie tak często jak dawniej. Kiedy byłem mały, nazywałem to miejsce moim domem. Wtedy uważałem ten pokój za swój. Myślałem sobie, że gdybym uciekł z domu, mógłbym tutaj zamieszkać.

– Do środka padałby deszcz.

– Wiem.

Ben zwrócił swoją poważną twarz na świętego Franciszka Ksawerego. Ulicą przejechała grupka rozkrzyczanych rowerzystów.

– Masz dziewczynę? – zapytał.

– Nie. A ty?

– Podoba mi się taka jedna – powiedział Ben. – Ma na imię Annę. Annę Dempsey.

– Aha.

– Jest bardzo miła.

– Aha.

Ben podniósł z parapetu grudkę starego cementu, zważył ją w dłoni. Jamal wyjął z kieszeni pensa. Rzucił go w posąg świętego Franciszka Ksawerego. Nie trafił i moneta spadła na ulicę.

– Po co to zrobiłeś? – zapytał Ben.

– Na szczęście.

– Nie mam przy sobie monet.

– Proszę.

Jamal podał mu monetę jednopensową, Ben zamierzył się i rzucił. Moneta uderzyła w pierś posągu, między nieruchome fałdy złocistej togi.

– Jeeest – ucieszył się.

Uniósł pięść w geście zwycięstwa. Był zwyczajnie i bezgranicznie uszczęśliwiony, ponieważ udało mu się trafić w posąg jednopensową monetą. Jamalowi było go żal, a jednocześnie, z przyczyn, których nie potrafiłby wyjaśnić, czuł do niego odrobinę sympatii. W życiu Bena było tyle pewności, tyle bezpieczeństwa.

– Los ci będzie sprzyjał – powiedział Jamal.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Nie. Ja nie wierzę w szczęście.

– To po co rzuciłeś monetę za pierwszym razem?

– Masz jeszcze tę fortecę?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Tę fortecę w twoim domu. Na drzewie.

– A, o to ci chodzi. Ten domek na drzewie. Tak, ciągle tam jest.

– Kiedy byłem mały, myślałem, że przemknę się na górę i zamieszkać w tej fortecy.

– Dlaczego chciałeś to zrobić? – zapytał Ben.

– Lubiłem tę kryjówkę. Wyobrażałem sobie, że zamieszkać w niej, a nocą będę wykradać jedzenie z kuchni twojej matki.

– Wciąż zdarza mi się tam przesiadywać. W tym domku na drzewie.

– Dawniej nie pozwalałeś mi tam wchodzić – przypomniał Jamal.

– Wcale nie.

– Tak, nie pozwalałeś. Kiedy byliśmy dziećmi, powiedziałeś mi, że to jest prywatny klub. Powiedziałeś, że tylko jego członkowie mogą tam wchodzić.

– Nie przypominam sobie.

– Ale ja sobie przypominam.

– Byliśmy mali.

– Miałem bzika na punkcie tej kryjówki. Już nie pamiętam dokładnie, co sobie wyobrażałem, że się tam na górze znajduje. Może skarb. W każdym razie coś ważnego.

– Tam na górze nic nie ma – powiedział Ben.

– Wiem. Teraz wiem.

– Posłuchaj. Jeśli chciałbyś kiedyś... jeśli chcesz przyjechać do Connecticut, to zawsze możesz to zrobić.

– Dobrze.

– Wiesz, jesteśmy przecież kuzynami.

– Tak.

Święty Franciszek Ksawery patrzył nieruchomymi, złotawymi oczami wprost w puste okno. Jamal i Ben stali przez chwilę w milczeniu, w niemal zwierzęcym bezruchu bardziej niezmaconym niż zwykły spokój. Ben podniósł rękę, by odgarnąć za ucho kosmyk ciemnych

włosów, i wtedy Jamal przejrzał jego tajemnicę. Jak mógł tego nie dostrzec przez te wszystkie lata?

To było tak oczywiste, widoczne we wszystkim, co mówił i robił, ale Jamal tego nie rozpoznał aż do tej chwili, kiedy zobaczył, jak Ben układa kosmyk włosów tak starannie i delikatnie, jak gdyby wkładał list do koperty. Później, Jamal powie sobie, że sekret został mu w pewnym sensie wyjawiony przez świętego Franciszka Ksawerego, przechylającego z zaciekawieniem głowę na krzyżu.

Ben był taki jak Cassandra.

Jamal zapragnął pogłaskać go po tej dużej głowie, ukoić jego lęk, a potem dosiąść i jechać na nim ulicami miasta. Uspokoiłby Bena dzięki swoim umiejętnościom. Poprzez nacisk ud przekazałby mu, że nie ma powodów do obaw.

– Lepiej wracajmy – powiedział Ben.

– Uhm.

Żaden z nich się jednak nie poruszył. Nie wychodzili z otwartego na przestrzeń pokoju, gdzie nikt nie mógł ich odnaleźć. Po drugiej stronie Eleventh Street stał złocisty mężczyzna, pogrążony w zadumie i milczeniu.

– Podoba mi się tutaj, na górze – odezwał się po chwili Ben.

– Taaak.

Trwali w miejscu, nie wykonując żadnego ruchu. Coś się działo, lecz nie sposób było nadać temu nazwę. Jamal nie próbował zrozumieć. Pozwolił, aby się stało. Miało to związek z ich pokrewieństwem, z rolą konia i jeźdźca. Wiązało się z pytaniem posągu i z drzewkiem wyrastającym spomiędzy desek podłogi. Jamal i Ben byli razem w tym sekretnym pokoju i Jamal pragnął pocieszyć Bena. Chciał rozplątać się w oferowaniu pocieszenia chłopcu szczęśliwшему od niego. Kiedy Ben, pełen obawy, wyciągnął ręce w jego stronę, Jamal się nie cofnął. Zaoferował pocieszenie. Obaj pozostali w pokoju przez dłuższy czas, a kiedy wrócili do domu, na ich głowy spadły gromy od wszystkich po kolei.

Pieniądze nigdy nie przychodziły łatwo, ale teraz, po odejściu Reagana i pod koniec kadencji Busha, możliwości zarobku wyczerpały się niemal całkowicie. Budownictwo przeżywało zapaść. Pierwsze zwinęły się firmy drobnych kombinatorów, po nich zaczęły bankrutować bardziej solidne przedsiębiorstwa. Odnosiło się wrażenie, że młodzi ludzie, którzy przedtem kupowali domy Nicka i Constantine'a, gdzie się pochowali. Ci wszyscy operatorzy maszyn i sprzedawcy, technicy laboratoryjni, którzy pracowali bez opamiętania i mając do dyspozycji trochę pieniędzy na początek, od swoich rodziców i rodziców żony, mogli pozwolić sobie na płacenie miesięcznych rat za podpicowany dom z trzema sypialniami stojący na jednej dziesiątej hektara ziemi w New Jersey czy na Long Island, teraz zniknęli wraz ze swoimi żonami o zdirowatym wyglądzie i z nastroszonymi włosami. Obecnie wynajmowali mieszkania albo mieszkali z rodzicami pod jednym dachem. Nikt już nie czuł się bezpieczny, nawet ci, którzy mieli pracę. Nikt nie chciał ryzykować.

Constantine powiedział Nickowi, że jeśli mają się utrzymać w tym biznesie, nadszedł czas, żeby zrezygnować z bajerów. Żadnych parkanów, żadnych okien mansardowych ani szybek z witrażowego szkła w drzwiach frontowych. W nowych osiedlach najważniejsza miała być cena i tak chciał je reklamować. Żadnych podróbek obiecujących luksus po przystępnej cenie ani uroków na miarę możliwości. Ale Nick był zakochany w ozdobach, w kącikach śniadaniowych i wykuszowych oknach. Constantine był zaskoczony nieustępliwością współnika, aż w końcu poczuł się nią urażony. Najwyraźniej, nawet po ponad dwudziestu latach współpracy, Nick uważał siebie za mózg spółki, a Constantine'a za roboczego wołu.

– Con, ludzie nie będą chcieli ich kupować tak całkowicie ogołoconych ze wszystkiego – stwierdził najpierw Nick. – Wiem, że z pieniędzmi jest krucho, ale jeśli nadal będziemy budować domy, które się ludziom podobają, to oni będą je kupowali. Zaufaj mi. – Mówił to cierpliwie, jakby tłumaczył proste pojęcie dziecku.

– Jeśli ktoś ma jeszcze pieniądze na dom – argumentował Constantine – na pewno nie zamierza wydać więcej niż tyle, ile jest konieczne. Tamte czasy minęły, musimy maksymalnie zjechać z ceną. Naszą jedyną szansą jest oferowanie najniższej cholernej ceny w okolicy.

Kilka dni później, kiedy cierpliwość Nicka wyczerpała się w zderzeniu ze stalowym uporem Constantine'a, powiedział:

– Proponujesz, żebyśmy stawiali zwyczajne kurne chaty.

– To zawsze były kurne chaty – przekonywał go Constantine. – A teraz może pozwolą nam one przetrwać.

Nick poczuł się tym najwyraźniej dotknięty. Na ułamek sekundy jego oczy stały się zimne jak stal. Żałosny, tępy sukinsyn. Wyobrażał sobie, że co oni budowali przez te wszystkie lata, pomniki, które przetrwają wieki? Czy rzeczywiście sądził, że mosiężne okucia i klamki coś zmieniają?

– To jest towar, Nick. A towar musi się zmieniać razem z rynkiem.

Wreszcie, głosem wzburzonego od gniewu, Nick odparł:

– Robię to od pięćdziesięciu lat. Czy nie uważasz, że być może wiem, o czym mówię?

– Nie – odpowiedział Constantine. – Już tak nie uważam.

Ostatecznie zdecydowali się na, jak to określili, „separację na próbę”. Nie rozwiązali spółki, ale ustalili, że nowy projekt Constantine zrealizuje sam, sfinansuje go i przejmie wyłączną odpowiedzialność za straty. Nick odmówił rezygnacji ze swego kreda. Utrzymał, z przekonaniem zręczliwego księdza, że właśnie dzięki tym fantazyjnym elementom ludzie

kupują ich domy. Uważał to za sprawdzoną formułę, tajemnicę swojego sukcesu: za każdego dolara, którego wydało się na zamontowanie kominka lub wanny z hydromasażem, można było dorzucić do ceny kolejne dwadzieścia. Żałosny, tępy sukinsyn. Dom jest najpoważniejszym zakupem, jakiego ludzie dokonują w życiu, powiedział, takim, przy którym rozsądek odgrywa najmniejszą rolę. Potencjalny kupiec ogląda wiele domów, ale jest pod wrażeniem drobnych udogodnień. Szuka czegoś, co go zauroczy. Chce móc sobie wyobrazić siebie i swoją rodzinę zgromadzoną przy kominku na Boże Narodzenie. Chce się pieprzyć w jacuzzi. Chce toaletki, która wygląda, jakby była zrobiona z marmuru, chce zrobić wrażenie na swoich rodzicach. Daj tym facetom kilka drobiazgów, które będą mogli pokochać, wyznacz rozsądną cenę, a oni to kupią.

Constantine miał odmienne zdanie. Za prezydentury Busha gospodarka schodziła na psy. Wszędzie panował zastój. Nick był zbyt stary, by to zrozumieć – sądził, że łatwy pieniądz za czasów Reagana był bezpośrednim rezultatem jego własnej, ciężkiej pracy. Constantine wiedział, jak bardzo odległa to była przeszłość, podejrzewał jednak, że w nowej, oszczędnej wersji Stanów Zjednoczonych istnieją nowe możliwości i trzeba znaleźć inną niszę na rynku. Nie myślał o prawdziwych Amerykanach, tych ciężko pracujących, pełnych optymizmu białych ludziach trzeciego czy czwartego pokolenia, dla których on i Nick dorabiali gipsowe gzymsy i wstawiali aluminiowe ramy okienne. Myślał o imigrantach. Nie o hołocie, ale o tych wiecznie nienasyconych robotnikach, stawiających na samodoskonalenie; o mężu i żonie pracujących po dwanaście godzin dziennie, wykonujących prace, do których nie chcieli się brać prawdziwi Amerykanie, w czasie gdy ich dzieciaki zostawały w domu pod opieką starej ciotki nie mówiącej ani słowa po angielsku. Kiedyś pracował z takimi ludźmi, w czasach, gdy sam był zwykłym robotnikiem zatrudnionym na dniówkę. Do diabła, przecież właściwie dawniej był jednym z nich. Ci ludzie, uważał Constantine, za wszelką cenę pragnęli się stać właścicielami, zainwestować, mieć mały kawałek Stanów Zjednoczonych, który należałby tylko do nich. Pragnęli jednej rzeczy – wartości. Ich jedynym marzeniem było posiadanie. Kupiliby najtańszy dom, jaki mogliby znaleźć.

Zaryzykował i wykorzystał swoją część pieniędzy, aby w ekspresowym tempie postawić siedemdziesiąt domów w Rosedale. Zaoferował atrakcyjną powierzchnię działki – jedną z przyczyn przeprowadzania się tych ludzi tutaj była potrzeba odizolowania się od innych – i wprowadził ograniczenia, jakie tylko się dało. Domy wyglądały schludnie i czysto, były pokryte białym tynkiem i tak dalece pozbawione wszelkich detali, że wyglądały jak wstępne makiety domów, stojące w szeregu i czekające, by nadano im ostateczną formę. Do pewnego stopnia takie było zamierzenie. Były przeznaczone przede wszystkim dla Juana, Vladimira i Shaheeda, którzy dorastali, marząc o domu w Ameryce. Kup go i zrób z niego, co zechcesz. Pomaluj na różowo albo na turkusowo. Postaw przed nim świątynię ku czci boga słonia albo wykończ w stylu kolonialnego pieprzonego Williamsburga. Pokaż sobie, co potrafisz.

Specjalna promocja na pierwszy dom. Oszczędności przekazujemy w twoje ręce. Ty dostosujesz go do swoich marzeń.

Od tego czasu upłynęły trzy lata i wyrosły kolejne cztery osiedla. Poszło nawet lepiej, niż Constantine się spodziewał. Wystarczyło obniżyć ceny do pewnego poziomu, reklamować się w etnicznej prasie, a na światło dzienne wychodziła cała niewidoczna dotąd populacja. Przyjeżdżali używanymi samochodami, nie delikatnymi, niewielkimi toyotami celicami czy chevroletami, tak jak wcześniejsi klienci Constantine'a, ale krążownikami szos, mającymi po piętnaście, dwadzieścia lat i dobrze ponad sto tysięcy kilometrów na liczniku, jednak bardziej zadbanymi niż niektóre z dzieciaków stłoczonych na tylnym siedzeniu razem z ciotką albo jednym z dziadków, czasem z dwojgiem, a nawet trojgiem. Czarne twarze, brązowe twarze. Również białe, tyle że ich właściciele zazwyczaj mówili łamaną angielszczyzną i wyglądało na to, że czuliby się o wiele lepiej, prowadząc wóz zaprzężony w woły niż oldsmobila rocznik osiemdziesiąty ósmy. Wielu z tych ludzi tak naprawdę wolało tandetę. Podobało im się

linoleum i jarzeniowe oświetlenie. Byli przeciwieństwem rodowitych Amerykanów, którzy oczekiwali, że po wydaniu pokaźnej sumy nadadzą tym miejscom starodawny wygląd. Ci ludzie mieli w nosie dębową okleinę, imitację cegły i wentylatory pod sufitem jak w domach właścicieli plantacji. Chcieli, by winyl wyglądał jak winyl. Kiedy zapalali światła, pragnęli oslepić sąsiadów trzy domy dalej.

Po co czekać? Niech twoje marzenia spełnią się już dzisiaj.

Inni plajtowali, a Constantine stał się milionerem. Miał odłożony milion w banku i o wiele większą sumę zamrożoną tu i tam. Nick był przeszłością, któż by go potrzebował? Constantine opracował własną formułę składającą się zaledwie z dwóch słów: „Ciąć koszty”. Wiedział, że ta formuła nigdy się nie zdezaktualizowała, a gdy inni ponosili dotkliwe straty, łatwo było zawierać korzystne transakcje. Znalazł fabrykę cementu w Scranton, w której skłonni byli przekroczyć dopuszczalne normy zawartości wody, żeby tylko przyciągnąć jego firmę. Dotarł do faceta w Teaneck – typ spod ciemnej gwiazdy, ale Constantine’a trudno było przestraszyć – który miał cały magazyn materiału izolacyjnego zawierającego azbest, tylko trochę mniej nielegalnego niż pluton. Praktycznie zapłacił Constantine’owi, by ten pozbawił go kłopotu.

Constantine nie pozwolił jednak, żeby nawyk oszczędzania skaził jego prywatne życie. Właściwie w tym wypadku było zupełnie odwrotnie. Im więcej oszczędzał na domach innych ludzi, tym bardziej był skłonny podnosić standard własnego. Tak działał jego system równowagi.

Dobudował szklarnię i saunę, polecił wyłożyć hol białym marmurem. Jego dom zmieniał się w pałac i czasami, kiedy przechadzał się po pokojach, w głębi serca czuł ogromną satysfakcję. Stworzył to z niczego. Bez żadnej pomocy. Wyłącznie jego zasługą były łóżko z baldachimem i głębokie kanapy wyściełane aksamitem, i ręcznie wykonane malowidło ściennie w jadalni, węgierska wiejska scenka, o którą Magda się martwiła i wyklócała przez pół roku albo dłużej. Magda dostawała od niego wszystko, czego zapragnęła: dekoratorów gejów i malarzy malowideł ściennych, nieprzeliczone ilości sukien, pierścionek ze szmaragdem, który kosztował więcej niż nowy samochód. Wszystko to było dobre i dawało zadowolenie.

Przeważnie dawało zadowolenie. Ale były też pewne drobne problemy, trzeba przyznać. Na przykład zdrowie, jego przekłete, podstępne serce. Miał już za sobą jeden atak, odmowę posłuszeństwa, która napędziła mu strachu, pięść wbita w klatkę piersiową. Zlekceważył. Nie był typem faceta, który by się nad sobą rozczulał. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że starość wymaga pewnej rozwagi w postępowaniu i specjalnego sposobu odżywiania. Czasami jednak naprawdę się denerwował. W jednej chwili możesz się przechadzać, myśląc o kolacji lub dobrym, solidnym rżnięciu, albo rozmyślać o zawartości wody w betonie, a w następnej serce może sprawić ci nieprzyjemną niespodziankę.

W dodatku, no dobrze, była jedna czy dwie rzeczy, które przeszkadzały mu w Magdzie. Dlaczego nie mogła mieć w sobie więcej z damy? Nie miał na myśli nadętej czy egzaltowanej paniusi, nie szukał obwieszanej biżuterią matrony ze znużonym uśmiechem i sztywną fryzurą, której nie można dotknąć. Ale damy, zjawiska, elektryzującej, tajemniczej, spowitej zapachem perfum, bogatej życiową mądrością, którą niełatwo przyszło jej zdobyć, i otoczonej aurą bujnego seksu w kolorze miodu. Constantine słuchał Franka Sinatry śpiewającego „The Lady Is a Tramp”, i myślał: Tak jest. O to chodzi. Dama jest poszukiwaczką wrażeń, twarda, ale elegancka, przy niej inne kobiety wyglądają jak przywiędłe gardenie. Magda niemal nią była, tak niewiele jej brakowało do ideału, że niekiedy Constantine’owi wystarczyło do szczęścia tylko to, że wchodził w jej towarzystwie do drogiego sklepu lub restauracji. Czuł, że jest atrakcyjnym mężczyzną, panem samego siebie, który zostawił napuszoną piękną kobietę, życie złożone z dni i nocy, i poślubił przygodę. Mężczyzną, który ma dość odwagi, by zachwycić się obfitym biustem i melodią obcego akcentu, by sięgnąć po ekscytującą rozkosz

w łóżku, o której większość jego rówieśników mogła tylko pomarzyć. Na chwilę poddał się fali tych myśli, zanim ponownie ogarnęła go niepewność, nieokreślony, ale palący wstyd. Waga Magdy przekraczała o dwadzieścia pięć, a może więcej kilogramów poziom, przy którym można by ją uznać za kobietę o bujnych kształtach. Kiedy jadła, wydawała z siebie niskie pomruki, nieco nosowe posapywania, jak gdyby przy przeżuwananiu jej zatoki układały się asymetrycznie w stosunku do szczęki i trzeba je było chrząknięciem przepychać na właściwe miejsce.

Niekiedy kochał ją za jej ogrom i odmienność. Czasami gorzko żałował piękna, którym nie mógł się cieszyć, widoku szczupłych ramion w wieczorowej sukni.

Nie chciał sprawiać jej przykrości. Nie chciał jej obrażać. Prawdą jest, że od czasu do czasu zdarzyło mu się stracić panowanie nad sobą. Taki już był. Zawsze potem przeproszał. Czy rzeczywiście było niewybaczalne to, jak ją nazwał na uroczystej kolacji zorganizowanej przez Fundację na rzecz Serca? Tak, to prawda, że nazwał ją świnia, ale był pijany. Przyznaje, sapał i chrząkał jak Świnia przy korycie. Ale przecież tylko żartował.

– Czego ty w końcu chcesz?

Zachwiała się – też nie była zupełnie trzeźwa – wchodząc frontowymi drzwiami, potknęła się na pierwszym stopniu i rozerwała suknię. Osunęła się powoli na marmurową posadzkę, trzymając obydwoma rękoma rozerwany materiał i patrząc na niego tak, jakby to była jej rozcięta skóra.

– Chcę się położyć. – Stał na śnieżnobiałych marmurowych płytkach, sam ledwie trzymał się na nogach, nie bardzo wiedział, jak zdołał przywieźć ich oboje do domu samochodem.

– Świnia, tak? Uważasz, że jestem świnia. – Spojrzała przez dziurę w sukni. Uklękła na twardej podłodze.

– To był żart, nie znasz się na żartach? Wypiłem o kilka głębszych za dużo, dzwoń po gliniarzy.

– Chciałeś mnie ośmieszyć. O to ci chodziło. – Miała rozmazany makijaż, włosy w nieładzie. Klęcząc pośród sztywnych falban sukni, wyglądała jak monstualna, przywiedła roślina wodna.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Ruszył w kierunku schodów. Niech sobie wypruwa flaki, on jest zbyt pijany i zmęczony, by się tym przejmować.

– O tym. O tym wszystkim. – Rozpostarła potężne ramiona, tłuście, ale silne. Zamachała rękoma w powietrzu. – O tym wszystkim.

– Idę się położyć.

– Zrobiłeś to, żeby mnie upokorzyć. Poślubiłeś mnie i zbudowałeś ten dom, by móc zabierać mnie na przyjęcia i nazywać świnia.

– Oszalałeś. Kompletnie pomieszało ci się w głowie.

W głębi duszy jednak pomyślał: Jest w tym jakaś zwariowana prawda. Szaleniec rzucający prawdę w oczy, ponieważ ona straciła poczucie tego, co nie było możliwe.

Był pijany. Obydwoje byli.

– Jestem twoją świnia – powiedziała. – A to jest mój boks.

Wyminął ją i zaczął wchodzić po schodach.

– Chciałeś powiedzieć chlew – poprawił ją. – Dlaczego, do cholery, nie możesz nauczyć się mówić po angielsku?

– Ty draniu. iy draniu.

Wydało mu się zabawne, że ona nazywa go draniem. Był pijany. Ale jak przez mgłę ta sytuacja kojarzyła mu się z jakimś filmem. Przed oczami stanęła mu scena, w której eleganckie dziewczę pada u podnóża ogromnych, łukiem układających się schodów i nazywa swego męża draniem.

Magdzie udało się nawet wypowiedzieć te słowa bez obcego akcentu. Roześmiał się i poszedł spać.

Następne trzy dni spędził na kolanach. Tego rodzaju rzeczy zachowywała w pamięci. Gromadziła je. Wydawało się, że żadne przeprosiny, nawet najgorętsze i najbardziej rozbijające, żaden prezent, choćby nie wiem jak hojny, nie były w stanie przywrócić poprzedniego stanu. Żyła do niego niechęć i urazę, żyła w małym, niewidzialnym domu, który wzniosła we wnętrzu tego większego. Mieszkała w nim samotnie. Trzydniowe przeprosiny nie zdołały całkowicie naprawić tego, co się stało. Nie pomógł nowy zegarek Cartiera. Z czasem przykre wydarzenie wreszcie zbladło, tak jak się to zazwyczaj dzieje, chociaż niekiedy Magda wracała do domu z nową suknią czy parą butów i mówiła: „Spójrz, co dzisiaj kupiła twoja Świnia”. Tylko się uśmiechał. Już wkrótce miało się to stać jednym z czułych słówek, częścią słodko-gorzkich utarczek, do których nieustannie dochodzi pomiędzy dwojgiem ludzi.

Od czasu do czasu, wieczorami, jechał samochodem na jedno ze swoich nowych osiedli. Nocą wyglądały one naturalniej. Stojące tu i ówdzie domy pomalowane na groszkowy bądź cytrynowożółty kolor nie raziły tak skromnością; dekoracje na trawnikach: pagody albo kapliczki Matki Boskiej łagodziła ciemność. Jeżdżąc po nowo zbudowanym osiedlu, wdychał zapachy egzotycznych potraw i słuchał muzyki, którą w ogóle trudno było nazwać muzyką. Nie czuł do tych ludzi ani niechęci, ani sympatii. Obserwował ich życie do czasu, aż poczuł się znużony, a wtedy wracał do domu.

Pewnego wieczoru, późno, już dobrze po dziesiątej, zaparkował samochód i siedział w nim przez jakiś czas, zanim zauważył małego chłopca po drugiej stronie ulicy, na krawężniku. Chłopiec miał tak ciemną skórę, że wtopił się w otaczający go mrok. Pomimo że był zimny październikowy wieczór, malec miał na sobie szorty i kusy podkoszulek. Podciągnął nogi do klatki piersiowej, ale mimo to trząsł się z zimna. Nie mógł mieć więcej niż pięć, sześć lat.

Constantine odkręcił szybę.

– Hej, mały! – zawołał.

Chłopiec spojrzał na niego, ale nic nie odpowiedział. Nie był Murzynem. Być może Hindusem. Ale ciemnym.

– Hej – powtórzył Constantine. – Nie powinieneś być już w domu?

Malec wciąż patrzył na niego w milczeniu, jak gdyby go nie rozumiał. Może nie mówił po angielsku.

Constantine wysiadł z samochodu. Przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął przed chłopcem.

– Do ciebie mówię – powiedział. – Rozumiesz mnie? Czy rozumiesz, co mówię?

Chłopiec skinął głową z poważną miną.

– Mieszkasz tutaj w pobliżu? – zapytał Constantine.

Mały ponownie skinął głową.

– Czy twoi rodzice nie martwią się, gdzie jesteś?

Tym razem chłopiec nie skinął głową. Siedział i przyglądał się Constantine'owi.

– Zmykaj do domu – powiedział Constantine. – Późno już. Na dworze jest zimno.

Malec się nie poruszył. W powietrzu unosił się zapach osobliwej przyprawy – pieprz zmieszany z czymś, co przypominało Constantine'owi woń mokrej sierści psa. Wydawało mu się, że słyszy dobiegające z oddali odgłosy murzyńskiej muzyki, która wcale nie była muzyką, tylko wykrzykiwaniem obelg pod adresem białych ludzi przez bandę chłopaków, w rytmie wybijanym na bębnie.

– Zmykaj do domu – powtórzył.

Chłopiec spojrzał na niego z uprzejmym zdumieniem, jak gdyby Constantine prosił go o niecodzienną przysługę, którą chłopiec chciałby, ale nie był w stanie mu wyświadczyć.

W końcu Constantine wrócił do samochodu i uruchomił silnik. Wychylił głowę przez otwarte okno i powiedział:

– Jeśli chcesz, to podwiozę cię do domu.

Chłopiec w dalszym ciągu nic nie mówił, tylko drżał z zimna i nie spuszczał oczu z Constantine'a.

– W porządku, jak chcesz – powiedział Constantine.

Wcisnął pedał gazu i odjechał. Zastanawiał się, czy nie powinien do kogoś zadzwonić, ale zdecydował, że tego nie zrobi. Czegóż się spodziewać po tych ludziach? Być może pozwalali swoim dzieciom biegać całą noc po osiedlu, bez opieki i zbyt lekko ubranym. Być może był to jeden z tych obcych zwyczajów, które należało szanować, coś takiego, o co zawsze awanturował się Billy. Jak on to nazywał? Coś tam-centryczny. Nie bądź jakiś tam-centryczny. Niech i tak będzie. Kiedy Constantine skręcił za róg, jechał wśród dźwięków napierającej muzyki, rytmicznych murzyńskich okrzyków dochodzących z różowobłękitnego domu przypominającego olbrzymi tort. Z tej odległości nie potrafił zrozumieć słów – prawdopodobnie nakazujących innym czarnym chłopakom strzelać do glin, gwałcić ich żony, spalić cały ten świat. Kto wie, może miał szczęście, że dzieciak siedzący na krawężniku nie wyciągnął broni i go nie zastrzelił. Jechał, nie zatrzymując się, chciał jak najszybciej wydostać się poza teren osiedla, poza krąg muzyki. Przyrzekł sobie, że już nigdy więcej nie przyjedzie tu wieczorem. Kiedy dotarł do domu, zaparkował na chwilę przed wejściem i uświadomił sobie, że nie ma ochoty od razu wysiadać z samochodu. Zapalił ostatniego papierosa i siedział jeszcze przez jakiś czas, aż na tle okna sypialni zobaczył Magdę, ogromną i rozgniewaną, która przechadzała się w koszuli nocnej z tą niemiecką gazetą, którą uparła się prenumerować, i jadła być może kanapkę z salami.

Była praca i miłość, w pewnym sensie miłość. Nie zwracało się uwagi na te drobne problemy.

I była jeszcze Zoe. O tej sprawie starał się myśleć jak najmniej.

Nigdy nie zapytał, jak się tym zaraziła. Nie chciał wiedzieć. Wyglądała zupełnie dobrze, w jej wyglądzie nie zaszły żadne widoczne zmiany i często niemal całkowicie zapominał o tej chorobie. Nie zawsze kończy się przecież śmiercią. Cały czas trwały prace nad wynalezieniem lekarstwa. Częściej zapraszał ją do swojego domu, a ona zazwyczaj chętnie przyjeżdżała. Żeby pomóc mu w pielęgnacji ogrodu, mówił, i rzadko kiedy odmawiała. Wiedział, jak bardzo brakuje jej ogrodu tam, w mieście. Czasami przyjeżdżała pociągiem sama, innym razem przywoziła ze sobą dzieciaka. Cóż można było na to poradzić? Wcale nie był zły. Spokojny, potrafił sam sobie znaleźć zajęcie. Constantine zastanawiał się, kiedy ten chłopak zacznie słuchać tej złowieszczej muzyki, kiedy wróci ze szkoły do domu z bronią. Również o tym próbował nie myśleć zbyt często. Constantine i Zoe pracowali razem w ogrodzie całą wiosnę, lato i dużą część jesieni. To był piękny ogród, osłonięty niewysokim wzniesieniem porośniętym trawą, które opadało do Atlantyku. Na polecenie Constantine'a przywieziono do ogrodu dwie tony ziemi, ponieważ w tak bliskiej odległości od oceanu absolutnie nic by w nim nie urosło. Ogród rozkwitał bujnie, częściowo dzięki nawiezionej ziemi, częściowo dlatego, że opryskiwał go pestycydami i zasilał sztucznymi nawozami, gdy nie było w pobliżu Zoe. Sprzeciwiała się temu, więc po co miałby jej o tym wspominać? Niech wierzy, że sałata, fasola i pomidory dlatego wyrastają lśniące i kształtne, że wkłada się serce w ich uprawę. Ich wspólna praca w ogrodzie wiele dla niego znaczyła. Dzięki niej czuł, że zrobił właściwy użytek ze swojego życia. Ten ogród miał dla swojej chorej córki. Dla niej miał ten widok na ocean.

Tylko raz zaistniała przykra sytuacja. Pewnego wrześnieowego popołudnia Zoe zerwała dojrzałego pomidora z jednego z krzaczków.

– Piękny, prawda? – powiedziała.

Kłęczała na ziemi i trzymała go przy piersi w zamkniętych dłoniach, jak gdyby trzymała ptaka.

– Kiedyś nie znosiłaś pomidorów – zauważył Constantine.

– Dorosłam.

– Rozumiem. No, no, będziemy mieli ładne zbiory w tym roku.

Uklęknął obok córki. Miała na sobie za duże džinsy i znoszony podkoszulek w paski z nierówno obciętymi rękawami. Właśnie w takim stroju nie lubił jej widzieć, ale w tamtej chwili wyglądała pięknie, wydawało się, że każda sekunda jej życia, każdy stan, w jakim kiedykolwiek ją widział, zmierzały do tego momentu, w którym Zoe klęczała, blada i spokojna, w tym ogrodzie, we wrześniu, mając za plecami wzburzone fale Atlantyku i trzymając w zamkniętych dłoniach dojrzałego pomidora. Mała dziewczynka Constantine’a. Najmłodsza, nieplanowana, której uparł się dać imię po swojej babce, chociaż Mary wołała Joan lub Barbarę. Wyciągnął w jej kierunku palec i zgarnął grudkę ziemi z policzka. Czuł, jak ogromny jest jego palec, jak szorstki w zetknięciu z jej skórą.

– Ostatnio czuję, że nie mam ochoty jeść niczego, czemu sama nie pomogłabym wyrosnąć – powiedziała. – Jedzenie w sklepach wygląda dziwnie i, sama nie wiem... niebezpiecznie. Nie wiadomo, gdzie przedtem było.

Roześmiała się. Podniosła pomidora do ust, a Constantine miał ochotę krzyknąć: „Nie jedz go, jest zatruty”. Śmieszne. Nie był przecież bardziej trujący niż większość tego, co zazwyczaj jadają ludzie, prawdopodobnie o wiele mniej. Kiedy jednak patrzył, jak ona gryzie pomidora, paralizujący lęk zmroził mu serce.

– Mmm – mruczała. – To jeden z najlepszych pomidorów, jakie kiedykolwiek jadłam.

Ogarnęło go przerażenie, lodowaty strach, który kołysał się w jego piersiach jak ciężki przedmiot huśtający się na sznurze. Mógł wziąć ją w ramiona i błagać o przebaczenie. Zdołał się opanować. Co miałyby mu przebaczyć? To, że ją kochał, że był najlepszym ojcem, jakim potrafił być? Na wiosnę wynajmie dom na plaży, na tyle duży, żeby pomieścili się w nim wszyscy. Dom na wakacje, nie tylko dla siebie i Magdy, może na Cape Cod. Mogłaby przyjechać z dziećmi, miałby okazję się wyszaleć.

– Spróbuj – powiedziała. Wyciągnęła szczupłą, białą dłoń, na której spoczywał pomidor.

– Dziękuję, kochanie – powiedział.

Wziął od niej pomidora. Ugryzł spory kawałek.

1993

Jamal w nim żył. Ben rozmyślał o oczach Jamala, jego ustach, szeleście gęstych włosów. Kiedy myślał o Jamalu, narastało w nim bolesne, beznadziejne uczucie, nie przypominające żadnego z dotąd znanych – gorąca, wilgotna kula emocji, nieprzenikniona, ziejąca lękiem i nadzieją, i wstydem, chociaż sama kula nie była z nich uformowana. Obracała się, rozrastała w brzuch. Napawała go przerażeniem. To nie była miłość, nie tak ją sobie wyobrażał. To, co czuł, bardziej przypominało chorobę, nowotwór, który toczył mieszkającą w sąsiednim domu panią Marshall, kulę składającą się z rozszalałych komórek, które, jak to określiła jego matka, zjadły ją żywcem. Tak jak chory na raka, czuł, że jest sobą, a jednocześnie nie sobą. To, co nosił w sobie, zjadało go, a wydrążone miejsce stopniowo wypełniało się tym, co go zjadało.

Connie chciała, żeby Ben zrobił to, co mu poleciła. Stała na kei, ładna i wymagająca, oświetlona rozproszonym światłem, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i wspartymi na biodrach. Jako sportowiec wierzyła w dyscyplinę, potęgę koordynacji ruchów.

– Zawróć ją! – krzyknęła.

Będąc sam w łodzi, dziesięć metrów od kei, Ben wyczuwał, jak bardzo łódź chciała stracić prędkość i stanąć. Jak bardzo chciała zawieść. Wystarczyły niecałe dwa dni, by zrozumiał bezwładność tej łodzi, jej skłonność do sennego życia spędzanego na obijaniu się o keję. Trzeba ją było postraszyć, namawiać. Była jak piesek salonowy. Wcześniej wyobrażał sobie, że ta łódź będzie wilczymi susami pokonywać połyskującą atramentowoniebieską wodę, pruć fale jedną, wspaniałą łapą.

– Ta łajba to krowa! – zawołał.

– Zawróć ją – odpowiedziała Connie.

Łódź wyostrzyła kurs, żagiel wypełnił się, rozblęsnął światłem i na chwilę Ben pokochał ją za jej ledwie tłącą się, ale uporczywą iskrę życia. Nawet piesek salonowy przeżywał chwile zwierzęcej pewności siebie, potrafił zdobyć się na wdzięk.

– Dobrze! – zawołała Connie. – Teraz halsuj do boi.

Doszedł do boi, zmienił kurs i znów od niej odpłynął.

Pochylał się nad spokojną wodą, operując bomem. W łodzi uświadomił sobie, że wie, co ma robić. Instynktownie wyczuwał, czego ona od niego oczekuje. Miał wrodzoną smykałkę do żeglowania, pojmował w lot, w jaki sposób żagle reagują na wiatr.

– Z powrotem do boi! – krzyknęła Connie.

Zawrócił i z łatwością przybił do boi. Spojrzał w kierunku kei, grupki domów pokrytych szarym gontem, jasnej plaży półkolem otaczającej zatokę. Stał tam Jamal, czekał na swoją kolej. Chudy, ubrany w luźne, białe dżinsy, ze skrzyżowanymi na karku brązowymi rękoma patrzył na wodę, na Bena w łodzi. Ben zmusił się, by myśleć o wietrze wybrzuszającym żagiel. Zmusił się, żeby myśleć o Connie, która miała wydać gromkim głosem następną komendę.

Nadeszła kolej Jamala. Ben obserwował go z kei. Jamal nie miał za grosz talentu do żeglarstwa, ale nawet przy swojej bezradności każdy ruch wykonywał z precyzją tancerza, z wyzywającą pewnością siebie. Żagiel łopotał, tracił wiatr. Connie złożyła silne, pulchne dłonie wokół ust i krzyknęła do niego, by zawrócił łódź. Wyglądał w niej jak nieszczęśliwy młody książę. Słońce rozpalało jego gładkie, złociste umięśnione plecy, czarne sprężynki włosów.

– Zawróć ją! – krzyknęła Connie.

Jamal próbował. Kiedy lina wymknęła mu się z rąk, uśmiechnął się po swojemu, nieśmiało i zagadkowo. Cały świat był zabawny, wzruszający, dziwny.

– Twój kuzyn nie chwyta tak szybko jak ty – zauważyła Connie.

– On nie bierze sobie tak do serca poleceń innych jak ja – powiedział Ben.

– Ładnie to ująłeś. Jamal! Zawracaj!

– Zrobi to, co będzie chciał – powiedział jej Ben.

– O nie, nie, dopóki dobrze mi płacą za to, żebym nauczyła go żeglowania.

– No, to życzę powodzenia – powiedział Ben.

Po lekcji, w czasie gdy Connie pokazywała Benowi i Jamalowi, jak klarować żagiel, ich dziadek wysiadł z samochodu i stał na kei od strony lądu, spoglądał na wodę, kiwając głową, jak gdyby zatoka i niebo okazały się właśnie takie, o jakie mu chodziło. Ben zostawił Connie

i Jamala, by sami dokończyli klarowanie żagla, a sam pobiegł do dziadka, chcąc jak najszybciej znaleźć się w zasięgu jego akceptacji.

– I jak tam, robisz postępy? Będzie z ciebie prawdziwy żeglarz? – zapytał dziadek.

Ben znał odpowiedź.

– Chciałbym spróbować sił na większej łodzi – powiedział.

– Jestem przekonany, że dałbyś sobie radę.

Na twarzy dziadka malowało się wyraźne zadowolenie. Była poorana głębokimi bruzdami, spękana, miejscami zniszczona erozją, miejscami silnie wypiętrzona. Niekiedy wydawało się, że dziadek porzuca ludzką postać, by stać się geologicznym tworem na powierzchni ziemi. Wnosił z sobą mądrość z dawna ukształtowanej góry z całą jej milczącą wolą trwania, życie, które istnieje od tak dawna, że zostało wymyte do czysta. Był gładki jak granitowa skała, bez drzew, tylko z rzadka poprzerastana jasnymi kępami mchu, przypominająca świeżo przetartą podłogę. W obecności dziadka Ben swobodniej oddychał, tak jak wciągał w płuca górskie powietrze.

– Umieję żeglować – powiedział Ben. – Już wiem, jak to się robi, a Sunfish jest toporną łajbą.

Starszy pan położył rękę na ramieniu Bena. Jego palce były grube jak lina cumownicza.

– Najpierw skończ kurs – powiedział. – A potem pomyślimy o większym jachcie.

– Chcę wypłynąć z zatoki – powiedział Ben. – Na pełne morze.

– Już po dwóch dniach lekcji. – Dziadek uśmiechnął się, ścisnął Benowi ramię. Wiatr przybrał na sile i przygładził kosmyki jego stalowoszarych włosów.

– Poradziłbym sobie – zapewnił Ben.

– Wierzę ci, kolego. Ty niejedno potrafisz.

Connie i Jamal skończyli klarowanie łodzi i właśnie schodzili z kei. Idąc obok siebie, wyglądali jak dwoje ludzi, którzy wzajemnie się dopełniają, tak różni, że aż stanowili całość: dobrze zbudowana, despotyczna blondynka i chłopiec o kawowym odcieniu skóry, którego siła tkwi w milczeniu i w tym, że nigdy nie bierze pod uwagę ewentualności odwrotu. Wyglądali jak wrogowie, których walki trwały już od tak długiego czasu, że nie potrafili bez siebie żyć.

– No i jak oni sobie radzą, Connie? – zapytał dziadek.

Uśmiechnęła się, zwlekając z odpowiedzią. Ben uświadomił sobie, że ona nie lubi Jamala nie za to, że jest niezbyt obiecującym żeglarzem, ale za to, że jest taki, jaki jest. Za to, że jest niski, ciemny i zupełnie niezakłopotany.

– Zupełnie nieźle, panie Stassos – oceniła Connie.

– Ten tutaj mówi, że chce spróbować sił na większej łodzi – powiedział dziadek i poklepał Bena po ramieniu. – Wydaje mu się, że już umie żeglować.

Oczy Connie pociemniały. Gąszcz białych piegów ginał w głębi dekoltu kostiumu.

Ben wmówił sobie, że tego chce. Myślał o historiach, które po powrocie do domu będzie mógł opowiedzieć Andrew i Trevorowi.

– Ma do tego dryg – przyznała Connie. – Może zostać naprawdę dobrym żeglarzem.

– Tak przypuszczałem. Między innymi dlatego zgromadziłem tu wszystkich tego lata. Najwyższy czas, żeby ten chłopak spróbował swoich sił na głębokiej wodzie.

– Niech najpierw skończy naukę na Sunfish – powiedziała Connie. – Musi wypływać swoje godziny. To jeszcze trzy dni. Potem może się przesiąść do szybszej łodzi.

– On nigdy nie chce czekać – wyjaśnił dziadek, w którym duma wrzała jak rój pszczół w starym pniu drzewa. – Więcej i szybciej, to jego dewiza.

Jamal stał dumny i milczący, na pół widoczny. Patrzył w dół, na keję, czekając, aż to się skończy i zacznie coś następnego. Jego oczy należały wyłącznie do niego. Jego cień stykał się z cieniem Bena.

Wieczór był zimny i przesycony błękitem. W pojedynczych chmurach o postrzępionych brzegach, które do złudzenia przypominały kawałki roztrzaskanej całości, zachowały się resztki pomarańczowej barwy słońca, które skryło się już za horyzontem; ich połyskujące refleksy odbijały się drobnymi plamkami w pomarszczonej powierzchni wody. Ben i Jamal szli boso po zielono-czarnych krasnorostach i skałach śliskich i cuchnących jak pograżone we śnie morsy. W maleńkich jeziorkach uwięzionej między nimi wody morskiej, pod jej zabarwioną na pomarańczowo powierzchnią przemykały cienie błystek.

– Tutaj są morświny – powiedział Jamal.

– Wcale nie.

– Przypływają za kutrami. Nocą skaczą po całej zatoce.

– Jesteś pomyłony.

– To ty jesteś pomyłony.

– Jest za daleko na północ dla morświnów.

Jamal zastanawiał się przez chwilę.

– Jednego widziałem wczoraj wieczorem – oznajmił. – Widziałem, jak wyskoczył tam z wody.

– Ty naprawdę jesteś stuknięty.

– Przyjeżdża Will – zmienił temat Jamal.

– Nie, nie przyjeżdża. Był zaproszony, ale odmówił.

– Zmienił zdanie. Słyszałem, jak moja mama rozmawiała z nim przez telefon.

– Na samą myśl o wujku Willu mam gęsią skórę – powiedział Ben.

– Dlaczego?

– Po prostu mam. Dziadek też go nie lubi.

– On jest synem dziadka.

– To wcale nie znaczy, że muszą się lubić.

– Ja lubię Willa.

– Ty lubisz wszystkich.

– Nieprawda, wcale nie wszystkich – odpowiedział Jamal.

Ben poczuł, jak fala gorąca zalewa mu uszy, jak z ogłuszającym szumem pulsuje w nich krew.

– Mnie lubisz – powiedział.

Jamal pochylił się i podniósł z piasku jakiś przedmiot.

– Spójrz. – Trzymał w górze małą plastikową głowę, bez włosów i oczu, spłowiałą do białości.

– Ojej – zdumiał się Ben.

Jamal zawsze coś znajdował: kości zwierząt, pieniądze, kartę do gry, cienką złotą bransoletkę. Wydawało się, że zwyczajnie je dostrzega i wyciąga z dowolnego miejsca przestrzeni.

– Głowa lalki – powiedział Jamal.

Głowa miała czarne oczodoły i łagodny uśmiech na ustach. Jamal uniósł ją, by Ben mógł zobaczyć, a potem schylił się i starannie położył w to samo miejsce, jak gdyby głowę należało umieścić dokładnie tam, gdzie ją znalazł; jak gdyby wypełniał ważną misję wymagającą niezwyklej ostrożności.

– Chyba nie masz zamiaru jej zatrzymać? – zapytał Ben.

– Nie. Dlaczego miałbym ją zatrzymać?

– Jest pewnie stara i być może coś warta.

– Uważam, że powinna zostać tutaj – stwierdził Jamal. – Wolałbym myśleć, że jest w zatoce.

Ben podniósł głowę lalki i schował ją do kieszeni.

– Jeśli ty jej nie chcesz, to ja ją wezmę – oznajmił.

– Jasne. Możesz wziąć.

Światło zmieniło kolor na fioletowy. Chmury utraciły pomarańczowe zabarwienie i przybrały bardziej stonowany, srebrzysty odcień. Chwilę wcześniej dogasał dzień, teraz był już wieczór. Światła paliły się na kei, w oknach domów i na łodziach zacumowanych na głębokiej wodzie.

– Powinniśmy wracać – stwierdził Ben.

– Jeszcze chwilę.

Nigdy się nie podporządkowywał. Robił to, na co miał ochotę.

Ben zaczął rzucać kamieniami, które ginęły w mroku i odpowiadały cichym pluskiem wody. Rozkrzyczane mewy trzepotały skrzydłami, walcząc o zdobycz, którą przed chwilą udało im się znaleźć: martwą rybę albo inny soczysty kąsek. Gwałtownie uderzały powietrze skrzydłami. Jedna z nich wzbijała się w powietrze, zajaśniała zbyt ostrą bielą na tle nieba, trzymając w dziobie jakieś paskudztwo.

– Will przyjeżdża chyba jutro rano – odezwał się Jamal.

– Do diabła z wujkiem Willem – odburknął Ben.

Zamknie się w sobie. Będzie pragnął takiej dziewczyny jak Connie.

Dotknął małej głowy, którą miał głęboko w kieszeni.

Kiedy wrócili do domu, okna były zaparowane, ściany wyłożone boazerią w świetle lampy przybrały pomarańczowy odcień. W powietrzu wyczuwało się zapach stęchlizny, gotowanych dawno temu potraw i zimnego popiołu w kominku. Z kuchni dobiegł śmiech matki Bena, a po chwili rozległ się wtórujący jej głos matki Jamala.

– Nie potrafię tego zrobić. Teraz ty spróbuj.

Matka Bena pewnie wypila już ze dwa drinki. Ojciec Bena został w domu, w Connecticut, wiodąc swoje wypełnione pracą życie. Nie miał nic przeciwko przyjemnościom innych, ale dla niego przyjemność miała zbyt małe znaczenie, by się nią zajmować.

– Dobrze. No to zaczynamy.

Matka Jamala miała AIDS, ale wszyscy traktowali ją tak, jakby była sobą, trochę zwariowaną i delikatną kobietką z burzliwą przeszłością.

Dziadek Bena i Magda oglądali w salonie wiadomości, siedząc w przesyconych słoną wilgocią bambusowych fotelach z obiciami w pomarańczowe rozgwiazdy i żółto-zielone cętkowane muszle. Magda wypełniała sobą fotel i sukienkę, na której roiło się od żółtych motyli wielkości paznokcia. W telewizji pokazywali szalejący pożar. Umierały zwierzęta. Przez dzielnicę schludnych, bogatych domów biegł koń, cały w płomieniach. Magda zmarszczyła brwi, patrząc z zainteresowaniem.

– Cześć, chłopcy – przywitał ich dziadek. – Zastanawialiśmy się, gdzie się podziewacie.

– Jakiś głupiec z zapałką – rzuciła Magda w kierunku telewizora. – Idiota, tylko spójrz. Powinni go rozstrzelać, jak tylko go złapią.

Magda była za rozstrzeliwaniem ludzi, którzy postępowali lekkomyślnie. Była za ochroną zwierząt, które nie mogły popełniać błędów, ponieważ żyły w stanie błogiej ignorancji. Ben wciąż kochał Magdę, ale zaczął się jej obawiać. Od pewnego czasu traktowała go z większą podejrzliwością niż zazwyczaj.

– Rozstrzelanie byłoby zbyt łagodną karą – stwierdził dziadek. – Powinni go podpalić.

Magda przytaknęła skinieniem głowy. Ona i dziadek, z marsowymi minami, napawali się przyjemnością wydawania wyroku. Na ekranie telewizora wznosił się słup dymu, szarozółtego jak siniak, porywając ze sobą dusze martwych zwierząt.

– Hej – zawołała z kuchni matka Bena. – Czy to chłopcy?

– Tak, mam – krzyknął Ben. Jego głos miał właściwe brzmienie. Prawdopodobnie.

Poszedł do kuchni i stanął w drzwiach.

– Cześć, kochanie – powiedziała jego matka. Pocałowała go.

Ciotka Zoe wrzuciła do garnka homara.

– To jest morderstwo – oburzył się Ben.

– Wiem – odpowiedziała ciotka Zoe. – Ale takie zasady rządzą łańcuchem pokarmowym. Mogę tylko dodać, że przyroda nie jest miła.

Była ubrana w czarne dżinsy i koszulkę z nadrukiem fioletowej twarzy przewodniczącego Mao. Matka Bena miała na sobie białą bluzkę i szorty w kratkę. Lód w szklance z alkoholem, którą trzymała w ręce, pobrzękiwał cicho.

Przyglądziła mu włosy, pozostawiła delikatny zapach perfum i dżinu, powiew zainteresowania jego osobą. Ben wyobrażał sobie, że jego matka każdy dzień rozpoczyna od liczenia, liczy po cichu od rana do wieczora, zaczynając od jednego. Cechował ją spokój, ponieważ znała numer każdej minuty.

– Mieliście przyjemny spacer? – zapytała.

– Tak. Jest odpływ, można pójść daleko za keję.

– Czuję po twoim zapachu – powiedziała, wachając jego włosy. – Sól.

Skupiała w sobie całe piękno znajdujące się w tym pomieszczeniu. Poza nią była tylko ta stara kuchnia, porysowane blaty w łososiowym kolorze i sosnowe szafki z dużymi słojami i czarnymi sękami wyglądającymi jak ciemne plamy po cygarach, które ktoś gasił na drewnie. Poza nią była tylko ciotka Zoe, która wrzucała homary do wrzącej wody, chora i szalona, o białej nakrapianej skórze jak powierzchnia gipsowej figurki świętego.

– Cześć, Jamal – powiedziała matka Bena na widok wchodzącego chłopca.

Jamal skinął głową i nieśmiało się uśmiechnął, jak gdyby dopiero się poznali.

– Jamal jest wegetarianinem – poinformowała ciotka Zoe.

– Mówiłaś mi już, kochanie – przypomniała jej matka Bena.

– Ja także byłam wegetarianką – powiedziała ciotka Zoe. – Przez piętnaście lat. I nagle pewnego dnia weszłam do McDonalda i zamówiłam big maca. Jak gdyby nigdy nic.

– Wiem – powiedział Jamal. Stał jak zwykle pochylony do przodu, jakby zbierał się w sobie, przygotowywał do skoku. Był sobą, ani płci męskiej, ani żeńskiej, Jamalem, odważnym i niewzruszonym, cichym, o bystrych oczach i ze sprężynkami gęstych, czarnych włosów.

– Zrobię sałatkę – zaproponowała matka Bena.

Pocałowała Bena w czoło. Odeszła kilka kroków i przełamała na pół główkę sałaty.

– Pograżałam się w tym coraz bardziej – powiedziała ciotka Zoe. – Doszło do tego, że nie mogłam znieść myśli o wyrwaniu z ziemi marchwi ani o zrywaniu pomidorów, ani o koszeniu pszenicy. Miałam wrażenie, że nawet rośliny w pewnym sensie mają świadomość, że pomidor cierpi. Mogłam zjeść tylko to, co samo spadło na ziemię. Owoce i orzechy ze spadów. Moja dieta stawała się coraz uboższa. Nie potrafiłam trzepnąć komara ani pacnąć muchy. Aż pewnego dnia weszłam do McDonalda, prawie się nie zastanawiając, i zamówiłam big maca. Rozchorowałam się po nim. Jednak następnego dnia poszłam i zamówiłam kolejnego. I to był początek mojego upadku.

– Big mac zawiera, mniej więcej, siedemdziesiąt gramów tłuszczu – oznajmił Ben.

– Wiesz, jak się zdaje, tłuszcz jest częścią życia – zauważyła ciotka Zoe. – Śmierć i tłuszcz. I wiele innych rzeczy.

– Ostatnio jadamy dużo więcej produktów zbożowych – powiedziała matka Bena. – Próbuję ograniczyć tłuszcze przynajmniej o połowę.

Ciotka Zoe spojrzała na gotujące się homary z wyrazem łakomstwa i żalu w oczach.

– Od pewnego czasu mam bzika na punkcie kuskusu – ciągnęła matka Bena. – Łatwo się przygotowuje i można z niego przyrządzić mnóstwo różnych potraw.

– Wiem – powiedziała ciotka Zoe. – Właściwe odżywianie to dobra rzecz. Zdaję sobie z tego sprawę. Ja musiałam... sama nie wiem. Uwolnić się od tej obsesji.

– Nie wszystko zaraz musi przekształcać się w obsesję – stwierdziła matka Bena.

– Równowaga – roześmiała się ciotka Zoe. – Chyba najtrudniej jest zachować równowagę.

Spojrzała bezradnie na Jamala, z żartobliwym błyskiem w oku. Była coraz bardziej gotowa, by to on zaczął się martwić, odmierzyła w powietrzu odcinek.

– Tylko tyle i ani trochę więcej – powiedziała.

Po jedenastu latach macierzyństwa miała dość. Znowu chciała być dzieckiem.

Jamal zachował nie zmieniony wyraz twarzy. Wyszedł z kuchni i przez siatkowe drzwi na werandę. Ben widział go przez okno, jak patrząc na niebo, rozprostowuje swoje długie, szczupłe ręce.

Matka podążyła za jego wzrokiem, zauważyła Jamala i mrugnęła porozumiewawczo do Bena. Czy wyczuła ruch jego myśli, kiedy przyglądała mu włosy?

– Ben, kochanie – powiedziała. – Może nakryłbyś do stołu.

– Oczywiście, mammo.

Wziął talerze, sztuczki i poszedł do jadalni. Stał tam długi niebieski stół, drewniane ściany zdobiły namalowane na nich latające ryby. Z salonu dobiegał głos prezentera wiadomości, który informował o ścianie ognia przesuwał się w kierunku oceanu. Gdy Ben nakrył już do stołu, sprawdził jeszcze raz, czy noże, widelce i łyżki leżą idealnie równo.

Następnego dnia rano przyjechał wujek Will ze swoim przyjacielem. Na samą myśl żołądek podchodził Benowi do gardła. Obserwował z okna na piętrze. Paznokciami zeskrobywał łuszczącą się z ram farbę.

Przyjechali samochodem tego przyjaciela, starym mg, którym Ben sam chętnie wybrałby się na przejażdżkę. Jednak za nic nie wsiadłby do ich samochodu, nie usiadłby na siedzeniu. Widział, jak wysiedli i przywitani się w ogródku z jego matką i ciotką Zoe. Uściski, pocałunki. Wujek Will był wysoki, o króliczej twarzy, przemądrzały, ubrany w obcięte dzinsy i biały obcisły podkoszulek, żeby pokazać, że jest właścicielem wymodelowanego, lecz niewysportowanego ciała, które można było sobie zafundować, podnosząc ciężary. Ciało stworzone od nowa, potężne, ale bez kondycji. Wyglądał tak, jakby trenował do dziesięcioboju, a prawdopodobnie nie byłby w stanie przebiec stu metrów. Jego przyjaciel był typem profesora, z roztargnionym wzrokiem i kanciastą głową, jak gdyby grała w niej muzyka, której wybór nie mieścił się w granicach jego możliwości. Miał patykowate nogi, stopy bez skarpetek schowane w trampkach.

Matka Bena i ciotka Zoe kochały wujka Willa z tą hipnotyczną stałością wpisaną w kobiecą naturę. Były siostrami i kobietami. Nie miały wyboru. To mężczyźni decydowali, kobiety mogły tylko powiedzieć tak lub nie żyjącej w nich miłości. Mężczyźni ponosili odpowiedzialność za swój wybór. Kobiety były tylko przeciągane przez życie.

Jedynie najbardziej bolesne rozczarowanie mogło sprawić, że przestawały kochać, a kiedy już tak się stało, nie potrafiły pokochać ponownie. Zamykały się w nich wewnętrzne zawory. Zmieniała się chemia ciała. Nie miały już na nią żadnego wpływu.

– ...myślałam, że nie przyjedziesz – usłyszał przez szybę głos swojej matki.

– Nie mógłbym znieść myśli, że omija mnie taka frajda – odpowiedział wujek Will.

Mówił własnym, żartobliwym językiem. Każde jego słowo naprawdę znaczyło coś innego, niż można było sądzić.

Ben obserwował ich, jak wchodzi po stopniach werandy. Wujek Will niósł dwie walizki, a matka Bena i ciotka Zoe nie odstępowały go na krok. Nie zwracali uwagi na przyjaciela, który powoli podążał za nimi, wsłuchując się w cichą, nie znaną mu muzykę.

Ben słyszał, jak weszli do środka frontowymi drzwiami. Słyszał, jak dziadek próbuje manewrować między uprzejmością a wzburzeniem.

– Witaj, Billy – powiedział jego dziadek.

Głos biegł schodami w górę, cierpliwy i potężny jak sam dom, ta drewniana forteca, która wznosi się tutaj nad zatoką już od prawie stu lat.

– Cześć, tato. Pamiętasz Harry'ego.

Wujek Will był ożywiony, szczebiotliwy, sam sobą zachwycony, jego głos brzmiał jak muzyka. Ben nie chciał pozostać w tym domu ani chwili dłużej. Nie chciał tego słuchać.

Wychodząc z domu, nie uniknie jednak spotkania z nimi.

Byli w salonie, wszyscy prócz Jamala, który miał talent do przebywania gdzie indziej niż reszta. Kiedy Ben schodził po schodach, wujek Will spojrzał w górę i przywołał na twarz wyraz pozorujący zaskoczenie.

– Ben? – zapytał.

Ben powiedział cicho cześć. Stał już na dole.

– Dobry Boże, ależ ty urosłeś. Chyba z metr.

Ben wzruszył ramionami. Jego wzrost należał do niego, był jego prawem, nie czymś, co sobie stworzył. Nie stanowił szczególnego powodu do dumy.

– Teraz trzeba zaglądać przynajmniej raz w tygodniu, jeśli się chce być na bieżąco – powiedziała matka Bena.

Nie pomagaj mu. Nic mu nie dawaj.

Wujek Will zbliżył się i wyciągnął miękką rękę. Ben pozwolił mu odegrać parodię męskiego uścisku.

– Jak się masz? – zapytał wujek Will. – Co słychać?

– Nic – odpowiedział Ben.

– Dobrze wyglądasz.

Nie dotykaj. Zostaw mnie w spokoju, nawet na mnie nie patrz.

– Hej, Ben – entuzjazmował się wujek Will – to jest Harry.

Ben nie wiedział, gdzie ma podziąć wzrok. Spojrzał w dół, w bok, na słoneczną plamę na szmacianym chodniku. Potem przeniósł wzrok na dziadka. Na jego twarzy jak na zboczu góry rozlewał się złowrogi cień.

Przyjaciół wujka Willa uściśnął Benowi rękę. Jego dłoń była twardsza, niż mógł się spodziewać, bardziej sucha. Pachniał perfumowanym talkiem, nie kwiatowym, zapach raczej przypominał krede.

– Wychodzę – zwrócił się Ben do swojej matki.

– Nie chcesz trochę z nami posiedzieć? – zapytała.

– Nie.

Wyszedł, wiedząc, że swoim nieuprzejmym zachowaniem zaskarbił sobie szacunek dziadka.

Promienie słońca rozlewały się leniwie, w sierpniowym powietrzu zawisła ocieżała biel. Panowała martwa cisza, jakby dzień wstrzymał oddech, pogoda nie na żeglowanie, chociaż do przyścia Connie pozostało jeszcze kilka godzin, a do tego czasu może zerwać się wiatr. Ben zszedł do zatoki dróżką wysypaną sproszkowanymi skorupami małży, białymi jak kość w rozbielonym powietrzu. Woda w zatoce połyskiwała zielono. Uderzała ospale w łagodne zbocza skał, wzbudzając grzywy piany.

Znalazł Jamala, który leżał na kei, z twarzą zwróconą w kierunku desek. Jamal miał na sobie luźne fioletowe kąpielówki z nogawkami. Ben stał i przez chwilę go obserwował. Nie myślał o pięknie. Wszedł na keję.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Tutaj, pod spodem, jest duża ryba – wyjaśnił Jamal.

– Gdzie?

Ben rozciągnął się obok Jamala i przyłożył oko do szczeliny pomiędzy deskami.

– Musisz poczekać, aż się poruszy – powiedział Jamal.

Ben widział tylko nieruchomą, zieloną wodę, w której odbijały się chybottliwie deski pomostu, niczym poruszana wiatrem drabinka sznurowa. Miał świadomość leżącego obok Jamala, czuł jego ciało, niewinny nacisk łokcia na swój łokieć i nagiego kolana na swoje udo. Szukał wzrokiem ryby. Nie myślał o niczym innym.

- Ona tam jest – pokazał Jamal. – Jest naprawdę duża.
- Nie widzę żadnej ryby – stwierdził Ben.
- Tam. Rusza się.

Ben dostrzegł machnięcie płaskiej płetwy grzbietowej, szerokiej jak jego dłoń. A potem oko. Jedno wpatrujące się w niego żółte oko, wielkie jak żeton do gry w pokera. Zbliżało się do powierzchni wody. Ben zerwał się i usiadł. Serce łomotało mu w piersiach.

- Cholera.
- O co chodzi? – zapytał Jamal.
- Jest olbrzymia.
- Spora. Mogę się założyć, że ma co najmniej pół metra długości.
- Więcej – powiedział Ben.
- Na pewno nie.
- Jest naprawdę ogromna.
- Boisz się jej? – zapytał Jamal.
- Nie.

Serce wciąż biło mu w piersiach przyśpieszonym rytmem. Zwalczył pokusę, by pobiec z powrotem na ląd i potem w górę drogą, by znaleźć się w wyżej położonym miejscu.

– To tylko ryba – uspokajał go Jamal. – Nie może ci zrobić nic złego. Przecież to tylko ryba.

1993

Zoe żyła teraz w świecie choroby. W rozmowie była sobą, żartowała jak dawniej, ale była nieobecna, przebywała gdzie indziej. Nawet wtedy, kiedy gotował się obiad, kiedy za oknem pojawiały się gwiazdy, a telewizor wydawał swoje znajome dźwięki, czuła, że przenosi się w inne miejsce, w którym nigdy przedtem nie była, i stamtąd patrzy na otoczenie.

Will wbiegł po schodkach na werandę, cały lśniący od potu. Harry siedział z gazetą na metalowym krześle, które kształtem przypominało skorupę małży.

– Świetny pomysł. Biegać po pięć kilometrów dziennie w sierpniu, i do tego w czasie urlopu – ironizował Harry.

– Uwielbiam to – powiedział Will.

Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała. Na głowie miał zawiązaną chustkę. Był radosny, spocony i nosił w sobie małego, ledwie widocznego anioła nadziei. Zoe pamiętała jego brodawki z czasów, kiedy jeszcze był chłopcem.

– Zoe i ja zadowoliliśmy się patrzeniem na ciebie – powiedział Harry. Położył rękę na oparciu krzesła, na którym siedziała Zoe. Gołe stopy w przybrudzonych, białych trampkach oparł na balustradzie.

– Hej, Zoe – powiedział Will. Stał za plecami siostry i Harry ego. Pochylił się, by pocałować go w czubek głowy.

– Pryskaż mi na gazetę – zauważył Harry.

– Mam zamiar pryskać jeszcze znacznie więcej. Jak leci, Zoe?

– W porządku – powiedziała. – Tutaj jest tak ładnie.

– Taak.

Wokół nich krążyły pszczoły, nad głowami mieli pogodne, błękitne niebo, a przed sobą jasne, falujące wody zatoki. Wydawało się, że nic nie może się zdarzyć, ponieważ to wszystko istnieje, a pośród krzewów dzikiej róży w promieniach sierpniowego słońca krzątają się pszczoły.

– Może poszlibyście popływać? – zaproponował Will.

– Ja nawet chętnie – podchwycił Harry. – A ty, Zoe?

– Hm?

– Masz ochotę?

– Sama nie wiem. A co byście na to powiedzieli, gdybym tylko usiadła sobie na plaży i popatrzyła na was?

– Jak chcesz – powiedział Will.

Zoe wzięła do ręki kosmyk włosów. Nie potrafiła określić, czy wychodzi poza obręb czasu, czy coraz bardziej się w nim zanurza. Trzymała włosy, jak gdyby chciała zachować równowagę.

– Mam ochotę posiedzieć na plaży i popatrzeć na was, chłopcy, jak pływacie.

– Nie jesteśmy już chłopcami – zauważył Harry. – Chyba że we własnych marzeniach.

– Ja o was myślę w ten sposób – odpowiedziała. – Tak was nazywam w myślach. Chłopcy.

– Nie mam nic przeciwko temu, by myślano o nas jako o chłopcach – stwierdził Will.

– Można się było tego spodziewać – skwitował Harry.

– Och, daj spokój.

– Jasne. Najstarszy żyjący chłopiec.

Zaczęli udawać, że się boksują. Will z przesadą markował i odparowywał ciosy, przypominał boksującego kangura. Harry otwartymi dłońmi odpychał jego pięści.

– Nie zadzieraj ze mną – ostrzegął Harry, obserwując pięści Willa. – Nie jestem w nastroju.

– Nawet jeszcze nie zacząłem – powiedział Will.

Na werandę wleciała pszczoła, brzęcząc, zawisała nad podłogą z desek.

Zoe przyglądała się jej, zawieszona w powietrzu, idealnie proporcjonalnej, i jej przezroczystemu cieniowi. Patrzyła na brata i jego kochankę. Czy ich wzajemne uczucie było w jakiś sposób powiązane z lotem tej pszczoły? Nie, to tylko ona, Zoe, miała nawyk doszukiwania się związków.

Will powiedział coś do niej, a ona tylko się uśmiechnęła. Ostatnio nie zawsze przejmowała się słowami.

– Halo, tu Ziemia do Zoe – powiedział Harry.

– Jestem tutaj – odpowiedziała. – Nie martwcie się. Jestem tutaj i nigdzie indziej.

Ben i Jamal weszli po schodach na werandę i zatrzymali się u ich szczytu. Pszczoła podjęła decyzję. Poderwała się do lotu, zatoczyła łuk i skierowała się z werandy wprost na wschód, przelatując nad głowami Bena i Jamala. Zoe zauważyła – czy wiedziała wcześniej? – że Ben i Jamal również byli parą. W pewnym sensie parą. Will i Harry stanowili kolejną parę. Pszczoła miała własne pragnienia. Zoe trzymała się kurczowo swoich włosów.

– Cześć, chłopcy – zwrócił się do nich Will. – Co słychać?

– Widzieliśmy rybę – poinformował Jamal.

– Naprawdę?

Ben stał milczący, urażony, owładnięty miłością, której pragnął i nie pragnął.

– Całkiem sporą – powiedział Jamal. – Pod pomostem.

– A wy, chłopcy, macie ochotę pójść popływać? – zapytał Will.

– Chętnie – ucieszył się Jamal.

Ben się nie odezwał. Wszedł do domu i trzasnął za sobą siatkowymi drzwiami. Wypuścił na werandę stęchły powiew zapachów domu. Will spojrzał na Harry'ego. Zabawny dzieciak, co?

Jamal podszedł do Zoe i stanął blisko niej. Czekał, aż ona się odezwie lub nie odezwie, czekał przez kolejną minutę jej życia.

– No to ruszajmy na tę plażę – ponaglał Harry.

– Mamo? – zapytał Jamal.

– Idźcie we trójkę – powiedziała Zoe. – Zmieniłam zdanie, tutaj jest mi bardzo dobrze.

– Jesteś pewna?

– Najzupełniej.

Jamal mimo jej zapewnienia się nie poruszył, więc łagodnie klepnęła go w plecy.

– Idź już – ponagliła go.

– Chcesz, żebym poszedł popływać?

– Tak, chcę, żebyś poszedł popływać.

– Zgoda, pójdę.

– Zgoda, idź.

Została na werandzie. Will, Harry i Jamal weszli do domu, by się przebrać w stroje kąpielowe. W powietrzu zachodziły ledwie uchwytnie zmiany, iskrzenie na przemian silniejsze i słabsze. Gromadziło się coś, co miało barwę złocistą i błękitną, co było stare. Kiedy Jamal, Will i Harry zjawili się z powrotem, razem z nimi był Ben. Miał ładnie umięśnione ciało, co podkreślały jego obszerne, pomarańczowe spodenki kąpielowe. Will pocałował ją, a pozostali powiedzieli do widzenia, chociaż mieli wrócić za niecałą godzinę. Ostatnio wszyscy, ilekroć ją opuszczali, nawet na krótko, mówili do widzenia. Obserwowała, jak idą w stronę zatoki, jak jej syn, siostrzeniec, brat i kochanek brata oddalają się razem. Zoe uświadomiła sobie, że w pewnym sensie został osiągnięty stan równowagi tu i teraz, w samym środku lata. Od miesięcy siły przyrody rządzące dojrzewaniem i rozkładem zmierzały

do tej chwili, tego bezruchu, pogrążonej we śnie złocisto-błękitnej głębi, w której nie istniały żadne zmiany ani sprzeczności.

Potem zobaczyła, jak ta chwila przemija. Ujrzała pierwsze rozproszone światło, pierwsze, ledwie uchwytnie tchnienie jesieni. Zdała sobie sprawę, że przez ten cały czas trzymała swoje włosy. Kiedy jej syn, brat i kochanek brata zniknęli jej z pola widzenia, wypuściła z ręki kosmyk.

– Nie jest ci za zimno? – usłyszała.

Przez chwilę myślała, że słyszy głos samego powietrza, głęboki, pobrzmiwający delikatnie dźwiękiem oboju i kotła. W takim głosie mogły się unosić pszczoły – maleńkie elektryczne iskierki przepływające przez muzykę.

– Nie – odpowiedziała.

Ojciec podszedł i stanął przy niej. Głos należał do niego. Do niego należał ten słodki i ostry zapach.

– Dobrze ci tutaj? – zapytał. – Tak zupełnie samej?

– Oni jeszcze przed chwilą tu byli. Poszli popływać.

– Kto?

– Will, Harry, Jamal i Ben.

Podszedł do balustrady. Zmarszczył brwi, patrząc przed siebie, prosto w dzień, który rozpoczął już swój długi proces ochładzania się, drogę ku końcowi. Jutro nastąpi pierwszy dzień jesieni, chociaż kalendarz nie potwierdzi tego jeszcze przez kolejne trzy tygodnie; od jutra światło będzie bardziej gęste, będzie łatwiej przybierało błękitny odcień.

– O drugiej Ben i Jamal mają kurs żeglarski – oznajmił ojciec.

Ścierały się w nim uczucia miłości i nienawiści, jak fale przyprływu i odpływu. Włosy mu się przeredzały. Skóra z wiekiem pokrywała się piegami.

– Wszystko w porządku – uspokoiła go Zoe.

– Jak to?

– Zdążą wrócić na czas.

– To dobrze.

Niechętnie puścił balustradę. Nachylił się nad Zoe, zbliżając swoją twarz do jej twarzy.

– Dobrze się tu czujesz? – zapytał. – Ciepło ci?

– Tak. Dobrze.

Skinął głową. Przygryzł wargi i wciągnął powietrze między zębami, potem jeszcze trochę, tyle, ile wystarczyłoby na zagranie ćwierćnoty, a Zoe pomyślała, że ojciec chce sprawdzić smak dnia, jego blednącą obietnicę.

– Dobrze się czuję – powtórzyła. – Miło jest tutaj tak sobie zwyczajnie posiedzieć.

– Moje kochanie – wyszeptał. – Moja mała dziewczynka.

Ponieważ w domu było za mało pokoi, za domem, na płacyku porośniętym kępami trawy, Will i Harry rozbili namiot. Kupili go specjalnie na ten wyjazd, z czerwonego nylonu, jaskrawy jak cukierek. Zoe obserwowała, jak się śmieją i sprzeczą, zajęci jego rozstawianiem. Przypatrywała się ramionom i plecocom Willa, gdy wbijał śledzie w piaszczystą ziemię. Wieczne powietrze poruszało się, ożyło dzięki świetlikom i komarom, szelestowi liści i niespokojnej, niewidocznej obecności zatoki. Usłyszała Susan, poczuła jej zapach, a potem dotyk ręki na ramieniu.

– Jak oni tam sobie radzą? – zapytała Susan.

– Hm?

– Jak. Oni. Sobie. Radzą? – powtórzyła wolno i głośno, jak gdyby mówiła do obcokrajowca.

– Abbott i Costello¹⁰ jadą na biwak – odpowiedziała Zoe.

¹⁰ Bud Abbott i Lou Costello – amerykańscy filmowi aktorzy komediowi, popularni w latach czterdziestych i na początku pięćdziesiątych.

Susan zaczęła masować ramiona Zoe. Jej palce miały więcej siły, niż można było się spodziewać.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Mhm.

– Hej – zawołała Susan nad głową Zoe, prosto w wieczorną ciemność. – Jeśli nie możecie sobie poradzić, chłopaki, Zoe i ja możemy wam rozbić ten namiot.

Głos Susan był motorem napędowym rodziny. Zgryzota tylko przydawała jej blasku, Susan funkcjonowała jak dobrze naoliwiony mechanizm.

– Dziękujemy, ale świetnie dajemy sobie radę – odpowiedział Will.

Jego skóra połyskiwała w ciemnościach. Na niebie pojawił się cienki rogalik księżyca.

– Chodźmy im pomóc – powiedziała do Zoe Susan.

– Dobrze.

– Chodźmy. Im. Pomóc.

– Słyszałam cię, Susie. Jestem tutaj.

Zoe i Susan opuściły prostokątną plamę światła padającego z kuchni, zeszły z niewielkiej drewnianej werandy w trawę. Zoe miała wrażenie, że zanurza się w ciepłej wodzie. Wyczuwała obecność ukrytych oczu zwierząt obserwujących z krzaków. Susan trzymała Zoe za łokieć, w taki sposób, jakby prowadziła starszkę.

– Dzięki Bogu, jest i Gwardia Narodowa – ucieszył się Harry.

– Właśnie skończyliśmy – oznajmił Will. – Spójrzcie. Wszystko gotowe.

Podniósł się. Na placu stał namiot, lekko zapadający się, ale prosty. Czerwony, w prostocie swego kształtu mógł być rysunkiem namiotu wykonanym ręką dziecka.

– Jesteście pewni, że będzie wam tutaj dobrze? – zapytała Susan.

– Jak najbardziej – powiedział Will. – Uwielbiamy sypiać pod gołym niebem.

– Wydaje nam się, że uwielbiamy spać pod gołym niebem – skorygował Harry. – Żaden z nas jeszcze nie miał okazji spróbować.

– To nieprawda – zaprotestował Will. – Byłem raz pod namiotem, z rodziną mojego najlepszego przyjaciela, kiedy miałem dwanaście lat.

– Chciałabym zobaczyć, jak tam jest w środku – odezwała się Zoe.

– Bardzo proszę – powiedział Will.

Rozchyliła nylonowe poły namiotu i weszła do środka. Wnętrze tworzyło gładki czerwono-czarny świat, zaskakująco odrębny od tego na zewnątrz, przepełniony ciepłym zapachem tworzywa sztucznego.

– Przyjemnie tutaj – stwierdziła. – Przytulnie.

Will wsunął się do środka i ukucnął obok niej.

– Nieźle, co?

– Ja też chcę tu spać – powiedziała Zoe.

– Nie możesz. To jest tylko dla mężczyzn.

Susan rozchyliła poły namiotu i uklękła w trójkącie, który utworzyły ciemna trawa i gwiazdy.

– Nawet może być całkiem wygodnie – stwierdziła.

Potem w trójkącie obok niej pojawił się Jamal. Zoe zobaczyła jego włosy, niewyraźny blask oczu.

– Super – zachwycił się.

– Dalej, wchodź – zachęcał go Will.

Jamal zawahał się, a po chwili wszedł do środka. Zoe dostrzegła, jak bardzo jego ruchy przypominały zwinne ruchy zwierząt. Pomyślała o szopie praczu wślizgującym się do namiotu, o poczuciu własności, które wniósłby ze sobą.

– Super – powtórzył Jamal.

Usiadł blisko niej. Wzięła pomiędzy palce rąbek jego koszulki.

– Być może – powiedziała – chłopcy pozwolą ci też tutaj spać razem z nimi.
– Oczywiście, jeśli tylko chcesz – powiedział Will. – Z powodzeniem miejsca wystarczy dla nas trzech.

Jamal spojrział na Zoe. Wyczuwała jego pragnienie i obawę. Wiedziała, że chciał pozostać przy niej, ale też chciał się od niej oddalić.

– Śmiało – zachęcała go. – To będzie przygoda, przecież nigdy nie spałeś w namiocie.

Podciągnął kolana do brody. Zwinął się w kłębek, najmniejszy, jaki tylko potrafił, i siedział w milczeniu przed Zoe i Willem.

– Nie chrapiasz, prawda? – zapytał Will.

– Nie – odpowiedział Jamal.

– W takim razie czuj się zaproszony. Możesz ochraniać Harry’ego i mnie, gdybyśmy się czegoś przestraszyli.

– To głupie.

– Racja. Głupie. Możesz zostać tutaj, jeśli masz ochotę. Jeśli nie chcesz, z całą pewnością nikt się nie obrazi.

– Dobrze – zdecydował Jamal. – Zostanę z wami.

Później, w domu, Jamal przebrał się w żółte spodnie od piżamy. Wciąż miał na sobie koszulkę ze zdjęciem zespołu „Jesus and Mary Chain”. Zoe stała w drzwiach łazienki, kiedy mył zęby.

– To będzie niezła zabawa – powiedziała.

Jamal przyglądał się swemu odbiciu w upstrzonym plamkami lustrze. O pomalowany blaszany abażur lampy obijała się ćma.

– Lubisz Willa i Harry’ego, prawda? – zapytała.

Potwierdził skinieniem głowy. Być może lubił Willa i Harry’ego. Być może chciał jedynie sprawić jej przyjemność.

– Chcesz wziąć coś ze sobą do namiotu? – zapytała. – Kogoś ze *Star Treka*.

– Nie – powiedział zniecierpliwionym głosem, z ustami pełnymi pasty do zębów. Jego miłość do postaci ze *Star Treka* stała się wstydliwą tajemnicą. Uważał, że wyrósł już z zabawek.

Zoe pomyślała: Matka zna zbyt wiele sekretów. Dlatego musi umrzeć.

Jamal wypłuł pastę do umywalki i wypłukał usta. Tak zaznaczał ciągłość swego istnienia, zagarniając wodę w złożone dłonie i nabierając ją do ust. W tym kryły się przyszłe lata, jedna noc, po niej następna i następna.

– Chodź – powiedziała Zoe. – Odprowadzę cię.

Kiedy wyszli na zewnątrz, dostrzegła, że coś jest nie w porządku. Ojciec stał obok namiotu w swojej bojowej postawie, w szerokim rozkroku, z rękoma wspartymi na biodrach. Zoe zastanawiała się, czy wie, jak bardzo kobieco wygląda w tej pozycji, jak bardzo przypomina oburzoną królową. Will mówił coś do niego, a Harry stał za Willem, ani obecny, ani trzymający się na uboczu.

– ...do cholery, zastanów się trochę – rzucił Will w rozgniewaną twarz ojca.

– Uspokój się – powiedział ich ojciec. – Po prostu się nie unoś.

Zoe i Jamal szli po trawie w ich stronę.

– Zoe. – Ojciec miał zmienioną twarz.

Zatrzymała się, zawahała i cofnęła pół kroku.

– Czy coś się stało? – zapytała.

– Tata nie chce, żeby Jamal spał z nami – powiedział Will.

Ojciec się nie poruszył. Gdyby ktoś go w tej chwili popchnął, przewróciłby się, wciąż trzymając ręce na biodrach i nogi w rozkroku. Leżałby w trawie jak przewrócony posąg królowej Wiktorii w męskim stroju.

- Co takiego?
- Zabierz Jamala z powrotem do domu, Zoe – polecił ojciec.
- Nie, nie zabieraj – powiedział Will. – Jamal powinien to usłyszeć. Będzie miał okazję czegoś się nauczyć.
- Nie masz za grosz wstydu – oświadczył ojciec.
- tylko posłuchaj – powiedział Will do Zoe. – Tata obawia się, że Harry i ja będziemy molestować Jamala, jeśli będzie nocował z nami w namiocie.
- Nie opowiadaj jej takich rzeczy. Wcale tego nie powiedziałem.
- No, dalej, wypieraj się.
- Jamal ma swoje łóżko w domu – powiedział ojciec. – Jest za mały, żeby spać tutaj, to wszystko, co powiedziałem.
- Jasne – oburzył się Will. – Jest za mały, żeby spać na zewnątrz w ogrodzie za domem. Tato, z ciebie jest niezły okaz. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Jedyne w swoim rodzaju pieprzony okaz.
- Uwważaj, co mówisz, mój panie. Zoe, zabierz Jamala i idźcie z powrotem do domu, ale to już.
- Ani kroku – zaperzył się Will. – Nie ważcie się ruszyć.
- Tato – powiedziała Zoe. – Proszę.
- Ty nikczemny draniu – wycedził przez zęby Will. – Ty naprawdę myślisz...
- W tej chwili przestań! – krzyknął ojciec.
- Bo co? Bo mi przywalisz? Mam dla ciebie nowinę, tato. Już nie możesz tego zrobić.
- Uspokójcie się – prosiła Zoe. – Obydwaj.
- Dużo znośsz z twojej strony – zwrócił się ojciec do Willa. – Zjawiasz się tutaj ze swoim przyjacielem, paradujesz na oczach dzieciaków, nic nie mówię. Trzymam język za zębami. Ale kiedy oświadczasz, że między wami ma przez całą noc spać jedenastoletni chłopiec, muszę zaprotestować. W tym momencie muszę wkroczyć.
- Jestem twoim synem, do cholery – powiedział Will. – Bez względu na to, jak bardzo mnie nienawidzisz. Ty naprawdę uważasz, rzeczywiście myślisz... Nawet nie potrafię tego powiedzieć. Jesteś cholernym zbrojcem.
- Ten dzieciak miał już dosyć złych przykładów – stwierdził ojciec. – Liczysz na to, że wyrośnie na dewianta, ale wina nie spadnie na ciebie, tak?
- Wina? Uważasz, że mam powody, by czuć się winny?
- Tego nie powiedziałem.
- Po tym wszystkim, co zrobiłeś. Przyjrzyj się Susan. Spójrz na Zoe.
- Co Susan i Zoe mają z tym wszystkim wspólnego? O czym ty mówisz?
- Niewiele brakowało, a Will rzuciłby się na ojca i zrobił mu krzywdę. Zoe widziała to wyraźnie. Nienawiść emanowała z niego falami. Osiągnął jasność umysłu mordercy i jeszcze chwila, a chwyci ojca i będzie walił go w głowę, dopóki nie przestanie mu stawiać oporu. Zoe widziała, że Will jest już prawie gotów. Był wystarczająco silny, by zamordować ojca tylko siłą własnych mięśni. Oto prawdziwy cel, po to mężczyźni chodzą na siłownię.
- Will – wtrąciła się Zoe.
- Harry położył rękę na ramieniu Willa.
- Daj już spokój, po prostu wyjedźmy.
- Will zawałał się. Pod wpływem dotknięcia ręki Harry'ego wzburzenie zaczynało w nim gasnąć. Powoli, z trudem zdobywając się na spokój, Will potrząsnął głową.
- Dobrze – zgodził się Will. – Niczego bardziej nie pragnę, niż stąd wyjechać i już nigdy więcej nie oglądać twarzy tego dupka.
- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób – powiedział ojciec. Stał, tłumiąc w sobie gniew, którym posłużył się w słusznej sprawie.
- Od tej chwili nie odezwę się do ciebie ani słowem – oświadczył Will. – Nigdy.

Odwrócił się do Zoe i Jamala. Twarz pociemniała mu ze złości, lecz nie tylko, było jeszcze coś, co znajdowało się po drugiej stronie gniewu; przerażająca zajadłość i zapamiętanie.

– Wyjeżdżamy – powiedział cicho. – Przykro mi. Zadzwoń do was, kiedy wrócicie do miasta.

Kiwnęła głową. Will i Harry ucałowali ją, Will uścisnął dłoń Jamala.

– Namiot należy do ciebie, kolego – powiedział. – Pożegnalny prezent od nas.

Weszli do domu drzwiami prowadzącymi do kuchni, mijając Susan, Magdę i Bena. W niecałe dziesięć minut spakowali walizki. Susan i Zoe odprowadziły ich do samochodu.

– To istne wariactwo – powiedziała Susan. – Nie wyjeżdżajcie.

– Nie możemy zostać – odpowiedział jej Will. – Przykro mi. W ogóle nie trzeba było tu przyjeżdżać. Powinienem był przewidzieć, że wydarzy się coś takiego.

– Daj mu jeszcze jedną szansę? Pozwól, że najpierw z nim porozmawiam.

Will wziął obie dłonie Susan w swoje. Przyciągnął ją do siebie.

– Pamiętasz, jak kiedyś ci powiedziałem, że go zabiję?

– Nie.

– Ja pamiętam to doskonale. Byliśmy razem w ogrodzie za domem, mieliśmy wtedy zaledwie po kilkanaście lat. Powiedziałem ci, że pewnego dnia go zabiję, i wiesz, dzisiaj wieczorem omal tego nie zrobiłem. Naprawdę niewiele brakowało.

– Przesadzasz.

– Może. A może nie. Wydaje mi się, że byłem do tego zdolny.

– Billy – powiedziała Susan. – To znaczy, Will...

Pocałował ją pośpiesznie.

– Do zobaczenia, Sooz. Przyjadę do Connecticut. Do widzenia, Zoe.

– Do widzenia.

Will pocałował ją, Harry również. Przyłożyła dłoń brata do swojej twarzy i przycisnęła usta do jego palców.

– Uważaj na siebie – powiedziała.

– Nie martw się. Będę go miał pod kontrolą – zapewnił ją Harry. Przekreślił klucz w stacyjce i odjechali.

Zoe wydało się, że widziała, jak Will ukrył twarz w dłoniach. Wydawało jej się, że dostrzegła, jak Harry gładzi go po głowie. Stała na drodze razem z siostrą.

– No tak – westchnęła Susan.

Tylko tyle. Czekwały w ciemności na drodze, aż znikną czerwone romby tylnych świateł samochodu Harry'ego.

W salonie ojciec ciężko opadł na kanapę. Magda poszła się położyć na górę. Ojciec pokiwał głową.

– Przykro mi, że musiałyście oglądać taką scenę – powiedział. – Ale czułem, że muszę zaprotestować.

– Powinieneś się wstydzić – stwierdziła Susan.

– Tylko proszę, Susie, nie naskakuj na mnie teraz ty.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała. Wydawała się wyższa, niż była w rzeczywistości. Jej postać jaśniała w słabo oświetlonym pokoju. – Co cię to obchodzi, gdzie śpi Jamal?

– Jest moim wnukiem. Staram się robić to, co uważam za słuszne.

– Czyżby?

– Właśnie tak.

Susan jęknęła.

– Proszę – powiedziała Zoe. – Przestańcie.

– Wszystko w porządku, Susie – powiedział ojciec. – Przejdzie mu.

Nastała chwila ciszy. Dopiero po chwili Susan była w stanie znów się odezwać:

– Nie przejdzie. Takich rzeczy się nie zapomina.

Zoe czuła, że nie może pozostać w pokoju ani sekundy dłużej. Nie potrafiła odnaleźć własnego kształtu. Miała wrażenie, że rozpływa się w powietrzu. Przeszła przez kuchnię i wyszła na zewnątrz. Pomyślała, że wejdzie na chwilę do namiotu. Ukryje się tam do czasu, aż powróci do swojego ciała. Zeszła na trawę, ale kiedy zbliżyła się do namiotu, usłyszała ich, Bena i Jamala, rozmawiających przyciszonymi głosami. Byli już w środku.

Mary umieściła na torcie ostatnią różyczkę, cofnęła się i spod przymrużonych powiek spojrzała krytycznym, pełnym nadziei wzrokiem. Tak, prezentował się dobrze. Napis: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin Zoe” obwiedziony różyczkami, liliami z maślanego kremu i listkami, które sama uformowała z marcepana. Zajęcia z dekorowania ciast zaprocentowały. Teraz wiedziała, co robi. Czerpała przyjemność ze swoich umiejętności. Tort stał na blacie, prezentując się w całej okazałości w kuchennej ciszy: płatki i listki, fantazyjne jasnoniebieskie litery układające się w życzenia. Jego widok nappełnił Mary zadowoleniem tak zwyczajnym, że przez chwilę wydawało się, że zadowolenie jest podstawowym stanem człowieka, a wszelkie skrajności – poczucie straty i pustki – jedynie odchyleniami od tej normy.

Weszła do jadalni, poprawiła tulipana w bukietcie stojącym pośrodku stołu. Kiedy patrzyła i oceniała efekty swoich starań – serwetki ciasno zwinięte w srebrnych kółkach i świece ustawione idealnie prosto w srebrnych uchwytach – uczucie zadowolenia narastało w niej, aż nagle przekształciło się w bardziej skomplikowaną, lecz równie znajomą mieszaninę szczęścia i lęku. Tutaj, pośród wyczekujących sreber i kryształów kryło się piękno, tym bardziej poruszające i przerażające, że nietrwałe i ulotne. Byłoby martwe, gdyby nie goście, którzy mieli wkrótce się zjawić, a jednak to oni, kiedy już przybędą, zepsują je. Nie miała żadnych zastrzeżeń, nic konkretnego, w stosunku do osób, które już lada chwila mogą przyjechać. Żałowała tylko, że musi powstać nieporządek, że nastąpi spustoszenie. W tym idealnym stanie stół był świadectwem poświęcenia, w pewnym sensie gestem bez skazy. Mary przygotowała perfekcyjne przyjęcie, które już wkrótce miało być zniszczone przez gości.

Pierwsi przyjechali Will i Harry. Will wyskoczył ze sportowego samochodu Harry’ego jak nastolatek, chwycił Mary w objęcia i uniósł lekko ponad ziemię.

– Witaj, ślicznotko – powiedział. Jego włosy zaczynały pokrywać się siwizną.

Po nim podszedł Harry z płócienną walizką w jasnożółtym kolorze.

– Witaj, Mary – powiedział.

Pocałował ją w policzek. Był przystojnym mężczyzną o przemyślanych ruchach, trochę dziwnej, skupionej twarzy, emanującym życliwością i spokojem. Były chwile, w których Mary rozumiała syna całkowicie. Mogła wyobrazić sobie kogoś takiego dla siebie.

– Wchodźcie do środka – poprosiła. – Wcześniej przyjechaliście.

– W ogóle nie było ruchu – odpowiedział Will. – No, dom prezentuje się świetnie.

– Staram się jak mogę. – Stłumiła uczucie lekkiego niepokoju, pragnienie pokazania im jadalni, a potem wyprowadzenia ich z niej z zastrzeżeniem, że niczego nie wolno dotykać przed przybyciem gości. Przecież właśnie oni są gośćmi, upomniała samą siebie. – Zaprowadzę was na górę, do dawnego pokoju Willa. Mam nadzieję, że Ben i Jamal nie będą mieli nic przeciwko spaniu w śpiworach tutaj, na dole. Dom będzie pełen ludzi.

– Pomóc ci w czymś? – zapytał Will.

– Nie, dziękuję. Wszystko jest gotowe. Chcielibyście czegoś się napić, chłopcy?

– Może zaparzę kawę? – zaproponował Will. – Wcześniej dziś wstaliśmy, mały zastrzyk kofeiny dobrze nam zrobi.

– Ja zaparzę – powiedziała Mary.

– Spokojnie. Wiem, gdzie co jest. Kiedyś tu mieszkałem, pamiętasz?

– Dobrze, jak chcesz – zgodziła się.

Niech i tak będzie. Wydawało się, że Will znajduje przyjemność w zgłaszaniu tych drobnych roszczeń, demonstrowaniu swoich praw do terytorium i domowej krytyki, które

wyniósł z dzieciństwa. W porządku. Spróbuje odstąpić od swojego nawyku przestrzegania konwenansów, przynajmniej na ten weekend. Zbyt długo była sama w tym wielkim domu.

– Harry, może zaprowadzę cię na górę do waszego pokoju? – zaproponowała.

– Mamo – powiedział Will – Harry był już tutaj. Doskonale wie, jak trafić do tego pokoju. Usiądź i odpocznij trochę. Wiem, jak się napracowałaś. Zrobiłaś trzy torty urodzinowe i dwa pierwsze wyrzuciłaś. Odwiedziłaś siedemdziesiąt pięć różnych sklepów w poszukiwaniu prezentów dla Zoe. Mam rację?

– Och nie, teraz, kiedy jestem starsza, już tak nie robię – powiedziała. – Ostatnio ludzie muszą mnie akceptować taką, jaka jestem.

– Jasne – powiedział Will. – Idź usiąść. Porozmawiaj.

Mary zamilkła na chwilę, pełna miłości i niezmiennego, nieustępliwego gniewu, który nasuwał jej myśl o mrówkach opanowujących dom. Przed nią stał jej dorosły syn. Miała przed sobą to wszystko, co się w nim ukształtowało. Przyjechał tutaj wraz ze swoim partnerem, zaczynał traktować ją jak dziecianną i ekscentryczną postać, jak kogoś, kto jest zbyt stary, by się go obawiać. Akceptując go, straciła wiele ze swej władzy i miała świadomość, że nie będzie w stanie jej odzyskać, nawet jeśli tego chciała. Znalazł się poza zasięgiem jej dezaprobaty. Uwolniła go. W pewnym sensie nie była już w pełni jego matką. Począwszy od chwili, gdy był niemowlęciem, potrafiła nadać za logiką jego emocji, przychodziło jej to o wiele łatwiej niż w wypadku Susan czy Zoe, i była w stanie rozumieć go również teraz. Wiedziała o pragnieniu wyrwania się spod władzy matki. Wiedziała o miłości do mężczyzn. Akceptowała swego syna, nie znenawidziła go. Czasami jednak ogarniał ją cichy gniew, nie dawał spokoju ten pochod mrówek. Kochała swego syna bardziej, a jednocześnie mniej za to, kim się okazał. Czuła się z nim związana tak, jak nie czuła się związana z żadną z córek.

– Chodźmy do salonu, Harry – powiedziała. – Will, kochanie, przejmujesz rolę gospodarza.

Zaprowadziła Harry'ego do salonu, wskazała mu głęboki fotel. Usiadła nieopodal na kanapie z rękoma splecionymi na kolanie.

– A więc – zagadnęła. – Jak się wiedzie?

– Całkiem nieźle. Wszystko mniej więcej w porządku. Dużo pracy.

– Wyobrażam sobie. Opieka nad chorymi na serce to ogromna odpowiedzialność.

– Szczerze mówiąc, w mojej pracy nie ma aż tak wielu dramatycznych sytuacji. Od czasu do czasu ratuje się kogoś, kto umarłby, gdyby nie pomoc lekarza. Wszyscy lubimy wyolbrzymiać swoją rolę. Na ogół jednak ludzie mają albo nie mają dłużej żyć, a lekarz jest tylko zwykłym mechanikiem i dopóki nie popełni naprawdę głupich błędów, ci, którzy mieli żyć, żyją, ci, którym był pisany koniec, tak czy inaczej umierają.

– Jak dla mnie, to i tak brzmi dość dramatycznie – powiedziała Mary. – Dla mnie jako gospodyni domowej i ekspedientki.

– Właśnie, a jak tam praca?

– Nie najgorzej. Nawet jestem zupełnie dobrą ekspedientką. Wiem, czego boją się kobiety, kiedy idą na zakupy.

– Boją?

– Boją się, że będą się prezentowały mało elegancko, że będą wyglądały jak idiotki, a jedno od drugiego dzieli tylko wąziutka granica. Ja pomagam im znaleźć punkt równowagi.

– To chyba dość trudne zadanie – zauważył Harry.

– Rzeczywiście nie zawsze jest łatwo. Szczerze mówiąc, żałuję, że kiedy byłam młodsza, nie spotkałam kogoś takiego jak ja, kto służyłby mi radą. Takiej, czy ja wiem, pokrewnej duszy. Dorastałam w domu zdominowanym przez mężczyzn.

– Ciężko, co? Być wśród nich jedyną dziewczyną.

– Wiesz, miało to też swoje zalety. Ale kiedy dorastasz i próbujesz stworzyć siebie, trudno podjąć decyzję we własnej sprawie, ponieważ tak naprawdę siebie nie można zobaczyć, niezależnie od tego, jak długo i uporczywie wpatrujesz się w lustro. Czasami myślę sobie, że potrafiłabym szczerze docenić ekspedientkę, która by mnie nie okłamywała. Ponieważ, no wiesz, kobiety zwykle szkodzą sobie nawzajem i można stracić grunt pod nogami, starając się jedynie nie wyglądać jak klaun. Pewnie to, co mówię, wydaje ci się okropnie głupie.

– Wcale nie – powiedział. – Sam nie przejmuję się zbytnio ubraniami, ale chyba cię rozumiem.

– Kobiety są oceniane inaczej.

– Wiem. Faceci geje również. Ludzie wyobrażają sobie, że mogą ich traktować mniej poważnie.

– Tak, pewnie masz rację – przyznała Mary.

Harry rozprostował nogi. Usłyszała, jak zatrzeszczały mu stawy kolanowe.

– Przepraszam – powiedział. – To z powodu długiej jazdy tym małym samochodem.

Miał szare oczy i jasną skórę, na której zaczynały się rysować pierwsze zmarszczki. Nie czuł niechęci do Mary, ale też nie potrzebował jej sympatii. Czasami, z zaskakującą intensywnością, żałowała, że nie ma synowej. Kobieta wychowuje syna, pomyślała, by zobaczyć, jaką kobietę wybierze. Harry był czarujący, ale był jeszcze jednym synem. Do tego, jaki był, ona w żaden sposób się nie przysłużyła. Nie mogła go pokonać.

– Ten twój mały samochód jest uroczy – stwierdziła Mary.

– Nigdy takim nie jechałaś?

– Nie. O ile pamiętam, nie miałam okazji.

– Później zabiorę cię na przejażdżkę, jeśli oczywiście będziesz miała ochotę. Możesz prowadzić.

– Och, nie. Bardzo chętnie przejadę się razem z tobą, ale nie potrafiłabym prowadzić takiego samochodu.

– Z całą pewnością dałabyś sobie radę. Nie ma w tym nic trudnego.

– Wiesz, zapomniałam powiedzieć Willowi o tym nowym ekspresie do kawy, który kupiłam. Jeśli za bardzo się go napełni, zalewa cały blat. Przepraszę cię na sekundę, jeśli pozwolisz?

– Oczywiście.

Sprawił wrażenie, że jej słucha, że traktuje ją poważnie. Nie była pewna, co ma o tym sądzić.

W kuchni Will stał i patrzył na tort. Kiedy weszła, obrócił się do niej z przestraszonym i przeproszającym wyrazem twarzy, jak gdyby przyłapała go na drobnym uchybieniu.

– Jest cudowny – powiedział.

– Dziękuję. I wcale nie wyrzuciłam dwóch poprzednich.

Jeden. Wyrzuciła jeden.

– Zoe kończy trzydzieści osiem lat – powiedział Will.

– Wiem.

– Mała Zoe. Zawsze była taka, sam nie wiem. Zawsze wydawała się taka młoda. Wciąż taka się wydaje.

– Mhm.

Nic się więcej nie wydarzyło. Mary stała obok Willa. Oboje patrzyli na tort.

Dwie godziny później na podjeździe zaparkowała Susan. Mary stała w drzwiach wejściowych, przyglądając się im wszystkim, jak po kolei wysiadają z samochodu, i przez chwilę miała wrażenie, że śni na jawie. Z kremowego volvo, który był własnością Susan, wysiadła ona sama, śliczna, uśmiechnięta i wyniosła, ubrana w dżinsy i beżowy, lniany żakiet. Za nią ukazał się milczący i przystojny Ben, i Jamal, o grubych ustach, najeżony.

Potem Cassandra, jeszcze bardziej chuda, niż pamiętała ją Mary, i wreszcie, z pomocą Cassandry, Zoe, której skóra była biała i matowa jak papier. Mary miała wrażenie, że już kiedyś widziała taką paradę albo do niej podobną. Wydawała się jej znajoma w charakterystyczny dla snów, nieokreślony sposób, znajoma i równocześnie zupełnie obca.

Mary nie zwlekała długo. Zeszła na trawnik, w sandałach na nogach, i zaprosiła gości do środka.

– Witajcie, moi drodzy. Jak minęła podróż?

– Cześć, mamó – przywitała się Susan. – Dobrze. Udało nam się dojechać bez problemów.

Pocałowała Mary, a potem pocałował ją Ben. Jamal, stojący obok Bena, wykonał osobliwy, błyskawiczny taniec, jeden szybki węzowy ruch, który zdawał się brać początek ze zwiru podjazdu i przedostawać do jego ciała przez podeszwy stóp.

– Zoe – powiedziała Mary. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie.

Zoe uśmiechnęła się z roztargnieniem. Cassandra trzymała ją za rękę.

– Mary, jaki masz ładny dom – pochwaliła Cassandra.

– Dziękuję, moja droga.

– To zamek Śpiącej Królowny.

– Jest dla mnie za duży. Już od lat powtarzam sobie, że powinnam go sprzedać.

– Na twoim miejscu nie robiłabym tego – powiedziała Cassandra. – Mając do dyspozycji taką przestrzeń, nawet nie chciałabym myśleć o czymkolwiek innym.

– Niekiedy w nocy wydaje się tak bardzo pusty – wyznała Mary. – Siedzę w kuchni przy tylko jednym zapalonym świetle i czuję się tak, jakbym była przy ognisku głęboko w lesie.

– Ale bez robaków – podchwyciła Cassandra. – Dla mnie to istny raj.

Zoe stała obok, nie odzywając się ani słowem. Od miesięcy coraz bardziej zamykała się w milczeniu, popadając w zadumę i nabierając kontemplacyjnego dystansu charakterystycznego dla osób starszych. Tak jak niektóre kobiety w podeszłym wieku, była uprzejma, ostrożna i skryta. Oszczędzała się.

– Zoe – powiedziała Mary. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Ojej, czy ja już przypadkiem tego nie mówiłam?

– Mówiłaś. Ale dziękuję ci, mamuś.

Nie nazywała Mary „mamusią” od czasów, gdy była małą dziewczynką. Przesunęła się w stronę Cassandry.

– No chodźcie, wejdźmy do środka – zapraszała Mary.

Zoe przytaknęła skinieniem głowy, ale się nie poruszyła. Jej oczy błyszczały ciemnym, pełnym zdziwienia blaskiem.

– Również wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mamuś – powiedziała.

Minęło popołudnie. Na podjeździe Harry udzielał Benowi i Jamalowi lekcji jazdy samochodem. Will i Zoe przypatrywali się im, siedząc na trawniku przed domem. Susan wymyśliła sobie zajęcie w piwnicy – szukanie pośród swoich starych papierzyk pamiętnika, który prowadziła w szkole średniej. Cassandra, bardziej przygaszona, niż kiedykolwiek zdarzyło się Mary widzieć, owinęła się w koc i położyła na rozkładanym krześle na tarasie za domem. Błądą twarz o ostrych rysach wystawiła do słońca, jak zwykły to robić starsze panie z towarzystwa przebywające w uzdrowisku. Było ciepłe majowe popołudnie, wypełnione szelestem bujnej zieleni i zapachem bzu w ostatnich dniach jego kwitnienia.

Mary krzątała się po kuchni, samotnie przygotowując kolację. Samotność – tak o nią zabiegała i bardzo sobie ceniła, a równocześnie miała o nią ukryty żal. Podsmażyła cebulę, wstawiła ziemniaki. To była dobrze jej znana kuchnia. Wyjęła kostkę masła z lodówki, zerknęła na tort, który postawiła na dolnej półce, żeby go schować przed Zoe. Prezentował się imponująco. Zapowiadała się miła kolacja. Zamknęła lodówkę i stanęła, zwyczajnie stanęła, z kostką masła w rękę. Tort był w lodówce, jego doskonałość skrywały zimne ciemności. Mary zorientowała się, że nie jest w stanie wykonać kolejnej czynności, nie potrafi dotknąć

niczego, co znajdowało się w kuchni. Patrzyła na nią, jakby to była replika jej kuchni prezentowana za szkłem w muzeum. Taka sama tapeta na ścianie we wzór w snopki pszenicy, identyczne miedziane formy i trójpoziomowy druciany kosz pełen złocistych gruszek i jasnozielonych, lśniących jabłek. W rondlu gotują się ziemniaki. Widziała idealne odwzorowanie własnej kuchni i czuła, że wydarzyłoby się coś okropnego, gdyby tylko dotknęła w niej czegokolwiek. Stała w tym pomieszczeniu, ale do niego nie przynależała. Ostrożnie położyła na blacie masło. Z zewnątrz, z podjazdu przed domem dobiegały odgłosy silnika samochodu Harry'ego, pracującego na zwiększonych obrotach, i donośny głos Jamala, który krzyczał: „Teraz ja!”

Mary poszła na górę, do swojej sypialni. Przeczeka to. Poprawi makijaż, wróci na dół i dokończy przygotowywać kolację. Przez chwilę spacerowała po pokoju niepewna, gdzie ma usiąść. Wszystko wydawało się jej niemożliwe. Na śnieżnobiałych kwiatkach narzuty na łóżko kładły się cienie liści drzew rosnących za oknem. Łóżko było również obecne w lustrze jej toaletki, przecięte na dwie części, pod wypukłym kątem.

Mary usiadła przy toalecie. W lustrze ukazała się jej twarz. Przyglądała się sobie i zastanawiała, jak by to było, gdyby nie dokończyła kolacji, gdyby została tutaj, w swoim pokoju. Gdyby odmówiła dogadzania gościom. Na szklanym blacie stolika, który miała przed sobą, stały buteleczki perfum i biała skórzana szkatułka, precyzyjne, samotne i trwałe przedmioty. Przyglądała się im. Nie robiła nic poza tym.

Nie potrafiła określić, ile czasu minęło do chwili, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Odejdź, kimkolwiek jesteś, pomyślała. Czekala. Ponownie rozległo się pukanie, i głos Cassandry:

– Mary? Jesteś tam?

Nie odpowiedziała. Nie poruszyła się.

Cassandra znów zapukała.

– Kochanie, zamierzam wejść, pozwolisz?

Nie, pomyślała Mary.

Cassandra otworzyła drzwi.

– Dobrze się czujesz? – zapytała. – Przepraszam za to wtargnięcie.

Mary kiwnęła głową.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała.

– Poszłam do kuchni po szklankę wody – powiedziała Cassandra – i zobaczyłam, że woda w garnku z ziemniakami za chwilę zupełnie się wygotuje. Pomyślałam, Mary Stassos nie należy do kobiet, które zapominają o ziemniakach, chyba że wydarzyło się coś naprawdę poważnego. Tak więc, szukając ciebie, dotarłam aż tutaj.

– Nic mi nie jest – powtórzyła Mary. – Dziękuję.

Przypuszczała, że Cassandra mruknie coś uprzejmego i zamknie drzwi.

Cassandra weszła do środka i usiadła na skraju łóżka.

– Do dupy, prawda?

Mary nic nie odpowiedziała. Odwróciła się z powrotem do lustra, zobaczyła siebie i Cassandrę. Była teraz niemal łysa. W miarę jak przerzedzały się jej włosy, a ciało kurczyło, oczy wydawały się coraz większe. Mary widziała, że jej oczy są osadzone w otworach czaszki; widziała, że Cassandra przemawia do niej z wnętrza czaszki.

Cassandra westchnęła i rozejrzała się po pokoju z umiarkowaną ciekawością turysty.

– Przyjemna sypialnia – zauważyła.

– Dziękuję – odpowiedziała Mary.

– Kiedyś marzyłam o takim domu.

– Proszę, nie żartuj sobie ze mnie – powiedziała Mary. – Nie w tej chwili.

– Wcale nie żartuję. Jestem poważna jak nigdy. Kiedy byłam małym chłopcem, wyobrażałam sobie, że się ożenię i będę miała dom z dużą sypialnią, taką jak ta. Nie było to szczególnie realne marzenie, ale po co komu realne marzenia?

– Powinam sprzedać ten dom – stwierdziła Mary. – Jest za duży dla mnie. Tylko się w nim obijam od ściany do ściany.

– Mhm.

– Widzisz – dodała Mary. – Tyle że nie potrafię.

– Nie potrafisz czego?

– Właśnie tego – powiedziała. – Nie potrafię zrealizować niczego, co sobie zaplanowałam. Nie sędzę, bym była w stanie urządzić to przyjęcie.

– Oczywiście, że jesteś. Takie miłe, kameralne przyjęcie. Urządzenie go jest najłatwiejszą rzeczą pod słońcem.

– Tak się napracowałam – powiedziała Mary. – Nie chciałabym wszystkiego zepsuć.

– Niewielka, chwilowa psychiczna niedyspozycja nie zepsuje przyjęcia. Jakże często miewam podobny nastrój.

– Wydawało się... Wydawało się, że moglibyśmy, sama nie wiem... Zanim wszyscy przyjechali, byłam tutaj sama i wszystko wydawało się takie idealne.

– Doskonale to znam.

– Może dobrze by mi zrobiło, gdybym przez chwilę została sama.

– Nie będę ci nawet mówić, ile godzin zajmuje mi doprowadzenie się do porządku – zaczęła opowiadać Cassandra. – Nie wspominając już o podstawowych zakupach czy innym zaopatrzeniu, makijażu, układaniu fryzury i dopasowywaniu tego wszystkiego do siebie. Siedzę w domu i wreszcie, po wielu godzinach, jestem gotowa. Nie widziałas mnie w moim najbardziej efektownym wydaniu. Potrafię się naprawdę nieźle prezentować. Czy raczej potrafiłam, w najlepszych latach. Kiedyś owinęłam perukę wokół klatki dla ptaków i paradowałam z żywym kanarkiem na głowie, to był mój hołd złożony pamięci Madame Pompadour. Wiesz, zawsze nadchodzi taki moment, że jestem całkowicie gotowa, że przesłam nawet własne oczekiwania i jestem sama w swoim mieszkaniu, no cóż, zawsze nadchodzi moment, kiedy czuję się niewiarygodnie dobrze. Niezwyciężona jak przedstawicielka nowego, udoskonalonego gatunku. I oczywiście, chciałabym już natychmiast wyjść i się zaprezentować, taki jest cel. Wyobraź sobie, jakie byłoby przygnębiające włożyć to wszystko na siebie, postać przed lustrem, a potem zdjęć i położyć się spać. Nie, ja uwielbiam kroczyć na oczach tłumów, ale jest coś w tym staniu przed lustrem, w samotności tuż przed wyjściem. W pewnym sensie jest w tym doskonałość. Nie wiem, czy zaryzykowałabym stwierdzenie, że lepsze to niż wyjście i zaprezentowanie się innym, ponieważ, kochanie, urodziłam się po to, by na mnie patrzono. Ale wiem, jak wspaniale można się czuć w swoim stroju na chwilę przed tym, zanim ktokolwiek inny go zobaczy.

– Zabawne – powiedziała Mary.

– Co jest zabawne?

– Sama nie wiem. Zabawne, jeśli się pomyśli, że urządzam przyjęcie i, no wiesz.

– Stroisz się jak choinka w Rockefeller Center – powiedziała Cassandra. – W równoległym wymiarze, ja jestem gospodynią domową, a ty jesteś transwestytą.

– To zabawne.

– Nawet superzabawne – powiedziała Cassandra.

– Powinam wracać na dół.

– Wyłączyłam gaz pod ziemniakami, nie martw się.

– Och, racja. Ziemniaki.

– Życie nie jest proste – powiedziała Cassandra. – Trudno bezustannie chodzić w tę i z powrotem, przebierać się w coraz to inne, nowe stroje i zwyczajnie się nie załamać.

Mary pomyślała, żeby wstać. Nie wstała. Wciąż patrzyła w swoje oczy i oczy Cassandry. Poczula, że coś się w niej otworzyło. Oparła dłonie na zimnym szkle blatu.

– Nie ma nic bardziej niewyobraźnego od straty dziecka – powiedziała.

– Wiem.

Odwróciła się. Oto miała przed sobą Cassandrę.

– Wiem, kochanie – powtórzyła Cassandra.

– Dobrze się czujesz? – zapytała ją Mary.

– Ja umieram, moja droga.

– Nie to miałam na myśli.

– Chodzi ci o to, czy się boję?

– Też niezupełnie o to.

– Czasami boję się – powiedziała Cassandra. – Nie samej śmierci, jak się zdaje, aż tak bardzo mnie nie przeraża. Chodzi mi o to, że kiedy wsiada się do metra o czwartej nad ranem wystrojona jak Jackie Kennedy, wtedy... Nie, boję się, że stanę się niedołączna. Całe życie polegałam na własnej przebojowości i na, jakby to powiedzieć, królewskiej postawie, i, kochanie, to działa. W tym leży moja siła. Jestem wysoka i więcej niż trochę szalona, wystarczy, że ktoś tylko pomyśli, by ze mną zadrzeć, wyciągam się do swojego metra dziewięćdziesiąt i patrzę na niego, jakbym chciała powiedzieć: „Ze mną nie warto zaczynać, bo nie mam nic do stracenia i potrafię dopiec jeszcze gorzej”. Byłabyś zdumiona, gdybyś wiedziała, z jakich tarapatów udało mi się wydostać dzięki samej postawie. Jednak naprawdę martwię się, że jeśli zacznę wyglądać na słabą, jeśli stracę ten groźny i szalony wygląd, nie warto będzie sobie mną zawracać głowy, zostanę przeznaczona hienom na pożarcie. One potrafią wyczuć słabość. Szczerze mówiąc, w domu, w którym mieszkam, jest kilku takich, którzy mogliby cię równie szybko zabić, jak zwrócić na ciebie uwagę.

– Chyba nie potrafię sobie tego wyobrazić – powiedziała Mary.

– Zazdroszczę ci, że mieszkasz w dużym domu, w tej podmiejskiej dzielnicy. Wydajesz się tutaj taka bezpieczna.

– Nie czuję się szczególnie bezpiecznie.

– Och, no cóż, chyba ja również nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Mary miała świadomość ciszy swojej sypialni, jej komfortu przesyconego zapachem perfum, wykrochmalonych koronek. Cassandra siedziała pośrodku jak dzikie stworzenie, blada, o haczykowatym nosie, chora, z grubą warstwą różu na policzkach, a jednak przez chwilę wydawało się, że to ona bardziej przynależy do tego miejsca niż Mary.

– Wspaniale opiekujesz się Zoe – powiedziała. – I Jamalem. Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo to doceniam.

– Nie dziękuj mi – zaprotestowała Cassandra. – Nawet się nie waż. Zoe jest moją córką. Jamal jest moim chrześniakiem. Nic dla ciebie nie zrobiłam.

Mary spojrzała w jej surową, wycieńczoną twarz.

– Nie – powiedziała. – Chyba nie. Przepraszam.

– W porządku – powiedziała Cassandra. – To jest trudny okres, dziewczyna może zupełnie stracić orientację.

– Tak, masz rację.

– No to chyba tyle. – Cassandra podniosła się ze skraju łóżka z lekkim grymasem bólu. – Zejdźmy do naszych gości.

– Słusznie. Powinnyśmy wrócić na dół.

– Najpierw popraw trochę makijaż.

Mary odwróciła się do lustra.

– Och, rzeczywiście.

Cassandra stanęła obok niej.

– Kochanie, czy próbowałaś używać wodoodpornego tuszu do rzęs?

– Raz – powiedziała Mary. – Ale był za gęsty.

– Udoskonalili go. Technologia jeszcze raz wyszła naprzeciw naszym potrzebom.

– Wobec tego może spróbuję.

- W obecnych czasach – powiedziała Cassandra – taki tusz jest właściwie niezbędny.
- Chyba masz rację.
- Bez dwóch zdań. Och, mój Boże, czy to Opium?
- Mhm. Chcesz trochę?
- Może tylko odrobinę. Nic tak nie zabija odoru śmierci jak naprawdę dobre perfumy.
- Ależ, Cassandro.
- To był żart, moja droga. Powiedz, ale uczciwie, jak przez ten cały czas dawałaś sobie radę bez wodoodpornego tuszu do rzęs i poczucia humoru?
- Nie było to łatwe, możesz mi wierzyć – powiedziała Mary.
- Nikomu nie jest łatwo. Nawet Śpiącej Królownie w jej zamku.
- Wiesz, w połowie nie jestem tak silna, jak ci się wydaje.
- Silna? – zdziwiła się Cassandra. – Kochanie, uważam, że jesteś w opłakanym stanie, ale masz dobre serce. No dalej, zajmij się tym makijażem.

Constantine leżał na szerokim podwójnym łóżku, obserwując rozbierającą się Magdę. Teraz jego otoczenie wydawało mu się przyjazne, mniej więcej przyjazne. No dobrze, powiedzmy, że nie do końca ułożyło się tak, jak chciał. Jego obecne życie nie miało takiego uroku, jaki sobie wymarzył, tej całej otoczki, która towarzyszyła siostrze Gabor. Ale przynajmniej część przypadła mu w udziale. Był właścicielem ogromnego domu i całkiem ładnego kawałka ziemi; no i miał żonę, postawną i z własnym zdaniem, która robiła dobre wrażenie. Oczywiście daleko jej było do Mamie van Doren, ale i tak potrafiła zapędzić w kozi róg żony innych facetów. W sprawach seksu zawsze mógł wybrać się do miasta i wziąć sobie dziewczynę, nie wymagało to więcej starań niż kupno sześciopaku piwa. O wiele lepiej było w ten sposób, naprawdę. W jego życiu płciowym zachodziły zmiany, niektóre z tych panienek dobrze znały się na robocie, a on wciąż, nawet teraz, w tym wieku, miał wzwód, gdy nowa dziewczyna wsiadała do jego samochodu. Ogarniała go namiętność i podniecenie, jak gdyby był zupełnie młody. Wciąż to czuł, on, sześćdziesięciosiedmioletni mężczyzna, któremu serce już raz odmówiło posłuszeństwa. Miał coraz to nowe dziwki do wyboru, a także buntowniczą oschłość i surowość własnej żony, miał doskonale utrzymany ogród, miał również wnuki. Ponadto był właścicielem łodzi żaglowej, którą niedawno kupił i przeznaczył dla Bena. Doskonali chłopak, dzieciak, który potrafił zrobić wszystko, którego nic nie było w stanie powstrzymać. Absolutnie nic. Był przystojny i silny, bystry i bogaty. Constantine wciąż zwlekał, by wybrać się z Benem i kupić tę żaglówkę, dziewiętnastostopowego rhodesa, szybką, o zbyt dużych możliwościach jak dla czternastoletniego chłopca, choć on akurat poradziłby sobie z nią, ponieważ lubił trudne wyzwania. Magda zdjęła biustonosz w taki sposób, jakby jej piersi były tajemną bronią w wojnie z męskim rodem. Ale kto by się tym przejmował? Miał szczęście. W pewnym sensie szczęście. Sposób na życie, który wyznaczał drogę do przyszłości. Przestaje się tak bardzo myśleć o sobie, o własnych ambicjach, człowiek nie odczuwa już przemożnej chęci, by śpiewać najbardziej donośnym głosem. Traci zainteresowanie wieloma sprawami i zaczyna czerpać zadowolenie z tego, że jest kimś, kogo wnuki mogą kochać i szanować. Własne dzieci były zbyt blisko, widziały zbyt wiele błędów, które się popełniało, będąc jeszcze młodym. Z wnukami jest zupełnie inaczej. Dzieciom własnych dzieci dało się to, co się miało najlepszego. Rozmawiało się z nimi, dodawało im otuchy. Pielęgnowało się ich serca w taki sam sposób, jak otaczałoby się opieką egzotycznego ptaka, który może żyć tysiąc lat. Kupiło się im łódź żaglową, ustawiło dziobem w kierunku linii horyzontu i wsiadło na jej pokład. No dalej, zachęcało się. Ruszajmy. Zabierzmy stąd tego starego człowieka. Miał przed oczami siebie przecinającego jachtem lustro wody.

Ben lubił to, co oznaczała łódź. Sprawiało mu przyjemność to, co mówiła o jego możliwościach, o jego wschodzącej przyszłości. Myślał o domu dziadka górującym nad oceanem i o przystani żaglowej w zatoce, gdzie łódź w oczekiwaniu kołysała się na powierzchni czarnej wody. Widział ocean rozciągający się w dali aż do miejsca, w którym styka się z gwiazdami, i widział konstelacje wraz z ich zamieszkanymi planetami, systemy światów tak ogromne, że w jednym z nich z całą pewnością żyje chłopiec taki jak on, chłopiec z identycznym ciałem, głosem i myślami, ale bez pozostałych rzeczy. Wydawało mu się, że mógłby wsiąść do łodzi i pożeglować do tego innego świata, i spotkać tam siebie. Był urodzonym żeglarzem. Mógł dorosnąć i zmienić się, w rekordowym czasie przepłynąć Atlantyk, osiągnąć mistrzostwo, zanim skończy siedemnaście lat. Napisano by o nim w „National Geographic”. Na dwóch stronach zamieszczono by jego zdjęcia na błyszczącym papierze, z nagim torsem połyskującym miniaturowymi kropelkami wody, z twarzą spokojną

i pewną jak profil na awersie monety, a wraz z opublikowaniem zdjęcia miałby brata bliźniaka. Leżąc na łóżku, poczuł się szczęśliwy. Obecna chwila należała do jego przeszłości. Już odsuwał ją w cień. Wszystko mogło się wydarzyć, czuł, jak zachodzi w nim przemiana. I na to usłyszał głos wujka Willa dobiegający z dołu, a potem jego wysoki, zduszony śmiech. Zaledwie kilka sekund później, kiedy drzwi do pokoju Bena otworzyły się, jego radość w ułamku sekundy przekształciła się w irytację, jak gdyby został przyłapany na krępującej czynności.

Susan zapomniała zapukać. Starła się o tym pamiętać. Miał już prawie piętnaście lat, potrzebował prywatności. Trudno jej przychodziło pamiętanie, ponieważ, jak się zdawało, nie miał tajemnic, po swoim dojrzewającym, kilkunastoletnim synu nie spodziewała się żadnych dąsów czy rozdrażnienia. Jego życie wciąż było gładkie i bez skazy, jak jego skóra.

– Cześć – powiedziała. – Przepraszam, że nie zapukałam. Trochę się o ciebie niepokoiłam. Dobrze się czujesz?

Nie wyglądał najlepiej. Po kolacji pośpiesznie wstał od stołu. To zupełnie nie było do niego podobne. Powiedział, że wszystko jest w porządku. Pokiwała głową, stojąc w drzwiach z dłonią spoczywającą na gałce. Czasami chciała tylko na niego popatrzeć. Była coraz bardziej zaskoczona, ale zarazem czuła ulgę, że przyczyniła się do narodzin tego chłopca, do jego świetlanej obecności na tym świecie, chłopca, który w szkole otrzymywał najlepsze oceny bez najmniejszego wysiłku i który doskonale radził sobie ze sportem, przychodziło mu to z taką łatwością jak latanie ptakom, i który – co wydawało się najdziwniejsze – nigdy nie dokuczał innym dzieciom nie dorównującym mu pod żadnym względem. Wydawało się, że uzyskała przebaczenie. Gdyby była religijna, myślałaby o znaku boskiej aprobaty, akceptacji wysiłków i pobłażania dla ciała tak łatwo ulegającego pokusom. Razem z Toddem wychowywali tego chłopca, który wnosił do domu życie, swoją grzeczność i skromność, kompetencję. Był dla nich wybawieniem, nadawał sens wszystkiemu, co robili.

– Na pewno nic się nie stało? – zapytała.

Niechętnie i z ociąganiem – ponieważ był tym, kim był, chłopcem, który czasami cierpiał z powodu gniewu i zazdrości – powiedział jej, że aż tak bardzo nie przepada za wujkiem Willem. Przygryzła dolną wargę. Och, Billy. Nie odwróci się od brata, ponieważ zna go od czasu, gdy był mały i bezradny, kiedy tak niewiele znaczył. Wiedziała zbyt dobrze o siateczce cierpień utkanej przez ich ojca i matkę. Ale równocześnie zdawała sobie sprawę z zastrzeżeń, jakie miał jej syn. Z wewnętrznym zakłopotaniem, które sprawiało jej ból, nawet przyznawała mu rację. Jej syn obracał się w świecie, w którym liczyły się szlachetne cechy i zasady, nie było w nim miejsca na życie, jakie prowadził Billy. Z zaskoczeniem stwierdziła, że podziwiała swego syna i jednocześnie kocha Billy'ego, że dziwnym zbiegiem okoliczności potrafi podziwiać własnego syna za to, że nie darzy sympatią jej brata. Przypomniała Benowi, że należy być tolerancyjnym dla każdego. Powiedziała, że wujek Will jest dobrym człowiekiem i że powinno się okazać wyrozumiałość innym, nawet jeśli potępia się ich wybory. Musiała zrównoważyć system wartości Todda oparty na drobiazgowości, jego narastającą nienawiść do odmiennych przekonań. Ben przyznał jej rację, tak jak się tego spodziewała, mimo że sama nie w pełni zgadzała się ze sobą. Poprosiła, by zszedł na dół na deser. Obiecała mu, że nie będzie miała nic przeciwko temu, gdy po deserze powie wszystkim dobranoc i wróci do siebie.

Todd poczuł ulgę, gdy Susan wróciła z Benem. Nie lubił zostawać sam z jej bratem. Nie dlatego, żeby czuł się podenerwowany w tego rodzaju sytuacjach. To była niezręczność towarzyska, a nie dyskomfort ciała. Zabawne, doprawdy zabawne uczucie. Szczerze mówiąc, nawet niezupełnie towarzyska, ponieważ zawsze mogli poruszyć temat edukacji. Tak się szczęśliwie składało, że jej brat był nauczycielem. Ilekroć Todd i Will zostawali sami, jeden z nich zaczynał rozmowę na temat pożałowania godnego stanu amerykańskiego systemu

edukacji i mogli ją prowadzić do czasu, aż Susan przybyła na ratunek. Tak więc nie była to kwestia wyłącznie towarzyska. Z obecnością jej brata wiązał się taki brak uporządkowania, jakby do domu wpadł ptak. Jego obecność wzbudzała takie samo uczucie przerażenia. Nigdy się go nie okazuje, ale odczuwa się strach przed słowikiem czy sójką, nawet wróblem, gdy fruwa z szelestem po całym domu. Ogarnia człowieka to wrażenie niepokoju – życie znalazło się w miejscu, do którego nie należy. Gdy zjawili się Susan i Ben, Todd poczuł, że ptak został schwytyany.

Susan zawsze potrafiła zaskoczyć Willa, nawet wtedy, gdy zjawiała się po zaledwie kilkuminutowej nieobecności. Starzała się i to wprawiało go w zdumienie. Nie samo starzenie, lecz to, że przekształcała się w sztywną, pokrytą warstwą lakieru kobietę, o której mówi się: „Ona kiedyś była piękna”. Był zaskoczony tym, że do Susan może odnosić się stwierdzenie, że kiedyś była piękna, że rozpoczął się proces jej upadku. Gdy jej syn opadł nadąsany na krzesło, powiedziała:

– Jest bardzo zajęty tym swoim projektem z nauk ścisłych, dam mu deser, a potem niech idzie na górę i kładzie się spać.

Można naprawdę mówić o przewrotności losu, skoro Susan coraz bardziej wyglądała na wyczerpaną, a Zoe prezentowała się lepiej niż kiedykolwiek dotąd. Zoe, która była chora i utrzymywała siebie i dzieciaka w East Village z garstki pieniędzy. Zoe była blada i ukształtowana równie precyzyjnie jak róża w dzisiejszych czasach. Cóż, Susan przypadł w udziale premiowy pakiet. Wstąpiła w związek z prawnikiem i domem z kolumnami w Connecticut, zobowiązała się, że będzie skarbem. I właśnie, jak się zdaje, napięcie zaczynało się uzewnętrzniać. Ludzie płacą wysoką cenę za tego rodzaju uporządkowaną egzystencję, za poddanie się woli i potrzebom innych. Will kochał Susan i żałował jej, skrupulatnie doszukiwał się więc każdego przejawu jej nieszczęścia. Wydawało się, że to ma sens, że powinna mieć do spłacenia dług w postaci smutku za wszystko, co dostała. Gnębiło go poczucie winy, ale nie potrafił się powstrzymać od tego, by życzyć sobie pewnej formy kary za całą tę dobrą republikańską passę, tę namiastkę wnętrza farmerskiego domu i tego męża bez odrobiny poczucia humoru, z przekonaniem politycznymi odrobinę przesuniętymi na lewo w stosunku do tych, które głosił Hitler, za tego ich syna wychowywanego w tak niekwestionowanym dobrobycie, że może dorosnąć i naprawdę przyczynić się do wielu szkód na tym świecie. Willowi udawało się przetrwać te wizyty w domu siostry, ale nie sprawiały mu żadnej przyjemności. Mawiał do Harry’ego, że czuje się jak antropolog, który próbuje spisać obrzędy i zwyczaje charakterystyczne dla starej kultury, powoli zanikającej pod ciężarem własnej nagromadzonej historii i za sprawą z uporem podtrzymywanej ideologii, że można żyć bez wprowadzania zmian. Na myśl o Harrym Will przeprosił i wyszedł do salonu, by zatelefonować. Powiedział, że zapomniał powiadomić Harry’ego o tym, że dotarł szczęśliwie do Connecticut, chociaż w rzeczywistości chciał tylko usłyszeć jego głos wśród sosnowych szafek i starodawnych lusterek, narzut Amiszów i miedzianych garnków, i starych perkalowych poduszek. Fakt pozostawał faktem, chociaż nigdy sobie go jasno nie uświadamiał, że gdyby nie był bratem Susan, ani jej męża, ani jej syna nie czuliby się nieskrępowani, przyjmując go w swoim domu. Chciał, by Harry przypomniał mu, że ci ludzie niekoniecznie są wygrani.

– Halo?

– Cześć. Dotarłem. Jestem już na miejscu.

– Jak się czujesz? Dobrze?

– Tak. Mniej więcej.

– Już doprowadzili cię do szau?

– Wiadomo. Jasne, że tak.

– Nie możesz mówić?

- Nie bardzo.
- Niedługo będzie po wszystkim. Weekend trwa tylko dwa dni, a pod ręką mam butelkę szkockiej, czeka na ciebie.
- Doskonale.
- I ja. Też czekam.
- Tym lepiej.
- Teraz wracaj do towarzystwa i bądź grzeczny dla republikanów. Pożaluj ich. Przegrali wybory i sprawy już nie układają się po ich myśli.
- Naprawdę tak uważasz?
- Nie, tylko staram się pocieszyć ciebie. Jeśli będziesz miał ochotę, zadzwoń do mnie jutro.

Zoe oddychała przez maskę plastikową. Zastanawiała się, czy się uśmiecha. Obserwowała, jak Will i Susan jej się przyglądają. Dotarła do zupełnie nowego miejsca. Tutaj, gdzie teraz się znajdowała, była taka sama choroba, ciężar w płucach, zmęczenie, które przytrzymywało ją, jak gdyby była przywiązana miniaturowymi linkami zaciskającymi się w pętle wokół jej ciała. Był ból i płytki oddech, ten sam strach, ale teraz żyła w jego wnętrzu. Zaczynała łączyć się ze swoją chorobą, obserwowała siostrę i brata z pewnej odległości, jak gdyby ona była w pociągu, a oni stali na peronie, patrząc, jak jej pociąg odjeżdża. I jak gdyby ona, siedząc w tym pociągu, czuła smutek i ulgę, zaskakująco niepojęte zadowolenie z tego, że udaje się w nieznane miejsce, a inni pozostają. Zaczynała dostrzegać, że umieranie może wcale nie być takie trudne, jak się tego spodziewała. Powoli docierało do niej, że potrafi zwyczajnie odejść. Może połączyć się z chorobą i już o nic się nie obawiać, może przestać stawiać opór. Może pozwolić sobie na to, by poddać się chorobie. Jej siostra coś mówiła. Zoe podniosła rękę, co się wiązało z wyswobodzeniem z trzymających ją niewidzialnych linek. Położyła dłoń na ręce Susan. Siostra potrzebowała pocieszenia. Zoe była zadowolona, że musi wziąć na siebie ten obowiązek, ponieważ wiedziała, jak się to robi, nic trudnego, prosta, zwykła rzecz. Potem wróciła jej matka z Jamalem i stała bezradnie, dobrze ubrana, trzymając ręce na ramionach wnuka. Na widok Jamala Zoe porzuciła chorobę i powróciła do pokoju, ponieważ opuszczenie syna nie sprawiało jej żadnej przyjemności. Trzymał się od niej z daleka. Patrzył na nią z błyskiem gniewu w oczach, jakby jej nie rozpoznawał. Starła się pozostać w pokoju dla niego. Próbowła wydzielać swój zwykły zapach. Czy się uśmiechała? Zdjęła rękę z dłoni Susan i wyciągnęła ją do Jamala. Zrobił krok do tyłu i po raz pierwszy Zoe usłyszała głos, który nie brzmiał jak głos, nie przybierał formy słów, lecz przetaczał się przez nią jak kamień. Zostaw go z jego strachem i nienawiścią, i z tym, co zachowa w pamięci z miłości, pozwól mu istnieć. Pomyślała, że tak robi, i poczuła błogą ulgę, głębszą i większą, niż przynosi sen. Po chwili jednak postanowiła inaczej. Nie odeszła z pokoju, oddychała, aż wreszcie Will zrozumiał, jak ogromny jest to dla niej wysiłek, i wszystkich wyprosił.

Jamal nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nie potrafił być sam i nie potrafił być we własnym domu ani u Cassandry, zwłaszcza teraz, gdy choroba była także tam. Mógł przebywać z Delores. Przy niej znalazł dla siebie jedyne miejsce. Delores była szorstka, raczej brzydka i miała wszystko w nosie. Mógł być z nią.

– No dalej, skarbie – szeptała. – Zrób mi to zaraz tutaj.

Robił jej to w opuszczonym budynku na Eleventh Street i robił jej to w kuchni jej siostry i w odległym krańcu peronu kolejki elektrycznej. Delores miała ogromny biust jak na trzynastolatkę, wąskie uda, okrągłą, dużą twarz o lekko skośnych oczach i to mokre ciepło między nogami. Wciskał się do środka i tam się zapominał. Przy niej mógł być nikim, liczyły się tylko ciepło, poduszki jej piersi, zapach błyszczycy do ust i waniliowych perfum. Nie kochał jej ani żadnych szczegółów z jej istnienia, nie było jak w filmach, ale uwielbiał to, że

się zapominał. Uwielbiał wchodzić do środka. Robili to wszędzie, na dachach, na moło przy Christopher Street i w wejściu do ukraińskiej cerkwi. Gryzła go, szeptała jego imię. Chwytała go za pośladki i naciskała mocniej, zawsze chciała go mieć w środku, nigdzie indziej. Nie myślał o niczym innym. Gdy nie był z nią, onanizował się albo planował, gdzie i kiedy zrobi to następnym razem. Myśli o niej towarzyszyły mu od rana do wieczora, dzień po dniu. Pewnego razu, gdy siedział przy swojej śpiącej matce w szpitalu i nikogo poza nim nie było w sali, ulżył sobie, sięgając przez kieszeń džinsów, a w tym czasie ona nabierała oddech przez rurkę, po nim następny. Nic nie mógł poradzić. Teraz żył owładnięty pożądaniem. Tylko raz zdołał się powstrzymać. Spacerowali z Delores po Avenue B. Było wystarczająco ciemno, by mogli to zrobić w krzakach w parku na Tompkins Square i Delores zaprowadziła go tam, ale on jej odmówił. Powiedział, że nie jest bezpiecznie.

– Bardzo ciekawe – odpowiedziała. – A twoim zdaniem na schodach cerkwi jest bezpieczniej?

Upierał się przy swoim. Zostawił ją, wyszedł z parku. Podążyła za nim. Użała się, a on nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Nie powiedział jej, że z parku widać było okna mieszkania Cassandra i nie mógł tego zrobić w tamtym miejscu. Nie potrafił tego tam zrobić.

Cassandra nie włączyła światła. Siedziała po ciemku, paliła papierosa i słuchała muzyki. Gdy zadzwonił domofon i odezwała się Mary, Cassandra nacisnęła guzik i wpuściła ją. Rozległ się brzęk dzwonka. Zapaliła lampę na stoliku, którego nogi zdobiły rzeźbione pazury. Teraz z ciemności wyłonił się jego cień, miodowy za ciemnymi plamkami zawieszonymi w powietrzu. Cassandra odsunęła zasuwkę, czekała. Słyszała kroki Mary i czuła zapach jej perfum. Przyjemność na dziś za trzy trzydzieści za uncję.

– Witaj – powiedziała Mary.

– Cześć, kochanie – przywitała ją Cassandra. – Wejdz, proszę, rozbierz się. Jak tam Zoe?

– Wygląda na to, że trochę lepiej. Dali jej coś i w miarę dobrze po tym sypia.

– Chciałabym ją wyciągnąć z tego szpitala najszybciej, jak nam się uda – powiedziała Cassandra. – Szpitale są niebezpieczne.

– Nieźle się nią tam opiekują, jak mi się zdaje.

– To jest straszne miejsce, nie daj się wywieść w pole.

– No cóż – powiedziała Mary. – W tej chwili nie ma wielkiego wyboru. Nie sądzisz?

– Nie. Rzeczywiście nie ma.

– Jadłaś coś? – zapytała Mary.

– Mhm.

– Co jadłaś?

– Trochę zupy – odpowiedziała Cassandra.

– I nic poza tym?

– Zjadłam tyle, ile chciałam. Do niczego mnie nie zmuszaj, moja droga.

– A co z czytaniem, masz ochotę? – zapytała Mary.

– Zaczekaj chwilkę, chcę ci tylko coś dać.

Cassandra podeszła do toaletki, szukała po omacku, aż znalazła sznur pereł.

– Proszę – powiedziała, wyciągając rękę w stronę, gdzie spodziewała się, że stoi Mary.

– Och nie, nie mogę ich przyjąć.

– Proszę cię, weź. Prawie ich nie noszę. Szczerze mówiąc, pochodzą z mojego największego skoku. Wprawdzie nigdy nic nie zwędziłam od Tiffany'ego ani Cartiera... tam są za bardzo skrupulatni... ale możesz mi wierzyć, nawet wyniesienie ich z takiego miejsca jak sklep Bergdorfa było nie lada wyczynem. Większość z moich zdobyczy to śmieci, ale te perły są jedyną z niewielu rzeczy, które ty, jak sądzę, mogłabyś nosić.

– Nie, naprawdę – powiedziała Mary.

– Zrób mi przyjemność. Przyjmij te kilka perełek od starego transwestyty. A przynajmniej je przymierz.

– No dobrze.

Mary wzięła perły. Cassandra usłyszała cichy odgłos zapinanego zatrzasku.

– I jak wyglądają? – zapytała.

– Są przepiękne.

– Możesz je wziąć już teraz. I tak przeznaczam je dla ciebie. A co tu dużo mówić, kochanie, kiedy nadejdzie czas, z pewnością tutaj odbędzie się ogólna bijatyka. Znam takich transwestytów, którzy potrafią obrobić pokój szybciej, niż ty zdejmujesz narzutę z łóżka.

– Wiesz – zaczęła Mary i na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Cassandra.

– Tak. Nic mi nie jest.

– Świetnie.

– Wiesz, nigdy dotąd ci o tym nie wspominałam... – Mary podjęła przerwana myśl.

– Proszę cię, daj sobie spokój z sentymentami. Teraz nie mam najlepszego nastroju.

– Daleka jestem od sentymentów. Miałam zamiar ci powiedzieć, że kiedyś też przywłaszczałam sobie różne rzeczy.

– Co to było?

– Wynosiłam to i owo ze sklepów. Tak samo jak ty.

– A więc trochę się w tym orientujesz – powiedziała Cassandra.

– Nie mam pojęcia, dlaczego to robiłam. Nigdy nie wzięłam nic cennego.

– Ależ tu nie ma wielkiej tajemnicy. Pragniesz rzeczy, każdy chce je mieć. Otacza cię ogromny świat pełen przedmiotów i chcesz mieć choć trochę dla siebie.

– Ale na te wszystkie rzeczy mogłam sobie z łatwością pozwolić.

– Czyli potrzebny ci był dreszczyk emocji. Miałas w sobie żyłkę przestępcy. Pomyśl tylko, w innej wersji naszego życia mogłybyśmy siedzieć w jednej celi.

– Raz mnie zatrzymali – dodała Mary.

– Mnie zatrzymali, zaczekaj, niech pomyślę. Chyba pięć albo sześć razy. Więzienne fantazje, żadna nigdy i tak się nie spełniła, mimo że niektóre były zupełnie niezłe.

– Nie powiedziałam o tym nikomu. Wiedział tylko mój mąż, ale dzieci nie.

– I teraz się wypowiadałaś. Czujesz się odmieniona?

– Niezupełnie.

– Wyznanie winy jest, moim zdaniem, przeceniane.

– Przyniosłam książkę, o którą prosiłaś – powiedziała Mary.

– Rąbnęłaś ją, kochanie?

– Nie. Zapłaciłam za nią. Od lat nic nie wzięłam. Skończyłam z tym. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego w ogóle zaczęłam, i nie mam pojęcia, dlaczego przestałam.

– Jesteśmy istotami pełnymi tajemnic.

– Tak. Na to wygląda. Przez lata cierpiałam też na ataki duszności, brałam walium. Ale z czasem stopniowo zaczęły ustępować. Teraz właściwie zupełnie minęły. W każdym razie nie mam ich tak często, żeby potrzebne mi były tabletki.

– Zawsze mówiłam, że na nerwicę są dwie rady, albo trzeba ją leczyć, albo przeczekać.

– Może masz rację.

– A jak się czujesz? – zapytała Cassandra.

– Ja? Dobrze. Ale jak ty się czujesz?

– Zupełnie niezłe, kochanie.

Mary ujęła dłoń Cassandry.

– Będzie dobrze – powiedziała.

– Proszę cię.

– Mam na myśli Jamalą. Pomogę się nim zająć.

– Doskonale.

– To miły chłopak.

– Jest nieposkromiony – powiedziała Cassandra. – I ma bardzo dobre serce. O jedno cię proszę, nie próbuj nim za bardzo rozporządzać. Nie wygrasz, twoje wysiłki na nic się zdadzą.

– Będę postępować tak, jak potrafię najlepiej.

– To wszystko, co można zrobić.

Mary dotknęła pereł, które miała na szyi.

– Są piękne – powiedziała.

– Hm? Ach, perły. Tak.

– Czemu nie usiądziesz? Pewnie jesteś zmęczona.

– Tak, rzeczywiście trochę jestem.

Mary podprowadziła Cassandrę do sofy o cienkich nogach, pokrytej jasnoniebieskim pluszem.

– Wyniosłam ją z toalety dla kobiet z Bonwit Teller.

– Tę sofę? Jak to zrobiłaś?

– Nie było łatwo, moja droga, możesz mi wierzyć. Założę się, że nie porwałaś się na nic, co było nawet o połowę mniejsze od niej.

– Nie – powiedziała Mary. – Nawet nie próbowałam. Cassandra usadowiła się na sofie, podłożyła sobie poduszkę pod głowę. Mary zajęła miejsce przy niej, na krześle z wysokim oparciem.

– Podać ci coś? – zapytała Mary. – Szklanekę wody? A może filiżankę herbaty?

– Nie. Dziękuję. Nic mi nie trzeba. Zaczynaj.

Mary otworzyła książkę.

– „Miałam w Afryce farmę, u stóp gór Ngong”.

Ciotka Zoe postanowiła, że pozwoli swemu ciału umrzeć, ale sama będzie żyć dalej, mimo wszystko. Właśnie w ten sposób się wyraziła, siedząc owinięta w koc na tarasie domu dziadka Bena. Ciotka Zoe przybrała zimny, biały połysk, przezroczystą śmiertelną bezbarwność. Założyła przeciwsłoneczne okulary, by chronić się za nimi przed październikowym światłem, i lekko drżała pod kocem w ciepły, przejrzysty dzień.

Zoe słyszała drzewa. Były zaniepokojone tym wszystkim, co pamiętały. Żyły w rzeczywistym czasie, sprawiały wrażenie, że stoją spokojnie. Zoe nie potrafiła posługiwać się ich językiem, ale wiedziała, że przypadła im rola świadków. Co kiedyś powiedział jej ojciec? To są moje cisy. Zupełnie jakby były jego własnością.

Ciotka Zoe śmiała się bez powodu. Matka Bena usiadła przy niej na płóciennym krześle. Była żywym przykładem różnicy między zdrowiem i śmiercią. Promieniała. Siedziała w swojej czerwonej bluzce, wysmukła i wyprostowana jak łodyga słonecznika. Jej włosy były tak sztywne i żywe, że jarzyły się drobnymi iskierkami, poruszone energią w delikatnym, złotym i czystym powietrzu.

– Zoe, skarbie, spójrz, jaki dziś jest piękny dzień – powiedziała matka Bena.

– Tak – przyznała ciotka Zoe.

Matka Bena położyła dłoń na przykrytym kocem kolanie ciotki. Była podenerwowana, kochała ciotkę Zoe, ale była nią zmęczona. Chciała mieć dużą szczotkę z metalowymi przeciekami zamiast włosów, którą dałoby się pozamiatać dokładniej niż jakąkolwiek inną.

To Susan spotkała krzywdę. Miała w sobie najwięcej doskonałości, najbardziej prawdziwe i zachłanne serce. Wszystkie szczęśliwe zrzęczenia losu spotykały ją, Will i ja moglibyśmy się im wymykać. Każde z nas dwojga miało życie na świecie, ona poświęciła się obowiązkom. Czyż w żadnej opowieści o człowieku, który prosi czarownicę albo bestię, albo rybę o spełnienie zbyt wielu życzeń, nie ma córki, która ma za zadanie umrzeć?

– Susan – powiedziała ciotka Zoe. – Susan.

– Cśśś – uspokajała ją matka Bena. – Odpoczywaj teraz i nie denerwuj się tak wszystkim.

Ciotka Zoe patrzyła przez ciemne okulary na pustkę w powietrzu. Kiwała głową, jak gdyby zgadzała się z tym, co było tam napisane. Matka Bena głaskała ją po kolanie, jakby chciała je wygładzić z głębokich zmarszczek. Ben stał w odległym narożniku tarasu. Był zdumiony, że umieranie trwa tak długo i że jest takie zwyczajne. Wyobrażał sobie gwałtowne poruszenie, nagromadzenie zdarzeń, które w jednej chwili wciągają w otchłań każdego, wyobrażał sobie zamęt, który byłby straszny, wszechobecny i przynoszący zadowolenie. Nigdy nie przypuszczał, że następują takie niezręczne chwile milczenia, że godziny mogą przeciekać jedna w drugą, sączyć się jak krople krwi, przy włączonym telewizorze.

Ben miał w sobie niepokój, szaleńczą pasję. To była jego tajemnica i jego ratunek. Jego przeznaczenie. Zoe mówiła tym swoim innym głosem. Mówiła Benowi, żeby przetrwał, ale dzieci nigdy nie słuchają rad.

Odwrociła opętaną szaleństwem głowę, powoli, i przyglądała się mu. Błagał ją, by patrzyła w inną stronę.

Dziadek Bena i wujek Will wyszli na taras, w całkowitym spokoju. Szaleństwo ciotki Zoe zlikwidowało wszelkie spory, zamroziło je, i dziadek z wujkiem Willem mogli wyjść razem z domu na taras jak każdy ojciec z synem. Wujek Will był ubrany jak syn, jak ktoś, kogo nie spotkały krzywdy. Miał na sobie dzinsy i flanelową koszulę w kratę.

– Cześć, dziewczynki – powiedział dziadek Bena.

Ben wyobrażał sobie go w roli ojca. Sympatyczny i hojny, przepelniony radością. Wracał wieczorem do domu z upominkami. Stawał w drzwiach z rękoma pełnymi prezentów i wołał: „Cześć, dziewczynki”.

Ciotka Zoe wpatrywała się w powietrze. Wciąż kiwała głową.

Było tego zbyt wiele. Zbyt wiele dawnych pragnień, za dużo celów. Zoe przysłuchiwała się drzewom, które jej ojciec uważał za swoją własność. Przemawiały językiem zbyt starym, by można go było znać. Zoe zobaczyła siebie ubraną w piżamę, próbującą zdobyć się na uśmiech w chwili, gdy rozbłysła oślepiające białe światło. Widziała swego ojca i Susan ubranych w cierpliwą biel. W każdej opowieści jest córka, której zadaniem jest umrzeć.

– To nie jest najlepszy pomysł – powiedziała ciotka Zoe. – Możecie mi wierzyć.

Wujek Will przykucnął obok niej. Ben obserwował ich z odległego końca tarasu, zza donic z roślinami zielonymi przez cały rok. Wujek Will mówił szeptem do ciotki Zoe, która wpatrywała się przed siebie w coś, co tam zobaczyła.

– Słońce tu jest przepiękne. Wydaje mi się, że dobrze jej robi, jak tak sobie tu siedzi w słońcu – stwierdziła matka Bena.

– Proszę cię, nie mów o Zoe w trzeciej osobie – obruszył się wujek Will. – Ona jest tutaj z nami. Prawda, kochanie?

Ciotka Zoe wciąż kiwała głową.

– Zawsze jestem tylko tutaj – powiedziała. – Nigdzie indziej, tylko tutaj.

– Oczywiście, maleńka – powiedział wujek Will. – Czujesz się zmęczona?

– Tak. I nie.

– Odpoczynek dobrze by ci zrobił. Co ty na to?

– Tak – powiedziała. – I znowu, nie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Uhm. Chyba tak. Trudno zostać i trudno odejść, prawda?

– To prawda – powiedziała. – A z drugiej strony wcale nie prawda.

Pod powierzchnią skóry Willowi udawało się przetrwać. Tlił się w nim promyk jasnego światła, który wypalił wszystkie jego błędy i skazy, idiotyczne przyzwyczajenia. Zoe dotknęła jego klatki piersiowej, lecz nie własnym ciałem. Pogładził ją po włosach. To był dotyk jego prawdziwych rąk.

Dziadek Bena zbliżył się i stanął za krzesłem, na którym siedziała ciotka Zoe. Położył dłonie na oparciu, spojrzął w dół, na czubek jej głowy. Stał nad nią, jakby była ogniem.

– Wezmę chłopców, żeby sobie trochę popływali jachtem – powiedział w stronę ciotki Zoe, ponad jej głową. – Dziś jest wspaniały dzień na żeglowanie.

– Nie uważasz, że trochę za mocno wieje? – zaniepokoiła się matka Bena.

Dziadek spojrzął na Bena. Dziadek miał opaloną skórę, bielusięńkie włosy, zawsze był najważniejszy. Ben pomyślał o tym, co widzi dziadek: deski podłogi tarasu, jego, szerokie zbocza wydm porośnięte trawą, przecinające nieregularną linią ocean. Ben starał się być częścią tego wszystkiego, częścią tarasu i oceanu, i nieba, tych wszystkich rzeczy, które sprawiały przyjemność dziadkowi.

– Co o tym sądzisz, Ben? – zawołał do niego dziadek. – Za silny wiatr dla ciebie?

– Wcale nie – odpowiedział Ben i zobaczył własne odbicie w twarzy dziadka, dostrzegł wrażenie, jakie zrobiła na dziadku jego odwaga.

– No to chodźmy – zdecydował dziadek.

– Tak. Chodźmy.

– A gdzie jest Jamal? – zainteresował się wujek Will.

– Właśnie – podchwycił dziadek. – Gdzie on się podział?

– Zaraz go poszukam – zaferował się Ben.

Przeskoczył przez barierkę tarasu zadowolony, że mógł zademonstrować swoją zręczność. Wiedział, gdzie jest Jamal. Gdy przyjeżdżali do dziadka, Jamal zawsze chodził w dół, do małego lasku w najbardziej odległej części posiadłości, niewielkiej grupki sosen, których

wzrost zahamowały i które zdeformowały wiatry wiejące znad oceanu. Właśnie tam obaj chodzili przez ostatni rok, ukrywali się w zaroślach, by dzielić się pośpiesznie swoją tajemnicą, gdy sosny muskały ich igłami po głowach, a rodzice popijali piwo na tarasie. Benowi imponowało to, że Jamal chodził tam sam, by cieszyć się samotnością, gdy czuł, że doskonałość domu dziadka go przytłacza. Przeszedł przez trawę porastającą wydmy, mając świadomość, że jest obserwowany z tarasu. Przepęniała go duma i wzbierające, przyjemne poczucie skruchy. Powie Jamalowi, że będą musieli z tym skończyć. Muszą zachowywać się odpowiedzialnie, zacząć się liczyć z innymi. Będzie trudno, ale przyjemnie powie mu o tym. To będzie taki czysty sposób zadania śmierci. Ben odzyska prawo do własnej szlachetności i uporządkowania. Przypuszczał, że Jamal zrozumie. Potem Ben, Jamal i dziadek pójdą popływać jachtem. Może uda mu się nauczyć Jamala tego, czego Connie nie zdołała wpoić mu przez całe lato w ubiegłym roku. Zasiądą przy sterze jak bracia. Ben czuł przypływ szczęścia, schodząc z boczem wydmy, które prowadziło do lasku. Ogarnęła go przejmująca radość, jakiej nie zaznał od co najmniej roku. Przed nim rozciągał się ocean, oszłamiający, gdzieś tam mieniący się białymi plamkami piany. Za plecami miał ocieniony dom, jego prawość i oczy członków rodziny.

Opuściły go emocje, gdy dotarł do grupki drzew i zobaczył, że nie ma tam nikogo. Był więcej niż pewny, że zastanie tu Jamala siedzącego na ziemi w samotności, zamysłonego, obracającego w dłoniach sosnową szyszkę, opartego plecami o jeden z tych szorstkich pni. Cały jego plan opierał się na koncepcji, że stoi obok Jamala trwającego w takiej pozycji, mówi łagodnym, ale zdecydowanym głosem, patrząc prosto w jego uniesioną, osamotnioną twarz. Bena ogarnęło gwałtowne i bolesne uczucie samotności, pustki, jakby z chwilą gdy znalazł się w miejscu, gdzie spodziewał się zastać Jamala, wkroczył przypadkowo w uczucia, do których kuzyn miał większe prawa. Pomyślał, że odnajdzie go i przywlecze między te drzewa, rzuci na ziemię i powie... co? Będzie domagał się wyjaśnienia. Pewnego rodzaju wytłumaczenia.

Przeszedł przez laszek i znalazł się na jego przeciwległym krańcu, od strony oceanu. Rozgniewany spojrzął na ocean i myślał o tym, żeby wrócić do domu, powiedzieć wszystkim, że Jamal znowu gdzieś zniknął i że wobec tego Ben i dziadek będą musieli pływać bez niego. Ale właśnie wtedy zobaczył Jamala na plaży. Stał nad brzegiem wody, która omywała mu stopy. Podnosił kamienie i rzucał je do wody. Podnosił i rzucał, jeden po drugim, metodycznie, jak gdyby ktoś zatrudnił go po to, żeby oczyścić z nich plażę. Ben zbiegł na dół. Nie wołał Jamala. Nie wynosił jego imienia w powietrze.

Jamal nie słyszał zbliżającego się Bena, a ten musiał się powstrzymać, by nie chwycić go za szeroką, żółtą koszulkę i siłą nie obrócić nim dokoła. Stał kilka kroków za Jamalem.

– Hej! – zawołał głośno.

Jamal odwrócił się i w jednej chwili nastąpiła całkowita zmiana. Oto ukazała się jego twarz, przerażająca w sposób znany jedynie Benowi. Oto były jego oczy.

– O co chodzi? – zapytał Jamal.

Nowy przypływ uczucia przybierał na sile w sercu Bena, tak szybko, że zderzył się z kipiącym gniewem, nastąpiła eksplozja. Do tego stopnia przepęniała go złość i tkliwość, że nie był pewien, czy wytrzyma.

– Zobacz, co znalazłem – powiedział Jamal. Pochylił się i podniósł skrzydło mowy. Było przerażająco białe, długie na prawie sześćdziesiąt centymetrów od czubka ząbkowanych piór, które wyrastały na końcu łukowato wygiętej, poźółkłej kości równo przyciętej jak tasakiem. Skrzydło było wymyte do białości, sztywne, oczyszczone z mięsa. Tylko kości i pióra.

– Wstrętne – otrząsnął się Ben.

– W pewnym sensie tak – przyznał Jamal. – Ale na swój sposób jest piękne, prawda? – Stał, trzymając skrzydło w rękach.

– Chcesz popływać łodzią? – zapytał Ben.

- Sam nie wiem.
- A co innego masz do roboty?
- Nic.
- No właśnie.
- Tutaj nic nie ma do roboty.

– Można pożeglować, to już jest jakieś zajęcie.

Jamal wciąż trzymał skrzydło w obu rękach, marszczył czoło, przyglądając się mu, jakby to był skarb, ale w niezrozumiały sposób uciążliwy.

– Dobrze – zgodził się. – Pójdę.

Ruszyli razem w górę plaży.

– Chyba nie zabierzesz tego ze sobą?

– Mam zamiar zatrzymać to skrzydło. Zabiorę je do miasta.

Ben wiedział, co pomyśli o tym ich dziadek: Szalony syn pomyłonej ciotki Zoe, który wlecze do domu kawałki martwych zwierząt.

– Może jednak zostaw to tutaj – powiedział Ben.

– Nie. Chcę je mieć. Powieszę je na ścianie w swoim pokoju.

– Jesteś naprawdę stuknięty.

– Może i jestem.

– Przecież to będzie śmierdzieć.

– Nie przeszkadza mi to.

Jamal niósł skrzydło, gdy wchodzili po pagórku z piasku do niewielkiego lasu. W jego ręce skrzydło w dziwny sposób wyglądało na swoim miejscu, jak gdyby Jamal wyruszył w świat, by przynieść stamtąd rzecz, która była mu potrzebna, ohydną i jednocześnie fantastyczną. Gdy znaleźli się wśród drzew, Ben stanął i powiedział:

– Zaczekaj chwilę.

– Po co?

– Chcę z tobą porozmawiać.

– No dobrze.

Jamal stał zupełnie obojętny, czekał. Oglądał skrzydło, wsunął palec między pióra. Był zachwycony tym odpadem, tym okropieństwem. Głupi, taki głupi. Głupi chłopak, ale mimo to wszystkie plany Bena opierały się na założeniu, że znajdzie Jamala siedzącego tutaj, i teraz jak na dłoni widział całe złożone istnienie Jamala, jego rozproszone piękno. Stanął oko w oko z jego brakiem zainteresowania. Ben zdołał pokonać w sobie pożądanie, nękającą i uporczywą miłość. Osunął się na kolana i pociągnął brzeg koszuli Jamala.

– No chodź – wyszeptał. – Tutaj nas nikt nie zobaczy.

Jamal nie poruszył się. Koszula napięła się mu na piersiach i brzuchu, gdy Ben ją pociągnął. Końcówki piór od skrzydła sztywno ocierały się o włosy Bena.

– No chodź – prosił Ben. Pragnął przytulić Jamala, poczuć jego dumną głowę na swojej klatce piersiowej. Chciał go zdobyć, pocieszyć, osiąść na własność jego uczucia. Zapomniał o swojej prawości, nie mógł okazać, że to ma znaczenie.

– Nie – sprzeciwił się Jamal.

Ben klęczał na ziemi, oddychając ciężko. Milczał. Nie wypuszczał z ręki koszuli Jamala.

– Ja już nie chcę tego robić – powiedział Jamal. – Przykro mi.

– Ja też nie chcę.

– Więc przestań.

Ben jednak nie potrafił przestać. Nie powiedział ani słowa.

– Mam dziewczynę – oznajmił Jamal.

– Ja też mam.

– Powinniśmy z tym skończyć?

– Tak. I to będzie ostatni raz.

– Nie.

– Proszę – nalegał Ben.

Jamal spojrzął w dół. Dolna część jego twarzy znalazła się w wystrzępionym obramowaniu z piór.

– Człowieku – powiedział. – Ja nie jestem gejem.

Ben znów się nie odezwał.

– To wcale nie dlatego, że cię nie kocham – tłumaczył Jamal.

– Ja też cię nie kocham. Za kogo ty mnie uważasz? Swego kochasia czy co?

– Nie – powiedział Jamal. Jego oczy były czarne, matowe jak kawa. – Wcale nie uważam cię za swego kochasia.

Ben rozpiął dzinsy Jamala. Uwolni się od siebie, zrobi tak, żeby Jamal przestał mówić. Pójdzie w jakiegokolwiek inne miejsce. Pragnie tylko zniknąć.

– Ben – powiedział Jamal.

Ben wyjął już penisa Jamala. Nigdy dotąd tego nie robił. Z mdlącym uczuciem ulgi, jak gdyby skoczył do wody z dużej wysokości, wziął go do ust.

Miał lekko słonawy smak. Oto był Jamal, najbardziej skrywana część jego ostentacyjnego piękna. Ben położył dłonie na szczupłych pośladkach Jamala, trzymał go mocno i poddał się ogarniającej błogości. Czuł, jak to się dzieje. Złocista niewinna część ulatniała się z niego, ale on nie dbał o to, pragnął tylko żyć w takiej postaci, jako irracjonalna wielka namiętność, która niosła uwielbienie.

– Przestań – powiedział stanowczo Jamal.

Ben nie przestawał. Tylko pragnął. Nie przestawał, aż Jamal pociągnął go za włosy i spojrzął mu twardo prosto w oczy.

– Słyszę czyjeś kroki – powiedział Jamal.

Ben nasłuchiwał. Nic nie słyszał. Był zdumiony, gdy poczuł, jak łza spływa mu po policzku. Nie istniał, był obezwładniony pożądaniem. Znów wyciągnął ręce do Jamala, ale ten odsunął się i zapiął spodnie. Ben czad w głowie pulsowanie wstydu i wściekłości. Podniósł się z kolan. Ledwie zdążył wstać, za ledwie na chwilę przedtem, jak dziadek rozgarnął krzaki i zapytał głośno:

– No, chłopcy, co was tu zatrzymało? – Jego głos brzmiał jak pękające drewno.

Ben odwrócił się do dziadka i dopiero wtedy przypomniał sobie o łzie. Otarł ją ze zniecierpliwieniem, jak gdyby chciał odgonić muchę, ale wiedział, że dziadek ją zauważył. Twarz Bena pokryła się rumieńcem.

– Cześć, dziadku – powiedział, a jego głos brzmiał niepewnie, jak gdyby domagał się dziewczęcych przyjemności.

Dziadek zorientował się, co zaszło. Ben był tego pewien. Dziadek mógł stać się fotografią samego siebie, zrobioną w chwili śmierci, gdy jego dusza rozpoczęła już swoją podróż, ale jest ciągle zbyt uwikłana w stygnące ciało i wie tylko tyle, że się unosi albo ku chwale, albo ku wiecznemu cierpieniu, albo zwyczajnie w kierunku lodowatych, płonących gwiazd.

Wiedział. Mógł jeszcze nie zdawać sobie sprawy z tego, że wie, ale fakty wniknęły już do jego umysłu. Zobaczył Bena w tym innym stanie, z zaczerwienioną twarzą, winnego, splamionego łzami.

Gdy dziadek Bena powiedział: „Chodźmy, chłopcy”, w jego głosie słychać było zwykłą radosną, ożywioną melodię.

Jamal zbliżył się i stanął obok Bena. Położył rękę na jego ramieniu. Ben czuł ciężar swego oddechu, nacisk ręki Jamala.

Uwolnił się od jego ramienia.

– Odczep się ode mnie – wycedził przez zęby.

Jamal zawahał się, zamrugał, nie rozumiejąc.

– Wynoś się stąd, ty pieprzona cioto – powiedział tak głośno, by dziadek mógł usłyszeć.

Wydawało się, że Jamal się kurczy, że staje się ciemniejszy, jak gdyby spora porcja powietrza wyciekła z niego na zewnątrz. Oczy zwęziły mu się do wielkości szparki.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedział Ben. – Wynoś się stąd zaraz.

Jamal odwrócił się powoli i poszedł z powrotem na plażę. Ben obserwował go, jak się oddala. Gdyby Jamal biegł, Ben mógłby poczuć delikatny smak zemsty. Gdyby krzyczał albo rozplakał się, albo obrzucił go oczywistymi wyzwiskami. Ale on tylko szedł, bez słowa, jakby chciał resztę życia spędzić na rozmyślaniu o tym, co się stało. Zmierzał, jak się zdawało, w to samo miejsce, w którym Ben go zastał. Znowu zaczął schylać się po kamienie i rzucać nimi do wody, jak gdyby to było zajęcie specjalnie dla niego, najdziwniejsze z dziwnych.

Skrzydło położył na piasku. Leżało wygięte jak łuk, z wyschniętym czubkiem i okrągłym przekrojem kości zwróconym do góry.

Ben odwrócił się do dziadka. Ciszę przerywał jedynie od czasu do czasu odległy odgłos dzwonu. W powietrzu czuło się zapach żywicy.

– Co się dzieje? – zapytał dziadek.

– Nic – odpowiedział Ben.

Wiedział, że dziadek i tak mu nie uwierzy. Tajemnica zawisła w powietrzu jak dym z prochu strzelniczego.

– Jamal nie idzie z nami? – dociekał dziadek. Jego głos był wyważony, zagadkowy.

– Nie. Zresztą wcale mi nie zależy, żeby szedł.

– Jesteś pewien?

– Tak. Chodźmy pożeglować tylko we dwójkę, ty i ja.

– Dobrze.

W milczeniu przeszli przez wydmy porośnięte trawą. Słońce wciąż zatrzymywało się na każdym ostro zakończonym źdźble, rozciągało nieskończoną ilość postrzępionych pasemek cieni. Dom połyskiwał, jego reliefy lśniły różowym blaskiem, wydawało się, że promieniują w pełnym świetle oceanu. Ptaki trzepotały się krzykliwie pośród gałęzi sosen.

Na tarasie ciotka Zoe siedziała między matką Bena a wujkiem Willem. Uśmiechnęła się do Bena i do dziadka, jakby zobaczyła ich po raz pierwszy w życiu.

– Gdzie jest Jamal? – zapytał wujek Will.

– Nie mogliśmy wyciągnąć go z plaży – wyjaśnił dziadek.

Ben nabrał powietrza głęboko w płuca. A więc dziadek zamierzał zachować tajemnicę, przynajmniej na jakiś czas. Postanowił uszanować szaleństwo ciotki Zoe, jej śmierć.

Powie matce Bena później, na osobności. Powie jej, że wydarzyła się rzecz niestosowna, i zacznie się długi proces dochodzenia prawdy.

– Wobec tego idziemy tylko we dwójkę z Benem – zdecydował dziadek. – Chyba że jeszcze ktoś ma ochotę.

– Ja nie – odezwała się matka Bena. – Jestem ssakiem lądowym, wiesz o tym doskonale.

– Ja też zostanę tutaj – powiedział wujek Will. – We trójkę możemy przygotować coś do kolacji.

Ciotka Zoe uśmiechała się. Patrzyła wprost przed siebie.

Było jasnozielone, rozproszone światło. Istniały zwykłe sprawy życia i śmierci, ale drzewa w swoim języku nie miały na to słów. Nie były to rzeczy, które drzewo potrafiłoby zrozumieć. Umieściłaby siebie na samym dole, wśród korzeni drzewa, tak by mogły opleść się wokół niej, poprzerastać jej ciało. Nie zniknęłaby. Przedostałaby się do konarów.

Ben z dziadkiem pojechali mercedesem do przystani jachtowej. Nie rozmawiali po drodze. Dzień był zaśmiecony skrawkami jaskrawego światła. Gdy podjeżdżali na parking przy kei, słońce rozsypywało iskierki na powierzchni asfaltu i na białych masztach łodzi. Łopotały kolorowe banderki. Ben siedział na przednim siedzeniu samochodu dziadka głęboko zatopiony w przygnębieniu i wstydzie, wiedząc, że nigdy się z nich nie wyzwoli.

Był splamiony wstydem, tak nim naznaczony, że – jak się zdawało – mógł pozostawić po sobie wyraźny ślad na tapicerce samochodu, ciemną plamę, której nie da się niczym wywabić.

Dziadek wyłączył silnik, ale pozostał za kierownicą samochodu. Ani jeden, ani drugi się nie poruszył. Wreszcie dziadek zapytał:

– Masz jakieś problemy ze swoim kuzynem?

– Nie wiem – odpowiedział Ben.

– Ten chłopak – zaczął dziadek. Słowo „chłopak” utknęło mu w gardle jak kawałek kości.

– Ten chłopak – wykrztusił je – miał wiele problemów, wychowywał się wśród pomyleńców.

Ben nic nie mówił. Czuł narastające ciśnienie w głowie, uderzenie parzącego lodu, napierające od wewnątrz na oczy i uszy. To, co widział przez przednią szybę – samochody, banderki jachtów, maszty podskakujące w rytmie fal – wydawało się abstrakcją, opuszczone jak odległy kraniec nieba, do którego nie można dotrzeć.

– Ten chłopak – ciągnął dziadek – też jest trochę stuknięty. Martwię się o niego.

– Uhm – mruknął Ben.

– Pokłóciliście się?

– Właściwie nie.

Dziadek pokiwał głową. Przez cały czas trzymał kierownicę i patrzył wprost przed siebie, jak gdyby prowadził samochód.

Ben zrozumiał. Mógł zrzucić winę na Jamala. Mógł go oskarżyć o namawianie do niecnych czynów i sam się uratować.

– Potrafię przywołać do porządku kogo trzeba – powiedział dziadek. – Jeżeli Jamal ci dokucza, mogę się tym zająć.

Ben skinął głową.

– Nie pozwolę, by ktokolwiek zamieszał ci w głowie. Ktokolwiek, nawet jeśli jest członkiem rodziny. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Ben oskarży Jamala, jeśli zajdzie taka potrzeba. Pozwoli na to, by wszyscy odwrócili się od Jamala.

– No to chodźmy popływać – powiedział dziadek.

– Dobrze.

Jacht czekał na nich, dostojny w swej drogocennej doskonałości, opływowy, chłodny jak marmur. Ben otakłował go, przez cały czas myśląc o Jamalu oddalającym się ze znalezionym skrzydłem. W grocie, gdy Ben wciągnął go na maszt, rozpalilo się czyste, oskarżycielskie światło.

Dziadek był dla niego zbyt wielki. Również matka i ojciec byli dla niego zbyt potężni. Da im do zrozumienia, że Jamal dążył do kontaktów seksualnych, a Ben odmówił. Pozwoli, by kłamstwo złapało wiatr i światło, tak jak chwyta je grot, i Ben będzie wiarygodny.

Zniszczy Jamala. Ocali siebie.

Pomógł dziadkowi wejść na pokład. Odcumował łódź i zajął miejsce przy sterze.

Zoe spojrzała w górę i zobaczyła Jamala siedzącego przy niej i trzymającego ją za rękę. Oddalał się wraz z upływem czasu. Ona go stworzyła i kochała, więc oto był on, żywy chłopiec. Wszystko, co mogło się jeszcze wydarzyć, było tutaj. Płuca Zoe wypełniał ogień, a ona wyciągnęła rękę do Jamala. Płonęła, nie czuła strachu. Pozostanie tutaj, będzie obserwowała z wnętrza konarów drzewa.

Dziadek Bena siedział na dziobie jachtu, silny jak cesarz, dzierżył cesarską władzę, która dawała mu moc stanowienia. Ben z łatwością wyprowadził łódź z przystani na zatokę. Dzień był wietrzny, wiatr wiał z większą siłą niż ta, do jakiej był przyzwyczajony, ale nie z taką, żeby nie potrafił sobie poradzić. Zdziwił się, gdy się zorientował, jakie gorzkie ukojenie czerpie ze swego talentu do żeglowania.

– Mocno dziś wieje – zauważył dziadek. Wiatr targał jego rzadkie włosy.

To była dobra łódź, szybka, Ben przez chwilę poczuł się lepiej. Wiatr i jacht utrzymywały się nawzajem w przyjemnym napięciu, które Ben miał pod swoją komendą. Czuł się lepiej, ponieważ tutaj, na wodzie, dokładnie wiedział, co ma robić. Mógł poprowadzić dziadka bezpiecznie przez nieco trudne popołudniowe żeglowanie i mógł, gdyby tylko zechciał, poddać się ostrym uderzeniom wiatru i wyrzucić ich obu do wody. Wiatr wiał dziś ze sporą siłą, piętnaście, może dwadzieścia węzłów; z łatwością mógłby wywrócić jacht, gdyby nie traktowało się go z szacunkiem. Łódź przechyliła się i miecz wyłonił się z wody. Spienione grzywy fal kotłowały się, wzbijając w powietrze kropelki wody. Ben prowadził łódź wprost przed siebie, w stronę linii horyzontu, na głębiny. To był wspaniały dzień na szybkie pływanie. Skierował łódź zdecydowanie na wiatr, starając się nabrać jak największej prędkości.

– Nie będziemy pływać zbyt długo – powiedział dziadek. – Najwyżej pół godziny i wracamy do domu.

Ben stwierdził, że jego chwilowe, zwodnicze szczęście ulotniło się na dźwięk słowa „dom”. Już wkrótce odmienność Jamala będzie ujawniona, zostaną potwierdzone jego niebezpieczne zamiary. Po śmierci matki nie zazna uczucia ani pociechy od nikogo.

Ben go zniszczy.

Woda z głośnym pluskiem uderzała o burty łodzi. Strzęp morskich krasnorostów przemknął tuż obok niej, jego gumowate strączki w kolorze bursztynu unosiły się na powierzchni jak miniaturowe kręgle. Ben bardziej odpadł od linii wiatru, a jacht przechylił się tak mocno na lewą burtę, że dziadek chwycił za reling dla utrzymania równowagi.

– Idziemy bardzo szybko – zauważył dziadek.

– Tak jest, sir – odpowiedział Ben.

– Ty jesteś tu kapitanem, chłopcze. Ty jesteś żeglarzem.

– Wiem.

Ben kierował łódź na wprost, coraz dalej od portu. Za jego plecami połyskiwały szyby okien z każdą chwilą mniejszych domów, które stały w równiutkich rzędach. Wzburzone włosy opadły mu na twarz i wydawało się, że jego narażona na szwank dusza dręczy go, wprawiając w irytację i odbierając siły. Wiatr się wzmacniał. Prawdopodobnie nadszedł czas, by zrzucić fokę, ale Ben pozostawił go na miejscu, potrzebny był mu wiatr, chciał nabrać jeszcze większej prędkości. Pragnął zniknąć, płynąć tak ostrym kursem, tak szybko, by stać się tylko pazurem rozrywającym powierzchnię wody. Jeszcze bardziej odpadł od linii wiatru. Grot i fok wypełniły się jak balony, łódź tak silnie przechyliła się na lewą burtę, że woda wlewała się na pokład. Dziadek się obejrzał. Ben dostrzegł strach w jego starej, zniszczonej twarzy. Teraz, na tę krótką chwilę, dziadek opuścił własny świat i znalazł się w tym, w którym dowodzenie przejął Ben. Mknął jachtem z taką prędkością, że wiatr niemal go oślepił, a on wciąż ustawiał się do niego pod ostrzejszym kątem.

– Synu, czy nie za szybko? – zapytał dziadek.

Powiedział „synu”, nazwał Bena synem. Nie mógł tego znieść, miłości albo wstydu, i w ostatnim przypływie miłości i wstydu zbyt gwałtownie ruszył sterem i łódź się wywróciła. Ben zauważył, co się dzieje. Zobaczył, jak woda gotuje się nad burtą i twarz dziadka, bladą zdeorientowaną duszę, która przygotowywała się do opuszczenia jego ciała. Potem jacht odwrócił się do góry dnem i obaj znaleźli się w wodzie.

Obserwowała, jak mija czas. Dostrzegła, że niemądrze będzie odczuwać strach, tak jak włożyć ekstrawagancki kapelusz w wietrzny dzień i przeklinać wiatr. Jamal przemawiał do niej językiem, który kiedyś znała. Ogarnęły ją płomienie, a ona czuła się zupełnie dobrze.

Woda była fantastyczna. Chłodna i cudownie czysta, ożywiona pianą i kłującymi igiełkami soli. Ben pozostawał pod wodą, spoglądając spod jej pomarszczonej powierzchni w dół, w zieloną ciemność, która zstępowała coraz niżej. Gdy wreszcie się wyłonił, w odległości około trzech metrów zobaczył podskakującą na falach głowę dziadka.

- Jesteś cały? – zapytał dziadek.
- Taak. A ty?
- Co, u diabła, się stało?
- Mieliśmy wywrotkę.
- Tyle wiem.
- Wszystko w porządku – powiedział Ben. – Nic nam nie grozi.
- Ale jak to się mogło stać?
- Stało się i już.
- Możemy postawić łódź?

Jacht leżał na burcie, jego kadłub przypominał grzbiet małego białego wieloryba, żagiel z gracją unosił się na powierzchni wody. Ben spojrział na łódź i na rozgniewaną twarz dziadka.

A więc to był koniec małej wyprawy. Teraz nadszedł czas, by postawić jacht, wsiąść i wrócić do tego wszystkiego, co czeka na brzegu.

- To może być trudne – powiedział Ben.

Pragnął tylko pozostać w wodzie, połączyć się z jej chłodnym bezmiarem.

– Sprzedawca mówił, że z tym nie ma problemu – powiedział dziadek, wiosłując silnymi, grubymi rękoma i oddychając ciężko.

Nie mylił się. Wystarczyło złapać za górną krawędź nadburcia i postawić jacht z powrotem na wodzie.

- Lepiej będzie, jeśli sprowadzę pomoc – stwierdził Ben.

– Co ty wygadujesz! Jaką pomoc? Nie potrzebujemy żadnej pomocy.

Ben zaczął płynąć, oddalał się od łodzi. Nie był jeszcze gotowy, żeby wracać, więc odpływał.

- Co ty wyprawiasz? – krzyczał dziadek.

Na to pytanie Ben nie miał żadnej odpowiedzi, poza jedną, że odpływa. Nie zmierzał w stronę innej łodzi. Nie kierował się do brzegu. Odpływał w przeciwnym kierunku i z każdym ruchem ręki czuł się bardziej wolny. Słona woda rozpryskiwała mu się na twarzy, a on płynął jak najenergiczniej, jak najszybciej potrafił. Przed sobą miał tylko wodę, wodę i ostry blask nieba. Oddalał się od jachtu i od dziadka. Tylko płynął. Nie myślał. Słyszał, jak dziadek woła jego imię, ale on odpływał coraz dalej, również od własnego imienia. Nie zatrzymywał się. Nie zwalniał.

Zoe roześmiała się na myśl, że takie to dziwne, dziwne i niespodziewanie proste. Usłyszała własny śmiech. Przychodziło z łatwością, mimo wszystko. Kto by się spodziewał? Wiedziała, jak się umiera, wiedziała od dawna, właściwie przez całe życie. To było takie dziwne i zwyczajne, tak doskonałe jak widok nagiego mężczyzny śpiewającego pieśń na schodach pożarowych o świcie. Oddawało się własne imię. I ono już nie zostawało zwrócone. Pamiętała żart, który opowiedziała sama sobie, wiele lat temu: Mieszkańcy domów po przeciwległej stronie cmentarza mogli wyjrzeć przez okna, spojrzeć w stronę, z której dobiegała muzyka i pomyśleć, no tak, cholera, to dzień Sądu Ostatecznego, wobec tego chyba nie muszą iść do pracy. Oto są, najdoskonalsza muzyka i wzwód członka w świetle budzącego się dnia. Zabawne, gdy się pomyśli, że nagie anioły były równie zagubione jak ich śmiertelne siostry i bracia, przeszukując godziny ze strachem i zaciekawieniem. Nikt nie wiedział i każdy wiedział. Po świetle następowało inne światło, po nim kolejne. Tylko tyle. Ścisnęła rękę swego syna. Śniła, że dał jej do potrzymania skrzydło.

Ben płynął dość długo, zanim pozwolił sobie odpocząć i obejrzeć się za siebie. Dziadka i jachtu nie było widać. Otaczała go tylko woda. O dziwo, w pewnej odległości unosił się papierowy kubek. Papierowy kubek, powiedział sam do siebie. Promienie słoneczne kołysały się na wodzie jak ogromna ławica naelektryzowanych ryb. Bał się, ale strach wydawał się solidnie osadzony w jego żyłach, odczuwał go jako silne doznanie, które nie było na wskroś przykre. Dopóki pozostawał w wodzie, dopóki płynął, nic nie musiało się wydarzyć. Nie mógł

płynąć już tak zawsze, ale mógł jeszcze trochę dłużej. Płynął w kierunku linii, gdzie woda stykała się ze spokojnym, płomienistym niebem. Płynął dość długą chwilę. Był silny. Nie przypuszczał, by nikt go nie odnalazł. Już wkrótce pojawią się helikoptery, łodzie straży przybrzeżnej, kompetentni, ogorzali od słońca mężczyźni z kamizelkami ratunkowymi i megafonami, mężczyźni, których zadaniem było wiedzieć i ocalić. Będzie płynął, aż go znajdą. Płynął ostro i zdecydowanie, do wyczerpania, by wymyć z siebie skazę. Gdy poczuł, że jest już poważnie zmęczony, przestał i chciał odpocząć, ale kiedy nie płynął, znów stawał się sobą. Nie był jeszcze dość zmęczony, jeszcze nie pozbył się siebie. Za nim wyrosła fala, rozbiła mu się nad głową, wciągnął wodę ustami i nosem. Zakrztusił się. Usłyszał, jak cicho brzmi jego kaszel w środku tej połyskującej, niespokojnej ciszy. Uświadomił sobie, że coś porusza się w wodzie, coś ogromnego, i ogarnął go paraliżujący strach na myśl o rekinach. Opanował się i przerażenie minęło, dobrze wiedział, że w tym rejonie nie ma rekinów. To nie była żywa istota ze zwykłą potrzebą zaspokojenia głodu. Ten głód był o wiele większy, a jego źródło zupełnie inne. Znalazł się tu sam z czymś ogromnym żyjącym w wodzie, odznaczającym się ciepłością, falującym i wydającym pomruki pod rozświetlonym niebem, obserwującym światła pojawiające się wieczorem nad brzegu, nieporuszonym nawet ich pomniejszym pięknem. Czuł obecność ducha wody, chociaż właściwie nie ducha, lecz potęgę uspionego życia samej wody. Tutaj, w wodzie, czas był hojny, jednolity, nieukształtowany. Widział gwiazdy układające się w konstelacje w popołudniowej części nieba. Dostrzegł, że życie wody toczy się zupełnie innym torem.

Nie pojawiły się helikoptery z wirującymi na tle nieba śmigłami ani wysmukłe łodzie straży przybrzeżnej, ślizgające się na wodzie. Uświadomił sobie – jak mógł o tym zapomnieć? – że dziadek nie potrafi prowadzić jachtu. Prawdopodobnie zdołał postawić łódź, ale nie miał pojęcia, jak ją wprawić w ruch. Siedział tam i bezradnie wołał Bena.

Nagle Ben zapragnął wrócić na ląd i żyć tam pod własnym imieniem. Pragnął upokorzenia, żalu, wszystkiego, co z sobą niosą. Chciał płynąć z powrotem, ale widział tylko wodę, stracił orientację, z której strony leży ląd. Prawdopodobnie tam. Chociaż może jednak nie. Jeżeli popłynie w tamtym kierunku, może się okazać, że tylko się od niego oddala. Na prawo, mniej więcej z tej strony, gdzie wydawało mu się, że leży ląd, zobaczył dwa jachty, blade jak rogalik księżycy. Były bardzo daleko, ale zaczął płynąć w ich stronę. Zmuszał się, by poruszać się energicznie. Płynął, aż poczuł, że ręce i nogi pieką go, jakby ogarnęły je płomienie, a oddech stawał się coraz płytszy. Ciało domagało się odpoczynku, ale on nie słuchał. Za wszelką cenę chciał dotrzeć do tamtych łodzi, tak samo jak jeszcze niedawno pragnął tylko odpłynąć jak najdalej od swego imienia. Myślał wyłącznie o tym, by nieznanie ręce wyciągnęły go z wody i zabrały na brzeg. Płynął przed siebie i w pewnej chwili poczuł, że ogarnia go drzenie. Zaskoczyło go swoją siłą, wydawało się, że drzenie utrzymuje się już od pewnego czasu, jednak nie potrafił stwierdzić, kiedy się rozpoczęło. Zęby głośno dzwoniły. Powiedział sobie, że musi dotrzeć do tych jachtów, i płynął równomiernie napędzany siłą woli, aż niespodziewanie ręce odmówiły mu posłuszeństwa, przestały się poruszać. Nigdy przedtem mu się to nie przytrafiło i uznał, że to tylko chwilowa słabość. Przecież ręce zawsze się poruszały, gdy tego od nich żądał. Nogi wciąż były sprawne, poruszał więc nimi w oczekiwaniu, aż ręce znowu zaczną pracować. Jednak ciałem ciągle wstrząsały dreszcze. Ręce bezwładnie zwisały w wodzie, ale w dalszym ciągu mógł poruszać nogami. Rozglądał się w poszukiwaniu łodzi. Nie było ich widać. Głowa zanurzyła się pod wodę, ale wtedy ręce odzyskały siły i wyniosły go na powierzchnię. Szukał wzrokiem łodzi. Nakazał swemu ciału płynąć, a ono wykonało polecenie, poruszało się nerwowo, żabimi skokami. Czyżby znalazł się w opałach? Może tak. Być może miał problem. Płynął. Myślał, że wszystko dobrze się skończy. Był zmęczony. Wbrew własnej woli poddał się ogarniającej senności. Śnił, że stoi na zielonej trawie. Po przeciwnej stronie łąki rozciągają się wzgórza, a wśród nich leży miasto. Nie poszedł do miasta, chociaż wiedział, że ono tam jest. Nad głową

przeleciał ptak i Ben się ocknął. Zmagał się z wodą, by powrócić na powierzchnię. W głębinie żyła ogromna, milcząca istota. Mewy nurkowały z krzykiem w poszukiwaniu ryb i pomyślał, że skoro tu są ptaki, niemożliwe, żeby on miał poważne kłopoty. Płynął, ale ciałem wstrząsało drzenie, a ręce nie pracowały sprawnie. Zobaczył jedną rękę poruszającą się w wodzie i wydawało mu się, że ktoś płynie obok niego. Nie, to przecież była jego ręka. Popatrzył na nią. Zauważył, jak bardzo się trzęsie. Znowu ogarnęła go senność i poczuł, że ktoś trzyma go w ramionach jak małe dziecko, kołysze go. Zobaczył swój czerwony samochódzik, ten, który tak bardzo lubił, z jasnokremowym pokryciem siedzeń i otwieranymi drzwiczkami. Wizja się rozproszyła, ale on częściowo w niej pozostał. Zauważył, że w tym śnie jest trochę miejsca. Mógł pozwolić się tak kołysać. Mógł trzymać samochódzik i obracać palcami jego kółka. Albo mógł w dalszym ciągu płynąć. Wiedział, że jest do tego zdolny, ale wiedział również, że może się zatrzymać, a jeśli tak zrobi, pozostanie tutaj w ciszy, poza czasem, poza własnym imieniem. Zorientował się, że odczuwa przyjemność, której towarzyszy poczucie winy, że sięga po cudowną, lecz zakazaną rzecz. Westchnął głęboko. W głowie rozbrzmiewała mu piosenka, niemądra, której nigdy nie zamierzał zapamiętać. Poddał się snom o małych gumowych kółkach, o skrzydle i o drzewie. Były olśniewające. Zdumiał się, że w tym śnie nie ma innych ludzi. Śniły mu się tylko kółka i skrzydło. Przed nim otwierała się zielona, przejrzysta przestrzeń, rozległa łąka roziskrzona gwiazdami. Zobaczył siebie, jak zanurza się w chłodną, ziarnistą ciemność, chociaż jak się zdawało, wnosił tam ze sobą jasne, migotliwe światło. Patrzył zauroczony. Woda pod spodem była ciemna, lecz gdy dotarł niżej, tam, gdzie wydawała się ciemna, teraz rozjaśniało ją światło, wątle jak rozbielone powietrze w jego pokoju w domu, gdy przez szparę pod drzwiami przeciskało się światło z holu. Poruszał palcami kółka samochodziku. Spojrzał w górę. Powierzchnia wody była daleko ponad nim, rozświetlona jak ożywione szkło. Aż dziwne, że była tak daleko. Zrozumiał, gdzie się znajduje, uświadomił sobie, co się dzieje, i wtedy, pod wpływem przerażenia, jego ciało poderwało się i zaczął wznosić się ku powierzchni wody. Był coraz bliżej, ogień parzył ręce, nogi, płonął w klatce piersiowej. Wyjdzie z tego cało. Tafla wody była daleko i nie czuł, że do niej dotarł, ale musiało tak być, ponieważ płuca wypełniły mu się powietrzem, ponieważ poczuł ból. Rozejrzał się w poszukiwaniu ptaków lub jachtów, ale zobaczył jedynie zielonkawy kolor wody. Zobaczył światło zawieszony w wodzie. Zobaczył banieczki powietrza doskonale jak gwiazdy. Właśnie wtedy uzmysłowił sobie, że może dać sobie spokój, zacząć oddychać wodą. Może płynąć, a może też tu zostać. Woda była rozległa; w niej był on; ona go utrzyma. Zaczerpnął tchu. Ból zniknął. Poczuł w sobie chłód wody, lodowatą ulgę. Unosił się bez najmniejszego wysiłku, poddał się wodzie. Pozwolił jej sobą zawładnąć.

Prąd przenosił ciało Bena z konsekwentnym uporem na południowy zachód, w kierunku brzegu. Błyski przemykały ponad jego twarzą, od czasu do czasu któraś z nich zwinnie wpłynęła do otwartych ust, pozostała tam przez chwilę, poruszając skrzelami, potem wymykała się i odpływała. Gdy Ben przemieszczał się w wodzie, dno podnosiło się, stawało się coraz jaśniejsze, coraz bardziej widoczne. Świetliste paski rozpluwającego się słonecznego światła igrały ponad Benem, chwytając przejrzysty błysk jego oczu. Potem słoneczne światło zaczęło przygasać. Jego ciało dotarło do plaży na Shelter Island dopiero po zmierzchu, a do tej pory plaża już opustoszała. Fale wypychały ciało na piasek, wypychały i znowu zabierały z sobą i ponownie wyrzucały na brzeg, za każdym razem nieco dalej, aż przy silnym przypływie, krótko przed północą, fala wyniosła go daleko na piasek, wycofała się i nie porwała ze sobą. Ciało Bena leżało na piasku z twarzą zwróconą do góry, jedną ręką odrzuconą za głowę, drugą przełożoną niezgrabnie na ukos, w poprzek klatki piersiowej w położeniu charakterystycznym dla zmarłych. To była przejrzysta noc. Na niebie pokazały się Krab i Plejady. Ciało spoczywało spokojnie na plaży przez kilka godzin, z twarzą zwróconą do góry. Ben był roziskrzony, złowieszczy, przepełniony ciemnym opuszczonym pięknem.

Drobne muszelki wplątały mu się we włosy, a w otwartych ustach utknął mu okrągły kawałek przezroczystego białego szkła, wygładzony przez wodę jak opal.

1994

Gdyby wrócił do domu wcześniej.
Gdyby częściej odwiedzał Cassandrę.
Gdyby kochał w taki sposób, jak należało.
Gdyby był mniej samolubny.
Gdyby popłynął jachtem.
Gdyby nie powiedział nie.

Suzan myślała, że go wykradnie. Nie spała. Nie zażyła tabletek. Leżała w łóżku i myślała, co ma teraz zrobić.

Musiała go zobaczyć. Nie pozostało wiele czasu.

Leżała w łóżku, zastanawiając się, gdzie on jest. Balsamowanie do tej pory pewnie już się skończyło i wszyscy wrócili do domu. On został w tym obcym budynku, wśród krzeseł pokrytych zieloną sztuczną skórą i białych porcelanowych figurek w perukach milcząco pochylonych w przeszklonych gablotach.

Wiedziała, co przyniesie jutro. Podarunki w formie potraw, wizyty przyjaciół z kondolencjami. Nie będzie nawet chwili, ani sekundy, by została sama z Benem. Nawet jeśli zażąda odosobnienia w domu pogrzebowym, będzie ono jedynie polegało na oddzieleniu jej od przyjaciół i rodziny, czekających po drugiej stronie drzwi, wspaniałomyślnie, lecz z narastającym zniecierpliwieniem, by wreszcie skończyła, by oni mogli powrócić do spraw, które mają do załatwienia. I będzie miała Todda, o którego będzie musiała się troszczyć. Leżał w łóżku obok niej, oddychając równo dzięki tabletkom nasennym. Ona tylko udawała, że połyka swoje. Nie chciała spać, nie teraz. Pragnęła wykorzystać każdą minutę.

Nie pomoże jej ta skradziona godzina spędzona z Benem leżącym w granatowym garniturze w sali domu pogrzebowego, gdy w holu ręczne zegarki będą odmierzały czas. Nie poczułaby się ani trochę lepiej, gdyby usiadła z nim w pomieszczeniu wypełnionym kwiatami i ciszą, wśród przemierzających się cząsteczek kolorowego światła.

Nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, gdzie oni są, nawet Todd. Pragnęła wynieść syna na zewnątrz, na trawę i siedzieć tam z nim, tak długo jak jego ciało będzie jego ciałem, zanim zaczną zachodzić zmiany. Chciała czesać jego włosy, śpiewać mu piosenki z jego dzieciństwa do zimnego, dobrze jej znanego ucha. Gdyby mogła to zrobić, być może byłaby gotowa oddać go i pograć się w żałobie, pozwolić zabrać go do królestwa zmarłych. Gdyby mogła to zrobić, być może potrafiłaby żyć jako osoba dla siebie rozpoznawalna.

Wstała cicho z łóżka. Todd mruknął kilka razy, ale spał dalej. By go nie obudzić, nie włożyła nic na siebie, tylko zeszła na dół w nocnej koszuli. Wyjęła płaszcz z szafy w holu. Wyszła bosą na zimną kamienną posadzkę werandy.

Pojechała do kostnicy i zaparkowała samochód za budynkiem, w miejscu zarezerwowanym dla personelu. Wyłączyła silnik, zgasła światła. Siedziała w samochodzie, przyglądając się ścianom wyłożonym sidingiem, patrząc w okno, w którym w doniczce kwitło geranium. Właściwie nie wiedziała, po co tu przyjechała. Nie miała zamiaru włamywać się do kostnicy, chociaż wydało się jej, że ta myśl tkwiła w głębi jej umysłu. Nawet gdyby dostała się do środka, gdyby wybiła szybę, co zrobiłaby dalej? Czy szukałaby po trumnach ciała Bena? Czy wyciągnęłaby je na zewnątrz i włożyła do samochodu? Nie była szalona, nie w taki sposób. Ale musiała być tutaj. Wyobrażała sobie, że bierze Bena w ramiona, jego jędrne, zimne ciało. Widziała swoje palce przesuwające się po jego włosach. Nuciła cicho, między jednym oddechem a drugim. Siedziała w samochodzie przez kilka godzin, obserwowała, czasem śpiewała, potem znowu tylko siedziała. Na krótko przed wschodem słońca uruchomiła silnik i włączyła reflektory, które rozjaśniły mdłym światłem mlecznobiałe ściany kostnicy. Wróciła do domu. Powiesiła płaszcz w szafie, ostrożnie weszła po schodach i położyła się do łóżka, nie budząc Todda. Czekwała, aż rozlegnie się dzwonek budzika.

Główna sala domu pogrzebowego trochę przypominała dom, w którym się wychowała. Panowała w niej podobna atmosfera starannie zaaranżowanej normalności. Stały tu fotele z obiciami ze sztucznej skóry i kanapa pokryta tkaniną z wzorem imitującym ręczny haft. Były stoliki z owalnymi, szklanymi blatami i mosiężne lampy ze sztywno marszczonymi

abażurami, nieskazitelnie czysty kominek z trzema polanami ułożonymi na palenisku. Trumnę Bena ustawiono tak, jakby stanowiła jeden z elementów umeblowania na wprost rzędu milczących brązowych metalowych krzeseł z białymi poduszkami, na postumencie wyłożonym grubą wykładziną w kolorze przykurzonej zieleni.

Suzan nalegała, by wieko trumny było zamknięte. Teraz żałowała swojej decyzji. Zaprażyła przełamać lodowaty nastrój tego pomieszczenia, jego zielono-mosiężne pozory domowego porządku. Chciała polecić dyrektorowi, żeby otworzył trumnę, ale obawiała się, że ciało jej syna, jego surowa twarz i nieruchome ręce będą zbyt dobrze pasowały do wystroju tego pomieszczenia. Wieko trumny pozostało więc zamknięte. Susan rozmawiała z gośćmi, którzy przybywali na uroczystość, i przez całe popołudnie tylko raz czy dwa pomyślała, jak bardzo pomieszczenie takie jak to, czyste i pachnące chemikaliami, było prawdziwym wyrazem smutku i żałoby. Jako dzieci wyobrażamy sobie pochylone kamienie, przemieszczającą się ciemność, chmury przepływające na tle księżyca i myślimy, że przeżywamy najgłębsze niepokoje. Mylimy się. Prawdziwy strach, jak się jej wydawało, czyha w tych kanapach pokrytych jasnozieloną i niebieską drukowaną tkaniną, w tych półkach zastawionych porcelanowymi figurkami. Czai się w tym dobrze utrzymanym, pustym pomieszczeniu. Zmarli tu znikają, stapiają się z nim w jedną całość.

Suzan zachowywała się jak kobieta na pogrzebie jedyne go syna. Nie potrafiła sobie tego uświadomić. Nie mogła jednak nie grać swojej roli. Zebrało się tak wiele osób, którym była potrzebna jej odwaga. Powiedziała sobie, gdy przesunął się przed nią czas, że jest zadowolona z tych wyznaczonych granic. Pomyślała, że prawdopodobnie dzięki nim może trzymać Todda, który drżał na całym ciele, wypchnięty przez smutek poza granice łez, i pocieszać matkę i Willa, i rodziców Todda, płakać wraz z nimi i dodawać im otuchy, mogła być miła dla Jamala, który stał w kącie sztywny i milczący.

– Cześć – powiedziała wyraźnie, nachylając się blisko do niego, tak jakby, popadając w milczenie, stracił zdolność słyszenia i widzenia.

Uśmiechnął się do niej niewyraźnie.

– Cieszę się, że jesteś – powiedziała.

Skinął głową.

– Trzeba ci czegoś? – zapytała. – Może podać ci szklankę wody.

– Nie, dziękuję.

Wyprostowała się i odsunęła od niego. Może ten dziwny chłopiec potrzebował samotności. Może nieprzyjazny cień przemknął po jej twarzy, mimo że tak bardzo się starała być miła. Próbowwała o tym nie myśleć: On wciąż żył. Ten chłopiec, który wcale nie jest zły, ale niczym się nie wyróżnia, żyje, a jej syn jest martwy.

– Tam stoi jeszcze sporo wolnych, wygodnych krzeseł – powiedziała – gdybyś miał chęć usiąść.

– Nie, dziękuję.

– Jak chcesz – powiedziała i odeszła.

Jej ojciec siedział na krześle w pierwszym rzędzie w towarzystwie Magdy, która zajęła miejsce obok niego. Widać było po nim, że płakał, chociaż w tej chwili zachowywał spokój. Siedział pochylony, wsparty na łokciach, które trzymał na kolanach, zasłaniał dłońmi nos i usta, jak gdyby obawiał się tego, co może przypadkiem poczuć lub powiedzieć.

Susan usiadła na wolnym krześle po jego prawej stronie. Skinęła głową do Magdy. Ta odpowiedziała jej podobnym ruchem, który mógł oznaczać smutek, lecz równie dobrze zniecierpliwienie całą tą żalobną ceremonią. Susan pomyślała, że otoczy ramieniem ojca, zawahała się jednak i ostatecznie skrzyżowała ręce na własnych kolanach.

– Susie – odezwał się ojciec zdławionym, niewyraźnym głosem.

– Tak, tato?

Nie mogła pozwolić sobie na to, by wypaść z roli gospodyni. Siedziała wyprostowana na metalowym krześle, jej ojciec oddychał chrapliwie obok niej, przed sobą miała trumnę, w której leżał jej syn. Nagle dostrzegła, jak bardzo trumna, którą wybrała dla niego, przypomina obudowę zestawu stereo, który rodzice kupili i ustawili w domu, gdy ona była trzynastoletnią dziewczynką. Miała taki sam orzechowy połysk, identyczne ukośne nacięcia wokół pokrywy. Kiedy wraz z Toddem musieli dokonać wyboru, od razu podeszła do tej, nie zdając sobie nawet sprawy dlaczego.

– Susie – powtórzył ojciec. Wyciągnął do niej ręce. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

Poczuła znajomy zapach jego wody kolońskiej, starą piżmową woń jego skóry. Poczuła, że on ją zagarnia. Wiedziała, czego od niej potrzebuje, jak wiele miłości i przebaczenia.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała. Wcale nie miała zamiaru się odzywać. Nie zamierzała mówić tak głośno, jak to zrobiła.

Ojciec przycisnął ją mocniej do siebie. Jej wargi dotknęły szorstkiej wypukłości jego policzka, była przekonana, że może spróbować, jaki ma smak mieszanina resztek zarostu i wieku, i wybujalego, przesyconego perfumami seksu.

– Cśśś – wyszeptał. – Teraz ćśś.

Wyzwoliła się z jego uścisku i powiedziała głośniej niż poprzednio:

– Nie dotykaj mnie. – Wstała. Jedna jej część działała, druga obserwowała to działanie.

Ojciec uniósł ręce na wysokość klatki piersiowej. Otwarte dłonie miał zwrócone wewnętrzną stroną od siebie, jakby chciał się bronić. Magda patrzyła na Susan z wyrazem współczucia w oczach, bardziej przerażającym niż największy gniew.

– Susie – odezwał się znów ojciec.

– Nie chcę, żebyś tutaj był – powiedziała. Miała świadomość swego głosu, tego, jak donośnie brzmi pośród kanap i zakurzonych półek.

– Susan. Skarbie. Proszę cię.

– Wyjdź – nakazała. – Oddałeś już hołd, zobaczyłeś to, co chciałeś widzieć. Teraz idź sobie. Nie mogę dłużej na ciebie patrzeć, nie chcę, żebyś mnie dotykał.

Czuła na sobie otaczającą ciszę, cały ten stężyły koszmar. Bezwiednie przesunęła palcami po swoich włosach.

Jej ojciec spojrzął za siebie, w poszukiwaniu pomocy. Magda wstała i zbliżyła się do Susan.

– Usiądź, moja droga – powiedziała. – Sama nie wiesz, co mówisz.

Susan zrobiła krok do tyłu.

– Ależ wiem doskonale – oświadczyła. – Dobrze wiem, co mówię. Magda, chcę, żebyś zabrała go do domu. Chcę, żebyś go stąd wyprowadziła. Zrób dla mnie tę jedną rzecz, a ja obiecuję, że nigdy więcej o nic cię nie poproszę.

Czyjaś dłoń dotknęła jej ramienia. To był Billy.

– Już dobrze – powiedział jej wprost do ucha.

– Nie, wcale nie.

– Przejdźmy się trochę. Zostaw go tutaj i chodź ze mną na spacer, dobrze?

– Nie – sprzeciwiła się. – Nie mogę stąd wyjść.

– Wrócimy, ale teraz chodź ze mną.

Ujął jej dłoń, a ona zorientowała się, że idzie za nim. Nie miała takiego zamiaru. Szli środkiem sali, między ustawionymi po bokach rzędami krzeseł. Todd zbliżył się do niej. Chciał coś powiedzieć, ale Billy dał mu znak ręką, by odszedł.

– Susan i ja musimy zostać sami – powiedział. – Zaraz ją przyprowadzę z powrotem.

– Susan? – zwrócił się do niej Todd.

– W porządku – odpowiedziała mu. – Chcę pójść z Billym.

Wyszli na zewnątrz i ścieżką wyłożoną kamiennymi płytami doszli do chodnika. W sąsiedztwie domu pogrzebowego było wiele zamożnych starych domów, które ciągnęły się wzdłuż ulicy wysadzananej drzewami, teraz wyraźnie przybierającymi żółtą barwę. Billy trzymał ją za rękę i doprowadził do chodnika, który w miejscach pęknięć poprzerastany był niebieskawymi, grubymi kępami mchu.

Stwierdziła, że potrafi przebywać z bratem. Spośród wszystkich osób właśnie jego towarzystwo mogła znieść. Zdobyć się na to, by pozwolić mu trzymać się za rękę. Iść obok niego.

– Pozwól temu draniowi zostać – powiedział Billy.

– Nie mogę mówić.

– Nie musisz. Chcę tylko, żebyś ze mną pospacerowała, aż się uspokoisz na tyle, by móc przetrwać uroczystość. Lepiej przejść przez tę ceremonię, jeśli uważasz, że dasz radę się na to zdobyć.

– Nie jestem pewna.

– Zastanów się chwilę. Przespaceruj się i zobaczysz, jak się będziesz czuła.

Przechadzała się z bratem. Nic innego jej nie pozostało. Pozwoliła mu trzymać się za rękę i prowadzić wzdłuż domów z trawnikami, werandami i grządkami kwiatów. Po chwili powiedziała:

– Nie mogę wytrzymać, że tam jest.

– Zabijesz go, jeśli zmusisz go do wyjścia – stwierdził Billy. – Już i tak czuje się strasznie winny.

– Nigdy za nic w swoim życiu nie czułem się winny.

– Za to, co się teraz stało, czuje się winny. Możesz mi wierzyć.

– Wcale tego nie wiesz. Nie masz o tym pojęcia.

– To ja chciałem go kiedyś zabić – przypomniał jej. – Pamiętasz, jak broniłaś go przede mną?

– Wtedy byliśmy dziećmi.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Susan czuła, że ogarnia ją biała gorączka, niepoohamowana wściekłość niepodobna do żadnego uczucia, jakie kiedykolwiek przeżywała. Chciała zniszczyć ludzi, którzy byli właścicielami tych wygodnych domów, którzy dbali o te ogrody lub opłacali innych, by się nimi opiekowali. Życzyła im wszystkim bankructwa, chorób, niewypowiedzianych strat. Dotknęła pnia drzewa i pomyślała o fali powodziowej przetaczającej się tą spokojną uliczką, ścianie kotłującego się mułu, który wdziera się drzwiami do tych domów i zagarnia zegary, książki i krzesła. Chciała skierować ten potop w przeciwną stronę, tam gdzie stoi dom pogrzebowy, rzucić się na trumnę swego syna i na niej dać się ponieść wodzie do zrujnowanego świata. W wyobraźni widziała, jak żywi toną, a zmarli zostają wyniesieni ze swoich grobów na powierzchnię, i rzędy trumien przepływają obok w kompletnej ciszy, mijając frontony domów i sklepów, ich okna osłonięte żaluzjami.

– Lepiej ci? – zapytał Billy.

– Nie wiem. Może trochę.

– Zdołasz przetrzymać ceremonię?

– Przypuszczam, że tak.

Zawrócili ku domowi pogrzebowemu.

– Jest tylko starcem. Postaraj się mieć to na względzie.

– Przypominasz sobie, jak cię bił?

– A ty pamiętasz, jak wtedy mówiłaś mi, że on nie wie, co robi?

– Tak.

– Od tego czasu minęło tyle lat – powiedział Billy.

– Masz rację, wiele lat.

– On jest dziś starym człowiekiem i niezależnie od tego, czy wie, czy też nie wie, co robił, gdy byliśmy dziećmi, teraz jest bliski utraty zmysłów, ponieważ czuje się winny za to, co się stało. Możemy mu trochę odpuścić, nie uważasz?

– Chyba tak.

– Tak będzie też lepiej dla ciebie. Ale nie zamierzam udzielać ci rad ani nic w tym rodzaju.

– Wiem, że nie. Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć.

Wrócili w górę kamienną ścieżką, minęli dyskretną, żelazną tabliczkę z nazwiskami właścicieli – dwóch braci – wypisanymi ozdobnym pismem. Wewnątrz w przedpokoju i w zielonym holu nic się nie zmieniło. Pozostaną takie same na zawsze. Billy zaprowadził ją do głównej sali, a gdy do niej weszli, rozległ się cichy szmer szeptów zgromadzonych żałobników. Czują je na skórze. Pomyślała o dniu swego ślubu, o tej chwili, w której rozległy się pierwsze dźwięki marsza weselnego, a ona zaczęła iść środkiem kościoła w sukni i w welonie. Todd od razu znalazł się przy niej, tak jak i matka.

– Jak się czujesz? – zapytał.

I w tej samej chwili odezwała się matka:

– Kochanie, co się dzieje?

– Nic mi nie jest – odpowiedziała. – Musiałam tylko zaczerpnąć trochę powietrza.

– Usiądź – powiedział Todd. – Tutaj.

– Nie, naprawdę już czuję się lepiej.

Uspokajała ich, jak potrafiła najlepiej, chociaż jej uwaga była całkowicie skupiona na ojcu, który czekał na nią przy trumnie Bena. Uwolniła się od Billy'ego, Todda i matki. Ruszyła między rzędami krzeseł i podeszła do ojca.

– Susie? – odezwał się. Na jego zmęczonej twarzy malował się wyraz wyczekiwania, wyniszczającej nadziei. Był spięty do granic wytrzymałości, skrępowany w swoim ciemnym garniturze, wymizerowany pod ciemną opalenizną, miał zapadnięte policzki. Nigdy nie wyglądał na tak bardzo starego.

– Tak, tato?

– Czy wszystko w porządku?

– A co masz na myśli?

– Nie wiem. Sam nie wiem, co mam myśleć.

Podeszła jeszcze bliżej, mocno ujęła w dłonie jego brodę. Zdawała sobie sprawę, że sprawia wrażenie szalonej, żadnej zemsty. Zorientowała się, widząc błysk przerażenia w jego oczach.

– Susan? – wymówił cicho jej imię.

Zdecydowała się. Wciąż trzymając go za brodę, dotknęła wargami jego ust. Oczy miała przez cały czas otwarte. Po chwili chciał się odsunąć, ale ona nie odrywała warg. Przyciskała swoje usta do jego i przez cały czas patrzyła mu prosto w oczy, aż dostrzegła, że zrozumiał to, co chciała mu przekazać. Potem nie odrywała ust jeszcze przez kilka sekund, zanim nabrała pewności, że on wie, że nie uzyskał przebaczenia.

Miał zdjęcia, ale nigdy ich nie oglądał. Miał je. To wystarczy.

Miał dom i miał zdjęcia. Miał posiadłość, a na niej ogród. Stał na skraju tego ogrodu. Obserwował konstelacje przetaczające się ponad nagimi pnączami winorośli i czarnymi strzępami liści. Zimowy księżyc pojawił się wysoko na niebie.

Ben był pochowany. Zoe była pochowana. Jego najmłodsze i najdziwniejsze dziecko. Jemu najbliższe. Klęczała tutaj, w tym miejscu, i trzymała w dłoniach pomidora, wierząc, że jest nieskażony. Do ziemi poszła w czarnej, jedwabnej sukience.

Poniósł porażkę. Jego miłość była niewystarczająca albo zbyt silna. Nie potrafił za nią nadążyć. Mógł sporządzić listę własnych błędów, ale niemożliwe, by one złożyły się na tę pustą ziemię i niebo wypełnione jasnymi, małąnkimi punkcikami lodu.

Za jego plecami wyrastał dom. W środku były zdjęcia. Myślał o tym domu jako o schronieniu dla zdjęć. Teraz taką pełnił funkcję. Właśnie z tego powodu jego deski trzymały się solidnie, jedna na drugiej, okna były zawsze zamknięte, a zasłony zaciągnięte.

Na zachód stąd Mary wiodła swoje uporządkowane życie. Ona chciała najmłodszej córce dać na imię Joan. Ona chciała, by ta mała dziewczynka nazywała się Barbara.

Ona pragnęła dla niej bezpieczeństwa, zwyczajnego piękna, i teraz Constantine się zastanawiał: Czy Mary śniła nocą o tym ogrodzie, o tym chłodnym księżycu? Czy żywiła w sercu nadzieję, że Zoe, nosząc inne imię, miałyby bardziej pewne życie?

Wypowiedział ich imiona, cicho, ponad ogrodem. Powiedział: „Mary. Susan. Billy. Zoe”.

– Constantine?

Odwrocił się. To była Magda, blada i surowa jak drugi księżyc.

– Cześć – odpowiedział jej.

– Wejdz do środka – poprosiła. – Jest bardzo zimno.

Wzruszył ramionami. Pokazał ręką na księżyc, a potem na zamrznięty ogród.

– Daj sobie z tym spokój – powiedziała mu. – Chodź tu zaraz.

– Nie jestem gotowy – stwierdził. – Jeszcze nie jestem.

– Nie bądź niemądry.

– Dziś wszystkie gwiazdy są na niebie. Widać Plejady.

Zmarszczyła brwi i spojrzała w górę.

– Jest mróz – powiedziała. – Wracaj do domu.

– Zaraz przyjdę.

– Chodź teraz.

– Teraz?

– Tak, teraz. – Stała z rękoma splecionymi na piersiach. – Teraz – powtórzyła.

– No dobrze – zgodził się.

– Widzisz, jesteś dobrym chłopcem – pochwaliła go.

– Racja. Dobrym chłopcem.

– Chodź już. Położymy cię do łóżka.

– Nie jestem gotowy, by iść do łóżka.

– Ależ jesteś.

– Jestem?

– Tak.

– Więc dobrze.

– Dobrze? – zapytała.

– Tak – odpowiedział. – Położmy mnie do łóżka.

– No to chodź.

– Już idę.

Wyciągnęła do niego rękę, a on ją ujął. Szedł ostrożnie z powrotem wraz z nią w stronę ciemności domu, gdzie były zdjęcia i stało jego łóżko w prostokątnej plamie księżycowej poświaty.

– Magda?

– Ełk?

– Czy ty mnie kochasz, maleńka?

– Ćśśśś.

– Ale powiedz. Kochasz mnie?

– Nic nie mów.

Posłuchał jej.

Wezbrane fale przetaczały się leniwie i z odgłosem cichego westchnienia rozlewały na skraju Battery Park, niebieskoczarne i połyskujące. Niebo nad Manhattanem zatrzymało w sobie potężną porcję niespokojnego światła, tu szarawego, poprzątanego żółtymi pasmami, tam wciąż zmieniającej się wodnistej zieleni. W porcie Statua Wolności trzymała swoją księgę, w czasie gdy maleńkie ludzkie postacie stały w jej głowie i wyglądały na zewnątrz.

Mary siedziała na ławce z Jamalem i Harrym, twarzą zwrócona w stronę portu i statuy. Jamal miał na uszach słuchawki walkmana i kiwał głową w takt muzyki. Wydostawała się z nich linia basu, miarowy dźwięk tam-tam-tamtam.

– Ładnie tutaj – powiedziała. – W Battery Park jestem po raz pierwszy, czy to nie zabawne? Przez te wszystkie lata nigdy tu nie byłam.

– Bardzo chciałem, żeby Will i Jamal pokazali mi najciekawsze obiekty – powiedział Harry. – Ponieważ nie pochodzę z Nowego Jorku, nie obowiązuje mnie zwiedzanie mniej atrakcyjnych miejsc. W ubiegłym tygodniu byliśmy w Empire State Building, prawda Jamal?

– Co mówisz?

– Byliśmy w Empire State Building w zeszłym tygodniu.

– Uhm.

Harry umiał tylko mówić i działać. W jego życiu następowały zbyt nieoczekiwane zmiany, nie mógł sobie pozwolić na niepokoje. Gdyby zaczął się zastanawiać, straciłby pewność siebie. Zbyt mocno przywiązały się do dawnych przyzwyczajęń. Przeciwwstawili się, a nie chciał odmawiać. Wobec tego nie zastanawiał się, nie niepokoił. Dostał nową pracę w Nowym Jorku, wynajął mieszkanie. Nalegał, żeby pokazano mu najciekawsze miejsca.

– O ile się nie mylę, tam dalej jest Ellis Island – pokazała Mary.

– Tak, wiem – odpowiedział Harry.

– Constantine tędy nie przechodził – powiedziała Mary. – Ellis Island została zamknięta jeszcze przed jego przyjazdem do Stanów. Wysiadł w jakimś doku na West Side, nawet dokładnie nie wiem, gdzie to było. Nigdy właściwie nie rozmawialiśmy o życiu, jakie wiódł, zanim tu przyjechał.

– Doprowadzili ją do porządku – powiedział Harry.

– Wiem.

– Teraz to jest ciekawe miejsce dla turystów. Ogląda się wszystkie pomieszczenia, w których ci ludzie byli sprawdzani, czy są zdrowi na tyle, by mogli podjąć pracę za stawkę, jakiej nie przyjąłby żaden rodowity Amerykanin. Po zwiedzaniu można tam pójść do restauracji na lunch.

– Chciałabym kiedyś zobaczyć Ellis Island.

– Możemy się tam wybrać nawet dzisiaj. Mamy wolne całe popołudnie.

– Co o tym myślisz, Jamal? – zapytała Mary. – Chcesz zobaczyć Ellis Island?

– Co mówisz?

– Czy chcesz się wybrać na Ellis Island?

Jamal wzruszył ramionami, przebierał stopami w rytm muzyki. Nie spuszczał ich z oczu, jak gdyby w każdej chwili mogły zrobić coś nadzwyczajnego i nieoczekiwanego.

– Pewnie wyprawa na Ellis Island to nuda – zauważył Harry. – Powinniśmy się raczej wybrać na zakupy do East Village, a potem na pizzę.

– Dobra – zgodził się Jamal.

– Rozpieszczasz go – zauważyła Mary.

– Wiem – odpowiedział Harry. – Ale nic na to nie poradzę.

Mary poddała się ogarniającym ją emocjom, przez dłuższą chwilę się nie odzywała. Siedziała obok Jamala i Harry'ego. Miała świadomość tego, że jest kobietą w wieku sześćdziesięciu trzech lat, ubraną w eleganckie spodnie i bawełniany sweterek, ze sznurem pereł na szyi, który podarował jej ktoś zupełnie niewyobrażalny, kogo kiedyś kochała. Tak niewiele pozostało. Muzyka, której słuchał Jamal, dudniła, jego podrygiwanie do rytmu przenosiło się przez deszczułki ławki, czuła je wyraźnie. Obserwowała mewy, które w chłodnym powietrzu wykonywały swoje akrobacje. Dostrzegła Willa powracającego z tekturowymi kubeczkami z napojem. Nad głową miała niebo wypełnione wciąż zmieniającym się światłem, a obok siebie ich, tego chłopca, który siedział tak blisko niej, był równie nieodgadniony jak kiedyś obie jej córki. Były napoje w czerwonych kubeczkach.

Tak wiele pozostało.

– O, idzie Will – powiedział Harry.

– Mhmm.

Mary pomyślała, że może pokochać to, co ma. Spróbuje. Postara się pokochać. Nic innego nie może zrobić.

– Proszę bardzo – powiedział Will. – Cola, cola bez cukru i jeszcze jedna cola bez cukru.

– Dziękuję, skarbie – powiedziała Mary.

– Dzięki, tatuśku – przyłączył się Harry.

Jamal przyjął swoją colę bez słowa, nie opuszczając muzyki.

– Bardzo proszę, Jamal – powiedział Will.

Łodzie z hałasem przepływały obok nich. Podmuchy powietrza przemieszczającego się od strony portu poruszały liśćmi na drzewach.

– Postanowiliśmy odrzucić propozycję zwiedzania Statuty Wolności i Ellis Island. Zdecydowaliśmy się na zakupy w East Village, a potem na pizzę.

– Rozpieszczasz go – stwierdził Will.

– Wiem.

Will wyciągnął rękę i przesunął palcami po włosach Jamala. Chłopiec uchylił się, udając, że wykonał gwałtowny ruch głową do muzyki.

– No więc – zagadnął Will – idziemy do East Village?

– Dobra – zgodził się Jamal.

– Rozpieszczony, strasznie rozpieszczony – mruczał Will.

Jamal wstał i przestępował z nogi na nogę. Na nosie miał słoneczne okulary, był w spodniach tak obszernych, że Will zastanawiał się, jakim cudem się trzymają.

– Co to za ogromne kamienie, te, które tam widać?

– Dla upamiętnienia wojny – odpowiedział Harry. – Tyle że nie wiem której.

– Chcesz je zobaczyć z bliska? – zwrócił się Will do Jamala.

– Sam nie wiem – odpowiedział chłopiec.

– Chodźcie, popatrzmy – zaproponował Will. – Niech to będzie element edukacyjny i wkład do ogólnej pracy nad sobą. Co wy na to?

– Moim zdaniem, są dla upamiętnienia drugiej wojny światowej – wyjaśniła Mary.

– Co mówisz?

– Te kamienie. Moim zdaniem, są ku czci mężczyzn, którzy zginęli w czasie drugiej wojny światowej.

– I kobiet? – zainteresował się Jamal.

– Wiesz, chyba też. Pewnie jakieś kobiety też tam były.

Szli esplanadą w stronę kamiennych tablic. Na drzewach drżały nowe liście, srebrzystozielone na tle nieba, które pokrywały obłoki. Weszli po schodach na szeroki plac, gdzie stały dwa rzędy szarych kamiennych tablic z tysiącami imion i nazwisk. Po przeciwległej stronie olbrzymi orzeł z brązu rozpościł ciężkie skrzydła. W milczeniu mijali

kamienie. Jamal przesunął ręką po rzędach nazwisk, czując ciche skrzywienie własnych dłoni. Kołysał się w rytm muzyki.

Za rok Constantine będzie leżał w szpitalu i obserwował z łóżka rozbielone letnie niebo, zaczynając umierać z powodu udaru. Będzie miał świadomość swoich stóp pod białym kocem i szarego piórka, które przeleci w powietrzu ponad szklanką. Magda będzie siedziała przy nim. Nie powie nic, gdy on będzie szeptał: „Mamo”. Nie będzie wyprowadzała go z błędu, ale nie będzie też odpowiadała. Pozwoli mu ująć swoją dłoń i będzie słuchała, jak powtarza wciąż to jedno słowo. Będzie siedziała w milczeniu, czekając.

Wkrótce po śmierci Constantine’a Susan odejdzie od męża. Dostanie pracę w dziale sprzedaży firmy poligraficznej, a potem wyjdzie za mąż za jednego z właścicieli, mężczyznę o wiele starszego od siebie. Jej drugi mąż, wdowiec z dwoma dorosłymi synami, pewnego wieczoru przed ślubem powie im obu głosem, który z trudem przyjdzie mu kontrolować, że wydawało mu się, że życie nie przyniesie mu już żadnych przyjemności, niczego poza codziennymi sprawami ograniczającymi się do tuszu drukarskiego i papieru, do czasu aż poznał tę kobietę.

Synowie będą mu życzyli jak najlepiej, nienawidząc w skrytości ducha za to, że zdradza ich nieżyjącą matkę. Ten mężczyzna będzie kochał Susan z bezgraniczną tkliwością, a ona, w wieku czterdziestu dziewięciu lat, urodzi dziewczynkę. Będzie nalegała, by dać jej na imię Zoe.

Will, Harry i Jamal będą mieszkali w Nowym Jorku, dopóki Jamal, mając osiemnaście lat, nie wyjedzie do Berkeley. Gdy Jamal nadal jeszcze będzie młodym chłopcem, Mary sprzeda swój dom i kupi mieszkanie w mieście. Będzie czekała na jego powrót ze szkoły i będzie się starała, nie zawsze z powodzeniem, zatrzymać go u siebie, zanim Will i Harry wrócą po pracy do domu. Po wyjeździe Jamala do college’u będzie żyła jeszcze dwadzieścia dwa lata, doświadczając chwil zadowolenia i samotności. Czasem będzie potrafiła się cieszyć zupełnie zwyczajnymi rzeczami: filiżanką rzucającą cień na okienny parapet, książką, z którą wyjdzie do parku w ciepłe wrześnieowe popołudnie.

Will i Harry pozostaną razem. Nie zawsze będzie im łatwo w ciągu dalszych lat życia. Will będzie miał romans, który zostanie mu wybaczony, a potem przyjdzie kolej na następny. Wkrótce po tym, jak obaj skończą pięćdziesiąt lat, rozstaną się prawie na rok, a po pewnym czasie znów zaczną się spotykać. Gdy z upływem lat mięśnie Willa stracą sprężystość, a skóra nabierze matowego wyglądu, dochowa on wierności Harry’emu.

Harry umrze pierwszy, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. Gdy zacznie chorować, Jamal, wraz z żoną i synem, wsiądzie w samolot i polecą na wschód od Kalifornii, by być przy Harrym. Pozostaną przez kilka dni, a potem Will powie im, żeby wracali do domu, do własnego życia. Pożegnają się więc z Harrym, nic poza tym nie będą mogli już zrobić. Will pocałuje Jamala, który będzie płakał. Powie mu, że był bardzo dobrym synem i że Harry wiedział, że Jamal go kochał, i że wizyty nie miały żadnego znaczenia. Po wyjeździe Jamala i jego rodziny Will, już prawie całkiem głuchy, będzie jeszcze przez kilka dni czuwał przy Harrym. Będzie do niego przemawiał szeptem, trzymał dłoń pokrytą ciemnymi plamami na wychudzonej dłoni Harry’ego. W końcu, gdy Harry będzie drżał z wewnętrznego zimna, do którego ciepło pokoju nie ma dostępu, Will ostrożnie osunie się na jego łóżko, położy obok niego i będzie przytulał do siebie, dzieląc się z nim własnym ciepłem. Nie będzie do końca pewien, czy Harry wie, że on jest przy nim. Powie Harry’emu, cicho, wprost do ucha, że teraz już jest dobrze, że może spokojnie odejść. To będzie odpowiedni czas na rozstanie. Nie będzie mógł stwierdzić, czy Harry go słyszy. Od tego momentu Harry będzie żył jeszcze przez dwanaście godzin, a potem, w nocy, zgaśnie, w czasie gdy Will będzie spał na łóżku obok.

Will przeżyje jeszcze siedem lat. Gdy przyjdzie mu umierać, Jamal wróci, by zostać przy nim. Jamal nie zatrudni pielęgniarki. Sam będzie karmił Willa, wycierał mu brodę, poprawiał

pościaganą pościel. Będzie zniecierpliwiony bezradnością Willa. Będzie przeklinał go w myślach, ale będzie robił wszystko co trzeba. Będzie karmił i mył Willa, a kiedy ten będzie w stanie mówić, Jamal będzie z nim rozmawiał. Będzie z nim rozmawiał na temat trosk o swoje dzieci. Chłopiec z pierwszego małżeństwa okaże się niesforny, bez żadnych ambicji. Mała dziewczynka, która się urodzi, gdy Jamal sam będzie u progu średniego wieku, sprawi mu wiele kłopotu z powodu gwałtownego temperamentu i wygórowanych dążeń. Jamal będzie opowiadał o swojej drugiej żonie, którą pokocha miłością tak gorącą, że sprawiającą mu ból, odbierającą siły, wysysającą całą energię. Will będzie kiwał głową, słuchając, albo nie słuchając. Będzie myślał o Jamalu, ale nie o jego bulwersujących opowieściach, lecz o obecności tutaj, w tym pokoju. Będzie myślał o obecności Jamala i zawsze żywym istnieniu Harry'ego, na które śmierć fizyczna nie miała wpływu. Będą go odwiedzali wszyscy, których znał, i stwierdzi, że zostały z nich do czysta wypalone cechy charakteru: małoduszność, skłonność do popełniania błędów, wszystkie zalety. Będzie miał towarzystwo, w pewnym sensie osiągnie zadowolenie. Będzie też drzenie, jak gdyby pokój sam okrywał cieniem swój wystrój – łóżko, stół, obrazy na ścianach – i stapał się z przerażającym światłem, które nie ma nazwy.

Teraz, w tej chwili, Jamal wykonuje swój samotny, nieskrępowany taniec wśród kamiennych tablic. Gdy wypełnia sobie głowę muzyką, nie myśli o matce ani o Cassandrze. Nie myśli o Benie. Przenosi się w inne miejsce. Will i Harry stoją obok siebie, czytając po cichu obce nazwiska. Starają się skupić na nich uwagę, ponieważ żaden z nich nie potrafi sobie wyobrazić, jak pokona dzisiejsze popołudnie czy następny dzień. Mary wodzi palcem po krawędziach liter nazwiska nieznannej osoby, patrzy na port. Gdyby przeczytała wszystkie imiona i nazwiska, prawdopodobnie odnalazłaby wśród nich takie, które kiedyś słyszała: syna przyjaciela matki albo nieco starszego chłopca, z którym chodziła do szkoły średniej. Pije z kubeczka, który przyniósł jej syn. Przesuwa palcami po perłach na szyi.

Will ściska Harry'ego za rękę. Dożył do tej chwili i czuł za to wdzięczność. Osiągnął czterdziesty drugi rok życia, kiedy to jest mężczyzną, który kocha i jest kochany i który jakimś sposobem musi być ojcem dla trzynastoletniego chłopca doświadczonego przez los, pogrążonego w głębokim smutku. Są tutaj razem, on i Harry, udają zainteresowanie listą nazwisk obcych ludzi, którzy odeszli. Mają przed sobą kilka godzin wędrówki od sklepu do sklepu. Will wie, jak bardzo Jamal chce dostać nową parę białych butów firmy Nike. Wie również, że Mary mu je kupi. Wie jeszcze, że cierpienie Jamala trochę błędnie wobec perspektywy posiadania nowych, białych nike'ów. Para nowych butów będzie dla niego ocaleniem. Mając odpowiednie buty, będzie mógł przeskoczyć z drogi cierpienia na inny tor i pomaszerować swobodnym krokiem.

Will czyta kilka imion i nazwisk, po cichu. George E. Swink, Leonard J. Szulc, William E. Talley. Każdy z tych mężczyzn był o połowę młodszy od niego, większość z nich z dużym prawdopodobieństwem spadła w płonących samolotach, została zastrzelona, utonęła lub zaginęła bez wieści w czasie wojny, która zatarła się już w pamięci i stała się historycznym faktem. Will myśli o wyrytych w kamieniu imionach i nazwiskach swoich bliskich, którzy zmarli, i o nowych butach dla Jamala. Z takich chwil składa się życie, mówi do siebie. Załatwiamy drobne sprawy, odwiedzamy kamienne tablice.

Will ruchem ręki przywołuje matkę, która stoi między nim a portem. Jest otoczona, światłem.

– Chodźmy! – woła do niej.

Ona kiwa głową i idzie w jego kierunku.

– Jamal, jesteś gotowy? – pyta Harry.

Jamal porusza głową w rytm muzyki. Tańczy shimmy, bawiąc się z cieniem, który rzuca kamień.

Will mówi.
Jamal ukryty wśród dźwięków muzyki obserwuje.

Dokąd idziesz?

– Już ci mówiłem.

– Dokąd?

– Idę nad zatokę. Nie będę tam długo.

– Co jest w tej skrzyneczce?

– Mówiłem ci już pięć razy.

– Co tam jest?

– To prochy twoich dziadków. Pamiętasz dziadka Willa?

– Nie.

– Byliśmy u niego w odwiedzinach, oj, pewnie już więcej niż rok temu. Wtedy byłaś jeszcze bardzo malutka. Polecieliśmy do Nowego Jorku i zatrzymaliśmy się u niego w domu. Dziadek Will był bardzo stary.

– Wiem o tym.

– Tu są jego prochy, jego i Harry'ego. Idę zanieść je do zatoki, potem wrócę do domu i możemy się zająć zakładaniem ogrodu, zgoda?

– Ja też chcę iść.

– Ty nie możesz. Już ci mówiłem i teraz jeszcze raz powtarzam.

– Dlaczego nie?

– Bo muszę iść sam.

– Dlaczego?

– Ponieważ wiele lat temu długo mieszkałem z Harrym i Willem.

– Kiedy byłeś małym chłopcem.

– Właśnie. Muszę więc być sam, kiedy będę rozsypywał ich prochy w zatoce. Ty zostań tu z mamą, a kiedy wrócę, urządzimy ogród. Dobrze?

– Chcę iść z tobą.

– Nie możesz.

– Więc chcę zanieść skrzyneczkę do samochodu.

– Dobrze. Będziesz zadowolona, jeśli pozwolę ci zanieść ją do samochodu? Proszę.

– Ona hałasuje.

– Co takiego?

– Ona hałasuje.

– To normalne, skoro nią potrząsasz. Ale uważaj na nią, dobrze?

– Co jest w środku?

– Prochy. Już ci mówiłem. Kilka garści prochów.

– I one hałasują.

– To są prochy i drobne kawałki kości. Nie ma się czego bać.

– Ja się wcale nie boję.

– Tak jakbym tego nie wiedział! Ty się niczego nie boisz.

– Słyszę je, wiesz.